



CHERNOBYL'S WIT

BESTSELLER *NEW YORK TIMES* A

*Ender, Katniss,
a teraz Darrow.*

— Scott Sigler

PIERCE
BROWN

Pierce Brown

CZERWONY ŚWIT

Przełożyli
Małgorzata Strzelec
i Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2024

Spis treści

Podziękowania

Wolałbym żyć w pokoju...

Część I. Niewolnik

Na Marsie rośnie pewien kwiat...

Rozdział 1. Piekłonurek

Rozdział 2. Miasteczko

Rozdział 3. Wawrzyn

Rozdział 4. Prezent

Rozdział 5. Pierwsza pieśń

Rozdział 6. Męczennica

Część II. Odrodzony

Obchodzimy pewne święto...

Rozdział 7. Łazarz

Rozdział 8. Dancer

Rozdział 9. Kłamstwo

Rozdział 10. Rzeźbiarz

Rozdział 11. Szaleni

Rozdział 12. Rzeźbienie

Rozdział 13. Złe rzeczy

Rozdział 14. Andromedus

Rozdział 15. Egzamin

Rozdział 16. Instytut

Rozdział 17. Pobór

Rozdział 18. Mój rocznik

Rozdział 19. Próba

Część III. Złoty

Oto twój sierpak, synu...

Rozdział 20. Dom Marsa

Rozdział 21. Nasze dominium

Rozdział 22. Plemiona

Rozdział 23. Rozłam

Rozdział 24. Wojna Titusa

Rozdział 25. Wojna plemienna

Rozdział 26. Mustang

Rozdział 27. Dom Gniewu

Rozdział 28. Mój brat

Rozdział 29. Jedność

Rozdział 30. Dom Diany

Rozdział 31. Upadek Mustang

Rozdział 32. Antonia

Rozdział 33. Przeprosiny

Część IV. Żniwiarz

Stare kobiety z Lykos powiadają...

Rozdział 34. Północna Puszcza

Rozdział 35. Krzywoprzysięzcy

Rozdział 36. Drugi test
Rozdział 37. Południe
Rozdział 38. Upadek Apolla
Rozdział 39. Nagroda od rewizora
Rozdział 40. Paradygmat
Rozdział 41. Szakal
Rozdział 42. Wojna z niebem
Rozdział 43. Ostatnia próba
Rozdział 44. Powstań

Mapa

Tytuł oryginału: *Red Rising*

Copyright © 2014 by Pierce Brown

Copyright for the Polish translation © 2024 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Alicja Laskowska

Korekta: Magda Górnicka, Aleksandra Marczuk

Mapa: © 2014 Joel Daniel Phillips

Ilustracja na okładce: © Sail

Projekt okładki: Faceout Studio/Charles Brock: info@faceoutstudio.com

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński, Dark Crayon

ISBN 978-83-68069-67-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Ojcu,
który nauczył mnie chodzić*

Podziękowania

Jeżeli pisanie płynie z głowy i serca, to dziękuję Aaronowi Phillipsowi, Hannah Bowman i Mike'owi Braffowi, którzy złocą mi głowę swoją mądrością i wiedzą.

Dziękuję rodzicom, siostrze, przyjaciołom i klanowi Phillipsów – za ich niezachwianą miłość i lojalność.

Dziękuję również moim czytelnikom – z nadzieją, że pokochają te książki.

Wolałbym żyć w pokoju, ale wrogowie przynieśli mi wojnę. Patrzę na tysiąc dwustu ich najsilniejszych synów i córek. Słuchają okrutnego Złotego, który przemawia spomiędzy wielkich marmurowych kolumn. Słuchają potwora, który sprowadził ogień trawiący moje serce.

– Ludzie nie są równi z urodzenia – mówi. Wysoki, władczy, prawdziwy orzeł w ciele człowieka. – Słabi was oszukali. Twierdzili, że cisi posiadają ziemię; że silniejsi powinni opiekować się słabszymi. To Szlachetne Kłamstwo Demokracji, rak, który zatruł rodzaj ludzki. – Jego spojrzenie przeszywa zgromadzonych uczniów. – Wy i ja należymy do Żółtych. Stanowimy zwieńczenie procesu ewolucji. Wznosimy się ponad górą ludzkiego mięsa i przewodzimy innym Kolorom. Jesteście dziedzicami tej spuścizny... – Zawiesza głos, wodzi wzrokiem po twarzach zebranych. – ...która jednak nie jest dana za darmo. Władzę trzeba sobie wywalczyć. Majątek zdobyć. Panowanie, rządy, królestwo kupić za cenę krwi. Nie zdajecie sobie sprawy, jak wiele poświęcili wasi przodkowie, byście wy dzisiaj znaleźli się na szczycie. Ale wkrótce się przekonacie. Wkrótce nauczymy was, dlaczego Żłoci przewodzą ludzkości. I zapowiadam wam, że przeżyją tylko ci spośród was, którzy naprawdę nadają się do sprawowania władzy.

Ja nie jestem Żółty. Jestem Czerwony.

Takich jak ja uważa się za słabych. Myśli, że jestem głupi i wątpliwy; że jestem podczłowiekiem. Nie dorastałem w pałacach, nie jeździłem konno po łąkach i nie jadałem potrawki z kolibrzych języczków. Zostałem wykuty w trzewiach tego świata. Zahartowany w nienawiści. Wzmocniony miłością.

Myli się.

Żadne z nich nie przeżyje.

Część I

Niewolnik

*Na Marsie rośnie pewien kwiat, hardy, czerwony, dobrze sobie radzi na
tutejszej glebie. Nazywa się „hemantus”, co znaczy „krwawy kwiat”.*

Piekłonurek

Pierwsze, co powinniście o mnie wiedzieć, to to, że jestem synem mojego ojca. I gdy po niego przyszli, zrobiłem tak, jak prosił. Nie płakałem, kiedy Wspólnota transmitowała jego aresztowanie. Nie płakałem, kiedy stanął przed trybunałem Złotych ani kiedy Szarzy go powiesili. Matka mnie za to uderzyła. To Kieran, mój brat, miał być tym opanowanym. Był ode mnie starszy. To ja miałem płakać, a tymczasem to Kieran beczał jak dziewczyna, kiedy Mała Eo wsunęła kwiat hemantusa do lewego buta ojca, po czym czmychnęła z powrotem do swoich bliskich. Obok mnie Leanna, moja siostra, lamentowała cicho. A ja tylko patrzyłem i żałowałem, że ojciec zmarł, tańcząc, lecz bez swoich butów do tańca.

Na Marsie ciążenie jest mizerne, trzeba wisielca szarpnąć za stopy, żeby złamać mu kark. Pozwalają to zrobić jego najbliższym.

* * *

W piekarniku czuję własny smród. Kombinezon termiczny jest zrobiony z jakiegoś nanoPlastu i dokładnie tak gorący, jak sugeruje to jego potoczna nazwa. Obleka mnie szczelnie od stóp do głów. Nic nie przedostaje się do środka, nic nie wychodzi na zewnątrz. A już z pewnością nie gorąc. Najgorsze, że nie można otrzeć potu, który zalewa oczy. Piecze parszywie, kiedy przesiąka opaskę na głowie i ścieka w dół, aż do pięt. Do tego dochodzi smród moczu – a lać się chce, bo człowiek wciąga mnóstwo wody

przez rurkę do picia. Można by pewnie zainstalować w piekarniku cewnik, ale wolimy śmierdzieć.

Sam w głębokim tunelu, słyszę w słuchawce plotkujących górników z mojego klanu. Siedzę na szczycie świdroSzponu, maszyny zbudowanej na kształt gigantycznej metalowej łapy, która wgryza się w ziemię. Steruję jej roztopiającymi skałę palcami z wyściełanego fotela umieszczonego na górze kadłuba, mniej więcej w miejscu, w którym powinien się znajdować staw łokciowy. Rękawice sterownicze pozwalają mi kierować mackowatymi świdrami pracującymi dziewięćdziesiąt metrów poniżej mojego stanowiska. Mówi się, że palce piekłonurka muszą być szybkie jak jęzory płomieni. Moje są szybsze.

Mimo głosów w uchu jestem w tunelu sam. Moje istnienie sprowadza się do wibracji maszynerii, echa własnego oddechu i upału tak gęstego i obrzydliwego, jakby otulała mnie gruba kołdra nasączona gorącymi szczynami.

Nowa struga potu przedziera się przez zawiązaną na czole szkarłatną opaskę i spływa do oczu. Pali jak ogień. Od potu oczy przybierają intensywny czerwony kolor, niewiele różniący się od rdzawego odcienia moich włosów. Dawniej próbowałem odruchowo ocierać czoło, ale tylko daremnie drapałem palcami po przezroczystej osłonie twarzy. Mimo to znów mam ochotę to zrobić. Minęły trzy lata, a łaskotanie i pieczenie potu w oczach wciąż jest dla mnie udręką.

Wokół mojego fotela ściany tunelu pławią się w siarkowożółtym świetle pierścienia lamp. Zadzieram głowę: światło sięga niezbyt daleko w górę, w głąb wąskiego pionowego szybu, jaki dziś wyryłem. Bezcenny hel-3 lśni jak roztopione srebro, ja jednak wpatruję się w cienie, szukam w nich żmij jaskiniowych, które wiją się w ciemnościach w poszukiwaniu ciepła mojej maszyny. Potrafią się też wgryźć w kombinezon, przebić powłokę ochronną, a potem w najcieplejszym miejscu, jakie znajdą – najczęściej w twoim brzuchu – złożyć jaja. Przeżyłem takie ukąszenie. Wciąż czasem śni mi się ten stwór, czarny i oślizły jak struga ropy. Dorosła żmija jaskiniowa może być gruba jak męskie udo i długa jak trzech ludzi postawionych jeden na drugim, ale my bardziej obawiamy się młodych okazów, które nie nauczyły się jeszcze gospodarować jadem. Są podobne do mnie: ich przodkowie również przybyli z Ziemi, a potem przeszli przemianę w głębokich marsjańskich tunelach.

W tunelach jest trochę upiornie. Bardzo samotnie. Poza hurgotem świdra słyszę głosy przyjaciół. Wszyscy są ode mnie starsi. Nie widzę ich jednak, zawieszonych w ciemnościach pół kilometra nad moją głową. Pracują wysoko, blisko wlotu wydrążonego przeze mnie tunelu; zwieszają się przy ścianach na linach z kotwiczkami i pozyskują hel-3 z pomniejszych żył. Metrowej długości świdrami wżerają się w skałę. Ich robota wymaga obłąkańczej zręczności i koordynacji, ale to ja zarabiam na chleb dla nas wszystkich. Jestem piekłonurkiem, a do tego potrzeba specyficznych predyspozycji. Nikt nie pamięta młodszego piekłonurka ode mnie.

Od trzech lat pracuję w kopalni. Zaczyna się w wieku trzynastu lat: możesz ruchać, to możesz i wiercić. Tak przynajmniej mawiał stryj Narol. Tylko że ja ożeniłem się dopiero przed sześcioma miesiącami, więc nie wiem, dlaczego tak mówił.

Eo tańczy w moich myślach, kiedy spoglądam na wyświetlacz i palcami świdroSzponu obejmuję nową żyłę. Eo. Czasem trudno mi o niej myśleć inaczej niż jak o zapamiętanej z dzieciństwa dziewczynce.

Mała Eo: mikruska z burzą rudych włosów. Właściwie nawet nie rudych, raczej rdzawoczerwonych jak skała wokół mnie. Jak nasz dom. Jak Mars. Ona też ma szesnaście lat. Może i jest do mnie podobna – pochodzi z klanu Czerwonych górników miłujących taniec, śpiew i ziemię – ale sprawia wrażenie, jakby była utkana z powietrza, stworzona z eteru scalającego patchwork gwiazd.

Nigdy nie widziałem gwiazd. Czerwoni z górniczych kolonii nie oglądają gwiazd.

Mała Eo. Chcieli wydać ją za męża, kiedy skończyła czternaście lat, tak jak to się robi z wszystkimi dziewczynami z klanów. Ona jednak wolała niedojadać i czekać, aż skończę szesnaście lat i osiągnę śluboWiek, zanim dała sobie obwiązać palec sznureczkiem. Ponoć od dziecka wiedziała, że się pobierzemy. Ja nie wiedziałem.

– Stop. Stop. Stop! – słyszę ostry głos stryja. – Przyhamuj, Darrow.

Moje palce nieruchomieją. Narol jest na górze, razem ze wszystkimi. Obserwuje moje postępy na wyświetlaczu w hełmie.

– A co, pali się? – pytam. Nie lubię, kiedy mi się przeszkadza.

– Mały piekłonurek pyta, czy się pali. – Stary Barlow parska śmiechem.

– Jeszcze nie, ale mamy tu bąbel gazu – wyjaśnia Narol. Jest brygadzystą naszego liczącego ponad dwieście osób zespołu. – Czekaj.

Wezwę skanEkipę, niech to zbadają, zanim wysadzisz nas wszystkich w diabły.

– Mówisz o tym purchlu? – upewniam się. – To maleństwo. Dam sobie radę.

– Rok w tej robocie i już mu się wydaje, że umie głowę od dupy odróżnić! – wtrąca oschłym tonem Barlow. – Wspomnij słowa naszego Złotego przywódcy, młody: cierpliwość i posłuszeństwo. Odwaga powinna iść w parze z cierpliwością, a człowieczeństwo z posłuszeństwem. Słuchaj starszych.

Przewracam oczami, słysząc te mądrości. Gdyby starsi potrafili to, co ja, może słuchanie ich miałoby jakiś sens. Oni jednak są powolni w ruchach i ospali umysłowo i chwilami odnoszę wrażenie, że chcieliby, żebym był taki sam. Zwłaszcza mój stryj.

– Świetnie mi idzie – mówię. – Jeżeli martwicie się gazem, mogę zeskoczyć i zeskanować teren ręcznie. Prosta sprawa. I szybka.

Zalecają rozwagę, tak jakby kiedykolwiek im się na coś zdała. Od wieków nie zdobyliśmy Wawrzynu.

– Chcesz, żeby Eo została wdową? – Barlow się śmieje, trzaski zakłóceń zniekształcają jego głos. – Mnie to nie przeszkadza. Ślicznotka z niej. Wierć sobie tam do woli, a ją zostaw mnie. Może i jestem stary i gruby, ale świder mam nie od parady.

Odpowiada mu chóralny wybuch śmiechu dwustu górników nad moją głową. Bieleją mi knykcie zaciśniętych na sterach palców.

– Słuchaj stryja, Darrow – wtrąca mój brat, Kieran. – Wycofaj się, poczekamy na pomiary. – Jest ode mnie trzy lata starszy i zachowuje się, jakby pozjadał wszystkie rozумы. Że niby wie więcej. A tak naprawdę jest tylko do przesady ostrożny. – Nie ma pośpiechu.

– Nie ma pośpiechu?! – wściekam się. – Przecież to potrwa kilka godzin! – W tej kwestii wszyscy są przeciwko mnie. Nie mają racji, są powolni i nie pojmują, że jeden śmiały ruch dzieli nas od Wawrzynu. Co gorsza, nie wierzą we mnie. – Tchórz z ciebie, Narol.

Odpowiada mi cisza.

Nazwanie mężczyzny tchórzem nie jest najlepszym sposobem na zapewnienie sobie jego życzliwości. Nie powinienem był tak mówić.

– Proponuję, żebyś sam zrobił skan – skrzeczy Loran, syn Narola i mój kuzyn. – Bo jak nie, to Gammy znów zgarną Wawrzyn, już chyba setny raz.

Wawrzyn. Dwadzieścia cztery klany w kolonii górniczej Lykos, jeden Wawrzyn na kwartał. To więcej jedzenia, niż dasz radę przejeść. To więcej szlugów. To importowane z Ziemi kołdry. To bursztynowa gorzała opatrzona znakiem jakości Wspólnoty. To zwycięstwo. Gammy zdobywają Wawrzyn od niepamiętnych czasów. Innym, gorszym klanom pozostaje wypełnianie Normy, w zamian za co dostajemy w sam raz tyle, żeby nie zdechnąć z głodu. Eo mówi, że Wawrzyn to marchewka podsuwana nam przez Wspólnotę i zawsze zawieszona tuż poza naszym zasięgiem, blisko, ale zarazem dostatecznie daleko, żebyśmy nie zapomnieli, jak nisko się znajdujemy i jak niewiele możemy na to poradzić. Powinniśmy być pionierami, Eo nazywa nas niewolnikami, a ja uważam, że za słabo się staramy. Przez naszych starców nigdy nie podejmujemy prawdziwego ryzyka.

– Przestań już z tym Wawrzynem, Loran – burczy stryj Narol. – Jak gaz wybuchnie, to już do końca świata nie zdobędziemy żadnych parszywych Wawrzynów.

Przeciąga zgłoski, nawet przez radio niemal wyczuwam bijący od niego smród gorzały. Chce wezwać ekipę pomiarową, żeby chronić własny tyłek. Albo się boi. Ledwie się pijaczyna urodził, a od razu pewnie zlał się ze strachu. Co go tak przeraża? Nasi władcy, Złoci? Ich sługusy, Szarzy? Kto to wie? Mało kto. Kogo to obchodzi? Prawie nikogo. Prawdę powiedziawszy, tylko jeden człowiek kiedykolwiek przejmował się losem Narola. Zginął, kiedy Narol uwiesił mu się na stopach.

Stryj jest słabym człowiekiem, strachliwym i nieumiarkowanym w picu cieniem mojego ojca. Leniwie, z wyraźnym wysiłkiem mruga powiekami, jakby bolało go otwieranie oczu i oglądanie świata po raz kolejny. Nie ufam mu tutaj na dole, w kopalni, podobnie zresztą jak wszędzie indziej. Ale matka każe mi go słuchać, upomina mnie, żebym szanował starszych. Mimo że mam już żonę i jestem w naszym klanie piekłonurkiem, stale mi powtarza, że „moje bąble jeszcze nie stwardniały w odciski”. Słucham jej, chociaż irytuje mnie nie mniej niż ściekający po twarzy pot.

– W porządku – mruczę.

Zaciskam świdroSzpon w pięść i czekam, aż stryj – siedzący bezpiecznie w komorze ponad tunelem – wezwie skanEkipę. To potrwa. Liczę: osiem godzin do fajrantu. Jeżeli mielibyśmy pokonać Gammy, musiałbym od tej pory trzymać tempo sto pięćdziesiąt sześć i pół kilo na godzinę. SkanEkipa będzie potrzebowała dwóch i pół godziny, żeby się tu

zjawić i zrobić swoje. Co najmniej. To znaczy, że później będę musiał pompować dwieście dwadzieścia siedem i sześć dziesiątych kilogramów na godzinę. Niewykonalne. Za to jeśli teraz nie przerwę roboty – chrzanić ten uciążliwy skan – wygramy.

Ciekaw jestem, czy stryj i Barlow wiedzą, jak niewiele nam brakuje. Pewnie tak. I prawdopodobnie są zdania, że nic nie jest warte takiego ryzyka; że boska interwencja schrzaniła nasze szanse. Gammy mają Wawrzyn, tak już jest i tak będzie zawsze. Nam, Lambdom, pozostaje licha egzystencja, marna strawa i żałośnie skromne wygody. Nie awansujemy i nie upadamy. Nie warto ryzykować, żeby zmienić hierarchię. Mój ojciec znalazł tę prawdę na końcu wisielczego sznura.

Nie warto ryzykować życia. Czuję na piersi muśnięcie ślubnej obrączki z kosmyka włosów Eo i skrawka jedwabiu, zawieszanej na sznurku na szyi. Przypominam sobie wystające żebra Eo. Jej szczupłość staje się coraz wyraźniejsza, więcej szczegółów rysuje się pod skórą. Pójdzie prosić rodziny Gamm o resztki jedzenia. Zrobi to za moimi plecami, a ja udam, że o niczym nie wiem. Mimo to będziemy chodzić głodni. Jem za dużo, bo mam szesnaście lat i jeszcze rosnę. A Eo kłamie, kiedy twierdzi, że nigdy nie miała wielkiego apetytu. Niektóre kobiety sprzedają się za jedzenie i używki Blaszakom, czyli Szarym żołnierzom z garnizonu stacjonującego w naszej małej kolonii. Eo nie kupczyłaby swoim ciałem, żeby mnie nakarmić... Czy na pewno? Zastanawiam się nad tym. Ja bym zrobił wszystko, żeby nie głodowała.

Spoglądam w dół ponad krawędzią Szponu: nic, tylko stopiona skała i syczące wiertła. Upadek na dno wykopanej przeze mnie dziury byłby długi. Zanim orientuję się, co jest grane, wypinam się z pasów, łapię skaner i skaczę sto metrów w dół na spotkanie ryjących w ziemi palców. Odbijam się nogami na przemian od pionowej ściany szybu i wibrującego podłużnego cielska maszyny, żeby spowolnić lot. Rzucam okiem, czy nie ma w pobliżu gniazda żmij, i jedną ręką łapię się wystającej zębarki tuż powyżej paluchów świdroSzponu. Dziesięć rozpalonych wiertel jarzy się słabą poświatą, powietrze drży i zniekształca obraz. Czuję ten gorąc na twarzy, dźga mnie w oczy, przyprawia o ból brzucha i jąder. Drobną nieostrożność i wiertła mogą człowiekowi stopić kości. Ja nie jestem ostrożny. Jestem za to zwinny.

Schodzę niżej, opuszczam się na rękach pomiędzy palce maszyny, żeby znaleźć się jak najniżej, zanim spróbuję użyć skanera. To błąd. Żar jest nie

do zniesienia. Słyszę nawoływania w słuchawce. Niewiele brakuje, żebym otarł się o wiertło, zanim wreszcie udaje mi się zejść blisko bąbla gazu. Ekran skanera migocze, automat dokonuje odczytu. Mój kombinezon zaczyna się gotować, czuję gryzącą, słodkawą woń, jakby przypalonego syropu. Dla piekłonurka to zapach śmierci.

Miasteczko

Piekarnik nie radzi sobie z tym żarem, zewnętrzna warstwa już prawie przetopiała się na wylot, niedługo puści także wewnętrzna. Na szczęście skaner wreszcie miga na srebrno: mam to, po co zszedłem. Niewiele brakowało, żebym przegapił ten moment. Ze zgrozą, dręczony zawrotami głowy, łapię się czegoś i podciągam wyżej, byle dalej od wiertła. Przekładam ręce jedna nad drugą i wspinam się szybko, jak najszybciej, z dala od tego gorąca. Nagle czuję opór: stopa zaklinowała mi się pod zębatką jednego z palców maszyny. W panice zapiera mi dech. Zaczynam się bać. Podeszwa buta topi się na moich oczach: pierwsza warstwa spływa, druga zaczyna wrzeć. Trzecia w kolejności będzie moja skóra.

Zmuszam się do głębokiego wdechu i dławieź wzbierający w gardle krzyk. Przypominam sobie, że przecież mam ostrze. Z pochwy na plecach wyciągam sierpak. Okrutnie zakrzywiony nóż jest długi jak moja noga. Służy do odcinania i kauteryzacji kończyn zaplątanych w tryby maszynerii, w takiej właśnie sytuacji jak moja. Większość ludzi wpada w tym momencie w panikę, dlatego paskudna półksiężycowata broń musi działać niezawodnie nawet w nieporadnych rękach. Może i przepełnia mnie zgroza, ale na pewno nie jestem nieporadny. Tnę trzy razy – po nanoPłaście, nie po ciebie. Po trzecim cięciu sięgam ręką w dół i szarpnięciem uwalniam stopę. Przy tej okazji ocieram się knykciami o wiertło. Palący ból przeszywa mi dłoń. Śmierdzi palonym ciałem, ale ja już jestem daleko i wspinam się coraz wyżej, coraz dalej od piekielnej spiekoty, wracam na swój fotel – i przez cały czas się śmieję. Chce mi się płakać.

Stryj miał rację, a ja się myliłem, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek się do tego przyznam.

– Idiota. – To najżyczliwszy z jego komentarzy.

– To było wariactwo! – wykrzykuje Loran. – Parszywe wariactwo!

– Minimalna ilość gazu – potwierdzam. – Wiercę dalej, stryju.

Kiedy rozbrzmiewa gwizdek na fajrant, transportery zabierają mój urobek. Wstaję z fotela, zostawiam świdroSzpon na noc w przepastnej dziurze i zaciskam zmęczoną rękę na linie, którą moi ludzie zrzucają w głąb kilometrowego szybu. Nie bacząc na sączące się oparzenie na wierzchu dłoni, posuwam się w górę liny, aż wydostaję się na górę. Idę z Kieranem i Loranem do najbliższej graWindy. Żółte lampy zwieszają się z sufitu jak pająki.

Kiedy docieramy na prostokątną platformę graWindy, cały mój klan i trzysta Gamm zdążyło już zahaczyć stopami od spodu o metalową barierkę. Unikam stryja, który prawie pieni się z wściekłości, ale zaliczam kilkadziesiąt klepnięć po plecach za swój wyczyn. Młodzi, tacy jak ja, myślą, że zdobyliśmy Wawrzyn. Znają mój miesięczny urobek helu-3 i wiedzą, że jest wyższy niż u Gamm. Stare balasy mamrocą pod nosem i nazywają nas głupcami. Chowam poparzoną dłoń, wsuwam stopy pod barierkę.

Ciążenie się zmienia, graWinda wystrzeliwuje w górę. Jakiś leszcz z klanu Gamma, który ma niespełna tydzień rdzy za paznokciami, zapomniał się zahaczyć o barierkę i zawisa w powietrzu. Winda pędzi sześć kilometrów pionowo w górę. Strzela mi w uszach.

– Mamy tu latający balas z Gammy – zwraca się Barlow do Lambd i wybucha śmiechem.

To małostkowe, ale zawsze miło widzieć, jak Gammy coś schrzanią. Dzięki Wawrzynom dostają więcej jedzenia, szlugów i w ogóle wszystkiego. My możemy tylko nimi pogardzać. I chyba tak właśnie powinno być. Ciekawe, czy teraz to oni będą gardzić nami.

Co za dużo, to niezdrowo. Łapię małolata za rdzawoczerwony kombinezon i ściągam go na podłogę. Małolat, śmiechu warte. Jest najwyżej trzy lata młodszy ode mnie. Jest też śmiertelnie zmęczony, ale na widok krwistej czerwieni mojego piekarnika sztywnieje, odwraca wzrok... i jako jedyny dostrzega oparzenie na mojej dłoni. Mrugam do niego i mam wrażenie, że właśnie zesrał się w piekarnik. Każdemu się zdarza. Pamiętam swoje pierwsze spotkanie z piekłonurkiem. Wtedy wydał mi się bogiem.

Dziś już nie żyje.

Na górze, w punkcie przesiadkowym – przepastnej szarej komorze z betonu i metalu – zdejmujemy hełmy i chłoniemy świeże, chłodne powietrze świata nieskończenie odległego od roztopiających skałę wiertel. Od naszego potu jaskinia szybko zaczyna śmierdzieć jak sracz. W oddali widać światła: to sygnał, żeby nie zbliżać się do torów pociągu magnetycznego po drugiej stronie komory.

Nierówna kolumna rdzawych piekarników rusza w stronę pociągu. Nie mieszamy się z Gammami: połowa z nas ma wymalowane czerwona farbą na plecach wielkie L jak „Lambda”, połowa trzecinę, symbol Gamm. Do tego dwaj szkarłatni brygadziści. I dwaj czerwoni jak krew piekłonurkowie.

Oddział Blaszków mierzy nas wzrokiem, gdy tak drepczemy po wydeptanej betonowej posadzce. DuroZbroje Szarych są pospolite, znoszone, równie niechlujne jak ich fryzury. Zatrzymałyby pchnięcie noża, może nawet sztych ostrza jonowego, ale nóż impulsowy albo brzytwa cięłyby je jak papier. Jednak taką broń widzimy tylko w holoPuszcze. Szarym nie chce się nawet urządzać pokazu siły, nie sięgają po zawieszone u pasa gromniki. Wiedzą, że nie będą musieli ich użyć.

Posłuszeństwo jest najwyższą cnotą.

Dan Paskuda – kapitan Szarych, oślizły skurwiel – rzuca we mnie kamykiem. Skórę ma pociemniałą od słońca. Włosy, szare jak u wszystkich z jego Koloru, w rzadkich strąkach opadają mu na oczy: dwie kostki lodu obtoczone w popiele. Pieczęcie jego Koloru – szare, kanciaste, stylizowane cyfry 4 z kilkoma poziomymi belkami – widnieją na jego dłoniach i nadgarstkach. Okrutny i surowy, jak wszyscy Szarzy.

Podobno ściągnęli go z frontu w Eurazji (gdziekolwiek to jest) po tym, jak został inwalidą, a nie chcieli mu kupić nowej ręki. Dostał stary zamiennik. Nie lubi, jak mu się o nim przypomina – dlatego bardzo dbam o to, żeby teraz zauważył, jak obrzucam jego rękę znaczącym spojrzeniem.

– Widzę, że miałeś ekscytujący dzień, kochaniutki. – Jego głos jest ciężki i zatęchły jak powietrze wewnątrz mojego piekarnika. – Wielki z ciebie bohater, nie, Darrow? Zawsze wiedziałem, że zostaniesz bohaterem.

– Prawdziwym bohaterem jesteś ty. – Ruchem głowy wskazuję jego rękę.

– Pewnie myślisz, że jesteś cwany, co?

– Gdzie tam, zwykły Czerwony ze mnie.

Mruga do mnie porozumiewawczo.

– Pozdrów ode mnie swoją ptaszynę. Fajniutka jest, w sam raz, żeby ją prześwinić. – Oblizuje zęby. – Dobrze mówię, Rdzawy?

– W życiu nie widziałem ptaka.

Poza hP.

– A to ci dopiero... – Parska śmiechem. – Czekał no, dokąd się wybierasz? – pyta, kiedy chcę odejść. – Nie powinienes pokłonić się lepszym od siebie?

I rzy do swoich kumpli.

Niezrażony jego szyderstwem, kłaniam się nisko. Na ten widok mój stryj zniesmaczony odwraca wzrok.

Zostawiamy Szarych za sobą. Nie przeszkadza mi kłanianie się, ale gdy tylko trafi mi się okazja, najprawdopodobniej poderżnę gardło Danowi Paskudzie.

Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że polecę sobie dewastatorem na Wenus, jeśli tylko najdzie mnie taka chęć.

– Hej, Dago! – woła Loran do piekłonurka z klanu Gamma. – Dago! – Facet jest żywą legendą, inni przy nim to gwiazdy jednego sezonu. Mogę stać się lepszy od niego. – Ile ukopałeś?

Dago, który zamiast twarzy ma jasny pas starej skóry z permanentnym znaczącym uśmiechem, zapala długiego szluga i wydmuchuje chmurę dymu.

– Nie wiem – odpowiada, przeciągając słowa.

– No dalej, powiedz.

– Nie obchodzi mnie to. Goła liczba nic nie znaczy, Lambdo.

– Akurat, nic nie znaczy! Ile ukopał przez tydzień? – woła Loran, kiedy pakujemy się do pociągu.

Wszyscy zapalają szluga i ciągną gorzałę, ale słuchają z uwagą.

– Dziewięć tysięcy osiemset dwadzieścia jeden kilo – chełpi się jakiś Gamma.

Słyszając to, rozpieram się wygodnie i uśmiecham. Młodsze Lambdy wiwatują, starszyzna siedzi cicho, a ja zaczynam się zastanawiać, co w tym miesiącu Eo zrobi z cukrem. Nigdy wcześniej nie zapracowaliśmy na cukier, co najwyżej udawało nam się go wygrać w karty. Tak samo owoce. Podobno za Wawrzyn dostaje się owoce. Eo pewnie rozda je głodnym dzieciom, żeby pokazać Wspólnocie, że nie potrzebuje od niej żadnych

nagród. A ja? Ja bym wolał zjeść owoce i bawić się w politykę z pełnym żołądkiem. Ona jednak kocha idee, a ja nie Kocham niczego poza nią.

– I tak nie wygracie – cedzi słowa Dago. Pociąg rusza. – Darrow to szczeniak, ale bystry. Wie, że mam rację. Dobrze mówię, Darrow?

– Młody czy nie, tym razem skopię ci to pomarszczone dupsko.

– Jesteś pewien?

– Jeszcze jak. – Mrugam do niego i posyłam mu całusa. – Wawrzyn jest nasz. Tym razem to wy przyślecie swoje siostry do naszego miasteczka po cukier.

Moi przyjaciele śmieją się głośno i z uciechy klepią hełmami po udach.

Dago przygląda mi się przez długą chwilę, w końcu zaciąga się dymem. Szlug rozbłyskuje jasno i szybko się spala.

– To jesteś ty – mówi. W pół minuty ze szluga zostaje pusta skorupa.

* * *

Wysiadamy całą ekipą i lejkowatym wejściem wciskamy się do Myjni. Zimne, zatechłe wnętrze pachnie dokładnie tym, czym jest: ciasną metalową budą, gdzie tysiące mężczyzn zdejmują piekarniki, w których przez kilka godzin pocili się i sikali, i idą wziąć powietrzny prysznic.

Rozbieram się, nakładam jeden z naszych czepków i nago wchodzę do najbliższej przezroczystej rury. W Myjni są takich kabin dziesiątki, ustawionych w równych rzędach. Nie ma mowy o żadnych tańcach i fikołkach, jest tylko wspólnota zmęczenia i ciche klaskanie dłoni o uda w rytmie wyznaczanym przez szum prysznicowych dysz.

Drzwi mojej rury zamykają się za mną z sykiem, tłumiąc dźwięki muzyki. Z silnika dobiega znajome buczenie, kabina wibruje od zmiany ciśnienia i z głośnym rykiem bucha na mnie z góry potężny podmuch powietrza nasyconego cząsteczkami antybakteryjnymi. Zmywa ze mnie martwy naskórek i brud i spycha je do umieszczonego w dnie odpływu. To boli.

Potem rozstaję się z Kieranem i Loranem: idą na Błonia, żeby popić i potańczyć w knajpach przed oficjalnym rozpoczęciem tańców na Święcie Wawrzynu. O północy Blaszkaci ogłoszą zwycięzców i zaczną wydzielać jedzenie, a my, pracownicy dziennej zmiany, będziemy tańczyć i wcześniej, i później.

Według legendy bóg Mars był ojcem łez oraz wrogiem tańca i lutni. Co do pierwszego – pełna zgoda. Jednakże dla nas, mieszkańców Lykos, jednej z pierwszych podziemnych kolonii na Marsie, najważniejsze są rodzina, taniec i śpiew. Dlatego plujemy na tę legendę i tworzymy własne przynależne nam prawa. To jedyna forma oporu wobec rządzącej nami Wspólnoty. Buduje naszą tożsamość. Nikogo nie interesuje, czy tańczymy i śpiewamy, byleśmy posłuszenie kopali. Byleśmy przygotowywali planetę dla nich wszystkich. Abyśmy jednak nie zapomnieli, gdzie nasze miejsce, jednego tańca i jednej pieśni zakazali nam pod karą śmierci.

Dla mojego ojca to był ostatni taniec w życiu. Ja widziałem go tylko raz, tak jak tylko raz słyszałem tę pieśń. Nie rozumiałem jej wtedy, byłem mały, nie wiedziałem, o co chodzi z tymi odległymi dolinami, mgłą, utraconymi kochankami i żniwiarzem, który ma nas zaprowadzić do naszego niewidzialnego domu. Byłem mały i ciekawski, gdy śpiewała ją kobieta, której syna powieszono za kradzież jedzenia. Wyrósłby na wysokiego chłopaka, ale stale niedojadał i nie mógł oblec kości w ciało. Potem zmarła jego matka. Mieszkańcy Lykos odegrali dla nich Gasnący Tren, tragiczne pożegnanie polegające na uderzaniu pięścią w pierś coraz słabiej i słabiej, aż w końcu pięści przestają bić, tak jak wcześniej przestało bić serce, i wszyscy się rozchodzą.

Tamtej nocy ten dźwięk mnie prześladował. Płakałem samotnie w naszej małej kuchni i zachodziłem w głowę, dlaczego lamentuję właśnie teraz, skoro nie opłakiwałem ojca. Leżąc na zimnej posadzce, usłyszałem ciche skrobanie do drzwi. Kiedy je otworzyłem, nie było za nimi żywej duszy. Został tylko złożony w czerwonym kurzu pączek hemantusa i odciski drobnych stóp Eo. Wtedy po raz drugi przyniosła kwiaty po czyjejś śmierci.

Ponieważ śpiew i taniec mamy we krwi, nie powinno chyba dziwić, że to właśnie one pierwszy raz uświadomiły mi, że kocham Eo. Nie Małą Eo, nie dziewczynkę, którą była dawniej, lecz Eo taką, jaka jest dziś. Ona twierdzi, że kochała mnie już wcześniej, przed egzekucją mojego ojca, ale dopiero w zadymionej tawernie, kiedy śledziłem wir jej rudych włosów, ruch jej stóp do wtóru cytry i kołysanie bioder w rytmie bębnow, moje serce na moment przestało bić. Nie musiała kręcić salt i gwiazd ani popisywać się niemądrze, jak to młodzi mają w zwyczaju. Poruszała się z wdziękiem i dumą. Beze mnie nie chciała jeść. Ja bez niej nie chciałem żyć.

Wyśmiałyby mnie, że tak mówię, ale jest duchem naszego ludu. Życie rozdało nam marne karty. Musimy się poświęcać dla dobra mężczyzn i kobiet, których nie znamy. Musimy kopać, żeby przygotować Marsa dla innych. Niektórzy z nas snują z tego powodu paskudne myśli, ale dobroć Eo, jej życzliwość, śmiech i niezłomność to najlepsze, co może zrodzić dom taki jak nasz.

Szukam jej w miasteczku, w którym mieszka boczna linia naszej rodziny, niecały kilometr tunelem od Błoń. To jedna z dwudziestu kilku osad rozsianych wokół Błoń, skupisko domów wykutych w skalnych ścianach dawnej kopalni przywodzące na myśl pszczele gniazdo. Kamień i ziemia są naszymi sufitami, podłogami, naszym domem. Cały klan jest jedną wielką rodziną. Eo wychowała się w domu odległym o rzut kamieniem od mojego. Jej bracia są mi braćmi. Jej ojciec zastępuje mi ojca, którego straciłem.

Pod sklepieniem jaskini biegnie masa splecionych przewodów elektrycznych przypominająca gąszcz czarno-czerwonych pnączy. Zwieszające się z tego gąszczu lampy kołyszą się lekko w powiewach z centralnego systemu napowietrzania Błoń. W samym środku miasteczka zawieszona jest gigantyczna holoPuszka, sześcienna skrzynia z ekranami na czterech bocznych ścianach. Część pikseli się nie wyświetla, obraz jest wyblakły i niewyraźny, ale hP działa non stop, nigdy nie gaśnie. Nasze domy toną w bladej poświacie emitowanego przez Wspólnotę przekazu wideo.

Mój rodzinny dom wykuto w skale na wysokości stu metrów. Prowadzi do niego stroma ścieżka. Na wyższe poziomy miasteczka można się również dostać za pomocą systemu lin i wielokrążków, ale używają ich wyłącznie starzy i chorzy – a jednych i drugich jest u nas niewielu.

W domu jest mało pokoi, dopiero od niedawna dostaliśmy z Eo jeden na własność. Kieran z rodziną zajmują dwa, moja matka z siostrą dzielą ostatni, czwarty.

Wszystkie Lambdy w Lykos mieszkają w naszym miasteczku. Minutkę spacerem w jedną lub drugą stronę żyją nasi sąsiedzi – Omegi i Epsilon. Wszyscy jesteśmy połączeni, wszyscy poza Gammami. Gammy mieszkają na Błoniach, ponad tawernami, warsztatami, sklepami z jedwabiem i bazarami. Twierdzą ulokowaną jeszcze wyżej, bardzo blisko powierzchni naszego surowego świata, zajmują Blaszkę. A na powierzchni znajdują się

porty, przez które dostarczana jest z Ziemi żywność dla nas, porzuconych pod powierzchnią pionierów.

Obrazy dawnych heroicznych mozołów ludzkości ustępują w holoPuszcze miejsca wizjom triumfów Wspólnoty zilustrowanym podniosłą muzyką. Na ekranie płonie symbol Wspólnoty, wpisana w krąg złota piramida z wyrastającymi z jej boków trzema równoległymi belkami. Głos Octavii au Lune, wiekowej Suwerenki, opowiada o zmaganiach człowieka z naturą podczas kolonizacji planet i księżyców Układu.

– Od zarania dziejów rodzaj ludzki rozdzierały walki plemienne. Historia ludzkości jest historią zmagania, ofiarności, śmiałości do łamania naturalnych granic. Dziś jesteśmy zjednoczeni mocą obowiązku i posłuszeństwa, lecz nasza walka trwa. Od synów i córek wszystkich Kolorów po raz kolejny wymaga się poświęcenia. Oto w naszej najwspanialszej godzinie rozsiewamy nasze najlepsze ziarna pośród gwiazd. Gdzie rozkwitniemy najwcześniej – na Wenus? Merkury? Marsie? Na księżycach Neptuna i Jowisza?

W jej głosie brzmią uroczyste nuty, królewska twarz spogląda na nas z wyżyn hP, na wierzchach dłoni mieni się symbol Złotych – skrzydlaty krąg z kropką w środku. Tylko jedna niedoskonałość psuje jej złote oblicze: długa półksiężycowata blizna na prawej kości policzkowej. Jest piękna urodą okrutnego ptaka drapieżnego.

– Wy, dzielni Czerwoni, marsjańscy pionierzy, najsilniejsi przedstawiciele rodzaju ludzkiego, poświęćcie się w imię postępu i torujecie drogę przyszłości. Wasze życie i wasza krew są zaliczką na poczet przyszłej nieśmiertelności naszej rasy, kiedy sięgniemy dalej niż Ziemia i Księżyc. Udaliście się tam, gdzie inni nie mogli. Cierpicie, żeby inni nie musieli. Oddaję wam hołd. Kocham was. Wydobywany przez was hel-3 ma fundamentalne znaczenie dla procesu terraformowania. Niebawem powietrze Czerwonej Planety stanie się zdatne do oddychania, a jej ziemia podatna na uprawę. Wkrótce dzięki wam, dzielnym pionierom, którzy przygotowujecie Marsa dla nas, słabszych Kolorów, będziemy mogli dołączyć do was pod niebem będącym dziełem waszej znoјnej pracy. Zasługujecie na nasz najwyższy szacunek. Wasz pot i krew są paliwem terraformowania. Nie zapominajcie, śmiali pionierzy, że posłuszeństwo jest najwyższą cnotą. Nade wszystko liczy się posłuszeństwo, szacunek, poświęcenie, hierarchia...

W kuchni nikogo nie zastaję, ale słyszę głos Eo dobiegający z sypialni:

– Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś! – woła przez zamknięte drzwi. – Pod żadnym pozorem nie zaglądaj do mnie!

– W porządku – mówię i nieruchomieję.

Wychodzi po minucie, zarumieniona i zmieszana. Włosy ma splątane, przykurzone i okryte pajęczyną. Przeczesuję je palcami. Przyszła prosto z Pajęczarni, gdzie zbiera się bioJedwab.

– Nie byłeś w Myjni – zauważam z uśmiechem.

– Nie zdążyłam. Musiałam szybko zwinąć się z Pajęczarni, żeby coś odebrać.

– A co takiego?

– Pamiętaj: nie dlatego się ze mną ożeniłeś, że o wszystkim ci mówię – odpowiada ze słodkim uśmiechem. – I nie wchodź do pokoju.

Rzucam się do drzwi. Zastępuje mi drogę, przepaskę ściąga mi z czoła na oczy i głową napiera na moją pierś. Wybucham śmiechem, poprawiam przepaskę, łapię Eo za ramiona i odsuwam ją na odległość wyprostowanych ramion, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

– Bo co? – pytam, unosząc jedną brew.

W odpowiedzi tylko z uśmiechem przekrzywia głowę. Odsuwam się od metalowych drzwi. Potrafię bez mrugnięcia okiem zanurkować w szybie pełnym roztopionej skały, ale niektóre sygnały ostrzegawcze można zignorować, a innych nie.

Eo wspina się na palce i cmoka mnie w czubek nosa.

– Grzeczny chłopczyk, wiedziałam, że łatwo dasz się wytresować. – Marszczy nos: zaleciał ją zapach mojego oparzenia. Nie próbuje mnie utulić ani zrugać, z ledwie uchwytną nutą zatroskania w głosie mówi tylko: – Kocham cię.

Wybiera stopione kawałki piekarnika z rany, która sięga od knykci po przegub dłoni, po czym nakłada ciasny opatrunek z antybiotykiem i neuronukleiną.

– Skąd go masz? – pytam.

– Ja ci nie prawie kazań, ty nie pytasz, co jest grane.

Całuję ją w nos i skubię plecionkę z włosów, którą nosi na serdecznym palcu. Moje włosy przemieszane ze skrawkami jedwabiu: oto jej obrączka ślubna.

– Dziś wieczorem mam dla ciebie niespodziankę – oznajmia.

– A ja dla ciebie – odpowiadam, mając na myśli Wawrzyn.

Nakładam jej swoją opaskę na głowę jak koronę. Krzywi się, opaska jest wilgotna.

– Prawdę mówiąc – odzywa się – mam dla ciebie dwie niespodzianki, Darrow. Szkoda, że nie wiedziałeś wcześniej, mógłbyś mi przynieść kostkę cukru, satynowe prześcieradło albo... może nawet kawę oprócz tego pierwszego prezentu?

– Kawę! – Śmieję się. – Nie pomieszało ci się coś? Za jaki Kolor wyszłaś za mąż?

– Z nurka nie ma żadnego pożytku. – Wzdycha ciężko. – Żadnego. Szurnięty, uparty, porywczy...

– Zręczny? – podpowiadam z figlarnym uśmiechem i wsuwam dłoń z boku pod jej spódnicę.

– To rzeczywiście może być zaleta. – Uśmiecha się i strąca moją rękę jak pajaka. – Założ rękawiczki, jeśli nie chcesz słuchać babskiego wyrzekania. Twoja matka już wyszła.

Wawrzyn

Trzymając się za ręce, idziemy wśród innych mieszkańców naszego miasteczka tunelami prowadzącymi na Błonia. Monotonny głos Luny płynie z góry, z wysoka, nadzwyczaj stosownie w wypadku Złotogłowych (Aureusów, wedle oficjalnego nazewnictwa). W hP pokazują makabryczne zdjęcia z zamachu terrorystycznego: bomba zabiła Czerwoną ekipę górniczą i zespół Pomarańczowych techników. Oskarża się Synów Aresa. Na ekranie płonie ich dziwaczny symbol, okrutny hełm ze słoneczną koroną kolców na szczycie. Kolce ociekają krwią. Obrazy okaleczonych dzieci. Synów Aresa potępia się i nazywa dzikimi mordercami i siewcami chaosu. Szarzy policjanci i żołnierze uprzątają gruz. Obsydianowi żołnierze – jest ich dwoje, mężczyzna i kobieta, prawdziwi olbrzymi, niemal dwa razy więksi ode mnie – do spółki ze zwinnymi Żółtymi medykami wnoszą rannych.

W Lykos nie ma Synów Aresa, nie dotyka nas ich daremna wojna, a mimo to po raz kolejny ogłasza się nagrodę za udzielenie informacji o Aresie, królu terrorystów. Słyszeliśmy to wezwanie tysiąc razy i wciąż brzmi ono nierzeczywiście. Synowie Aresa uważają, że jesteśmy źle traktowani, dlatego przeprowadzają zamachy bombowe. To bezsensowny gniew. Wszelkie dokonane przez nich zniszczenia opóźniają przygotowanie Marsa dla innych Kolorów. Szkodzą ludzkości.

W tunelach chłopaki rywalizują o to, który doskoczy do sufitu, a radosny tłum z miasteczka płynie naprzód, na tańce. Śpiewamy przy tym pieśń na Święto Wawrzynu, porywającą historię mężczyzny, który znajduje

swoją oblubienicę na polu złota. Salwy śmiechu kwitują poczynania najmłodszych chłopców, którzy próbują biegać po ścianach albo kręcić serie salt, by ostatecznie wylądować na tyłku albo zostać pokonanym przez dziewczynę.

Długi korytarz jest oświetlony sznurem świateł. W oddali podpity stryj Narol – stary, bo już trzydziestopięcioletni – gra na cytrze ku uciechu dzieciaków, które tańczą i płaczą mu się pod nogami. Nawet on nie może wiecznie chodzić nachmurzony. Instrument ma zawieszony na pasach przechodzących przez ramiona i oparty poziomo na biodrach, tak że plastikowa płyta rezonansowa i liczne naprężone metalowe struny są zwrócone ku górze. Prawym kciukiem brzdąka po wszystkich strunach melodycznych, z rzadka tylko wybiera i szarpie palcem wskazującym jedną z nich, jednocześnie lewą dłonią trąca pojedyncze struny basowe. Wydobyć z cytry melodii, która nie byłaby rozpaczliwie żałobna, jest niezwykle trudne, ale palce stryja Narola radzą sobie z tym doskonale. Spod moich zawsze płyną tragiczne tony.

Dawniej przygrywał mi i uczył tańców, których ojciec nie zdążył mi pokazać. Nauczył mnie nawet tańca zakazanego, tego, za który grozi śmierć. Spotykaliśmy się w starej kopalni. Okładał mnie trzcinką po kostkach tak długo, aż z udającym miecz metalowym prętem w ręce nauczyłem się bezbłędnie kręcić piruety. Wtedy całował mnie w czoło i mówił, że jestem nieodrodnym synem swojego ojca. To on nauczył mnie ruchów, które później, gdy w tunelach bawiłem się z innymi dzieciakami w berka i chowanego, pozwalały mi wychodzić z tych zmagania zwycięsko.

– Złoci tańczą w parach. Obsydianowi trójkami, a Szarzy tuzinami – tłumaczył mi. – My tańczymy pojedynczo, bo piekłonurek pracuje sam i tylko w pojedynkę chłopiec może stać się mężczyzną.

Tęsknię za tamtymi czasami, kiedy byłem dostatecznie młody, żeby nie mieć mu za złe oddechu cuchnącego gorzałą. Miałem jedenaście lat – to było zaledwie pięć lat temu, a mam wrażenie, jakby działo się w innym życiu.

Lambdy poklepują mnie po plecach, nawet Varlo, piekarz, pozdrawia mnie uniesieniem brwi i rzuca Eo bochenek chleba. Na pewno słyszeli o Wawrzynie. Eo chowa chleb na później i spogląda na mnie pytająco.

– Cieszysz się jak głupi. – Szczypie mnie w bok. – Co zmalowałeś?

Wzruszam ramionami i próbuję zetrzeć uśmiech z twarzy. Bezskutecznie.

– Widzę, że jesteś z czegoś ogromnie dumny – nie ustępuje Eo.

Obok nas drepczą syn i córka Kierana: trzyletnie bliźnięta mają dość krzepy w nóżkach, żeby wyprzedzić żonę Kierana i moją matkę.

Matka uśmiecha się jak kobieta, która widziała, co świat ma jej do zaoferowania, i jest – w najlepszym wypadku – zdeprymowana.

– Poparzyłeś się, kochanie – mówi na widok moich rękawiczek. Ironicznie cedzi słowa.

– Zrobił mu się pęcherz – potwierdza Eo. – Paskudny.

Matka wzrusza ramionami.

– Jego ojciec wracał do domu w gorszym stanie.

Obejmuję ją ramieniem. Schudła od czasu, kiedy uczyła mnie – tak jak wszystkie matki uczą swoich synów – pieśni naszego ludu.

– Czyżbym słyszał w twoim głosie nutę zatroskania? – pytam.

– Zatroskanie? U mnie? Niemądry z ciebie dzieciak.

Wzdycha i uśmiecha się lekko. Cmokam ją w policzek.

Zanim docieramy na Błonia, połowa klanów jest już wstawiona. Kochamy nie tylko taniec, ale także gorzałę. Blaszkaki nie robią nam z tego powodu kłopotów. Powieś człowieka bez powodu, a miasteczka co najwyżej trochę pogderają. Ale spróbuj nas przymusić do trzeźwości, to będziesz miał sprzątaną na cały parszywy miesiąc. Eo uważa, że grendel – grzyb, który destylujemy – nie jest rośliną marsjańską, tylko został tu sprowadzony specjalnie po to, żeby nas zniewolić. Wraca do tego tematu za każdym razem, gdy moja matka wypuszcza nową partię gorzały – na co matka wychyla kieliszek i odpowiada:

– Wolę, żeby rządził mną trunek niż facet. To słodsze więzy.

A będą smakować jeszcze słodziej po doprawieniu syropami, które znajdziemy w Wawrzynowych skrzynkach, specjalnie aromatyzowanymi do alkoholu: o smaku jagody i czegoś, co się nazywa cynamon. Może nawet dostanę nową cytrę, tym razem z drewna, nie z metalu. Czasem dają nowe cytry. Moja jest już stara i sfatygowana, zbyt długo na niej gram. Należała do mojego ojca.

Dobiegająca z Błoni muzyka przybiera na sile: rubaszne dźwięki zaimprovizowanej perkusji i lament cytr. Mieszmamy się z Omegami i Epsilonami i wesołym, rozkołysanym tłumem zmierzamy w stronę tawern. Przez ich pootwierane na oścież drzwi dym i zgiełk rozplývają się po całym placu. Stoliki rozstawiono na jego obrzeżach, zostawiając dużo pustej przestrzeni do tańca wokół umieszczonej centralnie szubienicy.

Wyższe kondygnacje zajmują domy klanu Gamma, dalej są magazyny, a na samej górze, wsparta na litej skale, wznosi się wpuszczona w grunt metalowa kopuła z iluminatorami z nanoSzkła. To Garniec, twierdza, w której mieszkają i śpią nasi nadzorcy. Powyżej rozpościera się niezdatna do zamieszkania powierzchnia naszej planety, jałowe pustkowia, które widziałem tylko w hP. Wydobywany przez nas hel-3 ma to zmienić.

Tancerze, żonglerzy i śpiewacy już rozpoczęli świętowanie. Eo dostrzega Lorana i Kierana i wita ich głośnym okrzykiem. Siedzą w tłumie przy długim stole nieopodal „Mokrego Stryczka”, tawerny, w której patriarcha naszego klanu, Stary Pazur, zazwyczaj bryluje i raczy pijaczków swoimi opowieściami. Dzisiaj niestety przysnął na stole. Szkoda. Nie zobaczy, jak dzięki mnie wreszcie zdobywamy Wawrzyn.

Na naszych uroczystościach rzadko bywa dość jedzenia, żeby wszyscy mieli co do gęby włożyć, dlatego picie i taniec wysuwają się na pierwszy plan. Loran polewa mi gorzały, zanim jeszcze zdążę usiąść; zawsze stara się spoić kompanów, żeby potem wiązać im we włosach pocieszne wstążeczki. Robi miejsce Eo, która siada obok jego żony, Dio. To siostry, są do siebie podobne jak dwie krople wody: bliźniaczki nie z urodzenia, ale z wyglądu na pewno.

Loran kocha Eo tak samo jak jej brat, Liam, ale wiem, że w przeszłości był nią zauroczony nie mniej niż Dio. Ba, kiedy skończyła czternaście lat, klęknął przed moją żoną. Z drugiej strony – to samo zrobił wtedy chyba co drugi chłopak. Zwykła rzecz. A Eo dokonała jednoznacznego wyboru.

Dzieci Kierana tłoczą się wokół niego, żona całuje go w usta. Eo muska go wargami w czoło i mierzwi mu rude włosy. Nie mam pojęcia, jak nasze żony to robią, że po całym dniu spędzonym w Pajęczarni na pozyskiwaniu jedwabiu larwopajaków wyglądają tak ślicznie. Ja się urodziłem przystojny, mam szczupłe ciało i wyraziste rysy, ale kopalnia mnie zmieniła. Jestem wysoki, a będę jeszcze wyższy. Włosy wciąż mam koloru starej krwi, a tęczęwki równie rdzawe, jak Octavia au Lune złote. Moja skóra, blada i jędrna, jest upstrzona bliznami po oparzeniach i rozcięciach. Wkrótce będę się wydawał tak samo twardy jak Dago – albo tak samo zmęczony jak stryj Narol.

Ale kobiety? Przerastają nas. A już na pewno mnie. Urocze i żwawe mimo harówki w Pajęczarni i rodzenia dzieci. Mają falbaniaste spódnice za kolano i bluzki w półtuzinie odcieni czerwonego. Nigdy nie noszą innych kolorów. Tylko czerwony. Są sercem każdego klanu. O ileż piękniej będą

wyglądały z importowanymi kokardami, wstążkami i koronkami z Wawrzynowych pudeł.

Pieczęcie Czerwonych na moich dłoniach – topornie nakreślone cieniowane koło ze strzałką – mają kościaną fakturę. W dotyku są dokładnie takie jak należy. Ale te na dłoniach Eo już nie: może i ma nasze włosy i oczy, ale równie dobrze mogłaby być jedną ze Złotogłowych, jakich oglądamy w holoPuszcze. Zasługuje na to.

Wymierza solidne plaśnięcie w głowę Loranowi, który wychyla kubek maminej gorzały. Na Boga, muszę przyznać, że perfekcyjnie ją usadowił. Uśmiecham się, ale kiedy przenoszę wzrok dalej, za jej plecy, mój uśmiech blednie. Ponad wyskakującymi w powietrze tancerzami, kłębowiskiem wirujących spódnic, dudniących butów i klaszczących dłoni na wysokiej, zimnej szubienicy kołysze się samotny szkielet. Inni nie zwracają na niego uwagi. Dla mnie to cień, który stale przypomina mi o losie ojca.

Ryjemy w ziemi, ale nie wolno nam grzebać naszych zmarłych. To kolejne z praw obowiązujących we Wspólnocie. Mój ojciec kołysał się tak przez dwa miesiące, zanim odcięli szkielet i przemielili kości na proch. Miałem wtedy sześć lat, ale już pierwszego dnia chciałem go ściągnąć. Stryj mnie powstrzymał. Wtedy go znienawidziłem, bo odgrodził mnie od ciała ojca. Później znienawidziłem go ponownie, kiedy odkryłem, że jest słaby. Ojciec zginął za jakąś sprawę, podczas gdy stryj Narol chlał i trwoniał swoje życie.

– To wariat – powiedział kiedyś o nim ojciec. – Przekonasz się jeszcze. Jest szalony, genialny, szlachetny. To najlepszy z moich braci.

Dziś Narol jest już tylko tym ostatnim.

Nigdy bym nie pomyślał, że ojciec odtańczy Taniec Diabła, bo tak starsi ludzie nazywają śmierć przez powieszenie. Był człowiekiem słowa i pokoju, ale marzyła mu się wolność i nasze własne prawa. Marzenia były jego bronią, Rebelia Tancerza stała się jego spuścizną – i zginęła na szubienicy razem z nim. Dziewięciu ludzi jednocześnie zatańczyło Taniec Diabła, wierzgali i młócili ramionami, aż tylko on jeden został.

Nie było to zresztą żaden wielki bunt. Wydawało im się, że pokojowe protesty przekonają Wspólnotę do zwiększenia racji żywnościowych. Dlatego odtańczyli Taniec Żniwiarza przed graWindami i wymontowali części ze świdroSzponów, żeby te nie mogły pracować. Ich zamysł się nie powiódł. Tylko zdobycie Wawrzynu daje więcej jedzenia.

O jedenastej stryj siada wreszcie ze swoją cytrą. Mierzy mnie złowrogim spojrzeniem, nawalony jak skończony dureń w święto przesilenia zimowego. Nie rozmawiamy, chociaż ma jakieś dobre słowo dla Eo, a ona dla niego. Wszyscy kochają Eo.

Jej matka podchodzi, całuje mnie z tyłu w czubek głowy i głośno mówi:

– Słyszeliśmy nowinę, złoty chłopcze. Wawrzyn! Jesteś prawdziwym synem swojego ojca!

Dopiero wtedy Narol porusza się niespokojnie.

– O co chodzi, stryju? – pytam. – Masz gazy?

– Ty gówniarzu!

Z rozdętymi nozdrzami rzuca się ku mnie ponad stołem i po chwili przewalamy się po ziemi w kłębowisku pięści i łokci. Jest wysoki, ale powalam go i raz po raz tłukę poparzoną ręką po nosie, aż Kieran i ojciec Eo muszą mnie odciągnąć. Pluje na mnie – głównie krwią i gorzałą – a potem siadamy na przeciwnych krańcach stołu i pijemy dalej. Moja matka tylko przewraca oczami.

– Jest rozgoryczony, że nie zrobił nic, ani jednej parszywej rzeczy, żebyśmy zdobyli Wawrzyn – usprawiedliwia ojca Loran. – Po prostu chciał się pokazać i tyle.

– Parszywy tchórz nie wiedziałby, jak zdobyć Wawrzyn, choćby ten sam spadł mu na kolana – odpowiadam, marszcząc gniewnie brwi.

Ojciec Eo poklepuje mnie po głowie. Widząc, jak moja żona poprawia mi opatrunek na poparzonej dłoni, mruga do mnie porozumiewawczo. Naciągam z powrotem rękawiczki.

Eo domyśla się sprawy z Wawrzynem jeszcze przed przybyciem Blaszków, ale nie jest aż tak podekscytowana, jak mógłbym się spodziewać. Międlą spódnice w dłoniach i uśmiecha się do mnie, ale to wysiłony uśmiech. Nie rozumiem, czego się boi. Inne klany nie dzielą jej obaw, wielu ludzi przychodzi z gratulacjami, w tym wszyscy piekłonurkowie – wszyscy oprócz Dago, który siedzi z Gammami przy jednym z ich lśniących stolików (jedynych, na których jest więcej żarcia niż gorzały) i spala szluga.

– Nie mogę się doczekać, kiedy sukinkot będzie musiał się zadowolić zwykłymi racjami żywnościowymi. – Loran prycha śmiechem. – Nigdy przedtem nie jadł chłopskiego żarcia.

– A mimo to jakimś cudem jest chudszy od kobiety – zauważa Kieran.

Śmieję się wraz z Loranem i podsuwam Eo skromny kąsek chleba.

– Rozchmurz się – mówię jej. – Dzisiaj świętujemy.

– Nie jestem głodna.

– Nawet jeśli chleb będzie z cynamonem?

A niedługo będzie.

Znów posyła mi ten niepewny uśmiech, jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem.

O dwunastej z Garnca zlatuje ku nam oddział Blaszaków w grawiButach. Jego trzon stanowią młodziaki oraz starcy, którzy po ziemskich wojnach odeszli z regularnej armii. Noszą sfatygowane, brudne pancerze, ale nie to jest najważniejsze: w kaburach mają gromniki i miotacze. Nigdy nie widziałem, żeby użyli jednych albo drugich, nie muszą tego robić: mają powietrze, jedzenie, dostęp do portu. A my nie mamy nawet jednego miotacza. Eo chętnie by im taki podkraśla.

Widzę, jak zaciska szczęki na widok Blaszaków, do których dołączył właśnie zarządca kopalni, Timony cu Podginus, drobny mężczyzna wywodzący się z Miedziaków (Miedzianych wedle oficjalnego nazewnictwa), o stosownie miedzianych włosach.

– Uwaga, uwaga, brudni Rdzawi! – woła Dan Paskuda.

Zapada cisza. Unoszą się nam nad głowami; grawiButy zarządcy Podginusa są marnej jakości, więc chwieje się w powietrzu jak tetryk. Kolejne Blaszaki zjeżdżają do nas graWindą.

Podginus rozkłada drobne wypiełgnowane dłonie.

– Bracia pionierzy, cudownie być świadkiem waszego świętowania – ćwierka. – Muszę przyznać, że mam słabość do sielankowego charakteru rzeczy, które dają wam szczęście. Proste napitki. Proste jedzenie. Prosty taniec. Ach, jak piękne musicie mieć dusze, żeby zadowalać się takimi rozrywkami! Zazdroszczę wam, naprawdę. Ja nie potrafię zaznać przyjemności nawet w pozaplanetarnym burdelu Różowych, i to po zjedzeniu przepysznej tarty z szynką i ananasem! Napawa mnie to wielkim smutkiem. Wasze dusze są naprawdę rozpieszczane. Chciałbym być taki jak wy, ale Koloru nie zmienię i jako Miedziany skazany jestem na mozół liczb, biurokracji i zarządzania. – Cmoka i lekko przestawia nogi. Jego miedziane pukle podrygują odrobinę. – Do rzeczy jednak. Wszyscy z wyjątkiem klanów Mi i Chi wypełnili swoje Normy. W związku z tym w bieżącym miesiącu Mi i Chi nie otrzymają mięsa, mleka, przypraw, środków higienicznych, udogodnień ani pomocy dentystycznej. Tylko owies i środki niezbędne do przetrwania. Musicie zrozumieć, że zasoby

dostarczane przez statki przybywające z orbity okołoziemskiej są ograniczone. Bezcenne! Dlatego przydzielamy je tym, którzy się wykazują. Może w następnym kwartale nie będziecie się tak ociągać z pracą!

Mi i Chi stracili tuzin ludzi w takim właśnie wybuchu gazu, jakiego obawiał się stryj Narol. Nie ociągali się. Zginęli.

Podginus trąkocze tak jeszcze przez jakiś czas, zanim w końcu przechodzi do sedna. Sięga po Wawrzyn i trzymając go w palcach, podnosi wyżej. Gałązka, choć tylko pomalowana złotą farbą, mieni się w świetle. Loran szturcha mnie pod żebro. Stryj Narol marszczy brwi. Ja rozsiadam się wygodnie, świadomy skupionych na mnie spojrzeń. Młodzi biorą ze mnie przykład (wszystkie dzieci podziwiają piekłonurków), ale i starsi zerkają w moją stronę. Eo zawsze mi to powtarza. Jestem ich dumą, ich złotym chłopcem. Teraz im pokażę, jak zachowuje się prawdziwy mężczyzna. Nie zamierzam triumfalnie podskakiwać. Będę się tylko uśmiechał i kiwał głową.

– Czuję się zaszczycony, że w imieniu arcygubernatora Marsa, Nero au Augustusa, mogę wręczyć tę nagrodę za wybitną wydajność, fantastyczne osiągnięcia, najwyższy hart ducha, a także posłuszeństwo, poświęcenie i...

Wawrzyn dostają Gammy. Nie my.

Prezent

Gammy odbierają ozdobione Wawrzynami skrzynie, a ja rozmyślam o tym, jak to sprytnie zostało pomyślane. Nie pozwalają nam zdobyć Wawrzynu i już. Nie obchodzi ich, że rachunek się nie zgadza, nie przejmują się głośno protestującymi młodziakami, tak jak nie przejmują się starcami, którzy jękliwie powtarzają stare, znajome truizmy. To pokaz ich siły. Demonstracja władzy. To oni decydują, kto jest zwycięzcą w tej grze, w której wszystko zależy od pochodzenia. Dzięki temu hierarchia trwa niewzruszona. Harujemy, żeby ją zmienić, ale nie mamy czasu spiskować.

A jednak mimo wielkiego rozczarowania część z nas wcale nie obwinia Wspólnoty. Za to mamy pretensje do Gamm, które dostają dary. Myślę, że człowiek ma ograniczone zasoby nienawiści i kiedy swoim dzieciom może policzyć zębra pod koszulą, podczas gdy sąsiedzi napychają sobie brzuchy mięsem i słodkościami, trudno mu nienawidzić kogoś innego niż oni. Można by się spodziewać, że Gammy się z nami podzielą. Nic z tego.

Stryj patrzy na mnie i wzrusza ramionami. Inni są wściekli, czerwoni na twarzach. Loran wygląda tak, jakby miał się rzucić do gardła Blaszakom albo Gammom. Eo nie pozwala mi się kisić w tym nastroju, nie czeka, aż knykcie moich zaciśniętych w pięści dłoni pobieleją. Zna mnie na wylot, lepiej niż moja matka, i wie, jak rozładować mój gniew, zanim ten eksploduje. Matka kocha moją żonę. Z łagodnym uśmiechem patrzy, jak Eo bierze mnie pod rękę.

– Zatańczmy – proponuje szeptem Eo.

Okrzykiem budzi do życia cytrzystów i bębniarzy. Wiem, że w duchu jest wściekła, nienawidzi Wspólnoty jeszcze bardziej niż ja – ale właśnie dlatego ją kocham.

Grana na cytrach żwawa melodia rozbrzmiewa głośniejsze, starsi wystukują rytm klaskaniem otwartych dłoni o blaty stołów, spódnice furkoczą, stopy tupią i szurają. Obejmuję Eo, a wraz z nami na całym placu klany ruszają do tańca. Pocimy się, śmiejemy i próbujemy zapomnieć o naszym gniewie. Razem dorastaliśmy i dziś jesteśmy dorośli. W jej oczach widzę swoje serce. W jej oddechu słyszę swoją duszę. Jest moją ojczyzną. Moją rodziną. Moją miłością.

Roześmiana, odciąga mnie na bok. Klucząc w tłumie, przemykamy do miejsca, w którym będziemy sami, ale Eo się nie zatrzymuje. Prowadzi mnie po metalowych chodnikach pod niskimi, ciemnymi stropami do Pajęczarni, gdzie pracują kobiety. Trwa przerwa między dwiema zmianami.

– Dokąd właściwie idziemy? – pytam.

– Obiecałam ci prezenty, pamiętasz? A jeśli zaczniesz przeproszać, że twój prezent nie wypalił, obiję ci głowę.

Dostrzegam kielkujący ze szczeliny w ścianie krwistoczerwony hemantus. Zrywam go i daję Eo.

– Mój prezent – wyjaśniam. – Naprawdę zamierzałem cię zaskoczyć.

– Jak chcesz. – Chichocze. – Wewnętrzna połówka jest moja, zewnętrzna twoja. Nie! Nie ciągnij, twoją też zatrzymam.

Wącham kwiat w jej dłoni. Pachnie rdzą i chudą potrawką matki.

W Pajęczarni larwopajaki – grube jak moje udo, okryte brązowo-czarną sierścią i poruszające się na długich, chudych nogach – przędą jedwabne nici. Czołgają się po dźwigarach. Ich cienkie odnóża zupełnie nie pasują do krępych korpusów.

Eo zabiera mnie na najwyższą kondygnację. Stare metalowe belki konstrukcyjne są gęsto oplecione jedwabiem. Przechodzi mnie dreszcz, gdy patrzę na otaczające nas zewsząd stwory: zmije jaskiniowe rozumiem, larwopajaków już nie. Są dziełem Rzeźbiarzy ze Wspólnoty. Eo ze śmiechem prowadzi mnie pod ścianę, gdzie odgarnia na bok grubą zasłonę pajęczyny i odsłania zardzewiały metalowy przewód techniczny.

– Kanał wentylacyjny – wyjaśnia. – Odsłonił się tydzień temu, po tym jak zaprawa w murze się wykruszyła. Musi być bardzo stary.

– Wychłószczą nas, Eo, jeśli nas znajdą. Nie wolno nam...

– Nie dam im zniszczyć także tego daru. – Całuje mnie w nos. – Chodź, piekłonurku. W tym tunelu nie ma żadnych rozpalonych świdrów.

W ślad za nią przemierzam długi, kręty kanał, na którego końcu przeciskamy się przez kratę do świata niehumanicznych dźwięków. W ciemnościach coś brzęczy. Eo bierze mnie za rękę: to jedyna znajoma rzecz w tym miejscu.

– Co to? – pytam, mając na myśli dobiegające zewsząd odgłosy.

– Zwierzęta – wyjaśnia Eo.

Prowadzi mnie w głąb tej dziwnej nocy. Pod stopami czuję coś miękkiego. Niepokoję się, ale daję się jej pociągnąć naprzód.

– Trawa – mówi. – Drzewa, Darrow. Drzewa. Jesteśmy w lesie.

Zapach kwiatów. A potem błyski światła wśród czerni. W ciemności trzepoczą zielonobrzuche zwierzęta. Z cienia wznoszą się ogromne insekty z opalizującymi skrzydłami. Pulsują kolorami i życiem. Zapiera mi dech w piersi. Eo śmieje się, gdy motyl przelatuje tak blisko, że mogę go dotknąć.

Wszystkie te stworzenia występują w naszych pieśniach, ale do tej pory widziałem je tylko w hP. Ich kolory są wprost niewiarygodne. Na co dzień moje oczy widzą tylko ziemię, płomienie świdrów, Czerwonych i szarość stali i betonu. HP jest dla mnie oknem, przez które oglądam kolor, ale to wszystko tutaj to zupełnie inny spektakl.

Barwy unoszących się w powietrzu zwierząt aż palą w oczy. Wzdrygam się, śmieję, wyciągam ręce i dotykam szybujących przede mną istot. Znów jestem dzieckiem. Łowię je w dłonie i spoglądam w górę, na przejrzysty sufit: nad przezroczystą bańką rozpościera się niebo.

Niebo. Kiedyś było to tylko słowo.

Nie mogę zobaczyć powierzchni Marsa, wiem już jednak, co z niej widać. Gwiazdy lśnią z łagodnym wdziękiem na połyskliwym czarnym niebie jak światła zawieszone nad naszym miasteczkiem. Eo wygląda, jakby mogła do nich dołączyć. Patrzy na mnie, jej twarz jarzy się własnym światłem. Śmieje się, kiedy osuwam się na kolana i zaciągam zapachem trawy. To dziwna woń, słodka i nostalgiczna, chociaż nie mam wspomnień związanych z trawą. Zwierzęta brzęczą w krzewach nieopodal, a ja przyciągam Eo do siebie i pierwszy raz całuję ją z otwartymi oczami. Liście drzew kołyszą się lekko w podmuchach powietrza z wentylacji. Chłonę dźwięki, zapachy i widoki, gdy kochamy się na łożu z trawy pod gwiazdzistym nieboskłonem.

– To Galaktyka Andromedy – wskazuje mi później, kiedy leżymy na plecach.

Z ciemności dobiegają zwierzęce świergoty. Niebo mnie przeraża. Kiedy zbyt natarczywie się w nie wpatruję, zapominam o grawitacji i mam wrażenie, że zaraz w nie spadnę. Ciarki przechodzą mi po plecach. Jestem mieszkańcem tuneli, szybów i ciemnych zakamarków, moim domem jest kopalnia, i częśćka mnie chce się tam schronić, uciec z tego rozległego obcego wnętrza pełnego żywych istot.

Eo odwraca się do mnie i wodzi palcami po bliznach od wrzącej pary, które niczym rzeki spływają mi po piersi. Niżej, na brzuchu, znalazłaby blizny po ukąszeniu żmii jaskiniowej.

– Mama opowiadała mi o Andromedzie. Rysowała tuszami, które dostała od tego Blasza, Bridge’a. Wiesz, że zawsze ją lubił.

Kiedy tak leżymy obok siebie i czuję, jak bierze głęboki wdech, wiem już, że coś sobie zaplanowała; że chce o czymś porozmawiać, właśnie tu i teraz. To miejsce ma jej pomóc.

– Wszyscy wiemy, że zdobyłeś Wawrzyn – mówi.

– Nie musisz mnie dopieszczać. Już się nie złościę. Zresztą to bez znaczenia. Po tym, co tu zobaczyłem, nic już nie ma znaczenia.

– Co ty wygadujesz? – pyta ostrym tonem. – Właśnie, że ma znaczenie, większe niż kiedykolwiek. Zdobyłeś Wawrzyn, a oni nie pozwolili ci go zatrzymać.

– Nieważne. To miejsce...

– To miejsce istnieje, ale nie pozwalają nam tu przychodzić! Szarzy muszą je mieć tylko dla siebie. Nie dzielą się nim.

– Dlaczego mieliby się dzielić? – dziwię się.

– Bo to my je stworzyliśmy! Należy do nas!

– Naprawdę?

Ta myśl wydaje mi się obca. Wszystko, co mam, to moja rodzina i ja sam. Reszta jest własnością Wspólnoty. To nie my wydaliśmy pieniądze, żeby przysłać pionierów na Marsa. Gdyby nie ci, którzy to zrobili, wciąż tkwilibyśmy na umierającej Ziemi razem z resztą ludzkości.

– Darrow! Jesteś aż taki Czerwony, że nie widzisz, co nam zrobili?

– Licz się ze słowami – odburkuję.

Porusza szczęką bez słowa.

– Przepraszam, po prostu... Jesteśmy skuci łańcuchami. Nie jesteśmy kolonistami. To znaczy owszem, jesteśmy, ale precyzyjniej byłoby nazwać

nas niewolnikami. Musimy żebrać o jedzenie. Żebrać o Wawrzyn jak psy żebrzące o okruchy z pańskiego stołu.

– Może ty jesteś niewolnicą – odpowiadam ostro – ale ja na pewno nie. Ja nie żebrzę, tylko zarabiam. Jestem piekłonurkiem. Urodziłem się po to, żeby z poświęceniem przygotować Marsa na przybycie człowieka. Jest szlachetność w posłuszeństwie...

Eo gwałtownym ruchem rozkłada ręce.

– Zachowujesz się jak gadająca lalka! Tylko powtarzasz ich parszywe kwestie. Twój ojciec miał rację. Nie był ideałem, ale miał rację. – Chwyta kępkę darni i wyrywa ją z ziemi. Osobliwie świętokradczy gest. – Mamy prawo do tej ziemi, Darrow. Zrosiliśmy ją naszym potem i krwią, a mimo to należy do Żółtych. Do Wspólnoty. Od jak dawna tak jest? Pionierzy pracują w kopalniach i umierają od ilu, stu lat? Stu pięćdziesięciu? Ich rozkazy, nasza krew. Przygotowujemy tę krainę dla Kolorów, które nie muszą się dla nas pocić, bo zamiast tego siedzą wygodnie na swoich tronach na dalekiej Ziemi; dla Kolorów, które nigdy nie były na Marsie. Czy dla czegoś takiego warto żyć? Powtórzę: twój ojciec miał rację.

Kręczę głową.

– Eo, mój ojciec miał rację i dlatego nie dożył nawet dwudziestu pięciu lat.

– Był słaby – mruczy półgłosem.

– A co to za parszywe słowa? Co to ma znaczyć? – Krew napływa mi do twarzy.

– Że był zbyt powściągliwy! – odcina mi się. – Że śnił właściwy sen, ale zginął, bo nie chciał walczyć o jego urzeczywistnienie!

– Miał rodzinę, którą musiał się opiekować!

– Był słabszy od ciebie.

– Uważaj... – syczę.

– Mam uważać? To mówi Darrow, szalony lykoski piekłonurek? – Śmieje się protekcjonalnie. – Twój ojciec urodził się ostrożny i posłuszny, ale ty? Nie tak cię oceniałam, kiedy za ciebie wysłam. Inni mówią, że jesteś jak maszyna, bo myślą, że nie znasz strachu. Ślepcy. Nie widzą, jak strach cię pęta.

W nagłym przypływie czułości przesuwam hemantusem po moim obojczyku. Jest podatna na huśtawkę nastrojów. Kwiat ma taki sam kolor jak obrączka na jej palcu.

Obracam się do niej i podpieram na łokciu.

- Mów. Czego chcesz?
- Wiesz, dlaczego cię kocham, piekłonurku?
- Ze względu na moje poczucie humoru.

Parska oschłym śmiechem.

– Dlatego – wyjaśnia – że naprawdę myślałeś, że możesz zdobyć Wawrzyn. Kieran mi powiedział, jak to się stało, że się dziś poparzyłeś.

– Kapuś... – Wzdycham. – Stale kłapie jadaczką. Myślałem, że to młodszy bracia tak się zachowują, nie starsi.

– Był przerażony, Darrow. Ale nie bał się o ciebie, jak można by oczekiwać, tylko bał się ciebie. Nie potrafiłby zrobić tego co ty. Przez myśl by mu to nie przeszło.

Eo nigdy nie mówi wprost. Nie cierpię tych jej abstrakcji.

– Czyli kochasz mnie, ponieważ twoim zdaniem uważam, że niektóre rzeczy są warte najwyższego ryzyka, tak? Czy dlatego, że jestem ambitny?

– Dlatego, że masz mózg – drażni się ze mną.

Przez nią muszę zapytać ponownie:

– Czego ode mnie chcesz? Co mam zrobić?

– Działaj. Chcę, żebyś użył swoich talentów na rzecz urzeczywistnienia snu ojca. Widzisz, jak ludzie na ciebie patrzą. Jak wypatrują sygnałów od ciebie. Chcę, żebyś uznał, że dla tej ziemi, naszej ziemi, warto zaryzykować.

– Jak wiele?

– Wszystko. Twoje życie. Moje życie.

Prycham.

– Tak ci śpieszno, żeby się mnie pozbyć?

– Kiedy przemówisz, posłuchają cię – nie ustępuje. – To naprawdę jest aż tak proste. Wszystkie uszy tęsknią za głosem, który poprowadzi je w ciemności.

– Super. Czyli zawisnę razem z całą ekipą. Nieodrodny syn ojca.

– Nie zawiśniesz.

Śmieję się nazbyt hałaśliwie.

– Podziwiam pewność mojej żony. Zawisnę.

– Nie nadajesz się na męczennika. – Wzdycha i rozczarowana kładzie z powrotem na wznak. – Nie zrozumiałbyś sensu takiej śmierci.

– Ach tak? To wyjaśnij mi go, Eo. Powiedz, proszę, jaki sens ma śmierć? Jestem tylko synem męczennika, nikim więcej. Wyjaśnij mi więc, z łaski swojej, co takiego osiągnął ten człowiek poza pozbawieniem mnie ojca?

Powiedz, co dobrego wynika z tego bezmiaru parszywego smutku? Powiedz, dlaczego lepiej się stało, że nauczyłem się tańczyć od stryja zamiast od ojca? – Tym razem to ja nie odpuszczam. – Czy dzięki jego śmierci lepiej jadamy? Czy komukolwiek z nas lepiej się żyje? Poświęcenie dla sprawy niczego nie zmienia. A tamta parszywa śmierć tylko okradła nas z jego śmiechu. – Oczy pieką mnie od łez. – Zabrała nam ojca i męża. Co z tego, że życie nie jest sprawiedliwe? Jeżeli mamy rodzinę, nic innego nie powinno się liczyć.

Oblizuje wargi. Nie śpieszy się z odpowiedzią.

– Śmierć nie musi być pusta, wbrew temu, co mówisz. Puste jest życie bez wolności. Puste jest życie w okowach lęku przed stratą i śmiercią. Chcę, żebyśmy odrzucili te okowy. Zerwij kajdany strachu, a skruszysz łańcuchy skuwające nas ze Złotymi, ze Wspólnotą. Wyobrażasz to sobie? Mars mógłby należeć do nas, do kolonistów, którzy harowali tutaj jak woły i tutaj umierali. – Ponad przezroczystym sklepieniem noc blednie. Twarz Eo staje się coraz lepiej widoczna. – Gdybyś tylko poprowadził innych ku wolności. Pomyśl o tym, co mógłbyś zrobić, Darrow. Pomyśl o konsekwencjach. – Zawiesza głos. Oczy jej lśnią. – Przechodzi mnie dreszcz, gdy o tym myślę. Otrzymałeś w darze tak wiele, a mierzysz tak nisko.

– Powtarzasz się – wytykam jej z goryczą. – Uważasz, że warto umrzeć za swoje marzenia. Ja się z tym nie zgadzam. Ty twierdzisz, że lepiej umrzeć, stojąc; ja, że lepiej żyć na klęczkach.

– To nie jest żadne życie! – żacha się. – Jesteśmy jak maszyny, mamy mechaniczne umysły, wiemy mechaniczny żywot...

– Mam mechaniczne serce? To właśnie chciałaś powiedzieć?

– Darrow...

– A ty po co żyjesz? – pytam znienacka. – Dla mnie? Dla miłości? Dla rodziny? Czy może dla jakiegoś marzenia?

– To nie jest byle jakie marzenie. Śnię o tym, że moje dzieci urodzą się wolne; że będą mogły zostać, kim zechcą; że odziedziczą ziemię, którą ich ojciec zostawi im w spadku.

– A dla mnie ty jesteś całym życiem – odpowiadam smętnie.

Całuje mnie w policzek.

– W takim razie musisz znaleźć coś więcej, dla czego warto żyć.

Okropne milczenie zalega między nami i przeciąga się w nieskończoność. Eo nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jej słowa

rozdzierają mi serce; jak łatwo jest jej mnie dręczyć. To dlatego, że nie kocha mnie tak, jak ja kocham ją. Jej umysł szybuje zbyt wysoko, mój – słania się zbyt nisko. Czyżbym jej nie wystarczał?

– Mówiłaś, że masz dla mnie jeszcze jakiś prezent...? – przypominam, żeby zmienić temat.

– Kiedy indziej. – Kręci głową. – To pora wschodu słońca. Przynajmniej obejrzymy go razem.

Leżymy bez słowa i patrzymy, jak światło zakrada się na niebo niczym fala płynnego ognia. Czegoś takiego nie umiałbym sobie nawet wyobrazić. Nie mogę powstrzymać cisnących się do oczu łez. Cały świat jaśnieje i odsłania zielenie, brązy i żółcie drzew w ogrodzie. To jest piękno. To jest sen.

W milczeniu wracamy do ponurych, szarych tuneli. Oczy wciąż mam mokre od łez. Cudowność niedawnego widoku zaciera mi się z wolna w pamięci i znów zaczynam się zastanawiać, czego właściwie Eo ode mnie oczekuje. Mam dobyć sierpaka i wzniecić bunt? Zabiliby mnie, moją rodzinę, ją samą również. Nie zrobię niczego, co naraziłoby ją na ryzyko. Dobrze o tym wie.

Wciąż jeszcze główkuję nad tym, czym mógł być jej drugi prezent dla mnie, gdy przewodem wentylacyjnym docieramy do Pajęczarni. Pierwszy się z niego wyczołguję, odwracam się i podaję Eo rękę.

I wtedy słyszę głos: oślizły ton, silny akcent. Tak mówią ludzie z Ziemi.

– Czerwoni w naszym ogrodzie – cedzi. – Coś podobnego...

Pierwsza pieśń

Danowi Paskudzie towarzyszy trzech Blaszaków. W rękach trzymają skwierczące gromniki. Dwóch z nich opiera się o metalowe poręcze przy dźwigarach Pajęczarni. Za ich plecami kobiety z klanów Mi i Epsilon nawijają zebrany z larwopajaków jedwab na długie srebrne tyczki. Patrzą na mnie i znacząco kręcą głowami, jakby chciały mnie przestrzec przed zrobieniem czegoś głupiego. Zapusciliśmy się poza granice strefy dozwolonej. Grozi za to chłosta, ale jeśli będę się stawiał, zamienią nam chłostę na karę śmierci. Zabiją Eo i mnie.

– Darrow... – mruczy Eo.

Staję pomiędzy nią i Blaszakami, ale nie szykuję się do walki. Nie chcę, żebyśmy ginęli za to, że przez chwilę oglądaliśmy gwiazdy. Rozkładam ręce na znak, że jestem gotowy się poddać.

– Ci piekłonurkowie... – Dan Paskuda parska śmiechem. – Nawet najbardziej harda mrówka pozostanie mrówką.

Z impetem uderza mnie gromnikiem w brzuch. Wrażenie jest takie, jakbym jednocześnie dostał kopniaka i został ukąszony przez żmiję jaskiniową. Stękam, osuwam się na metalowy azur chodnika, opieram się na rękach. Elektryczność rozpełza mi się po żyłach, żółć podchodzi do gardła.

– Uderz mnie, piekłonurku – kusi Dan. Rzuca mi gromnik. – Proszę, spróbuj. Obejdzie się bez konsekwencji, ot, taka męska zabawa. Uderz mnie, świniou.

– Zrób to, Darrow! – woła Eo.

Nie jestem głupcem. Podnoszę ręce w geście kapitulacji. Rozczarowany Dan wzdycha i zapina mi na nadgarstkach magnetyczne kajdanki. Czego chciała ode mnie Eo? Klnie, kiedy ją skuwają, a potem wloką przez Pajęczarnię do aresztu. Czeka nas chłosta – i tylko chłosta, ponieważ nie wziąłem gromnika do ręki. Tylko chłosta, ponieważ nie posłuchałem mojej żony.

* * *

Dopiero trzeciego dnia w areszcie w Garncu udaje mi się zobaczyć z Eo. Bridge, jeden ze starszych i życzliwszych Blaszków, wyprowadza nas razem. Możemy się dotknąć. Zastanawiam się, czy Eo mnie opluje, czy będzie przeklinała moją bezsilność, ale ona tylko łapie mnie za palce i przysuwa usta do moich ust.

– Darrow...

Muska wargami moje ucho. Jej oddech jest ciepły, wargi spierzchnięte i drżące. Obejmuje mnie – delikatna mała dziewczynka, kłębek drutu obleczony w bladą skórę. Trzęsie się, kolana się pod nią uginają. Ciepło, które widziałem malujące się na jej twarzy, kiedy oglądaliśmy wschód słońca, zniknęło, rozmyło się jak wyblakłe wspomnienie. Niewiele jednak widzę poza jej oczami i włosami. Obejmuję ją ramionami i słyszę pomruk zebranego na Błoniach tłumu. Nasi najbliżsi i członkowie naszego klanu patrzą na nas, gdy stajemy na skraju podwyższenia z szubienicą, gdzie mają nas wychłostać. Pod ich wzrokiem, w żółtawym świetle lamp, czuję się jak dziecko.

Jak we śnie Eo mówi mi, że mnie kocha. Jej dłoń błądzi po mojej ręce, ale w jej spojrzeniu widzę coś dziwnego. Powinni ją tylko wychłostać, tymczasem w jej słowach pobrzmiwa jakaś ostateczna nuta; oczy ma smutne, choć nie zalęknione.

Ona się ze mną żegna. Koszmar zakrada mi się do serca, mam wrażenie, jakby ktoś przeciągał mi gwoździem po kręgosłupie.

– Zerwij kajdany, najdroższy – wyszeptuje mi do ucha jak epigram.

Ktoś łapie mnie za włosy i odciąga od niej. Łzy płyną jej po twarzy. Są przeznaczone dla mnie, na razie jednak nie rozumiem dlaczego. Nie mogę zebrać myśli. Świat pływa mi przed oczami. Tonę. Szorstkie ręce popychają mnie na kolana, znów podrywają na nogi. Nigdy jeszcze nie słyszałem,

żeby nad Błoniami zaległa taka cisza. Nad tłumem niesie się szuranie stóp moich prześladowców.

Blaszaki ubierają mnie w piekarnik, strój piekłonurka. Znajomy gryzący odór każe mi myśleć, że jestem bezpieczny; że panuję nad sytuacją. To nieprawda. Odciągają mnie od Eo na sam środek Błoi i rzucają na ziemię obok podwyższenia. Metalowe schody są zaplamione i pordzewiałe. Łapię się ich obiema rękami i podnoszę wzrok na szubienicę. Na podeście czeka na mnie dwudziestu czterech brygadzystów z rzemieniami w rękach.

– Ach, przyjaciele! – wykrzykuje zarządca Podginus. – Jakąż zgrozą napawają nas takie chwile! – Unosi się nade mną w powietrzu, jego miedziane grawiButy buczą głośno. – Jak dramatycznie naprężają się łączące nas więzy, gdy ktoś postanawia złamać prawo chroniące nas wszystkich. Nawet najmłodszy z nas, nawet najlepsi muszą przestrzegać prawa! Dbać o porządek! Bez nich bylibyśmy zwierzętami! Bez posłuszeństwa, bez dyscypliny nie byłoby kolonii, te nieliczne zaś, które istnieją, zostałyby rozdarte na strzępy! Człowiek byłby skazany na pozostanie na Ziemi i po kres czasów musiałby się taplać w ziemskim bajorze. Jednakże ład! Dyscyplina! Prawo! To one wzmacniają rodzaj ludzki! Niech będzie przeklęty ten, kto je narusza!

Przemawia z większą swadą niż zwykle. Próbuje komuś zaimponować swoim intelektem. Odrywam wzrok od schodów, patrzę wyżej i napotykam widok, jakiego nie spodziewałem się nigdy ujrzeć na własne oczy. To Złoty. Oczy mnie pieką, kiedy na niego patrzę i chłonę promiennosc jego włosów i Pieczęci. W ponurym otoczeniu wydaje mi się, że tak muszą wyglądać aniołowie: obleczony w złoto i czerń, otulony słońcem, z ryczącym lwem na piersi.

Twarz ma starszą, surową, przepełnioną mocą. Zaczesane do tyłu włosy lśnią. Ani uśmiech, ani niechętny grymas nie znaczą jego ust. Nie widzę żadnych zmarszczek, ma tylko pojedynczą bliznę na prawym policzku.

Nauczyłem się z hP, że takie blizny noszą wyłącznie najlepsi spośród Złotych: Niezrównani Naznaczeni, tak się nazywa absolwentów Instytutu, gdzie nauczają się sekretów, które pewnego dnia pozwolą ludzkości skolonizować wszystkie planety Układu Słonecznego.

Nie odzywa się do nas, rozmawia z innym Złotym, wysokim i tak szczupłym, że w pierwszej chwili biorę go za kobietę. Ten drugi nie ma blizny, a jego twarz jest pokryta osobliwym kremem, który maskuje zmarszczki i podkreśla barwę policzków. Jego usta błyszczą, włosy

połyskują inaczej niż u jego rozmówcy. Wygląda groteskowo, chociaż to nas uważa za groteskowych. Ze wzdargą pociąga nosem, wężąc w powietrzu. Starszy Złoty mówi do niego półgłosem. Nie do nas.

Dlaczego miałby z nami rozmawiać? Nie jesteśmy godni słuchać słów Złotego. Wolałbym na niego nie patrzeć, nie chcę swoimi czerwonymi oczami kalać jego złoto-czarnej wspaniałości. Ogarnia mnie wstyd... i wtedy dociera do mnie, dlaczego tak się dzieje.

Znam tę twarz. Zna ją każdy mężczyzna i każda kobieta w koloniach. Nie licząc Octavii au Lune, jest to najsłynniejsza twarz na Marsie: Nero au Augustus, arcygubernator planety, przybył zobaczyć moją chłostę. I to nie sam, bo towarzyszy mu orszak – za jego plecami dyskretnie unoszą się dwa Kruki (dwaj Obsydianowi, wedle oficjalnego nazewnictwa) w hełmach w swoim Kolorze. Moim przeznaczeniem jest ryć w ziemi; oni urodzili się, by zabijać. Są ode mnie ponad dwie stopy wyżsi, każda z ich masywnych dłoni jest opatrzona ośmioma palcami. Hoduje się ich do wojny. Kojarzą mi się ze żmijami, które lęgną się w naszych kopalniach. Takie same gady.

Orszak liczy jeszcze kilkunastu innych członków, wśród nich jest kolejny Złoty, mniej postawny, który wygląda na jakiegoś praktykanta. Jest jeszcze piękniejszy niż arcygubernator i chyba nie przepada za tym zniewieściałym chudzielcem. Towarzyszy im ekipa Zielonych kamerzystów hP. Są niscy i drobni, przy Złotych wydają się malutcy. Włosy mają ciemne, nie zielone – w przeciwieństwie do oczu i Pieczęci na dłoniach. Te oczy palają frenetycznym podnieceniem. Rzadko się zdarza, żeby to piekłonurek miał zostać przykładnie ukarany, dlatego szykują wielkie widowisko. Ciekawe, myślę, ile kolonii nas w tej chwili ogląda. Zapewne wszystkie, skoro jest tu arcygubernator.

Pokazowo odziera ją mnie z piekarnika, w który dopiero co pracownicy mnie odziewali. Widzę samego siebie na zawieszonym w górze ekranie hP. Widzę zawieszoną na sznurku na szyi ślubną obrączkę. Wyglądam na młodszego, niż się czuję, młodszego i szczuplejszego.

Wciągają mnie po schodach i przerzucają przez stalową skrzynię tuż obok pętli ze sznura, na której zawisł mój ojciec. Wzdrygam się pod dotykiem zimnego metalu. Zaciskam skute dłonie. Czuję zapach syntSkórzanych biczów. Jeden z brygadzystów odkasłuje.

– Niech się dzieje sprawiedliwość – dodaje Podginus. – Teraz i zawsze.

Zaczyna się chłosta. W sumie czterdzieści osiem batów. Nikt mnie nie oszczędza, nawet mój stryj. Nie wolno im. Rzemienie tną powietrze

z osobliwie żalosnym, przejmującym świstem i wgryzają mi się w ciało. Muzyka zgrozy. Pod koniec ledwie widzę na oczy. Dwa razy mdleję, a kiedy odzyskuję przytomność, zastanawiam się, czy w hP widać mój odsłonięty kręgosłup.

To jeden wielki pokaz. Demonstracja ich siły. Pozwalają Blaszkowi, Danowi Paskudzie, zgrywać współczującego, jakby naprawdę było mu mnie żal. Szepcze mi do ucha słowa otuchy – dostatecznie głośno, żeby kamery je wyłapały. Kiedy rzemień po raz ostatni tnie mi plecy, Dan wkracza, jakby miał powstrzymać następne ciosy. Podświadomość mi podpowiada, że mnie ocalił. Jestem mu wdzięczny. Chętnie bym go pocałował. Jest moim wybawieniem. Wiem jednak, że otrzymałem swoje czterdzieści osiem razy.

Odciągają mnie na bok. Moja krew zostaje. Na pewno krzyczałem. Na pewno się zhańbiłem.

Słyszę, że prowadzą moją żonę.

– Nawet młodzi i piękni nie mogą ujść sprawiedliwości. Dbamy o ład i sprawiedliwość dla dobra wszystkich Kolorów. Bez nich zapanowałaby anarchia! Bez posłuszeństwa – chaos! Człowiek wyginałby na napromieniowanych piaskach Ziemi. Piłby wodę z wyżarzonych mórz. Jedność jest najważniejsza. Niech się dzieje sprawiedliwość, teraz i zawsze.

Słowa zarządcy Podginusa brzmią pusto.

Nikomui nie przeszkadza, że pobito mnie do krwi, ale kiedy wciągają na podest Eo, słychać krzyki. Słychać przekleństw. Nadal jest piękna, nawet w tej chwili, wyzuta ze światłości, która przepełniała ją trzy dni temu. Nawet kiedy patrzy na mnie i zaczyna płakać, jest aniołem.

Wszystko to cena za naszą małą przygodę, za spędzoną z ukochanym noc pod gwiazdami. Mimo to jest spokojna. Strach jest tylko we mnie. Wyczuwam w powietrzu coś dziwnego. Eo dostaje gęsiej skórki, kiedy kładą ją brzuchem na zimnej skrzyni. Wzdryga się. Żałuję, że moja krew dostatecznie nie ogrzała metalu.

Kiedy ją chłoszczą, staram się nie patrzeć, ale odgrodzenie się od niej sprawia mi jeszcze większy ból. Spoglądam jej w oczy: lśnią jak dwa rubiny i drżą przy każdym uderzeniu bicia.

Wkrótce będzie po wszystkim, najdroższa. Wrócimy do naszego życia. Przetrwaj chłostę, a wszystko odzyskamy.

Czy jest w stanie wytrzymać tyle razy?

– Przerwijcie to – zwracam się do stojącego obok mnie Blasza. – Przerwijcie! – błagam. – Zrobię wszystko. Będę wam posłuszny. Przyjmę jej karę na siebie, tylko zakończcie to, wy parszywe łajdaki! Zakończcie to!

Arcygubernator spogląda na mnie z góry. Twarz ma złotą, idealnie gładką, obojętną. Jestem tylko zakrwawioną mrówką. Moje poświęcenie mu zaimponuje. Poruszy go, kiedy się ukorzę; kiedy z miłości rzuć się w ogień, zlituje się nad nami.

Tak mówią legendy.

– Ekscelesjencjo, pozwól mi wziąć na siebie jej karę! Proszę!

Błagam go, bo w oczach Eo dostrzegam coś, co mnie przeraża. Widzę tam wolę walki, kiedy bicz rozkrwawia jej plecy. Widzę wzbierający gniew. Jest jakiś powód, dla którego nie czuje strachu.

– Nie, nie, nie! – teraz błagam także ją. – Nie, Eo. Proszę cię, nie!

– Zakneblujcie to ścierwo! – rozkazuje Podginus. – Jego głos razi uszy arcygubernatora.

Bridge wpycha mi do ust kawał kamienia. Dławię się i płaczę.

Kiedy pada trzynaste uderzenie, a ja bełkoczę, żeby tego nie robiła, Eo po raz ostatni spogląda mi w oczy i zaczyna śpiewać. Żałośliwy dźwięk przywołuje na myśl szept wiatru w zapomnianych szybach i sztolniach. To lament, pieśń śmierci, zakazana pieśń, którą słyszałem wcześniej tylko raz.

Zabijają ją za to.

Jej głos, choć cichy i dźwięczny, nie jest nawet w połowie tak piękny jak ona sama. Niesie się ponad Błoniami i narasta jak nieziemskie wołanie syreny. Brygadziści wstrzymują bicz, nawet Blasza ze smutkiem kręcą głowami, rozpoznając słowa. Mało kto lubi patrzeć, jak płonie piękno.

Zakłopotany Podginus zerka na arcygubernatora Augustusa, który – w złotych grawibutach – zlatuje niżej, żeby spojrzeć na Eo z bliska. Włosy błyszczą mu nad szlachetnym czołem, wyraziste kości policzkowe mieniają się w świetle, złote oczy wpatrują się w moją żonę badawczo, jakby była pospolitym robalem, któremu nagle wyrosły skrzydła motyla. Blizna na jego policzku zwija się i krzywi, kiedy arcygubernator się odzywa. Jego głos wprost ocieka władzą.

– Niech śpiewa – mówi do Podginusa z nieskrywaną fascynacją.

– Ale mój panie...

– Ze wszystkich zwierząt człowiek jest jedynym, które z własnej woli rzuca się w ogień, Miedziaku. Napawaj się tym widokiem. Więcej go nie

zobaczysz. – Arcygubernator zwraca się do ekipy hP: – Nie przerywajcie. Później wytnie się fragmenty, które uznamy za niedopuszczalne.

Jakże daremna wydaje się ofiara Eo przy tych słowach.

Ona jednak nigdy nie wydawała mi się piękniejsza niż w tej chwili. Jest ogniem w obliczu zimnej władzy. To ta dziewczyna z burzą rudych loków tańczyła w zadymionej tawernie. To ona uplotła mi obrączkę ze swoich włosów. To ona postanawia umrzeć za pieśń śmierci.

*Ach, kochanie moje,
wspomnij nasze krzyki: pod niebo się wzniosły,
gdy po zimie wiatr przyniósł przecudną woń wiosny.
Burzyli się i grzmieli,
my zaś pieśni ziarno
zasialiśmy, by powstrzymać
wściekłą ich zachłanność.*

*Usłysz, jak w dolinie
żniwiarz kosi łąn, kosi łąn, kosi łąn.
Usłysz, jak w dolinie
żniwiarz śpiewa pieśń o skończonej zimie.*

*Synu, ach, mój synu,
wspomnij czas niewoli,
erę rządów złotych, kajdan i niedoli.
Burzyliśmy się, grzmieli,
by naszą dolinę
wyszarpać; by zdobyć
lepszyc snów krainę.*

Kiedy jej głos wznosi się w ostatnim takcie i wyczerpują się słowa pieśni, wiem, że ją straciłem. W tym momencie staje się czymś o wiele ważniejszym. Miała rację: nie rozumiem.

– Urocza pioseneczka. To wszystko, na co cię stać? – pyta arcygubernator.

Patrzy na Eo, ale mówi głośno, do tłumu, do wszystkich mieszkańców innych kolonii, którzy będą to oglądać. Jego orszak śmiechem kwituje broń Eo: piosenka, też coś. Garść nut rzucona w powietrze, bezradna wobec władzy jak zapalka zdana na łaskę sztormu. Arcygubernator nas zawstydza.

– Czy ktoś jeszcze chce się przyłączyć? – pyta. – Proszę bardzo, dzielni Czerwoni z... – Tu zerka na asystenta, który bezgłośnym ruchem warg podpowiada mu nazwę. – ...z Lykos, możecie zaśpiewać razem z nią, jeśli chcecie.

Z kamieniem w ustach ledwie jestem w stanie oddychać. Zgrzytam o niego trzonowcami. Łzy płyną mi po twarzy.

Tłum milczy. Nikt nie odpowiada. Widzę, jak moja matka trzęsie się ze złości. Kieran przytula żonę. Narol stoi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Loran szlocha. Wszyscy tu są – i wszyscy milczą. Wszyscy się boją.

– Przykro mi, Ekscelencjo, wygląda na to, że dziewczyna jest osamotniona w swoim fanatyzmie – oznajmia Podginus. Eo cały czas patrzy mi w oczy. – Oczywiście jest, że nikt tu nie podziela jej poglądów. Jest unikiem. Wyrzutkiem. Możemy kontynuować?

– Naturalnie – zgadza się z roztargnieniem arcygubernator. – Wkrótce mam spotkanie z Arcosami. Powieście tę rdzawą sukę, niech przestanie wyć.

Męczennica

Przez wzgląd na Eo nie reaguję. Jestem gniewem. Jestem nienawiścią. Jestem wszystkim. Wytrzymuję jednak jej spojrzenie, kiedy ją podnoszą i zakładają jej pętlę na szyję. Spoglądam na Bridge'a, który bez słowa wyjmuje mi knebel. Moje zęby już nigdy nie będą takie same. W oczach Blasza widzę łzy. Odsuwam się od niego i potykając się, przechodzę na przód, do stóp podwyższenia, i miejsca, w którym umierająca Eo będzie mnie widzieć. Dokonała wyboru. Będę przy niej do końca. Ręce mi się trzęsą. Z tłumy za moimi plecami dobiegają szlochy.

– Czas na ostatnie słowa – zapowiada Podginus. Na potrzeby hP jego głos wprost ocieka współczuciem. – Do kogo chcesz się zwrócić, zanim zostanie ci wymierzona sprawiedliwość?

Czekam, aż Eo wypowie moje imię, ale tak się nie dzieje. Cały czas patrzy mi w oczy, lecz wybiera imię siostry:

– Dio.

Słowo drży w powietrzu. Teraz już Eo się boi.

Nie reaguję, kiedy Dio wchodzi po stopniach na podest. Nie rozumiem, ale nie będę zazdrosny. Tu nie chodzi o mnie. Kocham ją, a ona podjęła decyzję. Nie rozumiem jej, ale jeżeli ma umrzeć, mam dla niej tylko miłość.

Dan Paskuda musi pomóc Dio wejść po schodach; półprzytomna dziewczyna potyka się, chwieje i nachyla ku siostrze. Nie słyszę, co sobie szepczą, ale jęk, który wyrywa się z piersi Dio, będzie mnie prześladował do końca życia. Spogląda na mnie i płacze. Co powiedziała jej moja żona? Kobiety płaczą. Mężczyźni ocierają oczy. Muszą ogłuszyć Dio, żeby ją

odciągnąć, a i tak zapłakana do końca czepia się stóp mojej żony. Arcygubernator daje znak skinieniem głowy, ale nawet jednym spojrzeniem nie zaszczyca Eo, która zostaje powieszona tak jak przed laty mój ojciec.

– Znajdź coś więcej. – Eo porusza bezgłośnie ustami i wyciąga z kieszeni kwiat hemantusa, który jej dałem. Jest zgnieciony, płaski. Eo krzyczy głośno, do wszystkich: – Zerwijcie okowy!

Zapadnia pod jej stopami otwiera się. Eo spada. Przez ułamek sekundy jej włosy trwają nieruchomo, zawieszone w powietrzu nad jej głową: plama rudości. A potem jej stopy tracą oparcie. Spada. Sznur dławi jej szczupłą szyję. Oczy wychodzą z orbit. Chciałbym móc ją przed tym ocalić, ochronić, ale świat, zimny i okrutny, nie nagina się do moich życzeń. Jestem słaby. Patrzę, jak moja żona umiera. Mój hemantus wypada jej z ręki. Kamera wszystko rejestruje. Rzucam się naprzód, żeby ucałować jej kostkę. Obejmuję ją za nogi. Nie pozwolę, żeby cierpiała.

Na Marsie ciążenie jest mizerne, trzeba wisielca szarpnąć za stopy, żeby złamać mu kark. Pozwalają to zrobić jego najbliższym.

Po chwili nie słychać żadnych dźwięków, nawet skrzypienia sznura.

Moja żona jest zbyt lekka. Była ledwie dziewczyną.

A potem zaczyna się dudnienie Gasnącego Trenu. Pięści biją o piersi. Tysiące. Szybko, jak pędzące serce. Wolniej. Jedno uderzenie na sekundę. Jedno na pięć sekund. Jedno na dziesięć. A potem nie ma już nic i żałobne masy rozpraszają się jak trzymana w dłoni garść pyłu. Stare tunele płaczą wiatrem z głębin.

Złoci odlatują.

* * *

Ojciec Eo, Loran i Kieran przez całą noc siedzą u mnie pod drzwiami. Mówią, że chcą mi dotrzymać towarzystwa, ale w rzeczywistości przyszli po to, żeby mieć mnie na oku, pilnować, żebym nie umarł. Chcę umrzeć. Matka opatruje mi rany jedwabiem wykradzionym z Pajęczarni przez moją siostrę, Leannę.

– Uważaj, żeby nie zamoczyć neuronukleiny, bo zostaną blizny.

Czym są blizny? Jakże niewiele znaczą... Eo ich nie zobaczy, więc dlaczego miałbym się nimi przejąć? Nie powiedzie dłonią po moich plecach. Nie ucałuje moich ran.

Odeszła.

Leżę w łóżku na wznak, żeby czuć ból i zapomnieć o żonie. Ale nie potrafię zapomnieć. Ona nadal tam wisi. Rankiem przejdę obok niej w drodze do kopalni. Niedługo zacznie śmierdzieć, potem gnić. Moja piękna żona świeciła zbyt jasno, żeby długo pożyć. Wciąż czuję, jak jej kark trzaska pod moim naporem. W nocy trzęsą mi się ręce.

Dawno temu, jeszcze w dzieciństwie, wydrążyłem w sypialni ukryty tunel, żebym mógł wymykać się niepostrzeżenie z domu. Korzystam z niego teraz, wychodzę tajemną ścieżką i ukradkiem schodzę po skale, niewidoczny w półmroku.

W miasteczku byłoby całkiem cicho, gdyby nie hP, w której moja żona umiera z dodanym podkładem muzycznym. Zamierzali pokazać daremność nieposłuszeństwa – i to im się udało, ale w tym nagraniu jest coś więcej. Pod obrazy mojej chłosty, a potem chłosty Eo podłożyli tę jej pieśń. Kiedy Eo umiera, puszczają ją jeszcze raz, przez co uzyskali zgoła niewłaściwy efekt. Nawet gdyby nie była moją żoną, widziałbym w niej męczennicę, młodą dziewczynę, której śliczna pieśń zostaje uciszona sznurem w rękach okrutnych mężczyzn.

Na chwilę hP czernieje. Nigdy przedtem się tak nie zachowywała. Potem na ekran wraca Octavia au Lune ze swoją starą śpiewką, ale wtedy nagle przesłania ją obraz mojej żony, jakby ktoś włamał się na łącza, zhakował transmisję.

– Zerwijcie kajdany! – krzyczy Eo.

Znika. Ekran ponownie staje się czarny, przez chwilę słychać trzaski, po czym obraz wraca. Eo znów krzyczy, hP znów czernieje. Włącza się standardowy przekaz, następuje cięcie, Eo krzyczy po raz ostatni, a potem ja obejmuję ją za nogi i ciągnę w dół. Ekran szarzeje od zakłóceń.

Pustymi ulicami kieruję się na Błonia. Niedługo będzie wracać nocna zmiana.

Słyszę jakiś dźwięk i na ulicę przede mną wychodzi mężczyzna: z półmroku łypie na mnie twarz stryja. Samotna żarówka nad jego głową oświetla butelkę w dłoni i obszarpaną czerwoną koszulę.

– Jesteś nieodrodnym synem swojego ojca, mały draniu. Głupim i próżnym.

Pięści mi się zaciskają.

– Przyszedłeś mnie powstrzymać, stryju?

Odchrząkuje.

– Nie zdołałem powstrzymać twojego ojca przed zabiciem się, a był lepszym człowiekiem od ciebie. Miał w sobie więcej umiaru.

Robię krok do przodu.

– Nie potrzebuję twojego przyzwolenia.

– To prawda, parszywcu, nie potrzebujesz. – Przeczesuje włosy palcami.

– Ale nie rób tego, co zamierzasz. Twoja matka się załamie. Myślisz może, że nie wie, że wymknąłeś się z domu. Otóż wie. Powiedziała mi. I powiedziała, że chcesz zginąć jak mój brat. I jak twoja dziewczyna.

– Gdyby matka wiedziała, powstrzymałaby mnie.

– Gdzie tam... Pozwala mężczyznom popełniać błędy na własny rachunek. Ale twoja dziewczyna by tego nie chciała.

Wymierzam w niego wyprostowany palec wskazujący.

– Ty nic nie wiesz. Nie masz pojęcia, czego chciała.

Eo powiedziała, że nie zrozumiałbym, co to znaczy być męczennikiem. Udowodnię jej, że jednak rozumiem.

– Wporzo. – Wzrusza ramionami. – W takim razie przejdę się z tobą, skoro masz kamienie we łbie. – Parska śmiechem. – My, Lambdy, uwielbiamy stryczek.

Rzuca mi swoją butelkę. Ostrożnie ruszam za nim.

– A wiesz, że próbowałem wybić twojemu ojcu z głowy ten jego mały sprzeciw? Tłumaczyłem mu, że słowa i taniec znaczą tyle co kurz. Próbowałem się z nim bić, ale schrzaniłem to okrutnie. Ogłuszył mnie jednym ciosem. – W zwolnionym tempie wyprowadza uderzenie prawą ręką. – Przychodzi taka chwila, kiedy widzisz, że ktoś się przy czymś uparł i tylko byś go obraził, gdybyś próbował mu się przeciwstawić.

Pociągam łyk i oddaję butelkę. Gorzała ma dziwny smak, wydaje się gęstsza niż zwykle. Stryj przekonuje mnie, żebym wypił do końca.

– Nie zmienisz zdania? – pyta, stukając się w głowę. – Nie, jasne, że nie. Zapomniałem już, jak uczyłem cię tańczyć.

– „Uparty jak żmija jaskiniowa”. Nie tak o mnie powiedziałeś? – pytam półgłosem i uśmiecham się lekko.

Przez jakiś czas idziemy w milczeniu. Stryj kładzie mi dłoń na ramieniu. Szloch próbuje mi się wyrwać z piersi. Przelykam go.

– Zostawiła mnie – szepczę. – Po prostu mnie zostawiła.

– Musiała mieć powód. To nie była głupia dziewczyna.

Płaczę, kiedy wkraczamy na Błonia. Stryj obejmuje mnie jednym ramieniem i całuje w czubek głowy. Niczego więcej nie może mi

zaoferować. Nie umie okazywać czułości. Twarz ma upiornie białą: trzydzieści pięć lat, a jaki jest stary. Jaki zmęczony. Blizna wykrzywia mu górną wargę, siwizna znaczy gęste włosy.

– Pozdrów ode mnie mieszkańców Doliny – mówi mi do ucha. Jego broda drapie mnie w szyję. – Zwłaszcza Dancera. Wypij z moim bratem, ucałuj moją żonę.

– Dancera?

– Rozpoznasz go. A jeśli spotkasz dziadka i babkę, powiedz im, że wciąż dla nich tańczymy i że już wkrótce nie będą samotni. – Zaczyna się oddalać, ale jeszcze przystaje i dodaje, nie odwracając się do mnie: – Zerwij kajdany. Słyszysz?

– Słyszę.

Zostawia mnie na Błoniach sam na sam z moją powieszoną żoną. Wiem, że kamery holoPuszek śledzą mnie, kiedy wchodzę na podest. Schody są metalowe, więc nie skrzypią. Wisi jak lalka. Twarz ma kredowobiałą, jej włosy poruszają się lekko w rytm chroboczących nad nami wentylatorów.

Po przecięciu sznura wyniesionym z kopalni sierpakiem chwytam wystrzępiony koniec i delikatnie opuszczam Eo. Biorę ją w ramiona i razem udajemy się krętą drogą z placu do Pajęczarni, gdzie nocna zmiana jeszcze trwa. Kobiety patrzą w milczeniu, jak przenoszę żonę do wylotu tunelu wentylacyjnego. Spotykam Leannę, moją siostrę: wysoka i milcząca jak nasza matka, śledzi mnie hardym spojrzeniem, ale nic nie robi. Żadna z kobiet nie reaguje. Nie będą plotkowały o pogrzebie mojej żony. Nikomu nie pisną słówka, nawet w zamian za czekoladę, którą dostają szpiedzy. Przez trzy pokolenia pochowaliśmy zaledwie pięć dusz – potem zawsze ktoś trafia za to na stryczek.

Oto najwyższy akt miłości. Nieme requiem za Eo.

Kobiety zaczynają płakać. Kiedy je mijam, dotykają twarzy Eo i mojej, a potem pomagają mi otworzyć tunel. Wciągają moją żonę przez wąską metalową rurę, zabieram tam, gdzie kochaliśmy się pod gwiazdami i gdzie zdradziła mi swoje plany, a ja nie słuchałem. Trzymam jej martwe ciało i mam nadzieję, że jej dusza widzi mnie w miejscu, w którym byliśmy szczęśliwi.

Wykopuję dół u stóp drzewa. Moje dłonie, umazane ziemią naszej krainy, są rude jak włosy Eo, kiedy biorę ją za rękę i całuję jej ślubną obrączkę. Zewnętrzzną część kwiatu hemantusa kładę jej na sercu, wewnętrzną zabieram i przyciskam do własnego serca. Całuję ją w usta

i grzebię. Zanim jednak uda mi się skończyć, wstrząsa mną szloch. Odgarniam ziemię, jeszcze raz całuję żonę i tulę się do niej tak długo, aż nad przezroczystą bańką sklepienia widzę wschodzące czerwone słońce. Kolory lasu parzą mnie w oczy. Nie potrafię powstrzymać się od płaczu. Kiedy w końcu się odsuwam, widzę wystającą z kieszeni Eo przepaskę na głowę. Zrobiła ją specjalnie dla mnie, żeby zbierała zalewający mi oczy pot. Teraz wycieram w nią łzy i zabieram ją ze sobą.

* * *

Kiedy wracam, Kieran uderza mnie w twarz. Loranowi brakuje słów. Ojciec Eo opiera się ciężko o ścianę. Myślę, że mnie zawiedli. Słyszę płacz matki Eo. Moja matka bez słowa przygotowuje mi posiłek. Źle się czuję, mam kłopoty z oddychaniem. Leanna wraca późno, pomaga matce, a potem, kiedy jem, całuje mnie w czoło i na chwilę nieruchomieje, zaciągając się zapachem moich włosów. Do przenoszenia jedzenia z talerza do ust musi mi wystarczyć jedna ręka, drugą moja matka ściska w stwardniałych od odcisków dłoniach. Patrzy na nią zamiast na mnie, jakby wspominała czasy, gdy ręka była mała i miękka, i nie może się nadziwić, że tak się zmieniła.

Właśnie kończę jeść, gdy przychodzi Dan Paskuda. Matka nie wstaje od stołu, kiedy mnie zabierają; wpatruje się w miejsce, w którym spoczywała moja dłoń. Chyba wydaje jej się, że jeśli nie podniesie wzroku, to wszystko się nie wydarzy. Nawet jej wytrzymałość ma swoje granice.

Powiesz mi publicznie o dziewiątej rano. Z niewiadomego powodu kręci mi się w głowie. Serce bije mi jakoś dziwnie. Powoli. Słyszę echo słów, które arcygubernator skierował do mojej żony:

– To wszystko, na co cię stać?

Mój lud śpiewa, tańczy, kocha. W tym tkwi nasza siła. Oprócz tego kopujemy w ziemi. A potem umieramy. Rzadko możemy wybrać powód swojej śmierci. Taki wybór daje władzę. Taki wybór jest naszą jedyną bronią – ale nie wystarcza.

Pozwalają mi wypowiedzieć ostatnie słowa. Przywołuję Dio. Oczy ma przekrwione, podpuchnięte. Jest taka delikatna, zupełnie nie przypomina siostry.

– Jak brzmiały ostatnie słowa Eo? – pytam. Moje wargi też stały się osobliwie ospałe.

Odwraca się i zerka na matkę, która w końcu przyszła, ale teraz kręci głową. Jest coś, czego mi nie mówią, coś, o czym nie chcą, żebym wiedział. Skrywają przede mną jakąś tajemnicę, mimo że mam zaraz umrzeć.

– Powiedziała, że cię kocha.

Nie wierzę jej, ale uśmiecham się i całuję ją w czoło. Widzę, że nie zniesie więcej pytań, a mnie cały czas kręci się w głowie. I język mi się płacze.

– Przekażę jej pozdrowienia od ciebie – mówię.

Nie śpię. Jestem stworzony do innych rzeczy.

Moja śmierć nie ma sensu. Jest miłością.

Eo miała rację: nie rozumiem. To nie jest mój triumf, przemawia przeze mnie egoizm. Kazała mi znaleźć w życiu coś więcej. Chciała, żebym walczył – a teraz stoję tutaj i umieram, niepomny jej prośby. Kapituluję w obliczu bólu.

Panikuję jak wszyscy samobójcy, kiedy uświadamiają sobie swoją głupotę.

Za późno.

Zapadnia otwiera się pode mną. Moje ciało spada. Sznur zdziera mi skórę z szyi. Mój kręgosłup trzeszczy. Igły wbijają mi się w krzyż. Kieran chwiejnie występuje naprzód, ale stryj Narol go odpycha. Mruga porozumiewawczo, chwytając mnie za stopy i pociągając.

Mam nadzieję, że mnie nie pochowają.

Część II

Odrodzony

Pobrano ze strony pijafka.pl

Obchodzimy pewne święto, podczas którego nosimy twarze demonów, żeby odegnąć złe duchy od naszych zmarłych w Dolinie. Te twarze skrzą się od złota głupców.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Łazarz

Nie widzę Eo w chwili śmierci. Moi ludzie wierzą, że widzimy naszych bliskich, gdy umieramy. Czekają na nas w zielonej Dolinie, gdzie powietrze jest gęste od dymu palonego drewna i zapachu duszonego mięsa. Przebywa tam Starzec, na którego kapeluszu perli się rosa. Zapewnia Dolinie bezpieczeństwo i stoi razem z naszymi bliskimi przy kamiennej drodze obok pastwiska dla owiec. Mówi się, że tamtejsza mgła jest rześka, kwiaty pachną tam słodko, a ci, którzy zostaną pochowani, szybciej pokonują kamienną drogę.

Jednak nie widzę mojej ukochanej. Nie widzę Doliny. Nie widzę niczego poza widmowymi światełkami w ciemności. Czuję napór i wiem – tak jak wiedziałby każdy górnik – że leżę pochowany pod ziemią. Z piersi wyrywa mi się bezgłośny krzyk. Ziemia wsypuje mi się do ust. Ogarnia mnie panika. Nie mogę oddychać, nie mogę się ruszyć. Ziemia obejmuje mnie, aż w końcu udaje mi się pazurami przekopać się na wolność, poczuć powietrze. Nabieram gwałtownie tlenu, dyszę i pluję piachem.

Mijają minuty, zanim klęcząc, podnoszę wzrok. Znajduję się w porzuconej kopalni, w starym tunelu, dawno opuszczonym, ale nadal podłączonym do systemu wentylacyjnego. Pachnie tu ziemią. Pojedyncza flara płonie obok mojego grobu, rzucając dziwaczne cienie na ściany. Razi mnie w oczy, tak jak słońce, gdy weszło nad grobem Eo.

Nie umarłem.

Potrzeba więcej czasu, niż można by się spodziewać, żeby ta myśl do mnie dotarła. Mam jednak krwawą ranę na szyi od sznura. I ziemię

w rozcięciach na plecach.

Mimo to nie jestem martwy.

Stryj Narol nie pociągnął mnie dostatecznie mocno za stopy. Jednak Błaszaki musiały sprawdzić, czy zrobił to jak trzeba – chyba że z lenistwa im się nie chciało. To wcale nie jest nie do pomyślenia, czuję jednak, że w grę wchodzi tu coś więcej. Za bardzo kręciło mi się w głowie, kiedy szedłem na szubienicę. Nawet teraz wyczuwam coś w żyłach, bezwład, jakby czymś mnie nafaszerowano. To robota Narola. To on coś mi podał. I on mnie pochował. Tylko dlaczego? W jaki sposób uniknął złapania przy zdejmowaniu mojego ciała z szubienicy?

Kiedy ciche dudnienie niesie się z ciemności za flarą, już wiem, że zaraz poznam odpowiedź. Łazik podobny do metalowego żuka na sześciu kołach wspina się na wzniesienie długiego tunelu. Z przedniej kratownicy bucha z sykiem para, kiedy zatrzymuje się przede mną. Osiemnaście świateł pali mnie w oczy. Jakieś kształty wychodzą z boku pojazdu i przecinają oślepiające snopy światła, żeby mnie złapać. Jestem zbyt omroczony, żeby stawiać opór. Mają ręce zgrubiałe jak górnicy, a na twarzach noszą maski demonów z Oktobernacht. Prowadzą mnie jednak delikatnie, zamiast po prostu zawlec siłą do wjazdu.

Wewnątrz pojazdu płonie krwistoczerwone światło. Siedzę w podniszczonym metalowym fotelu naprzeciwko dwóch postaci, które zabrały mnie z grobu. Maski kobiety jest jasna, biało-złota i ma rogi jak kakodemon. Oczy widoczne w otworach maski są ciemne i błyszczące. Druga osoba to nieśmiały mężczyzna. Jest smukły i milczący, wyraźnie się mnie boi. Maski przedstawiająca pysk wściekłego nietoperza nie jest w stanie ukryć jego spłoszonych spojrzeń ani sposobu, w jaki chowa dłonie – to typowe dla przestraszonych, jak zawsze twierdził stryj Narol, kiedy uczył mnie tańczyć.

– Jesteście Synami Aresa, prawda? – domyślam się.

Mięczak wzdraga się, a kobieta patrzy kpiąco.

– A ty jesteś Łazarzem – odpowiada.

Jej głos jest zimny, leniwy; ten głos bawi się z uszami słuchacza, tak jak kot bawi się z upolowaną myszą.

– Jestem Darrow.

– Dobrze wiemy, kim jesteś.

– Nic mu nie mów, Harmony! – bełkocze mięczak. – Dancer zabronił nam cokolwiek mu wyjawiać, dopóki nie dotrzemy na miejsce.

– Wielkie dzięki, Ralph. – Harmony wzdycha i kręci głową.

Mięczak pojmuje swój błąd i skrepowany wierci się w fotelu, ale ja już w ogóle nie zwracam na niego uwagi. Tutaj rządzi ta kobieta. W przeciwieństwie do maski mięczaka jej maska przywodzi na myśl staruchę, jedną z czarownic z upadłych ziemskich miast, która warzyła zupę ze szpiku dziecięcych kości.

– Jesteś w fatalnym stanie. – Harmony chce dotknąć mojej szyi, ale łapię ją za rękę i ściskam. Jej kości są kruche jak plastik w dłoniach piekłonurka. Mięczak sięga po gromnik, ale Harmony daje mu znać, żeby się uspokoił.

– Dlaczego nie umarłem? – pytam. Po powieszeniu mój głos zgrzyta jak żwir o metal.

– Bo Ares ma dla ciebie misję, mały piekłonurku.

Krzywi się, gdy ściskam mocniej.

– Ares...

W moim umyśle rozbłyskują obrazy wybuchów bombowych, rozczłonkowanych ciał, chaosu. Ares. Domyślam się, jakiej misji będzie ode mnie chciał. Jestem zbyt odrętwiały, żeby choćby wiedzieć, co odpowiem, kiedy przedstawi swoje żądanie. Myślami nadal tkwię przy Eo, nie przy tym życiu. Jestem wrakiem człowieka. Dlaczego nie zostałem w ziemi?

– Mogę teraz odzyskać swoją rękę? – pyta Harmony.

– Jeśli zdejmiesz maskę. W przeciwnym wypadku ją zatrzymam.

Śmieje się i zdejmuje maskę. Jej twarz to noc i dzień. Prawa strona to nierówna, rozdęta ruina skóry poprzecinana gładkimi rzekami blizn. Pamiątka po oparzeniu parą. Znajomy widok, chociaż nie na twarzy kobiety. Kobiety rzadko pracują w ekipach wiertniczych.

Jednak to ta niepoparzona część twarzy zdumiewa. Jest piękna, piękniejsza nawet od twarzy Eo. Delikatna, jasna jak mleko skóra, wyraziste, lecz subtelne kości. Mimo to Harmony sprawia wrażenie lodowatej, gniewnej i okrutnej. Dolne zęby ma nierówne, a paznokcie zaniedbane. Nosi noże w butach: zorientowałem się, widząc, jak się wzdygnęła i zerknęła w dół, kiedy złapałem ją za rękę.

Mięczak, Ralph, jest brzydki w nijaki sposób – ciemna twarz, szczupła, o ostrych rysach, krzywe i brudne zęby. Wygląda przez okienko we włazie, kiedy jedziemy opuszczonymi tunelami, aż docieramy do oświetlonych i wybrukowanych, którymi można się szybko poruszać. Nie znam tych

Czerwonych, i chociaż mają Pieczęcie swojego Koloru na dłoniach, to im nie ufam. Nie są Lambdami i nie pochodzą z Lykos. Równie dobrze mogliby być Srebrnymi.

W końcu dostrzegam przez okienko we włączniku inne łaziki i pojazdy robocze. Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale mniej mi to dokucza niż smutek wzbierający w piersi. Im dalej jedziemy, tym więcej mam czasu do namysłu i tym potworniejszy staje się ból. Dotykam obrączki ślubnej. Eo nadal nie żyje. Nie czeka na mnie na końcu tej drogi. Dlaczego ja przeżyłem, skoro ona zginęła? Dlaczego pociągnąłem ją za nogi tak mocno? Czy ona też mogła przeżyć? Moje wnętrze jest jak czarna dziura. Potworny ciężar ściska mi pierś i aż do bólu pragnę wyskoczyć z łazika, żeby rzucić się pod jakiś pojazd roboczy. Śmierć jest łatwa, gdy już raz się jej szukało.

Jednak nie skaczę. Siedzę z Harmony i Ralphem. Eo chciała dla mnie czegoś więcej. Ściskam w ręce szkarłatną opaskę na głowę.

Tunel poszerza się nieco, kiedy dojeżdżamy do punktu kontrolnego obsadzonego przez brudne Blaszkaki w pancerzach. Elektryczna brama nie jest nawet podłączona do prądu. Przepuszczają łazik przed nami po przeskanowaniu panelu w jego boku. Potem przychodzi nasza kolej. Poprawiam się nerwowo w fotelu tak samo jak Ralph. Harmony śmieje się pogardliwie, kiedy siwy Blaszak skanuje bok łazika i macha ręką, żebyśmy przejeżdżali.

– Mamy kod. Niewolnicy nie mają za grosz rozumu. Kopalniane Blaszkaki to idioci. To na elity Szarych albo Obsydianowe potwory trzeba uważać. Tyle że oni nie marnują swojego czasu tu na dole.

Staram się przekonać samego siebie, że to nie jest jakaś sztuczka Złotych, a Harmony i Ralph nie są wrogami, kiedy zjeżdżamy z głównego tunelu w ślepy zaułek za magazynami niewiele większymi od Błoni. Instalację wyposażono w jaskrawe siarkowe światła. Połowa żarówek jest wypalona. Jedna mruga nad garażem w pobliżu magazynu z osobliwym symbolem wymalowanym dziwną farbą. Skręcamy do garażu, drzwi zamykają się i Harmony daje mi znać, że bym wysiadał.

– Nie ma to jak w domu – mówi. – Czas poznać Dancera.

Dancer

Dancer przeszywa mnie wzrokiem. Jest prawie mojego wzrostu, co już jest rzadkością. Jest też mocno zbudowany i potwornie stary, może mieć koło czterdziestki. Skronie ma przyprószone siwizną. Tuzin bliźniaczych szram znaczy mu szyję. Widziałem już takie blizny. Ukąszenia żmij jaskiniowych. Ręka przy jego lewym boku zwiesza się bezwładnie. Uszkodzenie nerwu. Jednak jego oczy przyciągają moje spojrzenie; są jaskrawsze niż u większości ludzi, kłębi się w nich prawdziwa czerwień zamiast rdzawej. Uśmiecha się po ojcowsku.

– Na pewno się zastanawiasz, kim jesteśmy – zaczyna łagodnie.

Jest zwalisty, ale głos ma spokojny. Towarzyszy mu ośmioro Czerwonych, poza Harmony są to sami mężczyźni; wszyscy wpatrują się w niego z uwielbieniem. Moim zdaniem są górnikami, mają pobliźnione, mocne ręce, jak wszyscy w naszym fachu. Poruszają się z gracją naszych ludzi. Bez wątpienia niektórzy są akrobatami i pozerami, jak nazywamy tych, którzy biegają po ścianach i kręcą salta podczas tańców. Są tu jacyś piekłonurkowie?

– Nie zastanawia się. – Harmony cedzi nieśpiesznie słowa. Ściska dłoń Dancera, kiedy go obchodzi, żeby na mnie spojrzeć. – Parszywy szczeniak zgadł to już godzinę temu.

– Ach tak. – Dancer uśmiecha się do niej łagodnie. – Oczywiście. W przeciwnym wypadku Ares nie poprosiłby, żebyśmy podjęli tak duże ryzyko, sprowadzając go tutaj. A wiesz, gdzie znajduje się owo „tutaj”, Darrow?

– To nie ma znaczenia – mruczę. Rozglądam się po ścianach, po ludziach, po rozkołysanych światłach. Wszystko jest takie zimne, takie brudne. – Liczy się tylko... – Nie udaje mi się skończyć własnego zdania. Myśl o Eo odbiera mi głos. – Liczy się tylko to, że chcesz czegoś ode mnie.

– Tak, to się liczy – mówi Dancer. Dotyka mojego ramienia. – Ale to może poczekać. Dziwi mnie, że stoisz o własnych siłach. Rany na twoich plecach są zanieczyszczone. Będiesz potrzebował antybiotyku i regeneratorów skóry, żeby nie zostały blizny.

– Blizny nie mają znaczenia – odpowiadam. Wpatruję się w dwie krople krwi, które ściekają z poł mojej koszuli na podłogę. Rany ponownie się otworzyły, kiedy wygrzebywałem się z grobu. – Eo... nie żyje, prawda?

– Tak. Nie żyje. Nie mogliśmy jej uratować.

– Dlaczego?

– Po prostu nie mogliśmy.

– Dlaczego? – powtarzam. Piorunuję go wzrokiem, piorunuję wzrokiem jego popleczników i cedzę słowa przez zęby. – Uratowałeś mnie. Mogłeś uratować i ją. To ona powinna być dla was cenna. Parszywa męczennica. To jej na tym wszystkim zależało. Czy może Ares potrzebuje tylko Synów, nie Córek?

– Męczenników mamy na kopy. – Harmony ziewa.

Rzucam się do przodu jak kobra i łapię ją za gardło. Fale gniewu przepływają mi przez twarz, aż tracę w niej czucie i łyż stają mi w oczach. Niesie się jęk wymierzonych we mnie miotaczy. Jeden wbija mi się w kark. Czuję dotyk zimnej lufy.

– Puść ją! – ktoś woła. – Ale już!

Pluję na nich, potrząsam Harmony i ciskam ją w bok. Przykuca, kaszląc, a potem nóż rozbłyскуje w jej ręce, kiedy się podnosi.

Dancer łąduje się między nas.

– Przestańcie! Oboje! Darrow, proszę!

– Twoja dziewczyna była marzycielką – warczy na mnie Harmony zza pleców Dancera. – Tyle warta co płomień na wodzie...

– Harmony, stul parszywą gębę – warczy Dancer. – Odłóżcie te cholerstwa.

Miotacze milkną. W nerwowej ciszy Dancer pochyla się ku mnie, żeby coś mi powiedzieć. Zniża głos. Oddycham szybko.

– Darrow, jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy przyjaciółmi. No dobrze, nie potrafię odpowiedzieć za Aresa, dlaczego nie mógł pomóc nam uratować

twojej dziewczyny. Jestem tylko jednym z jego pomocników. Nie mogę zmyć bólu. Nie mogę sprowadzić z powrotem twojej żony. Ale spójrz na mnie, Darrow. Spójrz na mnie, piekłonurku.

Robię to. Patrzę prosto w jego krwistoczerwone oczy.

– Nie mogę zrobić wielu rzeczy. Mogę cię jednak zapewnić, że sprawiedliwości stanie się zadość – dodaje Dancer.

Podchodzi do Harmony i coś jej szepcze, najpewniej że mamy być przyjaciółmi. Nie będziemy. Obiecuję jednak, że jej nie uduszę, a ona, że mnie nie zadźga.

Harmony milczy, gdy prowadzi mnie z dala od pozostałych ciasnymi metalowymi korytarzami do małych drzwi z obrotową klamką. Nasze kroki niosą się echem na rdzewiejących chodnikach. Pomieszczenie jest małe, zastawione stołami i środkami medycznymi. Harmony każe mi się rozebrać i sadza mnie na jednym z zimnych stołów, żeby oczyścić mi rany. Dotyka mnie delikatnie, kiedy wyciera brud z pociętych pleców. Staram się nie krzyczeć.

– Jesteś głupcem – mówi, wyskrobując okruchy skały z głębokiej rany.

Rzęzę z bólu i próbuję coś powiedzieć, ale ona wbija palec w moje plecy i ucina tym wszelkie słowa.

– Marzyciele tacy jak twoja żona są ograniczeni, mały piekłonurku. – Dbą o to, żebym się nie odezwał. – Zrozum to. Jedyna siła, jaką mają, kryje się w ich śmierci. Im straszniejszą śmiercią umierają, tym donośniej rozbrzmiewa ich głos; tym głębiej sięga jego echo. Twoja żona spełniła swój cel.

Swój cel. To brzmi tak zimno, tak bezduszenie i smutno, jakby mojej wiecznie roześmianej ukochanej pisana była tylko śmierć. Słowa Harmony wrzynają się we mnie. Wpatruję się w metalową kratę, po czym odwracam się, żeby spojrzeć w jej gniewne oczy.

– A jaki jest twój cel? – pytam.

Unosi ręce uwalane brudem i krwią.

– Taki sam jak twój, mały piekłonurku. Urzeczywistnić marzenie.

* * *

Wyczyściwszy mi plecy z brudu i podawszy antybiotyk, Harmony zabiera mnie do pokoju sąsiadującego z buczącymi generatorami. Niskie

pomieszczenie jest zastawione pryczami. Mają tu wodną Myjnię. Harmony zostawia mnie, żebym z niej skorzystał. Prysznic to przerażająca rzecz. Chociaż działa łagodniej niż powietrze w Myjni, przez połowę czasu mam wrażenie, że tonę, a przez drugą połowę przeżywam mieszaną ekstazy i potwornego bólu. Obracam dyszę temperatury tak długo, aż podnosi się gęsta para i ból przeszywa mi plecy.

Czysty, wkładam dziwne ubranie, jakie dla mnie wyłożono. To nie jest kombinezon ani samodział, do którego przywykłem. Materiał jest gładki, elegancki; wygląda jak coś, co mógłby nosić inny Kolor.

Dancer wchodzi do pokoju, kiedy jestem w połowie ubrany. Powłóczy lewą stopą, prawie równie bezużyteczną jak jego lewa ręka. Mimo to nadal jest imponującym mężczyzną, potężniej zbudowanym nawet od Barlowa, przystojniejszym ode mnie, mimo swojego wieku i blizn po ukąszeniach na szyi. Niesie cynową miskę. Siada na jednej z pryczy, która skrzypi pod jego ciężarem.

– Uratowaliśmy ci życie, Darrow. Zatem twoje życie należy do nas, zgodzisz się ze mną?

– To stryj uratował mi życie.

– Ten pijak? – Dancer prychnął. – Najlepsze, co kiedykolwiek zrobił, to powiedzenie nam o tobie. Powinien był to zrobić, już kiedy byłeś chłopcem, ale zachował twoje istnienie w tajemnicy. Wiesz, pracował dla nas jako informator jeszcze przed śmiercią twojego ojca.

– Powieszono go?

– Po tym, jak cię odciął? Mam nadzieję, że nie. Daliśmy mu zakłócaacz, żeby wyłączył te ich wiekowe kamery. Działał jak duch.

Stryj Narol. Brygadzysta, ale wiecznie pijany w sztok. Zawsze uważałem go za słabeusza. Żaden silny mężczyzna nie piłby tyle co on ani nie byłby tak zgorzkniały. Mimo to nie zasługiwał na pogardę, jaką mu okazywałem. Dlaczego jednak nie uratował Eo?

– Mówisz tak, jakby mój parszywy stryj był ci coś winny – rzucam.

– Ma dług u swojego ludu.

– Ludu. – Śmieję się z tego słowa. – Jest rodzina, jest klan. Można nawet mówić o miasteczku i kopalni. Ale lud? Lud! Zachowujesz się, jakbyś był moim reprezentantem, jakbyś miał prawo do mojego życia. Jesteś jednak tylko głupcem, tak jak wszyscy Synowie Aresa. – Miażdżę go słowami ociekającymi lekceważeniem. – Głupcy, którzy potrafią tylko

wysadzać w powietrze. Jak dzieci, które w złości kopią w gniazdo żmij jaskiniowych.

To właśnie chcę zrobić. Chcę kopać, chcę walić na oślep. Dlatego go znieważam, dlatego opluwam Synów Aresa, chociaż nie mam prawdziwego powodu, żeby ich nienawidzić.

Na przystojną twarz Dancera wypływa zmęczony uśmiech i dopiero teraz orientuję się, jak słaba jest jego lewa ręka – chudsza od muskularnej prawej, wygięta jak korzeń kwiatu. Jednak mimo uschniętej kończyny czai się w nim jakaś upiorna groźba, o wiele mniej oczywista niż w Harmony. Ujawnia się, kiedy go wyśmiewam, gdy wyszydzam jego marzenia i jego samego.

– Nasi informatorzy istnieją po to, żeby dostarczać nam informacji i pomagać nam znajdować unikat. Dzięki temu możemy wydostać najlepszych Czerwonych z kopalń.

– Żeby się nami posłużyć.

Dancer uśmiecha się cierpko i podnosi miskę z pryczy.

– Zagramy w pewną grę, żeby się przekonać, czy jesteś jednym z tych unikatów. Jeśli wygrasz, pokażę ci coś, co bardzo niewielu podCzerwonych widziało.

PodCzerwoni. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego określenia.

– A jeśli przegram?

– Wtedy nie będziesz unikatem i Złoci ponownie wygrają.

Wzdragam się na te słowa.

Podsuwa mi miskę i wyjaśnia reguły.

– W misie są dwie karty. Na jednej jest kosa żniwiarza, na drugiej jagnię. Wybierz kosę, a przegrasz. Wybierz jagnię, a wygrasz.

Zauważam jednak, jak jego głos zmienia się przy ostatnim zdaniu. To próba. Co oznacza, że nie ma tu miejsca na łut szczęścia. W grze kryje się jakiś haczyk. Ma mierzyć moją inteligencję, a to jest możliwe tylko wtedy, jeśli obie karty przedstawiają kosę. To jedyna zmienna, którą można modyfikować. Proste. Wpatruję się w ładne oczy Dancera. Gra jest ustawiona; przywykłem do takich i zwykle trzymam się zasad. Jednak nie tym razem.

– Zagram – mówię.

Sięgam do misy i wyciągam kartę, pilnując, żebym tylko ja mógł zobaczyć, co przedstawia. Kosa. Dancer nie odrywa oczu od mojej twarzy.

– Wygrałem – oznajmiam.

Sięga po kartę, żeby ją obejrzyć, ale ja pakuję ją do ust, zanim zdąży ją złapać. Nie widzi, co wyciągnąłem. Patrzy, jak przeżuwać kartę. Przełykam ją, wyciągam drugą kartę z misy i rzucam Dancerowi. Kosa.

– Karta z jagnięciem wyglądała po prostu zbyt apetycznie, żeby się jej oprzeć – wyjaśniam.

– Doskonale cię rozumiem.

Czerwień w jego oczach skrzy się, kiedy odstawia misę na bok. Znowu zachowuje się przyjaźnie, jakby ani przez chwilę nie promieniował groźbą.

– Wiesz, dlaczego nazywamy siebie Synami Aresa? Dla Rzymian Mars był bogiem wojny, chwały wojskowej, obrony domu i ogniska domowego, bóstwem honorowym i tak dalej... Ale Mars to oszust. To wyidealizowana wersja greckiego boga Aresa.

Zapala szluga i podaje mi drugiego. Generatory wibrują orzeźwiająco, szlug podobnie mnie omrocza, kiedy dym wypełnia mi płuca.

– Ares był łajdakiem, złym patronem furii, przemocy, żądzy mordy i masakry – ciągnie Dancer.

– Nazywając się na jego cześć, wskazujecie prawdziwy stan rzeczy we Wspólnocie. Urocze.

– Coś w tym stylu. Złoci wołają, żebyśmy nie pamiętali historii. I większość z nas jej nie pamięta albo wręcz nigdy jej nie poznała. Wiem jednak, w jaki sposób Złoci zdobyli władzę setki lat temu. Nazywają to Podbojem. Wyrznęli wszystkich, którzy stawili im opór. Zmasakrowali miasta, całe kontynenty. A wcale nie tak wiele lat temu spopielili cały świat, Reę. Pan Popiołów obrócił ją wniwecz za pomocą broni nuklearnej. Kierował nim gniew Aresa. A teraz my jesteśmy synami tego gniewu.

– Ty jesteś Aresem? – pytam zniżonym głosem.

Światy. Zniszczyli całe światy. Jednak Rea leży znacznie dalej niż Ziemia czy Mars. To chyba jeden z księżyców Saturna. Po co bombardowałiby świat, który leży aż tak daleko?

– Nie. Nie jestem Aresem.

– Ale należysz do niego.

– Nie należę do nikogo poza Harmonii i moimi ludźmi. Jestem taki jak ty, Darrow. Urodziłem się w klanie górników z kolonii Tyros. Po prostu wiem nieco więcej o świecie. – Marszczy brwi, widząc zniecierpliwienie na mojej twarzy. – Uważasz mnie za terrorystę. Nie jestem nim.

– Nie?

Odchyła się i zaciąga się szlugiem.

– Wyobraź sobie stół pokryty pchłami – tłumaczy. – Pchły podskakiwały i podskakiwały na nieznaną wysokość. Potem zjawiał się człowiek i nakrył je obróconym do góry dnem słojem. Pchły skakały i uderzały w dno słoja, nie mogąc skoczyć wyżej. A potem człowiek zabrał słoje, ale pchły nie skakały już wyżej niż do poziomu, gdzie wcześniej znajdowało się szklane sklepienie. – Wydycha dym. Jego oczy płoną w kłębach oparu jak rozżarzony koniuszek szluga. – My jesteśmy pchłami, które skaczą wysoko. A teraz pokażę ci, jak bardzo wysoko.

Prowadzi mnie rozchwierutany chodnikiem do cylindrycznej metalowej windy. Jest zardzewiała, ciężka i skrzypi, kiedy wznosimy się miarowo.

– Powinieneś wiedzieć, że twoja żona nie zginęła na darmo. Zieloni pomogli nam przejąć kontrolę nad transmisją. Włamaliśmy się na łącza i odtworzyliśmy prawdziwą wersję we wszystkich hP na Marsie. Cała planeta, klany z setek tysięcy kolonii górniczych i miast usłyszały pieśń twojej żony.

– Opowiadasz niewiarygodne historie – burczę. – Nie ma aż tylu kolonii, nie ma nawet połowy tej liczby.

Udaje, że mnie nie słyszy.

– Usłyszeli jej pieśń i już nazywają ją Persefoną.

Wzdragam się i zerkam na niego. Nie. To nie jest jej imię. Nie jest ich symbolem. Nie należy do tych zbójców ze zmyślonymi imionami.

– Ona ma na imię Eo – warczę. – I należy do Lykos.

– Teraz należy do ludu. A lud pamięta dawne opowieści o bogini, którą bóg śmierci wykradł jej rodzinie. Jednakże nawet po jej wykradzeniu śmierć nie była w stanie zatrzymać jej na zawsze. Była Dziewicą, boginią wiosny, której było przeznaczone powracać po każdej zimie. Wcielonym pięknem, które może dotykać życia nawet zza grobu. Tak właśnie myślą o twojej żonie.

– Ona nie wróci – mówię, żeby zakończyć rozmowę.

Debatowanie z tym człowiekiem nie ma sensu. On tylko nawija dalej.

Nasza winda zatrzymuje się i wychodzimy do małego tunelu. Idziemy nim do następnej windy – lepiej utrzymanej, z gładkiego metalu, pilnowanej przez dwóch Synów Aresa z miotaczami. Wkrótce znowu jedziemy w górę.

– Nie wróci, ale jej piękno, jej głos będą powracać echem po kres czasu. Wierzyła w coś większego niż ona sama i jej śmierć udzieliła jej głosowi

mocy, jakiej nie miał za jej życia. Była czysta, tak jak twój ojciec. My, ty i ja... – Dancer dotyka mojej piersi wierzchem palca wskazującego. – ... jesteśmy brudni. Jesteśmy stworzeni z krwi. Mamy zgrubiałe ręce. Brudne serca. W ogólnym rozrachunku jesteśmy pomniejszych stworzeniami, ale bez nas, ludzi wojny, nikt poza mieszkańcami Lykos nie usłyszałby pieśni Eo. Bez naszych szorstkich rąk marzenia czystych serc nigdy by się nie urzeczywistniły.

– Przejdź do rzeczy – przerywam mu. – Chcesz mnie do czegoś wykorzystać.

– Próbowaleś już raz umrzeć – mówi Dancer. – Chcesz spróbować znowu?

– Chcę... – Czego chcę? – Chcę zabić Augustusa – odpowiadam, przypominając sobie zimną twarz Złotego, który rozkazał zabić moją żonę. Była tak chłodna, tak nieczuła. – Myślę o zarządcy Podginusie i Danie Paskudzie. Ich też zabiję.

– Zatem zemsta. – Dancer wzdycha.

– Powiedziałeś, że możesz mi to dać.

– Powiedziałem, że zapewnię ci sprawiedliwość. Zemsta to pusta rzecz.

– Mnie napełni. Pomóż mi zabić arcygubernatora.

– Darrow, zbyt skromnie mierzysz.

Winda się rozpędza. Strzela mi w uszach. Jedziemy w górę, w górę i w górę. Jak daleko się wznosimy?

– Arcygubernator to tylko jeden z najważniejszych Złotych na Marsie.

Dancer podaje mi ciemne okulary. Zakładam je ostrożnie, serce wali mi w piersi. Wyjdziemy na powierzchnię.

– Musisz spojrzeć szerzej – dodaje.

Winda się zatrzymuje. Drzwi się otwierają. Oślepiłem.

Żrenice zwężają mi się za szklami, żeby dostosować się do światła. Kiedy wreszcie jestem w stanie otworzyć oczy, spodziewam się zobaczyć potężną żarówkę albo flarę – źródło blasku. Jednakże niczego nie widzę. Światło otacza mnie zewsząd i pada z odległego, nieprawdopodobnego źródła. Jakiś ludzki instynkt we mnie zna tę moc, wie, co jest pierwotnym źródłem życia. Słońce. Światło dzienne. Ręce mi się trzęsą, kiedy wychodzę z Dancerem z windy. On nic nie mówi. Wątpię, żebym go usłyszał, nawet gdyby się odezwał.

Stoimy w przedziwnym pomieszczeniu, niepodobnym do czegokolwiek, co potrafiłbym sobie wyobrazić. Mamy coś pod nogami, ale nie jest to ani

skała, ani metal. Drewno. Rozpoznaję je z przekazów z Ziemi w hP. Rozpościerający się na nim dywan w tysiącu odcieni jest miękki pod moimi stopami. Ściany wokół mnie są zbudowane z czerwonego drewna i porzeźbione w kształty drzew i jeleni. Delikatna muzyka gra w oddali. Idę za melodią w głąb pokoju, ku światłu.

Natrafiam na tafłę szkła, ogromną ścianę, przez którą słońce pada na przysadzisty czarny instrument z białymi klawiszami, który gra sam w wysokim pomieszczeniu o trzech ścianach i z długim rzędem przeszklonych okien. Wszystko tu jest takie gładkie. Poza instrumentem, poza szkłem leży coś, czego nie rozumiem. Podchodzę chwiejnie do okna, ku światłu, padam na kolana i przyciskam dłonie do bariery. Jęczę przeciągle.

– Teraz rozumiesz – mówi Dancer. – Jesteśmy zwodzeni.
Za szkłem rozciąga się miasto.

Kłamstwo

W mieście widzę iglice, parki, rzeki, ogrody i fontanny. To miasto ze snów, miasto błękitnej wody i zielonego życia na czerwonej planecie, która miała być rzekomo równie jałowa jak najokrutniejsza z pustyń. To nie jest Mars, jaki pokazują nam w hP. To nie jest miejsce niezdatne dla ludzi. To miejsce kłamstwa, bogactwa, niezmierzonej obfitości.

Aż mnie zatkało na widok tej groteski.

Mężczyźni i kobiety latają. Połyskują Złotem i Srebrem. To jedyne Kolory, jakie widzę na niebie. GrawiButy unoszą ich w niebo jak bogów, działając z większym wdziękiem niż niezgrabne grawiButy, jakie noszą nasi nadzorcy w kopalniach. Młody mężczyzna przelatuje obok mojego okna. Skórę ma lśniącą, włosy rozpuszczone, powiewające. Niesie dwie butelki wina w stronę pobliskiej iglicy ogrodowej. Jest pijany, a jego chwianie się w powietrzu przypomina mi pewnego wiertacza, któremu w piekarniku zepsuł się system wentylacyjny: rozpaczliwie próbował nabrać powietrza i umierając, dygotał i tańczył. Ten Złoty śmieje się jak głupek i wykręca wesoły piruet. Cztery dziewczyny, nie starsze ode mnie, lecą za nim w wesołej pogoni, rozchichotane i figlarne. Ich obcisłe sukienki wyglądają jak zrobione z płynu, który oblewa ich młode kształty. Wyglądają na moje rówieśnice, ale jednocześnie sprawiają wrażenie parszywie głupich.

Nic nie rozumiem.

Za nimi pojazdy latające śmigają w powietrzu po wytyczonych latarniami alejach. Małe statki – myśliwce, jak nazywa je Dancer – eskortują niesłychanie skomplikowane powietrzne jachty. Na ziemi widzę

mężczyzn i kobiety poruszających się szerokimi alejami. Są tam również automobile, wzdłuż niższych poziomów ciągną się sznury oznaczonych Kolorami lamp: Żółtych, Niebieskich, Pomarańczowych, Zielonych, Różowych... Tuzin Kolorów i setka odcieni, hierarchia tak skomplikowana i obca, że z trudem uznaję ją za ludzki wytwór. Budynki, wśród których wiją się ścieżki, są ogromne, niektóre zbudowano ze szkła, inne z kamienia. Jednak wiele przypomina mi te, które widziałem w hP – rzymskie budowle, tym razem wzniesione dla bogów zamiast dla człowieka.

Poza miastem, prawie tak daleko, jak sięgam wzrokiem, czerwona i jałowa powierzchnia Marsa jest porośnięta zieloną trawą i walczącymi o przeżycie drzewami. Niebo w górze jest niebieskie i usiane gwiazdami. Terraformowanie zostało ukończone.

To jest przyszłość. Mars jeszcze przez wiele pokoleń nie powinien tak wyglądać.

Moje życie to kłamstwo.

Tak wiele razy Octavia au Lune mówiła nam, mieszkańcom Lykos, że jesteśmy pionierami na Marsie, że jesteśmy dzielnymi duszami, które poświęcają się dla rasy, i że wkrótce nasz znój dla ludzkości się skończy. Wkrótce dołączą do nas delikatniejsze Kolory, kiedy Mars już będzie zdalny do zamieszkania. A one już do nas dołączyły. Ziemia przybyła na Marsa, a nas, pionierów, zostawiono pod powierzchnią, tyrających i cierpiących, żeby stworzyć i podtrzymywać fundamenty tego... tego imperium. Jesteśmy tym, co zawsze powtarzała Eo: niewolnikami Wspólnoty.

Dancer siada na krześle obok mnie i czeka, aż odzyskam głos. Wypowiada jedno słowo i okno ciemnieje. Nadal widzę miasto, ale słońce już mnie nie oślepia. Obok nas przysadzisty instrument, który nazywa się fortepian, szepcze posępną melodię.

– Powiedzieli nam, że jesteśmy jedyną nadzieją człowieka – mówię cicho. – Że Ziemia jest przeludniona, że nasze cierpienie i poświęcenie służy rodzajowi ludzkiemu. Że ofiara jest dobra. Że posłuszeństwo jest najwyższą cnotą...

Roześmiany Złoty dociera do pobliskiej iglicy, tam poddaje się dziewczętom i ich pocałunkom. Wkrótce będą pić wino i bawić się.

Dancer mówi mi, jak się rzeczy mają.

– Ziemia nie jest przeludniona, Darrow. Siedemset lat temu zaludniono księżyc Ziemi, Lunę. Ponieważ bardzo trudno jest wystrzelić statek

kosmiczny z Ziemi z powodu jej grawitacji i atmosfery, Luna stała się portem, z którego skolonizowano inne księżyce i planety Układu Słonecznego.

– Siedemset lat temu? – wyrywa mi się i nagle czuję się jak skończony idiota.

– Na Lunie wydajność i porządek stały się głównym przedmiotem troski. W kosmosie każde płuca muszą mieć swój cel. Stopniowo wprowadzono więc pierwsze Kolory i Czerwonych wysłano na Marsa, żeby pozyskiwali paliwo dla ludzkości. Założono tu kolonie górnicze, ponieważ na Marsie występują najbogatsze złoża helu-3, który wykorzystuje się do terraformowania innych światów i ich księżyców.

Przynajmniej to jedno nie było kłamstwem.

– I te inne księżyce i światy rzeczywiście są terraformowane?

– Owszem, małe księżyce tak. I większość planet. Oczywiście nie olbrzymy gazowe. – Dancer siada na krześle. – Już w początkowych fazach Kolonizacji bogacze z Luny zaczęli zdawać sobie sprawę, że Ziemia jest niczym więcej jak tylko obciążeniem pomniejszającym ich zyski. Nawet kiedy to Luna kolonizowała Układ Słoneczny, była obarczona podatkami i należała do korporacji i krajów na Ziemi, które jednocześnie nie były w stanie wymusić respektowania swoich praw własności. Dlatego Luna się zbuntowała: Złoci i Wspólnota przeciwko ziemskim państwom. Ziemia stawiała opór i przegrała. To był Podbój. Ekonomia uczyniła z Luny potęgę i główny port Układu Słonecznego. Wspólnota zaczęła zmieniać się w to, czym jest dzisiaj: imperium wzniesione na grzbietach Czerwonych.

Patrzę na Kolory poruszające się w dole. Postaci są małe, trudno je rozróżnić z naszej wysokości, a moje oczy nie przywykły do patrzenia na taką odległość ani przy takiej ilości światła.

– Czerwonych wysłano na Marsa pięćset lat temu. Pozostałe Kolory przyleciały tu jakieś trzysta lat temu, kiedy nasi przodkowie nadal harowali pod powierzchnią. Zamieszkały w na wpół terraformowanych miastach otoczonych bąblami atmosfery, podczas gdy reszta świata powoli podlegała dalszemu terraformowaniu. Teraz te bąble są stopniowo usuwane, planeta nadaje się dla wszystkich. NadCzerwoni pracują w służbach oczyszczania i przy liniach montażowych, są pracownikami technicznymi i żniwiarzami. PodCzerwoni to ci, którzy urodzili się pod powierzchnią, najprawdziwsi niewolnicy. W miastach Czerwoni, którzy tańczą, znikają. Ci, którzy wypowiadają na głos swoje myśli, przepadają. Ci zaś, którzy pochylają

głowy i godzą się z rządami Wspólnoty i miejscem, jakie w niej zajmują, tak jak wszystkie pozostałe Kolory, prowadzą względnie wolny żywot.

Dancer wypuszcza chmurę dymu.

Czuję się oderwany od własnego ciała, jakbym patrzył na kolonizację światów, transformację ludzkiego gatunku oczami, które nie należą do mnie. Ciężar historii pchnął moich ludzi do zniewolenia. Żyjemy na dnie Wspólnoty, jesteśmy pyłem. Eo zawsze powtarzała coś podobnego, chociaż nie znała prawdy. Gdyby ją znała, o ile więcej pasji byłoby w jej przemowach? Ta egzystencja jest o wiele gorsza od wszystkiego, co kiedykolwiek sobie wyobraziła. Nietrudno zrozumieć zapal i wolę walki Synów Aresa.

– Pięćset lat. – Kręcę głową. – To jest nasza parszywa planeta.

– Uczyniliśmy ją własną w trudzie i pocie czoła – przytakuje mi Dancer.

– Czego więc trzeba, żeby ją odzyskać?

– Krwi. – Uśmiecha się do mnie jak zadowolony z siebie kocur. Za ojcowskimi uśmiechami tego człowieka kryje się bestia.

Eo miała rację. Wszystko sprowadza się do przemocy.

Była głosem, tak jak mój ojciec. Wobec tego czym ja mam być? Ręką pomsty? Nie mogę pojąć, jak ktoś tak czysty, tak pełen miłości mógłby chcieć, żebyśmy odegrał taką rolę. A jednak ona tego właśnie chciała. Myślę o ostatnim tańcu mojego ojca. Myślę o mamie, Leannie, Kieranie, Lorianie, rodzicach Eo, stryju Narolu, Barlowie i o wszystkich, których kocham. Wiem, jak ciężko będzie im się żyło i jak szybko umrą. A teraz wiem dlaczego.

Patrzę na swoje dłonie. Są takie, jak opisał je Dancer – pocięte, pobliźnione, poparzone. Kiedy Eo je całowała, stawały się delikatne w imię miłości. Teraz, kiedy jej zabrakło, staną się twarde w imię nienawiści. Zaciskam je w pięści, aż knykcie mi bieleją jak lodowe czapy.

– Jaką mam misję?

Rzeźbiarz

Dorastałem z piętnastoletnią roześmianą dziewczyną, która tak bardzo kochała swojego młodego męża, że kiedy doznał poparzeń w kopalni i jego rany zaczęły się zaogniać, sprzedała się Gammie w zamian za antybiotyki. Była silniejsza od swojego męża. Kiedy wyzdrowiał i odkrył, co dla niego zrobiła, zabił Gammę sierpakiem, który wykradł z kopalni. Dziewczyna nazywała się Lana i była córką stryja Narola. Nie pożyła wiele dłużej.

Myślę o niej, oglądając hP w miejscu, które Harmony nazwała penthousem, podczas gdy Dancer zajmuje się przygotowaniami. Przeskakuję przez wiele kanałów jednym ruchem palca. Nawet ten Gamma miał swoją rodzinę. Kopał tak jak ja. Urodził się tak jak ja, przechodził przez Myjnię tak jak ja i podobnie jak ja nigdy nie zobaczył słońca. Dostał tylko mały pakiecik leków od Wspólnoty – i patrzcie, jakie to miało skutki. Jakie to cwane z ich strony. Ile nienawiści można wzbudzić między ludźmi, którzy powinni być sobie bliscy. Gdyby jednak klany wiedziały o luksusie, jaki istnieje na powierzchni, gdyby wiedziały, ile im ukradziono, poczułyby tę samą nienawiść, jaką ja czuję, i zjednoczyłyby się. Mój klan jest w gorącej wodzie kąpany. Jak wyglądałaby jego rebelia? Pewnie jak szlug Dago – zapłonęłaby gorąco, ale krótko i już po chwili zostałyby same popioły.

Zapytałem Dancera, dlaczego Synowie Aresa przesłali transmisję z egzekucji mojej żony do kopalni. Dlaczego zamiast tego nie pokazać podCzerwonym bogactw na powierzchni? To by dopiero wywołało gniew.

– Ponieważ w tej chwili rebelia zostałaby zdławiona w kilka dni – wyjaśnił mi Dancer. – Musimy obrać inną drogę. Imperium nie da się zniszczyć od zewnątrz, dopóki nie zostanie zniszczone od środka. Zapamiętaj to. My jesteśmy niszczycielami imperium, nie terrorystami.

Kiedy powiedział mi, co mam zrobić, roześmiałem się. Nie wiem, czy zdołam tego dokonać. Jestem pyłkiem. Tysiąc miast pokrywa powierzchnię Marsa. Metalowe olbrzymy żeglują między planetami w uzbrojonych flotach, które mogą strzaskać płaszcz każdego księżyca. Na odległej Lunie wznoszą się wysokie na jedenaście kilometrów budynki; tam Suwerenka Octavia au Lune rządzi wraz ze swoimi imperatorami i pretorami. Pan Popiołów, który obrócił Reę w zgliszcza, to jej sługus. To ona kontroluje dwunastu Olimpijskich Rycerzy, legiony Niezrównanych Naznaczonych i szeregi Obsydianowych, równie nieprzeliczone jak gwiazdy na niebie. Szarzy żołnierze krążą po miastach, pilnując porządku i strzegąc hierarchii. Biali rozstrzygają spory, wymierzają sprawiedliwość i narzucają swoją filozofię. Różowi dbają o przyjemności nadKolorów i służą w ich domostwach. Srebrni liczą, manipulują walutą i zajmują się logistyką. Żółci studiują medycynę i nauki ścisłe. Zieloni rozwijają technikę. Niebiescy nawigują wśród gwiazd. Miedziani zajmują się biurokracją. Każdy Kolor ma swoje przeznaczenie. Każdy Kolor wspiera Złoty.

Teraz hP pokazuje mi Kolory, o których istnieniu nie wiedziałem. Pokazuje mi modę. Niedorzeczną i kuszącą. Korzysta się z biomodyfikacji i implantów – skóra kobiet jest tak gładka i wypolerowana, ich piersi tak okrągłe, włosy tak błyszczące, że wydają się odrębnym gatunkiem niż Eo i wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek spotkałem. Mężczyźni są wręcz nienaturalnie muskularni i wysocy. Ich ręce i piersi nabrzmiewają sztuczną siłą. Popisują się swoimi mięśniami jak dziewczynki nowymi zabawkami.

Jestem piekłonurkiem Lambd z Lykos, ale czym jestem w porównaniu z nimi?

– Harmony już przysła. Czas się zbierać – odzywa się Dancer, stając w drzwiach.

– Chcę walczyć – mówię mu, kiedy jedziemy graWindą razem z Harmony.

Popracowali nad moimi Pieczęciami, żeby miały żywszy odcień i odpowiadały Pieczęciom nadCzerwonych. Mam na sobie luźny strój nadCzerwonego i niosę torbę ze sprzętem do czyszczenia ulic. Mam

również ufarbowane włosy i szkła kontaktowe w oczach, więc wyglądam jak żywszy odcień czerwieni. Mniej złamany.

– Ale nie chcę takiej misji – dodaję. – Gorzej: nie podołam jej. Komu mogłoby się to udać?

– Powiedziałaś, że zrobisz wszystko, co konieczne – przypomina mi Dancer.

– Ale to... – Misja, jaką mi wyznaczył, to szaleństwo, lecz nie dlatego jestem przerażony. Boję się tego, że stanę się czymś, czego Eo by nie rozpoznała. Że stanę się demonem z naszych opowieści w Oktobernacht. – Dajcie mi miotacz albo bombę. Niech kto inny to zrobi.

– Po to cię wyciągnęliśmy. – Harmony wzdycha. – I tylko po to. To był największy cel Aresa od czasu narodzin Synów.

– Ilu innych wyprowadziliście? Ilu innych próbowało tego, czego oczekujecie ode mnie?

Harmony zerka na Dancera. On nic nie mówi, więc zniecierpliwiona odpowiada w jego imieniu:

– Dziewięćdziesięciu siedmiu nie podołało procesowi Rzeźbienia... A przynajmniej o tylu wiemy.

– Psiajucha – przeklinam. – I co się z nimi stało?

– Umarli – odpowiada bezzamiennie. – Albo prosili o śmierć.

– Może Narol powinien zostawić mnie na szubienicy. – Próbuję się zaśmiać.

– Darrow. Chodź tu. No chodź. – Dancer łapie mnie za ramię i przyciąga. – Inni mogli zawieść, ale ty jesteś inny. Czuję to w kościach.

* * *

Nogi się pode mną uginają, kiedy pierwszy raz patrzę na nocne niebo i rozciągające się wokół mnie budynki. Dostaję zawrotów głowy. Mam wrażenie, że spadam, jakby świat spadł z własnej osi. Wszystko jest zbyt otwarte, do tego stopnia, że wydaje mi się, że miasto powinno zwalić się prosto w niebo. Patrzę pod nogi, patrzę na ulicę i staram się sobie wyobrazić, że jestem w tunelu prowadzącym z mojego miasteczka do Błoni.

Ulice miasta Yorkton to przedziwne miejsce nocą. Luminescencyjne kule światła ciągną się wzdłuż chodników i ulic. Nagrania hP płyną jak

strumienie wzdłuż fragmentów alei w tym nowoczesnym sektorze miasta, więc większość ludzi chodzi ruchomymi chodnikami albo jedzie publicznym transportem z pochylonymi głowami; przypominają wygięte laski.

Krzykliwe światła sprawiają, że nocą jest prawie tak samo jasno jak za dnia. Widzę jeszcze więcej Kolorów. Ten sektor miasta jest czysty. Ekipy Czerwonych pracowników ze służb oczyszczania miasta szorują ulice. Drogi i pieszne ścieżki są nieskazitelnie utrzymane.

Delikatna czerwona wstążka, wąska na szerokiej ulicy, ciągnie się tam, którą mamy iść. Nie biegnie tak jak inne. Miedziana kobieta idzie inną, własną, szerszą ścieżką; jej ulubione programy odtwarzane są tam, dokąd pójdzie, chyba że znajdzie się obok Złotego, bo wtedy wszystkie hP milkną. Jednak większość Złotych nie chodzi piechotą; mogą korzystać z grawiButów i pojazdów, podobnie jak wszyscy inni Miedziani, Obsydianowi, Szarzy i Srebrni, chociaż buty wydawane za odpowiednim pozwoleniem są potwornie tandetne.

Reklama środka na pęcherze pojawia się na ziemi przede mną. Kobieta o dziwnie smukłych proporcjach zsuwa czerwony koronkowy szlafrok. Stosownie naga, nakłada krem na takie miejsce na swoim ciele, gdzie jeszcze żadna kobieta nie miała bąbla. Rumienię się i odwracam wzrok, zniesmaczony, bo widziałem nago tylko jedną kobietę.

– Lepiej będzie, jeśli zapomnisz o swojej skromności – radzi mi Harmony. – Zdradzi cię bardziej niż twój Kolor.

– To obrzydliwe – mówię.

– To reklama, kochanie – mruczy protekcyjnym tonem.

Śmieją się razem z Dancerem.

Starsza wiekiem Złota przelatuje nad nami; jeszcze nigdy nie widziałem równie starego człowieka. Spuszczamy głowy, kiedy nas mija.

– Tu, na górze, Czerwoni muszą otrzymywać wynagrodzenie – wyjaśnia mi Dancer, kiedy jesteśmy sami. – Skromne, ale jednak. Dostają pieniądze i dość luksusów, żeby się od nich uzależnić. Tę odrobinę pieniędzy, jaką mają, wydają na towary, o których nauczono ich myśleć, że są im potrzebne.

– To samo dotyczy wszystkich trutni – warczy Harmony.

– Nie są więc niewolnikami – mówię.

– Och, oczywiście, że są – odpowiada. – Zniewala ich to, że żrą łakocie z dłoni tych łajdaków.

Dancer z trudem nadaża, więc zwalniam, gdy się odzywa. Harmony prycha poirytowana.

– Złoci układają wszystko tak, żeby ułatwić sobie życie. Każą produkować programy, które bawią i ugłaskują masy. Siódmego dnia każdego ziemskiego miesiąca dają pieniądze i zasiłki, żeby uzależnić od siebie całe pokolenia. Tworzą towary, żeby dać nam coś na podobieństwo swobód. Jeśli przemoc to sport Złotych, to manipulacja jest ich sztuką.

Przechodzimy do dzielnicy podKolorów, gdzie nie ma wyznaczonych ścieżek. Wzdłuż wystaw sklepowych ciągną się wstążki Zielonych, specjalistów od elektroniki. Niektóre sklepy oferują miesiąc alternatywnej rzeczywistości w godzinę – w zamian za tygodniowe zarobki. Dwóch drobnych mężczyzn o bystrych zielonych oczach, łysych głowach nabijanych metalowymi kolcami, z tatuażami ze zmiennych kodów dwójkowych, proponuje mi wyprawę do miejsca, które nazywa się Osgiliath. Inne lokale oferują usługi bankowe, biomodyfikacje albo po prostu produkty higieny osobistej. Wykrzykują rzeczy, których nie rozumiem, mówią cyframi i skrótowcami. Nigdy nie widziałem podobnego zamieszania.

Burdele obwiedzione wstążką Różowych przyprawiają mnie o rumieniec, podobnie jak kobiety i mężczyźni w ich oknach. Każdy ma rozbłyskującą metkę z ceną, która swawolnie zwiesza się z nitki; liczba zmienia się stosownie do oczekiwań klienta. Krzepka dziewczyna woła do mnie, kiedy Dancer wyjaśnia mi ideę pieniędzy. W Lykos po prostu wymienialiśmy się towarami, gorzałą, szlugami i usługami.

Niektóre kwartały w mieście są zarezerwowane na użytek nadKolorów. Dostęp do nich zależy od tego, czy ma się stosowne pozwolenie. Nie mogę po prostu wejść ani wjechać do dzielnicy Złotych albo Miedzianych. Miedziani jednak zawsze mogą zabawić się w dzielnicy Czerwonych; często zaglądają do tutejszych barów i burdeli. Nigdy na odwrót, nawet w szaleńczym chaosie, jakim jest Bazar – jazgotliwe miejsce handlu, gdzie powietrze jest ciężkie od zapachu ciał, jedzenia i spalin automobili.

Zagłębiamy się w Bazar. Czuję się bezpieczniej w zaułkach niż na otwartych alejach nowoczesnych sektorów. Jeszcze nie polubiłem rozległych przestrzeni, a widok gwiazd nade mną przeraża mnie. Bazar jest ciemniejszy, chociaż nadal świecą tu światła i roi się od ludzi. Budynki stoją bliżej siebie, jakby ściśnięte. Setka balkonów tworzy żebra wysoko nad zaułkiem. Pomosty krzyżują się w górze, wszędzie wokół nas migoczą

światółka różnych urzędzeń. Jest tu parniej, brudniej. I widzę tu mniej patroli Blaszaków. Dancer mówi, że są takie miejsca na Bazarze, gdzie nawet Obsydianowy nie powinien się zapuszczać.

– W miejscach, gdzie panuje ścisk, człowieczeństwo najłatwiej się kruszy – mówi.

To dziwne znajdować się w tłumie, gdzie nikt nie zna twojej twarzy ani nie zwraca na ciebie uwagi. W Lykos co rusz popychaliby mnie mężczyźni, z którymi dorastałem, wpadałbym na dziewczyny, z którymi ganiałem się i siłowałem w dzieciństwie. Tutaj wpadają na mnie inne Kolory i nawet nie mrukną czegoś na kształt przeprosin. To jest miasto. Nie podoba mi się. Czuję się tu samotny.

– To tu – mówi Dancer, wskazując mi ciemne wejście, gdzie elektroniczny latający smok migocze na kamiennej powierzchni.

Zatrzymuje nas potężny Brązowy z metalowym modyfem zamiast nosa. Czekamy, aż nas obwącha. Jest większy od Dancera.

– Ma farbę na włosach – warczy do mnie, niuchając mi włosy. – To Rdzawy.

Miotacz błyska mu za pasem. Ma też majcher przy nadgarstku – widzę to po sposobie, w jaki rusza ręką. Kolejny oprych dołącza do niego przy wejściu. Ma ozdobione klejnotami procesory na gałkach ocznych, drobne czerwone rubiny migoczą, kiedy światło pada na nie pod odpowiednim kątem. Gapię się na biżuterię i brązowe oczy.

– Co jest grane z tym kolesiem? Szuka guza? – warczy zbir. – Będiesz się tak na mnie gapił, a wytnę ci wątrobę i sprzedam na targu.

Myśli, że rzucam mu wyzwanie. A mnie tak naprawdę ciekawią rubiny. Jednak kiedy mi grozi, uśmiecham się i mrugam do niego porozumiewawczo, tak jak zachowałbym się w kopalni.

W jego ręce pojawia się nóż. Tutaj obowiązują inne zasady.

– Pogrywaj tak dalej, chłopaczku. Śmiało. Pogrywaj.

– Mickey się nas spodziewa – mówi mu Dancer.

Patrzę na kumpla Modyfa, który próbuje zgasić mnie spojrzeniem z góry, jakbym był jakimś dzieciakiem. Modyf uśmiecha się znacząco i zerka chytrze na nogę i rękę Dancera.

– Nie znam żadnego Mickeya, kaleko. – Patrzy na swojego kumpla. – A ty znasz jakiegoś Mickeya?

– Skąd. Nie ma tu żadnego Mickeya.

– Co za ulga. – Dancer kładzie rękę na miotaczu pod kurtką. – Skoro nie znacie Mickeya, to nie będziecie musieli tłumaczyć mu, dlaczego mój... hojny przyjaciel nie dotarł do niego. – Porusza kurtką tak, żeby zobaczyli symbol na kolbie broni. Hełm Aresa.

Na jego widok Modyf przełyka ślinę i mówi:

– Psiajucha. – A potem prawie potykają się o własne nogi, kiedy rzucają się jeden przez drugiego, żeby otworzyć nam drzwi. – M-muszę zabrać wam pukawki.

Trzech innych podchodzi do nas z lekko podniesionymi miotaczami. Harmony rozchyła kamizelkę i pokazuje im bombę umocowaną do brzucha. Z typową dla Czerwonej zwinnością obraca w palcach mrugający detonator.

– Skądże znowu – odpowiada. – Nie ma takiej potrzeby.

Modyf przełyka ślinę i kiwa głową.

– Nie ma takiej potrzeby.

Wnętrze budynku jest ciemne. To ciemność gęsta od dymu i pulsujących świateł – zupełnie jak moja kopalnia. Muzyka dudni. Między krzesłami i stolikami, gdzie mężczyźni piją i palą, niczym kolumny stoją szklane cylindry. Wewnątrz cylindrów tańczą kobiety. Niektóre wiją się w wodzie, ich dziwne połączone błoną palce stóp i smukłe uda poruszają się w rytm muzyki. Inne wirują w takt dudniącej melodii w złotym dymie albo w srebrnej farbie.

Kolejne zbiry prowadzą nas do stolika w głębi, który wygląda jak zrobiony z opalizującej wody. Siedzi tam rozparty szczupły mężczyzna w towarzystwie kilku przedziwnych stworzeń. W pierwszej chwili myślę, że to potwory, ale im bardziej im się przyglądam, tym bardziej nie pojmuję. To są ludzie – tyle że zostali zmienieni. Wyrzeźbieni na nowo. Ładna młoda dziewczyna, nie starsza od Eo, siedzi i patrzy na mnie szmaragdowymi oczami. Z pleców wyrastają jej białe orle skrzydła. Wygląda jak coś wyrwanego z majaków w gorączce, i tam właśnie powinna pozostać. Inni, podobni do niej, wylegują się w dymie i osobliwym świetle.

Mickey Rzeźbiarz to człowiek jak skalpel o krzywym uśmiechu i czarnych włosach, które spływają mu po jednej stronie głowy jak kałuża oleju. Tatuaż przedstawiający ametystową maskę spowitą dymem rozciąga się na jego lewej ręce. To Pieczęć Fioletowych, artystów, więc nieustannie się zmienia. Inne fioletowe symbole plamią jego nadgarstek. Bawi się małą elektroniczną sześcienne łąmigłówką ze zmiennymi ściankami. Jego palce są szybkie, szczuplejsze i dłuższe, niż powinny być. I jest ich dwanaście.

Fascynujące. Nigdy wcześniej nie widziałem artysty, nawet w hP. Są równie rzadcy jak Biali.

– Ach, Dancer – wzdycha, nie podnosząc wzroku znad sześcianu. – Poznałem cię po odgłosie wleczonej nogi. – Mruży oczy, cały czas patrząc na sześcian. – I Harmony. Twój zapach niesie się od drzwi, moja droga. Potworna ta bomba, nawiasem mówiąc. Kiedy następnym razem będziecie szukali czegoś naprawdę dyskretnego, zajrzyjcie do Mickeya, dobrze?

– Mick – mówi Dancer.

Siada przy stole obok sennych mar. Widzę, że Harmony trochę się kręci w głowie od dymu. Ja przywykłem do oddychania gorszymi rzeczami.

– No dobrze, Harmony, moja droga – mruczy Mickey. – Opuściłaś sobie wreszcie tego kalekę? Przyszedłaś dołączyć do mojej rodziny? Tak? Zafundować sobie parę skrzydeł? Szpony u dłoni? Ogon? Rogi...? Wyglądałabyś straszliwie z rogami. Zwłaszcza owinięta w moją jedwabną pościel.

– Wyrzeźb sobie duszę, to może będziesz miał szansę – warczy Harmony.

– Jeśli dusza jest potrzebna, żeby stać się Czerwonym, to chyba podziękuję.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy.

– Jaka ty jesteś obcesowa, moja droga. Konwersację należy traktować jak formę sztuki albo jak uroczystą kolację. Każde danie w swoim czasie.

Palce Mickeya wprost latają wokół sześcianu. Układa łamigłówkę, kierując się częstotliwością elektroniczną ścianek, ale ta zmienia się dla niego za szybko. Nadal nie podniósł wzroku.

– Mamy dla ciebie propozycję, Mickey – mówi niecierpliwie Dancer. Zerka na sześcian.

Uśmiech Mickeya jest krzywy i przeciągły. Nie podnosi wzroku. Dancer powtarza swoją kwestię.

– Przechodzisz od razu do dania głównego, kaleko? No to składaj tę swoją propozycję.

Dancer wytrąca sześcian z rąk Mickeya. Przy stole zapada cisza. Zbiry jeżą się za nami, muzyka nadal dudni. Serce bije mi równo, zerkam na miotacz na udzie najbliższego zbira. Mickey powoli podnosi wzrok i rozładowuje nerwową atmosferę koślawym uśmiechem.

– Co jest grane, przyjacielu?

Dancer kiwa głową na Harmony, która podsuwa Mickeyowi małe pudełko.

– Prezent? Nie trzeba było. – Mickey ogląda pudełeczko. – Tandeta. Czerwoni nie mają za grosz gustu. – A potem otwiera je i aż mu dech zapiera w piersi. Odsuwa się gwałtownie od stolika, zatrzaskując pudełko. – Wy durne, pieprzone łajdaki. Co to jest?

– Wiesz, co to jest.

Mickey pochyla się do przodu i z jego ust dobywa się syk:

– Przynieśliście je tutaj? Skąd je macie? Oszaleliście?

Patrzy po członkach swojej świty, którzy zerkają na pudełko i zastanawiają się, co tak bardzo wyprowadziło ich pana z równowagi.

– Czy oszaleliśmy? Całkiem nam odbiło, psiajucha. – Dancer się uśmiecha. – Trzeba je zamontować. Szybko.

– Zamontować? – Mickey zaczyna się śmiać.

– Jemu. – Dancer wskazuje mnie.

– Wynocha! – Mickey krzyczy na swoją świtę. – Wynoście się, przypochlebne lizusy i szubrawcy! Do was mówię, wy... dziwadła! Wynocha!

Kiedy jego świta odchodzi pośpiesznie, Mickey otwiera pudełko i wyrzuca jego zawartość na blat. Dwa złote skrzydła – Pieczęć Złotego – wypadają z brzękiem na stół.

– Chcemy, żebyś zrobił nam z tego chłopaka Złotego – wyjaśnia Dancer.

Szaleni

– Oszalesiście.

– Dziękuję. – Harmony się uśmiecha.

– Rozumiem, że się przejęzyczyłeś; powtórz, proszę – mówi do Dancera Mickey.

– Ares zapłaci ci więcej pieniędzy, niż widziałeś w swoim życiu, jeśli zdołasz przymocować skrzydła temu oto młodemu człowiekowi.

– To niemożliwe – oznajmia Mickey.

Pierwszy raz mierzy mnie wzrokiem – i nie jest pod wrażeniem, mimo mojego wzrostu. Nie mam do niego pretensji. Kiedyś uważałem się za przystojnego wśród klanów. Silnego, muskularnego. Tu, na górze, jestem blady, żylasty, młody i przestraszony.

Mickey spluwa na stół.

– To niemożliwe.

Harmony wzrusza ramionami.

– Robiono już takie rzeczy.

– Kto robił, zapytam. – Mickey odwraca głowę. – Nie. Nie podpuścicie mnie.

– Ktoś utalentowany – droczy się z nim Harmony.

– To niemożliwe. – Mickey jeszcze mocniej pochyla się do przodu. Na jego szczupłej twarzy nie ma ani jednego pora. – Skrzydła są powiązane z właścicielem poprzez DNA pobrane z mózgu. Wiedzieliście, że oni mają podskórne znaki na czaszce? Oczywiście, że nie. Chipy przymocowane do kory czołowej potwierdzające ich przynależność do kasty? Są jeszcze

sprzężenia synaptyczne, wiązania cząsteczkowe, lokalizatory, Komisja Kontroli Jakości. I nie zapominajmy o traumie i myśleniu asocjacyjnym. Powiedzmy, że idealnie przerobimy jego ciało, wciąż pozostanie jeden problem: nie sprawimy, że stanie się bystrzejszy. Nie zrobimy lwa z myszy.

– Potrafi myśleć jak lew – odpowiada całkiem zwyczajnie Dancer.

– No, no! Potrafi myśleć jak lew – szydzi Mickey.

– I Ares chce, żeby to zostało zrobione. – Głos Dancera jest lodowaty.

– Ares. Ares. Ares. Nieważne, czego chce Ares, szympanse. Mniejsza o naukę. Pod względem fizycznej i umysłowej zręczności koleś dorównuje pewnie cholernemu czyścicielowi kibli. Nie będzie pasować. Nie jest z ich gatunku! To Rdzawy!

– Jestem piekłonurkiem z Lykos – odpowiadam.

Mickey unosi brwi.

– Rety. Piekłonurek! Wyprowadźcie wszystkich z sali! Piekłonurek, powiadasz! – Kpi sobie ze mnie, ale nagle mruży oczy, jakby widział mnie gdzieś wcześniej. Moją chłostę transmitowano w hP. Wielu ludzi zobaczyło moją twarz. – A niech mnie... diabli – mruczy.

– Rozpoznasz moją twarz – potwierdzam.

Ściąga popularne nagranie i ogląda je, patrząc to na mnie, to na wyświetlacz.

– Nie umarłeś razem z tą swoją dziewczyną?

– Żoną – warczę.

Mięśnie szczęki drgają mu pod skórą, ale udaje, że mnie nie słyszy.

– Tworzysz zbawcę – rzuca oskarżycielsko, zerkając na Dancera. – Dancer, ty łajdaku. Tworzysz mesjasza dla swojej przeklętej sprawy.

Nigdy nie spojrzałem na to w ten sposób. Czuję nieprzyjemne mrowienie na skórze.

– Tak. – Oto cała odpowiedź Dancera.

– Jeśli przerobię go na Złotego, to co ty z nim zrobisz?

– Zgłosi się do Instytutu. Zostanie przyjęty. Tam wykaże się na tyle, żeby wejść w szeregi Niezrównanych Naznaczonych. Jako Naznaczony będzie mógł przygotowywać się do roli pretora, legata, politikosa, kwestora... jakiej zechce. Zajmie wysoką pozycję, im wyższą, tym lepiej. Wtedy znajdzie się w miejscu, z którego będzie mógł działać tak, jak wymaga tego Ares. Dla dobra Sprawy.

– Matko Boska – szepcze Mickey. Wpatruje się w Harmony, a potem w Dancera. – Chcesz, żeby został najprawdziwszym Niezrównanym

Naznaczonym. Nie wystarczy ci zwykły Tombak?

Tombak to wyblakły Złoty. Jest z tej samej klasy, ale traktuje się go z pogardą z racji gorszej prezencji, pochodzenia, zdolności.

– Nie, nie zostanie Tombakiem – potwierdza Dancer.

– Ani Piksem?

– Nie chcemy, żeby chodził do nocnych klubów, zjadał się kawiozem jak cała reszta nic niewartych Złotych. Chcemy, żeby dowodził flotami.

– Flotami. Jesteście szaleni. Szaleni! – Spojrzenie fioletowych oczu w końcu na dłuższą chwilę zatrzymuje się na mnie. – Chłopcze, oni cię mordują. Nie jesteś Złoty. Nie potrafisz tego, co potrafią Złoci. To są zabójcy, którzy urodzili się po to, żeby nad nami dominować. Spotkałeś kiedyś jakiegoś Aureusa? Pewnie, że teraz są tacy ładni i robią wrażenie pogodnych. Ale wiesz, co się wydarzyło podczas Podboju? To potwory. – Kręci głową i śmieje się niegodziwie. – Instytut to nie jest szkoła, to ubojnia, dokąd Złoci idą, żeby nawzajem się mordować, aż zostaną ci o najsilniejszym ciele i umyśle. Mówię ci. Umrzesz.

Jego sześcian leży na drugim końcu stolika. Podchodzę tam bez słowa. Nie wiem, jak działa, ale znam ziemskie łamigłówki.

– Co robisz, mój chłopcze? – Mickey wzdycha litościwie. – To nie zabawka.

– Byłeś kiedyś w kopalni? – pytam go. – Posługiwałeś się kiedykolwiek palcami, żeby przekopać się przez linię uskoku pod kątem dwunastu stopni, kalkulując, jak to zrobić przy osiemdziesięciu procentach mocy obrotowej i pięćdziesięcioprocentowym ciągu, żeby nie wywołać reakcji w bąblu z gazem kopalnianym, siedząc przy tym we własnych szczynach i pocie i jednocześnie martwiąc się zmijami jaskiniowymi, które chcą zagnieździć ci się we flakach i złożyć tam jaja?

– To...

Urywa w pół słowa, kiedy widzi, jak dzięki świdroSzponowi moje palce nauczyły się poruszać; jak wdzięk, z którym stryj uczył mnie tańczyć, przekłada się na ruchy moich rąk. Nucę, pracując. Potrzebuję chwili, minuty, może trzech. Uczę się jednak tej łamigłówki, a potem rozwiązuję ją z łatwością, pilnując częstotliwości ścianek. Wygląda na to, że dalej kryje się następny poziom, matematyczne zagadki. Nie znam tej matematyki, ale rozumiem wzór. Rozwiązuję tę i cztery następne łamigłówki, a wtedy sześcian ponownie zmienia się w moich rękach, przekształcając się w koło.

Mickey wytrzeszcza oczy. Rzucam mu łamigłówkę. Wpatruje się w moje ręce, poruszając własnymi dwunastoma palcami.

– Niemożliwe... – mruczy.

– Ewolucja – odpowiada Harmony.

Dancer się uśmiecha.

– Musimy porozmawiać o cenie.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Rzeźbienie

Moje życie zamienia się w jedno pasmo cierpienia.

Nowe Pieczęcie zostają przymocowane do śródrečza obu moich dłoni. Mickey usuwa moje stare Czerwone Pieczęcie i hoduje nową skórę i kości w miejscu ran. Potem zabiera się za instalowanie skradzionego podskórnego chipa na moim płacie czołowym. Mówią mi, że prawie mnie to zabiło i musieli wznowić pracę serca. Umarłem więc już dwa razy. Mówią, że byłem w śpiączce przez dwa tygodnie, ale dla mnie to było jak sen. Przebywałem w Dolinie z Eo. Pocałowała mnie w czoło, a potem obudziłem się i poczułem szwy i ból.

Leżę w łóżku, kiedy Mickey poddaje mnie próbom. Każe mi przenosić szklane kulki z jednego pojemnika do drugiego zgodnie z ich kolorami. Mam wrażenie, że robię to przez całą wieczność.

– Formujemy synapsy, mój drogi.

Sprawdza mnie za pomocą rebusów i próbuje mnie zmusić do czytania, ale ja nie potrafię czytać.

– Będziesz musiał się nauczyć przed Instytutem – chichocze.

Przebudzenie ze snów jest dla mnie okrutnym doświadczeniem. W snach Eo pociesza mnie, ale kiedy się budzę, pozostaje z niej tylko ulotne wspomnienie. Czuję pustkę, gdy leżę w prowizorycznej izolatce Mickeya. Jonowy zabójca zarazków brzęczy obok mojego łóżka. Wszystko jest białe, ale słyszę dudnienie muzyki z klubu. Dziewczyny Mickeya zmieniają mi pieluchy i opróżniają torebki z sikami. Jedna z nich, która nigdy się nie odzywa, myje mnie trzy razy dziennie. Ma smukłe ręce

i delikatną i smutną twarz, tak samo jak wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją z Mickeyem przy jego płynnym stole. Skrzydła, które wyrastają jej z pleców, są związane szkarłatną wstążką. Nigdy nie patrzy mi w oczy.

Mickey nadal zmusza mnie do pracy nad tworzeniem połączeń synaptycznych, podczas gdy sam pracuje nad regeneracją tkanki bliznowatej, skutku zabiegu neurochirurgicznego. Wiecznie się śmieje, uśmiecha i dotyka przeciągle mojego czoła, mówiąc do mnie „mój drogi”. Czuję się jak jedna z jego dziewczyn, jeden z aniołów, jakie wyrzeźbił dla własnej przyjemności.

– Nie możemy jednak poprzestać tylko na mózgu – oświadcza. – Trzeba jeszcze dużo popracować nad twoim ciałem Rdzawego, jeśli chcemy zrobić z ciebie Żelaznego Złotego.

– A co to takiego?

– Przodkowie Złotych, nazywa się ich Żelaznymi Złotymi. To byli twardzi ludzie, smukli i zaciekli w swoich krążownikach wojennych, gdy niszczyli armie i republikańskie floty Ziemi. Ach, co to były za istoty... – Mickey patrzy w dal. – Stworzenie ich wymagało wielu pokoleń manipulacji eugenicznych i biologicznych. Wymuszony darwinizm.

Milknie na chwilę i mam wrażenie, że narasta w nim gniew.

– Mówią, że Rzeźbiarze nigdy nie zdołają odtworzyć piękna Złotego Człowieka. Komisja Kontroli Jakości drwi z nas. Osobiście nie chcę zrobić z ciebie człowieka. Ludzie są tacy krusi. Ludzie się łamią. Ludzie umierają. O nie, ja zawsze chciałem stworzyć boga. – Uśmiecha się szelmowsko, szkicując coś w swoim cyfrowym notesie. Obraca go i pokazuje mi zabójcę, którym się stanę. – Dlaczego więc nie wyrzeźbić z ciebie boga wojny?

Wymienia mi skórę na plecach i dłoniach, gdzie Eo bandażowała mi oparzenia. Mówi, że to nie będzie moja prawdziwa skóra, ale jedynie homogeniczna warstwa podstawowa.

– Twój szkielet jest słaby, bo ciężenie na Marsie wynosi zero i trzy dziesiąte ziemskiego, moja delikatna ptaszyno. Poza tym twoja dieta była uboga w wapń. U standardowego Złotego gęstość kości jest pięć razy wyższa niż naturalna gęstość kości na Ziemi. Dlatego będziemy musieli sześciokrotnie wzmocnić twój szkielet. Musisz być stworzony z żelaza, żeby przetrwać w Instytucie. To będzie zabawa! Dla mnie. Nie dla ciebie.

Znowu mnie rzeźbi. Nie ma słów na opisanie tego bólu, jest nie do pojęcia.

– Ktoś musi postawić kropkę nad i, o której Bóg zapomniał.

Następnego dnia wzmacnia mi kości rąk. Potem zajmuje się moimi żebrami, kręgosłupem, ramionami, miednicą, twarzą. Zmienia także rozciągliwość moich ścięgien i tkanki mięśniowej. Na szczęście nie pozwala mi przebudzić się po tej ostatniej operacji przez kilka tygodni. Kiedy w końcu się budzę, widzę wokół siebie dziewczyny nakładające nowo wyhodowane ciało i ugniatające mi mięśnie kciukami.

Powoli moja skóra zaczyna się goić. Jestem patchworkiem, kołdrą pozszywaną z kawałków ludzkiego ciała. Zaczynają mnie karmić syntetycznymi proteinami, kreatyną, hormonem wzrostu, żeby zwiększyć przyrost mięśni i przyspieszyć regenerację ścięgien. Nocami moje ciało drży i swędzi, kiedy pocę się nowymi, mniejszymi porami. Nie mogę zażywać leków przeciwbólowych dostatecznie silnych, żeby uśmierzyć ból, bo moje zmodyfikowane nerwy muszą nauczyć się współpracować z nową tkanką i zmienionym mózgiem.

Mickey siedzi obok mnie podczas najgorszych nocy i opowiada mi historie. Tylko wtedy go lubię, tylko wtedy myślę, że nie jest potworem stworzonym przez zdeprawowaną Wspólnotę.

– Mój fach to tworzenie, ptaszyno – mówi pewnej nocy, gdy siedzimy razem w ciemności. Światło z maszyn zalewa jego twarz dziwacznymi cieniami. – Kiedy byłem mały, mieszkalem w miejscu, które nazywano Zagajnikiem. Mógłbyś je uznać za cyrkową społeczność. Co wieczór urządzaliśmy przedstawienia. Święto koloru, dźwięku i tańca.

– To brzmi okropnie – mruczę sarkastycznie. – Zupełnie jak kopalnie.

Uśmiecha się łagodnie, a jego oczy odnajdują tamto odległe miejsce.

– Chyba dla ciebie rzeczywiście może to wyglądać jak życie w luksusach. Jednak w Zagajniku panowało szaleństwo. Zmuszali nas do brania pigułek. Pigułek, po których lataliśmy między planetami na skrzydłach z pyłu w odwiedziny do królów elfów na Jowiszu i głębinowych syren na Europie. Mój umysł był zawsze oddzielony od ciała. Nie mogłem odnaleźć spokoju. Szaleństwu nie było końca. – Klasnął wtedy w ręce. – A teraz rzeźbię rzeczy, które widziałem w moich gorączkowych majaczeniach, tak jak oni zawsze pragnęli. Myślę, że śniłem też o tobie. Podejrzewam, że ostatecznie pożałują, że kiedykolwiek śniłem.

– Czy to był miły sen?

– Co?

– Ten o mnie.

– Nie. Nie, to był koszmar. O człowieku z piekła, kochanku ognia. – Na chwilę milknie.

– Dlaczego to jest takie straszne? – pytam go. – Życie. To wszystko. Dlaczego potrzebują nas do tego zmuszać? Dlaczego traktują nas, jakbyśmy byli ich niewolnikami?

– Dla władzy.

– Władza nie jest rzeczywista. To tylko słowo.

Mickey дума w milczeniu. A potem wzrusza chudymi ramionami.

– Mówią, że ludzkość zawsze była zniewolona. Wolność czyni nas niewolnikami żądzy, chciwości. Odbierz wolność, a wtedy dadzą ci życie w snach. Tobie dali życie pełne poświęcenia, z rodziną i społecznością. I społeczeństwo jest stabilne. Nie ma głodu. Nie ma ludobójstwa. Nie ma wielkich wojen. A kiedy Złoci walczą, przestrzegają reguł. Kiedy wielkie rody się kłócą, postępują... szlachetnie.

– Szlachetnie? Okłamali mnie. Powiedzieli, że jestem pionierem.

– A byłbyś szczęśliwszy, wiedząc, że jesteś niewolnikiem? Nie. Żaden z miliardów podCzerwonych żyjących pod powierzchnią Marsa nie byłby szczęśliwy, gdyby wiedział to, co wiedzą nadCzerwoni: że są niewolnikami. Więc czy nie lepiej jest kłamać?

– Lepiej nie robić z ludzi niewolników.

Kiedy jestem gotowy, wkłada generator pola siłowego do kapsuły, w której sypiam, żeby zasymulować dla mojego kośćca zwiększoną grawitację. Nigdy nie czułem podobnego bólu. Moje kości, skóra i mięśnie krzyczą z powodu nacisku i nagłej zmiany, aż dostaję leki, które zamieniają krzyk w przytępiony jęk.

Śpię całymi dniami. Śnię o rodzinie i domu. Co noc budzę się po tym, jak znowu zobaczyłem śmierć Eo. Kołysze się w moim umyśle jak na sznurze. Brakuje mi jej ciepła w łóżku, chociaż dają mi maskę immersyjną hP dla odwrócenia uwagi.

Stopniowo odstawiają leki przeciwbólowe. Mięśnie nie przywykły do gęstości moich kości, więc moje życie zamienia się w melodyjny ból. Zaczynają mnie karmić prawdziwym jedzeniem. Mickey siada na brzegu łóżka i głaszcze mnie po głowie do późnej nocy. Nie przejmuję się tym, że jego palce są jak odnóża pajaka. Nie przejmuję się tym, że uważa mnie za dzieło sztuki, swoje dzieło. Daje mi coś, co nazywa się hamburgerem. Jest przepyszny. Czerwone mięso, tłuste śmietany, pieczywo, owoce i warzywa stanowią teraz moją dietę. Nigdy w życiu nie jadłem równie dobrze.

– Potrzebujesz kalorii – grucha Mickey. – Musisz być dla mnie silny. Zasługujesz na to jedzenie.

– Jak mi idzie?

– Och, najcięższy etap jest już za nami, mój drogi. Jesteś genialnym chłopcem, wiesz? Pokazali mi nagrania z innych procedur, gdzie inni Rzeźbiarze próbowali tego samego. Ach, jacyż oni byli niezręczni, jak słabe były przedmioty ich starań. Jednak ty jesteś silny, a ja jestem genialny. – Klepie mnie w pierś. – Masz serce ogiera. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Domyślam się, że w młodości zostałeś ukąszony przez zmię jaskiniową?

– To prawda.

– Tak myślałem. Twoje serce musiało się dostosować, żeby przeciwstawić się działaniu jadu.

– Mój stryj wyssał większość jadu, kiedy zostałem ukąszony.

– Nie. – Mickey się śmieje. – To tylko mit. Nie da się wyssać trucizny. Nadal płynie twoimi żyłami i zmusza serce do wzmocnienia, jeśli masz dalej żyć. Jesteś wyjątkowy, tak jak ja.

– Czyli nie umrę tutaj – udaje mi się wykrztusić.

Mickey nie kryje rozbawienia.

– Nie! Nie! To już mamy za sobą. Czeką cię jeszcze ból, ale zagrożenie dla życia minęło. Niedługo zamienimy człowieka w boga. Czerwonego w Złotego. Nawet twoja żona by cię nie poznała.

Tego właśnie się obawiałem.

Kiedy odbierają mi oczy i dają w zamian złote, czuję się martwy w środku. To tylko kwestia połączenia nerwu wzrokowego z oczami „dawcy”, jak mówi Mickey. Prosty zabieg, jaki przeprowadzał tuzin razy w celach kosmetycznych. Trudna to była operacja na płacie czołowym, tłumaczy. Nie zgadzam się z nim. Owszem, czuję ból, ale nowymi oczami widzę rzeczy, których kiedyś nie byłem w stanie spostrzec. Rzeczywistość jest wyraźniejsza, ostrzejsza i trudniejsza do zniesienia. Nienawidzę tego procesu. To wszystko potwierdza wyższość Złotych. Tak wiele muszę przejść, żeby dorównać im pod względem fizycznym. Nic dziwnego, że im służymy.

Nic z tego nie jest moje. Nic nie należy do mnie. Moja skóra jest zbyt miękka, zbyt lśniąca, zbyt nieskazitelna. Nie poznaję własnego ciała bez blizn. Własne ręce są mi obce. Eo by mnie nie poznała.

Potem Mickey zabiera mi włosy. Wszystko podlega zmianie.

Tygodniami trwa fizykoterapia. Chodzę powoli po pomieszczeniu z Evey, skrzydlatą dziewczyną, zagubiony we własnych myślach. Żadne z nas nie ma ochoty się odzywać. Ona ma swoje demony, ja swoje, więc milczymy i spokojnie godzimy się na gruchanie Mickeya, kiedy do nas zagląda. Twierdzi, że mielibyśmy razem prześliczne dzieci.

Pewnego dnia przynosi mi antyczną cytrę z pudłem rezonansowym zrobionym z drewna, a nie z plastiku. To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek dla mnie zrobił. Nie śpiewam, ale wygrywam na niej poważne pieśni z Lykos. Tradycyjne pieśni mojego klanu, jakich nikt poza kopalniami nigdy nie usłyszy. On i Evey siadają czasem ze mną, i chociaż uważam, że Mickey to nędzna kreatura, mam wrażenie, że rozumie muzykę. Jej piękno. Jej wagę. A potem nic nie mówi. Wtedy też go lubię. Gdy ogarnia go spokój.

* * *

– No proszę, jesteś trochę twardszy, niż początkowo zakładałam – mówi do mnie Harmony pewnego ranka, gdy się budzę.

– Gdzie byłeś? – pytam, otwierając oczy.

– Szukałam dawców. – Wzdryga się na widok moich tęczywek. – Świat nie przestaje się kręcić tylko dlatego, że ty tu jesteś. Mamy robotę do wykonania. Mickey mówi, że możesz chodzić?

– Jestem coraz silniejszy.

– Ale nadal nie dość – podsumowuje, obrzucając mnie spojrzeniem. – Wyglądasz jak młoda żyrafa. Naprawię to.

Harmony zabiera mnie pod klub Mickeya do niechlujnej siłowni oświetlonej siarkowymi żarówkami. Z przyjemnością czuję zimny kamień pod bosymi stopami. Odzyskałam równowagę – i dobrze, bo Harmony nie podaje mi ręki. Zamiast tego wskazuje mi środek ciemnej sali.

– Kupiliśmy je dla ciebie – mówi.

Wskazuje dwa urządzenia pośrodku pomieszczenia. Są srebrne i przypominają mi zbroje, jakie nosili rycerze w minionych wiekach. Każda zbroja zwiesza się między dwoma metalowymi kablami.

– To maszyny treningowe.

Wsuwam się do jednego z pancerzy. Suchy żel obejmuje moje stopy, nogi, pierś, ręce i szyję, aż tylko moja głowa pozostaje wolna. Maszynę

zbudowano tak, żeby stawiała opór moim ruchom, a jednocześnie reagowała na każdy, nawet najdrobniejszy bodziec. Aby rozbudować mięśnie, należy je ćwiczyć, a to oznacza nic innego jak korzystanie z nich tak intensywnie, żeby wywołać mikroskopijne rozdarcia w tkance mięśniowej. Stąd bierze się ból, jaki czuje się po wielu dniach intensywnych ćwiczeń – to ból rozdartej tkanki, a nie skutek działania kwasu mlekowego. Kiedy rozdarcia w mięśniu goją się, mięsień narasta. Maszyna treningowa została tak pomyślana, żeby przyspieszać ten proces. To wynalazek samego diabła.

Harmony nasuwa mi na oczy wmontowaną w aparat osłonę twarzy.

Moje ciało nadal znajduje się w siłowni, ale widzę siebie, jak przemierzam wyboisty krajobraz Marsa. Biegnę mimo oporu maszyny, który zmienia się stosownie do widzimisię Harmony albo natury symulacji. Czasem wybieram się do dżungli na Ziemi, gdzie ścigam się z panterami wśród leśnego poszycia, a kiedy indziej trafiam na poznaczoną kraterami powierzchnię Luny, zanim została zamieszкана. Zawsze jednak wracam do domu, na Marsa, żeby pobiegać po jego czerwonej ziemi i przeskakiwać nad jego przepaścistymi wąwozami. Harmony czasem towarzyszy mi w drugiej maszynie, żebym miał się z kim ścigać.

Zmusza mnie do ciężkiej pracy; czasem zastanawiam się, czy chce mnie złamać. Nie pozwalam jej na to.

– Jeśli nie wymiotujesz w czasie treningu, to znaczy, że się nie starasz – mówi.

To koszmarne dni. Ciało mam obolałe od stóp aż po kark. Różowe od Mickeya codziennie mnie masują. Nie ma większej przyjemności na świecie, ale trzy dni po rozpoczęciu treningów z Harmony budzę się, wymiotując w łóżku. Trzęsę się, dygocę i słyszę przekleństwa.

– Tu obowiązują pewne zasady, ty mała wredna jędzo! – krzyczy Mickey. – On będzie dziełem sztuki, ale to się nie stanie, jeśli rozlejesz wodę na farbę, zanim wyschnie. Nie niszcz go!

– Musi być idealny – odpowiada Harmony. – Dancer, jeśli będzie słaby pod jakimkolwiek względem, pozostałe dzieciaki zarzną go jak świeżo upieczonego wiertacza.

– To ty go zarzynasz! – jęczy Mickey. – Psujesz go! Jego ciało nie poradzi sobie z rozpadem mięśni.

– Nie sprzeciwiał się – przypomina mu Harmony.

– Bo nie wie, że może się sprzeciwić! – odparowuje Mickey. – Dancer, ona nie ogarnia biomechaniki, jaka za tym stoi. Nie pozwól jej zniszczyć mojego chłopca.

– On nie jest twoim chłopcem! – warczy Harmony.

Mickey zniża głos:

– Dancer, Darrow jest jak ogier, jeden z tych dawnych ziemskich rumaków. Piękne stworzenia, które biegną tak szybko, jak je do tego zmusisz. Będą biec. I biec. I biec. Aż dalej nie pobiegną. Aż im serce wybuchnie.

Na chwilę zapada cisza, a potem rozlega się głos Dancera:

– Ares powiedział mi kiedyś, że najgorętszy ogień formuje najtwardszą stal. Naciskaj chłopaka dalej.

Pogardzam moimi dwoma nauczycielami po tym, jak podsłuchałem ich słowa – Mickeyem za to, że uznał mnie za słabego, a Dancerem za to, że uważa mnie za swoje narzędzie. Tylko Harmony nie budzi mojego gniewu. Jej głos, jej oczy gotują się od wściekłości, którą sam czuję w duszy. Może i ma teraz Dancera, ale kogoś straciła. Mówi mi to niepobliżniona część jej twarzy. Nie knuje tak jak Dancer ani jego pan, Ares. Jest taka jak ja: przepełniona wściekłością, przy której wszystko inne traci znaczenie.

Tej nocy płaczę.

W następnych dniach karmią mnie lekami, żeby przyspieszyć syntezę białek i regenerację mięśni. A kiedy już tkanka mięśniowa dochodzi do siebie po początkowej traumie, trenują mnie ostrzej niż wcześniej. Nawet Mickey – chociaż ma podkrążone oczy, a jego szczupła twarz przybrała ziemisty odcień – nie protestuje. W ostatnich tygodniach stał się chłodny. Nie opowiada mi już historii, jakby się bał tego, co stworzył, odkąd zaczynam nabierać pełniejszych kształtów.

Harmony i ja rzadko się do siebie odzywamy, ale coś się subtelnie zmieniło w naszej relacji, pojawiło się jakieś pierwotne porozumienie, świadomość, że jesteśmy stworzeniami tego samego rodzaju. Jednak w miarę jak moje ciało staje się silniejsze, Harmony nie jest już w stanie dotrzymać mi kroku, chociaż jest twardą kobietą z kopalni. Staje się tak już po dwóch tygodniach. Rozziew między nami cały czas rośnie, po kolejnym miesiącu Harmony jest dla mnie jak dziecko. A mnie bynajmniej daleko do tego, żeby przestać się rozwijać.

Moje ciało zaczyna się zmieniać. Potężnieję. Moje mięśnie stają się silniejsze i większe dzięki maszynie treningowej, do której dokładam teraz

ćwiczenia siłowe w ultraGrawitacji. Moja siła stopniowo rośnie. Moje ramiona stają się szersze, zaokrąglają się. Widzę, jak ścięgna zaczynają mi się rysować na przedramionach; napięta masa twardych mięśni obwiązuje mi tors niczym zbroja. Nawet ręce, które zawsze miałem silniejsze od reszty ciała, stają się mocniejsze dzięki treningom. Zwykłym uściskiem mogę skruszyć kamień. Mickey dosłownie zaczął podskakiwać w miejscu, kiedy to zobaczył. Nikt już nie ściska mi dłoni na powitanie.

Śpię w ultraGrawie, więc kiedy poruszam się po Marsie, czuję się szybszy i zwinniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Zaczynają mi się formować szybko kurczliwe włókna mięśniowe. Moje ręce poruszają się jak błyskawice; kiedy uderzają w znajdujący się w siłowni manekin treningowy, ten odskakuje jak trafiony miotaczem. Teraz mogę się przez niego przebić na wylot.

Moje ciało staje się ciałem Złotego – i to pierwszorzędym, nie jakimś tam Piksem, nie Tombakiem. To ciało rasy, która podbiła Układ Słoneczny. Moje ręce wyglądają upiornie. Są gładkie, opalone, zręczne, takie jakie powinny być ręce każdego Złotego. Jest jednak w nich moc nieproporcjonalna do reszty mnie. Jeśli cały jestem mieczem, to one są jego klingą.

Nie tylko moje ciało się zmienia. Przed snem wypijam tonik nafaszerowany stymulatorami procesów mentalnych i słucham w przyśpieszonym tempie *Kolorów*, *Iliady*, *Ulissesa*, *Przemian*, sztuk tebańskich, *Draconic Labels*, *Anabazy* i zakazanych dzieł, takich jak *Hrabia Monte Christo*, *Władca much*, *Pokuta lady Casterly*, *Rok 1984* i *Wielki Gatsby*. Budzę się, znając trzy tysiące lat literatury, kodeks prawny i historię.

Mój ostatni dzień u Mickeya wypada dwa dni po ostatniej operacji. Harmony z uśmiechem odprowadza mnie po treningu do mojego pokoju. Muzyka dudni w tle. Tancerki Mickeya idą tej nocy na całość.

– Przyniosę ci ubranie, Darrow. Dancer i ja chcemy zjeść z tobą kolację, żeby uczcić ten moment. Evey doprowadzi cię do porządku.

Zostawia mnie samego z Evey. Dzisiaj – tak jak zawsze – jej twarz jest cicha jak śnieg, który widziałem w hP. Patrzę na nią w lustrze, kiedy przycina mi włosy. W pokoju jest ciemno, jeśli pominąć światło znad lustra. Blask pada z góry, więc Evey wygląda jak anioł. Niewinny i czysty. Nie jest jednak ani niewinna, ani czysta. Jest Różowa. Takie jak ona hoduje się dla przyjemności, dla krągłości ich piersi i bioder, napiętych brzuchów, pełnych

łuków ust. Mimo to jest dziewczyną i iskra w niej jeszcze nie zgasła. Przypominam sobie ostatni raz, kiedy nie zdołałem ochronić dziewczyny takiej jak ona.

A ja? Trudno mi patrzeć na swoje odbicie. Jestem tym, co uważałem za wcielenie diabła. Jestem arogancją i okrucieństwem, takim samym człowiekiem, jaki zabił moją żonę. Jestem Złoty. I jestem równie zimny jak złoto.

Moje oczy lśnią jak sztabki. Moja skóra jest miękka i gładka. Moje kości są mocniejsze. Czuję, jak zwarty jest mój smukły tors. Kiedy Evey kończy przycinać mi złote włosy, odsuwa się i patrzy na mnie. Wyczuwam jej strach i sam cierpię z powodu własnego lęku. Nie jestem już człowiekiem. Pod względem fizycznym stałem się czymś więcej.

– Jesteś piękny – mówi cicho, dotykając moich Złotych Pieczęci.

Są o wiele mniejsze od jej pierzastych skrzydeł. Pośrodku grzbietu każdej dłoni widnieje krąg. Skrzydła wyginają się wzdłuż ciała i zakrzywiają jak kosy po obu stronach kości nadgarstka.

Patrzę na białe skrzydła Evey i wiem, że musi uważać je za potwornie brzydkie, kiedy tak wyrastają z jej pleców; wiem, jak bardzo musi ich nienawidzić. Chcę powiedzieć jej coś życzliwego. Chcę sprawić, że się uśmiechnie, o ile potrafi to zrobić. Powiedziałbym jej, że jest piękna, ale przez całe życie słuchała, jak mężczyźni mówią te słowa, żeby coś zyskać. Nie uwierzyłaby takiemu chłopakowi jak ja. A ja nie wierzę w jej słowa. Eo była piękna. Nadal pamiętam rumieniec na jej policzkach, gdy tańczyła. Miała w sobie wszystkie surowe kolory życia, nieokrzesane piękno natury. Ja jestem ludzkim konceptem piękna. Złotem, które uczyniono miękkim i gibkim, nadając mu ludzki kształt.

Evey całuje mnie w czubek głowy, zanim ucieknie i zostawi mnie samego, żebym oglądał hP w lustrze. Nie zauważyłem, że wsunęła mi pióro ze skrzydła do kieszeni na piersi.

Przykrzy mi się oglądanie hP. Znam teraz ich historię i każdego dnia uczę się jej coraz więcej. Mam jednak dość przebywania w zamknięciu, dudnienia muzyki z klubu Mickeya i wachania miętowych liści, które pali. Mam dość widoku dziewczyn, które sprowadza do swojej rodziny tylko po to, żeby potem sprzedawać je temu, kto dostatecznie dużo zapłaci. Mam dość patrzenia, jak w pełnych życia oczach pojawia się pustka. To nie jest Lykos. Nie ma tu miłości, rodziny ani zaufania. To miejsce jest chore.

– Mój chłopcze, wyglądasz tak, że mógłbyś zostać kapitanem floty wojennej – mówi z progu Mickey. Wchodzi chyłkiem, pachnie swoimi szlugami. Patykowatymi palcami wyjmuję pióro Evey z kieszeni na mojej piersi i obraca je w tę i z powrotem. Dotyka nim moich Złotych Pieczęci. – Skrzydła to mój ulubiony motyw. A twój nie? Są wyrazem wyższych aspiracji rodzaju ludzkiego.

Staje za mną, kiedy siedzę i wpatruję się w lustro. Kładzie ręce na moich ramionach i mówi do mojej głowy, opierając na niej podbródek, jakby uważał mnie za swoją własność. Łatwo spostrzec, że tak właśnie myśli. Lewą dłonią dotykam Pieczęci na prawej i na chwilę tam ją zostawiam.

– Mówiłem ci, że jesteś genialny. Teraz nadszedł czas, żebyś pofrunął.

– Dajesz dziewczętom skrzydła, ale nie pozwalasz im latać. Prawda?

– Dla nich latanie jest niemożliwe. Są prostszymi istotami od ciebie. Nie stać mnie na wykupienie pozwolenia na grawiButy. Dlatego dla mnie tańczą – wyjaśnia Mickey. – Jednak ty... ty polecisz, prawda, mój genialny chłopcze?

Wpatruję się w niego, ale nie odzywam się ani słowem. Jego usta rozchylają się w uśmiechu, bo wyprowadzam go z równowagi. Jak zawsze.

– Boisz się mnie – mówię mu.

Śmieje się.

– Ja? Ojejku! Naprawdę, mój chłopcze?

– Tak. Kiedyś wiedziałeś, co jest grane. Myślisz tak samo jak oni wszyscy. – Kiwam głową na odbicie hP w lustrze. – Wszystko jest raz na zawsze ustalone. Istnieje porządek. Czerwoni są na dole, wszyscy inni stoją na naszych grzbietach. A teraz patrzysz na mnie i zdajesz sobie sprawę, że nam się tam na dole parszywie nie podoba. Czerwoni się budzą. Wstaje czerwony świt, Mickey.

– Och, jeszcze daleka droga przed tobą...

Łapię go za nadgarstek tak, że nie może się ruszyć. Wpatruje się w moje odbicie, walcząc z moim uściskiem. Nie ma niczego silniejszego od uścisku piekłonurka. Uśmiejam się do Mickeya w lustrze, wpatrując się złotymi oczami w jego fioletowe tęczówki. Pachnie strachem. Pierwotną zgrozą. Jak mysz, którą dopadł lew.

– Bądź dobry dla Evey, Mickey. Nie każ jej tańczyć. Zapewnij jej wygodne życie, bo inaczej wrócę i oderwę ci ręce od tułowia.

Złe rzeczy

Matteo jest wysokim, chudym Różowym o długich kończynach i szczupłej, pięknej twarzy. Jest niewolnikiem. W każdym razie był niewolnikiem cielesnych rozkoszy. A jednak porusza się płynnie jak stworzony z wody. W każdym jego kroku kryje się piękno. Maniery i wdzięk w ruchach dłoni. Ma upodobanie do noszenia rękawiczek i kręcenia nosem na nawet najmniejszą odrobinę brudu. Dbłość o ciało jest głównym celem jego życia. Dlatego nie wygląda na zaskoczzonego, kiedy pomaga mi nałożyć specyfik zabijający mieszki włosowe na rękach, nogach, piersi i okolicach intymnych. Dla mnie to jednak jest dziwne. Kiedy już jest po wszystkim, obaj przeklinamy – ja z powodu pieczenia, on z powodu ciosu, jaki wymierzyłem mu w ramię. Przypadkiem wybiłem mu rękę z barku. Nadal nie znam własnej siły. A Różowych celowo czyni się kruchymi. Jeśli on jest różą, to ja jestem cierniami.

– Jesteś łysy jak berbeć, ty nadpobudliwy dzieciaku. – Matteo wzdycha tak stosownie, jak tylko można. – Zgodnie z wymogami najnowszej mody z Luny. No dobrze, kiedy już wyregulujemy ci trochę brwi, bo powiem ci, brwi masz jak żerujące na grzybie gąsienice!... i usuniemy włosy w nosie, poprawimy skórki wokół paznokci, wybielimy te nowiutkie zęby, które, nawiasem mówiąc, są żółte jak musztarda nakrapiana mleczami... powiedz mi, czy ty kiedykolwiek szczotkowałeś swoje nowe zęby?... i usuniemy zaskórniki (co będzie przypominało wiercenie w poszukiwaniu złóż helu-3), poprawimy koloryt skóry i zrobimy parę zastrzyków z melatoniną, będziesz wymuskany jak należy... no, z grubsza.

Prycham, słysząc, jakie głupoty wygaduje.

– Ja już wyglądam jak Złoty.

– Wyglądasz jak Tombak! Jak złoto głupców! Jak jeden z tych nisko urodzonych łajdaków, którym bliżej do khaki niż do Złotego. A musisz wyglądać idealnie.

– Psiajucha! Naprawdę przedziwny z ciebie ptaszek, Matteo.

Przywała mi.

– Uważaj sobie! Złoty prędzej by umarł, niż posłużył się kopalnianym slangiem. „Przeklęty”, nie „parszywy”, „psiakrew” zamiast „psiajucha”, „walić” zamiast „chrzanić”. Za każdym razem gdy powiesz „parszywy”, spoliczkuję cię, zamiast obić ci głowę. A jeśli powiesz „psiajucha” albo „gęba”, przykopię ci w mosznę, a wiem, jak się z nią obchodzić. Podobnie będzie, jeśli nie pozbędziesz się tego potwornego akcentu. Mówisz, jakbyś się urodził na śmietniku, psiakrew. – Marszczy brwi i opiera ręce na wąskich biodrach. – A potem nauczymy cię dobrych manier. I kultury, kultury, łaskawy panie.

– Jestem dobrze wychowany.

– Na stwórcę! Koniecznie, ale to koniecznie musimy sprawić, żebyś poza tymi przekleństwami wyzbył się też tego akcentu.

Szturcha mnie raz po raz, wyliczając moje niedoskonałości.

– To tobie przydałoby się trochę dobrego wychowania, dupku – warczę.

Zdejmuje mi jedną z rękawiczek i policzkuje mnie nią, a potem bierze do ręki butelkę i przystawia mi ją do gardła. Śmieję się.

– Będziesz musiał szybko odzyskać swój refleks piekłonurka, żeby dopasować go do tego niezdarnego nowego ciała.

Zerkam na butelkę.

– Zamierzasz zaszturchać mnie nią na śmierć?

– To ostrze polienowe, łaskawy panie. Innymi słowy: brzytwa. W jednej chwili jest miękka jak włos, ale wystarczy organiczny impuls, by stała się twardsza od diamentu. To jedyna rzecz, jaka przejdzie przez tarczę impulsową. Teraz bicz, za chwilę doskonała klinga. To broń dżentelmena. Złotego. W przypadku jakiegokolwiek innego Koloru noszenie jej oznacza wyrok śmierci.

– To butelka, ty durny...

Uderza mnie butelką w krtani tak, że się dławię.

– To twoje maniery zmusiły mnie, abym dobył brzytwy i rzucił ci wyzwanie, a tym samym pośpiesznie zakończył twoje aroganckie życie.

Może i walczyłeś na pięści w obronie nory, którą nazywałeś domem. Byłeś wtedy robakiem. Mrówką. Aureusowie walczą ostrzem przy najmniejszej prowokacji. Nawet nie ogarniasz tego, czym jest dla nich honor. Twój honor to była sprawa osobista, dla nich to jednocześnie kwestia osobista, rodowa i planetarna. Honor jest wszystkim. Złoci walczą o najwyższe stawki i nie wybaczą, nawet kiedy krew zostanie już przelana. A już na pewno nie robią tego Niezrównani Naznaczeni. Maniery, łaskawy panie. Maniery cię ochronią, zanim będziesz umiał obronić się przed butelką szamponu...

– Matteo... – mówię, masując gardło.

– Tak? – pyta z westchnieniem.

– Co to jest szampon?

Kolejna rundka w jednym z pokoi rzeźbiarskich Mickeya byłaby lepsza od nauki u Matteo. Przynajmniej Mickey się mnie bał.

* * *

Następnego dnia Dancer próbuje nadać mi nowe imię.

– Będiesz synem względnie mało znanej rodziny z dalekiej grupy asteroidów. Wkrótce ta rodzina zginie w wypadku kosmicznym. Tylko ty przeżyjesz i będziesz jedynym spadkobiercą ich długów i niskiego statusu. Twoje imię będzie brzmiało Caius au Andromedus.

– Walić to. Będę Darrowem albo nie będę nikim.

Dancer drapie się po głowie.

– Darrow to... dziwne imię.

– Zmusiłeś mnie, żebym porzucił włosy, jakie dał mi ojciec, oczy, jakie przekazała mi matka, Kolor, w którym się urodziłem, więc zatrzymam imię, jakie mi nadali, a ty dopilnujesz, żeby to jakoś zadziało.

– Wolałem, kiedy nie zachowywałeś się jak Złoty – burczy Dancer.

* * *

– No dobrze, kluczem do posilania się jak przystało na Złotego jest jedzenie powoli – tłumaczy mi Matteo, kiedy siedzimy razem przy stole w penthousie, gdzie Dancer po raz pierwszy pokazał mi świat. – Przekonasz się, że będziesz zmuszony brać udział w wielu trymalchiońskich ucztach.

Przy takich okazjach podaje się siedem dań: przystawki, zupę, rybę, mięso, sałatkę, deser i libacje.

Wskazuje małą tacę ze srebrem i objaśnia różne metody jedzenia każdym sztucem.

A potem mówi mi:

– Jeśli musisz oddać mocz lub wypróżnić się w trakcie posiłku, wstrzymaj się. Od Aureusa oczekuje się panowania nad funkcjami cielesnymi.

– Czyli ci ciamajdowaci Złotogłowi nie mogą srać? Ciekawe, czy kiedy już to robią, to srają złotem?

Matteo policzkuje mnie swoją rękawiczką.

– Jeśli tak ci się śpieszy, żeby znowu zobaczyć czerwień, to pozwól sobie chlapnąć coś takiego nieopatrznie, łaskawy panie, a Złoci z radością przypomną ci, na jaki kolor krwawią ludzie. Dobre maniery i samokontrola! Ty nie masz żadnej z tych rzeczy. – Kręci głową. – A teraz powiedz mi, do czego służy ten widelec.

Mam ochotę odpowiedzieć, że do grzebania mu w tyłku, ale wzdycham i podaję prawidłową odpowiedź:

– Do ryby, ale tylko wtedy, gdy danie nadal zawiera ości.

– A ile ryby masz zjeść?

– Chyba całą – zgaduję.

– Nie! – wykrzykuje. – Czy ty w ogóle mnie słuchasz? – Łapie się drobnymi rączkami za włosy i bierze głęboki wdech. – Muszę ci przypominać? Istnieją Tombaki. Istnieją Złoci. I są także Piksy.

Zostawia mi resztę do dopowiedzenia.

– Piksy nie panują nad sobą – przypominam sobie, mówiąc na głos. – Korzystają z wszelkich przywilejów, jakie płyną z władzy, ale głównie robią, żeby na nie zasłużyć. Są dobrze urodzeni i gonią za przyjemnościami. Wporzo mówię?

– „Pierwszorzędnie”, nie żadne „wporzo”. No dobrze, a czego oczekuje się od Złotego? Od Niezrównanych Naznaczonych?

– Perfekcji.

– Czyli?

Mówię chłodnym tonem, naśladowując akcent Złotych:

– Samokontroli, łaskawy panie. Samokontroli. Wolno mi zaspokajać słabostki, pod warunkiem że nigdy nie pozwolę, aby przejęły nade mną kontrolę. Jeśli istnieje klucz do zrozumienia Aureusów, to będzie nim

zrozumienie kontroli we wszelkich jej formach. Zjedz rybę, ale zostaw dwadzieścia procent, żeby wskazać, że jej smakowitość nie przewyciężyła twojego postanowienia ani nie uczyniła cię niewolnikiem własnych kubków smakowych.

– Czyli jednak słuchałeś.

Dancer zastaje mnie następnego dnia ćwiczącego akcent Aureusów przed holoLustrem w penthousie. Widzę przed sobą trójwymiarowy obraz własnej głowy. Zęby poruszają się dziwnie, zaczepiając o język, kiedy próbuję wypowiadać słowa z wibracją. Nadal przyzwyczajam się do własnego ciała, chociaż upłynęły miesiące od ostatnich operacji. Zęby mam większe, niż mi się początkowo wydawało. Nie pomaga też to, że Złotogłowi stale mówią w taki sposób, jakby ktoś wsadził im złotą łopatę w te ich parszywe odwłoki. Dlatego łatwiej mi przemawiać jak Złoty, kiedy widzę, że wyglądam jak Złoty. Arogancja przychodzi wtedy naturalnie.

– Zmiękczone „r” – radzi mi Dancer. Siedzi i słucha z uwagą, kiedy czytam z terminala. – Udawaj, jakby przed każdym było „h”.

Jego szlug przywodzi mi na myśl dom i przypominam sobie, jakie wrażenie sprawiał arcygubernator Augustus w Lykos. Przypominam sobie pogodny spokój tego człowieka. Jego cierpliwą protekcyjność. Znaczący uśmiezek.

– Wydłuż „l” – dodaje.

– „Czy to wszystko, na co cię stać?” – mówię do lustra.

– Doskonale – chwali mnie Dancer z przesadnym wzdrygnięciem. Klepie się zdrową ręką w kolano.

– Niedługo zacznę nawet śnić jak parszywy Złotogłowy – mówię z odrazą.

– Nie powinieneś mówić „parszywy”. Mów „przeklęty”.

Piorunuję go wzrokiem.

– Gdybym zobaczył siebie na ulicy, znienawidziłbym się. Miałbym ochotę złapać za sierp i rozplatać się od gęby po dupę, a potem spalić zezwłok. Eo porzygałaby się na mój widok.

– Nadal jesteś młody – śmieje się Dancer. – Boże, czasem zapominam, jak to jest być młodym. – Wyjmuje z buta płaską flaszkę, wypija trochę, a potem mi ją rzuca.

Śmieję się.

– Kiedy ostatnim razem się napiłem, stryj Narol czymś mnie nafaszerował. – Wypijam trochę. – Może zapomniałeś, jak to bywa

w kopalniach. Nie jestem młody.

Dancer marszczy brwi.

– Nie chciałem cię obrazić, Darrow. Po prostu rozumiesz, co masz zrobić. Rozumiesz, dlaczego masz to zrobić. A jednak wciąż tracisz perspektywę i krytykujesz sam siebie. W tej chwili pewnie cię mdli na własny widok, kiedy patrzysz na swoją złotą wersję. Wporzo mówię?

– Wporzo. – Popijam jeszcze z butelki.

– Ale ty tylko odgrywasz rolę.

Dancer porusza palcem i ostrze wysuwa się z osadzonego na nim pierścienia. Odzyskałem już refleks i jestem na tyle szybki, że mógłbym wepchnąć mu ten szpikulec do gardła, gdybym myślał, że zamierza mnie skrzywdzić, ale pozwalam, żeby przesunął ostrzem po moim palcu wskazującym. Wzbiera krew. Czerwona krew.

– To na wypadek, gdybyś potrzebował przypomnieć sobie, czym naprawdę jesteś.

– Pachnie domem – mówię, ssąc palec. – Mama robiła czerninę ze żmij jaskiniowych. Nie najgorsza rzecz, prawdę mówiąc.

– Maczałeś w niej lniany chleb i posypywałaś kwiatem okry?

– Skąd wiesz?

– Moja mama robiła to samo. – Dancer się śmieje. – Jadaliśmy ją podczas Święta Tańca albo przed Świętem Wawrzynu, kiedy ogłaszano zwycięzcę. Zawsze to był jakiś parszywy Gamma.

– Za Gammy. – Śmieję się i wypijam kolejny łyk.

Dancer uważnie mi się przygląda. Uśmiech w końcu gaśnie na jego twarzy, a oczy stają się zimne.

– Jutro Matteo nauczy cię tańczyć.

– Myślałem, że ty się tym zajmiesz.

Uderza się dłonią w chorą nogę.

– Minęło trochę czasu, odkąd to robiłem. Najlepszy tancerz w Oikos. Potrafiłem się ruszać jak podmuch powietrza w tunelu. Wszyscy nasi najlepsi tancerze byli piekłonurkami. Ja też, przez kilka lat.

– Domyśliłem się.

– Tak? Co mnie zdradziło?

Wskazuję jego blizny.

– Tylko piekłonurek zostałby ukąszony tyle razy, bo nie ma pod ręką wiertaczy, którzy pomogliby mu odpędzać żmije. Mnie też dziabnęła. Przynajmniej dzięki temu zyskałem większe serce.

Dancer kiwa głową i patrzy w dal.

– Wpadłem do gniazda, kiedy szykowałem się do naprawy wiertła w świdroSzponie. Siedziały w jednym z kanałów technicznych, więc ich nie widziałem. Niebezpieczny rodzaj.

Widzę już, dokąd zmierza.

– To były młode – mówię.

Kiwa głową.

– Mają mniej jadu, o wiele mniej niż rodzice. No i nie próbują ci się wgryźć w trzewia i złożyć tam jaj. Kiedy jednak kęsają, wkładają w to całą swoją złośliwość. Na szczęście mieliśmy przy sobie antidotum. Dzięki wymianie z Gammami.

W Lykos nie mieliśmy antidotum.

Pochyla się ku mnie.

– Wrzucamy cię do gniazda młodych żmij. Zapamiętaj to sobie. Egzamin wstępny jest za trzy miesiące. Będiesz miał lekcje z Matteo, a tak to ja będę cię uczył. Jeśli jednak nie przestaniesz się krytykować, jeżeli dalej będziesz nienawidził swojego przebrania, to nie zdasz egzaminu albo, co gorsza, zdasz, a potem w Instytucie potkniesz się i zostaniesz zdemaskowany. A wtedy wszystko pójdzie się chrzanić.

Poprawiam się na krześle. Chociaż raz pojawia się we mnie inny strach – nie obawa przed staniem się czymś, czego Eo by nie poznała, ale bardziej pierwotny lęk, śmiertelny strach przed moimi wrogami. Jacy będą? Widziałem już ich szyderstwa, ich pogardę.

– To nieważne, czy mnie odkryją. – Łapię Dancera za kolano. – Już i tak odebrali mi wszystko, co tylko mogli. To dlatego jestem bronią, którą możesz się posłużyć.

– Mylisz się – warczy. – Jesteś użyteczny, bo jesteś czymś więcej niż bronią. Kiedy twoja żona zginęła, dała ci nie tylko wendetę. Dała ci marzenie. Ty jesteś jego strażnikiem. Jego realizatorem. Przestań więc gotować się z nienawiści i złości. Nie walczysz z nimi, bez względu na to, co mówi Harmonia. Walczysz o marzenie Eo, walczysz dla swojej rodziny, która nadal żyje. Walczysz dla swoich ludzi.

– To opinia Aresa? To znaczy twoja?

– Nie jestem Aressem – odpowiada Dancer. Nie wierzę mu. Widziałem, jak patrzyli na niego jego ludzie, z jakim szacunkiem traktuje go Harmonia. – Wejrzyj w głąb siebie, Darrow, a zdasz sobie sprawę, że jesteś dobrym człowiekiem, który będzie musiał robić złe rzeczy.

Ręce mam wolne od blizn i dziwnie się czuję, gdy je zaciskam, aż knykcie przybierają znajomy biały kolor.

– Rozumiem. Tego właśnie nie ogarniam. Jeśli jestem dobrym człowiekiem, to dlaczego miałbym chcieć robić złe rzeczy?

Pobrano ze strony pijafka.pl

Andromedus

Matteo nie może uczyć mnie tańczyć. Pokazuje mi wszystkie pięć form aureuskich tańców i na tym koniec. W tańcach Złoty większy nacisk kładzie się na partnera niż w tych, których uczył mnie stryj, ale ruchy są znajome. Wykonuję wszystkie pięć form lepiej, niż potrafi to zrobić Matteo. Żeby się popisać, zawiązuję sobie przepaskę na oczach i tańczę każdy taniec po kolei bez muzyki, z pamięci. Stryj Narol był moim nauczycielem; po tysiącu nocy wypełnionych tylko tańcem i pieśnią jestem mistrzem w zapamiętywaniu ruchów własnego ciała, nawet tego nowego. A ono potrafi takie rzeczy, jakie dla mojego starego ciała były niemożliwe. Włókna mięśniowe kurczą się inaczej, ścięgna bardziej się rozciągają, nerwy szybciej reagują. Czuję słodki ból w mięśniach, gdy płynę przez kolejne ruchy.

Jeden z tańców, Polemides, wzbudza we mnie nostalgię. Matteo każe mi trzymać pałeczkę, kiedy wiruję. Rękę z pałeczką trzymam wyciągniętą, jakbym walczył brzytwą. Kiedy moje ciało się porusza, słyszę echo przeszłości. Czuję wibracje kopalni, zapach klanu. Widziałem już ten taniec i wykonuję go lepiej niż wszyscy inni. To taniec, do którego moje ciało zostało stworzone, niezwykle podobny do zakazanego Tańca Żniwiarza.

Kiedy kończę, Matteo jest wściekły.

– To jakaś gierka? – warczy.

– Co masz na myśli?

Piorunuje mnie wzrokiem i przytupuje nogą.

– Nigdy nie opuszczałeś kopalni?

– Znasz odpowiedź na to pytanie.
– Nigdy nie walczyłeś mieczem? Nie używałeś tarczy?
– Owszem, walczyłem. Byłem też kapitanem gwiazdnych krążowników i jadałem z pretorami. – Śmieję się i pytam, o co mu chodzi.

– To nie jest zabawa, Darrow.

– A powiedziałem, że jest?

Nie rozumiem. Co go tak rozgniewało? Popełniam błąd: parskam śmiechem, żeby rozluźnić atmosferę.

– Śmiejesz się? Chłopcze, zadzierasza tu ze Wspólnotą. A ty się śmiejesz? To nie jest jakaś odległa idea. To brutalna rzeczywistość. Jeśli dowiedzą się, kim jesteś, powieszą cię.

Na twarzy Matteo maluje się ból. Jakby aż nazbyt dobrze wiedział, co mówi.

– Wiem.

Ignoruje moje słowa.

– Obsydianowi złapią cię i przekażą Białym, a ci zamkną cię w swoich ciemnych celach i będą cię torturować. Wyłupią ci oczy i obetną wszystko, co czyni cię mężczyzną. Mają bardziej wyrafinowane metody, ale założę się, że nie będzie im chodziło jedynie o zdobycie informacji. Do tego mają odpowiednią chemię. Kiedy już wszystko im powiesz, zabiją mnie, Harmony, Dancera. Zabiją twoją rodzinę za pomocą obdzieraczy ciała i zmiażdżą stopami głowy twoich bratanków. O takich rzeczach nie mówi się w hP. Tak wyglądają konsekwencje, kiedy twoimi wrogami są władcy planet. Planet, chłopcze.

Czuję drżenie aż w szpiku kości. Ja to wszystko wiem. Dlaczego ciągle mi to powtarza? I bez tego się boję. Nie chcę się bać, ale się boję. Moje zadanie całkowicie mnie pochłania.

– Dlatego pytam raz jeszcze, czy jesteś tym, kim Dancer twierdzi, że jesteś?

Zamieram. No tak. Zakładałem, że Synów Aresa łączy głębokie zaufanie; że są jednomyślni. A tu widzę rozłam, pęknięcie. Matteo jest sprzymierzeńcem Dancera, ale nie jego przyjacielem. Coś w moim tańcu sprawiło, że nabrał wątpliwości. A potem coś do mnie dociera. Nie widział, jak Mickey mnie rzeźbił. Przyjmuje na wiarę, że kiedyś byłem Czerwony. Dociera do mnie, jakie to musi być trudne. Coś w moim tańcu sprawiło, że uznał, że mam wrodzony talent. I ma to coś wspólnego z Polemidesem.

– Jestem Darrow, syn Dunlowa, piekłonurek Lambd z Lykos. Nigdy nie byłem nikim innym, Matteo.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Jeśli mnie okłamujesz...

– Nie okłamuję podKolorów.

Później tego wieczoru szukam informacji na temat tańców, które wykonywałem. *Polemides* to greckie słowo znaczące „dziecko wojny”. To taniec wojenny Złotych, którego uczą dzieci, żeby przygotować je do ruchów w walce i do posługiwania się brzytwą. Ogromnie przypominał mi tańce stryja Narola. Oglądam holo z walczącymi Złotymi i serce mi się zaciska. Ich walka jest jak letnia pieśń. W ogóle nie przypominają potężnych, monstualnych Obsydianowych, są raczej jak ptaki kołujące na wietrze. Walczą w parach, kluczą, tańczą, zabijają, przedzierają się przez szeregi Obsydianowych i Szarych, jakby bawili się kosami, a wszystkie ciała, które padają za ich sprawą, były źdźbłami zboża, z których leje się krew zamiast jasnych plew. Ich złote zbroje błyszczą. Ich brzytwy migoczą. To bogowie, nie ludzie.

A ja mam ich zniszczyć?

Źle śpię tej nocy w jedwabnej pościeli. Wreszcie zasypiam, długo po ucałowaniu hemantusa Eo, i śnię o ojcu i o tym, jak by to było znać go aż do dorosłości, uczyć się tańca od niego zamiast od jego pijanego brata. Ściskam szkarłatną przepaskę w dłoni, kiedy się budzę. Trzymam ją równie mocno jak swoją ślubną obrączkę. Wszystko to, co przypomina mi o domu.

A jednak to nie wystarcza.

Boję się.

Rano Dancer zastaje mnie przy śniadaniu.

– Ucieszysz się, słysząc, że nasi hackerzy przez dwa tygodnie włamywali się do chmury Komisji Kontroli Jakości, żeby zmienić Caiusa au Andromedus na Darrowa au Andromedus.

– Świetnie.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? Wiesz ile... Nieważne. – Kręci głową, nie kryjąc rozbawienia. – Darrow. To takie nieKolorowe imię. Będzie wzbudzało konsternację.

Wzruszam ramionami, żeby zatuszować obawy.

– To zmasakruję ten ich przekłety egzamin i wtedy będą mieli w nosie moje imię.

– Mówisz jak prawdziwy Złoty.

Następnego dnia Matteo zabiera mnie statkiem do stajni Ishtar, niedaleko Yorkton. To miejsce leży nad morzem, gdzie ciągną się pokryte zielonymi polami łagodne wzgórza. Nigdy nie widziałem równie rozległej przestrzeni. Nigdy nie widziałem, żeby ziemia się zakrzywiała. Nigdy nie widziałem prawdziwego horyzontu ani zwierząt równie przerażających jak te stworzenia, które załatwił na naszą lekcję Matteo. Tupią i wierzgają, i parszczą, i wymachują ogonami, i szczerzą ogromne żółte zębiska. Konie. Zawsze bałem się koni, mimo opowieści Eo o Andromedzie.

– To potwory – szepczę do Matteo.

– A jednak – odpowiada szeptem – to właśnie robią dżentelmeni. Musisz dobrze jeździć konno, bo inaczej znajdziesz się w kłopotliwym położeniu podczas oficjalnych okazji.

Patrzę na innych Złotych, którzy przejeżdżają nieopodal. Tego dnia jest ich w stajni tylko trzech. Każdemu towarzyszy taki służący jak Matteo: Różowy albo Brązowy.

– Takich jak ta? – syczę do niego. – W porządku, w porządku. – Wskazuję potężnego czarnego rumaka, który uderza kopytem w ziemię. – Wezmę to zwierzę.

Matteo się uśmiecha.

– Ten bardziej odpowiada twojej szybkości – mówi i przydziela mi kuca. Dużego kuca, ale jednak kuca.

Nie ma tu miejsca na społeczne interakcje. Inni jeźdźcy mijają nas kłusem i pochylają głowy, jakby witali się z nami, ale to wszystko. Ich uśmiechy dają mi do zrozumienia, jak bardzo idiotycznie wyglądam. Jazda mi nie podchodzi. A jeszcze mniej podchodzi mi to, że mój kuc daje długą, kiedy razem z Matteo próbujemy przejechać ścieżką przez zagajnik. Po drugiej stronie zagajnika zeskakuję ze zwierzęcia i ląduję zręcznie na trawie. Ktoś śmieje się w oddali, dziewczyna o długich włosach. Jeździ na ogierze, którego wcześniej wskazałem.

– Może powinieneś trzymać się miasta, Piksie! – krzyczy do mnie, a potem uderzeniem pięt ponagla konia.

Wstaję z kolan i patrzę, jak dziewczyna znika w oddali. Włosy powiewają za nią bardziej złociste niż zachodzące słońce.

Egzamin

Czas egzaminu nadchodzi po dwóch miesiącach trenowania umysłu z Dancerem. Nie uczę się niczego na pamięć. Właściwie to w ogóle się nie uczę, kiedy spędzam z nim czas. Trening z nim ma pomóc mojemu umysłowi zaadaptować się do zmiany paradygmatów. Na przykład jeśli ryba ma 3453 łuski na lewym boku i 3453 na prawym, to po której stronie ma więcej łusek? Po zewnętrznej. Nazywają to myśleniem ekstrapolacyjnym. Stąd właśnie wiedziałem, że trzeba zjeść kartę z kosą, kiedy pierwszy raz spotkałem Dancera. Jestem w tym naprawdę świetny.

Moim zdaniem na ironię losu zakrawa fakt, że Dancer i jego przyjaciele są w stanie stworzyć dla mnie fałszywą historię, fałszywą rodzinę, ale nie mogą sfałszować moich wyników egzaminu wstępnego. Zatem trzy miesiące po tym, jak zacząłem szkolenie, zdaję egzamin w jasnym pokoju obok hałaśliwej myszy, Złotogłowej dziewczyny, która bez ustanku stuka rylcem w jadeitową bransoletkę. Z tego, co wiem, nawet to może stanowić część mojej próby. Kiedy nie patrzy, wykradam jej rylec i chowam w rękawie. Jestem piekłonurkiem z Lykos, więc owszem, mogę ukraść głupiej dziewczynie rylec tak, że nawet się nie zorientuje. Rozgląda się, jakby rylec zniknął za sprawą magii. A potem zaczyna jęczeć. Nie dają jej drugiego rylca, więc wybiega z płaczem. Później Miedziany rewizor patrzy na swój terminal i przewija nagranie wideo z nanoKamery. Patrzy na mnie i uśmiecha się pod nosem. Najwyraźniej takie cechy są tu podziwiane.

Dziewczyna jak Złote ostrze brzytwy najwyraźniej się z tym nie zgadza, bo rzuca mi szyderczo do ucha „drań”, kiedy przechodzi obok mnie

w korytarzu. Matteo powiedział mi, żebym z nikim nie rozmawiał, bo jeszcze nie jestem gotowy na kontakty towarzyskie, więc gryzę się w język i ledwie powstrzymuję się od bardzo Czerwonej reakcji. Jej słowo dźwięczy mi w uszach. Drań. Nikczemnik. Makiaweliczny. Bezwzględny. Każda z tych rzeczy opisuje to, za kogo mnie uważa. Najzabawniejsze jest to, że dla większości Żółtych taki epitet to wyraz uznania.

Melodyjny głos zwraca się do mnie:

– Myślę, że właśnie cię skomplementowała, więc nie zwracaj na nią uwagi. Jest śliczna jak brzoskwinia, ale w środku zgniła. Spróbowałem raz kęs, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Smakowita, a potem odstręczająca. Fantastyczne zagranie, nawiasem mówiąc. Sam miałem ochotę wydłubać tej ciamajdzie oczy z głowy. To przekłete stukanie!

Żłocisty głos płynie z ust młodzieńca wyjętego żywcem z greckich strof. Ocieka arogancją i urodą. Nienaganne wychowanie. Nigdy jeszcze nie widziałem równie szerokiego i równie białego uśmiechu, równie gładkiej i lśniącej skóry. Jest wszystkim, czym pogardzam.

Łapie mnie za ramię i ściska moją dłoń na jeden z licznych sposobów stosownych przy półoficjalnej prezentacji. Odwzajemniam lekko uścisk. Ma mocną dłoń, ale kiedy próbuje ustanowić swoją dominację, zakleszczam go tak, że w końcu wyszarpuje rękę. W jego oczach pojawia się cień troski.

– Na Boga, masz rękę jak imadło!

Śmieje się. Bardzo szybko przedstawia się jako Cassius. Mam szczęście, że nie daje mi wielu okazji do odezwania się, bo marszczy czoło, kiedy w końcu to robię. Mój akcent nadal nie jest idealny.

– Darrow – powtarza. – Co za nieKolorowe imię. Aha... – Zerka na terminal, sprawdzając moją historię. – Cóż, właściwie pochodzisz znikąd. Prostack z dalekiej prowincji. Nic dziwnego, że Antonia cię zwyzywała. Posłuchaj, wybaczę ci, jeśli powiesz mi, jak ci poszło na egzaminie.

– Ach tak... Wybaczysz mi?

Ściąga brwi.

– Staram się okazać życzliwość. My z rodziny Bellona nie jesteśmy reformatorami, ale wiemy, że dobrzy ludzie mogą wywodzić się z nizin. Pomóż mi trochę, chłopie.

Na widok jego twarzy nachodzi mnie chęć, żeby go sprowokować.

– Pozwolę sobie przyznać, że spodziewałem się trudniejszego egzaminu. Mogłem zawalić zadanie ze świecą, ale poza tym...

Cassius patrzy na mnie z pobłażliwym uśmiechem. Jego żywe spojrzenie tańczy na mojej twarzy, a ja zastanawiam się, czy matka co rano zakręca mu włosy złotą lokówką.

– Z takimi rękami jak twoje musisz być chodzącą zgrozą, gdy dobywasz brzytwy – podpuszcza mnie.

– Radzę sobie przyzwoicie – kłamię.

Matteo nie pozwala mi nawet tknąć brzytwy.

– Skromność! Człowieku, wychowały cię Białe Kaptury? Nieważne, wybieram się do Agei po próbach fizycznych. Przyłączysz się? Podobno Rzeźbiarze odwalili kawał dobrej roboty na nowych paniach w Pokusie. A w Schadzce dopiero co zainstalowano grawiPodłogi. Można tam latać bez grawiButów. Co powiesz, stary? Wzbudziłem twoją ciekawość? – Puka palcem w jedno ze skrzydeł i mruga porozumiewawczo. – Nie brakuje tam brzaskwinek. I żadna nie jest zepsuta.

– Niestety nie mogę.

– Och. – Podskakuje, jakby nagle przypomniał sobie, że jestem prostakiem z prowincji. – Nie martw się, łaskawy panie, ja stawiam.

Uprzejmie odmawiam, ale on już mknie dalej. Wcześniej, zanim odejdzie, stuka jeszcze palcem w mój terminal. HoloEkran po wewnętrznej stronie mojego lewego przedramienia migocze. Cassius zostawia mi wymiary swojej twarzy i informacje na temat naszej rozmowy: adres klubów, o których wspomniał, encyklopedyczną notkę na temat Agei i jego rodziny. Cassius au Bellona, czytam. Syn pretora Tiberiusa au Bellona, imperatora szóstej floty Wspólnoty i być może jedyne go człowieka na Marsie, który może rywalizować z arcygubernatorem pod względem zasięgu władzy. Najwyraźniej oba te rody serdecznie się nienawidzą. Wygląda na to, że mają paskudny zwyczaj zabijać się nawzajem. Rzeczywiście, gniazdo małych żmij jaskiniowych.

Myślałem, że będę bał się tych ludzi. Myślałem, że będą jak małe bóstwa. Jednakże poza Cassiusem i Antonią wielu nie robi na mnie szczególnego wrażenia. Jest ich tylko siedemdziesięcioro w mojej sali egzaminacyjnej. Niektórzy wyglądają jak Cassius, ale nie wszyscy są piękni. Nie wszyscy są wysocy i władczy. Bardzo niewielu zwraca moją uwagę. Mimo imponującej budowy to tylko dzieci z przesadnym wyobrażeniem na temat własnej wartości. Smarkacze. Przeważnie Piksy i Tombaki.

Potem poddają próbie moje możliwości fizyczne. Siedzę nagi w fotelu w białym pokoju, podczas gdy Miedziani mierniczy z Komisji Kontroli Jakości obserwują mnie przez nanoKamery.

– Mam nadzieję, że dobrze się przyjrzycie – mówię.

Wchodzi Brązowy pracownik i nakłada mi zacisk na nos. Jego wzrok jest pusty. Nie ma w nim chęci walki, nie ma pogardy dla mnie. Ma bladą skórę, a jego ruchy są niezręczne, nieudolne.

Zostaję pouczony, że mam wstrzymywać oddech tak długo, jak pozwolą mi na to płuca. Dziesięć minut. Potem Brązowy zdejmuję zacisk i wychodzi. Mam nabrać powietrza i je wypuścić. Robię to i nagle zdaję sobie sprawę, że w pokoju nie ma tlenu. Kiedy zaczynam osuwać się na siedzeniu, tlen wraca. Następnie obniżają temperaturę i mierzą czas, kiedy zacznę się trząść w niekontrolowany sposób. Potem ją podwyższają, żeby przekonać się, kiedy moje serce zacznie się męczyć. Zwiększają ciśnienie, aż serce nie jest w stanie pompować dość krwi i tlenu do mózgu. Sprawdzają, ile gwałtownych ruchów zniosę, zanim zwymiotuję. Przywykłem do jeżdżenia na dziewięćdziesięciometrowym świdrze, więc muszą się poddać.

Mierzą dopływ tlenu do moich mięśni, tętno, gęstość i długość włókien mięśniowych, rozciągliwość kości. Po piekle, jakie zgotowała mi Harmonia, to wszystko jest jak bułka z masłem.

Każą mi rzucać piłkami, a potem ustawiają mnie pod ścianą i każą łapać małe piłeczki, którymi ostrzeliwuje mnie okrągła maszyna. Ręce piekłonurka są szybsze niż maszyna, więc wołają Zielonego technika, żeby ją podkręcił, aż strzela dosłownie rakietami. W końcu obrywam piłką w czoło. Na chwilę tracę przytomność. To też mierzą.

Potem przeprowadzają testy oka, ucha, nosa i ust i już jest po wszystkim. Po tych sprawdzianach czuję się nieco oderwany od siebie, jakby mierzyły moje ciało i mózg, ale nie mnie. Nie nawiązywałem żadnych osobistych kontaktów z nikim poza Cassiusem.

Wchodzę chwiejnie do szatni, obolały i oszołomiony. Kilka innych osób też się przebiera, więc biorę ubranie i przesuwam się w bardziej ustronne miejsce wśród długich rzędów plastikowych szafek. A potem słyszę dziwny gwizd. Znam tę melodię. Rozbrzmiewa w moich snach. Do tej muzyki umierała Eo. Idę za tym dźwiękiem i natrafiam na dziewczynę, która przebiera się w kącie szatni. Stoi plecami do mnie, widzę smukłe mięśnie, kiedy zakłada koszulę. Odchrząkuję. Odwraca się gwałtownie i przez

krótką niezręczną chwilę stoję i się rumienię. Złoci nie powinni przejmować się nagością. Jednak nic nie mogę poradzić na swoją reakcję. Dziewczyna jest piękna: twarz w kształcie serca, pełne usta, oczy, które się do człowieka śmieją. Śmieją się tak jak wtedy, kiedy odjechała na koniu. To ta sama dziewczyna, która nazwała mnie Piksem, gdy jeździłem na kucyku.

Unosi jedną brew. Nie wiem, co powiedzieć, więc w panice odwracam się i wychodzę z szatni najszybciej jak się da.

Złoty by tak nie postąpił. Kiedy jednak siedzę z Matteo w promie, który wiezie nas do domu, przypominam sobie twarz dziewczyny. Ona też się zaczerwieniła.

Lot jest krótki, zdecydowanie za krótki. Patrzę na Marsa przez podłogę z duroSzkła. Chociaż planetę terraformowano, roślinność wzdłuż trasy naszego lotu nadal jest rzadka. Powierzchnia planety jest upstrzona wstążkami zieleni w dolinach i wokół równika. Wyglądają jak zielone blizny, które przecinają dziobatą powierzchnię.

Woda wypełnia kratery uderzeniowe, tworząc ogromne jeziora. Basen Borealis, który rozciąga się na północnej półkuli, jest napełniony słodką wodą i obfituje w przedziwne morskie życie. Na ogromnych równinach tornada zrywają wierzchnią warstwę gleby i chłoszczą ziemię uprawne. Burze i lód rządzą na biegunach, gdzie trenują i żyją Obsydianowi. Podobno tamtejsze warunki są okrutne i surowe, chociaż na większości Marsa przeważa teraz umiarkowany klimat.

Na Marsie istnieje tysiąc miast. Każde z nich stanowi ośrodek kolonii górniczej zarządzanej przez gubernatora. Nad nimi wszystkimi stoi arcygubernator, a zarządcy, tacy jak Podginus, prowadzą bieżące sprawy poszczególnych kopalń.

Przy tylu kopalniach i miastach dochodzę do wniosku, że tylko przez czysty przypadek arcygubernator pojawił się w moim domu z ekipą kamerzystów. Przypadek i moja pozycja piekłonurka. Chcieli mnie przykładnie ukarać; Eo dorzucili po chwili namysłu. Nie trafiłaby na stryczek, gdy nie przybył arcygubernator. Ironia życia nie jest rzeczą uroczą.

– Jak będzie w Instytucie, jeśli się tam dostanę? – pytam Matteo, wyglądając przez okno.

- Podejrzewam, że będziesz miał mnóstwo zajęć. Skąd mam wiedzieć?
- Nie masz żadnych informacji?
- Nie.

– Nie?

– No, może trochę – przyznaje Matteo. – Instytut kończą trzy typy ludzi: Niezrównani Naznaczeni, Absolwenci i Pohańbieni. Niezrównanych czeka awans społeczny, Absolwentów także, chociaż ich perspektywy są względnie ograniczone i nadal muszą dochrapać się swoich blizn. A Pohańbieni są wysyłani do odległych kolonii, takich jak Pluton, gdzie panują ciężkie warunki. Tam nadzorują pierwsze lata terraformowania.

– Jak zostaje się Niezrównanym?

– Podejrzewam, że istnieje jakiś system szeregowania, może oparty na rywalizacji. Nie wiem, ale Złoci to rasa, która powstała na fundamencie podboju. Miałoby to sens, gdyby odzwierciedlało się to w rywalizacji w Instytucie.

– Bardzo to mgliste. – Wzdycham. – Czasem jesteś równie pomocny jak beznogi pies.

– W społeczności Złotych, łaskawy panie, kluczową kwestią jest patronat. Twoje działania w Instytucie będą swoistym przedłużonym przesłuchaniem, którego celem jest uzyskanie patronatu. Potrzebujesz stażu. Potrzebujesz potężnego benefaktora. – Uśmiecha się szeroko. – Więc jeśli chcesz pomóc naszej sprawie, to wykażesz się tak parszywie dobrze, jak to tylko możliwe. Pomyśl, że mógłbyś zostać uczniem pretora. Za dziesięć lat sam mógłbyś być pretorem. Mógłbyś mieć flotę! Wyobraź sobie, co mógłbyś zrobić, dysponując własną flotą, łaskawy panie. Wyobraź sobie.

Matteo nigdy nie pozwala sobie na takie rojenia, więc entuzjazm w jego głosie jest zaraźliwy. I zaczynam sobie wyobrażać.

Instytut

Wyniki mojego egzaminu przychodzą, kiedy ćwiczę z Matteo świadomość kulturową i akcent. Z wysoko położonego penthouse'u mamy widok na miasto, za którym zachodzi słońce. Jestem właśnie w połowie błyskotliwej riposty na temat klubu gier wojennych Supernowa Yorkton, kiedy mój terminal piszczy, sygnalizując priorytetową wiadomość. Prawie oblewam się kawą.

– Mój terminal został przejęty – mówię. – To Komisja Kontroli Jakości.

Matteo podrywa się z krzesła.

– Mamy jakieś cztery minuty.

Biegnie do biblioteki w apartamencie, gdzie Harmony czyta na ergokanapie. Harmony zrywa się na równe nogi i wybiega z penthouse'u w czasie krótszym niż trzy oddechy. Sprawdzam, czy moje holoZdjęcia z fałszywą rodziną stoją na swoich miejscach w sypialni i innych pokojach. Czworo wynajętych służących – Brązowi i Różowa – zajmuje się obowiązkami domowymi. Noszą liberie z Pegazem, godłem mojego rzekomego rodu.

Jeden z Brązowych idzie do kuchni. Różowa masuje mi ramiona. Matteo czyści mi buty w pokoju. Oczywiście są od tego maszyny, ale Aureus nigdy nie użyłby jej do czegoś, co może zrobić człowiek. Nie czułby wtedy, że ma władzę.

Powietrzna limuzyna wygląda w oddali jak wałka. Rośnie, nadlatując z brzękiem, i zawisa za oknem penthouse'u. Otwierają się przesuwne drzwi i mężczyzna w garniturze Miedzianego zgina się w oficjalnym ukłonie. Za

pomocą terminala otwieram okno z duroSzkła i nieznajomy wlatuje do środka. Towarzyszą mu trzej Biali. Każdy ma Białą Pieczęć na dłoni. Akademicy i Miedziany biurokrata.

– Czy mam przyjemność z niejakim panem Darrowem au Andromedus, synem zmarłego niedawno Linusa au Andromedus i Lexus au Andromedus?

– Tak, masz ten zaszczyt.

Biurokrata obrzuca mnie spojrzeniem w sposób pełen szacunku, choć zarazem bardzo niecierpliwy.

– Jestem Bondilus cu Tancrus z Komisji Kontroli Jakości przy Instytucie. Pojawiły się pewne pytania, które musimy panu zadać.

Siadamy naprzeciwko siebie przy dębowym stole kuchennym. Tam podłączają mój palec do maszyny i jeden z Białych wkłada okulary, za pomocą których będzie analizował moje źrenice i inne reakcje fizjologiczne. Będą w stanie zorientować się, czy kłamię.

– Zaczniemy od kontrolnego pytania, żeby ustalić normalną reakcję przy mówieniu prawdy. Czy należy pan do rodu Andromedus?

– Tak.

– Należy pan do gatunku Aureus?

– Tak. – Kłamię im w żywe oczy, rozwalając pytania kontrolne.

– Czy oszukiwał pan podczas egzaminu dwa miesiące temu?

– Nie.

– Czy posługiwał się pan neuronukleiną, żeby zwiększyć swoje zdolności rozumienia i funkcje analityczne podczas samego egzaminu?

– Nie.

– Czy posługiwał się pan interfejsem sieciowym, żeby zebrać lub zsyntetyzować zewnętrzne zasoby w czasie rzeczywistym?

– Nie. – Wzdycham zniecierpliwiony. – W sali był zakłócacz, więc byłoby to niemożliwe. Cieszę się, że to wcześniej sprawdziłeś, żeby nie marnować mojego czasu.

Uśmiecha się jak biurokrata.

– Czy znał pan wcześniej pytania?

– Nie. – Uznaję, że na tym etapie należy zareagować gniewem. – O co tu chodzi? Nie nawykłem do tego, żeby ktoś twojego rodzaju nazywał mnie kłamcą.

– Taka jest procedura w wypadku nadzwyczajnych wyników, lordzie Aureusie. Proszę o zrozumienie – cedzi biurokrata. – Każdy unikatowy

wynik wykraczający daleko ponad odchylenie standardowe podlega badaniu. Czy podczas egzaminu podłączył pan swój interfejs sieciowy do innego interfejsu?

– Nie. Jak już wspomniałem, w sali był zakłócacz. Dziękuję, że o tym pamiętasz, Miedziaku.

Pobierają próbkę mojej krwi i skanują mi mózg. Wyniki są natychmiastowe, ale biurokrata się nimi nie dzieli.

– Taki jest protokół – przypomina mi. – Za dwa tygodnie otrzyma pan wyniki.

Dostaję je za cztery. Przeszedłem szczęśliwie badania Komisji Kontroli Jakości. Nie oszukiwałem. A potem przychodzi wynik mojego egzaminu, dwa miesiące po tym, jak zdałem to cholerstwo, i dociera do mnie, dlaczego uznali, że oszukiwałem. Nie odpowiedziałem na jedno pytanie. Tylko jedno. Z kilkuset. Kiedy dzielę się wynikami z Dancerem, Harmony i Matteo, po prostu gapią się na mnie. Dancer pada na krzesło i zaczyna się śmiać. Histerycznie.

– Psiajucha! – klnie. – Udało nam się.

– Jemu się udało – poprawia go Matteo.

Mija minuta, zanim Dancer ogarnia się na tyle, żeby przynieść butelkę szampana, ale nadal patrzy na mnie jak na odmieńca. Dziwadło. Jakby nagle przestali rozumieć, co stworzyli. Dotykam hemantusa w kieszeni i czuję obrączkę na szyi. To nie oni mnie stworzyli, ale ona.

Kiedy pojawia się służący, żeby odwieźć mnie do Instytutu, żegnam się z Dancerem w penthousie. Trzyma mocno moją dłoń, kiedy podajemy sobie ręce, i posyła mi takie samo spojrzenie jak mój ojciec, zanim go powiesili. Tchnie otuchą, ale pod nią kryje się troska i wątpliwość. Czy przygotował mnie do tego świata? Czy dopełnił obowiązków? Mój ojciec miał dwadzieścia pięć lat, kiedy tak na mnie spojrzał. Dancer ma czterdzieści jeden. To niczego nie zmienia. Śmieję się. Stryj Narol nigdy tak na mnie nie spojrzał, nawet kiedy pozwolił mi odciąć Eo. Pewnie dlatego, że przyjął dość moich prawych sierpowych, żeby znać odpowiedź. Kiedy jednak myślę o swoich nauczycielach, o moich ojcach, to dochodzę do wniosku, że to stryj Narol w największym stopniu mnie ukształtował. Nauczył mnie tańczyć, nauczył mnie, jak być mężczyzną, może dlatego, że wiedział, jaka czeka mnie przyszłość. I chociaż próbował mnie powstrzymać przed karierą piekłonurka, to właśnie jego lekcje pozwoliły mi przeżyć. Miejmy nadzieję, że teraz też się sprawdzą.

Dancer daje mi nożoPierścień, którym kilka miesięcy temu rozciął mi palec. Ma on jednak zmieniony kształt, żeby wyglądał jak litera „L”.

– Będą myśleli, że to szewron, jaki Spartanie nosili na tarczach – powiedział. – „L” jak Lacedemon. Ale to oznacza Lykos. Oznacza Lambdę.

Harmony mnie zaskakuje: ujmuję moją prawą dłoń i całuje ją w miejscu, gdzie kiedyś widniała Czerwona Pieczęć. Ma łzy w jednym oku, tym zimnym, nie pobliżnionym. Drugie nie może płakać.

– Evey zamieszka z nami – mówi mi. Uśmiecha się, zanim zapytam o powody. Uśmiech wygląda dziwnie na jej twarzy. – Myślisz, że tylko ty zauważasz różne rzeczy? Damy jej lepsze życie, niż mógłby to zrobić Mickey.

Matteo i ja uśmiechamy się i kłaniamy sobie nawzajem. Wymieniamy się stosownymi tytułami, on wyciąga dłoń. Nie ściska jednak mojej, tylko wyjmuję mi kwiat z kieszeni. Chcę mu go zabrać, ale nadal jest jedynym mężczyzną, jakiego spotkałem, który jest szybszy ode mnie.

– Nie możesz wziąć go ze sobą, łaskawy panie. Obrączka na twojej dłoni jest dostatecznie dziwaczna. Kwiat to już za wiele.

– To daj mi choć płatek.

– Pomyślałem, że o to poprosisz. – Wyciąga medalion. Przedstawia herb rodu Andromedus. Mój herb, przypominam sobie. Upuszcza go na moją rękę. – Szepnij jej imię. – Robię to i Pegaz rozwija się jak pączek hemantusa. Pośrodku niego widzę płatek. Zaraz się zamyka. – To twoje serce. Strzeż go żelazem.

– Dziękuję, Matteo – mówię ze łzami w oczach. Podnoszę go i obejmuję mimo jego protestów. – Jeśli przeżyję dłużej niż tydzień, to będę musiał za to podziękować właśnie tobie, łaskawy panie.

Matteo rumieni się, kiedy odstawiam go na podłogę.

– Panuj nad sobą – upomina mnie, poważniejąc. – Maniery, maniery, dobre maniery. A potem spal tych parszywców na popiół.

* * *

Ściskam Pegaza w dłoni, kiedy prom przelatuje nad marsjańską prowincją. Palce zieleni rozciągają się po ziemi, przez którą przekopywałem się całe życie. Zastanawiam się, kto jest teraz piekłonurkiem Lambd. Loran jest za młody. Barlow za stary. Kieran? Zbyt

odpowiedzialny. Ma dzieci do kochania, widział dość śmierci w naszej rodzinie. I nie ma ognia w trzewiach. Leanna za to ognia ma dość, ale kobietom nie wolno kopać. Pewnie Dain, brat Eo. Dziki, ale niezbyt bystry. Typowy piekłonurek. Szybko umrze. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Nie chodzi tylko o to. Denerwuję się. Powoli dociera to do mnie, kiedy rozglądam się po wnętrzu promu. Pozostała szóstka pasażerów siedzi w milczeniu. Jeden – smukły chłopak o otwartym spojrzeniu i ładnym uśmiechu – nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. Należy do tego rodzaju ludzi, co nadal śmieją się na widok motyli.

– Julian – oznajmia jak należy i ujmuje mnie za przedramię. Nie możemy przekazać sobie danych przez nasze terminale, zabrano nam je, gdy wsiadaliśmy na pokład. Dlatego zamiast tego proponuję mu, żeby usiadł naprzeciwko. – Darrow, to bardzo ciekawe imię.

– Byłeś kiedyś w Agei?

– Jasne – odpowiada z uśmiechem. Stale się uśmiecha. – Chcesz powiedzieć, że ty nie? To dziwne. Myślałem, że znam wielu Złotych, ale prawie żaden z nich nie przeszedł egzaminów wstępnych. Obawiam się, że to dla mnie nieodkryty i wspaniały świat nowych twarzy. W każdym razie zazdroszczę ci, że nie byłeś w Agei. To dziwne miejsce. Bez wątpienia piękne, ale życie tam jest szybkie i podobno tanie.

– Jednak nie dla nas.

Śmieje się.

– Pewnie nie. Chyba że bawisz się w politykę.

– Niespecjalnie przepadam za zabawą. – Zauważam jego reakcję, więc zbywam śmiechem własną powagę i mrugam porozumiewawczo. – No, chyba że w grę wchodzi zakład. Rozumiesz?

– Pewnie! Co obstawiasz? Krwawe szachy? Grawikros?

– No wiesz, krwawe szachy są w porządku. Jednak dla mnie najlepsze są gry wojenne – odpowiadam z szerokim uśmiechem Złotego.

– Zwłaszcza jeśli jesteś fanem Nortown! – przytakuje mi.

– Och... Nortown. Nie wiem, czy się polubimy – mówię z grymasem. Wskazuję siebie kciukiem. – Yorkton.

– Yorkton! Rzeczywiście, ja też nie wiem, czy kiedykolwiek się polubimy! – odpowiada ze śmiechem Julian.

Nie ma pojęcia, jaki zimny jestem w środku, chociaż się uśmiecham. Rozmowa, żartobliwe drwiny, uśmiechy – to wszystko są wyuczone

zachowania towarzyskie. Matteo dobrze mnie przygotował. Muszę jednak przyznać, że Julian nie wygląda na potwora.

A powinien nim być.

– Mój brat musiał już dotrzeć do Instytutu. Był w Agei, w naszej rodzinnej posiadłości, gdzie na pewno rozrabiał! – Julian z dumą kręci głową. – Najlepszy człowiek, jakiego znam. Zostanie Prymusem, przekonasz się. Duma i radość naszego ojca, a to o czymś świadczy, zważywszy, ilu członków ma moja rodzina!

W jego głosie nie ma nawet krztyny zazdrości, sama miłość.

– Prymusem?

– Och, to żargon z Instytutu. Oznacza lidera Domu.

Domy – to znam. Jest ich dwanaście i są z grubsza podzielone według cech osobowości. Każdy z nich został nazwany na cześć boga z rzymskiego panteonu. Domy to narzędzie do nawiązywania kontaktów, swoiste kluby towarzyskie poza Instytutem. Jeśli się wykażesz, to ich członkowie znajdą ci potężną rodzinę, której możesz służyć. Jedną z tych, które mają prawdziwą władzę we Wspólnocie, dysponują własnym wojskiem i flotą i wspierają siły Suwerenki. To tym rodom jest się wiernym. Niewiele miłości pozostaje dla mieszkańców własnej planety. Przeciwnie: mieszkańcy stanowią konkurencję.

– Ej, sukinkoty, skończyliście już się brandzlować? – kpi szelmowski dzieciak z kąta promu. To taki szarak, że bardziej jest khaki niż Złoty. Ma wąskie usta i twarz okrutnego sokoła, który właśnie spostrzegł mysz. Tombak.

– Przeszkadzamy ci? – W uprzejmości kryję sarkazm.

– Czy przeszkadzają mi dwa ryćkające się psy? Najpewniej tak. Jeśli są hałaśliwe.

Julian wstaje.

– Przepróż, kundlu.

– Idź się walić – odpowiada nieduży dzieciak.

W pół sekundy Julian wyciąga znikąd białą rękawiczkę.

– Chcesz mi tym podetrzeć tyłek, złoty lachociągu?

– Co?! Ty mały barbarzyńco! – Julian jest zaszokowany. – Kto cię wychowywał?

– Wilki, po tym jak wypłuła mnie szparka twojej matki.

– Ty prymitywie!

Julian rzuca w dzieciaka rękawiczką. Ja obserwuję tę przeżabawną komedię. Szkrab robi wrażenie, jakby wyciągnięto go prosto z Lykos, może z klanu Beta. Jest jak brzydki, mały, denerwujący Loran. Julian nie wie, co zrobić, więc rzuca mu wyzwanie.

– Wyzywam cię, łaskawy panie.

– Pojedynek? Aż tak cię obraziłem? – Brzydki dzieciak prychnął na książątko. – Dobrze. Połatałem twoją dumę rodzinną po Próbie, lachociągu. – Wydmuchuje nos w rękawiczkę.

– Czemu nie teraz, tchórze? – woła Julian.

Wydał smukłą pierś, pewnie tak jak uczył go ojciec. Nikt nie będzie obrażał jego rodziny.

– Głupi jesteś? Widzisz tu jakieś brzytwy? Idiota. Idź sobie. Będziemy się pojedynekować po Próbie.

– Po Próbie... ? – Julian wreszcie pyta o to, o czym sam myślę.

Mizerny dzieciak szczerzy szelmowsko zęby. Nawet one są khaki.

– To ostatni sprawdzian, idioto. I największy sekret po tej stronie pierścieni wokół szparki Octavii au Lune.

– To skąd o tym wiesz? – pytam.

– Mam dojścia. Poza tym nie wiem, tylko... słyszałem, ty wielki tumanie.

Nazywa się Sevro i podoba mi się jego podejście.

Jednak wieść o Próbie mnie martwi. Dociera do mnie, jak niewiele wiem, kiedy słucham, jak Julian zagaduje ostatniego pasażera naszego promu. Rozmawiają o wynikach egzaminów. Istnieje ogromna różnica między ich niskimi wynikami a moimi. Zauważam, że Sevro parska na głos, kiedy słyszy, jak o nich mówią. Jak kandydaci z tak niskimi wynikami dostają się do Instytutu? Ścisną mnie w żołądku. Ciekawe, jaki on mógł mieć wynik?

Łądujemy w Valles Marineris po zmroku. To wielka blizna światła na czarnej powierzchni Marsa, ciągnąca się, jak daleko wzrok sięga. Pośrodku wznosi się stolica mojej planety, niczym ogród z ozdobionych klejnotami mieczy wśród nocy. Nocne kluby migoczą na dachach, parkiety taneczne są zrobione z zagęszczonego powietrza. Skąpo ubrane dziewczęta i niemądry chłopcy wznoszą się i opadają, kiedy grawimikserzy bawią się prawami fizyki. Bąble dźwiękoszczelne oddzielają kwartały miejskie. Kiedy je przecinamy, słyszę osobne światy różnych dźwięków.

Instytut znajduje się poza nocnymi dzielnicami Agei, wbudowany w wysokie na osiem kilometrów ściany Valles Marineris. Wznoszą się one jak potężne fale przypływu z zielonej skały, otulając roślinnością cywilizację. Sam Instytut, wybudowany z białego kamienia, to gmach pełen kolumn i rzeźb, rzymski do szpiku kości.

Nigdy wcześniej tu nie byłem, ale widziałem te kolumny. Widziałem cel naszej podróży. Gorycz wzbiera we mnie jak żółć, podchodzi mi z żołądka do gardła na myśl o jego twarzy. Na myśl o jego słowach, o oczach przyglądających się tłumowi. Oglądałem raz za razem w hP, jak arcygubernator wygłaszał swoje mowy przed poprzednimi rocznikami. Niedługo sam usłyszę taką przemowę z jego ust. Wkrótce zaleje mnie gniew. Poczuję ogień liżący mi serce, gdy znowu zobaczę go na własne oczy.

Siadamy na lądowisku i zostajemy zagnani na marmurowy plac pod gołym niebem z widokiem na rozległą dolinę. Nocne powietrze jest rześkie. Przed nami za bramą Instytutu rozciągają się połacie Agei. Stoję razem z ponad tysiącem Złotogłowych, którzy rozglądają się dookoła, zadufani jak cała ich rasa. Wielu zbiera się w grupki: to przyjaciele spoza białych murów szkoły. Nie spodziewałem się, że roczniki są aż tak liczne.

Wysoki Złoty mężczyzna w obstawie Obsydianowych i towarzystwie koterii Złotych doradców unosi się w powietrzu przed bramą. Ma grawiButy. Serce mi zamiera, kiedy rozpoznaję tę twarz, słyszę głos i widzę w jego oczach blask złotych sztabek.

– Witajcie, Złote dzieci – mówi arcygubernator Nero au Augustus głosem gładkim jak skóra Eo i nienaturalnie donośnym. – Zakładam, że rozumiecie powagę swojej obecności w tym miejscu. Z tysiąca miast na Marsie, ze wszystkich wielkich rodów to wy jesteście nielicznymi wybranymi. Stoicie na szczycie ludzkiej piramidy. Dzisiaj zaczniecie kampanię, która ma was doprowadzić do najwyższej kasty w obrębie naszej rasy. Wasi towarzysze stoją tak jak wy w Instytucie Wenus, w Instytutach Wschodniej i Zachodniej Półkuli Ziemi, w Instytucie Luny, Księżyców Gazowych Olbrzymów, Europy, w Instytutach Planetoid Trojańskich, Merkurego, Kallisto, w Instytucie spółki Enceladus i Ceres oraz w pionierskim Instytucie Rodziny Planetoidy Hilda.

Mam wrażenie, że zaledwie wczoraj myślałem o sobie jako marsjańskim pionierze; że dopiero co cierpiełem dla ludzkości, która

desperacko pragnie opuścić umierającą Ziemię i rozlać się na czerwonej planecie. Och, jak dobrze kłamali moi władcy.

Za Augustusem wśród gwiazd spostrzegam ruch, ale to nie gwiazdy się poruszają, nie asteroidy ani komety. To floty szósta i piąta. Armada Marsa. Zapiera mi dech w piersi. Szóstą flotą dowodzi ojciec Cassiusa, a nad mniejszą, piątą, kontrolę sprawuje arcygubernator. Większość statków należy do rodzin, które sprzymierzyły się z rodem Augustus albo Bellona.

Augustus pokazuje nam, dlaczego my... dlaczego oni rządzą. Przechodzą mnie ciarki. Jestem taki mały. Miliardy ton duroStali i nanoMetalu poruszają się po niebie, a ja nigdy nie przekroczyłem granicy marsjańskiej atmosfery. Są jak srebrny pył na atramentowym oceanie. Ja zaś jestem czymś znacznie mniejszym. Ten pył mógłby spustoszyć Marsa. Mógłby zniszczyć księżyc. Ten pył rządzi atramentem. Każdą flotą dowodzi imperator; pretor dowodzi eskadrami w obrębie floty. Czego mógłbym dokonać, mając taką władzę...

Augustus jest wyniosły, gdy wygłasza swoją mowę. Przełykam żółć, która podeszła mi do gardła. Z powodu niewiarygodnego dystansu dzielącego mnie od wrogów mój gniew kiedyś był zimny, spokojny. Teraz we mnie płonie.

– Ewolucja społeczeństwa składa się z trzech etapów. To Barbarzyństwo, Rozwój i Dekadencja. Wielcy wyróżniają się w epoce Barbarzyństwa. Władają w okresie Rozwoju. Upadają z powodu Dekadencji.

Mówi nam, jak upadli Persowie, jak załamał się świat Rzymian, którzy zapomnieli, w jaki sposób ich przodkowie zdobyli dla nich imperium. Papla bez końca o dynastiach muzułmańskich, europejskiej zniewieściałości, chińskim regionalizmie i amerykańskiej samonienawiści i samokastracji. Padają wszystkie starożytne nazwy.

– Nasza epoka Barbarzyństwa zaczęła się, kiedy nasza stolica, Luna, zbuntowała się przeciwko ziemskiej tyranii i uwolniła się z oków Demokracji, wyzwoliła się od Szlachetnego Kłamstwa, wyzbyła się idei, że ludzie są braćmi i zostali stworzeni równi.

Augustus tka własne kłamstwa, które płyną z jego złotych ust. Mówi o cierpieniu Złotych. Przypomina, że Masy siedziały na wozie i czekały, aż wielcy ich pociągną, siedziały i popędywały ich wielkich batem, aż dłużej nie mogliśmy tego znieść.

Ja przypominam sobie inną chłostę.

– Ludzie nie zostali stworzeni równymi, dobrze to wiemy. Istnieją ludzie przeciętni. Istnieją też unikaty. Są brzydzy. Są piękni. Nie byłoby tak, gdybyśmy wszyscy byli równi. Czerwony nie może dowodzić statkiem, tak jak Zielony nie nadaje się na lekarza!

Śmiech rozlewa się po placu, kiedy arcygubernator mówi, żebyśmy spojrzeli na żałosne Ateny, miejsce narodzin raka zwanego Demokracją. Spójrzcie, jak uległa Sparcie. Szlachetne Kłamstwo osłabiło Ateny. Sprawilo, że ich obywatele z zazdrości zwrócili się przeciwko swojemu najlepszemu generałowi, Alcybiadesowi.

– Nawet państwa na Ziemi zaczęły zazdrościć sobie nawzajem. Stany Zjednoczone Ameryki narzucały tę ideę równości siłą. A kiedy ziemskie narody się zjednoczyły, Amerykanie ze zdziwieniem odkryli, że nie są lubiani! Masy są zazdrosne! Równość wszystkich ludzi byłaby cudownym snem. Nie rodzimy się jednak równi. To ze Szlachetnym Kłamstwem walczymy. Jednakże, jak już wcześniej wspomniałem i jak powtarzam teraz, istnieje jeszcze inne zło, z którym walczymy. Bardziej zgubne. Wywrotowe, powolnie działające zło. To nie jest gwałtowna pożoga. To rak. Tym rakiem jest Dekadencja. Nasza Wspólnota przeszła od Barbarzyństwa do Rozwoju. Jednak tak jak nasi duchowi poprzednicy, Rzymianie, my również możemy paść ofiarą Dekadencji.

Mówi o Piksach.

– Jesteście tym, co najlepsze w ludzkości, ale zostaliście rozpieszczeni. Traktowano was jak dzieci. Gdybyście się urodzili w innym Kolorze, mielibyście zgrubiałe dłonie. Mielibyście blizny. Znalibyście ból.

Uśmiecha się, jakby znał ból. Nienawidzę tego człowieka.

– Myślicie, że znacie ból. Myślicie, że Wspólnota jest nieuchronną siłą napędzającą historię. Myślicie, że stanowi jej zakończenie. Jednakże wielu wcześniej tak myślało. Wielu rządzących wierzyło, że one będą ostatnie, że staną się zwieńczeniem. A zamiast tego zmiękli. Obrosli w tłuszcz. Zapomnieli, że to stwardniałe dłonie, rany, blizny i trud pozwalają zachować te wspaniałe kluby rozkoszy, jakie wy, młodzi chłopcy, tak lubicie odwiedzać, te piękne jedwabie, diamenty i jednorożce, o jakie wy, dziewczęta, prosicie na urodziny. Wielu Aureusów nie poświęciło się. Dlatego nie noszą tego. – Wskazuje długą bliznę na prawym policzku. Octavia au Luna też taką ma. – To blizna Niezrównanego. Nie dlatego jesteśmy panami Układu Słonecznego, że się nimi urodziliśmy. Jesteśmy

nimi, bo sami się nimi mianowaliśmy. My, Niezrównani Naznaczeni. My, Żelaźni Złoci.

Dotyka blizny na policzku. Zafundowałbym mu drugą taką, gdybym stał bliżej. Dzieci wokół mnie łykają dyrdymały tego człowieka jak tlen.

– W tej chwili Kolory, które pracują w kopalniach tej planety, są twardsze od was. Rodzą się ze stwardniałymi dłońmi. Rodzą się z bliznami i nienawiścią. Są twardzi jak nanoStal. Na szczęście są też bardzo głupi. Na przykład ta Persefona, o której niewątpliwie słyszeliście, to zwykła tępą dziewczyna, która myślała, że wyśpiewanie pieśni jest warte śmierci przez powieszenie.

Wygryzam sobie krwawą dziurę w policzku. Skóra mnie mrowi z wściekłości, kiedy odkrywam, że moja żona jest częścią przemowy tego łajdaka.

– Nie wiedziała nawet, że to nagranie wycieknie. A jednak to jej gotowość na cierpienie dała jej siłę. Widzicie, męczennicy są jak pszczoły. Ich jedyna siła płynie ze śmierci. Ilu z was poświęciłoby się nie po to, żeby zabić, ale jedynie zranić wroga? Założę się, że żadne z was by tego nie zrobiło.

Czuję smak krwi w ustach. Mam nożoPierścień, który dał mi Dancer. Oddycham jednak głęboko, żeby pokonać wściekłość. Nie jestem męczennikiem. Nie jestem zemstą. Jestem marzeniem Eo. Mimo to stanie beczynną, kiedy jej morderca się pyszni, wydaje się zdradą.

– W swoim czasie otrzymacie bliznę zadaną moim własnym mieczem – kończy Augustus – ale najpierw musicie na nią zasłużyć.

Pobór

– Syn Linusa i Lexus au Andromedus, którzy oboje należeli do Domu Apolla. Czy chcesz zaznaczyć, że wolałbyś Dom Apolla? – pyta Złoty administrator. Nudzi mnie.

Złotogłowi przede wszystkim są lojalni wobec własnego Koloru, potem wobec rodziny, planety i na końcu wobec Domu. Większość Domów jest zdominowana przez jedną albo dwie potężne rodziny. Na Marsie ród Augustus, ród Bellona i ród Arcos wpływają na wszystkie pozostałe.

– Nie – odpowiadam.

Przegląda dane na terminalu.

– Bardzo dobrze. Jak sądzisz, jak poradziłeś sobie na teście ze slangLogiki? To test z ekstrapolacji – wyjaśnia.

– Myślę, że moje wyniki mówią same za siebie.

– Nie uważałeś. Dam ci za to minus. Proszę, żebyś sam powiedział mi o swoich wynikach.

– Moim zdaniem rozniosłem ten wasz przeklęty test w drobny mak, proszę pana.

– No tak... – Uśmiecha się. – Owszem, owszem. Ceniący atuty umysłowe Dom Minerwy może być dla ciebie odpowiedni. Może Dom Plutona, z powodu twojej przebiegłości. Dom Apolla z racji dumy. Taaak... Hmm... Mam dla ciebie test. Wykonaj go, proszę, najlepiej jak potrafisz. Kiedy skończysz, zaczną się rozmowy kwalifikacyjne.

Test jest krótki i ma formę immersyjnej gry. Na wzgórzu jest kielich, który muszę zdobyć. Na mojej drodze stoi wiele przeszkód. Pokonuję je tak

racjonalnie, jak to tylko możliwe, starając się ukrywać mój gniew, kiedy mały elf kradnie mi zdobyty klucz. Jednakże na każdym kroku natykam się na komplikacje, jakieś utrudnienia. I zawsze są one nieprzewidziane, zawsze wykraczają poza granice ekstrapolacji. Ostatecznie docieram do kielicha, ale dopiero po zabiciu denerwującego czarodzieja i okrutnym zniewoleniu rasy elfów za pomocą magicznej różdżki wspomnianego maga. Mogłem zostawić elfy w spokoju, ale naprawdę mnie rozdrażniły.

Wkrótce zaczynają przychodzić Złoci, żeby przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną. Dowiaduję się, że nazywa się ich rewizorami. Każdy z nich jest Niezrównanym Naznaczonym. Zostali wybrani przez arcygubernatora, żeby uczyć i reprezentować uczniów Domu wewnątrz Instytutu.

Wszyscy są imponujący: ogromny Naznaczony mężczyzna o włosach jak lew, z błyskawicą – symbolem Jowisza – na kołnierzyku; dostoja kobieta o łagodnych złotych oczach; błyskotliwy mężczyzna ze skrzydlatą stopą na kołnierzyku. Ten ostatni nie potrafi usiedzieć nieruchomo, a jego dziecinna twarz zdradza ogromną fascynację moimi rękami. Każe mi zabawić się z nim w grę: on wyciąga przed siebie wyprostowane płasko dłonie wewnątrz do góry, a ja kładę na nich swoje, grzbietem do góry. Próbuje uderzyć mnie po rękach, ale ani raz mu się nie udaje. Odchodzi, klaszcząc z uciechy.

Podczas kolejnego dziwnego spotkania, kiedy rozmawia ze mną piękny mężczyzna o ułożonych w pukle włosach. Ma na kołnierzyku łuk. Symbol Apolla. Pyta mnie, za jak atrakcyjnego się uważam, i jest niezadowolony, kiedy oceniam siebie gorzej niż on. Mimo to myślę, że przypadam mu do gustu, bo pyta mnie, kim pewnego dnia chciałbym zostać.

– Imperatorem floty – odpowiadam.

– Mógłbyś dokonać wielkich rzeczy z flotą, ale to wybujała ambicja – mówi z westchnieniem, akcentując każde słowo kocim pomrukiem. – Może zbyt wygórowana jak na twoją rodzinę. Może gdybyś miał benefaktora z lepszego rodu... Tak, może wtedy. – Zerka na swój terminal. – Ale to mało prawdopodobne przy twoim pochodzeniu. Hmm. Życzę powodzenia.

Siedzę sam przez godzinę albo więcej, aż przychodzi do mnie posępny mężczyzna. Ma szczupłą, ściągniętą twarz o ostrych rysach, a także Bliznę i rękajeść brzytwy przy biodrze. Nazywa się Fitchner. Kulka gumy do żucia wypełnia mu usta. Nosi czarny mundur ze złotym wykończeniem, który niemal ukrywa rysujący się lekko brzusek, wystający mimo otaczającego go delikatnego zapaszku metabolizerów. Podobnie jak wielu innych nosi

odznaki wskazujące, kim jest: złoty dwugłowy wilk zdobi jego kołnierz, na mankencie munduru widnieje osobliwa dłoń.

– Dają mi wściekle psy – mówi. – Dają mi zabójców z naszej rasy, których rozpiera złość, energia, napalm. – Pociąga nosem. – A ciebie rozpiera gówno.

Nic nie mówię. Opiera się o drzwi i marszczy czoło, jakbym go w jakiś sposób obraził. A potem wraca do mnie i znowu niegrzecznie pociąga nosem.

– Kłopot w tym, że my z Domu Marsa zawsze się wypalamy. Początkowo dzieciaki rządzą Instytutem. A potem odkrywają, że napalm wystarcza mniej więcej na tyle, co... – Pstryka palcami. Nie odpowiadam. Wzdycha i ciężko siada na krześle. Obserwuje mnie przez chwilę, a potem wstaje i wymierza mi cios w twarz. – Jeśli mi oddasz, odeślę cię do domu, Piksie.

Kopię go w goleń.

Odchodzi, utykając, i śmieje się przy tym jak pijany stryj Narol.

Nie zostaję odesłany do domu. Zamiast tego zostaję odprowadzony wraz z setką innych do ogromnej sali z grawiFotelami i wielką ścianą, którą wypełnia kościana kratownica. Krata tworzy pionową szachownicę: dziesięć kolumn, dziesięć rzędów. Zostaję zawieszony windą do środkowego rzędu, jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Dziewięćdziesięciu dziewięciu innych uczniów trafia po kolei na swoje miejsca, aż wszystkie pola są wypełnione. To sami najlepsi, elita. Wyglądam ze swojego boksu, zerkam do góry. Nad moją głową wystaje dziewczęca stopa. Przede mną pojawiają się liczby i litery. Moje dane. Wynika z nich, że jestem bardzo pochozny i mam ponadprzeciętnie wysokie wyniki w kategorii intuicji i lojalności, a przede wszystkim w gniewie.

Na widowni siedzą ludzie w grawiFotelach skupieni w dwanaście grup wokół pionowych złotych sztandarów. Widzę symbole, między innymi łucznika, błyskawicę, sowę, dwugłowego wilka, obróconą do góry nogami koronę, trójzab. Każdej grupie towarzyszy jeden z rewizorów. Tylko oni nie mają zasłoniętych twarzy, pozostali noszą ceremonialne maski pozbawione rysów, złote i trochę podobne do zwierząt swoich Domów. Gdybym tylko wiedział, że coś takiego się wydarzy, to może zabrałbym tu ze sobą bombę jądrową. To werbownicy, mężczyźni i kobiety cieszący się najwyższym poważaniem. Pretorzy, imperatorzy, trybuni, asesorzy, gubernatorzy siedzą na widowni, obserwują mnie i próbują wybrać nowych uczniów do swoich

Domów, znaleźć młodych mężczyzn i kobiety, których mogliby poddać próbie i zaproponować im staż. Jedną bombą mógłbym zniszczyć najlepszych i najbystrzejszych Złotych, prawdziwą elitę. Może przemawia przeze mnie moja pochopność.

Pobór zaczyna się, kiedy genetycznie zmodyfikowany chłopak, istny tytan, zostaje wybrany pod sztandar błyskawicy: to Dom Jowisza. Potem idą kolejni chłopcy i dziewczęta o nadnaturalnej urodzie i fizycznej sprawności; mogę się tylko domyślać, że poza tym są również genialni. Nadchodzi wybór piątej osoby. Mężczyzna o dziecinnej twarzy, ten z symbolem skrzydlatych stóp, podlatuje do mnie w złotych butach. Kilkoro werbowników z Domu Merkurego frunie razem z nim. Rozmawiają między sobą cicho, zanim zadadzą mi pytanie:

– Kim są twoi rodzice? Jakie są osiągnięcia twojej rodziny?

Mówię im o mojej skromnej fałszywej rodzinie. Jeden z nich najwyraźniej ma wysokie mniemanie o którymś z moich krewnych, dawno zmarłym. Jednakże mimo sprzeciwu rewizora odpuszczają mnie sobie na rzecz innego ucznia, którego rodzina posiada dziewięćdziesiąt kopaliń i udziały w jednym z południowych kontynentów Marsa.

Rewizor Merkurego przeklina i posyła mi szybki uśmiech.

– Mam nadzieję, że będziesz jeszcze dostępny przy następnej rundce.

Czas na delikatną dziewczynę o kpiącym uśmiechu. Mam kłopot z koncentracją, czasem trudno mi zobaczyć, kto jeszcze został wybrany. Ustawiono nas w dziwny sposób. Przy dziesiątym wyborze rewizor, który mnie uderzył podczas rozmowy kwalifikacyjnej, podlatuje do mnie. Wśród werbowników wybucha niezgoda. Mam dwóch żarliwych adwokatów: kobietę, wysoką jak przedstawicielka rodu Augustus, której włosy opadają na plecy w trzech złotych warkoczach, oraz mężczyznę, krępego i niezbyt wysokiego. Jest stary. Widzę to po bliznach i zmarszczkach na krzepkich dłoniach. Na jego palcu dostrzegam sygnet Rycerza Olimpijskiego. Natychmiast rozpoznaję tego człowieka, chociaż nie widzę jego twarzy. To Lorn au Arcos. Rycerz Gniewu, trzeci pod względem ważności człowiek na Marsie, który zdecydował się służyć Wspólnocie, chroniąc Porozumienie, zamiast sięgać po wpływy polityczne. Kiedy wskazuje mnie, Fitchner szczerzy zęby w uśmiechu.

Zostaję wybrany jako dziesiąty. Dziesiąty z tysiąca.

Mój rocznik

Żołądek mi się zaciska, kiedy w rozgadanej ciżbie idę do jadalni. Jest przesadnie wspaniała: posadzki z białego marmuru, kolumny, holoNiebo z ptakami w locie o zachodzie słońca. Nie tego spodziewałem się po Instytucie. Według Augustusa zajęcia mają być ciężkie dla tych bożków. Prycham śmiechem. Niechby ta banda spędziła choć jeden rok w kopalni.

W jadalni stoi dwanaście stołów, na każdym setka nakryć. Nasze imiona unoszą się nad krzesłami wypisane złotymi literami. Moje znajduje się na prawo od szczytu stołu. To zaszczytne miejsce. Dla pierwszego wybranego w Poborze. Na prawo od mojego imienia widnieje jedna belka; na lewo od niego znajduje się „-1”. Ten, kto pierwszy zbierze pięć belek, zostanie Prymusem Domu. Każda belka to nagroda za wyróżnienie się. Najwyraźniej mój wysoki wynik w teście był pierwszym takim sukcesem.

– Cudownie, drań prowadzi w wyścigu do roli Prymusa – rozlega się znajomy głos.

Dziewczyna z egzaminu. Odczytuję jej imię. Antonia au Severus. Ma okrutną i piękną twarz: wysokie kości policzkowe, kpiący uśmiech, pogarda w oczach. Jej włosy są długie, bujne i złote jak dotyk Midasa. Urodziła się, żeby nienawidzić i być nienawidzoną. Obok jej imienia unosi się „-5”. To drugi najbliższy mojemu wynik przy stole. Cassius, chłopak, którego poznałem na egzaminie, siedzi na skos ode mnie. Przy jego szerokim uśmiechu jarzy się „-6”. Przeczesał dłońią loki.

Kolejny chłopak siada dokładnie naprzeciwko; obok jego imienia unoszą się „-1” i złota belka. O ile Cassius rozsiada się wygodnie, o tyle ten

drugi chłopak, Priam, siada wyprostowany jak ostrze. Ma niebiańską twarz. Czuje oczy. Ułożone włosy. Jest równie wysoki jak ja, ale barczysty. Chyba nigdy w życiu nie widziałem doskonalszej istoty ludzkiej. Jak parszywy posąg. Wkrótce odkrywam, że nie brał udziału w Poborze. Takich jak on nazywa się supremusami. Nie można ich zwerbować. Rodzice Priama sami wybrali mu Dom. A potem odkrywam powód. Jego szokująco bogata matka, hołdowniczka rodu Bellona, jest właścicielką dwóch księżyców naszej planety.

– Los znowu nas ze sobą styka. – Śmieje się do mnie Cassius. – I z Antonią. Moja miła! Wygląda na to, że nasi ojcowie spiskowali, żeby usadzić nas obok siebie.

Antonia odpowiada kpina:

– Przypomnij mi, żebym przesłała mojemu podziękowania.

– Toni! Nie ma powodu do złośliwości. – Cassius grozi jej palcem. – A teraz uśmiechnij się do mnie jak grzeczna dziewczynka.

Dziewczyna pokazuje mu krzyżyk z palców.

– Wolałabym wyrzucić cię przez okno, Cassi.

– Wrr. – Cassius posyła jej całusa. Ona to ignoruje. – No dobrze, Priamie, rozumiem, że my dwaj mamy pogrywać delikatnie z głuptaskami, co?

– Och, dla mnie wyglądają na świetne towarzystwo – odpowiada sztywno Priam. – Zdaje mi się, że stworzymy doskonałą grupę.

Rozmawiają w wysokiej mowie.

– O ile męty z Poboru nie będą nas ściągać ku dołowi, łaskawy panie! – Cassius wskazuje na koniec stołu i zaczyna wyliczać: – Brzydal z oczywistych przyczyn, Błazen z powodu tych idiotycznie napuszonych włosów. Chwast, ponieważ... no cóż, jest chudy. Ej! A ty, ty jesteś Oset, bo masz nos jak kolec ostu. A... to maleństwo obok tego gościa, co wygląda na Tombaka, to Pestka.

– Myślę, że cię zaskoczą – odpowiada Priam w obronie dalekiego końca stołu. – Może i nie są tak wysocy, atletycznie zbudowani czy inteligentni jak ty czy ja, o ile inteligencję można zmierzyć testem, ale nie przesadzę chyba, twierdząc, że staną się kręgosłupem naszej grupy. Solą ziemi, jeśli wolisz. To porządni ludzie.

Widzę małego dzieciaka z promu, Sevro, na samym końcu stołu. Sól ziemi nie znajduje sobie przyjaciół. Tak samo jak ja. Cassius zerka na moje

„-1”. Jest gotowy uznać, że Priam poradził sobie lepiej od niego, ale nie omieszka zauważyć, że nigdy nie słyszał o moich rodzicach.

– Zatem, drogi Darrowie, w jaki sposób oszukiwałeś? – pyta.

Antonia zerka na mnie, odrywając się od rozmowy z Arrią, drobną dziewczyną z kręconymi włosami i dołeczkami w policzkach.

– Daj spokój, człowieku – odpowiadam ze śmiechem. – Przysłali do mnie Komisję Kontroli. Jak mógłbym oszukiwać? To niemożliwe. A ty oszukiwałeś? Masz wysoki wynik.

Odpowiadam w średniej mowie. Jest o wiele naturalniejsza od wysokiej, tego popierdywania gębą, jakie uprawia Priam.

– Ja? Oszukiwałem? Nie. Najwyraźniej jednak nie przyłożyłem się dostatecznie – odpowiada Cassius. – Gdybym miał trochę rozumu, spędzałbym mniej czasu z dziewczynami, a więcej się ucząc, tak jak ty.

Próbuje mi powiedzieć, że gdyby się przyłożył, poradziłby sobie równie dobrze jak ja, ale jest zbyt zajęty, żeby włożyć w egzamin aż tyle wysiłku. Gdybym chciał się z nim zaprzyjaźnić, przymknąłbym na to oko.

– Uczyłeś się? – pytam. Nagle mam ogromną ochotę go zawstydzić. – Ja w ogóle się nie przygotowywałem.

Chłód ścina powietrze.

Nie powinienem był tego mówić. Żołądek mi się kurczy. Dobre maniery.

Cassius ma kwaśną minę, a Antonia uśmiecha się kpiąco. Obraziłem go. Priam marszczy czoło. Jeśli marzy mi się kariera we flocie, to pewnie będę potrzebował patronatu ojca Cassiusa au Bellona. Syna imperatora. Matteo przygotowywał mnie do tego. Jak łatwo zapominam. Władza to flota – flota, rząd albo armia. Mnie nie podoba się rząd. Już nie wspominając o tym, że od tego typu obelg zaczynają się pojedynki. Strach zlewa mi kręgosłup, kiedy dociera do mnie, po jak cienkiej linii stąkam. Cassius potrafi się pojedynkować. A ja, chociaż nauczyłem się wielu nowych rzeczy – nie. Rozniósłby mnie na strzępy i ma minę, jakby naszła go na to ochota.

– Żartuję. – Przechylam głowę ku niemu. – Daj spokój, stary. Jak mógłbym zdobyć tak wysoki wynik bez rycia? Zakuwałem, aż mi oczy zaczęły krwawić! Chciałbym móc spędzić tyle czasu na zabawie, co ty. W końcu teraz jesteśmy w tym samym miejscu. I na co mi było tyle się uczyć?

Priam kiwa z aprobatą głową, przyjmując tę gałązkę oliwną.

– Założę się, że tyrałeś jak wół – pieje Cassius.

Kiwa głową, przyjmując te moje specyficzne przeprosiny. Spodziewałem się, że zignoruje moją zagrywkę. Myślałem, że duma zaślepi go na moją nagłą skruchę. Złoci może i są dumni, ale nie są głupi. Żadne z nich nie jest głupie. Muszę o tym pamiętać.

Potem już Matteo mógłby być ze mnie dumny. Flirtuję z dziewczyną o imieniu Quinn, zaprzyjaźniam się z Cassiusem i Priamem, który pewnie nigdy w życiu nie zaklął, podaję rękę wysokiemu brutalowi imieniem Titus, który ma szyję grubą jak moje udo. Celowo za mocno ściska mi dłoń. Jest zaskoczony, kiedy prawie łamię mu rękę, ale jego uścisk jest piekielnie silny. Chłopak jest wyższy nawet ode mnie i Cassiusa i ma głos tytana, ale uśmiecha się szeroko, kiedy zauważa siłę mojego uścisku. Jestem silniejszy. Coś dziwnego kryje się w jego głosie, coś zdecydowanie lekceważącego. Jest tam także chłopiec jak piórko imieniem Roque, który wygląda i mówi jak poeta. Uśmiecha się nieśpiesznie, nieczęsto, za to szczerze. Rzadkość.

– Cassius! – woła Julian.

Cassius wstaje i obejmuje chudsze i ładniejszego brata bliźniaka. Nie skojarzyłem wcześniej, że to bracia. Bliźniacy, choć nie identyczni. Julian wspomniał przecież, że jego brat jest już w Agei.

– Darrow nie jest tym, na kogo wygląda. – Julian oznajmia wszystkim przy stole z poważną twarzą. Ma talent do teatralnych zagrywek.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... – Cassius podnosi dłoń do ust.

Muskam palcem nos do mięsa.

– Tak – potwierdza z powagą Julian.

– Nie! – Cassius kręci głową. – Nie powiesz mi chyba, że kibicuje drużynie z Yorkton?! Julianie, powiedz, że nie! Darrow! Darrow, jak możesz?! Oni nigdy nie wygrywają! Priamie, czy ty to słyszysz?

Unoszę rękę w geście przeprosin.

– To chyba przekleństwo pochodzenia. Owoc wychowania. Kibicuję słabszym. – Udamę mi się nie powiedzieć tego z kpina.

– Wyznał mi to na pokładzie promu.

Julian jest dumny z tego, że mnie zna, dumny, że jego brat teraz wie, że on mnie zna. Szuka aprobaty u Cassiusa. A ten to zauważa, łagodnie go komplementuje i Julian opuszcza towarzystwo dzieciaków z wysokiego Poboru i wraca na swoje miejsce wśród tych ze średniego, w połowie stołu. Idzie wyprostowany, uśmiecha się z zadowoleniem. Nie spodziewałem się, że Cassius okaże się takim życzliwym człowiekiem.

Z tych, których poznałem, tylko Antonia otwarcie mnie nie lubi. Nie patrzy na mnie tak jak pozostali przy stole. Z jej strony odbieram tylko chłodną pogardę. W jednej chwili śmieje się, flirtuje z Roque'em, a w drugiej wyczuwa moje spojrzenie i zamienia się w lód. Uczucie jest odwzajemnione.

Moja sypialnia to miejsce ze snu. Złoto obrębia okno, które wychodzi na dolinę. Na łóżku leżą jedwabie, satyna i pikowane kołdry. Leżę na nim, kiedy przychodzi Różowy masażysta i przez godzinę ugniata mi mięśnie. Później trzy gibkie Różowe wchodzą rządkiem, żeby zająć się moimi potrzebami. Odsyłam je do pokoju Cassiusa. Żeby oddalić wszelką pokusę, biorę zimny prysznic i pogrążam się w holodóświadczeniu wiertacza z górniczej kolonii Korynt. Piekłonurek w holodóświadczeniu jest mniej utalentowany, niż byłem ja, ale łoskot, symulowany skwar, ciemność i żmije uspokajają mnie tak, że zawiązuję sobie starą szkarłatną szmatę na głowie.

Przynoszą mi kolejny posiłek. Augustus tylko tak gadał, gęba pełna przesadnych frazesów. Oto ich wersja ciężkich prób. Mam wyrzuty sumienia, gdy zasypiam z pełnym brzuchem, ściskając medalion z kwiatem Eo w środku. Tej nocy moi bliscy pójdą do łóżka głodni. Szepczę jej imię. Wyjmuję z kieszeni obrączkę ślubną i całuję. Czuję ból. Ukradli mi ją. Tylko że ona na to pozwoliła. Zostawiła mnie. Zostawiła mnie we łzach, w bólu i tęsknocie. Zostawiła mnie, żeby dać mi gniew. Wbrew sobie przez chwilę jej nienawidzę, chociaż poza tą chwilą zostaje tylko miłość.

– Eo – szepczę i medalion się zamyka.

Próba

Wymiotuję, gdy się budzę. Drugi cios trafia w mój pełny żołądek. A potem trzeci. Jestem pusty i z trudem łapię powietrze. Tonę we własnych wymiocinach. Kaszlę. Szarpie mną spazm. Staram się odpełznąć. Ktoś łapie mnie za włosy i ciska mną o ścianę. Boże, jest parszywie silny. I ma dodatkowe palce. Sięgam po nożoPierścień, ale już wywleczono mnie na korytarz. Nigdy jeszcze nikt mnie tak nie pobił; nawet moje nowe ciało nie może otrząsnąć się po tych ciosach. Jest ich czterech i są ubrani na czarno – to Kruki, zabójcy. Odkryli mnie. Wiedzą, czym jestem. To już koniec. Wszystko przepadło. Ich twarze są jak pozbawione wyrazu czaszki. Maski. Wyciągam zza pasa nóż, który zabrałem z kolacji, i już mam dźgnąć jednego z nich w krocze, kiedy widzę rozbłysk złota na ich nadgarstkach. Biją mnie, aż wypuszczę broń. To próba. Ich ciosy wymierzone w wyższy Kolor zostały usankcjonowane przez tego, kto wydał bransoletki. Wcale nie zostałem zdemaskowany. To tylko próba. O to tu chodzi. To próba.

Mogli posłużyć się paralizatorami, ale nie. To lanie ma swój cel. To coś, czego większość Złotych nigdy nie doświadczyła. Dlatego czekam. Zwijam się i pozwalam im się okładać. Kiedy nie stawiam oporu, myślą, że zrobili swoje – i właściwie zrobili, bo zanim skończą, zostaje ze mnie mokra szmata.

Wleką mnie korytarzem mężczyźni mający prawie trzy metry wzrostu. Zakładają mi worek na głowę. Unikają wytworów nowoczesnej techniki, żeby mnie nastraszyć. Zastanawiam się, ile z tych dzieciaków poczuło kiedykolwiek podobną siłę fizyczną? Zostało potraktowanych tak

przedmiotowo? Worek śmierdzi śmiercią i szczynami. Zaczynam się śmiać. Czuję się jak w swoim parszywym piekarniku. Wtedy pięść uderza mnie w pierś i składam się wpół, z trudem łapiąc powietrze.

W worku zainstalowano też urządzenie dźwiękowe. Nie dyszę głośno, ale mój oddech powraca do mnie głośniejszy, niż powinien. Przyjęli ponad tysiąc uczniów. Dziesiątki z nich muszą znosić w tej chwili taki sam los, a mimo to niczego nie słyszę. Nie chcę, żebym usłyszał pozostałych. Mam myśleć, że jestem sam, że mój Kolor nic nie znaczy. To zaskakujące, ale czuję się urażony tym, że śmieli mnie uderzyć. Nie wiedzą, że jestem Złotym, psiajucha? I zaraz powstrzymuję parsknięciem śmiechem. Skuteczne sztuczki.

Zostaję podniesiony i rzucony na podłogę. Czuję vibracje i zapach spalin. Wkrótce wzbijamy się w powietrze. Coś w worku na mojej głowie sprawia, że mam kłopot z zachowaniem orientacji. Nie potrafię powiedzieć, w jakim kierunku lecimy, jak wysoko się wznieśliśmy. Dźwięk mojego własnego chrapliwego oddechu staje się potworny. Podejrzewam, że worek odfiltruje też tlen, bo zauważam u siebie hiperwentylację. Mimo to w piekarniku było jeszcze gorzej.

Później. Godzinę? Dwie godziny? Lądujemy. Wleką mnie za pięty. Moja czaszka odbija się od kamieni, aż mi zęby zgrzytają. Dopiero znacznie później ściągają mi worek z głowy w pustym, kamiennym pokoju oświetlonym jedną lampą. Jestem już tam drugą osobą. Kruki zabierają mi ubranie i wyrywają cenny medalion z Pegazem. Wychodzą.

– Zimno tu, co, Julian?

Śmieję się, wstając, i rozprostowuję lewą rękę, w której ścisnąłem brudną, czerwoną od potu opaskę. Mój głos odbija się echem od ścian. Obaj jesteśmy nadzy. Udaję, że kuśtykam na prawą nogę. Wiem, co tu jest grane.

– Darrow, to ty? – pyta Julian. – Dobrze się czujesz?

– Pierwszorzędnie, ale rozwalili mi prawą nogę – kłamię.

On też wstaje, podpierając się lewą ręką. To jego dominująca ręka. W tym świetle wydaje się wysoki i słaby. Jak pochylone źdźbło trawy. Mnie jednak skopali i okładali pięściami mocniej od niego, o wiele mocniej. Możliwe, że mam popękane żebra.

– Jak myślisz, co to jest? – pyta.

– Ewidentnie Próba.

– Ale skłamali. Powiedzieli, że odbędzie się dopiero jutro.

Grube drewniane drzwi otwierają się ze skrzypieniem zardzewiałych zawiasów i wolnym krokiem do pokoju wchodzi rewizor Fitchner, żując gumę.

– Rewizorze! Pan nas okłamał! – protestuje Julian.

Odgarnia śliczne włosy z oczu.

Fitchner porusza się leniwie, ale oczy ma jak kot.

– Kłamstwo wymaga zbyt dużego wysiłku – warczy od niechęcenia.

– Jak... pan śmie traktować nas w taki sposób? – krzyczy Julian. – Musi pan wiedzieć, kim jest mój ojciec. A moja matka jest legatem! W okamgnieniu mogę sprawić, że zostanie panu postawione oskarżenie o napaść. I przez pana Darrow ma uszkodzoną nogę!

– Jest pierwsza w nocy, idioto. Już jest jutro. – Fitchner robi kolejny balonik z gumy, który strzela z hukiem. – Poza tym jest was dwóch. Niestety w klasie jest miejsce tylko dla jednego. – Rzuca na brudną kamienną podłogę złoty pierścień z wizerunkiem wilka Marsa i gwiazdzistą tarczę Instytutu. – Mógłbym wyrazić się niejednoznacznie, ale wyglądacie mi na tępaków. Tylko jeden z was wyjdzie stąd żywy.

I wychodzi, tak jak wszedł. Drzwi skrzypią i zatrząskują się za nim. Julian wzdraga się na ten dźwięk. Ja nie. Obaj wpatrujemy się w pierścień, a ja mam przyprawiające o mdłości uczucie, że tylko jeden z nas w tym pokoju wie, co właśnie się wydarzyło.

– Jak myślisz, co oni robią? – pyta mnie Julian. – Czy oczekują, że... ?

– Że się pozabijamy? – kończę. – Tak. Tego właśnie oczekują. – Mimo guli w gardle zaciskam ręce w pięści. Obrączka Eo siedzi ciasno na moim palcu. – Zamierzam założyć ten pierścień, Julianie. Oddasz mi go?

Jestem od niego większy. Chociaż trochę niższy. Jednak to nie ma znaczenia. On nie ma szans.

– Ja muszę go mieć, Darrow – mruczy. Podnosi wzrok. – Jestem z rodu Bellona. Nie mogę wrócić do domu bez niego. Wiesz, kim jesteśmy? Ty możesz wrócić do domu bez wstydu. Ja nie. Potrzebuję go bardziej niż ty!

– Nie wrócimy do domu, Julianie. Tylko jedna osoba wyjdzie stąd żywa. Słyszałeś go.

– Nie postąpiliby tak... – próbuje.

– Nie?

– Proszę. Proszę, Darrow. Po prostu wróć do domu. Nie potrzebujesz tego tak bardzo jak ja. Nie potrzebujesz. Cassius... byłby śmiertelnie zawstydzony, gdyby mi się nie udało. Nie mógłbym spojrzeć mu w twarz.

Wszyscy członkowie mojej rodziny są Naznaczeni. Mój ojciec jest imperatorem. Imperatorem! Gdyby jego syn nie zaliczył nawet Próby... Co pomyśleliby jego żołnierze?

– Nadal by cię kochał. Mój na pewno kochałby mnie.

Julian kręci głową. Bierze wdech i prostuje się.

– Jestem Julian au Bellona z rodu Bellona, łaskawy panie.

Nie chcę tego. Nie potrafię wyjaśnić, jak bardzo nie chcę skrzywdzić Juliana. Jednakże kiedy moje chęci miały jakiegokolwiek znaczenie? Moi ludzie tego potrzebują. Eo poświęciła szczęście i własne życie. Ja mogę poświęcić własne pragnienia. Mogę poświęcić to szczupłe książątko. Mogę poświęcić nawet własną duszę.

Robię pierwszy ruch w stronę Juliana.

– Darrow... – mruczy.

Darrow w Lykos był dobrym człowiekiem.

Ja taki nie jestem. Nienawidzę siebie za to. Ponieważ płaczę, źle widzę.

Znikają zasady, maniery i moralność. Wystarczy tylko kamienny pokój i dwóch ludzi, którzy potrzebują tej samej, jednej rzeczy. Jednakże zmiana nie jest nagła. Nawet kiedy wymierzam cios w twarz Juliana i mam jego krew na kostkach, nie czuję, że toczy się walka. W pokoju panuje cisza. Niezręczna. Czuję się jak ktoś niegrzeczny, kiedy go uderzam. Jakbym grał. Kamień jest zimny pod moimi stopami. Ciarki przechodzą mi po skórze. Oddech dźwięczy głośno.

Chcę, żebym go zabił, bo nie wykazał się należyście podczas ich testów. Nie dobrali nas uczciwie. Jestem kosą Darwina. Natura usuwa plewy. Nie wiem, jak się zabija, nigdy nie uśmierciłem człowieka. Nie mam żadnego ostrza, gromnika ani miotacza. Wydaje się niemożliwością, żebym własnymi rękami wykrwawił tego chłopca stworzonego z mięsa i mięśni. Mam ochotę się roześmiać, a Julian naprawdę się śmieje. Jestem nagim dzieckiem bijącym drugie nagie dziecko w zimnym pokoju. Jego wahanie jest oczywiste. Porusza stopami, jakby próbował przypomnieć sobie kroki w tańcu. Kiedy jednak jego łokcie unoszą się na poziom oczu, wpadam w panikę. Nie wiem, jak on walczy. Uderza mnie bez przekonania w obcy, artystyczny sposób. Jest niepewny, powolny, ale jego nieśmiałe pięści docierają do mojego nosa.

Zalewa mnie wściekłość.

Mam odrętwiałą twarz. Serce wali mi jak młotem. Podchodzi do gardła. Czuję mrowienie w żyłach.

Jednym prostym łamię mu nos. Boże, moje ręce są naprawdę silne.

Rzuca się na mnie z wyciem, łapie moją rękę pod dziwnym kątem. Wyłamuje mi ją ze stawu. Uderzam go czołem i trafiam w nasadę nosa. Łapię go za kark i raz jeszcze walę z byka. Nie może się wyrwać. Powtarzam cios. Coś pęka. Krew i ślina pienią mi się na włosach. Rozcina mi zębami skórę na głowie. Odpadam od niego jak w tańcu, obracam się na lewej stopie, ruszam naprzód ze zwodem i uderzam go prawą pięścią w pierś, wkładając w to całą swoją masę. Kostki piekłonurka roztrzaskują wzmocniony mostek Juliana.

Rozlega się potężne rzeżące stęknienie. I trzask, jakby złamano gałązkę.

Julian leci do tyłu na ziemię. Jestem jeszcze oszołomiony po tym, jak tłukłem go głową. Widzę na czerwono. I podwójnie. Chwiejnie zataczam się w jego stronę. Łzy płyną mi po policzkach. Julian dygoce. Łapię go za złote włosy i widzę, że już zwiotczał. Jak mokre złote pióro. Krew rytmicznie tryska mu z nosa. Ucichł. Już się nie rusza. Już się nie uśmiecha.

Wypowiadam imię żony, kiedy osuwam się, żeby objąć jego głowę. Jego twarz wygląda jak krwawy kwiat.

Część III

Złoty

Pobrano ze strony pijafka.pl

„Oto twój sierpak, synu. Będzie dla ciebie ryć w żyłach ziemi. Będzie zabijać żmije jaskiniowe. Dbaj, aby był ostry, a jeśli zapłączesz się w wiertła, uratuje ci życie – za cenę utraconej kończyny”. Tak powiedział mój stryj.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Dom Marsa

Moja dusza pogrąża się w zneruchomieniu, kiedy patrzę na połamanego chłopca. W tej chwili nawet Cassius nie rozpoznałaby Juliana. W moim sercu wyrwano dziurę. Ręce mi drżą, kiedy krew ścieka z nich na zimny kamień. Rzeki opływają Złote Pieczęcie na moich dłoniach. Jestem pieklonurkiem, ale szloch wyrywa mi się z piersi nawet wtedy, kiedy łyż już przestaną płynąć. Krew Juliana ścieka z mojego kolana wzdłuż bezwłosej łydki. Jest czerwona. Nie złota. Pod kolanami czuję kamień, którego dotyka też moje czoło, gdy szlocham, aż wyczerpanie wypełni mi pierś.

Kiedy podnoszę wzrok, on nadal nie żyje.

To nie było w porządku.

Myślałem, że Wspólnota pogrywa tylko z niewolnikami. Myliłem się. Julian nie zdał egzaminów tak dobrze jak ja. Nie był fizycznie równie sprawny jak ja. Został więc kozłem ofiarnym. Stu uczniów na Dom, a dolna pięćdziesiątka jest tu tylko po to, żeby zginąć z rąk górnej. To jest tylko parszywa próba... dla mnie. Nawet rodzina Bellona, mimo całej swojej władzy, nie mogła uchronić swojego mniej sprawnego syna. I właśnie o to tu chodzi.

Nienawidzę siebie.

Wiem, że mnie do tego zmusili, a jednak wciąż mam wrażenie, że miałem wybór. Tak jak wtedy, kiedy pociągnąłem za nogi Eo i poczułem, jak jej drobny kręgosłup pęka. Mój wybór. Jakie jednak inne wyjście

miałem w jej wypadku? A w wypadku Julianna? Robią to, żebyśmy czuli się winni.

Nie mam o co wytrzeć krwi, jest tu tylko kamień i dwa nagie ciała. Nie jestem czymś takim, nie chcę tym być. Chcę być ojcem, mężem, tancerzem. Dajcie mi kopać w ziemi. Dajcie mi śpiewać pieśni mojego ludu, skakać, wirować i biegać po ścianach. Nigdy nie zaśpiewam zakazanej pieśni. Będę pracować. Będę się kłaniać. Dajcie mi zmywać brud z moich rąk, zamiast krwi. Chcę żyć z moją rodziną. Byliśmy dostatecznie szczęśliwi.

Wolność ma zbyt wysoką cenę.

Jednak Eo się ze mną nie zgodziła.

Niech ją diabli.

Czekam, ale nikt nie przychodzi, żeby obejrzeć, co tu narobiłem. Drzwi nie są zamknięte na klucz. Wsuwam złoty pierścień na palec, gdy już zamknę oczy Juliana, i wychodzę nago na zimny korytarz. Jest pusty. Słabe światło prowadzi mnie niekończącymi się schodami. Woda skapuje ze sklepienia podziemnego tunelu. Wykorzystuję ją, żeby spróbować oczyścić ciało, ale udaje mi się tylko rozsmarować krew na skórze, rozrzedzić ją. Nie mogę uciec przed tym, co zrobiłem, bez względu na to, jak daleko zajdę tunelem. Jestem sam ze swoim grzechem. Dlatego właśnie oni rządzą. Niezrównani Naznaczeni wiedzą, że brzemie mrocznych uczynków dźwiga się przez całe życie. Nie da się przed nimi uciec. Trzeba je nieść, jeśli ma się rządzić. Oto pierwsza lekcja. A może pierwszą lekcją było to, że słabi nie zasługują na to, by żyć?

Nienawidzę ich, ale słucham.

Wygraj. Nieś swoją winę. Władaj.

Chcą, żebym był bezlitosny. Chcą, żebym nie sięgał pamięcią zbyt daleko.

Ja jednak zostałem inaczej wychowany.

Wszystko, o czym śpiewają moi ludzie, to wspomnienia. Będę więc pamiętał tę śmierć. Będzie mi ciężać, tak jak nie ciąży innym uczniom; nie pozwolę, żeby to się zmieniło. Nie wolno mi upodobnić się do nich. Będę pamiętał, że każdy grzech, każda śmierć, każda ofiara to wolność.

Teraz jednak się boję.

Czy zniosę następną lekcję?

Czy mogę udawać, że jestem równie zimny jak Augustus? Teraz już wiem, dlaczego nie wzdrygnął się, kiedy wieszano moją żonę. Zaczynam rozumieć, dlaczego Złoci rządzą. Potrafią coś, czego ja nie umiem.

* * *

Chociaż teraz jestem sam, wiem, że wkrótce znajdę innych. Na razie chcę, żebym nasiąknął poczuciem winy. Chcę, żebym był samotny, smutny i żebym wobec tego poczuł ulgę, gdy znajdę innych, także zwycięskich. Morderstwa nas zwiążą, a ja przekonam się, że towarzystwo zwycięzców jest jak balsam na moje wyrzuty sumienia. Nie kocham innych uczniów, ale będę myślał, że ich kocham. Będę szukał pociechy w ich towarzystwie, zapewnienia, że nie jestem zły. Oni będą pragnęli tego samego. To ma sprawić, że staniemy się rodziną. Rodziną złączoną potwornym sekretem.

Mam rację.

Mój tunel prowadzi mnie do innych. Widzę najpierw Roque'a, poetę. Krwawi z potylicy. Prawy łokieć ma mokry od krwi. Nie spodziewałem się, że jest zdolny zabić. Czyja to krew? Oczy ma czerwone od płaczu. Potem znajduję Antonię. Tak jak my jest naga. Porusza się niczym złoty statek, dryfuje samotnie, cicha i wyniosła. Jej stopy zostawiają krwawe ślady.

Obawiam się chwili, kiedy znajdę Cassiusa. Mam nadzieję, że nie żyje, bo się go boję. Przypomina mi Dancera: przystojny, roześmiany, ale pod powierzchnią kryje się smok. Nie dlatego jednak się go obawiam. Boję się go, bo ma powód, żeby mnie nienawidzić, pragnąć mojej śmierci. Dotąd w moim życiu nikt go nie miał. Nikt nigdy mnie nie nienawidził. A Cassius mnie znienawidzi, kiedy się dowie. A potem coś do mnie dociera. Jak Dom może kiedykolwiek stać się zżyłą grupą, gdy skrywamy takie sekrety? Nie może. Cassius będzie wiedział, że ktoś w tej grupie zabił jego brata. Inni też stracili przyjaciół, więc Dom pożre sam siebie. Wspólnota zrobiła to celowo; pragną chaosu. To będzie nasza druga próba. Konflikt plemienny.

Nasza trójka znajduje pozostałych, którzy przeżyli, w przepaścistej kamiennej jadalni, w której stoi długi drewniany stół. Pochodnie oświetlają salę. Nocna mgiełka wpełza przez otwarte okna. Przypomina to scenę z dawnych opowieści. Z czasów, które nazywano średniowieczem. Na drugim końcu długiego pomieszczenia znajduje się cokół. Stoi na nim ogromny kamień, pośrodku którego znajduje się złota dłoń Prymusa. Kamień otaczają złoto-czarne gobeliny przedstawiające wilka. Wilk wyje, jakby nas ostrzegał. To dłoń Prymusa rozniesie ten Dom na strzępy. Każde z tych małych książąt i księżniczek będzie uważało, że zasługuje na zaszczyt dowodzenia Domem. A jednak tylko jedno z nas może to zrobić.

Poruszam się jak duch razem z innymi uczniami, obchodzimy kamienne korytarze czegoś, co wygląda jak ogromny zamek. Jest tam pokój, w którym możemy się obmyć.

W korycie wykutym w zimnej podłodze płynie lodowata woda. Teraz z wodą miesza się krew, spływa na prawo i znika w kamieniu. Czuję się jak zjawą w krainie z mgły i kamienia.

Czarno-złote mundury polowe wyłożono dla nas we względnie pustej zbrojowni. Każdy uczeń znajduje tobołek z mundurem opisany przywieszką ze swoim imieniem. Złoty symbol wyjącego wilka znaczy wysokie kołnierzyki i rękawy. Biorę swoje ubranie i ubieram się sam w magazynie. Potem osuwam się w kącie i siedzę w milczeniu. Jest tu tak zimno i cicho. Tak daleko od domu.

Znajduje mnie Roque. Wygląda olśniewająco w mundurze – smukły jak źdźbło złotej, letniej pszenicy. Ma wydatne kości policzkowe i ciepłe oczy, ale twarz mu pobladła. Siedzi w kucki naprzeciwko mnie przez kilka minut, zanim wyciąga rękę, żeby złapać moją dłoń. Cofam ją, ale on ją trzyma, aż na niego spojrzę.

– Jeśli zostaniesz rzucony na głębinę i nie zaczniesz płynąć, utoniesz – mówi, unosząc cienkie brwi. – Dlatego musisz płynąć, prawda?

Zmuszam się do śmiechu.

– Logika poety.

Wzrusza ramionami.

– Nie na wiele się to zda, więc przedstawię ci fakty, bracie. Taki jest system. Niższe Kolory mają dzieci dzięki pomocy katalizatora. Szybko rodzą, czasem tylko pięć miesięcy ciąży do chwili wywołania porodu. Z wyjątkiem Obsydianowych tylko my czekamy dziewięć miesięcy na narodziny. Nasze matki nie dostają katalizatora, środków uśmierzających ból, nuklein. Zastanawiałeś się dlaczego?

– Żeby produkt był czysty.

– Żeby natura miała szansę nas zabić. Komisja Kontroli Jakości jest w pełni przekonana, że trzynaście przecinek sześć tysięcy dwieście trzynaście procent wszystkich Złotych dzieci powinno umrzeć przed ukończeniem pierwszego roku życia. Czasem doprowadzają do tego, żeby ta liczba znalazła odzwierciedlenie w rzeczywistości. – Rozkłada szczupłe dłonie. – Dlaczego? Ponieważ uważają, że cywilizacja osłabia dobór naturalny. Odwalają robotę za naturę, żebyśmy nie stali się słabą rasą. Próba najwyraźniej stanowi kontynuację tej polityki. Tyle że my jesteśmy

narzędziami, którymi się posługują. Moja... ofiara... była głupcem, błogosławiona niech będzie jego dusza. Pochodził z rodziny bez żadnej wartości, nie był bystry, nie był inteligentny, nie był ambitny. – Roque marszczy brwi z powodu własnych słów i w końcu wzdycha. – Nie reprezentował sobą niczego, co Komisja ceni. Z tego powodu miał umrzeć.

Czy istniał jakiś powód, dla którego Julian musiał umrzeć?

Roque wie to wszystko, ponieważ jego matka należy do Komisji. Pogardza nią, i dopiero wtedy dociera do mnie, że powinienem go lubić. Nie dość tego – znajduję pociechę w jego słowach. Nie zgadza się z zasadami, ale ich przestrzega. To jest możliwe. Mogę robić to samo, aż będę miał dość władzy, żeby je zmienić.

– Powinniśmy dołączyć do pozostałych – mówię, wstając.

W jadalni nasze imiona wypisane złotymi literami unoszą się nad krzesłami. Wyniki naszych testów zniknęły. Imiona pojawiły się także pod dłonią Prymusa wstawioną w czarny kamień. Unoszą się w górę, płyną ku złotej ręce. Moje znajduje się najbliżej, chociaż nadal mam spory dystans do pokonania.

Niektórzy uczniowie płaczą w małych grupkach przy długim drewnianym stole. Inni siedzą pod ścianą, kryjąc głowy w dłoniach. Utykająca dziewczyna szuka przyjaciółki. Antonia piorunuje wzrokiem stół, przy którym siedzi mały Sevro i je. Oczywiście on jeden nie stracił apetytu. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że przeżył. Jest drobniutki i został wybrany jako dziewięćdziesiąty dziewiąty. Ostatni. Zgodnie z zasadami przedstawionymi przez Roque'a powinien nie żyć.

Titus, olbrzym, jest żywy i posiniaczony. Kostki jego rąk wyglądają jak brudny rzeźniczy pniak. Stoi arogancko z dala od reszty, szczerząc zęby, jakby to wszystko było pyszną zabawą. Roque rozmawia cicho z kuśtykającą dziewczyną, Leą. Ona osuwa się z płaczem i rzuca swój pierścień. Wygląda jak sarna, ma wielkie i błyszczące oczy. Roque siada razem z nią, trzyma ją za rękę. Jest w nim spokój, który wyróżnia się w tej sali. Zastanawiam się, czy wyglądał tak samo, kiedy dusił jakiegoś dzieciaka. Obracam pierścień na palcu, na przemian zsuwam go i wsuwam.

Ktoś uderza mnie lekko w potylicę.

– Ej, stary.

– Cassius. – Kiwam do niego głową.

– Gratuluję zwycięstwa. Martwiłem się, że masz tylko rozum. – Chłopak się śmieje. Jego złote loki nie są nawet potargane. Obejmuje mnie

ramieniem i rozgląda się po sali, marszcząc nos. Odgrywa nonszalancję, ale widzę, że się martwi. – Ach, czy jest coś bardziej paskudnego od użalania się nad sobą? Cały ten płacz... – Uśmiecha się znacząco i wskazuje dziewczynę z rozkwaszonym nosem. – Teraz dosłownie aż oczy bolą na jej widok. Nie, żeby wcześniej było za czym się obejrzyć, prawda? Prawda?

Zapominam, że mam mówić.

– Nadal wstrząśnięty? Oberwałeś po tchawicy?

– Po prostu nie jest mi teraz do śmiechu – mówię. – Oberwałem trochę po głowie. I po ramieniu. To nie jest dla mnie typowa sytuacja.

– Ramię od razu można naprawić. Trzeba je wbić z powrotem do stawu. – Łapie jakby nigdy nic moją wybitą rękę i nastawia ją szarpnięciem, zanim zdążę zaprotestować. Wrywa mi się jęk bólu. – Pierwszorządnie, pierwszorządnie. – Klepie mnie w obolałe ramię. – Pomóż mi, dobrze?

Wyciąga lewą rękę. Ma wybite palce – wyglądają jak błyskawice. Pociągam je, żeby się wyprostowały. Cassius śmieje się z bólu, nie wiedząc, że to krew jego brata mam pod paznokciami. Staram się nie oddychać za szybko i za głęboko.

– Widziałeś gdzieś Juliana? – pyta w końcu. Teraz, kiedy w pobliżu nie ma Priama, mówi w średniej mowie.

– Nie.

– Dzieciak pewnie stara się być delikatny podczas walki. Ojciec uczył nas Cichej Sztuki, *kravat*. Julian jest w tym wyśmienity. Ale uważa, że to ja jestem lepszy. – Cassius marszczy brwi. – Myśli, że we wszystkim jestem lepszy... co jest zrozumiałe. Muszę go mobilizować. A skoro już o tym mowa, kogo ty załatwiłeś?

Ściska mnie w brzuchu.

Wymyślam drobne kłamstwo. Świetne. Mgliste i nudne. Zresztą Cassius i tak chce mówić tylko o sobie. W końcu do tego właśnie został stworzony. Jest tu z piętnastoro dzieciaków, które mają ten sam cichy błysk w oku. To nie jest zło. Po prostu podniecenie. I tych trzeba mieć na oku, bo to są urodzeni zabójcy.

Rozglądając się, łatwo spostrzec, że Roque miał rację. Nie było tu wielu trudnych walk. To wymuszony dobór naturalny. Ci z dna zostali wyróżnieni przez tych ze szczytu. Prawie nikt nie odniósł poważniejszych ran, z wyjątkiem paru drobnych dzieciaków z niskiego Poboru. Dobór naturalny czasem kryje niespodzianki.

Cassius mówi, że jego walka była łatwa. Załatwił to dobrze, uczciwie i szybko. W dziesięć sekund od rozpoczęcia walki zmiażdżył przeciwnikowi tchawicę ciosem zadany kantem dłoni. Tyle że źle ułożyły mu się palce.

Pierwszorzędnie. Ukatrupiłem brata najlepszego zabójcy. Ogarnia mnie strach i już tam zostaje.

Cassius cichnie, kiedy Fitchner wchodzi spacerowym krokiem i rozkazuje nam usiąść przy stole. Jedno po drugim zajmujemy swoje miejsca. Stopniowo twarz Cassiusa chmurnieje, kiedy ulatnia się szansa, że Julian do nas dołączy. Gdy ostatni zajmują swoje miejsca, nawet nie drgnie. Promieniuje zimnym gniewem. Nie gorącym, jak się spodziewałem. Antonia siedzi naprzeciwko nas, dokładnie przede mną, i obserwuje Cassiusa. Porusza ustami, ale nic nie mówi. Ludzi jego typu się nie pociesza. A ja się spodziewałem, że ludzie jego typu w ogóle się nie przejmą.

Nie tylko Juliana brakuje. Arria z loczkami i dołeczkami w policzkach leży gdzieś bezwładnie na zimnej podłodze. Nie ma też Priama. Idealnego Priama, supremusa. Dziedzica księżyców Marsa. Słyszałem, że był Pierwszym Mieczem Układu Słonecznego w swoim roczniku. Niezrównany w pojedynkach. Najwyraźniej jego pięści nie były dostatecznie śmiertelne. Rozglądam się po zmęczonych twarzach. Kto, u diabła, go zabił? Komisja zawałała i założę się, że jego matka rozpęta piekło, bo z pewnością nie była mu pisana śmierć.

– Marnujemy najlepszych spośród nas – mruczy spokojnie Cassius.

– Witajcie, wypierdki. – Fitchner ziewa i opiera nogi na stole. – Możliwe, że już dotarło do was, że Próbę można równie dobrze nazwać Odstrzałem.

Drapie się po kroczu rękojeścią brzytwy.

Ma gorsze maniery ode mnie.

– Możecie uważać, że to marnowanie dobrych Złotych, ale musicie być idiotami, jeśli myślicie, że pięćdziesięcioro dzieciaków stanowi poważną stratę wobec naszej liczby. Na Marsie jest ponad milion Złotych. Ponad sto milionów w Układzie Słonecznym. Jednak nie wszyscy zostaną Niezrównanymi Naznaczonymi, nie? W porządku, jeśli nadal uważacie, że to było nikczemne, to rozważcie fakt, że Spartanie zabijali ponad dziesięć procent swoich dzieci; natura zabijała kolejne trzydzieści. Psiakrew, w porównaniu z nimi jesteśmy humanitarni. Z sześciuset uczniów, jacy

przeżyli, większość należała do jednego procenta najlepszych kandydatów. Z sześciuset, którzy nie żyją, większość należała do jednego procenta najgorszych. Nie zmarnowano nikogo cennego. – Śmieje się, rozgląda się po stole ze zdumiewającą dumą. – Z wyjątkiem tego idioty Priama. Tak. Oto lekcja dla was wszystkich. Był błyskotliwym chłopakiem, pięknym, silnym, szybkim. Był geniuszem, który uczył się dniami i nocami pod okiem tuzina nauczycieli. Był jednak rozpieszczony. I ktoś, nie powiem kto, bo to popsułoby całą zabawę, jaką stanowi nasz program nauczania, ale ktoś powalił go na kamienną podłogę, a potem deptał mu tchawicę tak długo, aż go zabił.

Składa ręce za głową.

– No dobrze. Oto wasza nowa rodzina. Dom Marsa, jeden z dwunastu Domów. Nie jesteście nikim wyjątkowym tylko dlatego, że mieszkamy na Marsie, a to jest Dom Marsa. Ci z Domu Wenus na Wenus też nie są wyjątkowi. Po prostu odpowiadają wymogom Domu. Rozumiecie, prawda? Po Instytucie będziecie szukać benefaktora, miejmy nadzieję, że wśród takich rodów jak Bellona, Augustus czy Arcos, jeśli chcecie, żebym był z was dumny. Absolwenci, którzy sami należeli kiedyś do Domu Marsa, mogą pomóc wam znaleźć benefaktorów, mogą też sami zaproponować wam staż. A może odniesiecie taki sukces, że w ogóle nie będziecie potrzebować niczyjej pomocy. Pozwólcie jednak, że wyrażę się jasno: w tej chwili jesteście dzieciakami. Głupimi, małymi dzieciakami. Rodzice wszystko podsuwali wam pod nos. Inni ludzie podcierali wam małe tyłeczki. Gotowali dla was. Walczyli w waszych wojnach. Co wieczór opatulali kołderką wasze małe błyszczące noski. Rdzawi kopią, zanim choćby mają okazję podupczyć. Budują wasze miasta, znajdują wasze paliwo i sprzątają wasze gówno. Różowi uczą się sztuki robienia innym dobrze, zanim jeszcze zaczną się golić. Obsydianowi mają najbardziej przekłute życie, jakie możecie sobie wyobrazić: nic, tylko mróz, stal i ból. Rodzą się dla swojej pracy i wcześniej zaczynają trening. Wszystko, co wy, mali książęta i księżniczki, musieliście robić, to wyglądać jak małe wersje swoich mamus i tatusiów, uczyć się dobrych manier, grać na fortepianie, jeździć konno i uprawiać sporty. Teraz jednak należycie do Instytutu, do Domu Marsa, Prefektury Marsa, do swojego Koloru i Wspólnoty. Bla, bla, bla.

Fitchner uśmiecha się leniwie. Trzyma żylastą rękę na zaokrąglonym brzuchu.

– Tej nocy wreszcie zrobiliście coś sami. Pobiliście takiego samego dzieciaka jak wy. Tyle że to jest warte mniej więcej tyle, co pierdnięcie Różowej dziwki. Nasza mała Wspólnota balansuje na czubku igły. Inne Kolory wyrwałyby wam przekłute serca, gdyby dać im szanse. A jeszcze są Srebrni. Miedziani. Niebiescy. Myślicie, że byliby wierni bandzie dzieciuchów? Myślicie, że Obsydianowi słuchaliby rozkazów takich wypierdków jak wy? Ci dzieciobójcy zrobiliby z was niewolników do dymania, gdyby dostrzegli w was słabość. Nie możecie okazać słabości.

– To niby co? Instytut ma z nas zrobić twardzieli? – warczy ogromny Titus.

– Nie, ty wielgachny prostaku. Ma z was zrobić bystrych, okrutnych, mądrych i charakternych ludzi. Ma sprawić, że w dziesięć miesięcy postarzejecie się o pięćdziesiąt lat, i pokazać wam, czego wasi przodkowie dokonali, żeby dać wam to imperium. Mogę kontynuować? – Fitchner robi balon z gumy do żucia. – Wracając do Domu Marsa. – Drapie się chudą ręką po brzuchu. – Tak. Mamy dumny Dom, który może dorównywać nawet niektórym ze Starych Rodów. Mamy politikosów, pretorów, sędziego najwyższego. Obecnych arcygubernatorów Merkurego i Europy, trybuna, kilkunastu pretorów, dwóch sędziów, imperatora floty. Nawet Lorn au Arcos z rodziny Arcos, trzeciej pod względem wpływów rodziny na Marsie, dodam dla tych, którzy nie trzymają ręki na pulsie, jest z nami związany. Cała ta wierchuszka szuka teraz nowych talentów. Wybrano was spośród innych kandydatów, żebyście wypełnili listę. Zaimponujcie tym ważnym mężczyznom i kobietom, a po tym wszystkim będzie czekał was staż. Wygrajcie, a będziecie sami mogli wybrać staż w obrębie Domu albo przy jednym ze Starych Rodów. Może nawet sam Arcos was zechce. Jeśli dojdzie do tego, w szybkim tempie zdobędziecie pozycję, sławę i władzę.

Pochylam się do przodu.

– Ale wygrać? – pytam. – Co tu jest do wygrania?

Uśmiecha się.

– W tej chwili znajdujecie się w odludnej terraformowanej dolinie w najbardziej południowej części Valles Marineris. Tutaj dwanaście Domów przebywa w dwunastu zamkach. Po jutrzejszym wprowadzeniu ruszycie na wojnę razem ze swoimi towarzyszami z Domu, żeby podbić dolinę wszelkimi dostępnymi wam środkami. Uznajcie to za studium przypadku zdobywania imperium i władania nim.

Rozlegają się pomruki podniecenia. To jest gra. A ja myślałem, że będziemy musieli uczyć się czegoś w klasach.

– A jeśli zostanie się Prymusem Domu, który wygra? – pyta Antonia.

Okręca złote pasmo włosów na palcu.

– To czeka cię chwała, moja droga. Sława i potęga.

Zatem muszę zostać Prymusem.

Zjadamy prostą kolację. Kiedy Fitchner wychodzi, Cassius porusza się na krześle. Rozlega się jego głos, zimny i pełen wisielczego humoru:

– Zabawmy się, przyjaciele. Każdy z nas powie, kogo zabił. Ja zacznę. Nexus au Celintus. Zналиśmy się jako dzieci, tak jak znam niektórych z was. Złamałem mu tchawicę palcami. – Nikt się nie odzywa. – Śmiało. W rodzinie nie powinno być sekretów.

Mimo to nikt nie odpowiada.

Sevro wychodzi pierwszy, otwarcie lekceważąc pomysł Cassiusa. Pierwszy, żeby zjeść. Pierwszy, żeby się przespać. Chcę iść w jego ślady. Zamiast tego rozmawiam o niczym ze spokojnym Roque'em i potężnym Titusem, kiedy Cassius poddaje się i też idzie się położyć. Titusa nie da się polubić. Nie jest zabawny, ale wszystko jest dla niego żartem. Jakby kpił ze mnie, ze wszystkich, chociaż się uśmiecha. Mam ochotę mu przyłożyć, ale nie daję mi pretekstu. Wszystko, co mówi, jest doskonale niewinne. Mimo to nie mogę go ścierpieć. Jakby nie uważał mnie za człowieka; zamiast tego jestem pionkiem w grze, a on czeka, żeby mnie przestawić na szachownicy. Nie, nie przestawić: pchnąć. Jakimś cudem zapomniał, jak to jest być siedemnasto-, osiemnastolatkiem, tak jak pozostali. To mężczyzna. Ma spokojnie ponad dwa metry wzrostu. Może prawie dwa i pół. Smukły Roque zaś bardzo mi przypomina mojego brata Kierana – gdyby Kieran potrafił zabijać. Jego uśmiech jest życzliwy. Jego słowa są cierpliwe, smutne i mądre, tak samo jak wcześniej. Lae, dziewczyna, która przypomina okulawioną sarenkę, wszędzie za nim chodzi. Roque ma do niej cierpliwość, na jaką ja bym się nie zdobył.

Później tej nocy szukam miejsc, w których zginęli uczniowie. Nie mogę ich znaleźć. Schody już nie istnieją. Zamek je połknął. Odpoczywam w długim dormitorium pełnym materaców. Wilki wyją we mgle, która opływa i kryje wyżyny rozciągające się za naszym zamkiem. Szybko zasypiam.

Nasze dominium

Fitchner budzi nas wczesnym rankiem, kiedy w długim dormitorium jeszcze jest ciemno. Marudząc, turlamy się z piętrowych łóżek i wychodzimy z donżonu na dziedziniec zamkowy, gdzie się rozciągamy, a potem zaczynamy bieg. Przy 0,37 ziemskiego ciążenia z łatwością sadzimy długie susy.

Lekko mży. Ściany kanionu pięćdziesiąt kilometrów na zachód i czterdzieści na wschód od naszej dolinki wnoszą się na wysokość sześciu kilometrów. Między nimi rozciąga się ekosystem złożony z gór, lasów, rzek i równiny. Nasze pole bitwy.

My zajmujemy wysoko położone tereny. Tu wznoszą się omszałe wzgórza i urwiste szczyty, która opadają ku trawiastym wąwozom w kształcie litery „U”. Wszystko otula mgła, nawet gęste lasy, które okrywają pogórze jak kołdry z samodziału. Nasz zamek stoi na wzgórzu na północ od rzeki pośrodku podobnej do misy doliny porośniętej po części trawą, a po części lasem. Wyższe wzgórza otaczają dolinę półkolem od północy i południa. Powinno mi się tu podobać. Eo by się podobało. Jednak bez niej czuję się równie samotny jak nasz zamek na wysokim, oddalonym od wszystkiego wzgórzu. Sięgam po medalion, po nasz hemantus. Jego też nie mam przy sobie. Ogarnia mnie uczucie pustki w tym raj.

Trzy odcinki muru naszego wyniosłego zamku, wysokie na trzydzieści metrów, wznoszą się na szczytach osiemdziesięciometrowych kamiennych urwisk. Przedbramie wyrasta z murów w postaci fortecy z wieżyczkami. Wewnątrz murów nasz kwadratowy donżon o wysokości pięćdziesięciu

metrów stanowi część północnozachodniej ściany. Łagodny stok prowadzi z dna doliny ku zachodniej bramie zamkowej naprzeciwko donżonu. Zbiegamy zboczem po pustej bitej drodze. Otula nas mgła. Rozkoszuję się chłodnym powietrzem. Oczyszcza mnie po godzinach niespokojnego snu.

Słońce wypala mgłę, gdy nadchodzi letni świt. Sarenki, chudsze i szybsze od swoich krewniaków z Ziemi, pasą się w jodłowych lasach. Ptaki krążą w górze. Samotny kruk obiecuje upiorne rzeczy. Owce pstrzą pola, a kozy wędrują po wysokich, skalistych wzgórzach, na które wbiegamy szeregiem pięćdziesięciu jeden osób. Inni z mojego Domu mogą widzieć zwierzęta z Ziemi albo ciekawe stworzenia, które Rzeźbiarze postanowili stworzyć dla zabawy, ale ja widzę tylko pożywienie i ubranie.

Święte zwierzęta Marsa mają swój dom na naszym terytorium. Dziecioty uderzają w dęby i jodły. Wilki nocą wyją na pogórze, za dnia grasując po lasach. W pobliżu rzeki są węże. Sępy żyją w cichych jarach. Zabójcy biegną obok mnie. Ależ mam przyjaciół... Gdyby tylko Loran albo Kieran, albo Matteo byli tu ze mną, żeby mnie osłaniać. Ktoś, komu mógłbym zaufać. Jestem owcą w przebraniu wilka pośród watahy.

Kiedy Fitchner prowadzi nas biegiem przez skaliste wzniesienia, Lea, dziewczyna, która utyka na jedną nogę, upada. Fitchner leniwie szturcha ją stopą, aż musimy ją ponieść na ramionach. Niesiemy ją we dwóch z Roque'em. Titus uśmiecha się kpiąco i tylko Cassius nam pomaga, kiedy poeta się męczy. Potem zmienia mnie Pollux, szczupły chłopak o chrapliwym głosie i przyciętych prawie do skóry włosach. Mówi tak, jakby palił szlugi od drugiego roku życia.

Biegniemy przez letnią dolinę, przez jej lasy i pola. Owady nas gryzą. Żłotogłowi ociekają potem, ale nie ja. To lodowata kąpiel w porównaniu z rygorami pracy w piekarniku. Wszyscy wokół mnie są szczupli i w dobrej formie, ale Cassius, Sevro, Antonia, Quinn (psiajucha, najszybsza dziewczyna, w ogóle najszybsze dwunożne stworzenie, jakie w życiu widziałem), Titus, trzech jego nowi kumple i ja moglibyśmy zostawić resztę w tyle. Tylko Fitchner w grawiButach mógłby nas prześcignąć. Sadzi susy obok nas jak sarna, a potem dogania jedną z takich saren i atakuje ją brzytwą, która okręca się wokół szyi zwierzęcia. Fitchner zaciska ostrze i zabija zwierzę.

– Kolacja – oznajmia, szczerząc zęby od ucha do ucha. – Zabierzcie ją.

– Mogłeś ją zabić bliżej zamku – mruczy Sevro.

Fitchner drapie się po głowie i rozgląda.

– Ktoś jeszcze słyszał, jak niewyrośnięty paskudny goblin... jakie tam właściwie odgłosy wydają się z siebie gobliny? Bierz ją i ciągnij do zamku.

Sevro łapie sarnę za nogę.

– Półmózg.

Docieramy na szczyt skalistego wzniesienia pięć kilometrów na południowy zachód od naszego zamku. Kamienna wieża dominuje na szczycie. Z jej wierzchołka oglądamy pole bitwy. Gdzieś tam nasi wrogowie robią to samo. Teatr wojny sięga dalej na południe, niż jesteśmy w stanie sięgnąć wzrokiem. Ośnieżone pasmo górskie przesłania zachodni horyzont. Na południowym wschodzie w krajobrazie dominuje las pierwotny. Między nimi leży bujnie porośnięta równina, poprzecinana płynącą na południe potężną rzeką Argos i jej dopływami. Na południu, za równinami i rzekami, teren opada ku moczarom. Dalej mój wzrok nie sięga. Ogromna góra szybuje na wysokości dwóch kilometrów na tle błękitnawego nieba. To Olimp, wyjaśnia Fitchner, sztuczna góra, skąd rewizorzy obserwują każdy rocznik. Jego szczyt migocze jak zamek z bajki.

Lae przysuwa się do mnie.

– Jak on się unosi w powietrzu? – pyta słodko.

Nie mam zielonego pojęcia.

Patrzę na północ.

Dwie rzeki w zalesionej dolinie rozdzielają nasz północny teren, który stanowi obrzeże rozległej dziczy. Tworzą klin skierowany na południowy zachód, ku nizinom, gdzie w końcu łączą się i wpadają do Argosu. Wokół doliny wznoszą się górskie tereny – dramatyczne wzgórza i niewielkie góry pobrużdżone parowami, w których zalega mgła.

– To jest wieża Fobos – mówi Fitchner.

Wieża stoi na południowozachodnim krańcu naszego terytorium. Fitchner popija z manierki, a my stoimy spragnieni. Wskazuje północny zachód, gdzie dwie rzeki łączą się, tworząc „V”. Potężna wieża wieńczy niezbyt wysokie pasmo górskie tuż za połączeniem rzek.

– A to Dejmos. – Kreśli w powietrzu linię, żeby pokazać nam granice terytorium Domu Marsa.

Wschodnia rzeka nazywa się Furor. Zachodnia, która płynie na południe od naszego zamku, to Metas. Brzegi Metas spina jeden jedyny most. Wróg musiałby go pokonać, żeby znaleźć się w klinie doliny i ruszyć z północnego wschodu po łatwym, zalesionym terenie do naszego zamku.

– To jakiś przeklęty żart, co? – pyta Fitchnera Sevro.

– Co masz na myśli, Goblinie? – Rewizor strzela balonem z gumy.

– Mamy nogi rozłożone szeroko jak Różowa dziwka. Tyle tu gór i wzgórz, a każdy może po prostu wejść do nas frontowymi drzwiami. Idealnie płaskie podejście prowadzi z nizin prosto do naszej bramy. Wystarczy przekroczyć jedną zakichaną rzekę.

– Wskazujesz oczywistości, tak? Wiesz, naprawdę cię nie lubię. Ty mały, paskudny Goblinie. – Fitchner wpatruje się w Sevro przez dłuższą chwilę, a potem wzrusza ramionami. – W każdym razie ja będę na Olimpie.

– Co to znaczy, rewizorze? – pyta kwaśno Cassius.

Jemu też się nie podoba ta sytuacja. Chociaż oczy ma czerwone po nocy przeplakanej z powodu śmierci brata, nadal robi duże wrażenie.

– To znaczy, że to twój problem, mały księżę. Nie mój. Nikt tu niczego za ciebie nie załatwi. Jestem twoim rewizorem, a nie twoją mamusią. Jesteś w szkole, zapomniałeś? Jeśli więc masz rozłożone nogi, to zrób sobie pas cnoty, żeby chronić słabe punkty.

Rozlega się powszechny pomruk niezadowolenia.

– Mogło być gorzej – zauważam. Wskazuję za głowę Antonii w stronę południowych równin, gdzie forteca wroga obejmuje wielką rzekę. – Moglibyśmy być odsłonięci jak te biedne skurczybyki.

– Te biedne skurczybyki mają pola uprawne i sady – myśli na głos Fitchner. – A wy macie... – Rozgląda się po półce skalnej w poszukiwaniu zabitej przez siebie sarny. – Cóż, Goblin porzucił sarnę, więc nie macie nic. Wilki zjedzą to, czego wy nie zjecie.

– Chyba że my zjemy wilki – mruczy Sevro, ściągając na siebie dziwne spojrzenia reszty członków Domu.

Zatem musimy zdobywać jedzenie.

Antonia wskazuje nizinę.

– Co oni robią?

Czarny transportowiec zlatuje z chmur. Ląduje pośrodku trawiastej równiny między nami a odległą nadrzeczną fortem Ceres. Trzech Obsydianowych i tuzin Blaszków staje na warcie, podczas gdy Brązowi pośpiesznie wykładają szynki, steki, herbatniki, wino, mleko, miód i ser na rozkładane stoły osiem kilometrów od Fobosa.

– To pułapka. Ewidentnie – prycha Sevro.

– Dziękujemy, Goblinie. – Cassius wzdycha. – Ale nie jadłem śniadania. – Ma sińce pod oczami, lecz spojrzenie zuchwałe. Zerka na mnie przez tłum i uśmiecha się. – Masz ochotę się pościgać, Darrow?

Jestem zaskoczony, ale zaraz się uśmiecham.

– Na twój sygnał.

I Cassius rusza.

Robiłem głupsze rzeczy, żeby nakarmić rodzinę. Robiłem głupsze rzeczy, kiedy umarł ktoś, kogo kochałem. Cassiusowi należy się towarzystwo, kiedy pędzi w dół po stromym stoku.

Czterdzieścioro ośmioro dzieciaków patrzy, jak galopujemy napchać brzuchy; żadne za nami nie rusza.

– Przynieście mi plaster szynki w miodzie! – woła Fitchner.

Antonia wyzywa nas od idiotów. Transportowiec odlatuje, kiedy my zostawiamy górzysty grunt za sobą i docieramy na łagodniejszy teren. Osiem kilometrów przy 0,37 ziemskiego ciężenia to pestka. Zbiegamy po skalistych zboczach, a potem w pełnym pędzie wpadamy na nizinne równiny, w trawę po kostki. Cassius dobiega do stołów przede mną, wyprzedza mnie o długość ciała. Jest szybki. Obaj łapiemy kwartę lodowatej wody ze stołu. Ja wypijam swoją szybciej. Cassius się śmieje.

– Symbol na maszcie wskazuje Dom Ceres. Bogini Żniw.

Cassius wskazuje twierdzę wznoszącą się ponad zieloną równiną. Kilka drzew rośnie na paru kilometrach dzielących nas od zamku. Flagi łopoczą na murach. Cassius wrzuca winogrono do ust.

– Powinniśmy przyjrzeć się dokładniej, zanim zaczniemy się opychać – sugeruje. – Przeprowadzić mały zwiad.

– Zgadza się... ale coś tu nie gra – mówię cicho.

Cassius śmieje się, patrząc na otwarty teren.

– Bzdura. Dostrzeglibyśmy nadchodzące kłopoty. Wątpię, żeby ktokolwiek z nich był szybszy od naszej dwójki. Podeszlibyśmy spokojnym krokiem do ich bramy i narobili im na progu, gdybyśmy chcieli.

– Naprawdę coś się tu szykuje. – Dotykam brzucha.

I nie chodzi mi tylko o mój żołądek. Coś tu się kroi.

Sześć kilometrów odkrytego terenu dzieli nas od rzecznej nadfortecy. Rzeka bulgocze w oddali po prawej. Las rośnie daleko po lewej. Równiny leżą przed nami. Góry za rzeką. Wiatr szumi w wysokiej trawie, niesie wróbla, który opada nisko nad ziemię, ale zaraz odlatuje przestraszony. Śmieję się głośno i pochylam się nad stołem.

– Są w trawie – szepczę. – To pułapka.

– Moglibyśmy ukraść im worki i zabrać ze sobą więcej żarcia – odpowiada głośno Cassius. – Biegiem? – dodaje szeptem.

– Ty Piksie.

Uśmiecha się szeroko, chociaż żaden z nas nie jest pewien, czy możemy zacząć walkę podczas dnia wprowadzającego. Ale co tam.

Na „trzy” kopniakami wyłamujemy nogi składanego stołu i po chwili każdy z nas ma po metrze duroPlastu w charakterze broni. Krzyczę jak wariat i pędzę do miejsca, z którego uciekł wróbel. Cassius biegnie koło mnie. Pięciu Żółtych z Domu Ceres podnosi się z trawy. Są zaskoczeni naszą szaleńczą szarżą. Cassius trafia pierwszego w twarz schludnym szermierczym atakiem. Ja mam mniej wdzięku. Ramię nadal mam obolałe i sztywne. Krzyczę i łamię swoją broń na kolanie drugiego przeciwnika. Pada, wyjąc z bólu. Robię unik przed czymś zamachem. Cassius blokuje cios. Tańczymy we dwóch. Ich zostało trzech. Jeden staje do walki ze mną. Nie ma ani noża, ani pałki, ma za to coś, co o wiele bardziej mnie interesuje. Ostrze wygięte jak znak zapytania. Sierpak do ścinania zboża. Chłopak staje przede mną z jedną ręką na biodrze i wyciągniętym zakrzywionym ostrzem, jakby to była brzytwa. Gdyby tak rzeczywiście było, już bym nie żył. Na szczęście nie jest. Robię unik, blokuje jeden z ataków przeciwników Cassiusa i rzucam się do przodu na swojego oponenta. Jestem o wiele szybszy od niego, a mój chwyt jest jak z duroStali w porównaniu z jego uściskiem. Zabieram mu więc sierpak i zwykły nóż, zanim powalę go kopniakiem.

Kiedy ostatni z chłopców, jeszcze niedraśnięty, widzi, jak obracam sierpak w dłoń, wie, że czas się poddać. W niewielkim marsjańskim ciężeniu Cassius bardzo wysoko wyskakuje i wykonuje niepotrzebnie ozdobne boczne kopnięcie w twarz chłopaka. Przypomina mi tancerzy i skoczków z Lykos.

Kravat. Cichy Taniec. Upiornie podobny do chełpliwych tańców młodych Czerwonych.

W przekleństwach chłopaka nie ma niczego cichego. Nie współczuję tym uczniom. W nocy każdy z nich kogoś zamordował, tak samo jak ja. Nie ma niewinnych w tej grze. Jedyne, co mnie martwi, to widok tego, jak Cassius załatwił swoje ofiary. Jego gracia i finezja. Ja jestem furią i rozpędem. Zabiłby mnie w sekundę, gdyby znał mój sekret.

– Ale heca! – woła śpiewnie. – Psiakrew, byłeś przerażający! Zabrałeś mu broń! I to z jaką szybkością! Cieszę się, że nie wyładowaliśmy wcześniej w parze. Pierwszorzędna walka! Co powiecie na swoje usprawiedliwienie, przyczajeni głupcy?

Złapani Złoci tylko nas przeklinają.

Staję nad nimi i przekrzywiam głowę.

– To pierwszy raz, kiedy przegraliście? – Żadnej odpowiedzi. Marszczę czoło. – To musi być żenujące.

Cassius jest rozpromieniony – na chwilę zapomniał o śmierci brata. Ja nie. Czuję ciemność. Pustkę. Zło, kiedy adrenalina opada. Czy tego chciała Eo? Żeby bawił się w gry? Fitchner pojawia się w powietrzu nad nami i klaszcze w dłonie. Jego grawiButy błyszczą złociście. Ma plaster szynki w zębach.

– Nadchodzą posiłki! – woła ze śmiechem.

Titus i pół tuzina szybszych chłopców i dziewcząt biegną ku nam z wyższych terenów. Naprzeciwko złoty kształt unosi się z odległej rzecznej fortecy i leci w naszą stronę. Piękna kobieta o krótko ściętych włosach zatrzymuje się w powietrzu obok Fitchnera. Rewizorka Domu Ceres. Trzyma butelkę wina i dwa kieliszki.

– Marsie! – woła, zwracając się do Fitchnera imieniem bóstwa jego Domu. – Piknik!

– To kto urządził ten teatrzyk, Ceres?

– Och, chyba Apollo. Czuje się samotny w swoich górskich posiadłościach. Trzymaj, to zinfandel z jego winnic. O wiele lepszy od zeszłorocznego varietala.

– Pysznie! – oznajmia Fitchner. – Ale twoi chłopcy chowali się w trawie. Prawie jakby oczekiwali, że piknik pojawi się znikąd. To podejrzanе, nie?

– Szczegóły! – śmieje się rewizorka. – Szczegóły godne pedanta!

– Oto inny szczegół. Wygląda na to, że moich dwóch jest wartych tyle, co twoich pięciu w tym roku, moja droga.

– Ci śliczni chłopcy? – szydzi Ceres. – Myślałam, że ci najbardziej próżni trafili do Apolla i Wenus.

– Oho! Twoi z pewnością walczą, jak przystało na gospodynie domowe i farmerów. Dobrze trafili.

– Nie oceniaj ich jeszcze, łobuzie. To moi ludzie ze średniego Poboru. Ci z wysokiego są gdzie indziej i pracują na swoje stwardniałe dłonie!

– Uczą się obsługi pieców? Hura! – odpowiada ironicznie Fitchner. – Podobno piekarze to najlepsi władcy.

Kobieta go szturcha.

– Ach, ty diable. Nic dziwnego, że ubiegałeś się o pozycję Rycerza Gniewu, taki z ciebie drań!

Stukają się kieliszkami, a my patrzymy na nich z ziemi.

– Uwielbiam dzień wprowadzający – chichocze Ceres. – Merkury właśnie wypuścił sto tysięcy szczurów w cytadeli Jowisza. Ale Jowisz był przygotowany, bo Diana wygadała się i załatwił sobie dostawę tysiąca kotów. Chłopcy Jowisza nie będą głodować tak jak w zeszłym roku. A koty będą grube jak sam Bachus.

– Diana to ladacznica – oznajmia Fitchner.

– Bądź miły!

– Byłem. Wysłałem jej wielki falliczny tort napełniony żywymi dzięciołami.

– Nie!

– Tak!

– Ty bestio! – Ceres głaszcze go po rękę, a ja zauważam, z jaką swobodą flirtują. Zastanawiam się, czy inni rewizorzy też są kochankami. – Będzie miała podziurawioną fortecę. Ach, dźwięk musi być potworny. Świetna zagrywka, Marsie. Mówi się, że to Merkury jest przecherą, ale twoje figle nigdy nie są pozbawione swoistej... klasy!

– Klasy, co? Na pewno wymyśliłbym parę sztuczek specjalnie dla ciebie na Olimpie...

– Hura... – pomrukuje dwuznacznie Ceres.

Znowu wznoszą toast, zawieszeni w powietrzu nad swoimi spoconymi i zakrwawionymi uczniami. Ja wbrew sobie się śmieję. Ci ludzie są szaleni. Psiajucha, kompletnie ich powaliło w te puste Złote głowy. Jakim cudem są moimi władcami?

– Ej! Fitch! Za pozwoleniem... Co mamy zrobić z tymi farmerami? – woła Cassius. Szturcha jednego z rannych jeńców w nos. – Jakie są zasady?

– Zjedzcie ich! – krzyczy Fitchner. – Darrow, odłóż ten przekłety sierp. Wyglądasz jak żniwiarz.

Nie odkładał go jednak. Przypomina kształtem mój sierp z domu. Nie jest ostry, bo nie jest przeznaczony do zabijania, ale został podobnie wyważony.

– Wiecie, moglibyście po prostu puścić moje dzieci i oddać im sierp – sugeruje nam Ceres.

– Daj mi całusa, to umowa stoi – odkrzykuje Cassius.

– Syn imperatora? – Ceres pyta Fitchnera, a ten kiwa głową. – Poproś o całusa, jak już będziesz Naznaczony, książątko. – Ogląda się przez ramię. – Do tego czasu radziłabym tobie i żniwiarzowi zmiatać.

Słyszę tętent kopyt, zanim zobaczę pomalowane konie pędzące na nas po równinie. Wypadają przez otwartą bramę zamku Domu Ceres. Dziewczęta na ich grzbietach trzymają sieci.

– Dali wam konie! Konie! – narzeka Fitchner. – To takie niesprawiedliwe!

Biegniemy. Ledwie udaje nam się dotrzeć do lasu. Nie spodobało mi się moje pierwsze spotkanie z końmi. Nadal śmiertelnie mnie przerażają. Całe to ich prychanie i tupanie... Obaj z Cassiusem z trudem łapiemy oddech. Ramię mnie boli. Dwie osoby z posiłków Titusa zostają złapane, gdy nagle orientują się, że zostały same na otwartym terenie. Śmiały Titus obala konia i śmieje się, gdy zamierza wykończyć jedną z dziewcząt kopniakami. Ceres załatwia go energoPięścią i godzi się z Fitchnerem. Od ciosu energoPięści Titus sika w spodnie. Tylko Sevro do tego stopnia niczym się nie przejmuje, że tylko się z tego śmieje. Cassius mówi coś o złych manierach, ale sam ukradkiem chichocze. A Titus to zauważa.

* * *

– Wolno nam ich zabijać czy nie? – warczy olbrzym wieczorem przy kolacji. Jemy resztki z uczty Bachusa. – Czy za każdym razem będę rażony prądem?

– Nie chodzi o to, żeby ich zabijać – mówi Fitchner. – Więc nie, nie wolno. Nie będziecie masakrować ludzi z własnego rocznika, ty wściekły gorylu.

– Ale wcześniej ich zabijaliśmy! – protestuje Titus.

– Co z tobą? – pyta Fitchner. – Odstrzał miał miejsce podczas Próby. Nie chodzi już o przetrwanie najsilniejszych, ty stuknięty, głupi, gigantyczny worze mięśni. Jaki miałoby to sens, gdybyśmy najsilniejszym kazali teraz mordować się nawzajem, aż zostanie garstka? Zaraz nadejdą nowe sprawdziany do zaliczenia.

– Bezwzględność. – Antonia krzyżuje ręce. – Od teraz jest nie do przyjęcia? To właśnie chcesz powiedzieć?

– To by mnie bardzo zasmuciło. – Titus uśmiecha się szeroko.

Przez cały wieczór przechwalał się tym, że przewrócił konia, jakby w ten sposób wszyscy mieli zapomnieć o plamie szczyń na jego spodniach. Niektórzy zapomnieli. Już zebrał sobie stadko ogarów. Tylko Cassius i ja zyskaliśmy odrobinę jego szacunku, ale nawet do nas uśmiecha się kpiąco. Podobnie jak do Fitchnera.

Rewizor odstawia swoją szynkę w miodzie.

– Wyjaśnijmy coś sobie, dzieci, żeby ten bawół wodny nie zaczął chodzić i miażdżyć ludziom czaszek. Bezwzględność jest do przyjęcia, droga Antonio. Jeśli ktoś przypadkiem zginie, to jest to zrozumiałe. Wypadki przydarzają się najlepszym z nas. Nie będziecie jednak mordować się wzajemnie miotaczami. Nie będziecie wieszać ludzi na murach, chyba że już nie będą żyli. MedBoty są pod ręką, na wypadek gdyby pomoc medyczna była pilnie potrzebna. Są dość szybkie, żeby uratować życie. Przeważnie. Pamiętajcie jednak: nie chodzi o zabijanie. Nie obchodzi nas, czy jesteście bezwzględni jak Vlad Drakula. On mimo to przegrał. Chodzi o wygraną. Tego właśnie chcemy.

A prosty sprawdzian z okrucieństwa mamy już za sobą.

– Chcemy, żebyście pokazali nam swój geniusz. Jak Aleksander. Jak Cezar, Napoleon i Merrywater. Chcemy, żebyście kierowali armią, wymierzali sprawiedliwość, organizowali dostawy jedzenia i broni. Każdy głupiec może wbić ostrze w czyjś brzuch. Rolą szkoły jest znaleźć przywódców, a nie zabójców. Zatem celem nie jest zabijanie, głupiutkie dzieci, ale podbój. A jak macie dokonać podboju w grze, w której jest jedenaście wrogich plemion?

– Trzeba je załatwić jedno po drugim – odpowiada Titus.

– Nie, ogrze.

– Kretyn – śmieje się pod nosem Sevro.

Stadko Titusa patrzy w milczeniu na najmniejszego chłopca w Instytucie. Nikt nie próbuje mu grozić. Żadnemu twarz nawet nie drgnie. Na każdej rysuje się tylko niewypowiedziana obietnica. Trudno pamiętać, że to wszystko są geniusze. Są za ładni, zbyt atletycznie zbudowani. Są za okrutni, jak na geniuszów.

– Ktoś poza Ogrem ma jakiś pomysł? – pyta Fitchner.

Nikt się nie odzywa.

– Trzeba zrobić jedno plemię z dwunastu – odpowiadam w końcu. – Biorąc niewolników.

Tak jak działa Wspólnota. Wzniesiona na cudzych grzbietach. To nie okrucieństwo. To pragmatyzm.

Fitchner klaszcze prześmiewczo w dłonie.

– Pierwszorzędnie, Żniwiarzu, pierwszorzędnie. Ktoś tu stara się o tytuł Prymusa. – Wszyscy przy ostatnim zdaniu wiercą się nerwowo. Fitchner wyciąga długie pudełko spod stołu. – A teraz, panie i panowie, oto czym się posługujecie, żeby zdobyć niewolników. – Wyjmuje nasz sztandar. – Chronście go. Chronście swój zamek. I podbijcie wszystkie pozostałe.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Plemiona

Rankiem Fitchnera już nie ma. Na jego krześle leży sztandar, długi na stopę kawał żelaza zakończony naszym wyjącem wilkiem; pod łapami wilka zwija się wąż, a pod nim znajduje się zwieńczona gwiazdą piramida, symbol naszej Wspólnoty. Żelazny znak jest osadzony na długim na pięć stóp dębowym drzewcu. Jeśli zamek jest naszym domem, to sztandar jest naszym honorem. Za jego pomocą możemy zamieniać wrogów w swoich niewolników: wystarczy przycisnąć sztandar do ich czoł. Pojawi się wtedy pieczęć wilka – dopóki do czoła nie zostanie przyciśnięty inny sztandar. Niewolnicy muszą wypełniać nasze rozkazy albo na zawsze zostaną Pohańbionymi.

Siedzę naprzeciwko sztandaru w mroku przedświt, dojadając resztki z posiłku od Apolla. Wilk wyje we mgle. Jego skowyt wpada przez wysokie okno donżonu. Pierwsza dołącza do mnie wysoka Antonia. Sunie jak samotna wieża albo piękny złoty pajak. Jeszcze nie zdecydowałem, w którym kierunku przechyla się jej osobowość. Zerkamy po sobie, ale się nie witamy. Ona też chce zostać Prymusem.

Cassius i zachrypły Pollux dołączają w następnej kolejności. Pollux narzeka, że musiał iść do łóżka bez Różowych, które by go utuliły do snu.

– To naprawdę paskudny sztandar, nie sądzicie? – narzeka Antonia. – Mogli dodać chociaż trochę koloru. Powinien być spowity czerwienią, jako symbolem gniewu i krwi.

– Nie jest zbyt ciężki. – Cassius waży go w ręce, łapiąc za drzewce. – Myślałem, że będzie złoty. – Podziwia złotą dłoń Prymusa osadzoną

w czarnym bloku kamienia. Pragnie zostać Prymusem. – I dali nam mapę. Świetnie.

Nowa kamienna mapa dominuje na jednej ze ścian. Szczegóły w okolicy naszego zamku są nadzwyczajne. Reszta już niekoniecznie. Mgła wojny. Cassius klepie mnie po plecach i siada do śniadania. Nie wie, że słyszałem, jak płakał w nocy. Dzielimy nowe łóżko piętrowe w koszarach w wysokim donżonie. Wielu innych nadal śpi w głównej wieży. Titus i jego przyjaciele zajęli wieżę dolną, chociaż nie mają dość ludzi, żeby ją wypełnić.

Większość Domu już nie śpi, kiedy Sevro przywleka za łapy martwego wilka. Zwierz jest już wypatroszony i oskórowany.

– Goblin przyniósł wiktuały! – Z gracją okłaskuje go Cassius. – Hmm. Będziemy potrzebować drewna. Czy ktoś potrafi rozpalić ogień? – Sevro potrafi. Cassius uśmiecha się szeroko. – Oczywiście, że potrafisz, Goblinie.

– Uznałeś, że zabijanie owiec jest za łatwe? – pytam. – Skąd miałeś broń?

– Urodziłem się z nią. – Ma zakrwawione paznokcie.

Antonia marszczy nos.

– Gdzieś ty, u diabła, się wychował?

Sevro pokazuje jej środkowy palec i robi krzyżyk z palców.

– Aha. – Antonia pociąga nosem. – Zatem w piekle.

– No dobrze, jak już na pewno wszyscy zauważyliście, minie trochę czasu, zanim ktokolwiek z nas zdobędzie dość belek, żeby zostać Prymusem – oznajmia Cassius, kiedy zebraliśmy się wokół stołu. – Oczywiście pomyślałem, że potrzebujemy przywódcy, zanim zostanie wybrany Prymus. – Wstaje i odsuwa się od Sevro, żeby oprzeć palce na brzegu sztandaru. – Żebyśmy mogli funkcjonować, musimy podejmować natychmiastowe i skoordynowane decyzje.

– A uważasz, że który z was dwóch głupców powinien nim zostać? – pyta oschle Antonia. Spojrzenie jej wielkich oczu przesuwają się z Cassiusa na mnie. Przygląda się pozostałym i mówi dalej przesłodzoną głosem: – Co w tej chwili sprawia, że ktokolwiek z nas lepiej się nadaje na przywódcę od pozostałych?

– Zdobyli nam kolację... i śniadanie – odzywa się bez przekonania siedząca obok Roque'a Lea. Wskazuje na resztki z pikniku.

– Biegnąc prosto w pułapkę... – przypomina wszystkim Roque.

Antonia mądrze kiwa głową.

– Tak, tak, słuszna uwaga. Nierozwaga może nam zaszkodzić.

– ...z której wywalczyli sobie ucieczkę – kończy Roque.

Antonia piorunuje go wzrokiem.

– Mając nogi stołowe przeciwko prawdziwej broni – dudni z aprobatą Titus, ale zaraz zastrzega: – Mimo to uciekli i zostawili jedzenie za sobą. Zatem to Fitchner załatwił nam pożywienie. Oni oddaliby je wrogowi, podsunęli mu je pod nos, jak przystało na Brązowych.

– No cóż, wydarzenia przybrały niespodziewany obrót – odzywa się Cassius.

Titus wzrusza ramionami.

– Widziałem tylko, że uciekałeś jak mały Piks.

Cassius zamiera.

– Uważaj sobie, łaskawy panie.

Titus unosi ręce.

– To tylko spostrzeżenie. Czemu tak się złościsz, mały książę?

– Uważaj sobie, łaskawy panie, bo od szermierki słownej przejdziemy do prawdziwej. – Cassius podnosi skradzione widły i wskazuje Titusa. – Słyszysz to, Titusie au Ladros?

Titus patrzy mu w twarz, a potem zerka na mnie, uznając mnie za jego sprzymierzeńca. Nagle ja i Cassius tworzymy jedno plemię w oczach wszystkich. Paradygmat szybko się przekształca. Polityka. Daję sobie czas, obracając skradziony nóż w palcach. Cały stół obserwuje ten ruch. Zwłaszcza Sevro. Moja prawa Czerwona ręka zebrała milion ton helu-3 dzięki swojej zręczności. Lewa pół miliona. Zręczność przeciętnego podCzerwonego zdumiałaby tych Żółtych. Olśniewam ich. Nóż jest jak skrzydła kolibra w moich zwinnych palcach. Robię wrażenie spokojnego, ale tak naprawdę to gorączkowo się zastanawiam.

Każdy z nas zabił. Taka była stawka. Czym są teraz ci ludzie? Titus już jasno dał do zrozumienia, że chce zabijać. Myślę, że mógłbym go teraz powstrzymać. Wbić mu nóż w szyję. Jednak ta myśl sprawia, że upuszczam ostrze. Czuję w rękach śmierć Eo. Słyszę wilgotny łomot ciała umierającego Juliana. Nie mogę znieść rozlewu krwi, zwłaszcza jeśli nie jest konieczny. Mogę zmusić tego wielgachnego szczeniaka, żeby się wycofał.

Mierzę go zimnym spojrzeniem. Jego uśmiech jest powolny, pogarda ledwie zauważalna. Wyzywa mnie. Będę musiał z nim walczyć albo stawić mu czoło w inny sposób, jeśli nie odwróci wzroku. Tak chyba zachowują się wilki.

Mój nóż wiruje i wiruje. Nagle Titus wybucha śmiechem. Odwraca wzrok. Moje serce zwalnia. Wygrałem. Nienawidzę polityki. Zwłaszcza w pokoju pełnym alf.

– Oczywiście, że cię słyszę, Cassiusie. Stoisz dziesięć stóp ode mnie – rechoce Titus.

Nie uważa, że jest dostatecznie silny, by otwarcie rzucić wyzwanie Cassiusowi i mnie, nawet mając poparcie swojego stada. Widział, co zrobiliśmy chłopakom Ceres. Jednak właśnie w ten sposób nakreślimy pierwsze linie podziałów.

Wstaję nagle, potwierdzając to, że trzymam z Cassiusem. To pozbawia Titusa rozpisu.

– Czy jest tu ktoś, kto nie chciałby, żeby któryś z nas dowodził? – pytam.

– Nie chciałbym, żeby dowodziła Antonia. To suka – mówi Sevro.

Antonia wzrusza ramionami na zgodę, ale przekrzywia głowę.

– Cassi, dlaczego tak ci się śpieszy, żeby znaleźć nam przywódcę? – pyta.

– Jeśli nie będziemy mieli jednego przywódcy, rozpadniemy się na frakcje i zaczniemy robić to, co każdy uważa za najlepsze. I w ten sposób przegramy.

– Zamiast robić to, co ty uważasz za najlepsze – odpowiada z uśmiechem dziewczyna i kiwa głową. – Rozumiem.

– Daruj sobie to pobłażanie, Antonio. Nawet Priam zgadzał się, że potrzebujemy jednego przywódcy.

– Kto to jest Priam? – śmieje się Titus.

Znowu próbuje ściągnąć na siebie uwagę. Każdy Złoty dzieciak na planecie znał Priam. Teraz Titus próbuje dać do zrozumienia, kto go zabił, i pozostali to zauważają. Odzyskuje impet. Tyle że ja wiem, że Titus nie zabił Priama. Nie wysłałiby kogoś takiego jak on przeciwko Priamowi. Dali jakiegoś słabeusza. Titus nie dość, że jest brutalem, to okazuje się też kłamcą.

– Ach tak, rozumiem. Ponieważ spiskowałeś z Priamem, wiesz, co trzeba zrobić, tak, Cassiusie? Wiesz lepiej niż ktokolwiek z nas? – Antonia gestem ogarnia resztę stołu. – Chcesz nam powiedzieć, że jesteśmy bezradni bez twojego przewodnictwa?

Złapała w pułapkę jego i mnie przy okazji.

– Słuchajcie, chłopcy, wiem, że palicie się do dowodzenia – mówi dalej.
– Rozumiem to. Wszyscy jesteśmy z natury przywódcami. Każda osoba w tym pokoju to urodzony geniusz, urodzony kapitan. Ale po to właśnie istnieje system zasług i pozycja Prymusa. Kiedy ktoś zdobędzie pięć belek i będzie gotowy zostać Prymusem, dostaniemy przywódcę. A do tego czasu proponuję się wstrzymać. Jeśli Cassius albo Darrow zapracują na tę pozycję, to niech tak będzie. Zrobię, co mi rozkażą, posłuszna jak Różowa, prosta jak Czerwona. – Wskazuje na innych. – A do tego czasu, myślę, że ktoś z was też powinien mieć szansę... W końcu to może zdecydować o waszej karierze!

Jest sprytna. Zatopila nas. Każdy bachor w tym pokoju bez wątpienia żałował, że od początku nie był bardziej asertywny, żałował, że nie będzie drugiej szansy, aby się pokazać, dać się zauważyć. Antonia właśnie im to daje. Rozpęta się chaos. Dziewczyna może skończyć jako Prymus. To bez wątpienia pajęczycza.

– Słuchajcie! – odzywa się towarzysząca Roque’owi Lea.

Spoza zamku dobiega dźwięk rogu.

W tej samej chwili nasz sztandar migocze. Wąż i wilk porzucają żelazo na rzecz lśniącego złota. Co więcej: kamienna mapa na ścianie ożywa. Nasza chorągiew z wilkiem łopocze nad miniaturą naszego zamku. To samo robi chorągiew Ceres. Nie ma na mapie żadnych innych zamków, ale chorągwie nieodkrytych Domów łopoczą z boku, na legendzie. Niewątpliwie wkrótce znajdą swoje miejsca, kiedy przeprowadzimy zwiad otaczających nas terenów.

Gra się zaczęła. I każdy chce zostać Prymusem.

Widzę, dlaczego Demokracja jest nielegalna. Najpierw zaczynają się wrzaski. Frustracja. Niezdecydowanie. Niezgoda. Pomysły. Zwiad. Umocnienia. Gromadzenie jedzenia. Zakładanie pułapek. Nalot. Rajd. Obrona. Atak. Pollux pluje. Titus go ogłusza. Antonia wychodzi. Sevro mówi do Titusa coś drwiącego i wywleka wilka Bóg jeden wie dokąd, w ogóle nie rozpaliwszy ognia. Zupełnie jak moja ekipa wiertnicza, kiedy brygadzysta weźmie godzinę chorobowego. W ten sposób odkryłem, że potrafię wiercić: Barlow wymknął się na dymka, a ja wziąłem jego świder i zrobiłem to, co uważałem za najlepsze. Teraz robię to samo, kiedy dzieciaki się kłócą.

Cassius, Roque i Lea – która wszędzie chodzi za Roque’em – idą za mną, chociaż Cassius pewnie myśli, że to on przewodzi. Zgadza się, że

pozostali nie będą wiedzieli, co robić, więc siłą rzeczy nie zrobią dzisiaj niczego. Będą strzegli zamku albo poszukają drewna na opał, może zgromadzą się wokół sztandaru w obawie, że sam sobie gdzieś pójdzie.

Nie wiem, co robić. Nie wiem, czy wrogowie właśnie się do nas nie podkradają. Nie wiem, czy nie zawiązują przymierza przeciwko Marsowi. Nie wiem nawet, jak się gra w tę cholerną grę. Jednakże z jakiegoś powodu zakładam, że nie we wszystkich innych Domach zapanuje taka niezgoda jak u nas. My z Marsa bardziej niż inni jesteśmy skłonni do konfliktów.

Pytam Cassiusa, co jego zdaniem powinniśmy zrobić.

– Pewnego razu wyzwalam na pojedynek za znieważenie mojej rodziny podskakującego prostaka, fircyka z rodu Augustus. Był bardzo metodyczny: poprawił rękawiczki, związał swoje śliczne włosy z tyłu, pomachał brzytwą jak przed każdym przeklętym treningiem, jaki odbył w Klubie Walk w Agei.

– No i?

– Zaatakowałem i dźgnąłem go w rzepkę, kiedy ciągle jeszcze stał i machał tą swoją brzytwą, przygotowując się. – Cassius zauważa dezaprobatę Lei. – No co?! Pojedynek już się zaczął. Jestem podstępny, ale nie jestem brutalny. Po prostu wygrałem.

– Czuję, że wszyscy tak myślicie – mówię. – To znaczy myślimy.

Nie zauważają mojej pomyłki.

W każdym razie Cassius ma rację. Nasz Dom w obecnym stanie nie może zaatakować wroga, za to wróg może zaatakować nas, kiedy my zajmujemy się przygotowaniami, i zniszczyć wszystkie moje nadzieje na awans we Wspólnocie. Zatem: informacje. Potrzebujemy wiedzieć, czy nasi wrogowie znajdują się w dolinie pół kilometra na północ od nas czy piętnaście kilometrów na południe. Czy my sami jesteśmy w kącie planszy, czy w samym jej środku? Czy na wyżynach są jacyś przeciwnicy? A na północ od nich?

Cassius i ja zgadzamy się. Trzeba przeprowadzić zwiad.

Dzielimy się. Ruszamy do Fobosa, a potem szybko przesuwamy się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Lea i Roque udają się pod Dejmosa i przeprowadzają zwiad w odwrotnym kierunku. Mamy się spotkać o zmierzchu.

Ze szczytu Fobosa nie widzimy żywej duszy. Na nizinach nie ma koni ani wojowników Ceres, pasmo górskie na południu jest pełne jezior i kóz. Na południowym wschodzie na szczycie karłowatej góry dostrzegamy

część Wielkiej Puszczy ciągnącej się na południe i południowy wschód od nas. Armia gigantów mogłaby się tam schować, a my nie mielibyśmy tego jak zbadać. Żeby choć zbliżyć się do linii drzew, potrzebowalibyśmy połowy dnia.

Jakieś dziesięć kilometrów od naszego zamku natykamy się na zerodowany kamienny fort na niskim wzgórzu, strzegący przełęczy. W środku znajdujemy prymitywny zestaw survivalowy: jodyna, kompas, lina, sześć duroToreb, szczoteczka do zębów, siarkowe zapaliki i zwykłe bandaże. Chowamy wszystkie przedmioty w przezroczystej duroTorbie.

Zatem zaopatrzenie leży ukryte w dolinie. Coś mi mówi, że w okolicy schowano ważniejsze rzeczy niż zestawy survivalowe. Broń? Środki transportu? Zbroje? Wytwory techniki? Nie mogą chcieć, żebyśmy walczyli na kije, kamienie i metalowe narzędzia. Jeśli mamy się nawzajem nie pozabijać, to broń ogłuszająca musi wkrótce zastąpić metalową.

Tego pierwszego dnia fundujemy sobie paskudne oparzenia słoneczne. Mgła chłodzi je, kiedy wracamy. Titus i jego paczka – teraz już szóstka – wróciła właśnie z bezowocnej wyprawy na równiny. Zabili dwie kozy, ale nie mają ognia, żeby je upiec, zwłaszcza że Sevro gdzieś się wymknął. Nie mówię im o moich zapalnikach. Zgadza się z Cassiusem, że Titus, jeśli chce być twardzielem, powinienem przynajmniej umieć zdobyć ogień. Sevro, gdziekolwiek jest, najwyraźniej też się z tym zgadza. Chłopcy Titusa uderzają metalem o kamień, próbując wykrzesać iskry, ale kamienie, z których zbudowano zamek, nie iskrzą. Cwani rewizorzy.

Paczka Titusa każe mętom – ludziom z niskiego Poboru – iść po drewno, chociaż nie mają ognia. Tego wieczoru wszyscy idą spać głodni – wszyscy z wyjątkiem Roque’a i Lei, którzy znaleźli trochę batonów survivalowych. Lubię tę parę, mimo że są Złoci; usprawiedliwiam przyjaźń z nimi, wmawiając sobie, że robię to tylko po to, żeby stworzyć własne plemię. Cassius wyraźnie uważa, że szybka dziewczyna ze średniego Poboru, Quinn, może być przydatna. On jednak myśli tak o większości ładnych dziewczyn.

Plemiona rosną, a my przyswajamy pierwszą lekcję.

Antonia zaprzyjaźnia się z krępym, skwaszonym gościem o kręconych włosach imieniem Cipio. Udaje jej się wysłać grupy uzbrojone w łopaty i siekiery, które znalazła w zamku, żeby obsadzili Fobosa i Dejmosa. Może i jest rozpieszczoną wiedźmą, ale nie jest głupia. Kiedy jednak paczka Titusa kradnie im siekiery podczas snu, zmieniam zdanie na jej temat.

Chodzę na zwiady z Cassiusem. Trzeciego dnia widzimy dym w oddali, jakieś dwadzieścia kilometrów na wschód od nas. O zmierzchu wygląda prawie jak sygnał dymny. Drużyny zwiadowcze wroga na pewno krążą tak jak my. Gdybyśmy znajdowali się bliżej albo mieli konie, moglibyśmy to zbadać. Albo gdybyśmy mieli więcej ludzi, moglibyśmy wysłać ich nocą i zaplanować wypad, żeby zdobyć niewolników. Odległość i wewnętrzne tarcia wszystko zmieniły. Między nami a słupem dymu są wąwozy, jary, w których mogą się kryć wrogowie. A potem zostaje wiele kilometrów równin, gdzie szlibyśmy całkowicie odsłonięci. Nie pójdziemy więc. Nie, kiedy niektóre Domy dysponują końmi. Nie mówię tego Cassiusowi, ale boję się. Na wyżynach czuję się bezpiecznie, dalej jednak grasują bandy psychotycznych bożków. Bożków, na których na razie nie chcę się natknąć.

Myśl o spotkaniu z innymi Domami jest jeszcze bardziej przerażająca z tego powodu, że nawet u siebie nie czuję się bezpiecznie. Jest tak, jak zawsze mówi Octavia au Lune: żaden człowiek nie zdoła niczego dokonać w obliczu konfliktów wewnętrznych. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby zostawić Titusa samego na zbyt długo. Już ukradł jagody, które zebrały Lea i Quinn. Tego ranka chciał wypróbować sztandar na Quinn, żeby przekonać się, czy może robić sobie niewolników z członków własnego Domu. Nie może.

– Musimy w jakiś sposób zjednoczyć Dom – mówi mi Cassius, kiedy badamy północne wyżyny. – Instytut zostanie z nami na resztę życia. Jeśli przegramy, możemy nigdy nie zdobyć pozycji. Nigdy.

– A jeśli zostaniemy niewolnikami w trakcie gry? – pytam.

Patrzy na mnie zaniepokojony.

– Czy może być coś gorszego?

Jakbym potrzebował dodatkowej motywacji.

– Założę się, że twój ojciec wygrał na swoim roku. Był Prymusem? – pytam.

Żeby zostać imperatorem, musiał wygrać na swoim roku.

– Jasne. Zawsze wiedziałem, że wygrał, ale psiakrew, nie miałem zielonego pojęcia, co to znaczy, dopóki tu nie trafiłem.

Obaj się zgadzamy, że abyśmy mogli zjednoczyć z powrotem Dom, Titus musi odejść. Nie ma jednak sensu walczyć z nim otwarcie. Ta szansa przepadła po pierwszym dniu. Jego plemię za bardzo się rozrosło.

– Proponuję zabić go we śnie – mówi Cassius. – Moglibyśmy zrobić to we dwóch.

Robi mi się zimno na te słowa. Nie podejmujemy decyzji, ale propozycja przypomina mi, że ja i Cassius jesteśmy różnymi stworzeniami. Chociaż, czy aby na pewno? Jego gniew jest zimny, okrutny. Jednak nigdy więcej nie mam okazji go zobaczyć, nawet w obecności Titusa: Cassius jest cały w uśmieszkach, roześmiany, rzuca wyzwania członkom jego paczki, proponuje wyścigi i mocowanie się, kiedy nie wybierają się na rajdy. A ja po prostu czuję, że otaczają mnie wrogowie.

O ile jednak do mnie większość uczniów podchodzi nieufnie, o tyle Cassius jest powszechnie kochany – z wyłączeniem paczki Titusa. Zaczął się nawet wymykać z Quinn. Lubię ją. Zabiła sarnę za pomocą pułapki, a potem opowiedziała, jak to ją zagryzła. Pokazała nam nawet dowód: sierść między zębami i na dziąsłach oraz ślady ugryzienia na sarnie. Już myśleliśmy, że mamy w rękach ładniejszą wersję Sevro, dopóki nie zaczęła się tak śmiać, że nie była w stanie dłużej wmawiać nam tej bajeczki. Cassius pomógł jej pozbyć się sarniej sierści spomiędzy zębów. Cenię sobie zaangażowanych kłamców.

Warunki pogarszają się podczas pierwszych kilku dni. Ludzie nadal są głodni, bo jeszcze nie rozpaliliśmy ognia na zamku, o higienie szybko zapomniano, kiedy dwie nasze dziewczyny zostały porwane przez konnych z Domu Ceres podczas kąpieli w rzece tuż poniżej naszej bramy. Złoci nie radzą sobie, kiedy ich delikatne pory zatykają się i zaczynają wyskakiwać im pryszcz.

– Wygląda jak ukąszenie pszczoły. – Śmieje się Roque do mnie i Cassiusa. – Albo dalekie promieniste słońce.

Udaję fascynację, jakbym nigdy w Czerwonym życiu nie miał pryszcza. Cassius pochyla się, żeby się przyjrzeć.

– Bracie, to po prostu...

I wtedy Roque wyciska pryszcz prosto w twarz Cassiusa, który aż zatacza się do tyłu i walczy z odruchem wymiotnym. Quinn przewraca się ze śmiechu.

– Naprawdę zastanawiam się czasem – zaczyna Roque, kiedy już chłopak dochodzi do siebie – jaki to wszystko ma cel. Jakim cudem ma to być najbardziej efektywna metoda oceny naszych zdolności, uczynienia nas istotami, które mogą rządzić Wspólnotą?

– I doszedłeś do jakichkolwiek wniosków? – pyta ostrożnie Cassius. Zachowuje teraz dystans.

– Poeci nigdy nie dochodzą – mówię.

Roque się śmieje.

– W przeciwieństwie do większości poetów mnie się czasem udaje. I mam odpowiedź na to pytanie.

– To wyduś ją z siebie – ponagla go Cassius.

– Jakbym nie zamierzał tego zrobić bez pouczenia od naszej primadonny. – Roque wzdycha. – Trzymają nas tutaj, bo ta dolina to ludzkość przed rządami Żółtych. Podzielona. Skłócona nawet w obrębie własnych plemion. Chcą, żebyśmy na własnej skórze poznali cały proces, przez który przeszli nasi przodkowie. Krok po kroku ta gra będzie ewoluowała, ucząc nas nowych lekcji. Hierarchie w grze będą się rozwijać. Będziemy mieli Czerwonych, Żółtych, Miedzianych.

– Różowych? – pyta z nadzieją Cassius.

– To ma sens – mówię.

– No, to byłoby naprawdę przedziwne – śmieje się Cassius, obracając swój pierścień z wilkiem na palcu. – Matki i ojcowie dostaliby szau, gdyby tak to się ciągnęło. Pewnie dlatego Titus łypie lubieżnym okiem na dziewczyny. Marzy mu się zabawka. Skoro mowa o zabawkach, dokąd wysłał Vixusa?

Śmieję się. Vixus, najprawdopodobniej najbardziej niebezpieczny z popleczników Titusa, ponad dwie godziny temu na jego rozkaz wyruszył z zamku z paroma innymi dziećmi. Mieli wykorzystać wysokość Fobosa i przeprowadzić zwiad równin przed najazdem na Dom Ceres.

– Najlepiej byłoby mieć Vixusa po naszej stronie, zanim wykonamy nasz ruch – mówię. – To prawa ręka Titusa.

Roque kontynuuje inny tok myśli.

– Nie wiem... co do Różowych – mówi. Myśl o Żółtym, który staje się Różowym, jest dla niego obraźliwa. – Ale... reszta jest prosta. To mikrokosmos, miniatura Układu Słonecznego.

– Dla mnie to jak zabawa w podchody, tyle że z mieczami, o ile dobrze pamiętam tę zabawę – odpowiadam. Nigdy się w to nie bawiłem, ale podczas nauki u Matteo poznałem gry, w które te dzieci bawiły się w ogrodach swoich rodziców.

– Mhm. – Cassius kiwa głową. Z udawaną powagą dźga Roque'a palcem w pierś. – Zgadza się. Możesz wziąć swoje pogaduszki i wsadzić je tam, gdzie słońce nie śmie zaświecić. Dwa wielkie umysły zdecydowały. To zabawa w podchody.

– Rozumiem. – Roque się śmieje. – Nie wszyscy mężczyźni potrafią pojąć metafory i subtelności tak dobrze jak ja. Nie obawiajcie się jednak, moi umięśnieni przyjaciele, będę tu, żeby przeprowadzić was przez te wszystkie skomplikowane meandry myślowe. Na przykład mogę wam powiedzieć, że naszym pierwszym zadaniem będzie scalić Dom, zanim wróg zapuka do bram.

– Do diabła – mruczę, spoglądając z murów.

– Coś cię ugryzło w tyłek? – pyta Cassius.

– Wygląda na to, że gra właśnie się zaczęła. – Wskazuję na dół.

Przez dolinę, gdzie las styka się z trawiastą równiną, Vixus wlecze za włosy dziewczynę. Pierwsza niewolnica Domu Marsa. A ja zamiast odrazy czuję zazdrość. Zazdroszczę mu, że sam jej nie złapałem. Udało się to sługusowi Titusa, a to znaczy, że Titus zyskał teraz na wiarygodności.

Rozłam

Mimo że nadal śpimy pod tym samym dachem, potrzeba było zaledwie czterech dni, żeby Dom rozpadł się na cztery plemiona. Antonia, podobno potomkini rodu będącego właścicielem sporego pasu asteroid, zbiera przedstawicieli średniego Poboru: marudy, gaduły, mózgi, ofermi, snobów, popychadła i politikosów.

Titus ściąga głównie takich z wysokiego albo średniego Poboru: mięśniaków, osoby skłonne do przemocy, szybkie, dzielne, inteligentne i ambitne oraz oportunistów – typowych kandydatów wybieranych do Domu Marsa. Utalentowana pianistka, cicha Cassandra, jest u niego. Podobnie jak zachrypły Pollux i psychotyczny Vixus, który dygoce z przyjemności na samą myśl o wbiciu metalu w ciało.

Gdybyśmy z Cassiusem mieli więcej talentu politycznego, może udałoby nam się skrać tych z wysokiego Poboru Titusowi. Do diabła, może nawet już wszyscy by za nami podążali, gdybyśmy po prostu powiedzieli im, że muszą nas słuchać. W końcu przez krótką chwilę byliśmy z Cassiusem najsilniejsi. Dopiero potem daliśmy Titusowi czas, żeby zastraszył ludzi, a Antonii, żeby ich zmanipulowała.

– Przekłeta Antonia – mówię.

Cassius się śmieje i potrząsa złotą głową, kiedy biegniemy na wschód przez wyżyny w poszukiwaniu kolejnych ukrytych zapasów. Moje długie nogi są w stanie pokonać kilometr w nieco ponad minutę.

– Z czasem uczysz się spodziewać się po niej takich rzeczy. Gdyby nasze rodziny nie spędzały razem wakacji, odkąd byliśmy mali, mógłbym

pierwszego dnia wyzwać ją od demokratek, ale ona taka nie jest. Bardziej przypomina Cezara albo... jak się ich nazwało... ? Prezydentami? Tyranem w przebraniu konieczności.

– Jest balasem w kłocie.

– Co to niby znaczy? – śmieje się Cassius.

Już stryj Narol by mu wytłumaczył.

– Słucham? A takie tam... Usłyszałem to kiedyś w Yorkton od jednego nadCzerwonego. To tyle co mucha w winie. Czarna owca.

– Od nadCzerwonego? – prychnął Cassius. – Jedna z moich nianiek była nadCzerwona. Wiem. Dziwne. Powinna być Brązowa. Ale opowiadała mi różne historie, kiedy próbowałem zasnąć.

– To miłe.

– Uważałem ją za nadętą prukwę. Próbowałem przekonać matkę, żeby kazała jej się zamknąć i zostawić mnie w spokoju, bo ciągle tylko chciała gadać o dolinach i posępnych romansach, które zawsze kończyły się smutno. Przygrybiające stworzenie.

– I co zrobiła twoja matka, kiedy się poskarżyłeś?

– Matka? Ha! Poklepała mnie po głowie i powiedziała, że od każdego zawsze można się czegoś nauczyć. Nawet od nadCzerwonej. Ona i ojciec lubili udawać, że są postępowi. To mi miesza w myślach. – Kręci głową. – Ale Yorkton! Julian nie mógł uwierzyć, że pochodzisz z Yorkton.

Ciemność wraca. Nawet wspomnienie o Eo tego nie zmienia. Nawet wizja mojej szlachetnej misji i tego wszystkiego, na co mi pozwala, nie rozprasza poczucia winy. Jako jedyny nie powinienem mieć wyrzutów sumienia po Próbie, a jednak myślę, że jako jedyny (poza Roque'em) je mam. Patrzę na swoje dłonie i przypominam sobie krew Juliana.

Cassius wskazuje nagle niebo na południowym zachodzie.

– Co to jest, psiakrew?

Dziesiątki migoczących medBotów wylewają się z szybującego zamku Olimpu. Słyszymy ich jęk w oddali. Rewizorzy migoczą za nimi jak płonące strzały, lecąc w stronę odległych południowych gór. Cokolwiek się stało, jedno jest pewne: na Południu rządzi chaos.

Chociaż moje plemię nadal śpi w zamku, przeprowadziliśmy się z wysokiej wieży do przedbramia, żeby nie musieć zadawać się z paczką Titusa. Na wszelki wypadek gotujemy w tajemnicy.

Spotykamy się z naszym plemieniem na kolacji nad górskim stawem na północnych wyżynach. Nie wszyscy są z wysokiego Poboru. Mamy dwóch

– Cassiusa i Roque’a, ale poza tym nikogo powyżej siedemnastego miejsca. Mamy dwie dziewczyny ze średniego Poboru: Quinn i Leę. Pozostali to niski Pobór, czyli męty: Błazen, Brzydal, Chwast, Pestka i Oset. To gryzie Cassiusa, chociaż męty z Instytutu to nadal prawdziwi naddudzie w porównaniu z resztą Kolorów. Są wysportowani. Są wytrzymali. Nigdy nie proszą, żebyś coś powtórzył, chyba że chcą dać ci coś do zrozumienia. I akceptują moje rozkazy, a nawet przewidują, czego będę od nich wymagał w następnej kolejności. Przypisuję to faktowi, że wywodzą się z mniej uprzywilejowanych rodzin.

Większość jest bystrzejsza ode mnie. Ja jednak mam unikalną zdolność, którą nazywają slangLogiką, czego dowodzi mój wysoki wynik w teście z inteligencji ekstrapolacyjnej. Chociaż to nie ma znaczenia; mam siarkowe zapalki, a to czyni ze mnie boga Prometeusza. Ani Antonia, ani Titus nie mają ognia, o ile mi wiadomo. Zatem ja jeden mogę napełnić brzuchy. Każę każdemu z mojego plemienia zabić kozę albo owcę. Żadnemu z nich nie wolno pasżytować, chociaż Brzydal stara się, jak może. Nie zauważają, że ręce mi się trzęsą, kiedy nożem podcinam gardło mojej pierwszej ofierze. W oczach zwierzęcia jest tyle zaufania, a potem konsternacji, gdy nadchodzi śmierć, bo nadal uważa mnie za przyjaciela. Krew jest ciepła, tak samo jak ciepła była krew Juliana. Mięśnie szyi są twarde. Muszę piłować tępy nożem, jak Lea, gdy zabija swoją pierwszą kozę, zawodząc przy tym przeraźliwe. Każę jej także oskórować zwierzę z pomocą Oset. Kiedy nie jest w stanie tego zrobić, biorę jej dłonie w swoje ręce i pomagam jej, dodając tym samym sił.

– Tatuś pokroi ci też mięsko? – kpi z niej Oset.

– Przymknij się – mówi Roque.

– Lea potrafi sama walczyć w swojej obronie, Roque. Lea, Oset zadała ci pytanie. – Lea patrzy na mnie zdziwiona, w jej wielkich oczach maluje się zmieszanie. – Zadał jej jeszcze jedno, Oset.

– Co się stanie, kiedy dojdzie do konfrontacji z Titusem? Też wtedy będziesz beczeć? Dzieciak.

Oset wie, czego od niej oczekuję. Poprosiłem ją o to pół godziny temu, zanim przyprowadziłem Lei kozę.

Kiwam głową na Leę, patrząc na Oset.

– Popłaczysz się? – pyta Oset. – Otrzesz oczęta w...

Lea warczy i rzuca się na nią. We dwie turlają się i biją po twarzach. Nie trzeba wiele czasu, żeby Oset przydusiła Leę. Roque wierci się koło mnie

i chce wstać. Quinn go odciąga. Lea sinieje na twarzy. Uderza w rękę Oset. A potem mdleje. Kiwam Oset głową w podzięcie. Ciemnoskóra dziewczyna odpowiada mi powolnym skinieniem.

Następnego ranka Lea chodzi nieco bardziej wyprostowana. Znajduje dość odwagi, żeby wziąć Roque'a za rękę. Oznajmia też, że jest lepszą kucharką od nas wszystkich. A nie jest. Roque także próbuje sił jako kucharz, ale okazuje się niewiele lepszy. Jedzenie jego stawy to jak żucie żylastej, suchej gąbki. Nawet Quinn mimo jej niestworzonych opowieści nie jest w stanie wymyślić przepisu.

Gotujemy kozie mięso i sarninę w naszej obozowej kuchni sześć kilometrów od zamku i robimy to nocą w jarze, żeby światło i dym nie były widoczne. Nie zabijamy owiec; zamiast tego zaganiamy je do północnego fortu na później. Dzięki jedzeniu mógłbym ściągnąć więcej osób do naszego plemienia, ale pożywienie stanowi równie duże zagrożenie, co dobrodziejstwo. Co zrobiliby Titus i jego zabójcy, gdyby odkryli, że mamy ogień, jedzenie, czystą wodę...

Wracam z Roque'em do zamku z misji zwiadowczej na południu, kiedy słyszymy odgłosy dobiegające z małego zagajnika. Podkradamy się bliżej, słyszymy postękiwanie i odgłos szarpania. Spodziewamy się ujrzeć watahę wilków pożerającą kozę, gdy zerkamy przez krzaki i widzimy, że żołnierze Titusa kucają wokół trupa sarny. Mają zakrwawione twarze, oczy ciemne i wygłodniałe, gdy nożami odcinają z truchła pasy mięsa. Pięć dni bez ognia, pięć dni niejadalnych jagód i już zamienili się w dzikusów.

– Musimy dać im zapalki – mówi mi potem Roque. – Krzesiwo nie działa na tych kamieniach.

– Nie. Jeśli damy im zapalki, Titus uzyska jeszcze większą władzę.

– Czy w tej chwili to ma znaczenie? Pochorują się, jeśli będą dalej jedli surowe mięso. Już są chorzy!

– No to obsrają sobie gacie – warczę. – Zdarzają się gorsze rzeczy.

– Powiedz mi, Darrow: czy gorzej będzie mieć Titusa u władzy i silny Dom Marsa, czy mieć Darrowa u władzy i słabego Marsa?

– To zależy dla kogo – odpowiadam z rozdrażnieniem.

On tylko kręci głową.

– Niech im zgniją przekłete brzuchy. – Takie jest zdanie Cassiusa. – Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Dla mnie mogą sobie nasrać w pościel.

Moja armia się z tym zgadza.

Lubię swoją armię, lubię nasze męty. Nie oczekują specjalnego traktowania jak dzieciaki z wysokiego Poboru, nie są równie dobrze urodzeni. Większość pamięta, żeby mi podziękować, kiedy daję im jedzenie, a nie od początku tak było. Nie gonią za Titusem na nocne wypadki tylko dlatego, że to ich rajcuje. Nie, trzymają się nas, bo Cassius jest charyzmatyczny jak słońce, a w jego blasku cień, który rzucam, sprawia wrażenie, jakby wiedział, co robić. Chociaż nie wie. Mój cień, tak samo jak ja, narodził się w kopalni.

Mimo wszystko wydaje się, że kieruję się jakąś strategią. Każę nam robić mapy naszego terytorium na tabletach, które znaleźliśmy w zalanej piwnicy na dnie jaru, ale nadal nie mamy żadnej broni poza moim sierpakiem, kilkoma nożami i zaostrzonymi patykami. Zatem jakkolwiek strategię mamy, jest ona oparta na zdobywaniu informacji.

Najzabawniejsze jest to, że tylko jedno plemię ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje. I to bynajmniej nie nasze. Nie Antonii. I jestem absolutnie pewien, że nie Titusa. To plemię Sevro i jestem niemal przekonany, że ma ono tylko jednego członka, chyba że do tej pory wilki już go adoptowały. A trudno mieć w tej kwestii pewność. Nasz Dom nie urządza rodzinnych kolacji. Chociaż czasem widzimy Sevro, jak biega po wzgórzach nocą w swojej wilczej skórze i wygląda – jak to najlepiej ujął Cassius – „jak jakiś włochaty pomiot demona na halucynogenach”. Raz Roque nawet słyszał, jak coś (ale nie wilk) wyło na omglonych wyżynach. W niektóre dni Sevro chodzi po okolicy niemal normalnie, obrażając wszystko, co się rusza – z wyjątkiem Quinn. Dla niej robi wyjątek i zamiast wyzwisk dostarcza jej mięsa i jadalnych grzybów. Myślę, że ma do niej słabość, chociaż ona ma słabość do Cassiusa.

Prosimy, żeby opowiedziała nam o nim, ale nie chce. Jest lojalna i może dlatego przypomina mi mój dom rodzinny. Zawsze opowiada świetne historie, choć większość z nich to niemal na pewno podkolorowane kłamstwa. Życie aż się w niej skrzy, tak jak kiedyś w mojej żonie. Ona najdłużej z nas nazywa Goblina „Sevro”. I tylko ona wie, gdzie on mieszka, bo my mimo licznych zwiadów nie potrafimy znaleźć śladu miejsca, w którym sypia. Z tego, co wiemy, może zbierać skalpy gdzieś poza wyżynami. Wiem, że Titus posłał jego tropem zwiadowców, ale wątpię, żeby coś zdziałali. Nie potrafią wysledzić nawet mnie. Mam świadomość, że to dopieka Titusowi do żywego.

– Myślę, że on po prostu wali konia w krzakach – śmieje się Cassius. – I czeka, aż się pozabijamy.

Dopiero kiedy Lea wraca, kuśtykając z zamku, Roque zwraca się do mnie i Cassiusa.

– Pobili ją – mówi. – Nie za mocno, ale kopali ją w brzuch i zabrali owoce pracy z całego dnia.

– Kto? – najeża się Cassius. – Który przeklęty sukinkot to zrobił?!

– Nieważne. Ważne jest to, że są głodni, więc skończcie z zasadą „oko za oko”. To nie może dłużej trwać – mówi Roque. – Chłopaki od Titusa głodują. Czego się po nich spodziewacie? Do diabła, ten wielki brutal poluje na Sevro, bo potrzebuje ognia i jedzenia. Jeśli po prostu damy mu jedno i drugie, możemy zjednoczyć Dom i utrzymać pozory normalności. Może nawet Antonia ze swoim plemieniem posłucha głosu rozsądku.

– Antonia? Rozsądku? – rechocze Cassius.

– Nawet jeśli do tego dojdzie, Titus nadal będzie najsilniejszy – zauważam. – A to nie jest żadnym rozwiązaniem.

– No tak, oczywiście. To jest coś, czego nie możesz znieść: żeby ktoś inny miał władzę. W porządku. – Roque odgarnia długie włosy. – Porozmawiaj z Vixusem albo Polluxem. Odbierz Titusowi przybocznych, jeśli musisz, ale uzdrów Dom. W przeciwnym wypadku inny Dom zapuka do naszych bram.

Szóstego dnia przyjmuję jego radę. Wiedząc, że Titus udał się na wypad, podejmuję ryzyko i szukam Vixusa w twierdzy. Niestety Titus wraca wcześniej, niż się spodziewałem.

– Wyglądasz żwawo i dziarsko – mówi do mnie, zanim odnajduję Vixusa w kamiennych salach donżonu.

Blokuje mi drogę wielgachnym ciałem, jego ramiona są prawie tak szerokie jak ściana. Wyczuwam drugą osobę za swoimi plecami w korytarzu. Vixus. I jeszcze dwaj inni. Trochę ściska mnie w żołądku. To był głupi pomysł.

– Dokąd się wybierasz, jeśli mogę zapytać?

– Chciałem porównać nasze mapy zwiadowcze z główną mapą w sali dowodzenia – kłamię, wiedząc, że mam tablet w kieszeni.

– Chciałeś porównać mapy zwiadowcze z główną mapą, tak? Dla dobra Marsa, szlachetny Darrowie?

– A jakie inne dobro wchodzi tu w grę? Jesteśmy po tej samej stronie, nie?

– No pewnie, że jesteśmy po tej samej stronie. – Titus porykuje nieszczerym śmiechem. – Vixus, jeśli stoimy po tej samej stronie, nie uważasz, że najlepiej byłoby, gdybyśmy podzielili się jego mapami?

– Tak byłoby najlepiej dla wszystkich – przytakuje mu Vixus. – Grzyby. Mapy. Jedno i to samo.

Zatem to on napadł na małą Leę. Ma martwe oczy. Jak kruk.

– No właśnie. Wobec tego to ja zerknę na plan zamiast ciebie, Darrow.

Titus wyrywa mi mapy zwiadowcze. Nie mogę go w żaden sposób powstrzymać.

– Proszę bardzo – odpowiadam. – Pod warunkiem, że wiesz, że ognie wroga płoną na dalekim wschodzie i najprawdopodobniej nieprzyjaciół jest także w Wielkiej Puszczy na południu. Możesz urządzać ile chcesz wypadów, tylko nie daj się złapać bez portek.

Pociąga nosem. Nie słuchał mnie.

– Skoro już się dzielimy, Darrow. – Znowu pociąga nosem, bliżej mojej szyi. – Może podzielisz się z nami wyjaśnieniem, dlaczego pachniesz dymem z palonego drewna?

Sztywnieję, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Patrzcie, jak się wierci. Patrzcie, jak tka kłamstwo. – W głosie Titusa jest sama odraza. – Czuję smród twojego oszustwa. Czuję kłamstwo ściekające z ciebie jak pot.

– Jak kobieta w rui – rzuca sardonicznie Pollux. Wzrusza przepaszając ramionami, patrząc na mnie.

– Obrzydliwość – szydzi Vixus. – To obrzydliwe stworzenie. Żałosne, kobiece stworzenie.

Nie wiem, dlaczego spodziewałem się, że zwrócę go przeciwko Titusowi.

– Ty mały pasożycie – ciągnie Titus. – Podgryzasz morale, bo nie chcesz się podporządkować. Czekasz, aż moi szlachetni chłopcy i dziewczęta umrą z głodu. – Ci z tyłu i z boków podchodzą. Titus jest ogromny. Pollux i Vixus są okrutni i prawie równie wysocy jak ja. – Jesteś żalosną kreaturą. Robakiem w naszym kręgosłupie.

Wzruszam od niechcienia ramionami, starając się okazać, że się nie martwię.

– Możemy to naprawić – odpowiadam.

– Tak? – pyta Titus.

– Rozwiązanie jest proste, wielkoludzie – wyjaśniam. – Sprowadź swoich chłopców i dziewczęta do domu. Przestań codziennie atakować Ceres, zanim inne Domy przyjadą i wyrzną was wszystkich. A potem porozmawiamy o ogniu. O jedzeniu.

– Myślisz, że możesz nam mówić, co mamy robić, Darrow? Do tego zmierzasz? – pyta Vixus. – Myślisz, że jesteś lepszy, bo otrzymałeś najlepszy wynik w głupim małym teście? Bo rewizor wybrał cię w pierwszej kolejności?

– Tak właśnie myśli – rechoce Titus. – Myśli, że zasługuje, żeby zostać Prymusem.

Vixus pochyla bliżej ku mnie jastrzębią twarz, każde słowo wypowiada z kpina. Chociaż wydaje się przystojny, gdy jest spokojny, teraz krzywi usta w okrutnym grymasie, jego oddech cuchnie, gdy mierzy mnie wzrokiem i próbuje dać mi do zrozumienia, że mu nie zaimponowałem. Prycha pogardliwym śmiechem. Widzę, jak szykuje się, żeby splunąć mi w twarz. Pozwalam na to. Flegma ląduje mi na policzku i spływa powoli ku ustom.

Titus patrzy na mnie z wilczym uśmiechem. Oczy mu błyszczą. Vixus zerka na niego, szukając zachęty. Pollux podchodzi.

– Ty rozpieszczony mały kutasie – mówi Vixus. Prawie ociera się nosem o mój własny. – Właśnie to ci odbiorę, łaskawy panie, twojego małego kutasa.

– Albo możesz zostawić mnie w spokoju – odpowiadam. – Wygląda na to, że blokujesz mi przejście.

– Oho! – Śmieje się, patrząc na swojego pana. – Próbuje pokazać, że się nie boi, Titusie. Próbuje uniknąć walki. – Patrzy na mnie złotymi, martwymi ślepiami. – Łamałem takich nadętych chłopaczków jak ty w klubach pojedynkowych tysiące razy.

– Naprawdę? – pytam z niedowierzaniem.

– Łamałem jak gałazki. I zabierałem im dziewczyny dla zabawy. Ile wstydu im narobiłem na oczach ich ojców... A jak się potem mazali ci chłopcy... Tacy sami jak ty.

– Ech, Vixusie – mówię z westchnieniem, starając się, żeby głos mi nie zadrżał z gniewu albo ze strachu. – Vixus, Vixus, Vixus. Nie ma takich chłopców jak ja.

Oglądam się na Titusa, żeby na pewno patrzył mi w oczy, kiedy od niechcenia, jakbym tańczył, swoją dłońią piekłonurka kreślę w powietrzu łuk i z siłą młota kowalskiego uderzam Vixusa z boku w szyję, dokładnie

w żyłę. To go załatwia, ale ja jeszcze poprawiam łokciem, kolanem, drugą ręką. Upada. Gdyby stał pewniej, to pierwszy cios mógłby złamać mu kark. A tak tylko koziołkuje w bok w tutejszej niskiej grawitacji, przez moment zawisa poziomo, a potem, dygocząc od moich ciosów, wali się na ziemię. Jego oczy są puste. Strach wzbiera mi w brzuchu. Moje ciało jest takie silne.

Titus i pozostali są zbyt zaskoczeni nagłą przemocą, żeby mnie zatrzymać, kiedy omijam ich wyciągnięte ręce i odbiegam korytarzem.

Nie zabiłem go.

Nie zabiłem go.

Wojna Titusa

Nie zabiłem Vixusa, ale zabiłem szansę na zjednoczenie Domu. Zbiegam kręconymi schodami donżonu. Za mną niosą się krzyki. Mijam wylegających się uczniów z paczki Titusa. Dzielą się kawałkami surowej ryby, którą zdołali upolować włócznie w rzece. Mogliby mnie podciąć, gdyby wiedzieli, co zrobiłem. Dwie dziewczyny patrzą za mną i słysząc okrzyki swoich przywódców, ruszają, ale za późno. Już wyminąłem ich ręce, pokonałem niższą bramę donżonu i wypadłem na główny dziedziniec zamkowy.

– Cassius! – krzyczę w stronę przedbramia, gdzie śpią moi ludzie. – Cassius!

Wygląda przez okno i widzi moją minę.

– Ojej. W mordę! Roque! – woła. – Stało się! Budź Męty!

Trzech chłopaków Titusa i jedna z jego dziewczyn gonią za mną przez dziedziniec. Są wolniejsi ode mnie, ale kolejna osoba nadbiega ze swojego posterunku na murze, żeby przeciąć mi drogę. Cassandra. Jej krótkie włosy pobrzękują od kawałków metalu, które w nie wplotła. Bez wysiłku zeskakuje z blanków na wysokości ośmiu metrów z siekierą w ręce i pędzi, żeby mnie dopaść, zanim dobiegnę do schodów. Jej złoty wilk błyszczy w słabnącym świetle. Dziewczyna wygląda pięknie.

Wtedy całe moje plemię wypada z przedbramia. Niosą prowizoryczne plecaki, noże i pałki, które wycięliśmy ze znalezionych gałęzi w naszych lasach. Nie biegną jednak do mnie. Są bystrzy, więc otwierają ogromną, dwuskrzydłową bramę, która oddziela zamek od długiej, pochyłej ścieżki

prowadzącej w dolinę. Przez bramę wlewa się mgła. Znikają w oparach. Tylko Quinn zostaje w tyle.

Quinn, najszybsza z Domu Marsa. Sadzi susy na bruku jak gazela, pędząc mi na pomoc. Jej pałka wiruje w powietrzu. Cassandra jej nie widzi. Długi, złoty kucyk podskakuje w nocnym chłodnym powietrzu, kiedy Quinn z uśmiechem na twarzy bierze zamach i z całej siły uderza Cassandrę z flanki. Trafia w kolano. Trzask drewna na kości Złotej jest bardzo głośny. Podobnie głośny jest wrzask Cassandry. Nie kończy ze złamaną nogą, ale koziołkuje po bruku. Quinn nie zwalnia. Biegnie obok mnie i razem zostawiamy paczkę Titusa za nami.

Doganiamy pozostałych w misie doliny. Ruszamy przez urwiste wzgórza, kierując się w stronę północnego fortu w głębi spowitych mgłą wyżyn. Wilgoć klei nam się do włosów, ocieka z nich perlami. Docieramy do fortu po północy. Jego przestronna, pusta wieża chyli się nad jarem jak pijany czarodziej. Porosty pokrywają szary kamień. Mgła spowija mury, gdy przygotowujemy pierwszy posiłek z ptaków żyjących pod okapem samotnej wieży. Niektóre uciekają, słyszę łopot ich skrzydeł w ciemności. Nasza wojna domowa się zaczęła.

* * *

Niestety Titus nie jest głupim wrogiem. Nie atakuje nas, tak jak się spodziewaliśmy. Miałem nadzieję, że spróbuje oblegać nasz północny fort, że jego armia zobaczy ogień w naszych murach i poczuje aromat mięsa skwierczącego w tłuszczu. Owce, które zebraliśmy wcześniej, wystarczyłyby nam na tygodnie, nawet miesiące, gdybyśmy mieli wodę. Moglibyśmy ucztować co wieczór. Wtedy przeciwnik załamałby się. Armia porzuciłaby Titusa. On jednak wie o mojej broni – ogniu, więc nas unika, żeby jego ludzie nie widzieli luksusów, w których się pławimy.

Nie daję też swojemu plemieniu czasu na zastanowienie się. Gorączka wojny przytępia w człowieku rozsądek. Dlatego od szóstego dnia regularnie napadają na Dom Ceres. Titus wymyśla trofea za odważne czyny i akty przemocy, rozdaje chłopcom i dziewczętom krwawe ślady na policzkach, które noszą z dumą. Zakradamy się i obserwujemy ich wyprawy wojenne z krzaków i wysokich traw na równinach. Czasem mamy widok z południowych szczytów w okolicy Fobosa. Stamtąd widzimy oblężenie.

Wokół Domu Ceres dym unosi się ponurą koroną. Jabłonie zostały ścięte, konie skradzione. Jeźdźcy Titusa ściągają nawet lassem pochodnię z jednego z szańców, żeby sprowadzić ogień do zamku Marsa. Jeźdźcy Ceres doganiają ich z wiadrami wody, zanim tamci dotrą do zamku. Titus wrzeszczy z wściekłości, kiedy do tego dochodzi, konie Ceres przemykają obok, gasząc płomienie wodą, a potem zawracają. Razem ze swoim najlepszym żołnierzem, Vixusem, Titus przewraca konia gałęzią, którą ociosali jak pal. Jeździec spada z siodła, a wtedy dopada go Pollux. To dziewczyna. Tego dnia biorą jeszcze dwóch innych niewolników, a Titus zabiera zwierzę dla siebie.

Ósmego dnia w Instytucie obserwuję oblężenie z wyżyn razem z Cassiusem i Roque'em. Dzisiaj Titus jedzie na złapanym koniu pod mury Domu Ceres z lassem, prowokując łuczników, żeby go ostrzelali. Jedna biedna dziewczyna wychyla głowę, żeby strzelić z łuku pod lepszym kątem. Przyciąga strzałę do ucha, celuje i kiedy już ma zwolnić cięciwę, Titus rzuca lasso do góry. Pętla leci w powietrzu. Dziewczyna cofa się gwałtownie – ale nie dość szybko. Sznur owija jej się wokół szyi, Titus kopniakiem ponagla konia, który odskakuje od muru i pętla się zaciska. Przyjaciele dziewczyny rzucają jej się na pomoc. Trzymają mocno, ale są zmuszeni puścić, zanim pęknie jej kark.

Jej krzyki niosą się echem po równinie, kiedy zostaje brutalnie ściągnięta z muru i zaciągnięta z powrotem do wiwatujących zwolenników Titusa. Potem Cassandra kopniakiem powala ją na klęczki i bierze do niewoli za pomocą naszego sztandaru. Płomienie z podpalonych plonów liżą zmierzch. Nad naszymi głowami unosi się kilkoro rewizorów z dzbanami wina i tacą wyłożoną rzadkimi specjałami.

– „Brutalne serca wzniecają największą pożogę” – mruczy klęczący Roque.

– Jest śmiały – przyznaję z szacunkiem – i lubi to. – Oczy mu zabłyśły, kiedy uderzyłem Vixusa w gardło. Cassius kiwa głową. – Aż za bardzo.

– Jest śmiertelnie niebezpieczny – zgadza się Cassius, ale ma na myśli coś innego. Zerkam na niego. W jego głosie pojawia się ostra nuta. – I jest kłamcą.

– Tak? – pytam.

– Nie zabił Priama.

Roque milknie. Jest mniejszy od nas i sprawia wrażenie dziecka, kiedy klęczy. Długie włosy wiąże w kucyk. Widać, że ma brud pod paznokciami,

gdy po omacku wiąże buty, podnosząc na nas wzrok.

– Nie zabił Priama – powtarza Cassius. Wiatr wyje nad wzgórzami za nami. Noc wolno dzisiaj nadchodzi. Policzki Cassiusa giną w cieniu. Wciąż jest przystojny. – Nie dano by Priamowi takiego potwora jak Titus. Priam był przywódcą, nie watażką. Daliby Priamowi kogoś łatwego, kogoś w rodzaju naszych Mętów.

Wiem, do czego zmierza. Widać to w sposobie, w jaki patrzy na Titusa. Łód w jego oczach przypomina mi spojrzenie żmii jaskiniowej, kiedy ta podąża za ofiarą. Żołądek mi się zaciska, ale prowadzę Cassiusa w kierunku, w którym on sam chce podążać, zachęcam go do ukąszenia. Roque przechyla głowę, patrząc na mnie. Dostrzega coś dziwnego w mojej rozmowie z Cassiusem.

– Titusowi też daliby kogoś innego – podsuwam.

– Kogoś innego – powtarza Cassius, kiwając głową.

Myśli o Julianie. Nie mówi tego. Ja też nie. Lepiej niech ta myśl jątrzy się w jego głowie. Niech mój przyjaciel myśli, że nasz wróg zabił jego brata. To jest wyjście.

– „Krew rodzi krew rodzi krew rodzi krew...”

Wiejący nad równiną wiatr niesie słowa Roque’a na zachód, w stronę płomieni, które tańczą na niskim horyzoncie. Dalej przysiadły góry, zimne i ciemne. Śnieg już się zebrał na ich szczytach. To jest widok, który zapiera dech w piersi, ale Roque ani na chwilę nie odrywa oczu od mojej twarzy.

* * *

Znajduję małą przyjemność w fakcie, że niewolnicy Titusa nie są dla niego szczególnie użytecznymi sprzymierzeńcami. Daleko im do tak głębokiej indoktrynacji, jakiej poddawani są Czerwoni – ci świeżo upieczeni niewolnicy okazują się upartymi stworzeniami. Wypełniają rozkazy, bo inaczej po ukończeniu Instytutu groziłby im status Pohańbionych. Jednak celowo nie robią ani więcej, ani mniej, niż Titus żąda; to forma ich buntu. Walczą tam, gdzie każe im walczyć, z tym, z kim im każe, nawet wtedy, kiedy powinni się wycofać. Zbierają jagody, które im pokaże, nawet wiedząc, że są trujące. Układają stos kamieni, aż ten się przewraca. Jeśli jednak staną przed otwartą bramą do wrogiej fortecy, a Titus nie każe im wejść, to będą tylko tak stali i drapali się po tyłkach.

Mimo niewolników i starcia z powierzchni ziemi upraw i sadów Ceres siły Titusa, które są całkiem sprawne w czynieniu przemocy, we wszystkich innych wysiłkach okazują się żalosne. Jego ludzie opróżniają kiszki w płytkich latrynach, za drzewami lub do rzeki, próbując zatruć uczniów z domu Ceres. Jedna z dziewczyn wpada nawet do wody, kiedy załatwia się do niej. Młóci rękami we własnych nieczystościach. To komiczna scena, ale śmiech rozbrzmiewa coraz rzadziej; tylko uczniowie Ceres się śmieją. Siedzą za wysokimi murami, łapią ryby w rzece, jedzą chleb z własnych pieców i miód z własnych pasiek.

W odpowiedzi na ich śmiech Titus wlecze jednego z niewolników pod ich frontową bramę. To wysoki chłopak o długim nosie i szelmowskim uśmiechu przeznaczonym dla dam. Uważa, że to wszystko zabawa, dopóki Titus nie obcina mu ucha. Wtedy z płaczem zaczyna wzywać matkę, jak małe dziecko. Nigdy nie będzie dowodził okrętami wojennymi.

Rewizorzy, nawet ta z Domu Ceres, nie kładą kresu przemocy. Obserwują wszystko z nieba w dwójkach, trójkach, unoszą się nad nami, kiedy medBoty z jękiem spływają z Olimpu, żeby kauteryzować ranę albo zająć się poważnym urazem głowy.

Dwudziestego ranka w Instytucie obrońcy zrzucają kosz chleba na ludzi Titusa, którzy próbują wyważyć ich wysoką bramę taranem zrobionym z wykrotu. Oblegające wojsko zaczyna walczyć między sobą o jedzenie i wtedy odkrywa, że w chlebie zapieczono żyletki. Krzyki trwają do południa.

Odpowiedź Titusa nadchodzi przed zmrokiem. Z piątką świeżo naznaczonych niewolników, w tym chłopakiem bez ucha, Titus zbliża się do bramy na odległość półtora kilometra. Paraduje przed swoimi niewolnikami, trzymając cztery długie kije w ręce. Daje je wszystkim niewolnikom z wyjątkiem dziewczyny, którą ściągnął lassem z murów.

Kłania się nisko przed bramą Ceres i gestem wydaje rozkaz niewolnikom. Ci zaczynają bić dziewczynę. Podobnie jak Titus, jest wysoka i potężna, więc trudno jej współczuć. Początkowo.

Najpierw niewolnicy uderzają ostrożnie. Potem Titus przypomina im o hańbie, jaka na zawsze naznaczy ich nazwiska, jeśli nie będą wypełniać rozkazów. Zaczynają bić mocniej. Celują w złotą głowę dziewczyny. Biją i biją, aż jej krzyki gasną i krew zlepia jej blond włosy. Kiedy Titus jest już znudzony, odciąga ją z powrotem do swojego obozu, wlokąc za włosy. Bezwładne ciało ślizga się po ziemi.

Patrzymy z naszych wyżyn. Potrzebne są Lea i Quinn, żeby powstrzymać Cassiusa przed popędzeniem na równinę. Dziewczyna przeżyje, mówię mu. Kije są na pokaz. Roque spluwa gorzko na trawę i bierze Leę za rękę. To dziwne widzieć, że to ona daje mu siły.

Następnego ranka odkrywamy, że reakcja Titusa nie sprowadzała się do bicia. Kiedy my wróciliśmy do naszego zamku, Titus zakradł się w środku nocy pod zamek Ceres i ukrył związaną i zakneblowaną dziewczynę dokładnie przed bramą, pod grubym okryciem z trawy. A potem kazał jednej ze swoich popieczniczek udawać, że jest niewolnicą w obozie i wrzeszczeć przez całą noc. Krzyczała o gwałcie.

Może dziewczyna od Ceres myślała, że pod trawą jest bezpieczna. Może myślała, że rewizorzy ją uratują i wróci do mamy i taty, do domu, do lekcji jazdy konnej, szczeniactwów i książek. Jednak wczesnym rankiem zostaje stratowana przez jeźdźców, którzy – rozwścieczeni udawanymi krzykami – wypadają galopem z fortecy Ceres na ratunek brance. Odkrywają swój błąd dopiero, kiedy za ich plecami z nieba spływają medBoty, żeby zabrać połamane ciało na Olimp.

Dziewczyna nie wraca. Mimo to rewizorzy nie interweniują. Nie jestem pewien, czy w ogóle istnieją.

Tęsknię za domem. Za Lykos, rzecz jasna, ale także za miejscem, gdzie byłem bezpieczny z Dancerem, Matteo i Harmony.

* * *

Wkrótce nie ma już nowych niewolników do pojmania. Dom Ceres nie opuszcza już zamku po zmroku, ich wysokie blanki są dobrze strzeżone. Drzewa pod murami ścięto, ale za długimi murami ciągną się kolejne sady i uprawy. Chleb nadal się piecze, a rzeka wciąż płynie wewnątrz wałów obronnych. Titus nie może zrobić nic innego jak tylko napadać na ich ziemie i kraść resztki jabłek. Większość z nich jest nafaszerowana igłami i żądłami os. Titus zawiódł. I wobec tego, jak każdy tyran po przegranej wojnie, kieruje spojrzenie do wewnątrz.

Wojna plemienna

Po trzydziestu dniach w Instytucie nadal nie widziałem śladu innego wrogiego Domu poza dymem z odległych płomieni. Żołnierze Domu Ceres przemierzają wschodnie pogranicza naszych ziem. Jeżdżą tam bezkarnie, odkąd plemię Titusa wycofało się do naszego zamku. Chociaż nie, to już nie zamek, teraz to zwykły chlew.

Docieramy tam z Cassiusem wczesnego ranka. Mgła nadal czepia się czterech iglic, światło próbuje przedrzeć się przez posępne niebo nad naszymi górami. Dźwięki dobiegające zza kamiennych murów niosą się daleko w porannej ciszy, jak monety dźwięczące w cynowej puszcze. Głos Titusa. Przeklina swoich ludzi, każąc im wstać. Najwyraźniej niewielu go słucha. Ktoś mu mówi, żeby się walił, i nic dziwnego. Piętrowe łóżka są jedynym prawdziwym udogodnieniem na zamku niewątpliwie umieszczonym tam po to, żeby skłaniać do gnuśności. Moje plemię nie ma takich wygod. Śpimy na kamieniu, skuleni jedno obok drugiego wokół trzaskającego ognia. Och, ile bym dał za łóżko.

Cassius i ja przemykamy chyłkiem wzdłuż pochylej bitej drogi, która prowadzi do przedbramia. Ledwie je widzimy, tak gęsta jest mgła. Z wnętrza słychać kolejne dźwięki. Wygląda na to, że niewolnicy wstali. Słyszę kaszel, narzekanie, kilka krzyków. Przeciągłe skrzypienie i brzęk łańcuchów oznacza, że brama się otwiera. Cassius odciąga mnie w bok od drogi, chowamy się we mgle, gdy niewolnicy przechodzą obok, powłócząc nogami. Są bladzi w tym słabym świetle. Mają zapadnięte policzki, brudne włosy. Zabłoconą skórę wokół Pieczęci. Titus przechodzi dostatecznie

blisko, żebym czuł zapach jego ciała. Sztywnieję nagle, martwiąc się, że znowu wyczuje bijącą ode mnie woń dymu, ale nic takiego się nie dzieje. Cassius obok mnie milczy, ale wyczuwam jego gniew.

Przemykamy z powrotem ścieżką i patrzymy ze względnie bezpiecznego miejsca w lesie, jak niewolnicy się trudzą. Nie są Aureusami, kiedy zmywają gównem i szukają jagód w kłujących ostach. Jeden albo dwóch nie ma uszu. Vixus, który doszedł do siebie po moim ataku – jeśli pominąć fioletowy siniec na szyi – chodzi między nimi i bije ich długim kijem. Jeżeli naszym zadaniem jest zjednoczenie podzielonego Domu, to nam nic z tego nie wychodzi.

Kiedy wczesny ranek mija i apetyty zmieniają się wraz z nadejściem ciepłego słońca, Cassius i ja słyszymy dźwięki, od których skóra nas mrowi. Krzyki. Wrzaski z wysokiej wieży zamku Marsa. To odgłosy szczególnego rodzaju, takie, od których mrocznieje dusza.

Pamiętam, jak byłem małym chłopcem w Lykos i moja matka podawała właśnie zupę przy kamiennym rodzinnym stole w wieczór Święta Wawrzynu. To było rok po śmierci mojego ojca. Kieran i Leanna siedzieli razem ze mną, żadne nie miało więcej niż dziesięć lat. Jedyne światło włączało się i wyłączało nad stołem, więc postać mamy spowijała ciemność – z wyjątkiem ręki od łokcia w dół. I wtedy rozległ się krzyk, stłumiony przez odległość i meandry naszego jaskiniowego miasteczka. Nadal widzę, jak bulion drżał w łyżce wazowej, jak trzęsa się ręka matki, kiedy usłyszała te krzyki – nie bólu, lecz strachu.

* * *

– To, co robi dziewczętom... – Cassius syczy do mnie, kiedy z nastaniem nocy oddalamy się chyłkiem od zamku. – To zwierzę.

– Trwa wojna – mówię, chociaż słowa brzmią pusto nawet w moich własnych uszach.

– To jest szkoła! – przypomina mi. – A gdyby Titus zrobił to naszym dziewczynom? Lei? Albo Quinn?

Nic nie mówię.

– Zabilibyśmy go – odpowiada za mnie Cassius. – Zabilibyśmy go, odcięli mu kutasa i wepchnęli do ust.

Wiem, że myśli także o tym, co Titus musiał zrobić Julianowi.

Nie bacząc na jego gniewne pomruki, biorę go za rękę i odciągam od zamku. Bramę zamknięto przed nocą. Nic nie możemy zrobić. Znowu się czuję bezradny. Bezradny tak jak wtedy, kiedy Dan Paskuda zabrał mi Eo. Teraz jednak jestem inny. Zaciskam pięści. Teraz jestem czymś więcej, niż byłem wtedy.

W drodze powrotnej do naszego fortu widzimy błysk w powietrzu. Żółte grawiButy migoczą, kiedy Fitchner opada ku nam. Żuje gumę i łapie się za serce na widok naszych złych spojrzeń.

– Cóż wam uczyniłem, młodzi przyjaciele, żeby zasłużyć na takie powitanie?

– On traktuje dziewczyny jak zwierzęta! – gotuje się Cassius. Żyłki występują mu na szyi. – Są Żółte, a on traktuje je jak psy, jak Różowe.

– Jeśli traktuje je jak Różowe, to dlatego, że zasłużyły się w tym małym świecie nie lepiej niż Różowe w naszym dużym.

– Żartujesz sobie. – Cassius nie potrafi tego zrozumieć. – Są Żółte, nie Różowe. On jest potworem.

– To dowiedź, że jesteś człowiekiem, i powstrzymaj go – odpowiada Fitchner. – Dopóki nie morduje jednej za drugą, to nie jest to nasze zmartwienie. Wszystkie rany się goją. Nawet takie.

– To kłamstwo – mówię mu. Moja rana po Eo nigdy się nie zagoi. Ból będzie trwał wiecznie. – Niektóre rzeczy nie mijają. Niektórych rzeczy nigdy nie da się naprawić.

– A mimo to nie robimy nic, bo on ma więcej wojowników – warczy Cassius.

Doznaję olśnienia.

– To akurat możemy naprawić.

Odwraca się do mnie. Słyszy w moim głosie taką samą martwość, jaką ja widzę w jego oczach, gdy mówi o Titusie. To specyficzna rzecz, która nas łączy. Obaj jesteśmy stworzeni z ognia i lodu, chociaż nie jestem pewien, który z nas jest lodem, a który ogniem. Niemniej skrajności rządzą nami bardziej, niż byśmy chcieli. To dlatego jesteśmy z Domu Marsa.

– Masz plan – mówi Cassius.

Kiwam chłodno głową.

Fitchner patrzy na nas i uśmiecha się szeroko.

– Psiakrew, najwyższy czas.

* * *

Plan zaczyna się od ustępstwa, na które zgodziłby się tylko ktoś, kto był kiedyś czyimś mężem. Cassius nie może przestać się śmiać, kiedy przedstawiam mu szczegóły. Nawet Quinn parska śmiechem następnego ranka. A potem odbiega jak łania do wieży Dejmos, żeby przekazać Antonii moje oficjalne przeprosiny. Ma spotkać się ze mną i przekazać odpowiedź Antonii przy jednym z naszych tajnych schowków z zapasami w pobliżu rzeki Furor, na północ od zamku.

Cassius i reszta plemienia strzegą naszego nowego fortu, na wypadek gdyby Titus spróbował zaatakować, kiedy my z Roque'em idziemy za dnia do schowka. Quinn się nie pojawia. Za to nadchodzi zmrok. Mimo ciemności idziemy ścieżką, którą powinna wracać od strony Dejmosa. Idziemy aż do wieży, która stoi wśród niskich wzgórz otoczonych przez gęste lasy. Piątka ludzi Titusa wyleguje się u jej podnóża. Roque łapie mnie i wciąga w krzaki. Wskazuje drzewo pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie Vixus siedzi schowany na wysokiej gałęzi. Pojmali Quinn? Nie, jest za szybka, żeby dać się złapać. Ktoś nas zdradził?

Wracamy do naszego fortu wczesnym rankiem. Jestem pewien, że bywałem bardziej zmęczony, ale nie potrafię sobie tego przypomnieć. Mam stopy całe w pęcherzach mimo dobrze dopasowanych butów, skóra schodzi mi z szyi po długich dniach w słońcu. Coś jest nie w porządku.

Lea spotyka się z nami przy bramie fortu. Obejmuje Roque'a i patrzy na mnie jak na ojca albo kogoś podobnego. Nie jest tak płochliwa jak zwykle. Jej ptasie ciało drży z gniewu, nie ze strachu.

– Musisz zabić tego śmiecia, Darrow. Musisz obciąć mu te przekłete jaja.

Titus.

– Co się stało? – rozglądam się. – Lea. Gdzie jest Cassius?

Mówi mi.

Titus złapał Quinn, kiedy wracała z wieży. Pobił ją. A potem przysłał tu jej ucho. Miało być dla mnie. Myśleli, że Quinn jest moją dziewczyną. Titus wyobraża sobie, że zna mój temperament. Doczekali się takiej reakcji, jakiej chcieli, ale nie ode mnie.

Cassius był na warcie i kiedy inni spali, wymknął się do zamku, żeby rzucić wyzwanie Titusowi. Jakimś cudem ten genialny młody człowiek okazał się na tyle arogancki, by pomyśleć, że setki lat honoru Aureusów

i tradycji przetrwają chorobę, która pożarła plemię Titusa w kilka tygodni. Syn imperatora się mylił. Poza tym nie przywykł do tego, żeby jego dziedzictwo miało równie małe znaczenie. W prawdziwym świecie byłby bezpieczny. Jednak nie w tym małym.

– Ale żyje – mówię.

– Tak, żyję, ty Piksie! – Cassius wychodzi chwiejnie z fortu. Jest bez koszuli.

– Cassius! – Roque’owi aż zapiera dech w piersi. Nagle blednie.

Lewe oko zapuchło Cassiusowi tak, że nie może go otworzyć. Ma popękane wargi. Żebra fioletowe jak winogrona. Drugie oko ma przekrwione. Trzy wyłamane palce sterczą jak sękate korzenie drzewa, jedno ramię wygląda dziwnie. Pozostali patrzą na niego z wielkim smutkiem. Cassius był synem imperatora, ich rycerzem w lśniącej zbroi. Teraz jego ciało jest zniszczone, a wyraz ich twarzy i bladość skóry mówi mi, że jeszcze nigdy nie widzieli, żeby ktoś tak piękny został okaleczony.

A ja owszem.

Cassius śmierdzi szczynami.

Próbuje to zbagatelizować, jak jakiś żart.

– Sprali mnie na kwaśne jabłko, kiedy go wzywałem. Uderzyli łopatą w skroń. A potem stanęli wokół i obsikali. Związali mnie w tym zaszczanym donżonie, ale Pollux mnie uwolnił, dobry chłopak, i zgodził się otworzyć bramę, kiedy będziemy tego potrzebować.

– Nie sądziłem, że jesteś aż tak głupi – przyznaję.

– Pewnie, że jest, chce być jednym z rycerzy Suwerenki – mruczy Roque. – A oni tylko się pojedynekują. – Potrząsa długimi włosami. Skórzana opaska, którą wiąże je w kucyk, jest oblepiona błotem. – Powinieneś być na nas poczekać.

– Co się stało, to się nie odstanie – mówię. – Realizujemy nasz plan.

– Jasne – prycha Cassius. – Ale kiedy nadejdzie czas, Titus jest mój.

Mustang

Cząstka Cassiusa przepadła. Niezwyciężony chłopak, którego poznałem, zmienił się. Upokorzenie go zmieniło. Nie mogę jednak zdecydować, w jaki sposób, kiedy prostuję mu palce i pomagam nastawić bark. Z bólu osuwa się na ziemię.

– Dziękuję, bracie – mówi do mnie i ujmuje mnie z boku za głowę, żeby pomóc sobie wstać. Pierwszy raz tak mówi. – Nie przeszedłem tej próby. – Nie zgadzam się z nim. – Pogałem tam jak skończony głupiec. Gdyby to było gdzie indziej, zabiliby mnie.

– Przynajmniej nie zapłaciłeś za to życiem – zauważam.

Śmieje się.

– Tylko dumą.

– To dobrze. Jej masz w nadmiarze – wtrąca z uśmiechem Roque.

– Musimy ją odzyskać. – Cassiusowi rzednie mina, kiedy patrzy na Roque'a, a potem na mnie. – Quinn. Musimy ją odbić, zanim Titus zabierze ją do swojej wieży.

– Zrobimy to.

Zrobimy to, psiajucha.

* * *

Zgodnie z moim planem idziemy we dwóch z Cassiusem na wschód, dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Trzymamy się północnych wyżyn, ale

pilnujemy, żeby podążać wysokim grzbietem widocznym z otwartych równin w dole. Na wschód, na wschód tak szybko i daleko, jak poniosą nas długie nogi.

– Jeździec na południowym wschodzie – mówię.

Cassius nie patrzy.

Przechodzimy przez wilgotną dolinę, gdzie ciemny górski staw daje nam szansę napić się wody naprzeciwko sarniej rodziny. Błoto oblepia nam nogi. Robactwo lata nad zimną wodą. Przyjemnie jest czuć ziemię między palcami rąk, gdy pochylam się, żeby się napić. Zanurzam głowę, a potem siadamy z Cassiusem, żeby zjeść trochę naszej starzejącej się jagnięciny. Mam skurcze żołądka od nadmiaru białka.

– Jak myślisz, jak daleko na wschód od zamku jesteśmy? – pytam Cassiusa, wskazując punkt za jego plecami.

– Ze dwadzieścia kilometrów. Trudno powiedzieć. W nogach czuję, że znacznie dalej, ale to pewnie tylko zmęczenie. – Prostuje się i patrzy we wskazane miejsce. – Aha. Już rozumiem.

Dziewczyna na tarantowatym mustangu obserwuje nas ze skraju doliny. Ma długie drzewce przymocowane do siodła, zawinięte w materiał. Nie widzę symbolu jej Domu, ale już kiedyś ją widziałem. Pamiętam, jakby to było wczoraj. To ona nazwała mnie „Piksem”, kiedy spadłem z kuca, na którym posadził mnie Matteo.

– Chcę dostać jej konia, żeby wrócić wierzchem – mówi mi Cassius. Nie widzi na lewe oko, ale jego brawura wróciła, i to ze zbyt dużą siłą. – Ej, skarbie! – woła. – Do diabła, zebra mnie od tego zaboląły – szepcze. – Pierwszorzędny wierzchowiec! Z jakiego Domu jesteś?

Martwi mnie ta sytuacja.

Dziewczyna podjeżdża na dziesięć metrów. Symbole na rękawie i przy szyi ma zasłonięte dwoma kawałkami naszytego materiału. Na jej twarzy malują się trzy ukośne linie z soku jagód wymieszanego ze zwierzęcym tłuszczem. Nie wiemy, czy nie jest od Ceres. Mam nadzieję, że nie. Mogłaby być z południowych lasów, ze wschodu, a nawet z odległych wyżyn na północnym wschodzie.

– Heja, Mars – mówi zadowolona z siebie, patrząc na symbole na naszych kurtkach.

Cassius kłania się żałośnie. Ja nie zawracam sobie tym głowy.

– Świetnie. – Kopię kamyk. – Heja... Mustang. Ładna pieczęć. I ładny konik.

Daję jej do zrozumienia, że koń jest rzadkością.

Jest drobna, delikatna. Jej uśmiech – wręcz przeciwnie. Jest kpiący.

– Co tu porabiacie, chłopcy? Kosiecie zboże?

Poklepuję się po sierpaku.

– Mamy go dość w domu. – Wskazuję tereny na południe od naszego zamku.

Tłumi śmiech, słysząc moje nieprzekonujące kłamstwo.

– Na pewno.

– Będę z tobą szczery. – Cassius zmusza poobijaną twarz do uśmiechu.

– Jesteś olśniewająco piękna. Musisz być z Wenus. Uderz mnie tym, co masz pod tym materiałem przy siodle, i zabierz do swojej fortecy. Będę twoim Różowym, jeśli obiecasz, że nie będziesz się mną dzielić i ogrzejesz mnie każdej nocy. – Robi chwiejny krok naprzód. – I każdego ranka.

Jej mustang cofa się, aż Cassius darowuje sobie próbę ukradzenia go.

– Ale z ciebie czaruś, przystojniaku. A sądząc z wideł w twoich rękach, musisz być też pierwszorzędnym wojownikiem. – Dziewczyna trzepocze rzęsami.

Na potwierdzenie jej słów Cassius wypina pierś.

Ona czeka, aż on zrozumie.

W końcu Cassius marszczy brwi.

– No właśnie. Widzisz, nie mieliśmy żadnych narzędzi w naszej fortecy poza tymi, które wiążą się z naszym bóstwem, zaaatem... musieliście już spotkać się z Domem Ceres. – Pochyla się w siodle sardonicznie. – Nie macie żadnych upraw. Po prostu walczycie z tymi, którzy je mają. Nie dysponujecie żadną lepszą bronią, ewidentnie, bo mielibyście ją ze sobą. Zatem Ceres także rezyduje w tych okolicach. Najpewniej na nizinie, w pobliżu lasów, ze względu na pola uprawne. Albo w pobliżu wielkiej rzeki, o której wszyscy mówią.

Oczy jej się śmieją, usta krzywi w znaczącym uśmieszku, a twarz ma w kształcie serca. Jej włosy są tak złote, że migoczą w słońcu. Spływają jej warkoczami po plecach.

– Więc mieszkacie w lesie? – ciągnie. – Pewnie na północy, na wyżynach. Ależ to zabawne! Jak kiepska jest wasza broń? Oczywiście jest, że nie macie koni. Cóż za ubogi Dom.

– Wal się – nie waha się powiedzieć Cassius.

– Robisz wrażenie strasznie z siebie dumnej. – Zakładam sierpak na ramię.

Dziewczyna podnosi rękę i macha nią w tę i z powrotem.

– W pewnym sensie, w pewnym sensie... Dumniejsza niż powinien być Przystojniak. Zdradza się na każdym kroku.

Przenoszę ciężar na palce stóp, żeby się przekonać, czy to zauważy. Cofa się na koniu.

– Ejże, ejże, Żniwiarzu, ty też zamierzasz wskoczyć mi na siodło?

– Próbuję tylko cię z niego zrzucić.

– Mamy ochotę na małe tarzanko w błocie, co? A co powiesz na to: obiecuję, że dam ci tu usiąść obok mnie, jeśli powiesz mi coś więcej o tym, gdzie przycupnął wasz zamek? Gdzie się wznosi? Gdzie się rozciąga? Mogę być dobrą panią.

Obrzuca mnie żartobliwym spojrzeniem od stóp do głów. Oczy jej błyszczą jak u lisicy. Dla niej to nadal zabawa, co znaczy, że jej Dom jest cywilizowanym miejscem. Zazdroszczę jej, gdy teraz z kolei ja się jej przyglądam. Cassius nie kłamał, dziewczyna stanowi naprawdę piękny widok. Wolałbym jednak zrzucić ją z konia. Mam zmęczone nogi, a rozgrywamy niebezpieczną grę.

– Jaki miałaś numer w Poborze? – pytam, żalując, że wtedy bardziej nie uważałem.

– Wyższy od ciebie, Żniwiarzu. Pamiętam, że Merkury strasznie chciał cię zgarnąć, ale werbownicy nie pozwolili mu wybrać cię za pierwszym podejściem. Miało to jakiś związek z wynikami na skali gniewu.

– Byłaś wyżej ode mnie? Czyli nie jesteś w Merkurym, bo oni wybrali zamiast mnie innego chłopaka, nie jesteś z Jowisza, bo ci wzięli sobie takiego przekłętą olbrzyma... – Próbuję sobie przypomnieć, kogo jeszcze wybrano przede mną, ale nie udaje mi się, więc tylko się uśmiecham. – Może nie powinnaś być taka próżna, wtedy nie wiedziałbym, kto cię zwerbował.

Zauważam nóż pod jej czarną kurtką, ale nadal nie pamiętam jej z Poboru. Nie uważałem. Cassius powinien ją zapamiętać z racji jej urody i tego, jak ogląda się za dziewczynami, ale może w tej chwili myśli tylko o Quinn i jej odciętym uchu.

Nasze zadanie zostało wykonane. Możemy zostawić Mustang w spokoju. Jest dostatecznie bystra, żeby domyślić się reszty. Powrót bez konia może jednak stanowić wyzwanie, a wątpię, żeby Mustang naprawdę potrzebowała swojego rumaka.

Udaję znudzenie. Cassius rozgląda się po otaczających nas wzgórzach. A potem nagle poruszam się, jakbym coś zauważył. Szepczę mu do ucha „waż” i spoglądam pod przednie kopyta konia. On też tam zerka i w tej samej chwili dziewczyna reaguje odruchowo. I chociaż zaraz zdaje sobie sprawę, że to podstęp, to już się pochyla, żeby spojrzeć w przód. Rzucam się, żeby jak najszybciej pokonać dziesięć metrów, które nas dzieli. Jestem szybki. Ona również, ale prawie traci równowagę i musi się odchylić, żeby szarpnąć konia do tyłu. Wierzchowiec cofa się w błocie. Rzucam się na dziewczynę. Silną prawą dłonią łapię ją za długie warkocze, zanim koń czmychnie. Staram się ją zrzucić z siodła, ale ona jest niczym wcielony diabeł.

Zostaje mi garść złotych pukli. Koń odbiega, a dziewczyna śmieje się i przeklina z powodu wyrwanych włosów.

Wtedy widły Cassiusa fruną w powietrzu i podcinają konia. Dziewczyna i zwierzę padają na zabłoconą trawę.

– Do diabła, Cassius! – krzyczę.

– Przepraszam!

– Mogłeś ją zabić!

– Wiem! Wiem! Przepraszam!

Biegnę, żeby zobaczyć, czy nie skręciła sobie karku. To by wszystko zniszczyło. Nie rusza się. Pochylam się, żeby sprawdzić jej puls i wyczuwam ostrze ocierające się o moje krocze. Moja ręka już tam sięga, żeby wykręcić jej nadgarstek. Zabieram nóż i przyszpilam jej dłoń.

– Wiedziałam, że chcesz się ze mną wytarzać w błocie.

Uśmiecha się znacząco. A potem ściąga usta, jakby domagała się całusa. Wzdragam się. Dziewczyna gwizdze i plan zaczyna się komplikować.

Słyszę tętent kopyt.

Wszyscy oprócz nas mają parszywe konie.

Dziewczyna mruga porozumiewawczo, a ja ściągam materiał zasłaniający jej pieczęć. Dom Minerwy. Grecy nazwaliby ją Ateną. No jasne.

Siedemnaście koni wpada w dolinę z grzbietu wzgórza. Jeźdźcy mają energoPiki. Skąd je wytrzasnęli?

– Czas uciekać, Żniwiarzu – kpi Mustang. – Moja armia nadchodzi.

Nie ma miejsca na ucieczkę. Cassius wskakuje do stawu. Ja zeskakuję z Mustang, biegnę za nim przez błoto i też rzucam się z brzegu do wody. Nie potrafię pływać, ale szybko się uczę.

Jeźdźcy z Domu Minerwy kpią z Cassiusa i ze mnie, kiedy pływamy pośrodku małego górskiego stawu. Trwa lato, ale woda jest głęboka i zimna. Nadchodzi zmrok. Mam odrętviałe kończyny. Nasi przeciwnicy nadal okrążają jezioro, czekając, aż się zmęczymy. Nic z tego. Mam trzy duroTorby w kieszeniach. Nadmuchuję je do pełna i dwie daję Cassiusowi, jedną zachowuję dla siebie. Unoszą nas na powierzchnię, a ponieważ nikt od Minerwy nie ma ochoty do nas podpłynąć, jesteśmy na razie bezpieczni.

– Roque powinien już do tej pory zapalić – mówię Cassiusowi po paru godzinach pływania. Jest w kiepskiej formie z powodu ran i zimna.

– Zapali. Miej wiarę... łaskawy panie... miej wiarę.

– W dodatku powinniśmy już prawie być w domu.

– I tak idzie nam lepiej, niż wyszło z moim planem.

– Wyglądasz na znudzoną! – krzyczę do Mustang, szczękając zębami. – Chodź popływać!

– I zafundować sobie hipotermię? Nie jestem głupia. Jestem z Minerwy, nie z Marsa, nie zapominaj! – Mustang śmieje się z brzegu. – Wolę raczej rozgrzać się przy palenisku na zamku. Widzisz?

Wskazuje za nasze plecy i mówi coś szybko do trzech wysokich chłopaków, z których jeden jest wielki jak Obsydianowy, a ramiona ma ogromne jak chmura burzowa.

W oddali bije w niebo gęsty słup dymu.

Nareszcie.

– Psiakrew, jakim cudem te przekłete dupki przeszły egzamin? – pytam głośno. – Oddali nasz zamek.

– Jeśli wrócimy, utopię ich w ich własnych szczynach – odpowiada jeszcze głośniej Cassius. – Wszystkich z wyjątkiem Antonii. Jest na to za ładna.

Szczękamy zębami.

Osiemnastu jeźdźców uważa, że Dom Marsa jest głupi, pozbawiony koni i nieprzygotowany.

– Żniwiarzu, Przystojniaku, muszę was teraz opuścić! – woła do nas Mustang. – Postarajcie się nie utonąć, zanim wrócę z waszym sztandarem. Możecie być moimi ślicznymi ochroniarzami. Będziecie mogli nosić takie same czapeczki! Ale będziemy musieli nauczyć was lepiej myśleć!

Oddała się galopem razem z piętnastką jeźdźców. Żółty wielkolud zrównuje się z nią jak kolosalny cień. Jej towarzysze pokrzykują ochoczo.

Mustang zostawia nam towarzystwo: dwóch konnych z energoPikami. Nasze narzędzia farmerskie leżą w błocie na brzegu.

- Mustang to s-seksowna l-laska – udaje się wyszczękać Cassiusowi.
- Jest p-p-przerazająca.
- P-p-przypomina m-m-mi moją m-m-matkę.
- Z t-t-tobą jest c-c-coś nie t-t-tak.

Kiwa głową potakująco.

- Zatem... p-plan tak jakby w-wciąż działa.

Gdybyśmy tylko mogli wyjść z jeziora i nie dać się złapać.

Noc zapada na dobre i z ciemności dobiega wycie wilków na mglistych wyżynach. Zaczynamy tonąć, bo powietrze wycieka maleńkimi dziurkami z naszych duroToreb. Moglibyśmy mieć szansę teraz się wymknąć, ale ludzie Minerwy nie siedzą leniwie przy ognisku. Nieustannie krążą w ciemności, więc nigdy nawet nie wiemy, gdzie są. Dlaczego nie mogą jak idioci siedzieć we własnym zamku i walczyć ze swoimi pobratymcami?

Znowu będę niewolnikiem. Może nie prawdziwym, ale to bez znaczenia.

Nie. Nie przegram. Nie mogę przegrać. Eo umarłaby po nic, gdybym pozwolił sobie tu utonąć. Gdybym pozwolił, żeby plan zawiódł. A jednak nie wiem, jak pokonać swoich wrogów. Są sprytni i mają zdecydowaną przewagę. Marzenie Eo tonie razem ze mną w ciemności stawu i już mam popłynąć do brzegu bez względu na wszystko, kiedy coś płoszy konie.

Nad wodą niesie się krzyk.

Strach spływa mi po plecach. Coś wyje. To nie wilk, ale to nie może być to, co myślę. Błyska niebieskie światło, energoPika młóci powietrze. Uzbrojony weń chłopak znowu przeklina. Obrywa nożem. Ktoś biegnie mu na pomoc, znów rozbłyskuje elektryczny błękit. Widzę czarnego wilka stojącego nad jednym ciałem. Drugie właśnie osuwa się na ziemię. Znowu zapada ciemność i cisza, a potem rozlega się smutny jęk medBotów opadających z Olimpu.

Słyszę znajomy głos:

- Teren jest czysty. Możecie wyjść z wody, moje rybcie.

Dopływamy do brzegu i dyszymy, leżąc w błocie. Mamy objawy łagodnej hipotermii. Nie umrzemy od tego, ale moje palce nadal są powolne, kiedy wyciskam między nimi błoto. Cały się trzęsę, jak wiertacz przy pracy.

- Goblin, psychopato, to ty? – wołam.

Czwarte plemię wynurza się z ciemności. Sevro ma na sobie skórę z wilka, którego zabił. Okrywa go od głowy po łydki. Cholerny dzieciak. Złoto na jego czarnym mundurze polowym jest uwalane błotem. Podobnie jak twarz.

Cassius podnosi się na kolana, żeby złapać go w objęcia.

– Och, ależ ty jesteś p-piękny, Goblinie. P-piękny, piękny chłopiec. I cuchnący.

– Pogryzał grzybki? – pyta Goblin ponad ramionami Cassiusa. – Przestań mnie macać, Piksie. – Odpycha Cassiusa, wyraźnie zażenowany.

– Z-zabiłeś tych d-dwóch? – pytam, dygocąc.

Pochyliam się nad nimi, żeby zdjąć z nich suche ubranie i się przebrać. Sprawdzam im puls.

– Nie. – Sevro przekrzywia głowę, patrząc na mnie. – A powinienem?

– D-d-dlaczego pytasz m-mnie, jakbym był t-twoim rewizorem? – Śmieję się. – Sam wiesz, co jest grane.

Wzrusza ramionami.

– Jesteś taki jak ja. – Patrzy na Cassiusa z pogardą. – I jakimś cudem nadal taki jak on. To jak? Powinienem ich zabić? – pyta beznamietnie.

Cassius i ja patrzymy po sobie zaskoczeni.

– N-n-nie – odpowiadamy zgodnie, kiedy medBoty przylatują, żeby zabrać chłopaków od Minerwy. Sevro zranił ich wystarczająco poważnie, żeby zakończyć ich udział w grze.

– P-p-powiedzże, proszę, co p-p-porabiasz w tej odległej okolicy, p-p-paradując w w-w-wilczej skórze? – pyta Cassius.

– Roque powiedział, że będziecie na wschodzie – odpowiada krótko Sevro. – Mówi, że nadal realizujemy plan.

– Czy ludzie Minerwy dotarli do zamku? – pytam.

Sevro spluwa w trawę. Dwa księżyce rzucają upiorne cienie na jego ciemną twarz.

– A skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? Minęli mnie po drodze. Ale nie macie żadnego środka nacisku, wiecie? To ślepa uliczka. – Czy Sevro naprawdę nam pomaga? Oczywiście, że jego pomoc zaczyna się od wytknięcia nam naszych niedoskonałości. – Jeśli ludzie Minerwy dostaną się do twierdzy, to zniszczą Titusa i zajmą nasze terytorium.

– Tak. O to właśnie chodzi – odpowiadam.

– Zabiorą też nasz sztandar...

– Jesteśmy gotowi na takie ryzyko.

- ...dlatego ukradłem sztandar z twierdzy i zakopałem w lesie. Powinienem był o tym pomyśleć.
- Ukradłeś. Tak po prostu. – Cassius zaczyna się śmiać. – Ty szalony mały szubrawcu. Jesteś pierwszorzędnym wariatem. Wybrany jako setny w Poborze. Pierwszorzędny wariat.
- Sevro robi wrażenie poirytowanego. Zadowolonego, ale poirytowanego.
- Mimo to nie mamy gwarancji, że opuszczą nasze terytorium.
- Jakieś s-s-sugestie? – pytam niecierpliwie, nadal się trzęsąc. Mógł nam wcześniej pomóc.
- To oczywiste: musimy ich zmusić, żeby się wynieśli, kiedy już zrobią swoje i załatwią Titusa.
- Tak. T-tak. Rozumiem. – Otrząsam się z ostatnich dreszczy. – Ale jak? Sevro wzrusza ramionami.
- Zabierzemy sztandar Minerwy.
- Cz-czekaj – odzywa się Cassius. – Wiesz, jak to zrobić? Sevro prycha.
- A myślałeś, że co robiłem przez ten czas? Waliłem konia w krzakach? Cassius i ja patrzymy po sobie.
- Poniekąd – przyznaję.
- Prawdę mówiąc, tak – przytakuje mi Cassius.

* * *

Jedziemy na koniach od Minerwy na wschód od wyżyn. Nie jestem dobrym jeźdźcem. Oczywiście Cassius jeździ doskonale, więc uczę się porządnie trzymać jego posiniaczonych żeber. Mamy twarze pokryte błotem, które nocą wygląda jak kładący się na nich cień, więc zobaczą nasze konie, piki, symbole i uznają nas za swoich ludzi.

Zamek Minerwy leży wśród łagodnych pagórków porośniętych polnymi kwiatami i gajami oliwnymi. Księżyc jasno oświetla pofalowany teren. Sowy pohukują wśród sękatych konarów w górze. Kiedy docieramy do rozległej fortecy z piaskowca, z murów nad bramą dobiega głos. Sevro nie wygląda stosownie w swoim płaszczu z wilczej skóry, więc strzeże naszej drogi ucieczki.

– Znaleźliśmy Marsa! – krzyczę w górę. – Ej! Otwórz tę cholerną bramę.

– Hasło! – domaga się leniwie strażnik z murów.
– Dupek żółedny! – krzyczę. Sevro słyszał je, kiedy był tu ostatnim razem.

– Pierwszorządnie. Gdzie jest Virginia i jej jeźdźcy? – woła strażnik.
Virginia? Mustang?

– Zabrali im ich sztandar, człowieku! Cieniasy nie mają nawet koni. Może jeszcze uda nam się zająć ich zamek!

Strażnik łapie przynętę.

– Pierwszorządne wieści! Virginia to istna diablica. June przygotowała kolację. Weźcie ją sobie z kuchni, i jak chcecie, to przyjdźcie potem do mnie. Nudzę się i przyda mi się rozrywka.

Brama uchyla się bardzo, bardzo powoli. Śmieję się, kiedy wreszcie otwiera się na tyle, żebyśmy przejechali jeden obok drugiego. Strażnicy nie wychodzą nam naprzeciw. Zamek jest inny niż nasz: suchszy, czystszy, mniej przytłaczający. Mają tu ogrody i drzewa oliwne wśród kolumn z piaskowca na dolnej kondygnacji.

Chowamy się w cieniu, kiedy dwie dziewczyny mijają nas z kubkami mleka. Nie mają pochodni ani ognia, które wróg mógłby spostrzec z daleka, tylko małe świece. Ułatwia nam to skradanie się. Dziewczyny najwyraźniej są ładne, bo Cassius robi minę i udaje, że idzie za nimi na górę.

Posyła mi uśmiech i przekrada się w stronę odgłosów płynących z kuchni, kiedy ja szukam sali dowodzenia. Znajduję ją na drugim piętrze. Okna wychodzą na ciemną równinę. Przed nimi rozpościera się atlas Minerwy. Płonąca flaga unosi się nad zamkiem mojego Domu. Nie wiem, co to znaczy, ale na pewno nic dobrego. Kolejna forteca, Diany, leży na południe od Minerwy, w Wielkiej Puszczy. To wszystko, co odkryli.

Prowadzą zapiski na temat swoich dokonań. Ktoś imieniem Pax jest parszywym koszmarem. Osobiście wziął osiem osób do niewoli i spowodował, że medBoty zabrały kolejnych dziewięcioro uczniów, więc domyślałem się, że to on jest tym chłopakiem wysokim jak Obsydianowy.

Nigdzie nie znajduję ich sztandaru: podobnie jak my nie są na tyle głupi, żeby zostawiać go na wierzchu. Nie ma sprawy, znajdziemy go na swój sposób. Jak na sygnał czuję zapach dymu z ognia podłożonego przez Cassiusa, który sączy się przez okna. Jaka ładną salę narad mają. O wiele ładniejszą niż ta w zamku Marsa.

Demoluję ją.

Kiedy już niszcę mapę i kończę dewastowanie posągu Minerwy, za pomocą znalezionej siekiery wycinam imię Marsa na ich długim, pięknym stole, przy którym odbywają wojenne narady. Kusi mnie, żeby wyrzeźbić też nazwę innego Domu i wprawić ich w konsternację, ale chcę, żeby wiedzieli, kto to zrobił. Ten Dom jest zbyt poukładany, zbyt uporządkowany i trzeźwo myślący. Mają przywódcę, żołnierzy, strażników (choć naiwnych), kucharzy, drzewa oliwne, ciepłe mleko, energoPiki, konie, miód, strategię. Dom Minerwy. Zadufki. Niech się poczują trochę bardziej jak Dom Marsa. Niech ogarnie ich gniew. Chaos.

Rozlegają się krzyki. Ogień Cassiusa rozprzestrzenia się. Do sali wbiega dziewczyna. Prawie mdleje, gdy unoszę siekiere. Nie ma powodu, żeby ją krzywdzić. Nie możemy brać jeńców, a w każdym razie byłoby to skomplikowane. Dlatego wyciągam sierp i pikę. Mam błoto na twarzy. Potargane złote włosy. Wyglądam jak koszmar.

– Ty jesteś June? – warczę.

– N-nie... a co?

– Potrafisz gotować?

Śmieje się mimo strachu. Trzech chłopaków wypada zza rogu. Dwaj są bardziej krępi ode mnie, ale też niżsi. Wrzeszczę jak bóg furii. Ależ uciekają!

– Wrogowie! – krzyczą. – Wrogowie!

– Są w wieżach! – wołam, żeby jeszcze bardziej zamącić im w głowach, kiedy zbiegam schodami. – Na najwyższym piętrze! Wszędzie! Jest zbyt wielu! Dziesiątki! Dziesiątki! Mars tu jest! Mars nadszedł!

Dym rozchodzi się wszędzie. Podobnie jak krzyki.

– Mars! – słyszę. – Mars przybył!

Młody mężczyzna przebiega obok mnie. Łapię go za kołnierz i wyrzucam przez okno na dziedziniec, rozpraszając zebranych tam ludzi Minerwy. Idę do kuchni. Ogień Cassiusa wygląda całkiem nieźle. Pali się głównie tłuszcz i szczotka. Jakaś dziewczyna z wrzaskiem próbuje go ugasić.

– June! – wołam.

Odwraca się, wpada prosto na moją energoPikę i dygoce, kiedy elektryczność wyłącza jej mięśnie. W taki sposób kradnę im kucharkę.

Cassius znajduje mnie, gdy biegnę przez ogród z June przerzuconą przez ramię.

– Co jest, do diabła?

– Potrafi gotować!

Mój towarzysz śmieje się tak bardzo, że ledwie może oddychać.

Dom Minerwy ogarnia chaos, ludzie wybiegają z koszar. Myślą, że wróg jest w ich wieżach. Myślą, że ich cytadela płonie. Myślą, że Mars zaatakował z całą mocą. Cassius wciąga mnie do stajni. Zostało siedem koni. Kradniemy sześć z nich i rzucamy świece na zapas siana. Wyjeżdżamy główną bramą, kiedy dym i panika na dobre ogarniają fortecę. Nie mam sztandaru. Zgodnie z planem. Sevro powiedział, że twierdza ma ukrytą tylną bramę. Uznaliśmy, że ktoś bardzo zdesperowany ucieknie nią z upadającego zamku. Ktoś, kto spróbuje uchronić sztandar.

Mieliśmy rację.

Sevro dołącza do nas dwie minuty później. Wyje spod swojej wilczej peleryny, kiedy nadchodzi. Daleko za nami gonią go piesi żołnierze z energoPikami. Teraz to oni nie mają koni. I nie mają szansy odzyskać sztandaru z sową, który błyszczy w ubłoconych rękach Sevro. Nieprzytomna kucharka leży przewieszona przez moje siodło. Odjeżdżamy w gwiaździstą noc na nasze rozrywane przez wojnę wyżyny, śmiejąc się w trójkę, wiwatując i wyjąc.

Dom Gniewu

Znajdujemy Roque'a pod Fobosem wraz z Leą, Brzydalem, Błaznem, Oset, Chwastem i Pestką. Mamy osiem koni – dwa skradzione nad jeziorem, sześć z zamku. Dodajemy je do naszego planu. Cassius, Sevro i ja pokonujemy most, który spina brzegi Metas. Zwiadowca wroga pędzi na północ, żeby ostrzec Mustang. Nasze pozostałe skradzione konie prowadzone przez Antonię ruszają za nami, kiedy tylko się oddala. Roque, pieszo, skręca na południe.

Tylko mój koń nie jest umazany błotem. To jasna klacz. A ja rzucam się w oczy. Niosę złoty sztandar Minerwy w lewej ręce. Moglibyśmy go ukryć. Moglibyśmy schować go w bezpiecznym miejscu. Muszą jednak wiedzieć, że go mamy, a Sevro nie chce go nieść, mimo że go wykradł. Za bardzo lubi swoje zakrzywione noże. Myślę, że do nich szepcze. Z kolei Cassiusa potrzebujemy do innych rzeczy niż taszczenie sztandaru. Poza tym, gdyby go niósł, wyglądałby na przywódcę. A to nie wchodzi w grę.

Panuje martwa cisza, gdy jedziemy przez nasze niziny. Mgła sączy się wokół drzew. Przecinam ją. Cassius i Sevro jadą po obu moich stronach. Nie widzę ich teraz ani nie słyszę, ale gdzieś wyją wilki. Sevro odpowiada im wyciem. Z trudem utrzymuję się w siodle, kiedy moja klacz się płoszy. I tak już dwa razy spadłem. Z ciemności niesie się śmiech Cassiusa. Trudno pamiętać, że robię to dla Eo, że to wszystko jest początkiem rebelii. Tej nocy czuję, że to jest jak gra, i w pewnym sensie naprawdę tak jest, bo wreszcie zaczynam dobrze się bawić.

Nasz zamek został zajęty. Mówi mi to ogień płonący na murach. Budowla wznosi się wysoko na wzgórzu ponad doliną, pochodnie tworzą przedziwną aureolę w spowitej mgłą ciemności. Kopyta mojego konia uderzają cicho w trawę. Na prawo ode mnie Metas gulgoce jak chore dziecko nocą. Gdzieś tam jedzie Cassius, ale go nie widzę.

– Żniwiarzu! – woła przez mgłę Mustang.

Jej głos nie brzmi już żartobliwie. Mustang czeka czterdzieści metrów dalej, w pobliżu podnóża pochyłej drogi, która prowadzi do zamku. Pochyla się do przodu z rękami skrzyżowanymi na łuku siodła. Otacza ją sześciu jeźdźców. Reszta musi zajmować zamek, bo bym ich usłyszał. Patrzę na jej towarzyszy. Pax jest tak ogromy, że energoPika wygląda jak berło w jego wielgachnych rękach.

– Heja, Mustang.

– Czyli nie utonąłeś. A byłoby łatwiej. – Jej bystra twarz pochmurnieje. – Paskudny z was rodzaj, wiesz o tym? – Była wewnątrz fortecy i nie znajduje słów, żeby wyrazić swój gniew. – Gwałt? Okaleczenia? Morderstwo? – Spluwa.

– Niczego nie zrobiłem – odpowiadam. – Podobnie jak rewizorzy.

– Tak, niczego nie zrobiłeś. A teraz masz nasz sztandar i co? Przystojniak chowa się gdzieś we mgle? Śmiało, udawaj, że nie jesteś ich przywódcą. Że nie jesteś odpowiedzialny.

– To Titus jest odpowiedzialny.

– Ten wielki bydlak? Pax go załatwił.

Wskazuje na towarzyszącego jej potwora. Pax ma krótko ścięte włosy, małe oczy, podbródek jak pięta z dołeczkiem. Koń pod nim wygląda jak pies. Jego nagie ręce to ciało naciągnięte na głazy.

– Nie przyszedłem rozmawiać, Mustang.

– Przyszedłeś odciąć mi ucho? – rzuca szyderczo.

– Ja nie. Goblin.

Wtedy jeden z jej ludzi spada z krzykiem z siodła.

– Co... ? – mruczy inny z jeźdźców.

Za ich plecami Sevro wyje jak świr. Jego noże już ociekają krwią. Pół tuzina naszych wyje razem z nim, kiedy Antonia i połowa jej garnizonu z Fobosa nadjeżdżają z północnych wzgórz na ubłoconych skradzionych wierzchowcach. Skowyczą we mgle jak wariaci. Żołnierze Mustang obracają się w miejscu. Sevro powala następnego. Nie używa energoPiki. MedBoty z wizgiem spadają z nieba, które nagle wypełnia się rewizorami.

Wszyscy przylecieli, żeby popatrzeć. Ostatni pojawia się Merkury z naręczem napitków, które rozrzuca wśród towarzyszy. Wszyscy zerkamy w górę, dziwne jest to ich nagłe pojawienie się. Konie galopują. Czas się zatrzymuje.

– Do boju! – Ciemny Apollo kpi z wysokości. Złote szaty wskazują, że właśnie wstał z łóżka. – Do boju!

A potem rozpętuje się chaos, kiedy Mustang wykrzykuje rozkazy i wciela w życie nową strategię. Czterej kolejni jeźdźcy galopują drogą od strony bramy, żeby wesprzeć jej drużynę. Moja kolej. Wbijam sztandar Minerwy w ziemię i wrzeszczę jak opętany. Uderzam piętami klacz, która szarpie się naprzód i prawie mnie zrzuca. Cały się trzęsę, gdy galopuje po wilgotnej ziemi. Silną lewą ręką trzymam wodze, a prawą sięgam po sierpak. Czuję się znowu jak piekłounurek. Wyję jak potępieniec.

Wrogowie rozpraszają się, kiedy widzą, że na nich szarżują. Moja furia wprawia ich w konsternację. Tak jak szaleństwo Sevro i maniakalna brutalność Marsa. Jeźdźcy się rozpraszają – wszyscy z wyjątkiem Paxa. Bo on zeskakuje z siodła i biegnie do mnie.

– Pax au Telemanus – krzyczy jak obłąkany tytan z pianą wykwitającą na ustach.

Znów ponaglam klacz uderzeniem pięt i skowyczę w odpowiedzi.

Pax rzuca się na mojego rumaka i barkiem uderza go w mostek. Zwierzak kwiczy. Świat wywraca fikołka. Wylatuję z siodła, przelatuję nad głową klaczy i uderzam o ziemię.

Oszołomiony unoszę się i przyklękam na jedno kolano na wzburzonej odciskami kopyt ziemi.

Szaleństwo pochłania pole walki. Siły Antonii uderzają na ludzi Mustang z flanki. Mają prymitywną broń, ale ich konie stanowią dostateczne zaskoczenie. Kilku żołnierzy Minerwy wylatuje z siodła. Inni kierują wierzchowce w stronę porzuconego sztandaru, ale wtedy Cassius galopem wypada z mgły i zabiera sztandar na południe. Dwóch rusza za nim w pościg, osłabiając w ten sposób swój oddział. Pozostała szóstka z garnizonu Antonii czeka na nich w zasadzce w lesie, gdzie konie nie mogą biec za szybko.

Odruch każe mi uchylić się przed wymierzonym w głowę uderzeniem energoPiki. Natychmiast się prostuję i sierpakiem tnę w czyjś nadgarstek. Za wolno. Poruszam się jak w tańcu, przypominając sobie kroki, których uczył mnie stryj w opuszczonych kopalniach. Taniec Żniwiarza prowadzi

mnie od jednego ruchu do drugiego, niczym płynąca woda. Biorę zamach sierpakiem, celując w kolano. Kości Aureusów nie łamią się, ale siła ciosu zrzuca jeźdźca z siodła. Obracam się w bok i uderzam znowu i znowu, podcinam konia, łamię mu pęcinę. Zwierzę pada.

Inna pika próbuje mnie dosięgnąć. Udaje mi się umknąć przed jej czubkiem, a potem wyrywam ją swoimi rękami Czerwonego i wbijam rażący prądem koniec w kolejnego napastnika. Chłopak spada z siodła.

Chodząca góra przepycha się przez tłum i biegnie prosto na mnie. Pax. Na wypadek gdybym był idiotą, wykrzykuje swoje imię. Rodzice wychowali go, żeby dowodził oddziałami desantowymi Obsydianowych.

– Pax au Telemanus! – Uderza się wielką energoPiką w pierś i trafia Błazna z jego szopą włosów tak mocno, że mój przyjaciel odlatuje na cztery metry. – Pax au Telemanus!

– Obciąga kutasy! – odpowiadam mu z kpiną.

Wtedy koński bok uderza mnie w plecy i lecę do przodu, wprost na tego monstrualnego chłopaka. To mój koniec. Mógłby razić mnie piką, ale zamiast tego łapie mnie w objęcia. Jakby ścisnął mnie złoty niedźwiedź, wykrzykujący swoje cholerne imię. Krzyż mi trzeszczy. Matko, ratuj. Miażdży mi czaszkę. Ramię mnie boli. Psiajucha. Nie mogę oddychać. Nigdy nie spotkałem się z taką siłą. Dobry Boże. To parszywy ogr. Ktoś wyje. Tuziny ludzi wyją. Strzelają mi kręgi w plecach.

Pax ryczy, oznajmiając swoje osobiste zwycięstwo.

– Mam waszego kapitana! Szczam na was, Mars! Pax au Telemanus wali waszego kapitana! Pax au Telemanus!

Robi mi się ciemno przed oczami i świat wokół mnie znika. Ale moja furia trwa.

Ryczę, uwalniając z siebie ostatki wściekłości, zanim zemdleję. To tania zagrywka. Pax walczy honorowo. A ja cały czas miażdżę mu kolanem klejnoty, walę w nie non stop, ile tylko się da. Raz. Drugi. Trzeci. Czwarty. Olbrzym wytrzeszcza oczy i upada. Mdleję na nim w błocie, słysząc wiwaty rewizorów.

* * *

Sevro opowiada mi wszystko, przetrząsając kieszenie naszych więźniów po bitwie. Kiedy ja i Pax załatwiliśmy się wzajemnie, Roque wjechał do

doliny z Leą i resztą mojego plemienia. Mustang, przebiegła dziewczyna, uciekła do zamku i zdołała go utrzymać, mając sześcioro ludzi. Jeńcy z domu Marsa, których pojmała, nie zostaną jej niewolnikami, dopóki nie dotknie ich czubkiem sztandaru. A na to ma niewielkie szanse. Mamy jedenastu jej ludzi. Roque wykopuje nasz sztandar, żeby zrobić z nich naszych niewolników. Moglibyśmy zacząć oblegać własny zamek – bo nie da się zaatakować jego wysokich murów – ale Ceres i reszta żołnierzy Minerwy mogą zjawić się w każdej chwili. W takim wypadku Cassius ma pojechać i oddać Ceres sztandar Minerwy. Dzięki temu nie będzie go też na miejscu, kiedy będę umacniał swoją pozycję przywódcy.

Roque i Antonia jadą ze mną negocjować z Mustang przed bramą. Kuśtykam i oszczędzam pęknięte żebro. Boli mnie przy oddychaniu. Roque cofa się o krok, żebym najbardziej się wyróżniał, kiedy dotrzemy do bramy. Antonia marszczy nos, ale w końcu robi to samo. Mustang jest zakrwawiona po walce. Nie widzę uśmiechu na jej ładnej twarzy.

– Rewizorzy wszystko obserwowali – mówi zjadliwie. – Widzieli, co się działo w tym... miejscu. Wszystko...

– To była robota Titusa – przerywa jej zmęczonym tonem Antonia, cedząc słowa.

– I nikogo więcej? – Mustang patrzy na mnie. – Dziewczeta nie przestają płakać.

– Nikt nie umarł – odpowiada poirytowana Antonia. – Chociaż są słabe, dojdą do siebie. Mimo tego, co się stało, Złoci nie zostali osłabieni.

– Złoci... – mruczy Mustang. – Jak możesz być tak zimna?

– Ech, dziewczynko... – Antonia wzdycha. – Złoto to zimny metal.

Mustang obrzuca ją pełnym niedowierzania spojrzeniem i kręci głową.

– Mars. Makabryczne bóstwo. Pasujecie do niego, co? Barbarzyństwo? To minione stulecia. Mroczne wieki.

Nie mam zamiaru wysłuchiwać umoralniających wykładów z ust Aureuski.

– Chcielibyśmy, żebyście opuścili zamek – mówię jej. – Zróbcie to, a odzyskacie tych, których złapaliśmy. Nie zamienimy ich w niewolników.

Na dole Sevro staje obok jeńców z naszym sztandarem w ręce. Łaskocze zde gustowanego Paxa końskim włosem.

Mustang wymachuje mi palcem przed nosem.

– To jest szkoła. Zdajesz sobie z tego sprawę, co? Bez względu na to, według jakich zasad wasz Dom zdecyduje się grać. Bądźcie sobie tak

bezwzględni, jak chcecie, ale istnieją granice, psiakrew! Istnieją granice tego, co można robić w tej szkole! W tej grze! Im bardziej brutalni jesteście, na tym większych głupców wychodzicie w oczach rewizorów, dorosłych, którzy wiedzą, co zrobiliście i do czego jesteście zdolni. Myślicie, że chcą, aby potwory kierowały Wspólnotą? Kto zechce potwora na swojego ucznia?

Oczami wyobraźni widzę Augustusa, jak patrzy na moją powieszoną żonę ślepiami martwymi jak u żmii jaskiniowej. Potwór życzyłby sobie ucznia na swój obraz i podobieństwo.

– Oni chcą wizjonerów. Przywódców. Nie morderców. Istnieją granice – powtarza Mustang.

– Do diabła! – warczę. – Nie ma żadnych granic.

Dziewczyna zaciska zęby. Wie, jak to się rozegra. Ostatecznie oddanie nam naszego potwornego zamku nie będzie jej nic kosztować. A próba zatrzymania go – owszem. Może nawet skończyć jak jedna z dziewczyn w wieży. Nie pomyślała o tym wcześniej. Widzę, że chce odejść. Dręczy ją poczucie sprawiedliwości. Z jakiegoś powodu uważa, że powinniśmy zapłacić; że rewizorzy powinni zejść z nieba i interweniować. Większość dzieciaków tak myśli o tej grze; do licha, Cassius powtarzał to setki razy, kiedy chodziliśmy na zwiady. Jednak gra nie jest taka, bo życie nie jest takie. W prawdziwym życiu bogowie nie interweniują, żeby wymierzać sprawiedliwość. To rola tych, którzy mają władzę. Tego właśnie nas tu uczą: nie tylko bólu zdobywania władzy, ale także desperacji, jaką rodzi jej brak, desperacji płynącej z tego, że nie jest się Złotym.

– Zatrzymamy niewolników z Domu Ceres – żąda Mustang.

– Nie, są nasi – odpowiadam, przeciągając słowa. – I zrobimy z nimi, co zechcemy.

Przygląda mi się przez długą chwilę. Zastanawia się.

– Więc dostaniemy Titusa.

– Nie.

– Zatrzymam Titusa – warczy Mustang – albo to koniec negocjacji.

– Nikogo nie zatrzymasz.

Nie przywykła do odmowy.

– Chcę zapewnienia, że są bezpieczni. Chcę, żeby Titus zapłacił.

– Gównu znaczą tu twoje pragnienia. Dostajesz to, co sama sobie weźmiesz. To część programu nauczania. – Wyciągam sierpak i opieram go

końcem o ziemię. – Titus jest z Domu Marsa. Jest nasz. Więc proszę, spróbuj go wziąć.

– Nie ujdzie sprawiedliwości – obiecuje dziewczynie Roque, żeby ją uspokoić.

Odwracam się do niego z błyskiem w oku.

– Zamknij się.

Spuszcza wzrok, wiedząc, że nie powinien się odzywać. Nieważne. Mustang nie patrzy na niego ani na Antonię. Nie patrzy w dół, gdzie Lea i Cipio trzymają jej drużynę na klęczkach, a Oset i Chwast siedzą na plecach Paxa, bo teraz przyszła ich kolej go łaskotać. Nie patrzy na ostrze. Patrzy tylko na mnie.

Pochylam się ku niej.

– Gdyby Titus zgwałcił dziewczynkę, która przypadkiem byłaby Czerwona, to jak byś się czuła?

Nie potrafi odpowiedzieć. Prawo zna odpowiedź. Nic by się nie stało. To nie jest gwałt, o ile dziewczyna nie nosi pieczęci Starego Rodu, takiego jak Augustus. A nawet wtedy byłaby to zbrodnia przeciwko jej panu.

– A teraz rozejrzyj się – ciągnę półgłosem. – Nie ma tu Złotych. Ja jestem Czerwony, ty jesteś Czerwona. Wszyscy jesteśmy Czerwoni, dopóki ktoś z nas nie przejmie władzy. Wtedy zyskamy przywileje. Wtedy ustanowimy własne prawo. – Odchylam się i podnoszę głos. – O to właśnie tu chodzi. Żeby przerażał was świat, w którym nie macie władzy. Bezpieczeństwo i sprawiedliwość nie są dane za darmo. Silni muszą je zagwarantować.

– Powinieneś mieć nadzieję, że to nie jest prawda – mówi do mnie cicho Mustang.

– Dlaczego?

– Bo jest tu chłopiec taki jak ty. – Jej twarz jest ponura, jakby żałowała tego, co musi powiedzieć. – Moja rewizorka nazywa go Szakalem. Jest sprytniejszy, bardziej okrutny i silniejszy od ciebie. Wygra tę grę i robi z nas swoich niewolników, jeśli będziemy zachowywali się jak zwierzęta. – Patrzy na mnie błagalnie. – Więc pośpiesz się, proszę, i ewoluuj.

Mój brat

Udaję, że zapalki zabrałem komuś z ludzi Minerwy, kiedy zapalam nasz pierwszy ogień na zamku Marsa. Ktoś przyprowadza June z jej prowizorycznego więzienia i wkrótce dziewczyna przygotowuje nam ucztę z koziny, jagnięciny i ziół zebranych przez moje plemię. Moi ludzie udają, że to ich pierwszy posiłek od tygodni. Pozostali z Domu są na tyle głodni, żeby uwierzyć w kłamstwo. Mustang i jej żołnierze dawno wrócili chyłkiem do domu.

– Co teraz? – pytam Roque’a, kiedy pozostali jedzą na dziedzińcu.

Donżon nadal jest w opłakanym stanie, a światło ognia niewiele pomaga – tylko lepiej oświetla brud. Cassius poszedł zobaczyć się z Quinn, więc mam chwilę sam na sam z Roque’em.

Plemię Titusa siedzi w cichych grupkach. Dziewczyny nie odzywają się do chłopców, bo widziały, co robili. Wszyscy jedzą ze spuszczonej głowami, panuje ogólne zakłopotanie. Ludzie Antonii siedzą razem z moimi i piorunują wzrokiem tych od Titusa. Ich spojrzenia są pełne odrazy, a także poczucia zdrady, chociaż bezwstydnie napychają sobie brzuchy. Już kilka razy od wymiany słów przeszli do wymiany ciosów. Myślałem, że może zwycięstwo ich połączy, ale nic z tego. Podział jest głębszy niż kiedykolwiek dotąd, tyle że teraz nie umiem go zdefiniować. Myślę, że tylko w jeden sposób można to naprawić.

Roque nie ma odpowiedzi, którą chciałbym usłyszeć.

– Rewizorzy nie interweniują, bo chcą zobaczyć, jak – i czy w ogóle – poradzimy sobie z kwestią sprawiedliwości. O to w gruncie rzeczy chodzi

w tej sytuacji. Jak zaprowadzimy rządy prawa?

– Doskonale – mówię. – Więc co? Mamy wychłostać Titusa? Zabić go? To byłoby Prawo.

– Tak? A może byłaby to tylko zemsta?

– Jesteś poetą. Sam to rozgryź. – Skopuję kamyk z murów.

– Nie może tkwić związany w piwnicy. Dobrze o tym wiesz. Nigdy nie wyjdziemy z tego odrętwienia, jeśli on tam zostanie, i właśnie to ty musisz zdecydować, co z nim zrobić.

– Nie Cassius? – pytam. – Myślę, że na to zapracował. W końcu zastrzegł go sobie.

Nie chcę dzielić się dowodzeniem z Cassiusem, ale nie chcę też, żeby opuścił Instytut bez żadnych perspektyw. Jestem mu to winien.

– Zastrzegł? – Roque kaszle. – Słyszysz, jak barbarzyńsko to brzmi?

– Czyli Cassius nie powinien odegrać w tym żadnej roli?

– Kocham go jak brata, ale nie. – Wąska twarz Roque’a zdradza napięcie, kiedy kładzie rękę na moim ramieniu. – Cassius nie może dowodzić Domem. Nie po tym, co się stało. Ludzie Titusa może i by go słuchali, ale nie szanowali. Nie będą go uważali za silniejszego od siebie, nawet jeśli taki jest. Darrow, oni go obsikali. Jesteśmy Złoci. Nie zapominamy.

Ma rację.

Targam włosy z frustracji i piorunuję Roque’a wzrokiem, jakby utrudniał mi życie.

– Nie rozumiesz, ile to znaczy dla Cassiusa. Po śmierci Juliana... Potrzebuje triumfu. Nie może zostać zapamiętany tylko z powodu tego, co się stało. Po prostu nie może.

Dlaczego tak się tym przejmuję?

– Gównu znaczą tu jego pragnienia – Roque z uśmiechem powtarza moje słowa. Jego palce na moim bicepsie są wątłe jak słomki. – Nigdy nie będą się go bać.

A strach jest tu konieczny. I Cassius o tym wie. Czy nie dlatego właśnie nie bierze udziału w tej chwili zwycięstwa? Antonia ani na chwilę nie opuściła mojego boku. Pollux, który otworzył bramę, też nie. Trzymają się najdalej w odległości kilku metrów, żeby skojarzyć się z moją władzą. Sevro i Oset patrzą na nich z przebiegłymi uśmieszkami.

– Ty też po to tu jesteś, ty podstępny lisie? – pytam Roque’a. – Żeby mieć udział w chwale?

Wzrusza ramionami i żuje barani udziec, który przynosi mu Lea.
– Walić to. Mnie chodzi tylko o jedzenie.

* * *

Znajduję Titusa w piwnicy. Ludzie od Minerwy związali go i pobili do krwi, kiedy zobaczyli niewolnice w jego wieży. To była ich sprawiedliwość.

Uśmiecha się, gdy stoję nad nim.

– Ilu ludzi z Domu Ceres zabiłeś w trakcie swoich najazdów? – pytam.

– Możesz mi obciągnąć. – Spluwa krwawą flegmą. Uskakuję.

Opieram się chęci, żeby przykopać mu w jaja. Choć z trudem. Wystarczy mi na dziś Pax. Titus ma czelność zapytać, co się stało.

– Teraz ja rządę Domem Marsa.

– Wykorzystałeś więc do swojej brudnej roboty Minerwę, co? Nie chciałeś mi stawić czoła? Typowy Złoty tchórz.

Boję się go. Nie wiem dlaczego. Mimo to kucam i patrzę mu w oczy.

– Jesteś zaszczanym głupcem, Titusie. Nie wyewoluowałeś. Nie wyszedłeś poza pierwszą próbę. Myślałeś, że tu chodzi tylko o przemoc i zabijanie. Idiota. Chodzi o cywilizację, nie wojnę. Żeby stworzyć armię, musisz mieć najpierw cywilizację, a ty poszedłeś prosto po przemoc, tak jak tego chcieli oni. Jak myślisz, dlaczego nie dali Marsowi niczego, podczas gdy inne Domy mają tyle zasobów? Mamy walczyć jak szaleńcy, ale mamy też wypalić się tak, jak ty się wypaliłeś. Ja jednak wyszedłem z tej próby zwycięsko. Teraz jestem bohaterem. Nie uzurpatorem. A ty jesteś zwykłym ogrem w lochach.

– O, hurra. Hurra! – Próbuje zaklaskać mimo związanych rąk. – W dupie to mam.

– Ilu zabiłeś? – pytam.

– Nie dość. – Przechyla wielki łeb. Włosy ma przetłuszczzone i ciemne z brudu, prawie jakby próbował uczernić złoto. Wyraźnie lubi brud. Ma go pod paznokciami, na błyszczącej skórze. – Starłem się roztrzaskiwać im łby. Zabić ich, zanim pojawią się medBoty. Ale zawsze były takie szybkie.

– Dlaczego chciałeś ich pozabijać? Nie rozumiem, w czym rzecz. To twoi ludzie.

Uśmiecha się na to znacząco.

– Mogłeś to zmienić, łajdaku. – Jego wielkie oczy są spokojniejsze, smutniejsze, niż zapamiętałem. Dociera do mnie, że nie lubi siebie. Jest w nim jakiś zbyt głęboki smutek. Duma, o którą go posądzałem, nie jest dumą; to pogarda. – Mówisz, że jestem okrutny, ale miałeś zapalki i jodynę. Nie myśl, że nie wiedziałem, i to zanim cię obwąchałem. Przymieraliśmy głodem, a ty wykorzystałeś to, co znalazłeś, żeby zostać przywódcą. Więc nie pouczaj mnie na temat moralności, ty podstępny dupolizie.

– To dlaczego nic z tym nie zrobiłeś?

– Pollux i Vixus bali się ciebie. Podobnie jak reszta. I myśleli, że Goblin zabije ich we śnie. Co mogłem zrobić, jeśli tylko ja jeden się nie bałem?

– A dlaczego się nie bałeś?

Śmieje się.

– Jesteś tylko chłopczykiem z sierpakiem. Początkowo myślałem, że jesteś twardy, myślałem, że widzimy rzeczy podobnie. – Oblizuje zakrwawioną wargę. – Myślałem, że jesteś taki jak ja, ale gorszy z powodu lodu w twoich oczach. Ale ty nie jesteś zimny. Zależy ci na tych dupolizach.

Ściągam brwi.

– Jak to?

– To proste. Znalazłeś przyjaciół. Roque. Cassius. Lea. Quinn.

– Tak samo jak ty. Pollux, Cassandra, Vixus.

Krzywi się potwornie.

– Przyjaciół?! – warczy. – Miałbym zaprzyjaźnić się z nimi? Ze Żłotogłowymi? To potwory, bezduszne dranie. Banda kanibali. Wszyscy co do jednego. Robili to samo, co ja, ale... phi.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego robiłeś takie rzeczy niewolnicom. Gwałt, Titusie. Gwałt!

Ma cichą i okrutną twarz.

– Oni zaczęli.

– Kto?

On jednak nie słucha. Nagle opowiada mi, jak „ją” wzięli i jak „ją” zgwałcili na jego oczach. A potem parszywe wały wróciły tydzień później i zrobiły to znowu. Dlatego ich zabił. Roztrzaskał im czaszki.

– Zabiłem tamte parszywe potwory. A teraz ich równie parszywe córki dostały to samo, co ona, psiajucha.

Jakbym oberwał w twarz.

Do diabła.

Przebiega mnie dreszcz.

Parszywe. Psiajucha.

Cofam się chwiejnie.

– Co z tobą, do diabła? – pyta Titus.

Gdybym był Złotym, może bym nie zauważył, może byłbym tylko zaskoczony dziwnym doborem słów. Ale nie jestem Złotym.

– Darrow?

Wracam na korytarz i idę przed siebie jak otępiały. Wszystko nabiera sensu. Nienawiść. Odraza. Zemsta. Kanibale zjadają swoich. Nazwał ich kanibalami. Pollux, Cassandra, Vixus – kim są dla nich „swoi”? Swoi. Złoci. Parszywe potwory. Nie „przekłète”. Do tego jeszcze „psiajucha”. Żaden Złoty tak nie mówi. Nigdy. I nazwał moją broń sierpakiem, a nie sierpem żniwiarza.

Do diabła.

Titus jest Czerwony.

Jedność

Titus jest tym, czym Dancer nie chciał, żebym się stał. Jest jak Harmony. Jest ucieleśnieniem zemsty. Rebelia z Titusem u steru upadłaby w kilka tygodni. Gorzej: jeśli Titus dalej będzie podążał tą drogą, tak niestabilny jak teraz, to narazi też mnie. Dancer skłamał albo nie wiedział, że istnieją inni Czerwoni, których poddano rzeźbieniu, inni Czerwoni, którzy przywdziali maski Żółtych. Ilu jeszcze ich jest? Ilu Ares umieścił tutaj, we Wspólnocie? W Instytucie? Nie jest ważne, czy są ich tysiące, czy tylko jeden. Chwiejność Titusa naraża wszystkich Czerwonych kiedykolwiek przerobionych na Żółtych. Naraża marzenie Eo. A tego bym nie zniósł. Eo nie po to umarła, żeby Titus mógł zabić kilkoro dzieciaków.

Płaczę w zbrojowni, kiedy podejmuję decyzję, co trzeba zrobić.

Więcej krwi splami moje ręce, bo Titus jest wściekłym psem, którego trzeba odstrzelić.

* * *

Rankiem wyprowadzam go na dziedziniec przed Dom. Resztki naszej wieczornej uczty zostały już uprzątnięte. Nawet niewolnicy przyszli popatrzeć. Paru rewizorów migocze w górze. Nie latają obok nich medBoty, co musi oznaczać ich milczącą zgodę.

Popycham Titusa na ziemię przed jego dawnym plemieniem. Patrzą w milczeniu. Mgła wisi w powietrzu, nerwowe stopy zgrzytają podeszwami

o zimny bruk dziedzińca. Zimno przesiąka w moje dłonie przez duroStal sierpaka.

– Za zbrodnie gwałtu, okaleczenia i próby zamordowania towarzyszy z Domu skazuję Titusa au Ladros na śmierć. – Wyliczam jego przewiny. – Czy ktokolwiek podważa moje prawo do tego?

Najpierw zerkam do góry, na rewizorów. Żaden się nie odzywa.

Potem patrzę na okrutnego Vixusa. Siniak jeszcze mu nie zszedł. Później spoglądam na Cassandrę. Zerkam nawet na zachrypłego Polluxa, który uratował Cassiusa i otworzył dla nas bramę. Stoi obok Roque’a. Jakże płynna jest tu lojalność.

Moja też. Każę Czerwonemu umrzeć za to, że zabijał Żółtych. Niegdyś kopał w ziemi tak samo jak ja. Ma duszę taką samą jak ja. Po śmierci pójdzie do Doliny, ale za życia był głupi i egoistyczny w swoim bólu. Powinien być lepszy. My, Czerwoni, jesteśmy lepsi od niego, prawda?

Plemię Titusa milczy; ich wina jest powiązana z ich przywódcą. I wraz z nim zniknie. Tak właśnie sobie tłumaczę. Wszystko będzie dobrze.

– Ja podważam ten wyrok – odzywa się Titus. – I rzucam ci wyzwanie, dupolizie.

– Przyjmuję, łaskawy panie. – Kłaniam się krótko.

– Zatem pojedynek zgodnie ze zwyczajem Zakonu Miecza – oznajmia Roque.

– W takim razie ja wybieram broń – mówi Titus, obrzucając spojrzeniem mój sierpak. – Proste klingi. Nic zakrzywionego.

– Jak sobie życzysz – odpowiadam, ale kiedy robię krok do przodu, czuję czyjaś dłoń na łokciu i wiem, że mój przyjaciel stanął tuż za mną.

– Darrow, on jest mój – szepcze chłodno Cassius. – Pamiętasz, prawda? – Niczym tego nie potwierdzam. – Darrow, proszę. Tu chodzi o honor rodu Bellona.

Patrzę na Roque’a. Kręci głową. Podobnie jak Quinn, która stoi za Cassiusem. Jednak ja tu jestem przywódcą. I złożyłem obietnicę przyjacielowi, który uznał teraz mój awans. Prosi, zamiast żądać, więc udaję, że rozważam jego prośbę, a potem wyrażam zgodę. Odsuwam się na bok, kiedy Cassius wychodzi naprzód. Chwytem szermierza ujmuję prostą klingę. To brzydka broń, ale naostrzył ją o kamienie.

– Mały księżę – szydzi Titus. – Cudownie. Z radością znowu zleję twojego trupa szczynami, kiedy już skończymy.

Jest stworzony do bijatyk, do błotnistych pól bitewnych i wojen domowych. Zastanawiam się, czy wie, jak łatwo zostanie dzisiaj zabity.

Roque kreśli popiołem krąg wokół dwóch przeciwników. Błazen i Brzydal podchodzą z naręczami broni. Titus wybiera długi miecz, który zabrał żołnierzowi Ceres pięć dni wcześniej. Metal zgrzyta o kamień. Echo niesie się po dziedzińcu. Olbrzym zamachuje się mieczem raz, drugi, sprawdzając broń. Cassius się nie rusza.

– Już sikasz w gacie? – pyta Titus. – Nie martw się, załatwię to szybko.

Roque dopełnia formalności i ogłasza rozpoczęcie pojedynku.

Cassius nie załatwia tego szybko.

Szczęk paskudnych ostrzy brzmi przenikliwie. To przykry dźwięk. Klingi się szczerbią. Zgrzytają. Zarazem są bardzo ciche, gdy natrafiają na ciało.

Jedynym dźwiękiem jest stęknienie Titusa.

– Zabiłeś Juliana – cedzi cicho Cassius. – Juliana au Bellona z rodu Bellona.

Wyciąga ostrze z nogi Titusa i wbija je w następne miejsce. I znowu je wyrzywa.

Titus śmieje się i słabo wymachuje swoją bronią. W tej chwili to jest już żalosne.

– Zabiłeś Juliana. – Pchnięcie towarzyszy słowom, słowa powtarzają się, aż przestają patrzeć. – Zabiłeś Juliana.

Ale Titus już nie żyje. Łzy płyną po twarzy Quinn. Roque zabiera ją i Leę. Moja armia milczy. Oset spluwa na bruk i obejmuje Pestkę za ramiona. Błazen robi wrażenie jeszcze bardziej przybitego niż zwykle. Nawet rewizorzy nie komentują. Gniew Cassiusa wypełnia dziedziniec, okrutny lament za dobrym bratem. Powiedział, że wymierzy sprawiedliwość, obroni honor rodziny i Domu. Jednakże to jest zwykła zemsta. Jakże pusta się wydaje.

Robi mi się zimno.

To mnie był przeznaczony taki los. Nie mojemu biednemu bratu Titusowi, o ile naprawdę tak się nazywał. Zasługiwał na coś lepszego.

Czuję, że się rozpłaczę. Gniew i smutek wzbierają mi w piersi, kiedy przepycham się przez ludzi z mojej armii. Roque patrzy na mnie, kiedy go mijam. Ma trupio bladą twarz.

– To nie była sprawiedliwość – mruczy, nie patrząc mi w oczy.

Nie zdałem tego egzaminu. Roque ma rację. To nie była sprawiedliwość. Sprawiedliwość jest beznamietna, jest uczciwa. Ja jestem przywódcą. Wydałem wyrok. Powinienem był go wykonać. Zamiast tego pozwoliłem na zemstę. Nowotwór nie zostanie wycięty; tylko pogorszyłem stan.

– Przynajmniej znowu boją się Cassiusa – dodaje półgłosem Roque. – Ale to jedyna dobra rzecz, jaką uzyskałeś.

Biedny Titus. Pochowam go w zagajniku w pobliżu rzeki. Mam nadzieję, że to przyspieszy jego podróż do Doliny.

Tej nocy nie śpię.

Nie wiem, czy kobieta, którą skrzywdzili, była jego żoną, siostrą czy matką. Nie wiem, z jakiej kopalni pochodził. Jego ból jest moim bólem. Ból go złamał, tak jak mój złamał mnie na szubienicy. Jednak ja dostałem drugą szansę. A gdzie on mógł jej szukać?

Mam nadzieję, że śmierć uśmierzy jego ból. Nie kochałem go, dopóki nie umarł. Powinien umrzeć, ale nadal jest moim bratem. Modłę się więc, żeby znalazł spokój w Dolinie, żeby spotkał go pewnego dnia i żebyśmy objęli się wtedy jak bracia, kiedy wybaczy mi to, co mu zrobiłem, ponieważ zrobiłem to dla marzenia, dla naszego ludu.

Moje imię – teraz opatrzone już trzema belkami – przybliżyło się do dłoni Prymusa.

Imię Cassiusa też się podniosło.

Niestety może być tylko jeden Prymus.

* * *

Ponieważ nie mogę spać, staję na warcie zamiast Cassandry. Mgła kłębi się wokół murów, więc wiążujemy pod nimi owce. Zaczną beczeć, kiedy nadejdzie wróg. Czuję jakiś dziwny zapach, intensywny i dymny.

– Kawałeczek pieczonej kaczki?

Odwracam się i widzę, że obok mnie stoi Fitchner. Włosy nad wąskim czołem ma potargane. Nie założył dzisiaj złotej zbroi, a jedynie czarną bluzę od munduru ze złotymi pasami. Od zapachu jedzenia burczy mi w żołądku.

– Powinniśmy wszyscy być na ciebie wkurzeni – mówię.

Na jego twarzy maluje się czyste zdumienie.

– Dzieciaki, które tak mówią, zwykle zamierzają wyjaśnić, dlaczego nie są wkurzone.

– Ty i inni rewizorzy widzicie wszystko, prawda?

– Nawet kiedy podcieracie tyłki.

– I nie powstrzymaliście Titusa, bo to część programu nauczania.

– Prawdziwe pytanie brzmi: dlaczego nie powstrzymaliśmy ciebie.

– Od zabicia go.

– Tak, maluchu. Byłby cenny w wojsku, nie uważasz? Może nie jako pretor ze statkami w międzygwiazdnej czerni. Ale mógłby zostać świetnym legatem, wiodącym ludzi w astroPancerzach przez bramy wroga, kiedy ogień odbijałby się od ich tarcz impulsowych. Widziałeś kiedykolwiek Żelazny Deszcz? Kiedy zrzuca się ludzi z orbity, żeby zajęli miasta? Titus był do tego stworzony.

Nie odpowiadam.

Fitchner ociera tłuszcz z ust czarnym rękawem munduru.

– Życie jest najbardziej skuteczną szkołą, jaka kiedykolwiek powstała. Dawno temu kazano dzieciom pochylać głowy i czytać książki. Mijały wieki, zanim coś pojmowały. – Puka się w głowę. – My jednak mamy teraz interfejsy sieciowe i terminale, my, Złoci, mamy niższe Kolory, żeby prowadziły dla nas badania. Nie musimy studiować chemii czy fizyki. Mamy od tego komputery i inne rzeczy. Musimy za to studiować ludzkość. Żeby rządzić, musimy studiować nauki polityczne i behawioralne, psychologię, rozumieć, jak zdesperowani ludzie zaczynają reagować na siebie nawzajem, jak formują się grupy, jak funkcjonują armie, jak rozpadają się struktury i dlaczego. Nigdzie indziej nie nauczysz się tego. Tylko tutaj.

– Nie, rozumiem cel – mruczę. – Uczę się więcej, gdy popełniam błędy, o ile mnie nie zabijają.

Wiele się nauczyłem z próby zostania męczennikiem.

– Świetnie. Popełniasz ich mnóstwo. Jesteś impulsywnym małym wypierdkiem. Jednakże to jest miejsce, w którym możesz dać ciała. Możesz się uczyć. To jest życie... tyle że z medBotami, drugimi szansami, sztucznymi scenariuszami. Pewnie odgadłeś, że pierwszy sprawdzian, Próba, badał zderzenie konieczności z emocjami. Drugi dotyczył konfliktów plemiennych. Potem była odrobina sprawiedliwości. Nadejdą kolejne. Kolejne drugie szanse, kolejne lekcje do przyswojenia.

– Ilu z nas może umrzeć? – pytam nagle.

– Nie martw się tym.

– Ilu.

– Każdego roku Komisja Kontroli Jakości ustanawia limit, ale mimo tego, co się wydarzyło z Szakalem, nadal daleko nam do jego przekroczenia. – Fitchner się uśmiecha.

– Szakal... – powtarzam. – To się właśnie wydarzyło tamtej nocy, kiedy medBoty poleciały całą chmurą na południe?

– Zdradziłem jego imię? Ojej. – Uśmiecha się szeroko. – Chciałem powiedzieć, że medBoty są bardzo skuteczne. Leczą niemal wszystkie rany. Czy jednak będą równie skuteczne, kiedy Cassius odkryje, kto naprawdę zabił jego brata?

Ściska mnie w żołądku.

– Już zgłodził zabójcę Juliana. Najwyraźniej tego nie widziałeś.

– Oczywiście, oczywiście. Merkury uważa, że jesteś genialny. Apollo uważa, że zadzierasza nosa. Naprawdę cię nie lubi, wiesz.

– Mam to w nosie.

– Powinieneś bardziej się przejmować. Apollo jest kapitalny.

– Jasne. A co ty myślisz? Jesteś moim rewizorem.

– Uważam, że masz starą duszę. – Obserwuje mnie, opierając się o mur. Noc jest mglista poza zamkiem. Z jej głębin niesie się wycie wilków. – Myślę, że jesteś taki jak te zwierzęta w głuszy. Należysz do stada, ale jesteś głęboko smutny i równie głęboko samotny. Nie mogę rozgryźć powodów twojego smutku i samotności, mój drogi chłopcze. To jest taka pyszna zabawa! Baw się! Życie nie będzie lepsze.

– Ty jesteś taki sam – mówię. – Samotny. Ciągłe żartujesz i drwisz tak samo jak Sevro, ale to tylko maska. To dlatego, że nie wyglądasz tak jak inni? Dlatego, że jesteś biedny? Z jakiegoś powodu jesteś outsiderem.

– Mój wygląd? – Parska śmiechem. – Jakie to ma znaczenie? Myślisz, że jestem Tombakiem, bo nie wyglądam jak Adonis?

Pochyla się ku mnie, bo naprawdę przejmuje się tym, co zaraz powiem.

– Jesteś brzydki i zresz jak świnia, Fitchner, ale żujesz metabolizery, kiedy mógłbyś po prostu pójść do Rzeźbiarza i wyglądać tak jak inni. Mógłbyś pozbyć się brzucha w okamgnieniu.

Zaciska zęby. To gniew?

– Dlaczego miałbym musieć iść do Rzeźbiarza? – syczy nagle. – Mogę zabić Obsydianowego gołymi rękami. Obsydianowego! Mogę przechytrzyć Srebrnego podczas negocjacji, mogę go przegadać. Posługuję się

matematyką, o jakiej Zieloni mogą tylko pomarzyć. Po to miałbym fundować sobie inny wygląd?

– Bo ten obecny cię ogranicza.

– Mimo niskiego urodzenia mam wysoką pozycję. Jestem ważny. – Jego wąska twarz rzuca mi wyzwanie, żebym zaprzeczył. – Jestem Złoty. Jestem królem ludzi. Nie zmienię się, żeby dopasować się do innych.

– Jeśli to prawda, to czemu żujesz metabolizery? – Nie odpowiada. – I dlaczego jesteś tylko rewizorem?

– Pozycja rewizora jest prestiżowa, chłopcze – warczy. – Werbownicy głosowali, żebym reprezentował ich Dom.

– A jednak nie jesteś imperatorem. Nie dowodzisz flotami. Nie jesteś nawet pretorem, który dowodziłby eskadrą. Ani nie jesteś gubernatorem. Ilu ludzi potrafi to, co, jak twierdzisz, ty potrafisz?

– Niewielu – odpowiada cicho z twarzą pełną gniewu. – Bardzo niewielu. – Podnosi wzrok. – Jakiej nagrody życzysz sobie za zdobycie sztandaru Minerwy?

– To nie jest pytanie do Sevro? – pytam, rozumiejąc, że nasza rozmowa dobiega końca.

– Przekazał go tobie.

Proszę o konie, broń i zapalki. Fitchner wyraża zwięzłe zgodę i odwraca się, żeby odejść, zanim zadam mu ostatnie pytanie. Łapię go za rękę, kiedy zaczyna się wznosić. Coś się dzieje. Moje nerwy skwierczą. Jakby igiełki kwasu przeszyły mi dłoń i rękę. Aż mnie zatyka. Przez sekundę moje płuca nie działają.

– Psiakrew – kaszlę i padam na ziemię.

Ma na sobie zbroję impulsową. A ja nawet nie widzę generatora. Działa jak tarcza tego samego typu, ale jest osadzona w samym pancerzu.

Fitchner czeka bez uśmiechu.

– Szakał – mówię. – Wspomniałeś o nim. Dziewczyna od Minerwy też o nim mówiła. Kto to jest?

– To syn arcygubernatora. I przy nim Titus jest jak mażący się dzieciuch.

* * *

Następnego ranka na polach pasą się duże konie. Wilki próbują upolować mniejszą klacz. Jasny ogier podbiega i kopniakiem zabija jednego z nich. Biorę tego wierzchowca dla siebie. Inni nazywają go Quietus. To oznacza „ostateczny cios”.

Przypomina mi Pegaza, który ocalił Andromedę. Pieśni, które śpiewaliśmy w Lykos, opowiadają o koniach. Wiem, że Eo chciałaby przejechać się konno.

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że kiedy nazwali mojego konia Quietus, drwili z mojego udziału w śmierci Titusa.

Dom Diany

Mija miesiąc. Po śmierci Titusa Dom Marsa staje się silniejszy. Źródłem tej siły nie są przedstawiciele wysokiego Poboru, ale męty, moje plemię i średni Pobór. Zakazałem znęcania się nad niewolnikami. Ci z Domu Ceres, chociaż nadal są nerwowi przy Vixusie i paru innych, dostarczają jedzenia i dbają o ogień. Na dobrą sprawę do niczego innego się nie nadają. Pięćdziesiąt kóz i owiec zebrano w zamku na wypadek oblężenia; zgromadziliśmy też zapasy drewna na opał. Nie mamy jednak wody. Pompy w umywalni zostały wyłączone już po pierwszym dniu. A nie mamy wiader, żeby zgromadzić wodę. Wątpię, by to był przypadek.

Wyklepujemy misy z tarcz i wykorzystujemy hełmy do noszenia wody z rzeki poniżej zamku. Ścinamy drzewa i wydrążamy ich pnie, żeby uzyskać koryta do jej magazynowania. Znosimy też kamienie i kopujemy studnię, ale nie jesteśmy w stanie wkopać się poniżej błota. Wykładamy więc studnię kamieniami i drewnem, próbując wykorzystać ją jako zbiornik na wodę. Stale przecieka. Zostają nam więc koryta i to wszystko. Nie możemy pozwolić sobie na oblężenie.

Donżon jest czystszy.

Zobaczywszy, jak skończył Titus, proszę Cassiusa, żeby nauczył mnie szermierki. Uczę się wręcz nedorzecznie szybko. Zgłębiam tajniki walki prostym ostrzem. Nie posługuję się sierpakiem, który już jest jak część mojego ciała. I nie chodzi mi o to, żebym nauczył się posługiwać prostą klingą, która bardzo przypomina brzytwy, ale żebym zrozumiał, jak może zostać wykorzystana przeciwko mnie. Nie chcę też, żeby Cassius nauczył

się walczyć zakrzywioną bronią. Jeśli kiedykolwiek dowie się o Julianie, krzywe ostrze jest moją jedyną nadzieją.

Nie jestem biegły w sztuce *kravat*. Nie potrafię wykonywać kopnięć. Uczę się jednak, jak miażdżyć tchawicę. I uczę się, jak należycie wykorzystywać swoje ręce. Koniec z zamaszystym waleniem na oślep. Koniec z głupimi obronami. Jestem śmiertelny i szybki, ale nie lubię dyscypliny, jakiej wymaga *kravat*. Chcę być skutecznym wojownikiem. To wszystko. Mam wrażenie, że ta sztuka walki ma mnie nauczyć wewnętrznego spokoju. Przegrana sprawa.

A jednak trzymam gardę jak Cassius, jak Julian, w powietrzu, łokcie na poziomie oczu, żeby zawsze uderzać i blokować ruchem w dół. Czasem Cassius wspomina Juliana, a ja czuję wtedy, jak wzbiera we mnie ciemność. Myślę o rewizorach, którzy oglądają to i się śmieją. Muszę sprawiać wrażenie wcielonego zła, manipulanta.

Zapominam, że Cassius, Roque, Sevro i ja jesteśmy wrogami. Czerwony i Złoci. Zapominam, że pewnego dnia może będę musiał ich zabić. Nazywają mnie bratem, a ja wbrew sobie też tak o nich myślę.

Walka z Domem Minerwy rozpadła się na serię potyczek, żadna strona nie uzyskała nad drugą dostatecznej przewagi, żeby odnieść zdecydowane zwycięstwo. Mustang nie zaryzykuje regularnej bitwy, jak bym tego sobie życzył. Nie dają się sprowokować, nie tak naprawdę. Nie można ich tak łatwo jak moich żołnierzy skusić do walki o chwałę albo do przemocy.

Mimo to członkowie Domu Minerwy rozpaczliwie pragną mnie złapać. Paxa ogarnia szaleństwo na mój widok. Mustang próbowała nawet zaproponować Antonii (przynajmniej tak twierdzi dziewczyna) pakt o wzajemnej ochronie, tuzin koni, sześć energoPik i siedmiu niewolników w zamian za mnie. Nie wiem, czy nie kłamie, kiedy o tym opowiada.

– Zdradziłabyś mnie w okamgnieniu, gdybyś w ten sposób zyskała pozycję Prymusa – mówię jej.

– To prawda – odpowiada poirytowana, kiedy przerywam jej pedantyczny manicure. – Ale ponieważ spodziewasz się tego, nie byłaby to tak naprawdę zdrada, skarbie.

– To dlaczego nie przyjąłeś oferty?

– Wiesz, męty cię podziwiają. W tej chwili takie posunięcie miałoby katastrofalne skutki. Może kiedy zawiedziesz w czymś, to owszem. Może kiedy sprawy ułożą się dla ciebie niekorzystnie.

– A może czekasz na wyższą cenę.

– W rzeczy samej, skarbie.

Żadne z nas nie wspomina o Sevro. Wiem, że Antonia nadal się boi, że poderżnąłby jej gardło, gdyby mnie tknęła. Sevro chodzi za mną krok w krok w swojej wilczej skórze. Czasem piechotą. Czasem jeździ na drobnej czarnej klaczy. Nie lubi zbroi. Bywa, że wilki zbliżają się do niego, jakby należał do ich watahy. Przychodzą zjeść sarny, które zabija, bo głodują, odkąd zamknęliśmy kozy i owce. Pestka zawsze zostawia im jedzenie pod murami, kiedy tylko zabijemy jakieś zwierzę. Obserwuje je jak dziecko, gdy wychodzą z lasu czwórkami, trójkami.

– Zabiłem przywódcę watahy – mówi Sevro, kiedy pytam, czemu wilki za nim chodzą. Obrzuca mnie spojrzeniem i posyła mi szelmowski uśmiech spod wilczej skóry. – Nie martw się, twoja skóra nie pasowałaby na mnie.

Przekazałem mu dowodzenie mętami, bo wiem, że to jedyni ludzie, jakich kiedykolwiek mógłby polubić. Początkowo ich ignoruje, a potem powoli zaczynam zauważać, że upiorne wycie częściej niż dawniej wypełnia noc. Inni nazywają ich Wyjcami. Po paru nocach pod okiem Sevro wszyscy noszą czarne wilcze skóry. Jest ich szóstka: Sevro, Oset, Brzydal, Błazen, Pestka i Chwast. Kiedy się na nich patrzy, ma się wrażenie, że każda z tych obojętnych twarzy wygląda z rozwartej, wilczej paszczy pełnej zębów. Wykorzystuję ich do cichych ataków. Nie jestem pewien, czy bez nich nadal byłbym przywódcą. Moi żołnierze powtarzają szeptem oszczerstwa pod moim adresem, kiedy ich mijam. Stare rany nie zagoiły się.

Potrzebuję zwycięstwa, ale Mustang nie stanie ze mną do walki, a trzydziestometrowe mury zamku Minerwy nie są tak łatwe do pokonania, jak były na początku. W naszej sali narad Sevro krąży w kółko i skarży się, że gra jest głupio pomyślana.

– Musieli wiedzieć, że nikt nie może pokonać przeklętych murów zamku przeciwnika. Nikt też nie jest na tyle głupi, żeby posłać swoich ludzi, na których stratę go nie stać. A już na pewno nie Mustang. Pax może by był. To idiota, zbudowany jak bóg, ale idiota, i chce ci urwać jaja. Słyszałem, że stłukłeś mu jedno.

– Oba.

– Powinniśmy po prostu wsadzić do katapulty Pestkę albo Goblina i wystrzelić ich nad murem – proponuje Cassius. – Oczywiście najpierw musielibyśmy znaleźć katapultę...

Mam dość wojny z Mustang. Gdzieś na południu albo na wschodzie Szakal rośnie w siłę. Gdzieś tam mój wróg, syn arcygubernatora, przygotowuje się, by mnie zniszczyć.

– Patrzymy na to w niewłaściwy sposób – mówię do Sevro, Quinn, Roque'a i Cassiusa. Towarzyszą mi w sali narad. Jesienny wiaterek niesie ze sobą zapach schnących liści.

– Och, proszę, podziel się z nami swoją mądrością – mówi ze śmiechem Cassius. Wyciąga się na kilku krzesłach, a głowę opiera na kolanach Quinn, która bawi się jego włosami. – Nie możemy się doczekać, żeby ją usłyszeć.

– Ta szkoła istnieje od ilu lat, ponad trzystu? Widzieli tu wszystkie permutacje. Każdy problem, na jaki się natykamy, został tak pomyślany, żeby dało się go pokonać. Sevro, mówisz, że fortecy nie da się zdobyć? Rewizorzy muszą to wiedzieć. To znaczy, że musimy zmienić paradygmat. Potrzebujemy sojusznika.

– Przeciwno komu? – pyta Sevro. – Hipotetycznie.

– Przeciwno Minerwie – odpowiada Roque.

– To głupi pomysł – mruczy Sevro, czyszcząc nóż i chowając go w czarnym rękawie. – Ich zamek nie ma taktycznego znaczenia. Nie ma żadnej wartości. Żadnej. Potrzebujemy ziemi nad rzeką.

– Myślisz, że potrzebujemy pieców Ceres? – pyta Quinn. – Nie miałabym nic przeciwko odrobinie chleba.

Jak my wszyscy. W efekcie stosowania diety z mięsa i jagód składamy się z samych mięśni i kości.

– O ile gra potrwa przez całą zimę, to tak. – Sevro głośno wyłamuje palce. – Ale te fortece nie upadną. To głupia gra. Potrzebujemy więc ich chleba i dostępu do wody.

– Mamy wodę – przypomina mu Cassius.

Sevro wzdycha sfrustrowany.

– I musimy wyjść po nią z zamku, panie Zdrętwiałe Jaja. A podczas prawdziwego oblężenia? Wytrzymamy pięć dni bez dostępu do wody. Siedem, jeśli będziemy pić zwierzęcą krew jak Morgdy. Potrzebujemy twierdzy Ceres. Poza tym te żniwne kutasy nie potrafią walczyć nawet za cenę własnego życia. Mają jednak trochę dobrych rzeczy.

– Żniwne kutasy? Ha, ha, ha – pieje z zachwyty Cassius.

– Przestańcie gadać – staram się ich uciszyć.

Nie przestają. Dla nich to zabawa. Gra. Uważają, że nie ma pośpiechu, nic nas nie nagli. Tymczasem każda zmarnowana przez nas chwila to czas,

w którym Szakal umacnia swoje siły. Coś w sposobie, w jaki Mustang i Fitchner mówili o nim, przeraziło mnie. Czy też może przyczyną jest fakt, że to syn mojego wroga? Powinienem pragnąć go zabić, a mam ochotę ukryć się na samą myśl o jego imieniu.

Muszę wstać. To oznaka, że moje przywództwo słabnie.

– Cisza! – wołam i wreszcie milkną. – Widzieliśmy ogień na horyzoncie. Wojna ogarnia południe, gdzie działa Szakal.

Cassius śmieje się na myśl o Szakalu. Uważa, że to duch, którego wymyśliłem.

– Przystaniesz wreszcie śmiać się ze wszystkiego? – warczę na niego. – To nie żarty, psiakrew. Chyba że bawi cię śmierć brata.

To go ucisza.

– Zanim zrobimy cokolwiek innego – tłumaczę z naciskiem – musimy wyeliminować Dom Minerwy i Mustang.

– Mustang, Mustang, Mustang. Myślę, że masz po prostu ochotę ją przelecieć – szydzi Sevro.

Z piersi Quinn wyrywa się nieartykułowany sprzeciw.

Łapię Sevro za kołnierz i jedną ręką unoszę go w powietrze. Próbuje się wyrwać, ale nie jest tak szybki jak ja, więc wisi przede mną dwie stopy nad ziemią.

– Koniec z tym – mówię mu, przysuwając go do twarzy.

– Jasne, Żniwiarzu. – Jego śleпка jak paciorki znajdują się kilka cali od moich. – Nie było tematu. – Stawiam go na ziemi. Poprawia kołnierz. – Zatem idziemy do Wielkiej Puszczy w poszukiwaniu sojusznika, tak?

– Tak.

– To będzie radosna misja! – oznajmia Cassius, siadając prosto. – Pójdziemy całą gromadą!

– Nie, tylko ja i Goblin. Ty nie idziesz – mówię.

– Nudzę się, myślałem, że pójdę z wami.

– Zostajesz. Potrzebuję cię tutaj.

– To rozkaz?

– Tak – odpowiada Sevro.

Cassius patrzy na mnie.

– Ty mi rozkazujesz? – pyta w dziwny sposób Cassius. – Chyba zapomniałeś, że idę tam, dokąd zechcę.

– I zdasz się na Antonię, kiedy obaj będziemy nadstawiać karku?

Quinn łapie go mocniej za przedramię. Myśli, że tego nie zauważyłem. Cassius patrzy na nią i uśmiecha się.

– Jasne, Żniwiarzu. Jasne, zostanę. Tak jak zaproponowałeś.

* * *

Sevro i ja zakładamy na południowych wyżynach obóz z widokiem na Wielką Puszczę. Nie rozpalamy ognia. Nasi zwiadowcy i przeciwnicy wędrują po tych wzgórzach nocą. Widzę dwa konie na dalekim pagórku, sylwetki na tle słońca zachodzącego za kopułą. Sposób, w jaki promienie słońca padają na bańkę sklepienia, sprawiają, że zachód przybiera odcienie fioleto, czerwieni i różu. Przypomina mi to ulice Yorkton widziane z nieba. A potem słońce znika i razem z Sevro siedzimy w ciemności.

Sevro uważasz, że gra jest głupia.

– To czemu w nią grasz? – pytam.

– A skąd mogłem wiedzieć, jaka będzie? Myślisz, że dostałem przekłętą ulotkę informacyjną? Ty dostałeś? – pyta poirytowany. Grzebie kością w zębach. – Głupia gra.

A jednak wiedział już na promie, czym będzie Próba. Wspominam mu o tym.

– Nie wiedziałem.

– A jednak, psiakrew, masz wszelkie, potrzebne w tej szkole, umiejętności.

– No i? Gdyby twoja matka była dobra w łóżku, to uznałbyś, że jest Różowa? Każdy się dostosowuje.

– Cudownie – mruczę.

Mówi, żebym przeszedł do rzeczy.

– Zakradłeś się do donżonu, wykradłeś nasz sztandar i go zakopałeś. Uratowałeś go. A potem zdołałeś ukraść sztandar Minerwy. A mimo to nie dostałeś ani jednej belki zasługi. Nie uważasz, że to dziwne?

– Nie.

– Mówisz serio?

– A co powinienem powiedzieć? Nigdy nie byłem lubiany. – Wzrusza ramionami. – Nie urodziłem się ładny i wysoki tak jak ty czy ten twój przydupas, Cassius. Musiałem walczyć o to, czego chcę. Takich się nie lubi. Przez to jestem paskudnym małym Goblinem.

Mówię mu, co słyszałem. Został wybrany jako ostatni. Fitchner go nie chciał, ale werbownicy nalegali. Sevro obserwuje mnie w ciemności. Nie odzywa się.

– Wybrano cię, bo byłeś najmniejszym chłopcem. Wyglądałeś na najsłabszego. Fatalne wyniki i jeszcze taki mały. Wybrali ciebie, tak jak wybrali innych z niskiego Poboru, bo miałeś łatwo zginąć podczas Próby. Kozioł ofiarny dla kogoś, wobec kogo mieli plany, wielkie plany. Zabiłeś Priama, Sevro. Dlatego nie pozwolą ci zostać Prymusem. Trafiłem?

– Trafiłeś. Zabiłem go, tak jak zabiłbym ładnego psa. Szybko. Łatwo. – Wypluwa kość na ziemię. – A ty zabiłeś Juliana. Trafiłem?

Nigdy więcej nie rozmawiamy o Próbie.

Rankiem opuszczamy wyżyny i schodzimy na pogórze. Trochę drzew, trochę trawy. Poruszamy się galopem, na wypadek gdyby oddziały Minerwy były w pobliżu. Widzę jeden z nich w oddali, kiedy docieramy do drzew. Nie zauważyli nas. Daleko na południu niebo jest zasnute dymem. Wrony krążą nad dominium Szakala.

Chciałbym powiedzieć Sevro coś więcej, zapytać go o życie, które wiódł, ale jego spojrzenie sięga zbyt głęboko. Nie chcę, żeby w zamian wypytywał mnie, żeby przejrzał z równą łatwością, z jaką ja przejrzałem Titusa. To dziwne. Ten chłopak mnie lubi. Obraża mnie, ale lubi. A co jeszcze dziwniejsze, rozpaczliwie pragnę, żeby mnie lubił. Dlaczego? Myślę, że to dlatego, że moim zdaniem jako jedyny – i to włączając Roque’a i Cassiusa – rozumie życie. Jest brzydki w świecie, w którym powinien być piękny, i z powodu swoich niedostatków został wybrany, żeby umrzeć. Pod wieloma względami jest nie lepszy od Czerwonego.

Chcę mu powiedzieć, że jestem Czerwony. Jakaś część mnie uważa, że on też taki jest. A inna częśćka myśli, że bardziej by mnie szanował, gdyby wiedział, że jestem Czerwony; że nie urodziłem się uprzywilejowany. Tak jak on. Jednak trzymam język za zębami. Rewizorzy niewątpliwie nas obserwują.

Quietus nie lubi lasów. Początkowo zarośla są tak gęste, że musimy wycinać sobie drogę mieczami. Wkrótce jednak przerzedzają się i wkraczamy do królestwa bogoDrzewów. Niewiele więcej tu rośnie. Olbrzymy przesłaniają światło, korzenie sięgają jak macki, żeby wyciągnąć energię z gleby, gdy wyrastają wysokie jak budynki. Znowu jestem w mieście, gdzie roi się od zwierząt, a pnie drzew zastępują metal i beton przesłaniający mi widok. A potem, kiedy bardziej zagłębialmy się w las,

przypomina mi kopalnię – pod konarami jest ciemno i ciasno, jakby w ogóle nie było nieba i słońca.

Jesienne liście wielkości mojej piersi marszczą się pod stopami. Wiem, że jesteśmy obserwowani. Sevro się to nie podoba. Chce się wymknąć i znaleźć tych, którzy wbijają wzrok w nasze plecy.

– To byłoby sprzeczne z naszym celem – mówię mu.

– „To byłoby sprzeczne z naszym celem” – przedrzeźnia mnie.

Robimy przerwę na lunch ze zrabowanych oliwek i koźliny. Oczy na drzewach myślą, że jestem za głupi, żeby zmienić paradygmat, jakbym nigdy nie wpadł na to, że mogą ukrywać się w górze, zamiast na dole. Nie podnoszę wzroku. Nie muszę straszyć tych idiotów ani zdradzać im, że wiem, jaką grę prowadzą. Podbiję ich wkrótce, jeśli nadal będę przywódcą swojego Domu. Zastanawiam się, czy mają liny do wędrówki między drzewami. A może konary są dostatecznie szerokie?

Sevro wciąż ma chętkę wyciągnąć noże i wspiać się na jedno z drzew. Nie powinienem był go zabierać ze sobą. Nie jest stworzony do dyplomacji.

W końcu ktoś decyduje się do mnie odezwać.

– Cześć, Mars – mówi.

Inne głosy rozlegają się na prawo ode mnie. Głupie dzieciaki. Powinny zachować te sztuczki na noc. Człowiek czułby się żałośnie w tym lesie pośród ciemności, gdy głosy dobiegają ze wszystkich stron. Coś płoszy konie. Zwierzętami bogini Diany są niedźwiedź, dzik i sarna. Przynieśliśmy włócznie z myślą o pierwszych dwóch. W tych lasach mają podobno żyć ogromne krwawoGrzbiety, monstrualne niedźwiedzie stworzone przez Rzeźbiarzy, którym najpewniej znudziło się robienie sarenek. Słyszymy ich ryki w głębi kniei. Uspokajam Quietusa.

– Nazywam się Darrow i jestem przywódcą Domu Marsa. Przyszedłem spotkać się z waszym Prymusem, o ile go macie. Jeśli nie, to wystarczy wasz przywódca. Jeśli jego także nie macie, to zabierzcie mnie do tego, kto ma największe jaja.

Cisza.

– Dzięki za pomoc – woła Sevro.

Unoszę brew, patrząc na niego, ale on tylko wzrusza ramionami. To milczenie jest głupie. Ma dać mi do zrozumienia, że nie przyjmują ode mnie rozkazów. Działają w swoim własnym rytmie, jak duzi chłopcy i dziewczynki. I wtedy dwie wysokie dziewczyny wychodzą zza odległego drzewa. Mają mundury polowe w kolorach lasu. Przez plecy noszą

przewieszone łuki. Mają noże w butach. Myślę, że jedna ma też nóż wsunięty w upięte włosy. Sokiem z leśnych jagód namalowały sobie na twarzach sierp księżyca. Z pasów zwieszają im się zwierzęce skóry.

Nie wyglądam jak żołnierz w czasie wojny. Myłem włosy tak długo, aż zaczęły lśnić. Mam czystą twarz, opatrzone rany, zaszyte rozcięcia na czarnym mundurze. Sprąłem nawet plamy z potu piaskiem i zwierzęcym tłuszczem. Prezentuję się – jak potwierdziły Quinn i Lea – diabelnie przystojnie. Nie chcę onieśmielić Domu Diany. Dlatego zabrałem ze sobą Sevro. Wygląda idiotycznie i dziecinnie, dopóki nie wyjmie noży.

Dziewczyny uśmiechają się znacząco na jego widok i wbrew sobie łagodnieją na mój. Schodzą się kolejni. Zabierają większość naszej broni – tę, którą potrafią znaleźć. Zarzucają nam futra na twarze, żebyśmy nie poznali drogi do ich twierdzy. Liczę kroki. Sevro także. Futra cuchną zgnilizną. Słyszę dziecięcy i przypomina mi się psikus Fitchnera. Musimy być blisko, bo potykam się i upadam na ziemię. Nie w krzaki. Znowu ktoś nas obraca i prowadzi z dala od dzieciółów. Początkowo martwię się, że myśliwi okażą się sprytniejsi, niż się spodziewałem, a potem dociera do mnie, że wręcz przeciwnie. Znowu słyszę dziecięcy.

– Ej, Tamara, mamy go tutaj!

– Nie prowadźcie ich na górę, kapuściane łby! – woła dziewczyna. – Nie pozwolimy im na zwiad za darmo. Ile razy mam... Czekaście. Zejdę.

Prowadzą mnie gdzieś i popychają pod drzewo.

Chłopak odzywa się ponad moim ramieniem. Mówi powoli, przeciąga zgłoski, jakby ktoś przesuwiał ostrzem noża.

– Proponuję odciąć im jaja.

– Zamknij się, Tactus. Po prostu zróbmy z nich niewolników, Tamaro. Nie ma tu miejsca na dyplomację.

– Spójrz na jego ostrze. Do diabła, to prawdziwa żniwiarska kosa.

– Czyli to rzeczywiście on – odzywa się ktoś inny.

– Ja zabieram jego ostrze, kiedy będziemy dzielić łupy. I chcę też jego skalp, jeśli nikt inny nie ma wobec niego planów. – Tactus sprawia wrażenie nieprzyjemnego chłopaka.

– Zamknijcie się. Wszyscy – warczy dziewczyna. – Tactusie, odłóż ten nóż.

Zdejmują mi futro z głowy. Stoimy z Sevro w małym zagajniku. Nie widzę zamku, ale słyszę dziecięcy. Rozglądam się i dostaję po głowie od smukłego, żylastego młodzika o znudzonym wzroku i spiżowych włosach

usztynionych mydłem i czerwonym sokiem z jagód. Skórę ma ciemną jak miód z dębowej spadzi, a wysokie kości policzkowe i głęboko osadzone oczy sprawiają, że wygląda, jakby wiecznie drwił.

– Zatem to ciebie nazywają Żniwiarzem – rzuca przeciągle Tactus. Wymachuje moim ostrzem na próbę. – Za ładnie wyglądasz, żeby narobić szkód.

– Czy on ze mną flirtuje? – pytam dziewczynę, na którą wołają Tamara.

– Tactusie, odejdź! Dziękuję, ale teraz możesz już odejść – mówi chuda dziewczyna o ostrych rysach twarzy.

Ma krótsze włosy ode mnie. Towarzyszy jej trzech krzepkich chłopaków. Sposób, w jaki piorunują wzrokiem Tactusa, potwierdza moją ocenę jego charakteru.

– Żniwiarzu, dlaczego przyszedłeś do nas z pigmejem? – pyta Tactus, wskazując Sevro. – Poleruje ci buty? Iska ci włosy? – Śmieje się do pozostałych chłopaków. – Może to kamerdyner?

– Odejdź, Tactusie! – warczy Tamara.

– Oczywiście. – Chłopak się kłania. – Pójdę pobawić się z innymi dziećmi, matko.

Rzuca sierpak na ziemię i mruga do mnie porozumiewawczo, jakbyśmy byli sami i zaraz miał się rozegrać jakiś dowcip.

– Przepraszam za to – mówi Tamara. – Nie jest uprzejmy.

– Nie szkodzi – odpowiadam.

– Jestem Tamara... Prawie powiedziałam, z jakiej naprawdę jestem rodziny. – Śmieje się. – Od Diany.

– A oni? – pytam o chłopaków.

– To moja ochrona. A ty... – Unosi palec. – Niech zgadnę. Ty jesteś Żniwiarz. Słyszeliśmy o tobie. Dom Minerwy nie przepada za tobą.

Sevro prycha, słysząc o mojej niesławie.

– A on? – pyta Tamara, unosząc brwi.

– Moja ochrona.

– Ochrona? Ale on jest taki niski!

– A ty wyglądasz jak... – warczy Sevro.

– Podobnie jak wilki – odpowiadam, przerywając mu w pół przekleństwa.

– Bardziej boimy się tu Szakali niż wilków.

Może Cassius powinien przyjść tu ze mną, to by chociaż usłyszał, że nie zmyśliłem sobie tego gościa. Pytam Tamarę o Szakala, ale ignoruje moje

pytanie.

– Wyjaśnij mi coś – prosi serdecznie. – Gdyby ktoś miał mi powiedzieć, że Żniwiarz z Domu rzeźników przyjdzie na moją polanę z misją dyplomatyczną, uznałabym to za dowcip rewizorów. Czego więc chcesz naprawdę?

– Pozbyć się z grzbietu ciężaru Domu Minerwy.

– Żeby potem przyjść tutaj i walczyć z nami? – warczy jeden z jej ochroniarzy.

Odwracam się do Tamary z rozsądnym uśmiechem i mówię jej prawdę:

– Chcę się pozbyć Minerwy, żeby przyjść tutaj i was pokonać, to jasne.

A potem wygrać tę durną grę i zniszczyć waszą cywilizację.

Śmieją się.

– No dobrze, jesteś szczery, ale wygląda na to, że niezbyt bystry. Jedno pasuje do drugiego. Pozwól, że coś ci powiem, Żniwiarzu. Nasza rewizorka twierdzi, że wasz Dom nie wygrał od lat. Dlaczego? Bo wy, rzeźnicy, jesteście jak pożoga. W pierwszych etapach gry palicie wszystko, czego się tkniecie. Niszczycie. Pożeracie. Burzycie Domy, bo nie potraficie sami się utrzymać. A potem głodujecie, bo już nie macie czego palić. Oblężenia. Zima. Postęp technologiczny. To zabija waszą żądzę krwi, waszą słynną furję. Powiedz mi więc, dlaczego miałabym ucisnąć dłonie požodze, kiedy mogę po prostu posiedzieć i popatrzeć, jak kończą jej się rzeczy, które może pochłonąć?

Kiwam głową i podsuwam przynętę.

– Ogień może być użyteczny.

– Wyjaśnij.

– Możemy przymierać głodem na waszych oczach, ale czy będziecie na to patrzeć jako niewolnicy innych Domów? Czy ze swojej silnej fortecy z dwa razy większą armią gotową zamieść popioły?

– To nie wystarczy.

– Osobiście obiecuję, że Dom Marsa nie podejmie żadnych agresywnych kroków przeciwko Domowi Diany, dopóki nasze porozumienie nie zostanie naruszone. Jeśli pomożecie mi załatwić Minerwę, ja pomogę wam załatwić Ceres.

– Ceres... – powtarza Tamara, patrząc na swoich ochroniarzy.

– Nie bądź chciwa – mówię. – Jeśli sama zaatakujesz Ceres, Mars i Minerwa napadną na ciebie.

– Tak. Tak. – Macha poirytowana dłonią. – Dom Ceres jest blisko?

– Bardzo. I mają chleb. – Patrzę na skóry, które noszą ludzie Diany. – Który, jak sobie wyobrażam, stanowiłby miłą odmianę po mięsie.

Przenosi ciężar ciała na palce stóp i już wiem, że ją złapałem. Zawsze wspomnij o jedzeniu przy negocjacjach. Zapamiętuję to sobie.

Tamara odchrząkuje.

– Mówisz więc, że moja armia może być dwa razy większa?

Pobrano ze strony pijafka.pl

Upadek Mustang

Jadę ubrany jak na wojnę. Cały na czarno. Włosy mam potargane i przewiązane koźlim jelitem. Na przedramionach noszę zarękawia z duroStali zdobyte w walce. Mój kirys z tego samego materiału jest czarny i lekki. Odbija każde ostrze, które nie jest bronią jonową czy brzytwą. Buty mam ubłocone. Czarne i czerwone smugi pokrywają mi twarz. Na plecach noszę sierpak. Noże mam wszędzie. Na boku mojego Quietusa widnieje dziewięć czerwonych skrzyżowanych kości i dziesięć wilków. Lea je namalowała. Każdy krzyżyk z kości oznacza unieszkodliwionego przeciwnika (wielu po wyleczeniu przez medBoty wracało z powrotem do walki). Każdy wilk to niewolnik. Cassius jedzie u mego boku. Migocze. DuroStal, którą dostał w nagrodę, jest wypolerowana i błyszczy tak samo jak jego miecz i włosy, które falują jak złote sprężyny na jego królewskiej głowie. Jakby nikt nigdy nie stanął nad nim i go nie obsikał.

– Naprawdę wierzę, że jestem błyskawicą – oznajmia. – A ty, mój ponury przyjacielu, jesteś gromem.

– A czym w takim razie ja jestem? – pyta jadący obok nas Roque. Błoto tryska. – Wiatrem?

– Wiatrów ci nie brakuje – pryham. – Naprawdę cuchnących.

Cały nasz Dom jedzie za nami – wszyscy oprócz Quinn i June, które zostały jako obsada naszego zamku. To ryzykowny ruch. Jedziemy wolno, żeby Dom Minerwy wiedział, że się zbliżamy. Nie będzie zaś wiedział, że byłem na miejscu kilka godzin temu, w nocy, i że został tam Sevro. Nadal mam błoto pod paznokciami.

Zwiadowcy Minerwy śmigają wśród skalistych szczytów. Kpią sobie z nas na pokaz, ale tak naprawdę to liczą nas, żeby opracować lepszą strategię. A jednak robią wrażenie skonsternowanych, kiedy wjeżdżamy do ich krainy oliwek i wysokiej trawy. Tak bardzo skonsternowanych, że wciągają swoich zwiadowców za mury. Nigdy jeszcze nie zjawiliśmy się równie liczną siłą. Wyjce, nasi zwiadowcy, jadą na widoku na karych koniach, a ich czarne peleryny łopoczą niczym skrzydła wron. Nasi zabójcy z wysokiego Poboru stanowią awangardę głównego oddziału – okrutny Vixus, ochrypły Pollux, mściwa Cassandra, wielu ludzi z bandy Titusa. Niewolnicy biegną obok swoich właścicieli – czyli tych, którzy ich złapali.

Jadę przodem z Cassiusem i Antonią po moich bokach. Dzisiaj to ona niesie sztandar. Na murach jest tylko kilku łuczników, więc mówię memu towarzyszowi, żeby się upewnił, że nikt nie zajdzie nas z boków, na wypadek gdyby na zewnątrz zostali jacyś ludzie Minerwy. Odjeżdża galopem.

Twierdza Minerwy jest otoczona przez setki metrów gołej ziemi, która teraz spływa błotem po zeszlotygodniowych ulewach. To pole śmierci. Wjedź tam, a łucznicy spróbują ci zabić konia. Jeśli się nie wycofasz, to spróbują zabić i ciebie. Prawie dwadzieścia koni obu Domów leży na tym terenie. Cassius przeprowadził krwawy atak na oddział Minerwy i zapędził się aż pod samą bramę zamku raptem dwa dni wcześniej.

Za polem śmierci ciągnie się trawa, ocean trawy tak wysokiej, że w niektórych miejscach Sevro może stanąć wyprostowany i nie będzie go widać. Stajemy na obrzeżach błotnistego kręgu pośród łąki pełnej jesiennych polnych kwiatów. Ziemia chlupocze pod kopytami. Quietus rzy.

– Pax! – wołam. – Pax.

Ciskam tym imieniem o mury, aż główna brama otwiera się ospale jak tamtej nocy, kiedy razem z Cassiusem zakradłem się do środka. Wyjeżdża Mustang. Jedzie powoli przez błoto i zatrzymuje się kawałek przed nami. Obrzuca wszystko wzrokiem.

– To ma być pojedynek? – pyta z szerokim uśmiechem. – Pax od Mądrej i Szlachetnej Minerwy ze Żniwiarzem z Domu Krwawego Rzeźnika?

– W twoich ustach to brzmi tak ekscytująco. – Antonia ziewa.

Nie ma na sobie ani kropli błota.

Mustang ją ignoruje.

– Na pewno nie masz nikogo, kto chowałby się w trawie i czekał, żeby zaatakować nas z zasadzki, kiedy wyjedziemy, żeby wesprzeć naszego

reprezentanta? – pyta mnie Mustang. – Mamy spalić trawę i się przekonać?

– Sprowadziliśmy wszystkich – odpowiada Antonia. – Wiesz, ilu nas jest.

– Tak, potrafię liczyć. Dziękuję. – Mustang w ogóle nie patrzy na nią. Tylko na mnie. Robi wrażenie zmartwionej. Zniża głos. – Pax cię skrzywdzi.

– Pax, jak się mają twoje jaja? – krzyczę nad jej głową.

Mustang krzywi się, kiedy nagle z wnętrza dobiega dźwięk bębna. Tyle że to nie jest bęben. Pax wychodzi przez bramę. Uderza toporem bojowym w tarczę. Mustang krzyczy, żeby się wycofał, i Pax słucha się jej jak pies, ale nadal słysząc łoskot topora o tarczę. Uzgadniamy, że stawką powinni być wszyscy nasi niewolnicy. Wielki łup.

– Myślałam, że to Przystojniak się pojedykuje – mówi Mustang i zaraz się wzdraga. Cały czas się rozgląda. – Gdzie jest ten wariat? Twój cień? Ten, który dowodzi stadem wilków? Chowa się w trawie? Nie chcę, żeby znowu wyskoczył mi zza pleców.

Wołam Sevro. Jego ręka unosi się wśród Wyjców. Błoto pokrywa twarze, które wyglądają spod czarnych wilczych peleryn. Mustang liczy. Jest ich cała piątka. Więcej: są wszyscy z wyjątkiem Quinn. Mimo to Mustang nie jest usatysfakcjonowana. Mamy wycofać się na sześćset metrów od brzegu błotnistego kręgu. Mustang wypali pas trawy szeroki na sto metrów, licząc od miejsca, gdzie teraz stoimy. Kiedy trawa zostanie wypalona, ten teren będzie miejscem naszego pojedynku. Dziesięciu wybranych przez nią ludzi dołączy do dziesięciu moich i wszyscy ustawią się w kręgu, w którym odbędzie się pojedynek. Reszta jej ludzi zostanie w zamku, a moi staną sześćset metrów dalej.

– Nie ufasz mi? – pytam. – Nie chowam ludzi w trawie.

– Świetnie. Więc nikt nie spłonie.

I nikt nie płonie. Kiedy ogień przygasa i zostaje tylko popiół, dym i błoto na polu śmierci, opuszczam swoją armię. Towarzyszy mi dziesiątka moich ludzi. Pax uderza toporem w tarczę z wizerunkiem kobiecej głowy z wężami zamiast włosów. Meduza. Nigdy dotąd nie walczyłem z człowiekiem z tarczą. Jego zbroja jest obcisła i zasłania wszystko oprócz stawów. Dźwigam w dłoni energoPikę, którą pomalowałem na czerwono, i sierpak, który pomalowałem na czarno.

Serce bije mi szybko, kiedy wokół nas ustawia się krąg. Cassius przywołuje mnie gestem. Nawet w słabym świetle promieniuje kolorem.

Uśmiecha się ironicznie.

– Nigdy nie przestawaj się ruszać. To jest jak *kravat*. – Przygląda się Paxowi. – Jesteś szybszy od tego przekłętego łajdaka. Jasne? – Mruga do mnie. Poklepuje mnie po ramieniu. – Jasne, bracie?

– Pewnie, że jasne – odpowiadam i też mrugam porozumiewawczo.

– Grzmot i błyskawica, bracie. Grzmot i błyskawica!

Pax jest zbudowany jak Obsydianowy. Ma spokojnie ponad siedem stóp wzrostu i porusza się jak parszywa pantera. W niskim marsjańskim ciężeniu może cisnąć mną na odległość trzydziestu metrów, jeśli nie dalej. Zastanawiam się, jak wysoko potrafi skoczyć. Podskakuję, żeby rozprostować nogi. Prawie trzy metry. Spokojnie mogę nad nim przeskoczyć. Ziemia nadal dymi.

– Skacz, skacz, koniku polny – warczy Pax. – To będzie ostatni raz, kiedy posłużysz się swoimi nogami.

– Co takiego? – pytam.

– Powiedziałem, że to będzie ostatni raz, kiedy posłużysz się swoimi nogami.

– Dziwne – mruczę.

Mruga zaskoczony i marszczy brwi.

– Co jest... dziwne?

– Mówisz jak dziewczyna. Coś ci się stało z jajami?

– Ty mały...

Mustang podbiega ze sztandarem i mówi coś o tym, że dziewczyny nigdy nie wyzywają się na głupie pojedynki.

– Będziemy walczyć...

– Aż jeden się podda – mówi zniecierpliwiony Pax.

– Aż jeden umrze – poprawiam go.

To naprawdę nie ma znaczenia. W tej chwili tylko sobie z nimi pogrywam. Muszę tylko dać sygnał.

– Aż jeden się podda – potwierdza Mustang.

Kończy, co ma do zrobienia, i pojedynek się zaczyna. Prawie. Rozlega się seria wystrzałów na niebie – gromów dźwiękowych – gdy dołączają do nas z Olimpu rewizorzy. Spływają ze swojej szybującej góry, z kilku różnych wież. Każdy nosi dzisiaj swój symbol, wspaniałe przybranie głowy z błyszczącego złota. Ich zbroje prezentują się widowiskowo. Nie potrzebują ich, ale uwielbiają się odstawiać. Dzisiaj przynieśli ze sobą stół.

Unosi się na własnych wspornikach antygrawitacyjnych, a na nim stoją ogromne dzbany wina i tace jedzenia. Szykują sobie kolację.

– Mam nadzieję, że stanowimy dostateczną rozrywkę! – krzyczę w górę.

– Macie coś przeciwko temu, żeby zrzucić nam kapkę wina? Minęło już trochę czasu!

– Powodzenia w walce z tytanem, mały śmiertelniku! – woła w dół Merkury.

Jego dziecięca twarz jest jowialna, roześmiana. Merkury demonstracyjnie podnosi dzban wina do ust. Parę kropel spada z wysokości pół kilometra i uderza o moją zbroję. Wyglądają jak krew.

– Chyba powinniśmy zafundować im widowisko – dudni basem Pax.

Obaj uśmiejemy się szeroko. Szczerze. To w pewnym sensie komplement, że pojawili się, żeby nas obejrzyć. A potem Neptun, któremu diadem z trójzębem kołysze się na głowie, gdy połyka przepiórcze jajo, krzyczy, żebyśmy brali się do roboty, więc Pax bierze zamach i tnie w moje nogi toporem, wymachując nim jak straszliwą miotłą. Wiem, że chce, żebym podskoczył, bo wtedy zaszarżuje i trafi mnie w locie tarczą jak muchę packą. Dlatego cofam się o krok, a potem zaczynam biec, kiedy jego ręka wciąż kończy zamach. On też już się rusza, ale w górę, tak jak zaplanował, więc przelatuję obok jego prawej ręki i z całej siły wbijam mu energoPikę w pachę. Pika pęka na pół. Pax jednak nie pada pod wpływem wstrząsu elektrycznego, tylko uderza mnie tarczą na odlew tak mocno, że przelatuję przez cały krąg i ląduję w błocie. Złamany ząb trzonowy. Usta pełne błota i krwi. Niemal przetrącony kark. Ale już turlam się po ziemi, żeby się poderwać.

Wstając, trzymam w dłoni sierpak. Jestem uwalany błotem. Zerkam na mury. Cała armia zebrała się na murach. Nie mogli się oprzeć pokusie obejrzenia walki mistrzów. To jest ta chwila. Mógłbym dać znak. Brama została otwarta, na wypadek gdyby musieli wysłać wsparcie. Nasi najbliżsi jeźdźcy stoją sześćset metrów dalej. Za daleko. Zgodnie z moim planem. Jednak nie daję sygnału. Pragnę dzisiaj własnego zwycięstwa, nawet jeśli to egoistyczne. Moja armia musi wiedzieć, dlaczego nią dowodzę.

Wracam do kręgu. Nie mam niczego błyskotliwego do powiedzenia. Pax jest silniejszy. Ja jestem szybszy. Tego obaj dowiedzieliśmy się na swój temat. Nie walczymy jak Cassius. Nie ma tu elegancji. Sama brutalność. Pax przywala mi tarczą. Trzymam się blisko niego, żeby nie mógł zamachnąć się toporem. Tarcza rozwala mi bark. Każdy cios wywołuje

potworny ból w złamanym zębie. Pax bierze zamach, a ja podskakuję, ciągnę lewą ręką za jego tarczę i przeskakuję nad nim. Nóż wskakuje mi z nadgarstka w dłoń, w przelocie dźgam Paxa w oczy. Nie trafiam i tylko zarysowuję mu zasłonę w hełmie.

Zwiększam nieco dystans między nami, sięgam po nóż i próbuję znajomej sztuczki. On z pogardą zbija tarczę lecące ku niemu ostrze. Kiedy jednak ją opuszcza, żeby na mnie spojrzeć, ja też już frunę w powietrzu. Całym swoim ciężarem ląduję na tarczy, która odrobinę opada. Drugą ręką ciskam Paxowi błotem w hełm.

Oślepiam go. Jedną ręką trzyma topór, drugą tarczę. Nie może wytrzeć zasłony. Gdyby mógł, byłoby to proste. Ale nie może. Uderzam go chyba z dziesięć razy w nadgarstek, aż upuszcza topór. A potem zabieram mu tę monstrualną broń i walę go w hełm. Zbroja nadal nie pęka. Prawie ogłusza mnie tarczą. Biorę kolejny zamach ciężkim toporem i wreszcie Pax pada. Zadyszany osuwam się na jedno kolano.

A potem wyję.

Wszyscy wyją.

Wycie wypełnia ziemie Minerwy. Wycie odległej armii. Wycie moich dziesięciu zabójców z wysokiego Poboru, którzy współtworzą krąg pojedynkowy. Wycie dobiegające z pola śmierci. Mustang słyszy przerażający dźwięk za sobą i obraca się na koniu. Jej twarz wyraża czystą zgrozę. Wyją roześmiani rewizorzy – z wyjątkiem Minerwy, Apolla i Jowisza. Wycie dobiega z brzuchów martwych koni pośrodku pola śmierci. W pobliżu otwartej bramy.

– Są w błocie! – krzyczy Mustang.

Prawie ma rację. Myśli jednak jak Złota. Ktoś wrzeszczy. Sevro i Wyjce rozcinają zszyte brzuchy martwych i wzdętych koni, wysypują się ze środka i biegną do bramy. Niczym rodzące się demony wypełzają ze wzdętych wnętrzności i rozwartych brzuchów. Razem z nimi wychodzi dziesiątka najlepszych żołnierzy Domu Diany. Tactus z włosami najeżonymi w kolce wypada z brzucha jasnej klaczy. Biegnie razem z Chwastem, Oset i Błaznem. Wszyscy są niespełna pięćdziesiąt metrów od straszliwie powolnej bramy.

Wszyscy strażnicy Minerwy stoją ma murach, bo oglądali pojedynek. Nie są w stanie odeprzeć nagłej nawałnicy demonicznych żołnierzy, zamykając jednocześnie ciężką bramę. Ledwie udaje im się założyć strzały na łuki i naciągnąć cięciwy, kiedy Sevro, Wyjce i nasi sojusznicy wpadają

do zamku. Po drugiej stronie żołnierze Domu Diany będą wspinali się powoli na mury, korzystając z lin, po których włązili na swoje głupie drzewa. Tak. Słysząc gwizd z drugiej strony twierdzy. Tamtejszy strażnik ich zobaczył. Nikt nie przybiegnie mu z pomocą. Moja armia rusza, nawet fałszywe Wyjce, których pożyczyliśmy od Diany i przebraliśmy za Sevro i jego bandę.

W kilka minut niszczymy Dom Minerwy. Wysoko w górze rewizorzy nadal wyją i śmieją się. Myślę, że są pijani. Wszystko się kończy, zanim Mustang zrobi coś więcej, niż odjedzie galopem przez pole błota i tłącą się jeszcze trawę. Tuzin konnych rusza w pościg, wśród nich Vixus i Cassandra. Złapią ją przed zmrokiem, a widziałem, co Vixus robi więźniom i ich uszom, więc dosiadam Quietusa i ruszam za nimi.

Mustang porzuca konia na obrzeżach małego lasu na południu. My też zsiadamy i zostawiamy trzech ludzi, żeby pilnowali wierzchowców, na wypadek gdyby dziewczyna zawróciła. Cassandra rzuca się w las. Vixus idzie za mną, celowo mnie śledzi, jakbym mógł wiedzieć, gdzie Mustang się ukrywa. To mi się nie podoba. Nie podoba mi się, że zostałem sam w lesie z Vixusem i Cassandrą. Wystarczy ostrze wbite w kręgosłup. Każde z nich może to zrobić. W przeciwieństwie do Polluxa oni nadal mnie nienawidzą, a moi Wyjce i Cassius są daleko stąd. Jednak nie obrywam nożem.

Znajduję Mustang przez przypadek. Dwoje złotych oczu wзира z błota. Napotykają moje. Vixus jest ze mną. Zaklina się, że nie może się doczekać, by ujeździć młodą klaczkę i zobaczyć, jak będzie wyglądała z uzdą. Kiedy tak stoi, łypiąc lubieżnie w krzaki, wydaje się pokręcony, wykrzywiony i zły – jak uschnięte po pożarze drzewo. Jeszcze u nikogo nie widziałem tak małej ilości tłuszczu na ciele, składa się z samych żył i ścięgien falujących pod opiętą skórą. Przesuwa językiem po idealnych zębach. Wiem, że mnie prowokuje, więc umyślnie odciągam go od jamy z błotem.

Eo nie zasłużyła na to, żeby umrzeć jako niewolnica Wspólnoty. A mimo swojego koloru Mustang zasługuje na coś więcej niż jakakolwiek uzda.

Antonia

Zdałem egzamin. Niekończąca się wojna z Domem Minerwy jest za nami. Poza tym złapałem Dom Diany w pułapkę.

Dom Diany miał przed bitwą trzy możliwości do wyboru. Mogli mnie zdradzić Minerwie i wziąć mój Dom do niewoli, ale Cassius posłał oddział, który miał przechwycić wszelkich jeźdźców. Mogli przyjąć moją propozycję. I mogli pojechać do naszego zamku i spróbować go zająć. Zupełnie mnie nie obchodziło, czy wybiorą tę ostatnią opcję. To była pułapka. Nie zostawiliśmy w środku żadnej wody i mogliśmy z łatwością załatwić ich obłożeniem.

Teraz zajęli twierdzę Minerwy, a my jesteśmy na zewnątrz. Mogliby honorować nasze porozumienie. My mieliśmy dostać sztandar, oni zatrzymaliby zamek i wszystkich jego mieszkańców. Wiem jednak, że poniesie ich chciwość. I tak się dzieje. Brama się zamyka. Myślą, że zajęli strategiczny bastion. Świetnie. Dlatego właśnie zostawiłem tam z nimi Sevro.

Wzbija się dym. Sevro podpala magazyny jedzenia, kiedy tamci biorą do niewoli Dom Minerwy i obsadzają mury, żeby bronić się przed moją armią. A potem zanieczyszcza studnie odchodami i chowa się z Wyjcami w piwnicach.

Dom Diany nie przywykł do takiego wojowania. Nigdy tak naprawdę nie opuścili lasu. Nie trzeba długo na nich czekać. Po trzech dniach ewidentnie nadal się dziwią, że nie odjechaliśmy. Zamiast tego obozujemy na północ i na południe od zamku z końmi i ogniskami rozpalonymi

wszędzie wokół, żeby nie mogli się nam wymknąć nocą. Chce im się pić. Ich przywódczyni, Tamara, nie chce mnie przyjąć. Jest za bardzo zawstydzona, że dała się przyłapać na zdradzie.

W końcu czwartego dnia proponuje mi dziesięciu niewolników z Domu Minerwy i wszystkich naszych zniewolonych żołnierzy, jeśli pozwolimy jej wrócić do domu. Posyłam Leę, żeby jej powiedziała, że może się walić. Lea chichocze jak dzieciak, kiedy wraca. Odrzuca włosy, łapie mnie za rękę i pochyla się, parodiując desperację Tamary.

– Mieście trochę przyzwoitości! – wykrzykuje. – Nie jesteś człowiekiem, który dotrzymuje słowa?

Kiedy piątej nocy próbują się przebić, łapiemy ich wszystkich. Z wyjątkiem Tamary. Spadła z konia i została stratowana na śmierć w błocie.

– Miała rozcięty popręg. – Sevro pokazuje mi czysto przecięty skórzany pas. – Tactus?

– Prawdopodobnie.

– Jego matka jest senatorką, ojciec pretorem. – Sevro spluwa. – Poznałem go, kiedy byliśmy dziećmi. Pobił jedną dziewczynkę prawie na śmierć, kiedy nie chciała go pocałować w policzek. Szurnięty łajdak.

– Przymknijmy na to oko – mówię. – Nie możemy niczego dowieść.

Tactus jest naszym niewolnikiem, tak jak wszyscy od Minerwy i Diany. Nawet Pax. Siedzimy z Cassiusem i Roque'em na koniach i patrzymy, jak nasi nowi niewolnicy trudzą się przy gromadzeniu drewna i siana z całej fortecy Minerwy. Zapalają ogromne ognisko i we trzech wznosimy toast na zwycięstwo.

– To będzie twoja ostania belka – mówi mi Cassius. – To cię czyni Prymusem, bracie. – Klepie mnie po ramieniu, a ja widzę ledwie iskierkę zazdrości płonącą w jego oczach. – Nie mogliby lepiej wybrać.

– Panie w niebiosach, nigdy nie sądziłem, że ujrzę tę stronę naszego przystojnego przyjaciela – mówi Roque. – Pokora! Cassiusie, to naprawdę ty?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Gra zajmie tylko rok naszego życia, może mniej. Potem czeka nas staż albo akademia. Będziemy żyć swoim życiem. Cieszę się, że nasza trójka jest w tym samym Domu, sprawiedliwe nagrody ostatecznie czekają na nas wszystkich.

Ściskam go za ramię.

– Zgadzam się.

Nadal nie podnosi wzroku; nie może mi spojrzeć w oczy, dopóki nie odzyska głosu.

– Prawdą jest... że straciłem tu brata. Ten ból nigdy nie zniknie. Ale czuję, że zyskałem dwóch nowych. – Podnosi wzrok i patrzy na mnie żarliwie. – Mówię serio. Psiakrew, mówię cholernie serio. Musimy zapewnić tu sobie powód do dumy. Pokonać kolejne Domy, wygrać tę przekłętą grę. Mój ojciec będzie potrzebował oficerów na statkach swojej armady... O ile jesteście zainteresowani. Dom Bellona zawsze potrzebuje pretorów, którzy uczynią go silniejszym.

To ostatnie zdanie mówi nieśmiało, jakbyśmy mogli otrzymać lepsze propozycje.

Ściskam jego ramię raz jeszcze i kiwam głową, chociaż Roque mówi coś przemądrzałego na temat bycia politykiem: że woli wysyłać ludzi na śmierć niż szukać własnej. Synowie Aresa zaczęliby się ślinić, gdybym został pretorem rodu Bellona.

– Nie martw się, Roque. Wspomnę o twojej poezji ojcu – śmieje się Cassius. – Zawsze chciał mieć wojownika-barda.

– Oczywiście – mówi Roque. – Koniecznie powiedz drogiemu imperatorowi, że jestem mistrzem metafory i asem asonansu.

– As asonansu, Boże...

Nadal się śmieję, kiedy Sevro podjeżdża z Quinn i jakąś dziewczyną, która dosiada dziwnego konia, jakiego do tej pory jeszcze nigdy nie widziałem. Ma worek na głowie. Quinn oznajmia, że to emisariuszka z Domu Plutona.

Nazywa się Lilath i znaleziono ją czekającą w lesie. Pragnie porozmawiać z Cassiusem.

Lilath była kiedyś dziewczyną o okrągłej i uśmiechniętej buzi, ale teraz twarz ma ściągniętą i świeżo poparzoną, dziobatą i okrutną. Widziała głód i jest w niej chłód, którego nie rozpoznaję. Jestem przerażony. Czuję się jak Mickey, kiedy na mnie patrzył. Byłem zimną, cichą istotą, której nie rozumiał. Tak samo jak ona teraz. Jakbym patrzył na rybę z podziemnej rzeki.

Słowa Lilath są powolne i zawisają w powietrzu.

– Przychodzę od Szakala.

– Nazywaj go prawdziwym imieniem, z łaski swojej – proponuję.

– Nie będę rozmawiać z tobą – mówi bez śladu emocji. – Przybyłam do Cassiusa.

Jej koń jest drobny i smukły. Ma wyszczerbione kopyta. Dodatkowy materiał pogrubia siodło. Nie widzę żadnej broni poza kuszą. To górski Dom – mają dodatkowe ubrania chroniące przed zimnem i mniejsze konie, które sprawdzają się w trudniejszych warunkach. Chyba że to ma nas zwieść. Każę jej pokazać mi pierścień. To drzewo żałobne – cyprys Plutona. Jego korzenie zagłębiają się w ziemię. Dziewczyna nie ma dwóch palców. Miejsca odcięcia są przypalone, więc mają broń jonową. Jej włosy pobrzękują przy każdym ruchu. Nie wiem dlaczego.

W milczeniu obrzuca mnie spojrzeniem, oceniając i porównując ze swoim panem.

Najwyraźniej nie spełniam jej oczekiwań.

– Cassiusie au Bellona, mój pan pragnie dostać Żniwiarza – mówi dalej, zanim którykolwiek z nas odezwie się choćby słowem. Jesteśmy zbyt zaskoczeni. – Żywego, martwego, to nie jest dla nas ważne. W zamian za niego otrzymasz pięćdziesiąt sztuk dla swojej... armii.

Rzuca mu dwa jonoMiecze.

– Możesz powiedzieć swojemu panu, że powinien zjawić się osobiście, żeby stawić mi czoło – mówię.

– Nie rozmawiam z martwymi chłopcami – mówi w powietrze Lilath. – Mój pan naznaczył Żniwiarza. Przed nadejściem zimy Żniwiarz zginie. Z tej czy innej ręki.

– Idź się walić – odpowiada Cassius.

Dziewczyna rzuca mu małą sakiewkę.

– To żeby ci pomóc w podjęciu decyzji.

Nie mówi nic więcej. Quinn unosi brwi i skonsternowana wzrusza ramionami, kiedy odprowadza Lilath.

Zerkam na małą sakiewkę, którą Cassius trzyma w dłoniach. Ogarnia mnie paranoja. Co jest w środku?

– Otwórz ją – mówię.

– Eee tam... Jest stuknięta jak Fioletowy. – Cassius się śmieje. – Nie ma sensu dać się jej zarazić.

Chowa sakiewkę do buta. Chcę na niego wrzasnąć, żeby ją otworzył, ale uśmiecham się, jakby nie było powodu do zmartwienia.

– Coś jest z nią nie tak. Nie wydaje się istotą ludzką – mówię od niechcenia.

– Wygląda jak jeden z naszych zdychających z głodu wilków. – Cassius bierze zamach jonoMieczem. Powietrze skwierczy głośno. – Przynajmniej mamy te dwie sztuki. Teraz mogę naprawdę cię nauczyć, jak należy się pojedynkować. Taka broń przebiję duroZbroję. Naprawdę niebezpieczna rzecz.

Szakał wie o mnie. Na tę myśl przechodzi mnie dreszcz. Słowa Roque’a są gorsze.

– Zauważyliście, jak jej włosy pobrzękiwały? – pyta. Pobladł. – Miała zęby wplecione w warkocze.

Musimy się przygotować na spotkanie z armią Szakała. To oznacza konsolidację moich sił i wyeliminowanie utrzymujących się zagrożeń. Muszę do końca zniszczyć Dom Diany w Wielkiej Puszczy. Potrzebuję Domu Ceres. Wysyłam Cassiusa z Wyjcami i tuzinem konnych, żeby zajęli się niedobitkami Diany. Resztę mojej armii i niewolników zabieram z powrotem do naszego zamku, żeby przygotować się na nadejście Szakała. Jeszcze nie wymyśliłem planu, ale będę gotowy, kiedy Szakał podniesie łeb.

– Po tym, jak przespali się w martwych koniach, nasze Wyjce pewnie samym smrodem przepłoszą ich z Wielkiej Puszczy! – Cassius śmieje się, kiedy ponagla konia, odrywając się od głównej kolumny. – Poszczuję na nich Goblina i wrócimy, zanim położysz się do łóżka.

Sevro nie chce jechać beze mnie. Nie rozumie, dlaczego Cassius potrzebuje pomocy w wymieceniu pozostałości Domu Diany.

Mówię mu prawdę.

– Cassius ma sakiewkę w bucie, tę od Lilath. Musisz ją ukraść.

W jego spojrzeniu nie ma śladu krytyki. Nawet teraz. Są takie chwile, kiedy zastanawiam się, czym zasłużyłem sobie na taką lojalność, i takie, kiedy postanawiam nie zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

* * *

Tej nocy Cassius zaczyna oblężenie zamku Diany w Wielkiej Puszczy, a reszta mojej armii ucztuje za wysokimi murami zamku Marsa. Donżon jest czysty, na dziedzińcu trwa zabawa. Nawet niewolnicy dostali pieczoną w tymianku koźlinę roboty June i dziczyznę doprawioną oliwą z oliwek. Obserwuję to wszystko. Niewolnicy spuszczaają wzrok zażenowani, kiedy

przechodzę, wszyscy, nawet Pax. Wyjący wilk na jego czole zmiażdżył jego dumę. Tylko Tactus patrzy mi w oczy. Jego skóra jak ciemny miód przypomina skórę Quinn, ale oczy kojarzą mi się ze ślepiami żmii jaskiniowej.

Mruga do mnie porozumiewawczo.

Po moim zwycięstwie nad Paxem wysoki Pobór wreszcie w pełni pogodził się z moim przywództwem – wszyscy, nawet Antonia. To mi przypomina, jak byłem traktowany na ulicach po tym, jak Mickey mnie wyrzeźbił. Tu jestem Złoty. Tu mam władzę. Czuję się tak pierwszy raz, odkąd skazałem Titusa na śmierć. Wkrótce Fitchner zjawi się, wręczy mi dłoń Prymusa i wszystko będzie dobrze.

Roque, Quinn, Lea, a teraz także Pollux jedzą razem ze mną. Nawet Vixus i Cassandra, którzy zwykle siadają z Antonią, przyszli pogratulować mi zwycięstwa. Śmieją się i klepią mnie po ramieniu. Cipio, zabawka Antonii, liczy niewolników. Sama Antonia nie podchodzi do mnie, ale kiwa złotą głową z aprobatą. Cuda się zdarzają.

Jestem Prymusem. Mam pięć złotych belek. Wkrótce przyleci Fitchner, żeby udzielić mi zaszczytów. Rankiem Dom Ceres upadnie. Zostało ich mniej niż jedna trzecia. Mając ziarno do wyżywienia mojej armii i ich twierdzę jako bazę wypadową, będę dysponował siłą czterech Domów. Zmiotę wszystko, co zostało jeszcze na północy, a potem ruszę na południe, zanim spadną pierwsze śniegi. I wtedy stawię czoło Szakalowi.

Roque staje obok mnie i we dwóch obserwujemy ucztę.

– Myślałem o tym, czy nie pocałować Lei – mówi do mnie nagle.

Widzę, jak Lea śmieje się z paroma dziećmi ze średniego Poboru w pobliżu jednego z ognisk. Obciąła krótko włosy. Rzuca nam spojrzenie i kokieteryjnie pochyla głowę, kiedy Roque spogląda na nią przeciągle. On też się rumieni i odwraca wzrok.

– Myślałem, że jej nie lubisz. Chodzi za tobą jak szczeniak. – Śmieję się.

– No tak, początkowo nie intrygowała mnie, bo myślałem, że uczepiła się mnie tak, jak można by się chwycić... tratwy ratunkowej, żeby nie zatonać. Ale... wyrosła...

Zerkam na niego i śmieję się. I nie mogę przestać.

Wyglądamy jak blond wilki. Jesteśmy szczuplejsi niż na początku szkoły. Brudniejsi. Nasze włosy są dłuższe. Mamy blizny. Ja więcej niż większość z nas. Najpewniej za bardzo polegamy na czerwonym mięsie.

Mam pęknięty jeden ząb trzonowy. Ale śmieję się. Śmieję się, aż mój ząb nie może tego dłużej znieść. Zapomniałem, że jesteśmy ludźmi, dziećmi, które durzą się w sobie nawzajem.

– W takim razie nie zmarnuj pierwszego pocałunku – mówię. – To moja jedyna rada.

Sugeruję mu, żeby zabrał ją w jakiś wyjątkowe miejsce, takie, które znaczy coś dla niego albo dla nich obojga. Ja zabrałem Eo na mój świdroSzpon. Loran i Barlow żartowali z tego później. Był wyłączony i stał w wentylowanym tunelu, więc nie musieliśmy nosić piekarników, trzeba było tylko uważać na żmije jaskiniowe. Mimo to pociła się z podniecenia. Włosy kleiły jej się do twarzy i do karku. Trzymała mnie strasznie mocno za nadgarstek i puściła dopiero, kiedy wiedziała, że już mnie ma. Kiedy ją pocałowałem.

Uśmiecham się szeroko i klepię Roque'a w tyłek na szczęście. Stryk Narol mówi, że to tradycja. Przyłożył mi wtedy płazem sierpaka. Myślę, że kłamał.

Nocami śnię o Eo. Rzadko śpię bez snów o niej. Piętrowe łóżka w wysokiej wieży zamku są puste. Roque'a, Lei, Cassiusa, Sevro i Wyjców nie ma. Wszyscy moi przyjaciele z wyjątkiem Quinn przebywają poza zamkiem. Jestem Prymusem, ale czuję się samotny. Ogień trzaska. Wiejący po korytarzach zimny jesienny wiatr zawodzi jak wiatr z opuszczonych tuneli kopalni i sprawia, że myślę o żonie.

Eo. Brakuje mi jej ciepła w łóżku. Brakuje mi jej szyi. Tęsknię za całowaniem jej miękkiej skóry, za zapachem jej włosów, smakiem ust, gdy szeptała, że mnie kocha.

A potem słyszę tupot stóp i Eo znika.

Lea wpada do zbiorowej sypialni. Mówi coś gorączkowo. Ledwie jestem w stanie ją zrozumieć. Wstaję, góruję nad nią, kładę rękę na jej ramieniu, żeby ją uspokoić. To niemożliwe. Oszalałe oczy patrzą na mnie spod krótkiej grzywki.

– Roque! – zawodzi. – Roque wpadł do szczeliny. Ma połamane nogi. Nie mogę go dosięgnąć!

Idę za nią tak szybko, że nie zabieram nawet peleryny ani sierpaka. Zamek śpi, tylko strażnicy czuwają. Wybiegamy przez bramę, zapominając o koniach. Krzyczę do strażniczki, żeby przybiegła mi pomóc. Nie patrzę, czy to robi. Lea pędzi przodem w dolinę, a potem w górę, na północne

wzgórza, do jaru, gdzie jako plemię rozpaliliśmy nasze pierwsze ogniska. Mgła jest gęsta. Noc ciemna. Dociera do mnie, jaki jestem głupi.

To pułapka.

Przestaję iść za Leą. Nic jej nie mówię. Nie wiem, czy nie zajdą mnie od tyłu, więc rzucam się na brzuch i przepelzam do żlebu, żeby zniknąć we mgle. Zasłaniam się paprociami. Teraz ich słyszę. Szczęk mieczy, szuranie stóp i stukot elektroPik. Przekleństwa. Ilu ich jest? Lea nawołuje mnie nerwowo. Nie jest już sama. Doprowadziła mnie do nich. Słyszę wypaczonego Vixusa. Czuję kwiaty Cassandry, zawsze wciera je w skórę, żeby ukryć zapach ciała.

Nawołują się we mgle. Wiedzą, że odkryłem ich pułapkę. Jak mogę wrócić do swojej armii? Nie śmiem się ruszyć. Ilu ich tam jest? Szukają mnie. Jeśli pobiegnę, uda mi się? Czy też skończę na końcu miecza? Mam dwa noże w butach. To wszystko. Wyciągam je.

– Żniwiarzu! – woła mnie z mgły Antonia. Znajduje się gdzieś nade mną. – Nieulękły przywódco? Och, Żniwiarzu. Nie ma potrzeby się chować, skarbie. Nie jesteśmy źli za to, że rozkazujesz nam i rozstawiasz nas po kątach, jakbyś był naszym królem. Nie jesteśmy oburzeni na tyle, żeby wbić ci noże w oczy. Wcale a wcale. Skarbie?

Szydzą, pogrywają z mojej próżności. Nigdy nie byłem szczególnie chępliwym, ale oni nie potrafią tego zrozumieć. But staje bardzo blisko mojej głowy. Zielone oczy zerkają w ciemność. Myślę, że mnie widzą. A jednak nie. NoktoWizja. Ktoś dał im noktoWizję. Słyszę Vixusa i Cassandrę. Antonia warczy, sfrustrowana.

– Żniwiarzu, jeśli nie wyjdiesz się pobawić, będą konsekwencje. – Wzdycha. – Jakie konsekwencje, pytasz? Cóż, poderżnę małej Lei gardło aż po kość. – Słyszę Leę, jak krzyczy zaskoczona, gdy ktoś łapie ją za włosy. – Ukochanej Roque’a...

Nie wychodzę. Do diabła. Nie wychodzę. Moje życie nie należy tylko do mnie. Należy do Eo, do mojej rodziny. Nie mogę go odrzucić – nie mogę tego zrobić tylko dla dumy, Lei, czy dla uniknięcia bólu z powodu utraty kolejnego przyjaciela. Mają też Roque’a?

Bolą mnie szczęki. Zaciskam zęby. Ból przeszywa mój trzonowy. Antonia tego nie robi.

Nie może tego zrobić.

– Ostatnia szansa, skarbie. Nie? – Rozlega się mięsisty odgłos, a po nim charkot i łoskot ciała padającego na ziemię. – Szkoda.

Wyrywa mi się bezgłośny krzyk, kiedy widzę medBota lecącego z wizgiem przez nocną mgłę. Mimo całej siły w rękach, w ciele, nie mogę nic zrobić, nie mogę ich powstrzymać.

Nie poruszam się, dopóki nie nadchodzi wczesny ranek, kiedy jestem pewien, że zniknęli. MedBoty nie zabrały ciała Lei. Rewizorzy zostawili ją, żebym wiedział, że umarła; żebym nie mógł czepiać się nadziei, że jakimś cudem przeżyła. Dranie. Jej ciało wydaje się kruche po śmierci. Wygląda jak mały ptaszek, który wypadł z gniazda. Wznoszę nad nim kopiec z kamieni. Jest wysoki, ale nie uchroni jej przed wilkami.

Nie znajduję ciała Roque'a, więc nie wiem, co się z nim stało. Czy mój przyjaciel nie żyje?

Czuje się jak duch, kiedy schodzę z wyżyny i obchodzę zamek łukiem, aby uniknąć popleczników Antonii. Idę ścieżką, którą Cassius będzie wracał z Wielkiej Puszczy, chowam się w krzakach, żeby nie rzucać się w oczy. Jest środek dnia, kiedy wraca na czele małej kolumny jeźdźców i niewolników. Popędza konia, żeby mnie przywitać, kiedy wychodzę z zarośli.

– Bracie! – woła. – Przyniosłem ci prezent! – Zeskakuje z konia, obejmuje mnie, a potem wyciąga jeden z gobelinów Diany i owija nim moje ramiona. Odsuwa się ode mnie. – Jesteś blady jak upiór. Co się stało?

Wyjmuje liść z moich włosów. Może to wtedy dostrzega smutek w moich oczach.

Sevro podjeżdża za nim. Mówię im, co się stało.

– Suka – mruczy Cassius. Sevro milczy. – Biedna Lea. Biedna Lea. To była kochana dziewczyna. Myślisz, że Roque nie żyje?

– Nie wiem – mówię. – Po prostu nie wiem.

– Psiakrew. – Cassius kręci głową.

– Rewizor musiał dać Antonii noktoWizję – domyśla się Sevro. – Albo przekupił ją Szakał. To by pasowało.

– Kogo to obchodzi? – krzyczy Cassius, wymachując ręką. – Człowieku, Roque może leżeć tam ranny albo martwy. Nie pojmujesz tego? – Łapie mnie za kark i przysuwa moje czoło do swojego. – Znajdziemy go, Darrow. Znajdziemy naszego brata.

Kiwam głową, czując, jak po mojej piersi rozlewa się odrętwienie.

Antonia nie wróciła na zamek. Tak samo jak jej poplecznicy, Vixus i Cassandra. Nie udało im się mnie zabić, więc musieli uciec. Ale dokąd?

Quinn podnosi ręce i krzyczy do nas, kiedy wjeżdżamy przez bramę.

– Psiakrew, nie wiedziałam, gdzie wy wszyscy jesteście! Niewolników było cztery razy więcej niż nas, dopóki nie wróciliście. Ale nic się nie stało, nic się nie stało.

Łapie Cassiusa za rękę, kiedy jej mówimy, co się wydarzyło. Łzy napływają jej do oczu na wieść o Lei, ale nie chce uwierzyć, że Roque też nie żyje. Cały czas kręci głową.

– Możemy wykorzystać niewolników do odszukania Roque’a – upiera się. – Pewnie jest ranny i gdzieś się tam ukrywa. Na pewno. Na pewno.

Nie znajdujemy go. Cała armia go szuka. Nigdzie nie ma śladu. Zbieramy się w sali narad przy długim stole.

– Pewnie leży martwy na dnie rowu – mówi tej nocy Sevro.

Niewiele brakuje, żebym go uderzył. Niestety ma rację.

– To robota Szakala – mruczę.

– Pech – odpowiada Sevro.

– Co proszę?

– Nieważne, czy to jego robota, to właśnie Sevro ma na myśli. Nie możemy w tej chwili wykonać żadnego ruchu przeciwko Szakalowi. Nawet jeśli próbował cię zabić, nie jesteśmy w stanie go osiągnąć – oznajmia Quinn. – Zajmijmy się najpierw naszymi sąsiadami.

– To głupie – mruczy Sevro.

– Co za niespodzianka. Wygląda na to, że Goblin się nie zgadza – warczy Cassius. – Mów, jeśli coś ci leży na żołądku, pigmeju.

– Nie traktuj mnie z góry – warczy Sevro.

Cassius rechoce.

– Nie szczaj mi na buty, bo sięgasz mi tylko do kolan.

– Pod każdym względem ci dorównuję.

Sevro ma taką minę, że pochylam się nagle przestraszony tym, że zaraz nóż pojawi się w oku Cassiusa.

– Ty? Równy mnie? Pod jakim względem? Urodzenia? – Cassius uśmiecha się od ucha do ucha. – Och, czekaj, miałem na myśli wzrost, urodę, inteligencję, pieniądze... Mam przestać?

Quinn z całej siły kopie w jego krzesło.

– Co cię, u diabła, ugryzło? – warczy na niego. – Nieważne. Po prostu stul dziób.

Sevro wbija wzrok w ziemię. Ogarnia mnie nagła chęć, żeby położyć mu rękę na ramieniu.

– Co miałeś na myśli, Sevro? – pyta Quinn.

– Nic.

– Mówże.

– Powiedział: nic. – Cassius rechoce.

– Cassius. – Wystarczy mój głos, żeby się zamknął. – Sevro, proszę.

Mikrus wzdycha, podnosi na mnie wzrok. Ma policzki czerwone z gniewu.

– Pomyślałem po prostu, że nie powinniśmy siedzieć tak i grzebać sobie w tyłkach, kiedy Szakał robi, co chce. – Wzrusza ramionami. – Wyślij mnie na południe. Daj mi narobić mu kłopotów.

– Kłopotów? – pyta Cassius. – Co zamierzasz? Zabić Szakala?

– Tak. – Sevro patrzy na niego. – Przyłożę mu sztylet do gardła i będę rznął, aż zobaczę kręgosłup.

Napięcie w sali wystarcza, żebym poczuł się nieswojo.

– Nie możesz mówić poważnie – odzywa się cicho Quinn.

– On mówi poważnie. – Cassius marszczy czoło. – I myli się. Nie jesteśmy potworami. Przynajmniej ty i ja, Darrow, nie jesteśmy potworami. Pretorzy Bellony nie są skrytobójcami pośród nocy. Mamy pięćset lat honoru do obrony.

– Szczyny i kłamstwa. – Sevro macha na to ręką.

– To kwestia urodzenia. – Cassius odrobinę zadziera nos.

Sevro okrutnie wykrzywia usta.

– Jesteś Piksem, jeśli to kupujesz. Myślisz, że twój tatuś honorowo wyrąbał sobie drogę do stanowiska imperatora?

– Możesz to nazwać rycerskością, Goblinie – szydzi Cassius. – To nie byłoby w porządku, spróbować zamordować kogoś z zimną krwią. Zwłaszcza w szkole.

– Zgadzam się z Cassiusem – odzywam się w końcu.

– Co za szok. – Sevro nagle wstaje i wychodzi.

Pytam go, dokąd idzie.

– Ewidentnie mnie nie potrzebujesz. Masz tylu doradców, ilu jesteś w stanie słuchać.

– Sevro.

– Idę przeszukać rowy. Raz jeszcze. Założę się, że ród Bellona nie zrobiłby tego. Bo pobrudziliby sobie bezcenne kolanka.

Przed wyjściem kłania się szyderczo Cassiusowi.

Quinn, Cassius i ja zostajemy w sali narad. W końcu Cassius ziewa i mruczy, że potrzebuje trochę snu w fazie REM, zanim za sześć godzin

nadejdzie świt. Zostajemy sami z Quinn. Obcięła włosy krótko i nierówno, ale grzywka opada jej aż na wąskie oczy. Garbi się jak chłopak na krześle i grzebie przy paznokciach.

– O czym myślisz? – pyta mnie.

– O Roque’u... i Lei.

W głowie słyszę tamten charkot. Wraz z nim powtarzają się echem wszystkie inne odgłosy śmierci. Trzask karku Eo. Milczenie Juliana, kiedy dygotał we własnej krwi. Jestem Żniwiarzem, a śmierć jest moim cieniem.

– Tylko o tym? – dopytuje Quinn.

– Myślę, że powinniśmy się trochę przespać – odpowiadam.

Nic nie mówi, tylko patrzy, jak wychodzę.

Przeprosiny

Cassius budzi mnie w środku nocy.

– Sevro znalazł Roque’a – mówi cicho. – Jest w fatalnym stanie. Chodź.

– Gdzie?

– Na północy. Nie mogą go ruszyć.

Opuszczamy zamek galopem w świetle dwóch księżyców. Śnieg, zapowiedź zimy, wypełnia powietrze roztańczonymi płatkami. Towarzyszy nam mlaskanie błocka, kiedy jedziemy w stronę północnego biegu Metas. Poza tym słyszeć chlupot wody i szum drzew. Ocieram sen z oczu i zerkam na Cassiusa. Ma nasze dwa jonoMiecze.

Nagle ściska mnie w żołądku, kiedy dociera do mnie, co jest grane. On nie wie, gdzie jest Roque. Wie za to coś innego.

Wie, co zrobiłem.

To pułapka, od której nie mogę uciec. Chyba są takie chwile w życiu. To jak wpatrywanie się w ziemię, gdy spadasz z wysokości. Widok nadchodzącego końca nie znaczy, że możesz przed nim uskoczyć, naprawić to, powstrzymać.

Jedziemy jeszcze przez dwadzieścia minut.

– To nie była żadna niespodzianka – odzywa się nagle Cassius.

– Co takiego?

– Od ponad roku wiedziałem, że Julian miał umrzeć. – Śnieg pada cicho, kiedy brniemy przez błoto. Gorący grzbiet wierzchowca porusza się między moimi nogami. Krok za krokiem. – Zawalił egzamin. Nigdy nie był szczególnie bystry, nie w taki sposób, jak chciał. Był dobrym człowiekiem,

rozumiał emocje. Potrafił wyczuć smutek albo gniew z odległości kilometra. Niestety empatia to coś dla podKolorów.

Nie odzywam się.

– Istnieją konflikty, które nigdy się nie kończą, Darrow. Koty i psy. Lód i ogień. Augustus i Bellona. Moja rodzina i ród arcygubernatora.

Cassius wpatruje się przed siebie, kiedy jego koń potyka się, a jego oddech unosi się mgłą w powietrzu.

– Jednak mimo tego, co to zwiastowało, Julian ucieszył się, kiedy otrzymał powiadomienie o przyjęciu opatrzone osobistą pieczęcią arcygubernatora. Nie wydawało się to w porządku ani mnie, ani moim pozostałym braciom. Nigdy nie myśleliśmy, że Julian zostanie przyjęty. Kochałem go, tak jak wszyscy moi bracia i kuzyni; ale poznałeś go. O tak, poznałeś go. Nie miał najbystrzejszego umysłu, ale nie był też najbardziej tępy; nie znalazłby się w dolnym jednym procencie. Nie trzeba było go odstrzeliwać. Miał jednak na nazwisko Bellona. Nazwisko, którego nasz wróg nienawidzi. Dlatego posłużył się biurokracją, swoim tytułem, należnymi mu prawami, żeby zamordować życzliwego chłopca. Nie wolno odrzucić zaproszenia Instytutu, to nielegalne. A on był taki zachwycony. My zaś, moja matka, ojciec, bracia, siostry, kuzyni i wszyscy bliscy, wiązaliśmy z nim wielkie nadzieje. Tak ciężko trenował. – W jego głosie pojawia się kpina. – Jednak ostatecznie rzucono go wilkom na pożarcie. A może powinienem powiedzieć jednemu wilkowi?

Zatrzymuje konia i pali mnie wzrokiem.

– Jak się dowiedziałeś? – pytam, wpatrując się przed siebie, w dal ponad ciemną wodą.

Płatki śniegu znikają na ciemnej powierzchni. Góry są tylko mrocznymi kopcami majaczącymi w oddali. Rzeka chlupocze. Nie zsiadam z konia.

– Że odwaliłeś brudną robotę za Augustusa? – Śmieje się pogardliwie. – Ufałem ci, Darrow. Dlatego nie musiałem oglądać tego, co Szakał mi przysłał. Jednak kiedy Sevro próbował mi to ukraść, gdy spałem w Wielkiej Puszczy, zrozumiałem, że to coś istotnego. – Zauważa moją reakcję. – Co? Myślałeś, że zadajesz się z cymbałami?

– Czasem miewam takie wrażenie.

– Obejrzałem to dziś w nocy.

Holo.

Przez Roque'a i Lee zapomniałem o przesyłce. Lepiej by było, gdybym rzeczywiście zapomniał. Gdybym mu zaufał i nie posłał Sevro, żeby ją

ukradł. Może wtedy Cassius by to zlekceważył. Może sprawy inaczej by się potoczyły.

– Co takiego obejrzałeś?

– Holo, które pokazuje, jak zabijasz Juliana, bracie.

– Szakal dostał holo. – Parskam. – W takim razie dał mu je jego rewizor. To znaczy, że gra jest ustawiona. Pewnie nie ma to dla ciebie znaczenia, że Szakal jest synem arcygubernatora i manipuluje tobą, żeby się mnie pozbyć.

Cassius się wzdryga.

– Nie wiedziałeś, że Szakal jest jego synem? – dziwię się. – Pewnie byś go rozpoznał, gdybyś go zobaczył. Dlatego przysłał Lilath.

– Nie rozpoznałbym go. Nigdy nie spotkałem pomiotu tego łajdaka. Ukrywał swoje dzieci przed nami, zanim trafiliśmy do Instytutu. A moja rodzina trzymała mnie daleko od niego po tym, jak...

Urywa i patrzy w dal. Wracają wspomnienia.

– Możemy go razem pokonać, Cassiusie. Nie musimy dać się skłócić...

– Bo zabiłeś mojego brata? – Spluwa. – Nie ma żadnego „my”, ty nieudolna pizdo. Złaż z tego przeklętego konia.

Zsiadam. Cassius rzuca mi jeden z jonoMieczów. Staję naprzeciwko przyjaciela w błocie. Nikt nas nie obserwuje poza wronami i księżycami. I rewizorami. Mój sierpak wisi przy siodle. Jest co prawda zakrzywiony, ale na nic się nie zda w walce z bronią jonową. Cassius mnie zabije.

– Nie miałem wyboru – odpowiadam mu. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Będziesz gnił w piekle, ty manipulancki sukinsynu! – krzyczy Cassius. – Pozwoliłeś, żebym nazywał cię bratem!

– To czego byś ode mnie chciał? Miałem dać się Julianowi zabić podczas Próby? Ty byś tak zrobił?

Zamiera wtedy.

– Chodzi o to, jak go zabiłeś. – Przez chwilę milczy. – Przychodzimy jako książęta i ta szkoła ma nas nauczyć, jak się stać bestiami. A ty od razu zjawiłeś się tu jako bestia.

Śmieję się gorzko.

– A czym ty byłeś, kiedy rozniosłeś na strzępy Titusa?

– Nie byłem taki jak ty! – krzyczy Cassius.

– Pozwoliłem ci go zabić, żeby Dom zapomniał, jak tuzin chłopaków naszczał ci na twarz. Więc nie traktuj mnie jak jakiegoś potwora.

- Ale ty jesteś potworem – warczy.
- Wiesz co, stul ryj i przejdźmy do rzeczy. Hipokryta.

Pojedynek nie trwa długo. Ja ćwoczyłem z nim miesiącami. On bawił się w pojedynki przez całe życie. Dźwięk ostrzy niesie się ponad płynącą rzeką. Śnieg pada. Błoto klei się i chlupocze. Dyszymy. Nasze oddechy się kłębią. Ręce mi się trzęsą, kiedy klingi szczękają i zgrzytają o siebie. Jestem szybszy od Cassiusa, moje ruchy są płynniejsze. Prawie trafiam go w udo, ale on zna matematykę tej gry. Drobnym ruchem nadgarstka odbija mój miecz w bok, robi krok do przodu i przez zbroję wbija mi ostrze jonowe w brzuch. Powinno natychmiast kauteryzować ranę i zniszczyć nerwy, dzięki czemu zostałem ranny, ale żywy, on jednak wyłączył ładunek jonowy, więc czuję potworny napór, kiedy obcy metal wchodzi w moje ciało i tryska ze mnie ciepło.

Zapominam o oddechu. A potem łapię gwałtownie powietrze. Moje ciało dygoce. Obejmuję miecz. Czuję zapach szyi Cassiusa. Jest blisko. Tak blisko jak wtedy, kiedy łapał mnie za głowę i nazywał bratem. Ma przetłuszczone włosy.

Zapominam o godności i zaczynam skamleć jak pies.

Pulsujący ból rozkwita – zaczyna się od nacisku metalu wypełniającego mi brzuch, a potem staje się potworną zgrozą. Dygocę, łapiąc powietrze, nabierając je haustami. Nie mogę oddychać. Jakbym miał czarną dziurę w brzuchu. Padam do tyłu. Jęczę. Ból, który czuję, to jedno. Ale jest coś jeszcze. To zgroza. Strach. Moje ciało wie, że tak właśnie kończy się życie. A potem miecz znika i zaczyna się cierpienie. Cassius zostawia mnie krwawiącego i pochlipującego w błocie. Wszystko, czym jestem, znika, i zostaję jedynie niewolnikiem swojego ciała. Płaczę.

Znowu staję się dzieckiem. Zwijam się wokół rany. O Boże, to jest potworne. Nie rozumiem bólu. On mnie pożera. Nie jestem mężczyzną, jestem dzieckiem. Dajcie mi szybciej umrzeć. Tonę w zimnym, zimnym błocie. Dygocę i szlocham. Nic na to nie poradzę. Moje ciało robi swoje. Zdradza mnie. Metal przeszył mi trzewia.

Moja krew wypływa. Wraz z nią przepadają nadzieje Dancera, ofiara mojego ojca, marzenie Eo. Ledwie jestem w stanie o nich myśleć. Błoto jest ciemne i zimne. To tak strasznie boli. Eo. Tęsknię za nią. Tęsknię za domem. Jaki był jej drugi dar? Nigdy się nie dowiedziałem. Jej siostra mi nie powiedziała. Teraz znam ból. Nic nie jest tego warte. Nic. Pozwólcie mi

znowu być niewolnikiem, pozwólcie mi zobaczyć Eo, pozwólcie mi umrzeć. Wszystko, tylko nie to.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Część IV

Żniwiarz

Pobrano ze strony pijafka.pl

Stare kobiety z Lykos powiadają, że kiedy człowiek zostanie ukąszony przez żmiję jaskiniową, trzeba ściągnąć z rany cały jad, ponieważ jest on wyjątkowo groźny. Kiedy mnie ugryzła żmija, stryj Narol celowo zostawił część jadu w moim ciele.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Północna Puszcza

Ból.

Klaustrofobia.

Jestem chory i ranny.

Ból kryje się w snach.

W ciemności. W moich trzewiach.

Budzę się i krzyczę prosto w czyjaś delikatną dłoń.

Ktoś miga mi przelotnie.

Eo? Szepczę jej imię i wyciągam rękę. Moje ubłocone palce brudzą jej twarz. Twarz anioła. Przyszła zabrać mnie do Doliny. Ma złote włosy. Zawsze uważałem, że powinna być Złotą. Symbolem jej Koloru są złote skrzydła, nie nosi już na dłoniach pieczęci Czerwonych. Potrzebna była do tego śmierć.

Pocę się mimo padającego deszczu i śniegu. Coś mnie osłania. Drzę. Ściskam w dłoni szkarłatną przepaskę na czoło. Zgubiłem hemantus. Kiedy to było, bo nie pamiętam? Błoto w moich włosach. Eo je splukuje. Delikatnie gładzi mnie po czole. Kocham ją. Coś we mnie krwawi. Słyszę, jak Eo mówi do siebie, mówi do kogoś. Zostało mi niewiele czasu. O ile w ogóle. Jestem w Dolinie? Snuje się mgła. Niebo. Wielkie drzewo. Ogień. Dym.

Dygoczę i pocę się. Obyś szczeł w piekle, Cassiusie. Byłem twoim przyjacielem. Może i zabiłem twojego brata, ale nie miałem innego wyjścia. W przeciwieństwie do ciebie. Arogancki wał. Nienawidzę go. Nienawidzę Augustusa. Widzę, jak razem wieszają Eo. Drwią ze mnie. Naśmiewają się.

Nienawidzę Antonii. Nienawidzę Fitchnera. Nienawidzę Titusa. Nienawidzę. Nienawidzę. Mam gorączkę, wściekam się i pocę. Nienawidzę Szakala. Rewizorów. Nienawidzę. Nienawidzę siebie za wszystko, co zrobiłem. Wszystko, co zrobiłem. A po co? Żeby zwyciężyć w grze. Zwyciężyć dla kogoś, kto nigdy się o tym nie dowie. Eo nie żyje. Nie wróci, żeby zobaczyć, jak wiele dla niej zrobiłem.

Eo nie żyje.

I wtedy się budzę. Ból w moim brzuchu nie zelżał. Przeszywa mnie na wskroś. Ale już się nie pocę. Gorączka ustąpiła, wściekle czerwone pręgi infekcji ustąpiły. Leżę u wylotu jaskini. Tuż obok płonie małe ognisko i śpi jakaś dziewczyna. Jest przykryta futrami. Cicho wdycha i wydycha zmieszane z dymem powietrze. Ma rozczochrane złote włosy. To nie Eo. To Mustang.

Szlocham cicho. Chcę Eo. Dlaczego nie mogę jej mieć? Dlaczego nie mogę siłą woli przywrócić jej do życia? Nie chcę przy sobie tej dziewczyny. To boli bardziej niż moja rana. Nigdy nie zdołam naprawić tego, co przytrafiło się Eo. Nie potrafiłem nawet dowodzić swoją armią. Nie potrafiłem zwyciężyć. Nie potrafiłem pokonać Cassiusa, nie mówiąc o Szakalu. Byłem najlepszym piekłonurkiem. Tutaj jestem nikim. Świat jest za duży i za zimny, a ja jestem za mały. Świat zapomniał Eo, zapomniał, jaką złożyła ofiarę. Nic nie zostało.

Znów zasypiam.

Kiedy kolejny raz się budzę, Mustang siedzi przy ognisku. Wie, że nie śpię, ale pozwala mi udawać, że jest inaczej. Leżę z zamkniętymi oczami i słucham, jak nuci. Znam tę pieśń, słyszę ją w snach. Echo śmierci mojej ukochanej. Pieśń śpiewana przez tę, którą nazywają Persefoną, nucona przez Aureuskę. Echo snu Eo.

Płaczę. Jeżeli kiedykolwiek czułem istnienie Boga, to właśnie w tej chwili, wsłuchany w te żałobne tony. Moja żona nie żyje, ale coś z niej jednak przetrwało.

Rano rozmawiam z Mustang.

– Skąd znasz tę pieśń? – pytam, nie wstając.

– Z hP – odpowiada, rumieniąc się. – Śpiewała ją jakaś dziewczynka. Przynosi ukojenie.

– Jest smutna.

– Jak większość rzeczy.

Mustang twierdzi, że upłynęły cztery tygodnie. Cassius jest Prymusem. Nastala zima. Zamek Ceres nie jest już oblężony. Żołnierze Jowisza zapuszczają się czasem do lasu. Chodzą słuchy o bitwie między dwoma północnymi supermocarstwami, Jowiszem i Marsem: Jowisz jest na zachodzie, Mars na wschodzie, ale po tym, jak rzeka zamarzła, mogą przechodzić po lodzie i atakować się nawzajem. Nasze sępy wzbiły się w powietrze z zimowych wąwozów. Nocą słychać skowyt głodnych wilków. Z południa lecą stada wron.

W gruncie rzeczy Mustang wie bardzo niewiele. Niecierpliwie się.

– Rozpraszało mnie utrzymywanie cię przy życiu – przypomina mi.

Obok moich nóg, pod kocem, leży jej sztandar. Jest ostatnią niezniewoloną z Domu Minerwy. I mnie też nie próbowała wziąć do niewoli.

– Niewolnicy są głupi – mówi. – Ty już utykasz. Po co dodatkowo robić z ciebie głupka?

Potrzebuję kilku dni, żeby znów zacząć chodzić. Zastanawiam się, gdzie się podziały te wszystkie zmyślne medBoty. Pewnie opatrują jakiegoś pupilka rewizorów. Powinienem zostać Prymusem, ale nigdy nie przyznali mi tego wyróżnienia. Teraz już wiem, dlaczego Szakal zwycięży. Likwidują mu konkurencję.

* * *

W ciągu następnych tygodni przekradamy się z Mustang przez las. Brnę sztywnym krokiem w gęstym śniegu, ale stopniowo odzyskuję siły. Mustang twierdzi, że to zasługa lekarstwa, które znalazła leżące na widoku pod krzakiem, podrzucone przez życzliwego rewizora. Zatrzymujemy się na widok saren. Sięgam po łuk, ale nie jestem w stanie go napiąć do końca. Rana mi dokucza. Mustang patrzy. Próbuje ponownie. Ból w głębi ciała. Wypuszczam strzałę. Chybiam. Tego wieczoru dojadamy resztki królika; dziwnie smakuje, dostaję po nim skurczów żołądka. Ostatnio często mi się to zdarza. Także przez wodę: nie mamy jej w czym przegotować, nie mamy jodyny, jest tylko śnieg albo wąty strumyczek, z którego pijemy. Często nie możemy rozpalić ognia.

– Powinieneś być zabić Cassiusa – mówi mi Mustang. – Albo odesłać.

– Miałem cię za szlachetniejszą.

– Lubię wygrywać. To rodzinne. Zresztą czasem oszustwo jest wpisane w reguły gry. – Uśmiecha się. – Za każde odzyskanie sztandaru dostajesz jedną belkę. Dlatego kilkakrotnie wyreżyserowałam jego utratę na rzecz Domu Diany. Potem jeździłam do nich go odbijać. Po tygodniu byłam Prymusem.

– Cwane. Ale twoi żołnierze cię lubili.

– Wszyscy mnie lubią. A teraz jedz tego cholernego królika. Chudy jesteś jak szczapa.

Zima staje się coraz surowsza. Trzymamy się leśnych ostępów na dalekiej północy, na północ od zamku Ceres i północny zachód od moich dawnych wyżynnych ziem. Nie widziałem jeszcze ani jednego żołnierza Marsa. Nie wiem, co bym zrobił na jego widok.

– Ukryłam się przed wszystkimi poza tobą – mówi Mustang. – Dzięki temu żyję.

– Jaki masz plan?

Śmieje się.

– Pozostać przy życiu.

– Jesteś w tym lepsza ode mnie.

– Co masz na myśli?

– Nikt z twojego Domu by cię nie zdradził.

– To dlatego, że rządziłam inaczej niż ty. Musisz pamiętać, że ludzie nie lubią, kiedy ktoś im dyktuje, co mają robić. Możesz traktować przyjaciół jak służących i będą cię kochali, ale kiedy im powiesz, że są służącymi, zabiją cię. Zanadto polegasz na hierarchii i strachu.

– Ja?

– A kto? Od razu to dostrzegłam. Interesowała cię wyłącznie twoja misja, cokolwiek ona zakłada. Jesteś jak mknąca do celu strzała, która rzuca nadzwyczaj przygnębiający cień. Ledwie cię poznałam, a już wiedziałam, że poderżnąłbyś mi gardło, żeby zdobyć to, czego pragniesz. – Zawiesza głos. – Nawiasem mówiąc, czego właściwie pragniesz?

– Zwycięstwa.

– Daj spokój, nie jesteś aż tak ograniczony.

– Myślisz, że mnie znasz?

Węgle trzaskają w naszym małym ognisku.

– Wiem, że przez sen oplakujesz dziewczynę imieniem Eo. To siostra? Ukochana? Takie niekolorowe imię... Zresztą tak jak twoje.

– Jestem prostaczkiem z zaścianka. Nie powiedzieli ci?

– Niczego mi nie mówili. Rzadko wychodzę z domu. Surowy ojciec. – Macha ręką. – Mniejsza z tym, liczy się fakt, że nikt ci nie ufa, ponieważ to oczywiste, że bardziej zależy ci na osiągnięciu swojego celu niż na ludziach.

– A ty niby jesteś inna?

– Nawet bardzo, panie Żniwiarzu. Bardziej niż ty lubię ludzi. Ty jesteś wilkiem, który wyje i kąsa. Ja jestem mustangiem, który chrapami szturcha dłoń człowieka. Ludzie wiedzą, że ze mną da się współpracować. A z tobą? Zabij albo zgiń.

Ma rację.

Kiedy miałem swoje plemię, robiłem wszystko jak trzeba. Chłopcy i dziewczyny kochali mnie, a ja pilnowałem, żeby zarabiali na swoje utrzymanie. Nauczyłem ich, jak zabić kozę, tak jakbym sam umiał to zrobić. Dałem im ogień, tak jakbym stworzył zapalki. Podzieliłem się z nimi sekretem: my mieliśmy jedzenie, Titus nie. Traktowali mnie jak ojca, widziałem to w ich oczach. Dopóki Titus żył, byłem symbolem dobra i nadziei. Kiedy zginął... stałem się nim.

– Czasem zapominam, że Instytut ma mnie nauczyć różnych rzeczy – przyznaję.

Złota dziewczyna przekrzywia głowę i patrzy na mnie.

– Chodzi ci o to, że powinniśmy szukać w życiu czegoś więcej?

Jej słowa trafiają wprost do mojego serca, echo innego głosu niesione ponad otchłanią czasu. Znajdź coś więcej. Więcej niż władza. Więcej niż zemsta. Więcej niż to, co nam dano.

Nie wystarczy, że ich pokonam. Muszę prześcignąć ich w nauce. Właśnie w ten sposób pomogę Czerwonym. Jestem chłopcem. Jestem niemądry. Jeśli jednak nauczę się, jak być przywódcą, będę mógł stać się kimś więcej niż tylko agentem Synów Aresa. Dam mojemu ludowi przyszłość. Tego właśnie chciała Eo.

* * *

Zima w pełni. Wilki są głodne. Wyją po nocach. Kiedy udaje nam się z Mustang coś upolować, czasem musimy je odpędzać. Kiedy jednak o zmierzchu zabijamy jelenia, z północy przybywa cała sfora. Wynurzają się spośród drzew jak mroczne widma. Cienie. Największy z nich

dorównuje mi rozmiarami. Ma białą sierść. Inne są szare, już nie czarne. Ich ubarwienie zmienia się wraz z porami roku. Patrzę, jak nas osaczają. Każdy porusza się osobno, kieruje się własną przebiegłością, a zarazem przez cały czas tworzą stado.

– Tak właśnie powinniśmy walczyć – szepczę do Mustang, gdy śledzimy ich ruchy.

– Możemy kiedy indziej o tym porozmawiać?

Trzema strzałami powalamy przewodnika stada. Reszta wilków ucieka. Zabieramy się do skórowania wielkiej białej bestii. Mustang przesuwając nożem pod futrem i podnosi na mnie wzrok. Nos ma zaczerwieniony z zimna.

– Niewolnicy nie tworzą sfory – mówi – dlatego nie możemy walczyć jak wilki. Chociaż to i tak bez znaczenia, bo nawet one źle to robią. Zanadto polegają na przewodniku stada. Obetnij głowę, to ciało się wycofa.

– Zatem odpowiedzią jest autonomia.

– Być może – przytakuje i przygryza wargę.

Nieco później rozwija swoją myśl.

– Pomyśl o swojej dłoni – mówi.

Siedzi blisko, jest miło, kameralnie, jej noga dotyka mojej. Dostatecznie blisko, żebym poczuł na plecach dreszcz wyrzutów sumienia. Piekący się jeleni wypełnia jaskinię gęstym, przyjemnym aromatem. Na zewnątrz szaleje burza śnieżna. Wilcze futro schnie nad ogniem.

– Daj rękę – mówi. – Który z palców jest najlepszy?

– Każdy jest w czymś dobry.

– Nie bądź oporny.

Kciuk, odpowiadam. Każe mi złapać i przytrzymać patyk za pomocą samego kciuka. Z łatwością mi go zabiera. Potem każe mi go trzymać tylko w pozostałych palcach, bez udziału kciuka. Jedno szarpnięcie w bok i patyk jest wolny.

– Teraz wyobraź sobie, że twój kciuk to członkowie twojego Domu. Palce to niewolnicy zdobyci przy okazji podboju. Prymus jest mózgiem. Razem ładnie to wszystko działa, prawda?

Tym razem nie może mi wyrwać patyka z ręki. Sam go odkładam i pytam ją, do czego zmierza.

– Spróbuj zrobić coś trudniejszego niż złapanie sztandaru. Poruszaj kciukiem przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, a pozostałymi palcami, wszystkimi poza środkowym, w odwrotnym kierunku.

Robię tak. Wybałusza oczy i śmieje się z niedowierzaniem.

– Ty draniu.

Zepsułem jej wywód. Piekłnurkowie są zręczni. Patrzę, jak próbuje powtórzyć moją sztuczkę, oczywiście bez powodzenia. Ale już rozumiem.

– Dłoń jest jak Wspólnota – mówię.

Podobnie jest ze strukturą armii w Instytucie. Hierarchia dobrze się sprawdza w przypadku prostych zadań. Niektóre palce są ważniejsze od innych, niektóre lepiej niż inne nadają się do określonych czynności, a wszystkimi kieruje z góry mózg. Kieruje bardzo skutecznie, wymusza na palcach współpracę. Pojedynczy mózg ma jednak swoje ograniczenia. Wyobraźmy sobie, że każdy palec ma własny mózg, który współpracuje z tym głównym; są posłuszne, ale działają niezależnie. Do czego zdolna byłaby taka dłoń? Czego mogłaby dokonać taka armia? Obracam patyk w palcach, kreślę nim zawiłe wzory. Otóż to.

Mówiąc, Mustang patrzy mi w oczy i wodzi palcami po mojej dłoni. Wiem, że chce, bym zareagował na jej dotyk, ja jednak zmuszam umysł do zagubienia się w innych sprawach.

Idea, którą mi wyklada, nie jest częścią nauk rewizorów.

Rewizorzy uczą o ewolucji od anarchii do ładu. O kontroli. O systematycznym kumulowaniu władzy, jej strukturze i pielęgnowaniu. Ich model ma pokazać, że najlepsze są Rządy Hierarchii. Wspólnota jest ostatnim szczeblem ewolucji. Jediną odpowiedzią. A Mustang właśnie uwalila tę regułę – a z pewnością uwypukliła jej ograniczenia.

Gdybym mógł liczyć na niewymuszoną lojalność niewolników, stworzona z nich armia w niczym nie przypominałaby Wspólnoty. Byłaby od niej lepsza. Podobnie jak z Czerwonymi z Lykos: gdyby myśleli, że naprawdę mogą zdobyć Wawrzyn, pracowaliby znacznie wydajniej. Albo gdyby rewizor na pokładzie swojego gwiazdnego krążownika mógł polegać nie tylko na własnym geniuszu, lecz także na atutach złożonej z Niebieskich załogi.

Strategia Mustang to sen Eo.

Ta świadomość przeszywa mnie na wskroś jak wstrząs elektryczny.

– Dlaczego nie próbowałaś tego z pojmanymi przez was niewolnikami?

Kiedy w żaden sposób nie reaguję na jej dotyk, zabiera rękę.

– Próbowałam.

Przez resztę wieczoru milczy. Rano zaczyna kaszleć.

Przez kilka następnych dni Mustang choruje. Słyszę bulgotanie w jej płucach. Karmię ją rosółem ze szpiku, wilczego mięsa i liści, który gotuję w znalezionym hełmie. Wygląda, jakby miała umrzeć. Nie wiem, co robić. Brakuje nam jedzenia, więc poluję. Zwierzyny jest jednak mało, pouciekała z tutejszych lasów, a wilki są wygłodniałe. Muszą nam wystarczyć drobne zające. Pozostaje mi tylko ogrzewać Mustang i modlić się, żeby z chmur zstąpił ku nam jakiś medBot. Rewizorzy wiedzą, gdzie jesteśmy. Zawsze wiedzą, gdzie jesteśmy.

Tydzień później znajduję w lesie ślady ludzi. Dwie pary stóp. Idę za nimi do opuszczonego obozowiska; liczę na to, że mają jedzenie, które mógłbym im ukraść. Znajduję zwierzęce kości i wygaszone, ale jeszcze gorące ognisko. Nie widzę jednak koni. Czyli raczej nie zwiadowcy. Prędzej Krzywoprzysięzcy, Pohańbieni, którzy złamali reguły obowiązujące zniewolonych. Wszędzie ich teraz pełno.

Przez godzinę podążam ich tropem przez las, a potem zaczynam się niepokoić. Ślady zataczają krąg i prowadzą w znajome miejsce. Do naszej jaskini. Zanim udaje mi się do niej wrócić, zapada noc. Z domu, który dzielę z Mustang, dobiega śmiech. Strzała wydaje mi się wyjątkowo cienka, kiedy nakładam ją na cięciwę. Powinienem przykłęknąć, złapać oddech. Rana boli. Dyszę ciężko. Nie mogę im jednak dać więcej czasu, zwłaszcza jeśli złapali Mustang.

Nie widzą mnie, kiedy stoję przy przegrodzie z zamrożonej skóry jelenia i ubitego śniegu chroniącej jaskinię przed spojrzami i kaprysy aury. W środku trzaska ogień. Dym wysącza się przez otwory wentylacyjne, na których zrobienie strawiliśmy cały dzień. Dwaj chłopcy siedzą razem, dojadają resztki naszego mięsa, piją naszą wodę.

Są brudni i obdarci. Włosy jak natłuszczone zielsko. Plamiasta cera. Wągry. Kiedyś z pewnością byli piękni. Jeden z nich siedzi na piersi Mustang. Dziewczyna, która uratowała mi życie, leży rozebrana do bielizny i zakneblowana. Trzęsie się z zimna. Jeden z chłopaków krwawi z rany po ugryzieniu w szyję. Mustang ma im zapłacić za tę ranę. Noże nagrzewają się w ogniu do czerwoności. Jednemu z intruzów wyraźnie podoba się nagość dziewczyny. Dotyka jej skóry, jakby była zabawką stworzoną ku jego uciechu.

Moje myśli są pierwotne. Wilcze. Ogarnia mnie przerażające uczucie; dotąd nie sądziłem, że darzę nim tę dziewczynę. Potrzebuję chwili, żeby się uspokoić i powstrzymać drżenie rąk.

Jego dłoń dotyka wewnętrznej strony jej uda.

Pierwszemu przestrzeliwuję rzepkę. Do drugiego strzelam w tej samej chwili, gdy sięga po nóż. Kiepsko mi to wychodzi, trafiaam w bark zamiast w oko. Wślizguję się do jaskini uzbrojony w nóż do skórowania, gotowy wykończyć zawodzących z bólu chłopaków. Coś się we mnie wyłączyło, moja ludzka część. Spoglądam jednak w oczy Mustang i nieruchomieję.

– Darrow – mówi półgłosem.

Nawet kiedy tak drży, jest piękna: drobna, skora do uśmiechu dziewczyna, która przywróciła mnie do życia. Jasnooka dusza, która nie pozwala zginąć pieśni Eo.

Trzęsę się z gniewu. Gdybym wrócił choćby dziesięć minut później, ten wieczór mógł mnie złamać na zawsze. Kolejnej śmierci bym nie zniósł, zwłaszcza jej śmierci.

– Oszczędź ich, Darrow – szepcze do mnie tak, jak Eo mogłaby szeptać, że mnie kocha. Jej słowa przeszywają mnie do szpiku kości. Nie mogę znieść jej głosu ani swojej furii.

Moje usta się nie poruszają. Twarz mam odrętwiałą, nie potrafię się pozbyć władającego nią gniewnego grymasu. Wyciągam chłopców za włosy na dwór i kopię ich tak długo, aż przychodzi Mustang. Zostawiam ich jęczących w śniegu i wracam, żeby pomóc jej się ubrać. Kiedy okrywam jej kościste ramiona zwierzęcymi skórąmi, wydaje się bardzo krucha.

– Nóż albo śnieg – daję chłopcom wybór, już ubrana.

W drżących dłoniach trzyma rozpalone noże. Kaszle. Wiem, o czym myśli. Jeżeli puścimy ich wolno, zabiją nas we śnie. Nie są śmiertelnie ranni; gdyby tak było, zjawilyby się medBoty. Chociaż może i nie, może medBoty nie pomagają Krzywoprzysięzcom.

Wybierają śnieg.

Cieszę się. Mustang nie chciała użyć noża.

Przywiązujemy ich do drzewa na skraju lasu i rozpalamy ognisko sygnalizacyjne, żeby któryś Dom ich znalazł. Mustang uparła się, żeby przyjść tu ze mną, chociaż cały czas kaszle. Jakby się obawiała, że nie spełnię jej prośby. Jej obawy są słuszne.

W nocy, kiedy już śpi, wstaję, żeby wrócić tam i zabić Krzywoprzysięzców. Jeżeli znajdzie ich Jowisz albo Mars, zdradzą naszą kryjówkę i zostaniemy pojmami.

– Nie, Darrow – odzywa się, kiedy odgarniam na bok jelenią skórę. Widzę jej twarz wyzierającą spod naszych koców.

– Jeżeli zostawimy ich przy życiu, będziemy musieli się przenieść – uprzedzam. – A ty jesteś chora. Umrzesz.

Tu mamy ciepło. Schronienie.

– Rano ruszymy w drogę – odpowiada. – Jestem twardsza, niż wyglądam.

Czasem takie słowa bywają prawdziwe. Ale nie tym razem.

Budzę się nazajutrz i widzę, że nocą wtuliła się we mnie, żeby się ogrzać. Jej ciało jest takie delikatne. Drży jak listek na wietrze. Czuję zapach jej włosów. Oddycha cicho. Ma na twarzy słone ślady. Chcę Eo. Żałuję, że to nie jej włosy, nie jej ciepło, ale nie odpycham Mustang. Kiedy ją obejmuję, czuję ból, który jednak pochodzi z przeszłości. Nie od niej. Ona jest czymś nowym. Czymś niosącym nadzieję. Jak wiosna przy mojej zimie.

O poranku ruszamy w głąb lasu i pod skałą budujemy szałas z połamanych drzew i śniegu. Nie wiemy, co się stało z Krzywoprzysięzcami i naszą jaskinią.

Mustang ledwie może spać, tak bardzo kaszle. Kiedy zasypia wtulona we mnie, delikatnie całuję ją w kark, bardzo delikatnie, żeby jej nie obudzić. Chociaż w duchu chciałbym, żeby się obudziła. I żeby wiedziała, że tu jestem. Jest rozpalona. Nucę Pieśń Persefony.

– Nie pamiętam słów – szepcze Mustang. Dziś wieczorem położyła mi głowę na kolanach. – Chciałabym je sobie przypomnieć.

Nie śpiewałem od czasu Lykos. Głos mam chrypliwy, zdarty. Pieśń płynie powoli.

*Słuchaj, ach, posłuchaj,
Wspomnij tamten czas, gdy przygasł skwar słońca,
zbóż rozkołysany łan ciągnął się bez końca.
Żeliśmy i tańczyli
do białego dnia,
śpiewając podzwonne
dla dobra i zła.*

*Synu, ach, mój synu,
wspomnij leśną gęstwę liśćmi gorejącą,*

zmianę pór roku, jesień przychodzącą.
Żeliśmy, zbierali,
niosło się śpiewanie.
Schron budowaliśmy,
nim zima nastanie.

Usłysz, jak w dolinie
żniwiarz kosi łąn, kosi łąn, kosi łąn.
Usłysz, jak w dolinie
żniwiarz śpiewa pieśń o upartej zimie.

Córko, moja córko,
wspomnij przejmujący, lodowaty dreszcz,
gdy śnieg przyniósł śmierć, a mróz skuwał deszcz.
Padaliśmy jak zżęci,
tańcząc tak jak wcześniej
w lodowatym piekle
ich zimowej pieśni.

Ach, kochanie moje,
wspomnij nasze krzyki: pod niebo się wzniosły,
gdy po zimie wiatr przyniósł przecudną woń wiosny.
Burzyli się i grzmieli,
my zaś pieśni ziarno
zasialiśmy, by powstrzymać
wściekłą ich zachłanność.

Synu, ach, mój synu,
wspomnij czas niewoli,
erę rządów złotych, kajdan i niedoli.
Burzyliśmy się, grzmieli,
by naszą dolinę
wyszarpać; by zdobyć
lepszyc snów krainę.

Usłysz, jak w dolinie
żniwiarz kosi łąn, kosi łąn, kosi łąn.
Usłysz, jak w dolinie

żniwiarz śpiewa pieśń o skończonej zimie.

– Dziwne – mówi Mustang.

– Co takiego?

– Mój ojciec mówił, że z powodu tej pieśni wybuchną zamieszki; że ludzie będą umierać. A to taka łagodna melodia. – Kaszle i pluje krwią na skóry. – Śpiewaliśmy przy ognisku, nocując w dziczy, kiedy ukrywał nas... – Znowu kaszle. – ...przed światem. Po śmierci... mojego brata... nigdy już ze mną nie zaśpiewał.

Wkrótce umrze. To kwestia czasu. Jest blada, z trudem się uśmiecha. Ponieważ medBoty się nie pojawiły, pozostaje mi tylko jedno. Muszę zostawić ją samą i iść po lekarstwa. Może któryś z Domów coś znalazł. Albo dostał jakieś iniektory w nagrodę. Niedługo będę musiał wyruszyć, ale najpierw muszę zdobyć dla niej coś do jedzenia.

Kiedy tego dnia poluję samotnie w zimowym lesie, ktoś mnie śledzi. Narzuciłem swoje nowe okrycie ze skóry białego wilka. Ten ktoś też nosi kamuflaż. Nie widzę go, ale wiem, że tam jest. Udaję, że muszę poprawić cięciwę łuku, i dyskretnie oglądam się za siebie. Nic. Cisza. Śnieg. Szmer wiatru wśród kruchych gałązek. Kiedy znów ruszam, ten ktoś idzie za mną.

Czuję jego obecność, trochę tak jak czuję ból mojej rany. Udając, że zobaczyłem jelenia, pośpiesznie przedzieram się przez gęstą kępę krzaków, a po jej drugiej stronie wspinam się na wysoką sosnę.

Słyszę ciche *pop!*

Przechodzi pod drzewem. Czuję to w kościach, czuję na skórze. Kopniakiem otrząsam śnieg z gałęzi pode mną. Białą puch obrysowuje pustą przestrzeń w kształcie człowieka.

Patrzy na mnie.

– Fitchner? – wołam z góry.

Znów strzela z gumy do żucia.

– Możesz już zejść, młody – burczy.

Wyłącza widmoPłaszcz i grawiButy i zapada się w śniegu. Jest ubrany w cienki czarny termik. Mój gruby polowy mundur w połączeniu ze zwierzęcą skórą nie jest nawet w połowie tak ciepły.

Nie widziałem Fitchnera od tygodni. Wydaje się zmęczony.

– Zamierzasz dokończyć dzieło Cassiusa? – pytam i zeskakuję.

Mierzy mnie wzrokiem i uśmiecha się półgębkiem.

– Marnie wyglądasz.

– Ty też. Miękkie łóżko, ciepła stawa i wino ci nie służą?

Olimp majaczy w oddali pomiędzy szkieletowymi gałęziami zimowych drzew.

Fitchner znów się uśmiecha.

– Czujniki wskazują, że straciłeś dwadzieścia funtów.

– Dziecięcy tłuszczyk. Cassius okroił mnie z niego swoim jonoMieczem.

Napinam łuk i biorę Fitchnera na cel. Ciekaw jestem, czy ma tarczę impulsową. Zatrzymałaby wszystko poza brzytwą i bronią impulsową – z nimi poradzi sobie tylko hiperPancerz, i to nie do końca.

– Powinienem cię zastrzelić.

– Nie ośmielisz się. Jestem rewizorem, młody.

Strzelam mu w udo. Strzała wyhamowuje, odbija się od niewidzialnej bariery i spada na ziemię. Bariera przez ułamek sekundy opalizuje. Czyli tarcze noszą na stałe, nawet bez hiperPancerza.

Fitchner ziewa.

– Dziecinada – mówi.

Tarcza impulsowa, grawiButy, widmoPłaszcz, poza tym ma chyba pięść impulsową, no i te słynne brzytwy. Śnieg topi się w zetknięciu z jego skórą. Wypatrzył mnie na drzewie, więc domyślałem się, że ma wszczepioną dodatkową optykę w oczach. Na pewno termo- i noktoWizję. Do tego interfejs sieciowy i moduł analityczny. Wiedział, ile ważę, przypuszczam, że zna także mój poziom leukocytów. Co tam jeszcze może mieć, analizę spektralną?

Ponownie ziewa.

– Ostatnio źle sypiamy na Olimpie. Dużo się dzieje.

– Kto dał Szakalowi holo, na którym zabijam Juliana? – pytam.

– Widzę, że nie tracisz czasu.

Zrobił coś, kiedy się odezwałem, bo dźwięk skupia się nagle wokół nas. Otacza nas niewidzialny bąbel pięciometrowej średnicy, spoza którego nie dochodzą żadne odgłosy. Nie wiedziałem, że mają takie zabawki.

– Dostał je od rewizorów – odpowiada.

– Których?

– Apolla. Nas wszystkich. To nie jest istotne.

Nie rozumiem.

– Domyślałem się, że faworyzują Szakala. Mam rację?

– Jak zwykle. – Strzela balonem z gumy. – Niestety nie można dopuścić, żebyś wygrał, a zaczynałeś się rozpędzać, więc...

Proszę, żeby mi to wyjaśnił. Mówi, że właśnie to zrobił. Oczy ma zmęczone, podkrążone i ani kolagen, ani kosmetyki, którymi usiłuje maskować znużenie, nie pomagają. Brzuch mu urósł. Ręce nadal ma chude. Coś go martwi, i nie jest to tylko jego wygląd.

– Nie można dopuścić, żebym wygrał? – powtarzam. – Nie można... Przecież to nie jest kwestia przyzwolenia albo jego braku. Myślałem, że w tej przeklętej grze chodzi o to, żeby każdy z nas wykuł sobie własne stopnie na szczyt. Skoro mnie nie pozwala się wygrać, to znaczy, że pozwala się Szakalowi.

– Trafiłeś w sedno. – Nie wydaje się przesadnie szczęśliwy.

– Ale w tym nie ma ani krztyny sensu. To niweczy cały sens gry. – Zapalam się. – Złamaliście reguły.

Najlepszy ze Złotych powinien zostać wyłoniony w sposób naturalny, tymczasem oni już wybrali zwycięzcę. To podważenie fundamentów nie tylko samego Instytutu, ale całej Wspólnoty. Rządzą najlepsi. Tak mówią. A teraz złamali własne zasady i w bójce na szkolnym boisku opowiedzieli się po jednej ze stron. Jak z Wawrzynem. Hipokryzja.

– Kim on niby jest? Drugim Aleksandrem? Cezarem? Dżyngis-chanem? Wigginem? To jakiś przeklęty nonsens.

– Adrius jest synem naszego ukochanego arcygubernatora Augustusa. Nic innego się nie liczy.

– To mi już mówiłeś, ale dlaczego miałby wygrać? Tylko dlatego, że ma ojca-ważniaka?

– Niestety tak.

– A konkretniej?

Fitchner wzdycha.

– Arcygubernator potajemnie zastraszał, przekupywał albo ugłaskiwał całą naszą dwunastkę, aż wreszcie zgodziliśmy się, że jego syn powinien wygrać. Musimy jednak zachować ostrożność w naszym oszustwie. Werbownicy, moi faktyczni przełożeni, siedzą w swoich zamkach, na statkach i tak dalej i śledzą każdy nasz ruch. Oni też są ważni. Do tego dochodzi Komisja Kontroli Jakości, Suwerenka, senatorowie i pozostali gubernatorowie. Szkół jest wprawdzie wiele, ale wszyscy mogą was oglądać, kiedy zechcą.

– Jak to? W jaki sposób?

Dotyka mojego pierścienia z wilkiem.

– NanoKamera biometryczna. Nie bój się, w tej chwili pokazuje im zupełnie co innego. Objąłem nas polem zakłócającym, a poza tym transmisja i tak idzie z dwunastogodzinnym opóźnieniem, niezbędnym do montażu. Poza tym jednak każdy werbownik i każdy Naznaczony może was podglądać, żeby zdecydować, czy po zakończeniu tej szopki nie zaproponować któremuś z was przyjęcia na staż. Za tobą wprost przepadają.

Oglądają mnie tysiące Aureusów.

Mój żołądek, i tak już ścięty lodem, zwija się w supeł.

Tiberius au Bellona, imperator Szóstej Floty, ojciec Cassiusa i Juliana i werbownik Domu Marsa widział, jak zabiłem jednego jego syna i oszukałem drugiego. Zapiera mi dech w piersi. Co by się stało, gdybym powiedział Titusowi, że rozpoznałem w nim Czerwonego, bo sam jestem Czerwony? Powiedziałem na głos, że jest Czerwonym, czy tylko tak pomyślałem? A może sam się zdradził, kiedy wymknął mu się jakiś „parszywy”?

– A gdybym go zdjął?

– Wtedy znikniesz. Pozostaniesz widoczny tylko dla kamer, które rozmieściliśmy na polu bitwy. – Fitchner mruga porozumiewawczo. – Tylko nikomu nie mów. Jeżeli werbownicy odkryją knowania arcygubernatora... komuś przyjdzie zapłacić wysoką cenę. Napięcie pomiędzy Domami na pewno wzrośnie, ale, co ważniejsze, może wybuchnąć Wojna Krwi pomiędzy Augustusem i Belloną.

– A ty będziesz miał kłopoty, jeśli dowiedzą się o przekupstwie.

– Ja? – Próbuje się uśmiechnąć. Bez powodzenia. – Ja będę martwy.

– Teraz rozumiem, dlaczego wyglądasz, jak wyglądasz. Wpadłeś w gówno po uszy. A jaka jest w tym wszystkim moja rola?

Parska oschle.

– Podobasz się wielu werbownikom. Ci z Domu Marsa pierwsi mogą zaproponować ci staż, ale masz pełne prawo rozważyć oferty także innych Domów. Gdybyś zginął, byłiby niepokieszeni. Zwłaszcza Miecz Domu Marsa. Na pewno o nim słyszałeś, nazywa się Lorn au Arcos i pierwszorzędnie włada brzytwą.

– Jaka... jest... moja... rola? – cedzę.

– Żadna. Masz przeżyć. Nie wchodź w drogę Szakalowi, bo Jowisz albo Apollo cię zabiją, a ja nie będę mógł ich powstrzymać.

- To jego psy strażnicze?
- Nie oni jedni.
- Jeżeli mnie zabiją, werbownicy zorientują się, że coś tu śmierdzi.
- Bynajmniej. Apollo wyręczy się którymś z innych Domów. Albo załatwimy sprawę osobiście i w montażu wytniemy odpowiedni kawałek nagrania. Apollo i Jowisz nie są głupi, nie pogrywaj sobie z nimi. Pozwól Szakalowi się bawić, a czeka cię piękna przyszłość.
- Ciebie też.
- Mnie też.
- Rozumiem.
- To dobrze. Dobrze. Wiedziałem, że jesteś rozsądny. Wielu rewizorów też cię lubi, wiesz? Nawet rewizorka Minerwy. Z początku cię nie znosiła, ale po tym, jak postanowiłeś nie brać Mustang do niewoli, może nadal przebywać na Olimpie. To znacznie mniej żenujące.
- Może przebywać na Olimpie? – powtarzam z miną niewiniątka.
- Oczywiście. Takie zasady obowiązują w Instytucie. Kiedy Dom zostanie pokonany, jego rewizor wraca do siebie, żeby tłumaczyć się przed werbownikami.
- Gdy Fitchner dostrzega nagły błysk w moim oku, jego uśmiech blednie.
- Czyli rewizor pokonanego Domu musi odejść, tak? A ty mówisz, że Jowisz i Apollo mogą chcieć mojej śmierci?
- Nie... – zaczyna błagalnie na dźwięk groźby w moim głosie. Przekrzywiam głowę na bok.
- Nie?
- Nie... nie możesz tego zrobić! – wypala zmieszany. – Przecież ci powiedziałem, że sam Miecz Domu Marsa chce cię przyjąć na staż! A są jeszcze inni: senatorowie, politikosowie, rewizorzy... Chcesz ot tak odrzucić przyszłość?
- Chcę urwać Szakalowi jaja, to wszystko. Potem poszukam sobie stażu. I przypuszczam, że po czymś takim będę mógł przebierać w ofertach.
- Darrow, chłopie! Bądźże rozsądny!
- Posłuchaj, Fitchner. Moi przyjaciele Roque i Lea zginęli na skutek knowań arcygubernatora. Przekonajmy się, co powie, kiedy wezmę do niewoli jego syna.
- Jesteś obłąkany jak Czerwony! – Kręci głową. – Dla rewizorów to być albo nie być. Żaden z nich nie jest usatysfakcjonowany swoją obecną

pozycją, wszyscy chcą się pięć wyżej. Jeżeli zagroisz ich przyszłości, Apollo i Jowisz obetną ci łeb!

– Chyba że wcześniej zniszczę ich Domy. – Marszczę brwi. – Bo kiedy to zrobię, będą musieli sobie pójść, zgadza się? Ktoś wiarygodny powiedział mi, że takie właśnie są reguły. – Klaszczę w dłonie. – Ale do rzeczy: moja przyjaciółka jest umierająca. Byłoby pierwszorzędnie, gdybyś mógł mi załatwić jakiś antybiotyk.

Wybałusza oczy.

– Po czymś takim? Dlaczego miałbym to zrobić?

– Dlatego, że do tej pory byłeś beznadziejnym rewizorem. Zalegasz z nagrodami dla mnie. A poza tym ty też musisz dbać o swoją przyszłość.

Prycha śmiechem. Kapitułuje.

– Uczciwie stawiasz sprawę.

Z przytwierdzonego do nogi pokrowca wyjmuję iniektor i podaje mi go. Zwracam uwagę, że jego tarcza nie robi mi żadnej krzywdy, kiedy nasze dłonie się stykają. Czyli można ją wyłączyć. Poklepuję go po ramieniu w geście wdzięczności. Przewraca oczami.

Wyłączył pancerz na całym ciele.

Błyskawicznie aktywuje go ponownie. Zawieszony przy pasie emiter wydaje ledwie słyszalne buczenie. Dobrze wiedzieć takie rzeczy, kiedy ma się wrogów wśród rewizorów.

– Co wobec tego zamierzasz? – pyta.

– Który jest groźniejszy, Apollo czy Jowisz? Tylko szczerze, Fitchner.

– Obaj są prawdziwymi potworami. Apollo jest bardziej ambitny. Bo Jowisz to prosty chłopak, po prostu lubi bawić się w boga.

– W takim razie zacznę od Domu Apolla. W następnej kolejności zmiażdżę Jowisza. Kiedy ich zabraknie, kto będzie chronił Szakala?

– Szakal – odpowiada z przekąsem.

– No to wtedy się przekonamy, czy faktycznie zasługuje na zwycięstwo.

Zanim się rozstaniemy, Fitchner rzuca na ziemię mały pakunek.

– Teraz to już bez znaczenia, ale dostałem coś takiego. Mam ci przekazać, że twoi przyjaciele o tobie nie zapomnieli.

– Jacy przyjaciele?

– Nie mogę powiedzieć.

Ktokolwiek mu to dał, naprawdę jest moim przyjacielem, bo w pudełku znajduję swojego Pegaza, a w nim – hemantus, który dała mi Eo. Zawieszam medalion na szyi.

Krzywoprzysięzcy

Przyjaciele o mnie nie zapomnieli. Co to może znaczyć? Jacy przyjaciele? Synowie Aresa? A może tajemniczego „przyjaciela” należało rozumieć bardziej ogólnikowo, jako moich sprzymierzeńców w Instytucie? Wiedzą, co oznacza Pegaz? Czy też po prostu zwrócili mi przedmiot, za którym – jak domniemywali – mogłem tęsknić?

Dużo tych pytań – i wszystkie nieistotne. Nieważne dla przebiegu gry. Gra. Czy istnieje coś poza nią? Wszystko, co prawdziwe na świecie, moje związki z ludźmi, moje aspiracje i potrzeby są nieodłącznie wpłątane w grę i uzależnione od mojego triumfu. Do zwycięstwa będę potrzebował armii, ale nie mogę stworzyć jej z niewolników. Nie powtórzę tego błędu. W tej chwili – podobnie jak później, kiedy stanę na czele rebelii – potrzebni mi są prawdziwi zwolennicy.

A człowieka nie można wyzwolić poprzez tę samą niesprawiedliwość, która go zniewoliła.

Tydzień po zastrzyku gorączka spada. Ruszamy na północ. Mustang odzyskuje siły. Już nie kaszle, znów chętnie się uśmiecha. Od czasu do czasu musi jeszcze odpoczywać, ale wkrótce niemal prześciga mnie w marszu. I wcale się z tym nie kryje. Staramy się hałasować jak najwięcej, żeby ściągnąć naszą zwierzynę. Kiedy w szóstą noc z rzędu rozpalamy paskudnie wielkie ognisko, udaje nam się zwabić pierwszą ofiarę.

Krzywoprzysięzcy przychodzą od strony strumienia, którego szum ma zagłuszyć ich kroki. Od razu przypadają mi do gustu. Gdyby nasze ognisko nie było pułapką, wzięliby nas z zaskoczenia – ale jest pułapką, która omal

się nie zamyka, kiedy dwie postaci wkraczają w krąg światła. Skoro jednak są dostatecznie sprytni, żeby podejść nas znad strumienia, są również dostatecznie sprytni, żeby zostawić kogoś w odwodzie. Słyszę dźwięk naprężanej cięciwy. Potem jęk. Mustang właśnie zdjęła trzeciego z intruzów kryjącego się w ciemności. Ja zajmuję się dwójką przy ogniu: wynurzam się ze swojej zasy, strząsam śnieg z wilczej skóry i uderzeniami drzewca łuku ogłuszam oboje.

Później ten załatwiony przez Mustang siedzi przy ognisku i masuje opuchnięte oko, a ja rozmawiam z ich przywódczynią. Nazywa się Milia, jest wysoka, chuda jak wierzbowa witka, ma pociągłą, nieco końską twarz i lekko się garbi. Szmaty i kradzione futra okrywają jej kościste ciało. Jej towarzysz – niski, niebrzydki, z trzema odmrożonymi palcami – ma na imię Dax. Dajemy im nasze zapasowe futra. Rozmowa od razu inaczej się toczy.

– Zdajecie sobie sprawę, że możemy was wziąć do niewoli? – upewnia się Mustang, pokazując im swój sztandar. – Po zakończeniu gry będziecie dwukrotnymi Krzywoprzysięzcami i wyrzutkami.

Milia nie wygląda na przejętą jej słowami. Dax owszem. Ten trzeci po prostu słucha przywódczyni.

– Obchodzi mnie to tyle co szczurza pyłka. Jeden raz czy dwa... Co za różnica? – odpowiada Milia. Wszyscy noszą znamiona niewolników Marsa. Nie znam ich, ale pierścienie zdradzają, że są z Domu Junony. – Wolę przełknąć hańbę, niż zdzierać kolana. Wiecie, kim jest mój ojciec?

– Twój ojciec mnie nie interesuje.

– Moim ojcem – nie ustępuje Milia – jest Gaius au Trachus, sędzia najwyższy południowej półkuli Marsa.

– Nadal mnie nie interesuje.

– Jego ojcem był...

– Jest mi to obojętne.

– Wobec tego jesteś głupcem – mówi, przeciągając zgłoski. – Głupcem po dwakroć, jeśli myślisz, że możesz mnie zniewolić. W nocy was zarżnę.

Skinieniem głowy daję znak Mustang, która podchodzi do Milii i przystawia jej sztandar do czoła. Symbol Marsa zmienia się w znak Minerwy. A potem Mustang ściera znamię.

Dax wytrzeszcza oczy.

– Nawet jeśli cię wyzwolę? – pytam. – Wtedy też mnie zarżniesz?

Nie wie, co powiedzieć.

– Mily? – odzywa się półgłosem Dax. – Co o tym myślisz?

– Koniec z niewolnictwem – kontynuuję. – Koniec z biciem. Ty kopiesz latrynę, ja kopię dwie, dla całego obozowiska. Jeżeli ktoś cię zrani, rozszarpie go. Czy przyłączycie się do naszej armii?

– Twojej armii – poprawia z naciskiem Mustang. Posyłam jej gniewne spojrzenie.

– Co to za jeden? – pyta ją Milia, nie spuszczaając mnie z oka.

– Żniwiarz.

Przez tydzień udaje się nam zebrać dziesięcioro Krzywoprzysięzców. Z mojego punktu widzenia cała dziesiątka już wcześniej dała wyrażnie do zrozumienia, że nie zamierza być niewolnikami. Dlatego ktoś, kto wskaże im cel, da jedzenie i futra i nie każe się całować po butach, może przypaść im do gustu. Większość z nich słyszała o mnie, ale wszyscy są rozczarowani, że nie mam słynnego sierpaka, który miałem przy sobie podczas walki z Paxem. Najwyraźniej gość stał się żywą legendą. Podobno podniósł z ziemi jeźdźca razem z koniem i zrzucił ich do Argosu, kiedy niewolnicy Marsa starli się z niewolnikami Jowisza.

Przybywa nas i zaczynamy się ukrywać przed większymi armiami. Może i należę do Domu Marsa, ale odkąd Roque nie żyje, a Cassius stał się moim wrogiem, do przyjaciół zaliczyć mogę tylko Quinn i Sevro. Może jeszcze Polluksa, ale to chorągiewka, ustawi się, jak wiatr zawieje. Gnojek.

Nie mogę wrócić do swojego Domu, nie ma tam dla mnie miejsca. Mimo że w przeszłości byłem ich przywódcą, dobrze pamiętam, jak na mnie patrzyli. Teraz najważniejsze, żeby się dowiedzieli, że żyję.

Chociaż wojna Marsa z Jowiszem trwa w najlepsze, zamek Ceres stoi nad rzeką niezłomny i niezdobyty. Znad wysokich murów cały czas unosi się dym z kominów piekarni. Konne oddziały zwaśnionych stron przetaczają się po równinie dookoła, swobodnie przekraczając zamarznięty Argos w tę i z powrotem. Jeźdźcy są teraz uzbrojeni w słabo naładowane jonoMiecze, dzięki czemu jednym muśnięciem metalu mogą się nawzajem razić prądem i okaleczać. MedBoty z wyciem silników śmigają nad placem boju, ilekroć niewinna potyczka przerodzi się w zacieklą bitwę; leczą rannych uczniów, którzy krwawią i jęczą z bólu po złamaniach. Wodzowie obu armii noszą jonoPancerze, które chronią przed tym nowym orężem. Konie się zderzają. JonoStrzały furkoczą w powietrzu. Na całej rozległej równinie pomiędzy wyżynami i wielkim Argosem niewolnicy kłębią się i okładają starszą, prostszą bronią. Spektakl jest nadzwyczaj widowiskowy, lecz zarazem skrajnie niemądry.

Razem z Mustang i Milią patrzymy, jak na równinie pod Fobosem armie Marsa i Jowisza pędzą sobie naprzeciw. Łopoczą chorągwie. Konie ubijają głęboki śnieg. Dwie zderzające się stalowe fale tworzą olśniewający obraz pancernej chwały. Lance skwierczą elektrycznością, kiedy trafiają w szerokie tarcze i zbroje. Roziskrzane miecze uderzają o siebie. Wysoki Pobór walczy między sobą. Dziesiątki niewolników rzucają się sobie do gardeł: pionki w gigantycznej partii szachów.

Rozpoznaję Paxa w obszernej rdzawo-szkarłatnej zbroi, tak starej, że wygląda jak piekarnik. Śmieję się, patrząc, jak pieszo ściera się z jeźdźcem. Gdybym jednak miał wskazać rycerza doskonałego, nie wybrałbym Paxa, lecz Cassiusa. Jego też widzę: odziany w lśniący pancerz, galopuje przez szeregi wroga i powala kolejnych nieprzyjaciół. Jego buczący miecz tnę na prawo i lewo, mieniąc się przy tym jak jęzor ognia. Potrafi walczyć, jestem jednak wstrząśnięty jego niemądrym zachowaniem: najpierw z oddziałem lansjerów daje szlachetnego nura w największą ciżbę i bierze nieprzyjaciół do niewoli, a zaraz potem niedobitki tamtych przegrupowują się i robią to samo – tylko w drugą stronę. Sytuacja powtarza się raz za razem i nikt nie zyskuje widocznej przewagi.

– Idioci – zwracam się do Mustang. – Idioci zaślepieni pięknymi pancerzami i świetlistymi mieczami. Chociaż jeśli zderzą się tak ze sobą jeszcze ze trzy, cztery razy, może coś z tego wyniknie.

– Znają się na taktyce – oponuje Mustang. – Spójrz: widzisz tę formację klina? A tutaj niby się cofają, a w rzeczywistości szykują manewr oskrzydłający.

– Mimo to mam rację.

– Powiedzmy raczej, że nie do końca się mylisz. – Przez chwilę w milczeniu obserwuję rozwój wypadków. – To przypomina naszą wojenkę, z tą tylko różnicą, że nie biegasz i nie wyjesz na ludzi jak wilk przy pełni Księżyca. – Z westchnieniem kładzie mi dłoń na ramieniu. – Ach, stare, dobre czasy.

Milia patrzy na nas. Krzywi się.

– Taktyką wygrywa się bitwy – zauważam. – A strategią wojny.

– Ho, ho, ho... Jestem Żniwiarz. Bóg wilków. Król strategii. – Mustang szczypie mnie w policzek. – Jaki ty jesteś słodki.

Odrącam jej rękę. Milia przewraca oczami.

– Jaka zatem będzie nasza strategia, milordzie? – pyta Mustang.

Im dłużej będę przeciągał konflikt, tym więcej czasu dam rewizorom, którzy chcą mnie zniszczyć. Moja gwiazda musi rozbłysnąć jak najprędzej.

Ale tego jej nie mówię.

– Szybkość – odpowiadam. – Szybkość i bezwzględność.

* * *

Następnego dnia rano żołnierze Marsa odkrywają, że most na Metas przegradzają im ścięte nocą drzewa. Zgodnie z przewidywaniami zawracają do zamku w obawie przed pułapką. Wartownicy w Fobosie i Dejmosie nie widzą nas. Patrzą z góry na okolicę i nadają sygnały dymne, że wśród nagich liściastych drzew wokół mostu nie ma wojsk nieprzyjaciela. Nie widzą nas, ponieważ od czarnego przedświt leżymy bez ruchu w lesie pięćdziesiąt metrów od mostu. Każdy z moich Krzywoprzysięzców ma już własne białe futro. Strawiliśmy tydzień na tropieniu wilków, ale może nawet dobrze się stało: wspólne polowanie wykuło łączącą nas więź. Moja dziesiątka żołnierzy to przypadkowa zbieranina kłamców i podłych kanciarzy, którzy wolą zniszczyć sobie przyszłość, niż pozostać niewolnikami w grze. Mam więc armię dumną i pragmatyczną, choć nieprzesadnie honorową. Idealną do moich celów. Twarze pomalowaliśmy na białą ptasim guanem i szarą gliną, przez co przywodzimy na myśl zimowe upiory dyszące parą z uśmiechniętych pysków.

– Lubią, kiedy doceni ich ktoś przerażający – powiedziała mi poprzedniego wieczoru Milia głosem cichym i kruchym jak zwieszające się z osik sople. – Ja też.

– Ci od Marsa połkną haczyk – szepcze teraz do mnie Mustang. – Niewielu im tam zostało mózgowców.

Zwłaszcza odkąd zabrakło Roque’a.

Wybrała sobie w śniegu miejsce blisko mnie, tak blisko, że jej nogi znajdują się tuż przy moich, a jej twarz – odwróconą w bok, kiedy przykryci skórą leżymy na brzuchu – dosłownie kilka cali dzieli od mojej. Kiedy robię wdech, wciągam do płuc powietrze ciepłe od jej oddechu. Chyba pierwszy raz przychodzi mi do głowy, żeby ją pocałować. Odpędzam od siebie tę myśl i przywołuję z pamięci obraz figlarnych ust Eo.

W południe Cassius przysłała żołnierzy – głównie niewolników, bo wciąż obawia się zasadzki – żeby uprzętnęli z mostu powalone drzewa. Prawdę mówiąc, poczyną sobie całkiem sprytnie. Ponieważ myśli, że walczy z Jowiszem, zakłada, że po udrożnieniu mostu nastąpi szarża kawalerii wroga. Dlatego kazał poprowadzić swoją jazdę okreśną drogą, przez góry, i dotrzeć na drugi brzeg rzeki nieopodal Fobosa, żeby zaatakować z zaskoczenia kawalerię Jowisza przybywającą (zgodnie z jego domysłami) z równin albo od strony Wielkiej Puszczy. Milia, sprytna dziewczyna, zawiadamia mnie o ruchach konnych głośnym skowytom ze swojego odległego o półtora kilometra punktu obserwacyjnego wśród wysokich sosen. Czas na nas.

Bez wycia i krzyków cała nasza dziesiątka puszcza się biegiem przez las w kierunku harujących na moście niewolników. Czterech konnych z wysokiego Poboru nadzoruje prace. Jednym z nich jest Cipio. Przyśpieszamy wśród nagich drzew, żeby uderzyć z flanki. Tamci nas nie widzą. Rozpraszamy się. Ścigamy się, kto zada pierwszy cios.

Wygrywam ten wyścig.

W tutejszym niskim ciążeniu jednym skokiem pokonuję w powietrzu pięć metrów, wylatuję spomiędzy drzew jak demon i tępym mieczem uderzam Cipio w bark. Spada z siodła. Konie rżą. Mustang sztandarem powala drugiego z jeźdźców. Moi Krzywoprzysięzcy szarżują w ciszy, plamy szarości i bieli. Dwóch wskakuje na pozostałe dwa konie i okłada jeźdźców pałkami i stępionymi siekierami. Zabroniłem zabijania. W cztery sekundy jest po wszystkim. Konie nawet się nie zorientowały, kiedy straciły jeźdźców. Moi ludzie wymijają je i ruszają na wciąż zajętych swoją pracą niewolników. Połowa z nich nie zauważyła naszego przybycia, dopóki Mustang nie wzięła sześciu z nich do niewoli w imieniu Minerwy i nie rozkazała im wesprzeć nas w walce z pozostałymi. Dopiero wtedy rozlegają się krzyki i niewolnicy Marsa wznoszą siekiery przeciw moim podwładnym.

Ci od Minerwy rozpoznają Mustang, która wyzwala ich, zmazując im piętna z czoł. Sześciu jest naszych – a potem jakby przypływ nagle zmienił się w odpływ: rzucają się na niewolników Marsa, obalają ich i przyszpilają do ziemi. Mustang podbiega i przerabia ich na swoich. Kolejnych ośmiu. Dziesięciu. Jedenastu i już tylko jeden sprawia problemy. To nasza główna nagroda. Pax. Chwała Bogu, że nie ma zbroi. Zatrudnili go jako zwykłego robotnika, ale naszych potrzeba aż siedmiu, żeby go powalić. Ryczy

w gniewie i wykrzykuje swoje imię. Dopadam do niego i walę go pięścią w twarz, a potem na przemian krztuszę się, pluję i śmieję, kiedy przywalamy go swoim ciężarem. Wreszcie całą dwunastką udaje nam się unieruchomić genetycznego potwora. Mustang uwalnia go od piętna Marsa, a wtedy jego ryk przechodzi w śmiech tak piskliwy, że brzmi jak dziewczęcy.

– Wolnoooość! – wykrzykuje. Zrywa się na równe nogi i rozgląda w poszukiwaniu kogoś, kogo mógłby okaleczyć. – Darrow au Andromedus! – woła do mnie, gotowy zmasakrować mi twarz.

– On jest po naszej stronie! – przekrzykuje go Mustang.

– To prawda? – pyta Pax i na jego ogromną twarz wypływa uśmiech. – Co za nowina! – I miażdży mnie w niedźwiedzim uścisku. – Wolnoooość, bracia... i siostry! Słodka wolność!

Cipio i pozostałych z wysokiego Poboru zostawiamy na ziemi, jęczących z bólu.

Z Fobosa i Dejmosa buchają sygnały dymne, a my już pędzimy na złamanie karku przez las w stronę niewybitnych gór na północy, zanim jeźdźcy Marsa zdołają zawrócić, objechać zablokowany most i nas zaatakować. Wartownicy na wieżach wszystko widzieli. Na pewno są teraz przerażeni. Cała rzecz rozegrała się w niespełna minutę.

Pax cały czas zanosi się tym dziewczęcym śmiechem.

Dom Marsa zdziwi się tym niespodziewanym obniżeniem stanu osobowego, ale ja potrzebuję czegoś więcej. Muszę zastąpić utrwaloną w ich głowach wizję mojej osoby jako niedoskonałego wodza czymś nadprzyrodzonym, czymś, czego nie będą potrafili zrozumieć. Muszę stać się jak Szakal: nadludzki i bezimienny.

W nocy przemykam wśród śniegów na północ od zamku Marsa. Jeźdźcy patrolują dolinę. Kopyta koni cicho stukają w trawie. Uzdy szczękają w ciemności. Nie widzę ich. Moja wilcza peleryna jest biała jak padający śnieg. Naciągnąłem także łeb wilka na głowę, co upodabnia mnie do strażnika przybywającego z zimnych kręgów piekła. Niewiele brakuje, żebym odpadł od pionowego śnieżnego zbocza. Docieram do murów zamku. Na blankach migoczą tarmoszone wiatrem pochodnie. Mniej więcej teraz Mustang powinna rozpałić ogień.

Zdejmuję i zwijam pelerynę. Skórę mam umazaną węglem drzewnym. Wciskam metalowe szczypce w szczeliny między kamieniami, trochę tak, jakbym znów wspinał się po swoim świdroSzponie, tyle że jestem silniejszy

i nie noszę piekarnika. Łatwizna. Pegaz obija mi się o pierś. Pnę się w górę i po sześciu minutach bez zadyszki jestem pod szczytem muru.

Wiszę wczepiony w kamień tuż poniżej blanków i nasłuchuję kroków przechodzącej wartowniczkii. To niewolnica, jakżeby inaczej. Zresztą niegłupia. Widząc, jak gramolę się przez blanki, przytyka mi do gardła grot włócznie. Pokazuję jej pierścień Marsa i przykładam palec do ust.

– Dlaczego miałabym nie krzyknąć? – pyta. Pochodzi z Domu Minerwy.

– Kazali ci pilnować murów przed wrogiem? Założę się, że tak. Ale ja jestem z Domu Marsa. Pierścień to potwierdza. Wobec tego nie mogę być wrogiem, zgadza się?

Marszczy brwi.

– Prymus kazał mi wypatrywać intruzów, a kiedy jakiegoś zobaczę, zabić go albo wszcząć alarm...

– To mój dom. Jestem prawowitym Prymusem Domu Marsa i twoim panem. Rozkazuję ci kontynuować straż. Dalej wypatruj intruzów. – Mrugam porozumiewawczo. – Virginia będzie zachwycona, jeśli wypełnisz rozkaz co do joty.

Na dźwięk imienia Mustang przekrzywia głowę i mierzy mnie baczным spojrzeniem.

– Mój Prymus żyje?

– Dom Minerwy jeszcze trwa.

Uśmiech niemal rozpoławia twarz dziewczyny.

– No... w takim razie... chyba faktycznie jesteś w domu. Nie mogę ci zabronić do niego wejść. Przysięga zobowiązuje. Ale czekaj, ja cię znam... Mówili, że nie żyjesz.

– Podziękuj Mustang, że jeszcze dycham.

Dowiaduję się od niej, że w nocy członkowie domu śpią, a twierdzy pilnują niewolnicy. Zostawiam ją samą na murach i przekradam się do donżonu. Drzwi otwieram kluczem, który przez przypadek włożyła mi w dłoń.

Na tym właśnie polega problem z niewolnikami. Zawsze szukają sposobu, żeby wyłgać się od obowiązków, i chętnie zdradzają tajemnice.

Przemykam ukradkiem po swoim domu. Kusi mnie, żeby złożyć wizytę Cassiusowi, ale nie przyszedłem, by go zabić. Przemoc to rozwiązanie dla głupców. Czasem bywam głupcem, ale dzisiaj czuję się sprytny. Nie przybyłem też po to, by wykraść sztandar, który z pewnością jest dobrze pilnowany. Nie. Przyszedłem im przypomnieć, że kiedyś się mnie bali; że

jestem z nich najlepszy; że mogę wejść, dokądkolwiek zechcę, i zrobić, cokolwiek zapragnę.

Zachowuję dyskrecję, chociaż mógłbym przekonać każdego niewolnika w taki sam sposób jak dziewczynę od Minerwy na blankach. Zamiast tego na każdych drzwiach wycinam symbol sierpaka, a potem zakradam się do sali narad i na blacie stojącego tam ogromnego stołu rzeźbię trupa czaszkę. Następnie taki sam symbol rzeźbię na oparciu krzesła Cassiusa i zostawiam nóż wbity głęboko w drewno, żeby stworzyć plotkę.

Kiedy wracam tą samą drogą, którą wszedłem, wzgórze na północ od zamku staje w ogniu. Drewno – ułożone w kształt sierpaka Żniwiarza – jasno płonie w mrokach nocy.

Jeżeli Sevro nadal jest z Marsem, odszuka mnie. Przyda mi się pomoc małego skurczybyka.

Drugi test

Jeżeli chcę mieć armię, muszę być zdolny ją wykarmić. Dlatego przejmę pieczę Ceres, na które Mars z Jowiszem ostrzą sobie zęby.

Nowi członkowie naszej drużyny z Domu Minerwy bez sprzeciwu zaakceptowali moją zwierzchność. Nie zamierzam się oszukiwać: owszem, pamiętają, jak niedawno ukryłem swoich Wyjców w brzuchach zabitych koni, tak jak pamiętają mój triumf nad Paxem, ale w tej chwili są mi posłuszni wyłącznie dzięki temu, że Mustang darzy mnie zaufaniem. Tych z Domu Diany na razie nie wyzwalamy, na ich lojalność muszę jeszcze zapracować. O dziwo, Tactus wydaje się jedynym, który mi wierzy. Z drugiej strony, kiedy przed ponad miesiącem zapowiedziałem mu, że zaszyję go w brzuchu martwego konia, rozpromienił się w uśmiechu. Mamy jeszcze dwóch takich od Diany, których wtedy zaszywałem. Pozostali nazywają ich trupoKońmi. Noszą plecione galony z końskiego włosia. Wydaje mi się, że są lekko szurnięci.

Jednej rzeczy z pewnością nie brakuje w lasach i wśród gór: wilków. Polowania na nie wykorzystuję do szkolenia rekrutów w moim stylu walki. Żadnych pięknych szarż kawaleryjskich, żadnych zakichanych lanc, a już na pewno żadnych reguł. Wszyscy dostają wilcze płaszcze, które cuchną okrutnie, suszone i obdrapywane z gnijących resztek mięsa; wszyscy poza Paxem: nie robią dostatecznie dużych wilków.

– Dom Ceres przywykł do obłężeń – mówi Mustang.

Ma rację. Wygląda na to, że u Ceres więcej żołnierzy strażuje nocą niż za dnia. Wypatrują oznak podstępnych ataków. W nocy oświetlają podnóża

murów płonącymi wiązkami chrustu. Nie wiem, jak to zrobili, ale mają też psy. Podejście od strony wody jest pilnie strzeżone, odkąd dawno temu, podczas wojny z Minerwą, próbowałem posłać Sevro do środka przez latryny. Ledwie mi to wybaczył. Uczniowie Ceres nie wychylają się ze swojej twierdzy, znają już ryzyko starcia z silniejszymi Domami w otwartym terenie. Na zimę zaszyli się w środku, żeby wiosną wyjść i – silni, zorganizowani, gotowi – stawić czoło osłabionym zimą i głodem wrogom.

Nie dotrważą do wiosny.

– Czyli atakujemy za dnia? – domyśla się Mustang.

– Naturalnie – potakuję.

Czasem zastanawiam się, po co w ogóle rozmawiamy. Mustang zna moje myśli, nawet te szalone.

A ten plan jest wyjątkowo szalony. Ćwiczyliśmy go na polanie w Północnej Puszczy przez cały dzień po uprzednim wyrąbaniu drzew siekierami. To Pax umożliwi nam jego realizację. Robimy konkurs, kto będzie najlepszy na belce. Wygrywa Mustang. Druga jest Milia z końską twarzą, wściekła, że dała się pokonać. Ja jestem trzeci.

Podobnie jak wcześniej, kiedy zastawiliśmy pułapkę na Dom Marsa, teraz też nocą podkradamy się jak najbliżej i zakopujemy w śniegu. We dwoje z Mustang znów zaszywamy się razem, przytuleni. Tactus próbuje dobrać do pary Milię, ale ona każe mu się walić.

– Gdyby przyjąć odpowiedni punkt widzenia – mruczy do niej chłopak, moszcząc się pod śmierdzącą pachą Paxa – to próbowałem wyświadczyć ci przysługę. Jesteś śliczna jak kurczak na gargulcu. W jakiej innej sytuacji będziesz miała okazję poprzytulać się z kimś takim jak ja, ty niewdzięczna macioro?

Mustang i reszta dziewczyn prychają pogardliwie. A potem noc i ziąb skutej lodem równiny dobierają się nam do skóry i zapada cisza.

O poranku jesteśmy przemarznięci. Świeży śnieg, który nas przysypał, zagraża realizacji naszego planu. Na szczęście wieje wiatr i wirujące w powietrzu płatki nie przykryły nas zbyt grubą warstwą. Budzę się pierwszy, ale nie wstaję od razu. Niedługo po tym, jak ziewam po raz ostatni i otrząsam się z resztek snu, moja armia budzi się sama z siebie: jeden uczeń wierci się i mamrocze, potem drugi, trzeci i wkrótce w płytkim tunelu pod śniegiem ożywia się cały wąż kaszlących i pociągających

nosami Złotych. Nie widzę ich, ale nawet wycie zamieci nie zagłusza wydawanych przez nich dźwięków.

Przez noc dookoła mnie i mojego grubego okrycia wytworzyła się warstwa lodu. Ciepłe dłonie Mustang dotykają mojego boku, jej oddech grzeje mi szyję. Kiedy się poruszam, dziewczyna ziewa, odsuwa się nieco i przeciąga jak kot, cały czas pod śniegiem, którego okruchy osypują się teraz pomiędzy nas.

– Nędza, przeklęta nędza... – mamrocze Dax, kompan Milii. Nie widzę go w naszym śnieżnym tunelu.

Mustang szturcha mnie pod żebro. Ledwie widzimy Tactusa wciśniętego w zagłębienie pachy Paxa. Przytuleni, budzą się jednocześnie jak para kochanków, otwierają oszronione powieki... i natychmiast odsuwają się gwałtownie od siebie.

– Ciekawe, który z nich to Romeo – szepcze ochryple Mustang.

Parskam śmiechem i wydłubuję dziurę w suficie tunelu. Wyglądam przez nią i stwierdzam, że moja dwudziestoczteroosobowa armia jest na równinie sama – jeśli nie liczyć widocznych w oddali konnych zwiadowców, ale oni mi nie przeszkadzają. Wiatr z północy, znad rzeki, boleśnie siecze mnie w twarz.

– Gotowy? – pyta wesoło Mustang, kiedy chowam się z powrotem. – A może za bardzo zmarzłeś?

– W jeziorze, kiedy pierwszy raz cię oszukałem, było jeszcze zimniej – odpowiadam z uśmiechem. – Ech, dawne czasy...

– Wszystko to składało się na mój wielki plan, by zaskarbić sobie twoje zaufanie, mały człowieczku. – Uśmiecha się figlarnie. Widząc niepokój w moich oczach, ściska mnie za udo i przysuwa się bliżej, żeby nikt jej nie usłyszał. – Myślisz, że siedziałabym tu z tobą pod śniegiem, gdybym przewidywała porażkę? Mowy nie ma. Ale wiatr zelżał, więc ruszajmy, zanim sobie jaja odmrozę, Żniwiarzu.

Odliczam wstecz i wstajemy. Śnieżna skorupa kruszy się wokół nas, a wiatr tnie po twarzach, kiedy biegiem pokonujemy sto metrów równiny dzielące nas od murów. Cała nasza dwudziestka z hakiem. W absolutnej ciszy. Wiatr jest porywisty. Niesiemy długi pień drzewa, tuląc się do niego tak, jak robiliśmy to przez całą noc, kiedy dzielił z nami śnieżny tunel. Jest ciężki, ale nas jest dwa tuziny, a Pax dostał w spadku po rodzicach geny, które pozwalają mu powalić konia. Dyszymy ciężko. Nogi palą żywym ogniem. Zaciskamy zęby, wgniatani ciężarem bala w głęboki śnieg. Ciężka

harówka. Okrzyk od strony murów, samotny, głuchy, niesie się daleko w zimowym porannym powietrzu. Rozlegają się kolejne, wciąż nieliczne. Szczekanie. Chaos. Obok nas przelatuje strzała. Potem druga. To niesamowite, jak cichy i spokojny staje się świat, kiedy strzały niosą śmierć. Wiatr znowu zelżał. Słońce wyziera zza chmur i pławi nas w cieple poranka.

Dopadamy do muru. Z drugiej strony i z wież dobiega coraz więcej pokrzykiwań. Ktoś gra na rogu. Szczekają psy. Śnieg osypuje się z blanków, kiedy łucznicy wychylają się ku nam. Strzała wbija się w drewno tuż obok mojej dłoni i przez chwilę wibruje. Ktoś osuwa się, zakrwawiony. To Dax. A potem Pax donośnym okrzykiem daje sygnał i wspólnie z Tactusem i piątką naszych najsilniejszych ludzi mocniej ujmują ociosany przez nas długi drewniany bal, stawiają go na skos, oparty czubkiem o mur, i przytrzymują w tej pozycji. Aż ryczą z wysiłku. Nadal brakuje mu pięciu metrów do szczytu muru, ale ja już pędzę na czworakach po wąskiej pochylni. Pax stęka jak dzik, wspierając bal od dołu. Ponagla nas basowym krzykiem. Mustang depcze mi po piętach, następna jest Milia. Niewiele brakuje, żebym się ześliznął, ale zmysł równowagi i dłonie pieklonurka pozwalają mi się piąć dalej po sękatym balu. Odziani w futra bardziej przypominamy w tej chwili wiewiórki niż wilki. Strzała ze świstem przeszywa moją pelerynę. Dopadam muru przy końcu chwiejącego się pnia. Pax i jego chłopcy stękają gardłowo z wysiłku, a ja splatam dłonie i podstawiam je Mustang. W biegu opiera na nich stopę, a wtedy wyrzucam ją w powietrze, żeby pokonała brakujące do korony muru pięć metrów. Tnie mieczem i wrzeszczy jak potępiona. Po chwili Milia w taki sam sposób wystrzeliwuje w górę, wlokąc za sobą linę, którą obwiązała się w pasie i którą teraz wiąże do blanków. Wspinam się po niej. Za moimi plecami pień drzewa z łoskotem wali się na ziemię. Dobytam broni. Panuje chaos. Dom Ceres dał się zaskoczyć. Nigdy przedtem wróg nie wdarł im się na mury, a tu nagle pojawiła się nasza trójka i z wraskiem siecze mieczami na prawo i lewo. Przepełniony gniewem i podnieceniem rozpoczynam swój taniec.

Tamci mają tylko łuki. Od miesięcy nie używali mieczy. Nasza broń nie jest ostra i nie razi elektrycznością, ale zimna duroStal jest paskudna w każdej postaci. Najgorsze są psy. Jednego kopię w łeb, drugiego zrzucam z muru. Milia walczy na leżąco z trzecim: gryzie go w szyję, okłada pięścią po jądrach i zmusza skomlącego do ucieczki.

Mustang spycha kogoś z blanków. Wjeżdżam wślizgiem w łucznika, który bierze ją na cel. Z dołu Pax krzyczy, żeby otworzyć bramę. Nie może się doczekać walki.

Mustang jest już na dziedzińcu, walczy z wysokim uczniem Domu Ceres. Zeskakuję do niej, załatwiam chłopaka uderzeniem łokcia i pierwszy raz mogę się naprawdę rozejrzeć po chlebowej twierdzy. Zamek ma osobliwą architekturę, nie widziałem jeszcze takiej konstrukcji. Z dziedzińca jest dostęp do kilkunastu mniejszych budynków oraz potężnego donżonu, w którym wypieka się chleb. Od zapachu aż mi burczy w brzuchu, ale w tej chwili najważniejsza jest brama. Pędzimy do niej. Krzyki za plecami. Zbyt wielu, żeby z nimi walczyć. Kiedy dopadamy do bramy, trzy tuziny uczniów Domu Ceres wybiegają z donżonu w naszym kierunku.

– Szybciej! – woła Mustang. – Szybciej!

Milia ostrzeliwuje przeciwników z podestu pod blankami.

Otwieram bramę.

– PAX AU TELEMANUS! PAX AU TELEMANUS!

Odpycha mnie z drogi: pólnagi, potężny, muskularny, wrzeszczący. Ufarbowane na białe włosy wysmarował dodatkowo żywicą i uformował w dwa rogi. Niesie drewniany drąg, wielki jak ja sam, który w jego rękach staje się pałą. Uczniowie Ceres cofają się, niektórzy się potykają, przewracają. Jakiś chłopiec krzyczy wniebogłosy. Pax jest coraz bliżej.

– PAX AU TELEMANUS! PAX AU TELEMANUS!

Nie potrzebuje przydomka. Rusza do ataku jak opętany minotaur i zderza się z masą uczniów Domu Ceres. Jatka. Chłopcy i dziewczęta fruwać w powietrzu jak plewy podczas młócki.

Reszta mojej armii wpada na dziedziniec tropem obłąkanego skurczybyka. Zaczynają wyc – nie dlatego, że im kazałem, nie dlatego, że uważają się za Wyców Sevro, ale dlatego, że taki właśnie dźwięk usłyszeli, gdy moi żołnierze wyrabiali się z końskich brzuchów. Wtedy ten dźwięk zgasił w nich nadzieję i zostali pokonani. Teraz przyszła ich kolej. Skowyczą jak opętani. Zamieszanie jest potężne. Pax wykrzykuje swoje imię na przemian z moim, niemal w pojedynkę zdobywając dla nas twierdzę. Łapie jakiegoś chłopaka za nogę i wywija nim jak maczugą. Mustang przemieszcza się po placu boju niczym jakaś Walkiria, biorąc do niewoli kolejnych leżących na ziemi oszołomionych przeciwników.

Po pięciu minutach cytadela i piece są nasze. Zamykamy bramę, wyjemy głośno i jemy parszywy chleb.

Wyzwalam niewolników Domu Diany, którzy pomogli mi zdobyć twierdzę. Każdemu poświęcam chwilę, żebyśmy razem się pośmiali. Tactus siedzi na plecach jakiegoś nieszczęśnika i zaplata mu włosy w dziewczynskie warkoczki. Szturcham go, żeby wstał. Odtrąca moją rękę.

– Nie dotykaj mnie.

– Coś ty powiedział? – warczę.

Szybko się prostuje. Nosem ledwie dosięga mojego podbródka.

– Posłuchaj, wielkoludzie – mówi bardzo cicho, tak, żeby nikt inny go nie usłyszał. – Wywodzę się z *gens Valii*. Mój rodowód sięga czasów Podboju. Mógłbym cię kupić za swoje kieszonkowe z jednego tygodnia, a potem sprzedać. Dlatego nie próbuj mnie poniżać w tej zabawie, tak jak to robisz z innymi, królu podwórka. – Podnosi głos i mówi dalej: – Robię, co chcę, ponieważ zdobyłem dla ciebie ten zamek, a wcześniej spałem w końskim truchle, żebyśmy mogli zająć twierdzę Minerwy! Zaslужuję na odrobinę rozrywki!

Nachylam się nad nim i również zniżam głos:

– Trzy kwarty.

Przewraca oczami.

– Co tam burczysz?

– Tyle właśnie krwi każę ci wypić.

– No tak, kto ma siłę, ten ma słuszność.

Parska śmiechem i odwraca się do mnie plecami.

Tłumię gniew i tłumaczę swoim żołnierzom, że dopóki będą nosić moje wilcze skóry, nie zostaną więcej zniewoleni w tej grze. Jeżeli ten pomysł im się nie podoba, mogą odejść. Żaden nie odchodzi, co było do przewidzenia. Chcą, żebym wygrał. Jeśli jednak mają słuchać moich rozkazów i zrozumieć, że wcale nie uważam się za jakiegoś wszechmocnego cesarza, muszę jakoś docenić ich dumne serca. Doceniam je więc. Komplementuję każdego z uczniów z osobna, chwale go w sposób, który zapamięta na zawsze. Przybyłem zniszczyć ich Wspólnotę, jestem strażą przednią miliarda wrzeszczących Czerwonych, ale ci tutaj będą opowiadać swoim dzieciom, że Darrow z Domu Marsa poklepał ich kiedyś po plecach i osobiście pochwalił.

Pokonani uczniowie Domu Ceres z niedowierzaniem patrzą, jak wyzwalam służących w mojej armii niewolników. Nie rozumieją. Rozpoznają mnie, ale nie pojmują, dlaczego nie ma ze mną ani jednego ucznia Domu Marsa, dlaczego to ja dowodzę ani dlaczego wydaje mi się, że mam prawo zwracać wolność niewolnikom. Kiedy tak stoją i się gapią, Mustang bierze ich do niewoli i naznacza piętnem Domu Minerwy, czym tylko potęguje ich dezorientację.

– Zdobądźcie dla mnie twierdzę – zwracam się do nich – a również staniecie się wolni. – Ich ciała różnią się od naszych, są bardziej miękkie: więcej chleba, niewiele mięsa. – Tymczasem na pewno tęsknicie za dziczyzną. Coś mi się widzi, że w waszej diecie brakuje protein.

My zaś przynieśliśmy ich aż nadto i możemy się podzielić.

Wyzwalamy niewolników, których Dom Ceres pojmał w ubiegłych miesiącach. Nie ma ich wielu, większość pochodzi z Domów Marsa i Junony. Początkowo są zdziwieni tym nowym sojuszem, ale po miesiącach harówki w piekarni szybko przechodzą nad nim do porządku dziennego.

Noc kończy się przykrym akcentem. Budzę się godzinę po zaśnięciu. Kiedy otwieram oczy, Mustang siedzi na skraju mojego łóżka. Na jej widok przeszywa mnie zgroza, podejrzewam, że przyszła z innego powodu, a jej dłoń na moim udzie oznacza coś zwyczajnego, coś ludzkiego. Zamiast tego przynosi nowinę, której wolałbym nigdy nie usłyszeć.

Tactus zlekceważył moją władzę i próbował zgwałcić niewolnicę z Domu Ceres. Milia go przyłapała. Mustang z trudem powstrzymała ją od posiekania chłopaka na plasterki. Wszyscy chwycili za broń.

– Jest źle – przyznaje Mustang. – Uczniowie Diany uzbroili się po zęby. Będą chcieli odbić Tactus z rąk Milii i Paxa.

– Powariowali? Chcą walczyć z Paxem?

– Mhm.

– Ubiorę się.

– Tak, proszę.

Dwie minuty później spotykamy się w sali narad. W blacie stołu ktoś wyrył znak: sierpak. Ktokolwiek to zrobił, wyszło mu to znacznie lepiej, niż wyszłoby mnie.

– Przemyślenia? – pytam i opadam na fotel naprzeciw Mustang.

Naradzamy się we dwoje. W takich chwilach brakuje mi Cassiusa, Roque'a, Quinn i innych. Zwłaszcza Sevro.

– Kiedy Titus zrobił coś takiego, powiedziałeś, jeśli mnie pamięć nie myli, że sami stanowimy swoje prawa. Skazałeś go na śmierć. Zamierzasz to powtórzyć? Czy szukamy innego, wygodniejszego wyjścia? – pyta takim tonem, jakby już uznała, że zamierzam darować Tactusowi.

– Zapłaci za to. – Jest zaskoczona, kiedy kiwam głową.

– To jest... Jak mnie to wkurza! – Zdejmuje stopy ze stołu, pochyla się nad blatem i kręci głową. – Powinniśmy być ponad to! Niezrównani mają być odporni na żądze, które – palcami rysuje w powietrzu podwójny cudzysłów – „niewolą słabsze Kolory”.

– Nie chodzi o żądze. – Sfrustrowany bębnię palcami po stole. – Chodzi o władzę.

– Tactus pochodzi z Domu Valii! – wykrzykuje Mustang. – To prastary ród. Mało mu jeszcze władzy?

– Miałem na myśli władzę nade mną – uściślam. – Zabroniłem mu czegoś, więc próbuje udowodnić, że może robić, co chce.

– Czyli nie jest takim dzikusem jak Titus.

– Poznałaś go, oczywiście, że jest dzikusem. Ale w tym wypadku to było posunięcie taktyczne.

– No to cwany gnojek postawił cię w trudnej sytuacji.

Uderzam w blat otwartą dłońią.

– Nie podoba mi się, kiedy ktoś wybiera za mnie bitwy i place boju. Dlatego Tactus przegra.

– Tu nie będzie zwycięzców. Nie wyjdiesz z tego obronną ręką, ktoś tak czy inaczej cię znienawidzi. Dlatego musimy się zastanowić, jak zminimalizować szkody. Zgadza się?

– A gdzie sprawiedliwość?

– A gdzie zwycięstwo? – Mustang unosi brwi. – Nie ono jest najważniejsze?

– Próbujesz mnie wciągnąć w pułapkę?

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Tak cię tylko sprawdzam.

– Tactus zabił Tamarę, swojego Prymusa. – Marszczę brwi. – Przeciął popręg jej siodła, a potem ją stratował. Jest podły. Zasługuje na karę i wymierzmy mu ją.

Znów unosi brwi, jakby tego dokładnie się spodziewała.

– Kiedy widzi coś, czego chce, bierze to sobie.

– Godne podziwu – mruczę.

Przekrzywia głowę i taksuje mnie wzrokiem.

– To rzadkość.

– Co takiego?

– Źle cię oceniłam. To rzadkość.

– A może to ja źle oceniam Tactusa? Może wcale nie jest podły? Może po prostu wystaje ponad przeciętną? Lepiej rozumie zasady gry?

– Nikt ich nie rozumie.

Znów opiera ubłocone buty na stole i rozpiera się wygodnie w fotelu. Zaplecione w długie warkocz złote włosy opadają jej poniżej ramion. Ogień trzaska w kominku, jej oczy płasają po mojej twarzy. Kiedy tak się uśmiecha, przestaję tęsknić za starymi przyjaciółmi.

Proszę ją, żeby rozwinęła swoją myśl.

– Nikt ich nie rozumie, bo nikt ich nie zna – wyjaśnia. – Nie wszyscy stosują się do tych samych reguł. Jak w życiu. Niektórzy uważają ideę honoru za uniwersalną, wydaje im się, że prawo obowiązuje wszystkich. Inni wiedzą, że prawda wygląda inaczej. Czy jednak nie jest tak, że ostatecznie ci, którzy dzięki truciznie wspięli się na szczyt, od trucizny także giną?

– W bajkach. – Wzruszam ramionami. – W prawdziwym życiu bywa i tak, że nie zostaje nikt, kto mógłby im tę truciznę podać.

– Niewolnicy z Domu Ceres spodziewają się odpłaty. Oko za oko. Jeśli ukarzesz Tactusa, wkurzysz dzieciaki od Diany: oto zdobyli dla ciebie twierdzę, a ty plujesz im w twarz. Nie zapominaj, że dla nich Tactus jest człowiekiem, który przesiedział pół dnia w brzuchu zabitego konia, kiedy zdobywaliście mój zamek. Żal wzbierze jak biurokracja Miedzianych. Jeżeli jednak go nie ukarzesz, stracisz poparcie Ceres.

– Nie mogę sobie na to pozwolić. – Wzdycham. – Raz już oblałem ten test. Skazałem Titusa na śmierć, myśląc, że wymierzam sprawiedliwość. Myliłem się.

– Tactus to Żelazny Złoty. Jego ród jest stary jak sama Wspólnota. Z ich punktu widzenia współczucie i reformy to choroba. Tactus jest nieodrodnym potomkiem swojej rodziny. Nie zmieni się. Nie nauczy. Wierzy w siłę, która daje władzę. Inne Kolory nie są dla niego ludźmi. Pomniejsi Złoci nie są dla niego ludźmi. Jest niewolnikiem przeznaczenia.

A ja jestem Czerwonym, który gra Złotego. Nikt nie jest niewolnikiem przeznaczenia. Mogę zmienić Tactusa. Wiem, że mogę. Tylko jak?

– Jak myślisz, co powinienem zrobić? – pytam.

– Ha! Wielki Żniwiarz! – Mustang klepie się dłonią po udzie. – Od kiedy to interesuje cię zdanie kogokolwiek innego?

– Nie jesteś kimkolwiek innym.

Kiwa głową, przez chwilę milczy, w końcu znów się odzywa:

– Mój nauczyciel, Pliniusz, upiorny facet, nawiasem mówiąc, opowiedział mi kiedyś pewną historię. Z czasem został politikosem, więc należy jego słowa traktować z rezerwą, ale odbiegam od tematu... Żył kiedyś na Ziemi człowiek, który miał wielbłąda. – Parskam śmiechem. Mustang mówi dalej: – Przemierzali wielką pustynię, na której groziła im cała masa niebezpieczeństw. Pewnego dnia człowiek szykował właśnie obozowisko na noc, kiedy wielbłąd go kopnął, ot tak, bez powodu. Za karę mężczyzna wybatożył zwierzę do krwi. Wdało się zakażenie, wielbłąd padł i mężczyzna został sam na środku wielkiej pustyni.

– Dłonie. Wielbłądy. Ty i te twoje metafory...

Wzrusza ramionami.

– Bez armii jesteś samotnym człowiekiem pośrodku pustyni. Stąpaj ostrożnie, Żniwiarzu.

* * *

Biorę na stronę Nylę, tę dziewczynę z Domu Ceres, którą Tactus chciał skrzywdzić, żeby z nią porozmawiać. Nie jest specjalnie wygadana. Umysł ma ostry jak brzytwa, ale wyglądem nie zwraca na siebie uwagi. Przypomina mi Leę. Przywodzi na myśl drżącego ptaka śpiewającego. Na widok jej opuchniętej i rozciętej wargi mam ochotę wykastrować Tactusa. Wydaje się mniej niegodziwa od większości uczniów. Z drugiej strony – musiała przecież przejść Próbę.

– Powiedział, żebym rozmasowała mu ramiona. Kazał mi być posłuszną, mówił, że jest moim panem i władcą, bo zapłacił własną kwią za zdobycie zamku. A potem próbował... no wiesz...

Sto pokoleń mężczyzn posługiwało się tą nieludzką logiką. Od słów Nyli ogarnia mnie taki smutek, że zaczynam tęsknić za domem – chociaż przecież i tam było tak samo. Pamiętam krzyki, od których chochła drżała w dłoni mojej matki. Pamiętam, w jaki sposób moja kuzynka zdobyła antybiotyk od tego Gammy.

Nyla mruga powiekami i wbija wzrok w podłogę.

– Mówiłam mu, że jestem niewolnicą Mustang. Domu Minerwy. To jej sztandar. Tłumaczyłam, że nie muszę go słuchać. Ale on nie ustępował, tylko próbował mnie przygnieść. Zaczęłam krzyczeć. Uderzył mnie, a potem złapał za gardło i trzymał tak długo, aż świat pociemniał mi przed oczami i przestałam czuć odór tego jego wilczego płaszcza. I chyba wtedy ta wysoka dziewczyna, Milia, zrzuciła go ze mnie.

Nie wspomniała o tym, że w pokoju byli wtedy także inni żołnierze z Domu Diany. Patrzyli. Moja armia. Dałam im władzę, a oni użyli jej w taki sposób. To moja wina. Są moi, ale są też podli. Nie wystarczy ukarać jednego z nich. Muszą chcieć stać się dobrzy.

– Co chciałabyś, żebym z nim zrobił? – pytam.

Nie próbuję jej przytulić, nie potrzebuje mojej pociechy – nawet jeśli mnie wydaje się inaczej. Przypomina mi również Evey.

Skubie brudne włosy i wzrusza ramionami.

– Nic.

– „Nic” nie wystarczy.

– Żeby naprawić to, co próbował mi zrobić? Żeby mi to wynagrodzić? – Kręci głową i bierze się pod boki. – Wszystkiego będzie mało.

Następnego ranka zbieram swoje wojsko na placu pośrodku twierdzy. Kilkunastu żołnierzy utyka. Kości Aureusów są bardzo mocne, naprawdę trudno je złamać, więc obrażenia odniesione podczas szturmów są w większości powierzchowne. Czuję wzajemną niechęć bijącą od uczniów z Domów Ceres i Diany; jest jak rak, który pochłonie ciało mojej armii bez względu na to, na kim się skupi.

Pax przyprawia Tactusa i powala go na kolana.

– „Podczas wojny milczą prawa” – cedzi słowa Tactus.

– Nie cytuj mi tu Cyclerona. Mam prawo wymagać od ciebie więcej niż od jakiegoś centuriona-dezertera.

– Przynajmniej w tym wypadku masz słuszność. Jestem istotą wyższą, wywodzę się ze wspaniałego, dumnego rodu. Kto ma siłę, ten ma słuszność. Jeżeli mogę coś sobie wziąć, biorę. A jeżeli biorę, to zasługuję, by to zatrzymać. Tak uważają Niezrównani.

– „Miarą człowieka jest to, co robi z posiadaną władzą” – odpowiadam głośno.

– Daj spokój, Żniwiarzu. – Jest pewny siebie, jak oni wszyscy. – Ona jest łupem wojennym. Zdobyłem go, bo jestem silny. Słabi uginają się przed silnymi.

– Jestem od ciebie silniejszy – wytykam mu. – Zatem mogę z tobą zrobić, co zechcę. Zgadza się?

Nie odpowiada. Zdaje sobie sprawę, że wpadł w pułapkę.

– Pochodzisz z lepszej rodziny niż moja, Tactusie. Moi rodzice nie żyją. Jestem jedynym żyjącym członkiem naszego rodu. Mimo to ja jestem dla ciebie istotą wyższą.

Odpowiada mi zarożumiałym uśmiechem.

– Nie zgadzasz się? – Rzucam mu pod nogi nóż, sam dobywam własnego. – Proszę, daj wyraz swoim wątpliwościom.

Nie sięga po broń.

– A zatem – podejmuję – mogę zrobić z tobą, co zechcę.

Zapowiadam, że nie będzie przyzwolenia na gwałty, i pytam Nylę, jaką karę chciałaby wymierzyć Tactusowi. Powtarza to, co powiedziała mi wcześniej: nie chce go karać. Muszą to usłyszeć, żeby później nikt nie miał do niej pretensji. Tactus i jego zbrojni poplecznicy patrzą na nią z niedowierzaniem. Nie rozumieją, dlaczego Nyla nie chce się mścić, ale nie przeszkadza im to uśmiechać się drapieżnie i spoglądać po sobie z zadowoleniem. Wygląda na to, że ich wódz uniknie kary.

– Ja jednak skazuję cię na dwadzieścia batów skórzanym biczem, Tactusie – przemawiam wtedy. – Próbowaleś zawłaszczyć coś, co do ciebie nie należało. Złamałeś reguły gry. Poddaleś się żalosnemu zwierzęcemu instynktowi. Tutaj jest to czyn bardziej niewybaczalny od morderstwa. Mam nadzieję, że kiedy za pięćdziesiąt lat spojrzysz wstecz, poczujesz wstyd na wspomnienie swojej słabości. Obyś żył w lęku przed tym, że twoi synowie i córki dowiedzą się, jak potraktowałeś inną Złotą. Do tego czasu dwadzieścia batów wystarczy.

Zagniewani żołnierze Diany występują naprzód, ale na widok Paxa z opartym na ramieniu ciężkim toporem natychmiast się cofają i tylko patrzą na mnie wilkiem. Sprezentowali mi twierdzę, a ja teraz zamierzam wybatożyć ich ulubionego wojownika. Oczami wyobraźni widzę zagładę mojej armii, gdy Mustang ściąga koszulę Tactusowi, który mierzy mnie wężowym spojrzeniem. Wiem, jakie złe myśli chodzą mu w tej chwili po głowie. Mnie też chodziły, kiedy byłem biczowany.

Wymierzam mu dwadzieścia okrutnych smagnień. Nie próbuję się hamować. Krew spływa mu po plecach. Niewiele brakuje, żeby Pax musiał zarząbać któregoś z uczniów Diany, tak bardzo rwą się do interwencji.

Tactus ledwie wstaje na nogi. Jego oczy pałają gniewem.

– Popełniłeś błąd – szepcze do mnie. – Wielki błąd.

Wkładam bicz w jego dłoń, czym zupełnie go zaskakuję, łapię go za kark i przyciągam do siebie.

– Zaslugujesz, żeby ci obciąć jaja, samolubny skurwysynu – szepczę. – To moja armia – mówię głośniej. – Moja! Odpowiedzialność za wyrządzone przez nią zło spada na mnie, na Tactusa, na was wszystkich. Ilekroć ktoś z was dopuści się podobnego czynu, niepotrzebnej, perwersyjnej zbrodni, poniesiecie jej konsekwencje, a ja poniosę je razem z wami. Bo kiedy zachowujecie się podle, krzywdzicie nas wszystkich.

Zmieszany Tactus stoi przede mną jak głupek. Popycham go w pierś. Zatacza się do tyłu. Idę za nim i znów go popycham.

– Co zamierzałeś zrobić? – Przyciskam mu rękę z biczem do piersi.

– Nie wiem, o czym mówisz... – mamrocze, zataczając się pod kolejnym popchnięciem.

– Nie żartuj! Zamierzałeś wsadzić kutasa żołnierce mojej armii! Skoro tak, to może od razu wybatoż mnie? Mnie też zrań! Właściwie czemu nie? Nawet będzie ci łatwiej. Obiecuję, że Milia nie będzie próbowała cię zadźgać.

I jeszcze raz go szturcham. Rozgląda się. Nikt nic nie mówi.

Ściągam koszulę. Powietrze jest zimne. Klękam na kamieniu i śniegu. Spoglądam w oczy Mustang. Mruga do mnie, a ja czuję, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Każę Tactusowi wymierzyć mi dwadzieścia pięć batów. Zdarzało mi się obrywać gorzej. Ręce chłopaka są słabe, kierująca nimi wola również. Boli, ale po pięciu uderzeniach wstaję, zabieram mu bicz i oddaję go Paxowi.

Żołnierze zaczynają liczyć od sześciu w górę.

– Od początku! – wołam do nich. – Taki kundel-gwałciciel nie jest w stanie wyrządzić mi krzywdy!

Co innego Pax.

Moje wojsko głośno protestuje. Nie rozumieją. Złoci się tak nie zachowują. Nie poświęcają się jeden dla drugiego. Wodzowie biorą, nie dają. Krzyki nie ustają. Pytam ich, w czym gorsza jest chłosta wymierzona mnie od gwałtu, który najwyraźniej im nie przeszkadzał? Czy Nyla nie jest jedną z nas? Czy nie jest częścią ciała?

Tak jak Czerwoni. Jak Obsydianowi. Jak wszystkie Kolory.

Pax stara się miarkować, ale pozostaje Paxem, więc kiedy kończy, moje plecy przypominają przeżute kozie mięso. Wstaję. Robię, co mogę, żeby

nie chwiać się na nogach. Widzę gwiazdy. Chce mi się wyć. I płakać. Zapowiadam, że jeśli ktoś z nich dopuści się jakiegoś łajdactwa (wiedzą, co mam na myśli), będzie musiał mnie wychłostać na oczach całej armii. Widzę, jak patrzą teraz na Tactusa. Na Paxa. Na moje plecy.

– Nie dlatego jestem waszym wodzem, że jestem najsilniejszy. Najsilniejszy jest Pax. Nie dlatego mnie słuchacie, że jestem najbystrzejszy. To rola Mustang. Poszliście za mną, bo nie wiecie, dokąd zmierzacie. A ja to wiem.

Przywołuję Tactusa skinieniem ręki. Waha się, blady i zdezorientowany jak nowo narodzone jagnię. Na jego twarzy maluje się strach. Strach przed nieznanym. Strach przed bólem, który znoszę z własnej woli. Strach na myśl o tym, jak bardzo się różnimy.

– Nie bój się – mówię i zagarniam go w objęcia. – Jesteśmy braćmi krwi, gnojku. Jesteśmy braćmi krwi.

Uczę się.

Południe

– Ja chromolę! – kwilę.

Jesteśmy w sali narad. Mustang, która smaruje mi rany maścią, pstryka mnie przy tym palcem w plecy.

– A to za co? – jęczę.

– „Miarą człowieka jest to, co robi z posiadaną władzą”. – Mustang się śmieje. – Najpierw z niego drwisz, że cytuję Cyncerona, a potem okładasz go Platonem.

– Platon jest starszy. Przebija Cyncerona. Auć!

– A o co chodziło z tymi „braćmi krwi”? Bo to zupełnie nic nie znaczy. Równie dobrze mógłbyś was nazwać szyszkowymi kuzynami.

– Nic tak nie łączy, jak wspólnie odczuwany ból.

– Wedle życzenia – mówi Mustang i wydobywa z rany skrawek skóry z bicia.

Znowu kwilę.

– Wspólnie odczuwany! – Wzdrygam się. – Nie zadawany. Ty psycho... Ała!

– Nie zachowuj się jak dziewczyna. Męczennicy powinni być twardzi, nie? Chociaż może ty wcale nie jesteś męczennikiem, tylko wariatem. Skutki gorączki po pchnięciu mieczem. Nawiasem mówiąc, zniszczyłeś psychicznie Paxa. Chłopak płacze. Moje gratulacje.

Rzeczywiście, słysząc ze zbrojowni, jak Pax pociąga nosem.

– Ale podziało, prawda?

– Jeszcze jak, mesjaszu. Stworzyłeś sektę – szydzi. – Stawiają na placu twoje idole. Klękają przed nimi i modlą się o twoją mądrość. O, wszechpotężny panie! Będę się śmiała do rozpuku, kiedy dojdą do wniosku, że jednak cię nie lubią i mogą cię prać po plecach za każdym razem, kiedy coś przeskrobia. A teraz nie ruszaj się, Piksie. I przestań gadać. Działasz mi na nerwy.

– Wiesz co? Po ukończeniu Instytutu mogłabyś zrobić karierę jako Różowa. Masz takie delikatne ręce...

– Chcesz mnie wysłać do Ogrodu Różanego? – Uśmiecha się z wyższością. – To by dopiero mój ojciec poróżowiał... No już, już, nie kwicz tak. Gra słów nie była aż taka kiepska.

* * *

Następnego dnia organizuję swoją armię. Zlecam Mustang sformowanie sześciu trzyosobowych oddziałów zwiadowczych. W sumie mam pięćdziesięciu sześciu żołnierzy, z czego ponad połowę stanowią niewolnicy. Każę jej przydzielić do każdej grupy kogoś z Domu Ceres, oni są najbardziej ambitni. Dostają również sześć komunikatorów, które znalazłem w sali narad w ich zamku. Trzeszczące słuchawki z mikrofonami są dość prymitywne, ale dają mojemu wojsku coś, czego nigdy nie mieliśmy: system łączności przewyższający sygnały dymne.

– Domyślałam się, że masz jakiś lepszy plan niż po prostu ruszyć na południe niczym mongolska orda... – zagaduje Mustang.

– Oczywiście. Znajdziemy twierdzę Domu Apolla.

Tak jak obiecałem Fitchnerowi.

Wieczorem zwiadowcy ruszają z grubsza na południe i rozpraszają się w sześciu różnych kierunkach. O brzasku, tuż przed wschodem zimowego słońca, rusza za nimi moja armia. Nie zamierzam przegapić takiej sposobności. Zima zmusiła Domy do pozamykania się w zamkach. Głęboki śnieg i niewidoczne pod nim wąwozy spowolnią ciężką jazdę i ograniczą jej przydatność. Gra zwolniła – ja jednak zwalniać nie zamierzam. Mars z Jowiszem mogą się tłuc do woli, jeśli o mnie chodzi. Później się nimi zajmę.

O zmierzchu drugiego dnia marszu widzimy twierdzę Junony, zdobytą już przez Dom Jowisza. Stoi na zachód od dopływu Argosu, obramowana

przez góry. Dalej wznoszą się wysokie na sześć kilometrów ściany *Valles Marineris*.

Zwiad donosi mi o obecności trojga nieprzyjacielskich konnych zwiadowców na skraju lasu na wschód od nas; przypuszczalnie są z Domu Plutona, od Szakala. Mają czarne konie, a we włosach, ufarbowanych na taki sam kolor, noszą powplatanе kości, które podczas jazdy klekocą ponoć jak bambusowe dzwonki wiatrowe.

Kimkolwiek są, nie podejżdżają. Nie wpadają w zastawiane przeze mnie pułapki. Podobno dowodzi nimi dziewczyna. Dosiada srebrno umaszczonego konia okrytego skórzanym płaszczem z naszywanymi niebielonymi kośćmi; wygląda na to, że medBoty z Południa nie są najlepsze. To chyba Lilath, tak przynajmniej podejrzewam. Oddalają się na południe, kiedy liczniejszy oddział nadciąga od południowego wschodu i posuwa się naprzód skrajem Wielkiej Puszczy.

To już prawdziwa armia, na ciężkich rumakach.

Odłącza się od niej pojedynczy jeździec z proporcem Domu Apolla, na którym widnieje łucznik. Ma długie rozpuszczone włosy i twarz zahartowaną zimowymi wiatrami znad południowego morza. Niewiele brakowało, żeby cięcie na czole pozbawiło go obojga oczu – oczu utkwionych teraz we mnie niczym dwa żarzące się węgielki osadzone w masce z kutego brązu.

Wychodzę mu na spotkanie. Zawczasu kazałem swoim ludziom sprawiać wrażenie jak najbardziej udręczonych i żałosnych. Paxowi niezbyt to wychodzi; Mustang każe mu klęknąć, żeby wyglądał choć w przybliżeniu normalnie, a potem staje mu na ramionach, żeby dodatkowo rozładować napięcie, i wszczyna bójkę na śnieżki. Zajęta hałaśliwą, niemądrą zabawą moja armia zdaje się cudownie nieporadna i bezbronna.

Udaję, że utykam na jedną nogę. Wcześniej odrzuciłem wilczy płaszcz, teraz dodatkowo symuluję, że dygoczę z zimna. Żałosny mieczyk z duroStali w mojej dłoni bardziej przypomina laskę niż broń. Kulę się, gdy emisariusz się zbliża, i zerkam do tyłu na moich rozbawionych żołnierzach. Niewiele brakuje, żeby szeroki uśmiech przykrył malujące się na mojej twarzy zakłopotanie. Przelykam go.

Jego głos brzmi jak zgrzyt stali na szorstkim kamieniu. Nie ma w nim ani krzty wesołości, nie uznaje faktu, że wszyscy jesteśmy tylko nastolatkami biorącymi udział w grze, a poza granicami doliny prawdziwe życie toczy się w najlepsze. Na Południu wydarzyło się coś, co kazało im

o tym zapomnieć. Dlatego kiedy uśmiecham się skromnie, nie odpowiada mi uśmiechem. Jest mężczyzną, nie chłopcem. Chyba pierwszy raz widzę kogoś, kto przeszedł taką całkowitą przemianę.

– Jesteście marnymi niedobitkami Północy.

Novas, Prymus Apolla, prycha lekceważąco. Próbuje odgadnąć, z którego Domu się wywodzimy. Dopilnowałem, żeby zobaczył u nas sztandar Ceres. Widzę błysk w jego oczach. Chce go zdobyć na swoją chwałę. Z przyjemnością odnotowuje też fakt, że moja armia składa się w większości z niewolników.

– Nie przetrwacie długo na Południu. Może przydałoby się wam schronienie przed zimnem? Ciepła strawa i łóżko? Południe jest surowe.

– Nie może tam być gorzej niż na Północy. Mają tam brzytwy i pancerze impulsowe. A od nas rewizorzy się odwrócili.

– Nie są od tego, żeby wam sprzyjać, mięczaku. Pomagają tym, którzy sami umieją sobie pomóc.

– Pomagaliśmy sobie, jak potrafimy najlepiej – odpowiadam potulnie.

Spluwa na ziemię.

– Nie skamlaj mi tu, dzieciaku. Południe nie słucha łez.

– Ale... ale przecież nie może być gorsze niż Północ.

Wzdrygam się i opowiadam mu o Żniwiarzu z gór. Potwór. Bestia. Morderca. Zły, zły człowiek.

Kiwa głową, słuchając moich słów. Czyli słyszał o mnie.

– Ten wasz Żniwiarz nie żyje. Szkoda, bo chętnie bym się z nim zmierzył.

– Był demonem!

– Mamy własne demony, jednookiego potwora w lesie i jeszcze gorszą bestię wśród gór na zachód stąd. Mówię o Szakalu – dodaje konfidentycznie.

Dalej próbuje mnie przekonać. Mógłbym dołączyć do Domu Apolla jako najemnik, nie niewolnik, w żadnym razie nie niewolnik. Novas pomógłby mi pokonać Szakala, a potem odzyskać Północ. Bylibyśmy sojusznikami. Myśli, że jestem słaby i głupi.

Spoglądam na swój pierścień. Rewizor Apolla usłyszy wszystko, co tu powiem. Chcę, żeby wiedział, że zamierzam zniszczyć jego Dom. Jeżeli chce mnie powstrzymać, to niech to będzie dla niego zaproszenie.

– Nie – odpowiadam Novasowi. – Okryłbym się wstydem. Rodzina by się mnie wyrzekła, gdybym do ciebie dołączył. Przykro mi, ale nie. –

Uśmiecham się w duchu. – Mamy dość jedzenia, żeby przemierzyć wasze ziemie. Jeżeli nas przepuścicie, nie będziemy w żaden...

Policzkuje mnie.

– Jesteś Piksem. Zapanuj nad tym drżeniem warg, bo przynosisz wstyd swojemu Kolorowi. – Pochyliła się ku mnie ponad łękiem siodła. – Znalazłeś się wśród olbrzymów i zostaniesz przez nich zmiażdżony. Zanim jednak po ciebie przyjdę, spróbuj stać się mężczyzną. Nie walczę z dziećmi.

I właśnie wtedy Mustang rzuca śnieżką, celując w jego głowę. Oczywiście trafia i zanosi się śmiechem.

Novas nie reaguje. Porusza się tylko koń, na którym siedzi: zawraca w miejscu i niesie go z powrotem do jego małej wędrownej armii. Odprowadzam ich wzrokiem. Czuję, jak niepokój przesącza się w głąb mojego ciała.

– Wracaj do domu, mały łuczniku! – woła za nim Tactus. – Wracaj do mamusi!

Novas dołącza do liczącego trzydziestu ciężkozbrojnych jeźdźców oddziału. U nas tylko zwiadowcy mają konie; nie mieliby szans przeciw broni jonowej nastawionej na pełną moc, nawet teraz, gdy głębokie wydmy spowalniają krok ciężkich rumaków. Broń mamy zwyczajną, duroStalową. Z pancerzy – wilcze skóry albo co najwyżej kirysy z duroStali. Ja w ogóle nie noszę zbroi. Na razie nie planuję żadnych bitew. Po zdobyciu twierdzy Ceres i ich sztandaru nie otrzymaliśmy żadnej nagrody. Rewizorzy o mnie zapomnieli – na szczęście pogoda wciąż pamięta. W normalnych warunkach piechota kładzie się przed kawalerią jak sucha pszenica; nas chroni śnieg i jego zdradzieckie głębie.

Tej nocy obozujemy na zachodnim brzegu rzeki, bliżej gór i zarazem dalej od równiny przed Wielką Puszczą. Ciężka jazda Domu Apolla musi teraz po ciemku sforsować rzekę, jeśli chce nas zaskoczyć we śnie. Wiedziałem, że tego spróbują; wyglądaliśmy na słabych, wydaliśmy się łatwym łupem. Ponoszą sromotną klęskę. Aroganci. Po zmierzchu kazałem Paxowi i jego siłaczom pokruszyć siekierami gruby lód na rzece najbliższej naszego obozowiska. W nocy słyszymy kwik koni i plusk wpadających do wody ciał. MedBoty zlatują się z wizgiem, żeby ratować przed śmiercią, ale tych chłopców i dziewczęta mamy już z głowy.

Maszerujemy dalej na południe, kierując się w rejon, w którym – jak przypuszczają nasi zwiadowcy – stoi zamek Apolla. Wieczorami jemy do syta. Gotujemy zupy z mięsa i kości zwierzyny upolowanej przez

zwiadowców, chleb transportujemy w prowizorycznych plecakach. Nakarmiona armia to armia zadowolona. Jak to powiedział wielki Korsykanin: „Wojsko maszeruje na brzuchu”. Chociaż, jak wiadomo, zimą nie poszło mu najlepiej.

Prowadzę naszą kolumnę. Mustang idzie obok mnie. Zakutana w wilcze skóry nie gorzej ode mnie, ledwie sięga mi głową do ramienia, i kiedy tak brniemy razem w głębokim śniegu, chce mi się śmiać, gdy widzę, jak próbuje za mną nadążyć. A jednak, ilekroć zwalniam, piorunuje mnie wzrokiem. Warkocz obija jej się o plecy.

Wychodzimy na łatwiejszy teren. Mustang zerka na mnie. Zadarty nos poczerwieniał jej na mrozie jak wiśnia, ale oczy ma jak gorący miód.

– Źle dzisiaj spałeś – zauważa.

– A kiedy spałem dobrze?

– Kiedy byliśmy we dwoje. Przez pierwszy tydzień w lesie krzyczałeś przez sen, ale później spałeś jak dziecko.

– Zapraszasz mnie do powrotu?

– Nigdy cię nie wyprosiłam. – Zawiesza głos. – Dlaczego odszedłeś?

– Rozpraszasz mnie.

Parska śmiechem, zwalnia kroku i zrównuje się z Paxem. Jestem zbity z tropu zarówno jej słowami, jak i swoją odpowiedzią. Nigdy bym nie pomyślał, że się przejmie, kiedy odejdę. Głupi uśmiech rozlewa mi się po twarzy.

I zwraca uwagę Tactusa.

– Rażony miłosnym gromem – mruczy pod nosem.

Ciskam śnieżką w jego głowę.

– Ani słowa więcej.

– Właściwie chciałbym zamienić z tobą dwa słowa. – Podchodzi do mnie. – Tak całkiem serio. – Bierze głęboki wdech. – Czy kiedy cię tak rwą plecy, to ci staje? Bo mnie tak.

Wybucha śmiechem.

– Czy choć raz mógłbyś być poważny?

– Nie chciałbyś tego – odpowiada z błyskiem w oku.

– To może chociaż posłuszny?

Składa dłonie jak do modlitwy.

– Wiesz, że nie jestem wielkim zwolennikiem idei chłosty.

– A widzisz tu gdzieś bicz? – pytam i wskazuję na jego czoło, gdzie mogłoby się znajdować niewolnicze piętno.

– Skoro wiesz, że nie potrzeba na mnie bicia, to może warto byłoby mi powiedzieć, dokąd się wybieramy? Byłbym wtedy bardziej... skuteczny.

Nie próbuje mi rzucić wyzwania, mówi półgłosem. Po tym, jak obaj zostaliśmy wychłostani, obdarzył mnie budzącą zgrozę lojalnością. Uśmiecha się szyderczo, śmieje się i kpi, ale jest mi bezwzględnie posłuszny. A to pytanie zadaje całkiem szczerze.

– Zniszczymy Apolla – odpowiadam.

– Dlaczego akurat Apolla? Odhaczasz kolejne Domy w przypadkowej kolejności, czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

Coś w jego głosie każe mi spojrzeć na niego z uwagą. Zawsze przypominał mi wielkiego kota – może przez tę przerażającą swobodę ruchów, kiedy tak dziarsko maszeruje; jakby właśnie przed chwilą coś zabił, nie wysiliwszy się zbytnio.

A może dlatego, że potrafię sobie go wyobrazić, jak leży na kanapie i wylizuje się do czysta.

– Widziałem coś na śniegu, Żniwiarzu – mówi, cały czas bardzo cicho. – Ślady. I nie były to odciski stóp.

– A czego? Łap? Kopyt?

– Nie, drogi wodzu. – Przysuwa się do mnie. – Podłużne linie w śniegu.

– Rozumiem, do czego zmierza. – Ślady niskiego przelotu grawiButów. Powiedz mi, proszę, dlaczego rewizorzy nas śledzą? I dlaczego noszą widmoPłaszcz?

Fakt, że szepcze, nie ma żadnego znaczenia, dopóki nosimy pierścienie, ale on o tym nie wie.

– Dlatego – wyjaśniam – że się nas boją.

– To znaczy: boją się ciebie. – Obserwuje mnie. – Co wiesz takiego, o czym ja nie wiem? Co takiego mówisz Mustang, czego nie mówisz nam wszystkim?

– Naprawdę chcesz wiedzieć, Tactusie? – Nie zapomniałem o jego łajdactwach, ale teraz obejmuję go za ramiona i przyciągam jak brata. Wiem, jak wielka może być moc dotyku. – Wymaż z mapy przeklęty Dom Apolla, to ci powiem.

Wykrzywia wargi w dzikim uśmiechu.

– Z przyjemnością, łaskawy Żniwiarzu.

* * *

Unikamy odsłoniętego terenu, staramy się trzymać rzeki i posuwamy się cały czas na południe. Przez komunikatory nasłuchujemy meldunków zwiadu o ruchach nieprzyjaciela. Apollo zdaje się mieć wszystko pod kontrolą. Z ludzi Szakala widzimy tylko skromne oddziały jego zwiadowców. Jest w nich coś dziwnego, co mrozi krew w żyłach. Po raz tysięczny myślę o swoim wrogu. Dlaczego chłopak bez twarzy budzi taką zgrozę? Jest wysoki? Szczupły? Gruby? Szybki? Brzydki? I z czego bierze się jego reputacja? Jego przydomek? Nikt nie wie.

Zwiadowcy Plutona nie zbliżają się do nas, mimo że próbujemy ich przywabić. Każę Paxowi wysoko wznosić sztandar Ceres, żeby mienił się w słońcu, widoczny z odległości wielu kilometrów dla wszystkich jeźdźców z Domu Apolla. Wszyscy marzą, żeby okryć się chwałą. Konni próbują nas nękać, mają nadzieję, że uda im się wyrwać nam sztandar i poprawić tym samym swoją pozycję w Domu, ale atakują głupio – trójkami, czwórkami, które padają łupem naszych łuczników od Ceres, włóczników Minerwy albo zakopanych w śniegu zaostzonych pali. Ogryzamy ich po trochu, jak wilk ogryza zabitego łosia, ale zawsze dajemy im uciec. Chcę, żeby byli wściekli jak diabli, kiedy zjawię się na progu ich Domu. Gdybym teraz wziął ich do niewoli, tylko by nas spowalniali.

W nocy siedzimy z Paxem i Mustang przy małym ognisku. Opowiadają mi o swoim życiu poza szkołą. Pax jest niesamowity, kiedy się rozkręci: zaskakująco energiczny gaduła ze skłonnością do wychwalania w swoich opowieściach wszystkiego i wszystkich, włącznie z czarnymi charakterami, tak że przez połowę czasu człowiek nie wie, kto jest dobry, a kto zły. Opowiada nam o tym, jak złamał berło ojca, i o tym, jak wzięto go kiedyś omyłkowo za Obsydianowego i omal nie wysłano statkiem do Agoge, gdzie ćwiczą walkę w kosmosie.

– Można chyba powiedzieć, że zawsze marzyłem o byciu Obsydianowym – dudni basem.

W dzieciństwie wymykał się z rodzinnej letniej posiadłości w Nowej Zelandii, na Ziemi, i dołączał nocą do Obsydianowych podczas Nagoge, nieuchronnego elementu ich szkolenia, kiedy to kradli i rabowali jedzenie, żeby uzupełnić skromną dietę, na której trzymano ich w Agoge. Wdawał się w bójki i szarpaniny o każdy skrawek pożywienia i – jak twierdzi – zawsze wychodził z nich zwycięsko, dopóki nie spotkał na swojej drodze Helgi. Spoglądamy z Mustang po sobie i bardzo staramy się nie wybuchnąć

śmiechem, kiedy Pax zaczyna się rozwodzić górnolotnie nad obfitymi kształtami Helgi, jej mocarnymi pięściami i potężnymi udami.

– To musiała być wielka miłość – zwracam się do Mustang.

– Taka, od której ziemia drży – odpowiada mi.

Rankiem budzi mnie Tactus. Oczy ma lodowate jak poranny mróz.

– Nasze konie postanowiły zwać – informuje mnie. – Wszystkie. – Prowadzi nas na spotkanie z chłopakami i dziewczynami z Domu Ceres, którzy pilnowali wierzchowców. – Żadne z nich niczego nie widziało. W jednej chwili konie były na swoim miejscu, w następnej zniknęły.

– Biedne zwierzaki musiały się spłoszyć – mówi ze smutkiem Pax. – W nocy była burza, może schroniły się w lesie.

Mustang pokazuje nam sznury, którymi spętaliśmy konie na noc. Są pozrywane.

– Kto by się spodziewał, że tyle w nich siły... – zauważa z powątpiewaniem.

– Tactusie? – Daję mu znak skinieniem głowy.

Zanim coś powie, zerka na Paxa i Mustang.

– Widać ślady stóp... – zaczyna.

– Ale?

– Co ja sobie będę język strzępił? – Wzrusza ramionami. – Wiesz, co powiem.

To rewizorzy pozrywali sznury.

Nie mówię żołnierzom, co się wydarzyło, ale plotki szybko się rozchodzą, kiedy przemarznięci ludzie zbijają się w ciasne grupki. Mustang nie zadaje pytań, chociaż wie, że coś przed nią ukrywam. Jakkolwiek by nie patrzeć, antybiotyku, który podałem jej w Północnej Puszczy, nie znalazłem ot tak, pod krzakiem.

Staram się postrzegać tę nową komplikację jak rodzaj próby. Kiedy rozpocznie się rebelia, takie rzeczy będą się zdarzały. Jak powinienem zareagować? Odrzucić złość, wypchnąć ją z płuc razem z powietrzem i ruszać dalej.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Zaszywamy się w lesie na wschodzie. Bez koni nie mamy czego szukać na nadrzecznej równinie. Zwiadowcy twierdzą, że jesteśmy już blisko zamku Apolla. Jak mam go zająć bez wierzchowców? Bez możliwości szybkiego działania?

O zmierzchu ujawnia się kolejny problem. Zabrane z zamku Ceres kociołki do gotowania na ogniskach popękały. Wszystkie. A w chlebie, który starannie zawijaliśmy w papier i trzymaliśmy w plecakach, roi się od wołków zbożowych. Kiedy jem, chrupią mi w zębach jak soczyste ziarenka. Werbownicy uznają to za niefortunne zrządzenie losu, ja jednak wiem, że to coś więcej.

Rewizorzy chcą, żebym zawrócił.

– Dlaczego Cassius cię zdradził? – pyta mnie Mustang. Noc spędzamy w zagłębieniu wygrzebanym w zaspie. Nasi wartownicy z Domu Diany siedzą na drzewach i obserwują okolicę. – Tylko mnie nie okłamuj.

– Właściwie to ja zdradziłem jego. Podczas Próby... musiałem zabić jego brata.

Jej oczy się rozszerzają. Po chwili kiwa głową.

– Mój brat też umarł. Nie w taki sposób, inaczej, ale... Taka śmierć wszystko zmienia.

– Ciebie też zmieniła?

– Nie – mówi takim tonem, jakby dopiero w tej chwili to do niej dotarło – ale zmieniła naszą rodzinę. Czasem ich nie poznaję. Cóż, tak to już chyba jest w życiu. – Niespodziewanie odsuwa się ode mnie. – Ale dlaczego przyznałeś się Cassiusowi, że zabiłeś jego brata? Naprawdę jesteś aż tak szalony, Żniwiarzu?

– Nic mu nie powiedziałem. Zrobili to rewizorzy, przez Szakala. Dali mu holoKostkę.

– Rozumiem. – Jej spojrzenie staje się lodowate. – Oszukują. Faworyzują syna arcygubernatora.

* * *

Zostawiam na chwilę Mustang i ciepło ogniska, żeby odpryskać się w lesie. Powietrze jest rześkie, ostre. Sowa pohukuje wśród gałęzi. Czuję się obserwowany.

– Darrow? – rozlega się w ciemności głos Mustang.

Obracam się w miejscu.

– Śledzisz mnie? – dziwię się.

Darrow. Nie Żniwiarz. Coś tu nie gra. Jest coś dziwnego w sposobie, w jaki wypowiada moje imię, w samym fakcie, że w ogóle go użyła. Jakby

kot nagle zaczął szczekać.

Nie widzę jej. Jest za ciemno.

– Wydawało mi się, że coś widziałam. – Nie wynurza się z mroku, jej głos dobiega z gęstwiny. – Chodź, sam zobacz. Nie uwierzysz.

Idę w tym kierunku.

– Nie wychodź poza obozowisko, Mustang. Mustang!

– Już poza nie wyszliśmy, skarbie.

Wokół mnie drzewa wyciągają się złowrogo ku górze. Sięgają ku mnie gałęziami. Las jest cichy. Ciemny. To pułapka. To nie jest Mustang.

Rewizorzy? Szakal? Ktoś naprawdę mnie obserwuje.

Kiedy jesteś obserwowany, ale nie wiesz, gdzie znajduje się obserwator, pozostaje ci tylko jedno sensowne rozwiązanie. Zmienić paradygmat. Wyrównać szanse. Zmusić intruza, żeby cię szukał.

Puszczam się biegiem z powrotem do obozowiska i swojej armii, po czym uskakuję znienacka za jedno z drzew, wspinam się na nie i czekam. Patrzę. Dobywam noży, jestem gotowy nimi rzucić. Ciasno otulam się wilczą peleryną.

Cisza.

Trzask gałązek. Coś idzie przez las. Coś dużego.

– Pax? – wołam z góry.

Nie odpowiada.

Nagle czuję dotyk silnej dłoni na ramieniu. Konar, na którym przykucnałem, ugina się pod dodatkowym ciężarem. Przede mną materializuje się mężczyzna, który właśnie wyłączył widmoPłaszcz. Widziałem go już wcześniej. Krótko przycięte kręcone blond włosy obramowują śniadą boską twarz. Podbródek ma jak wyrzeźbiony z marmuru. Jego pancerz lśni, oczy mieniają się złowieszczco. Rewizor Apolla.

Pod nami nadal przemieszcza się coś wielkiego.

– Darrow, Darrow, Darrow... – mówi rewizor głosem Mustang i cmoka z dezaprobatą. – Byłeś naszą ulubioną marionetką, ale nie chcesz tańczyć tak, jak należy. Nawrócisz się i ruszysz na północ?

– Ja...

– Czyli odmawiasz? Nieważne.

Popycha mnie mocno. Spadam z gałęzi, po drodze obijam się o następną. Wpadam w śnieg. Cuchnie zwierzęciem. Futrem. A potem słyszę ryk bestii.

Upadek Apolla

Niedźwiedź jest olbrzymi, większy od konia, wielki jak wóz. Biały jak trup, z którego spuszczone krew. Czerwono-żółte ślepia. Czarne zęby, ostre jak brzytwa i długie jak moje przedramię. W niczym nie przypomina niedźwiedzi, jakie znam z hP. Na grzbiecie ma rdzawy pas, a jego łapy przypominają dłonie – tyle że ośmiopalczaste. Rzeźbiarze zrobili go dla zabawy. Został sprowadzony do tutejszych lasów, żeby zabijać. W szczególności – żeby zabić mnie. Kilka miesięcy temu, kiedy poszliśmy z Sevro układać się z Domem Diany, słyszeliśmy jego ryki. Teraz czuję na twarzy jego ślinę.

Przez sekundę po prostu stoję jak głupek. A potem niedźwiedź ryczy po raz drugi i atakuje.

Turlam się w bok i puszczam biegiem. Nigdy w życiu tak nie pędziłem. Frunę w powietrzu. Zwierz jest ode mnie szybszy, chociaż prawdopodobnie mniej zwinny. Cały las się trzęsie, kiedy przedziera się przez gąszcz.

Mijam potężny bogoDrzew i daję nura w jeżyny. Nagle ziemia trzeszczy mi pod stopami, śnieg i liście ustępują i zdają sobie sprawę, gdzie jestem. Odsuwam się jeszcze trochę i czekam, aż niedźwiedź wychynie z gęstwiny.

Ledwie się pokazuje, natychmiast rzuca się w moją stronę. Odskakuję w tył.

Niedźwiedź znika: zamaskowana pokrywa wilczego dołu zapada się pod nim i bydlę spada na najeżone zaostrozonymi palami dno. Moja radość trwałaby zapewne dłużej, gdyby nie to, że mój taneczny unik pchnął mnie prosto w drugą pułapkę. Świat wywraca się do góry nogami, a właściwie

nie świat, tylko ja: moja noga – uwięziona w pętli ze sznura – leci w górę, a ja razem z nią.

Wiszę tak przez kilka godzin; ze strachu przed rewizorem Apolla boję się wołać o pomoc. Twarz mrowi mnie od spływającej do głowy krwi. W końcu w mrokach nocy rozlega się znajomy głos.

– Proszę, proszę... – dobiega z dołu. – Wygląda na to, że mamy nie jedną, a dwie skóry do zdjęcia.

* * *

Sevro uśmiecha się znacząco, kiedy mówię mu, że sprzymierzyłem się z Mustang. W obozowisku, gdzie Mustang już szykowałą się do rozesłania drużyn poszukiwawczych, jego reputacja go wyprzedza. Ludzie Minerwy się go boją, Tactus i inne trupoKonie przeciwnie – są nim zachwyceni.

– A niech mnie diabli wezmą, jeśli to nie mój kompan z końskiego brzucha! – wita go Tactus, przeciągając zgłoski. – Czemu kulejesz? Coś ci się stało?

– Twoja matka omal mnie nie zajeździła – burczy Sevro.

– Też coś! Musiałbyś się wspiąć na palce, żeby choćby cmoknąć ją w brodę.

– Nie w brodę próbowałem ją pocałować.

Tactus zanosi się śmiechem, klaszcze z uciechy i zagarnia Sevro w odrażające objęcia. Ci dwaj tworzą nadzwyczaj osobliwą parę bliźniaków, ale przypuszczam, że przytulanie się do siebie w końskim truchle zbliża ludzi – choć w dość makabryczny sposób.

– Gdzie byłeś? – pyta półgłosem Mustang i próbuje odciągnąć mnie na stronę.

– Jedną chwileczkę – odpowiadam.

Widzę, że Sevro stracił oko – czyli to on jest jednookim demonem, przed którym przestrzegał mnie apolliński emisariusz.

– Zawsze się zastanawiałam – odzywa się Mustang – jakie z was małe czuby, Wyjce.

– Małe? – pyta Sevro.

– Nie chciałam... cię urazić.

Sevro szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Ale ja jestem mały.

– W Domu Minerwy mówiliśmy o was jak o duchach. – Minerwa poklepuje go po ramieniu. – Którym z pewnością nie jesteś. Tak jak ja nie jestem prawdziwym mustangiem; mówię to na wypadek, gdybyś się zastanawiał. Nie mam ogona, widzisz? I nie, nigdy nie nosiłam siodła – dodaje, nie dając Tactusowi dojść do słowa. – Widziałam, że chcesz o to zapytać.

Istotnie, chciał.

– Ujdzie – mamrocze do mnie półgębkiem Sevro.

– Lubię ich – przyznaje chwilę później Mustang, mając na myśli Wyjców. – Czuję się przy nich wysoka.

– I-de-al-na! – Tactus bierze do ręki skórę krwawoGrzbieta. – Zobaczcie, co tu mamy. Wreszcie coś na rozmiar Paxa!

Zanim dołączymy do grupy zebranej wokół dogładanego przez Paxa ogromnego ogniska, Sevro odciąga mnie na bok i wręcza mi zawiniątko uczynione z koca. W środku jest mój sierpak.

– Znalazłem go w błocie i przechowałem dla ciebie – wyjaśnia. – I naostrzyłem. Czas stępionej broni dobiegł końca.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem. – Poklepuję go po ramieniu. – Mam nadzieję, że o tym wiesz. Wiesz, prawda? Nie tylko tutaj, w grze. Później też.

– Nie jestem idiotą – mówi, ale i tak się rumieni.

Przy ognisku dowiaduję się od niego, że on i Wyjce – Oset, Brzydal, Błazen, Chwast i Pestka, niedobitki mojego dawnego Domu – odeszli zaledwie dzień po moim zniknięciu.

– Cassius powiedział, że Szakal cię dorwał – tłumaczy Sevro, żując chleb z wołkami zbożowymi. – Pyszne te orzeszki...

Pałaszuje, jakby od tygodni nie widział jedzenia.

Siedzimy przy ognisku w Wielkiej Puszczy, pławiąc się w blasku trzaskających polan. Mustang, Milia, Tactus i Pax dołączają do nas na leżącej w śniegu zwalonej kłodzie. Opatuleni w skóry niewiele różnymi się od zwierząt. Siedzę blisko Mustang, pod futrami jej noga zahacza o moją. Skóra krwawoGrzbieta cuchnie i skwierczy nad ogniem, sadło skapuje w płomienie. Kiedy wyschnie, Pax będzie mógł ją założyć.

Po tym, jak Cassius ich okłamał, Sevro odszukał Szakala. Nie wchodzi w szczegóły, wskazuje tylko pusty oczodół i dodaje:

– Szakal jest mi coś winien.

– Widziałeś go wtedy? – pytam.

– Było ciemno. Zobaczyłem jego nóż. Nie słyszałem nawet jego głosu. Musiałem skoczyć w przepaść. To był długi lot, zanim udało mi się dołączyć do pozostałych. – Opowiada o tym całkiem zwyczajnie, ale ja również zwróciłem uwagę, że utyka. – Nie mogliśmy zostać w górach, jego ludzie... byli wszędzie.

– Zabraliśmy część tych gór ze sobą – wtrąca Oset i z matczynym uśmiechem poklepuje zawieszone u pasa skalpy.

Mustang się wzdryga.

Na południu panuje chaos. Zostali tylko Apollo, Wenus, Merkury i Pluton, chociaż podobno z Merkurego ocalała zaledwie banda włóczęgów. Szkoda. Lubilem ich rewizora. Niewiele brakowało, żeby mnie wybrał podczas Poboru; zrobiłby to, gdyby tylko mógł. Ciekawe, jak by się wtedy potoczyły sprawy.

– Sevro? Z tą twoją nogą, jak szybko jesteś w stanie przebiec... powiedzmy... dwa kilometry?

Inni dziwią się mojemu pytaniu, ale Sevro tylko wzrusza ramionami.

– Nie spowalnia mnie. Przy tym ciążeniu... półtorej minuty.

Notuję to sobie w pamięci, żeby później przedstawić mu swój pomysł.

– Mamy ważniejsze sprawy do obgadania, Żniwiarzu – zauważa z uśmiechem Tactus. – Słyszałem, że zawisłeś głową w dół na sznurze pułapki zmajstrowanej przez tę oto damę. – Poklepuje małą Oset po udzie. Dziewczyna też się uśmiecha. Nie odtrąca jego ręki. To kolekcja skalpów budzi w Tactusie taką czułość. – Chyba się nie spodziewałeś, że uda ci się wymigać od opowiedzenia tej historii?

Nie jest to aż tak zabawne, jak może mu się wydawać.

Bawię się swoim pierścieniem. Jeżeli im powiem, to jakbym podpisał wyrok śmierci na nich. Apollo i Jowisz słuchają. Patrzą na Mustang i czują pustkę w środku. Zaryzykuję jej życie, żeby wygrać w ustawionej grze. Gdybym był dobrym człowiekiem, nie zdjąłbym pierścienia. Ugryzłbym się w język. Ale trzeba ułożyć plany. Obalić bogów.

Zdejmuję pierścień i kładę go na śniegu.

– Poudawajmy przez chwilę, że nie pochodzimy z różnych Domów – proponuję. – Porozmawiajmy jak przyjaciele. Bez pierścieni.

* * *

Wraz z końmi straciłem atut mobilności i przewagę nad nieprzyjacielem na tych terenach. Kolejna nauczka. Sam muszę wypracować sobie przewagę. Opracować nową strategię. Sprawić, żeby się mnie bali.

Stawiam na rozdrobnienie. Dzielę armię na sześć dziesięcioosobowych oddziałów pod dowództwem swoim, Paxa, Mustang, Tactusa, Milii oraz – posłuszny zaskakującej rekomendacji tej ostatniej – Nyli. Chętnie oddałbym jeden oddział Sevro, ale on i jego Wyjce nie zamierzają po raz drugi mnie opuścić. Obwiniają się za moją bliznę na brzuchu.

Szarpiemy posiadłości Domu Apolla jak wygłodniałe wilki. Nie szturmujemy ich zamku, atakujemy za to forty. Palimy magazyny. Zatruwamy źródła wody. Żołnierzom strzelamy z łuków w nogi. Wybijamy kozy i świny. Siekierami rąbiemy łodzie. Kradniemy broń. Jeńcom pozwalamy uciec, przekazawszy im uprzednio fałszywe informacje. Zatrzymujemy tylko tych od Wenus, Junony i Bachusa, zniewolonych wcześniej przez Apolla, pozostałych puszczamy wolno: strach i legenda muszą się szerzyć – moja armia rozumie to doskonale. To dogmatycy. Przy ognisku snują opowieści na mój temat. Pax w tym przoduje, a jego zdaniem jestem ucieleśnieniem mitu. Wielu moich żołnierzy zaczyna ryc sierpaki w pniach drzew i kamieniach murów; Tactus i Oset wycinają go sobie na skórze. Co bardziej przedsiębiorczy z moich ludzi robią sztandary z poplamionych krwią wilczych futer, które potem podnoszą w bitwie, zatknięte na włóczniach.

Rozdzielam niewolników z Domu Ceres, a także innych, schwytanych później, pomiędzy różne oddziały, żeby lepiej zintegrować ich z armią. Wiem, że ich poczucie lojalności z wolna się zmienia. Stopniowo zaczynają się postrzegać nie jako podwładni Domu Ceres, Minerwy czy Diany, tylko członkowie swojego oddziału. Czterech najmniejszych żołnierzy Ceres oddaję do Wyjców, pod komendę Sevro. Nie wiem, czy piekarze nadadzą się na elitarnych wojowników, tak jak to było z mętami od Marsa, ale jeżeli ktokolwiek ma ich okroić z dziecięcego tłuszczu, to najprędzej właśnie Sevro.

Strach gnębi Apolla przez tydzień. Nasze wojsko rośnie w siłę, jego się kurczy. Wyzwoleni niewolnicy twierdzą, że strach padł na zamek; mówi się, że ja i moje zakrwawione wilcze płaszcze przybędziemy z mroków nocy, żeby palić i okaleczać.

Nie obawiam się Domu Apolla: tępe tłuki nie będą umiały się dostosować do mojej taktyki. Bardziej martwią mnie rewizorzy i Szakal –

którzy są dla mnie jednym i tym samym. Obawiam się, że po nieudanym zamachu Apolla na moje życie będą chcieli zadziałać bardziej bezpośrednio. Kiedy się obudzę z kręgosłupem przebitym brzytwą? W tej grze to oni dyktują warunki. Mogę zginąć w każdej chwili. Muszę jak najszybciej zniszczyć Dom Apolla i wyłączyć z gry jego rewizora, zanim będzie za późno.

Siedzę ze swoimi przybocznymi przy ognisku, zamierzamy omówić taktykę na następny dzień. Znajdujemy się niecałe trzy kilometry od zamku Apolla, ale tamci nie ważą się nas zaatakować. Jesteśmy głęboko w lesie, a oni kulą się ze strachu przed nami. My również nie próbujemy atakować. Mam świadomość, że rewizor Apolla udaremniłby nawet najbardziej przebiegły z naszych nocnych wypadów.

Zanim zdążę zabrać głos, Nyla pyta o Szakala. Sevro zaczyna jej cicho relacjonować, czego się dowiedział w górach, po czym orientuje się, że wszyscy słuchamy i podnosi głos:

– Jego zamek znajduje się w niskich partiach gór, nie pod szczytami. Pod ziemią. Blisko zamku Wulkan. Wulkan miał zresztą pierwszorzędny start. Zaczęli błyskawicznie, wypierdki. Trzeciego dnia zrobili wjazd Plutonowi, który był kompletnie nieprzygotowany. Szakal przejął wtedy władzę i kazał się wszystkim wycofać w głąb tuneli. Wulkan zaatakował z wyciem, najnowocześnieszą bronią ze swoich kuźni, zanosilo się na łatwy triumf, Szakal od razu dostałby się do niewoli. Więc co zrobił? Zawalił tunel, w którym się znaleźli, bez żadnego planu awaryjnego, bez wyjścia, tylko po to, żeby zachować szanse na zwycięstwo. Zabił dziesięciu ze swojego Domu, wszystkich z wysokiego Poboru; medBoty nie zdołały nikogo uratować. Czterdziestu ludzi zostało uwięzionych w ciemnych jaskiniach. Wody mieli pod dostatkiem, za to nic do jedzenia. Spędzili tak blisko miesiąc, zanim zdołali się przebić na powierzchnię. – Sevro się uśmiecha. Od razu sobie przypominam, dlaczego Fitchner nazwał go Goblinem. – Zgadnijcie, co jedli przez ten czas.

Szakal w potrzasku odgryzie sobie łapę, żeby się uwolnić. Kto mi to powiedział?

Ogień trzaska wśród nas. Spodziewałbym się, że Mustang poruszy się nieswojo po tych słowach, ale widzę u niej tylko gniew, w miarę jak w opowieści Sevro przybywa szczegółów. Czysty gniew. Mięsień na jej szczęce pulsuje, jej twarz staje się o jeden odcień bledsza. Ściskam jej dłoń pod kocem. Nie odpowiada mi uściskiem.

– Skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś? – dudni basem Pax.

Sevro stuka paznokciem w jeden ze swoich zakrzywionych noży. Cichy metaliczny brzęk niesie się w nocnym powietrzu, rozchodzi wśród drzew, odbija echem od pni i wraca do naszych uszu jak zagubiona fraza melodii. A potem wszystkie odgłosy lasu cichną i słyszę tylko trzaskanie płomieni. Serce podchodzi mi do gardła. Patrzymy sobie z Sevro w oczy. Będzie musiał odszukać Tactusa.

Otula nas pole zakłócające.

– Witajcie, dzieci – dobiega z ciemności. – Taki jasny płomień bywa nocą niebezpieczny. Zwłaszcza że jesteście jak szczeniaczki, powtulani w siebie nawzajem. Nie, nie, nie wstawajcie.

Głos jest dźwięczny. Frywolny. Upiornie mi się go słucha po tylu miesiącach ciężkich przejść. Nie da się go pomylić z żadnym innym głosem.

Apollo lekkim krokiem wchodzi pomiędzy nas i sadowi się obok Paxa. Nie przyprowadził ze sobą niedźwiedzia, ma natomiast długą włócznię, której grot ocieka fioletowymi iskrami.

– Witaj, rewizorze Apollo – odzywam się.

Usadowieni w gałęziach drzew nad naszymi głowami wartownicy biorą go na cel, ale zbywam ich machnięciem ręki i pytam, co go sprowadza – jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. Sama jego obecność niesie bardzo prosty przekaz: moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie.

– Chcę wam powiedzieć, żebyście wrócili do domu, moi drodzy nomadzi.

Otwiera dużą butelkę wina i puszcza ją wokół ogniska. Nikt nie pije, dopiero Sevro postanawia zaryzykować. Nie podaje butelki dalej.

– Rewizorzy nie powinni się mieszać do gry – mówi zbity z tropu Pax. – Takie są zasady. Jakim prawem tu przybywasz? To nieuczciwe.

Mustang głośno podziela jego wątpliwości.

Aureus wzdycha, ale zanim zdąży odpowiedzieć, Sevro wstaje, beka głośno i zaczyna się oddalać.

– A ty dokąd? – woła za nim Apollo. – Nie odchodź.

– Idę się odlać. Wypiłem całe twoje wino. Mam sikać tutaj? – Sevro przekrzywia głowę i kładzie dłoń na drobnym brzuchu. – Może i nasram przy okazji...

Apollo krzywi się, spogląda na nas i odprawia go gestem.

– Nie ma nic nieuczciwego w wywieraniu wpływu na graczy, mój olbrzymi przyjacielu – wyjaśnia. – Mam jedynie na względzie wasze dobro. Jak by nie patrzeć, jestem tu po to, by pokierować waszą nauką. Dla was najlepiej by było, gdybyście wrócili na północ. Powiedzmy, że to kwestia optymalnej strategii. Dokończcie tam swoją bitwę, zewrzyjcie siły i dopiero wtedy zacznijcie powiększać swoje wpływy. To podstawy sztuki wojennej. Nie odsłaniaj się, kiedy jesteś słaby. Nie przyjdź do starcia z nieprzyjacielem, z którym nie możesz się równać. A wy nie macie kawalerii, nie macie schronienia, jesteście marnie uzbrojeni... Nie uczycie się tak, jak powinniście.

Mówi to wszystko z zachęcającym uśmiechem, który rozpoławia mu twarz jak półksiężyc. Bawi się przy tym pierścieniami na palcu, czekając na naszą odpowiedź.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, że dbasz o nasze dobro – odpowiada Mustang w kpiarskiej namiastce wysokiej mowy. – Zaprawdę, bardzo uprzejme. Twoja życzliwość ogrzewa moje kości. Zwłaszcza że pochodzisz przecież z innego Domu. To nie byle co! Powiedz mi jednak, czy moja rewizorka wie, że tu jesteś? Albo rewizor Domu Marsa? – Ruchem głowy wskazuje milczącą Milię. – Junony? Czyżbyś brzydko pogrywał, mój panie? Bo jeśli nie, to po co ci pole zakłócające? A może inni patrzą?

Spojrzenie Apolla tężeje, chociaż uśmiech nie schodzi mu z twarzy.

– Będę z wami szczery, dzieci: wasi rewizorzy nie mają pojęcia, co knujecie. Miałaś swoją szansę, Virginio. Przegrałaś. Ale nie pogrążaj się w goryczy, Darrow pokonał cię w uczciwej walce. A może wspólnie spędzona zima kazała ci zapomnieć, że tylko jeden Dom może wyjść z tej gry zwycięsko? Że może być tylko jeden Prymus? Czy wszyscy daliście się tak zaślepić? Ten... chłopiec nie ma wam nic do zaoferowania. – Wodzi wzrokiem po siedzących wokół ogniska moich podwładnych. – Powtórzę, bo widzę, że nie jesteście zbyt lotni. Triumf Darrowa nie będzie waszym triumfem. Nikt nie proponuje wam stażu, ponieważ to Darrow jest postrzegany jako kluczowy element waszego sukcesu. A wy tylko za nim podążacie, jak generał Ney albo Ajaks Mały za swoimi wodzami; któż ich pamięta? Ten cały Żniwiarz nie ma nawet własnego sztandaru! Wykorzystuje was, to wszystko. Zawstydzia was i niszczy wasze szanse na karierę dłuższą niż pierwszy rok nauki.

– Z całym szacunkiem, rewizorze, ale jesteś dość wkurzający – wytyka mu Nyla bez cienia naturalnej dla niej życzliwości.

– A ty nadal jesteś niewolnicą. – Apollo wskazuje jej znamię. – Którą można wykorzystać na wiele sposobów.

– Tylko do czasu, aż zasłużę na taki płaszcz. – Nyla wskazuje wilczą skórę Mustang.

– Twoja lojalność jest wzruszająca, ale...

– Pozwoliłbyś mi się wychłostać do krwi, Apollo? – wtrąca Pax. – Bo Darrow tak zrobił. Pozwól mi się wybatożyć, a będę ci posłuszny jak Różowy. Przysięgam na groby moich przodków, Telemansa i...

– Jesteś zwykłym biurokratycznym Piksem – syczy Milia. – Wyświadczyć nam przysługę. Zjeżdżaj stąd.

Moi przybocznicy są lojalni, choć wzdrygam się na myśl o tym, co mogliby powiedzieć Tactus albo Sevro, gdyby siedzieli tu teraz z nami. Pochyliam się nad ogniem i spoglądam Apollowi w oczy. Muszę go jakoś sprowokować.

– Bądź tak miły – mówię – weź swoją dobrą radę, wsadź ją sobie w dupę i spieprzaj.

W powietrzu nad naszymi głowami rozbrzmiewa śmiech. Kobięcy śmiech. Inni rewizorzy przysłuchują się rozmowie z wnętrza pola zakłócającego. W dymie rysują się ich sylwetki. Ilu? Jowisz? Może Wenus, sądząc po tym wybuchu śmiechu? Byłoby wyśmienienie.

Twarc Apolla mieni się odblaskiem ognia. Jest wściekły.

– Powiem wam, co podpowiada mi logika. Zimy bywają mroźniejsze niż teraz. A kiedy robi się zimno, różne istoty umierają. Wilki. Niedźwiedzie. Mustangi.

Mam dla niego ripostę, która będzie należycie rozwlekła:

– Tak się zastanawiam, Apollo, co by się stało, gdyby werbownicy odkryli, że próbujesz zaaranżować zwycięstwo syna arcygubernatora; że ustawiasz wynik gry jak zwykły bandzior z bazaru.

Rewizor nieruchomieje, a ja mówię dalej:

– Nie udało ci się mnie zabić w lesie, kiedy poszczułeś mnie tym głupim niedźwiedziem, więc przychodzisz tu teraz jak zdesperowany głupiec, którym w istocie jesteś, i grozisz moim przyjaciółom, którzy nie zapalili się do pomysłu zdradzenia mnie. Naprawdę zabijecie nas wszystkich? Wiem, że możecie dowolnie pociąć i zmontować przekaz przeznaczony dla werbowników, ale jak zamierzasz im wyjaśnić, że wszyscy zginęliśmy?

Moi podwładni udają wstrząśniętych.

A ja kontynuuję:

– Przypuśćmy, że taki... imperator floty, legat albo werbownik z innego Domu dowie się, że arcygubernator zapłacił rewizorom za oszustwo; że zlecił im wyeliminowanie konkurencji, aby jego syn wygrał, a inne dzieci poniosły klęskę. Jak myślisz, czy przekupieni rewizorzy poniosą konsekwencje? A sam arcygubernator? Czy rodzice się przejmą, że ich dzieciaki umierają w ustawionej grze? Albo że ktoś wam płaci za podkopywanie merytokracji? Najlepsi zostaną wywyższeni. A może najlepiej ustosunkowani?

Apollo zaciska szczęki. Spogląda w górę, na innych rewizorów, którzy roztropnie pozostają niewidzialni. Musiał wyciągnąć najkrótszy patyczek, żeby zstąpić tu do nas i stać się twarzą ich oszustwa.

Moi ludzie milczą, kiedy zabiera głos:

– Jeżeli się dowiedzą, moje dzieci, wszyscy poniesiemy konsekwencje – grozi. – Dlatego radziłbym wam trzymać języki za zębami, póki jeszcze je macie.

– Bo co? – wypala Mustang. – Co ty sobie wyobrażasz? Czym nam grozisz?

– Kto jak kto, ale ty naprawdę powinnaś wiedzieć.

Nie rozumiem, do czego pije Apollo, ale nasze małe przedstawienie dobiegło końca. Ja liczyłem sekundy od zniknięcia Sevro, rewizorzy nie.

– Ile czasu potrzebuje Sevro, żeby przebiec dwa kilometry? – pytam Mustang.

– Przy tym ciężeniu półtorej minuty, o ile dobrze pamiętam. Chociaż, zważywszy na to, jaki z niego łgarz, zapewne nieco szybciej.

– A jak daleko jest stąd do zamku Apolla?

– Jakies trzy kilometry? Może ciut więcej...

Apollo zrywa się na równe nogi i rozgląda w poszukiwaniu Sevro.

– Świetnie – mówię. – Wiesz, Mustang, co najbardziej lubię w polach zakłócających?

– Że żaden dźwięk nie wydostaje się z nich na zewnątrz?

– Nie. Że żaden dźwięk nie przedostaje się do środka.

Apollo wyłącza pole. Słyszc wycie – z daleka, z odległości trzech kilometrów. Z murów zamku Apolla. Pod odległym niebem medBoty z wizgiem pędzą w tamtą stronę.

– Wenus! Dlaczego ich nie obserwowalaś? Ty głupia...

Apollo klnie w powietrze.

– Ten mały zdjął pierścień! – odkrzykuje niewidzialna kobieta. – Wszyscy je zdjęli! Kiedy nie mają pierścieni, nic nie widzę, zwłaszcza w polu zakłócającym!

– Teraz już włożyli je z powrotem – wtrącam. – Więc włącz swój terminal i powiedz mi, co widzisz.

– Ty mały... – Apollo zaciska pięści.

Cofam się. Mustang odgradza mnie od niego. Pax również.

– Nie radzę – dudni olbrzym i raz po raz uderza się płazem wielkiego topora w pierś. Ukryty pod wilczą peleryną pancerz dudni rytmicznie. – Nie radzę.

W tumanach śniegu Apollo wzbija się ponad las. Pozostali rewizorzy depczą mu po piętach. Nie zdążą. Mogą ingerować w przekaz, ciąć i montować do woli, ale bitwa o Dom Apolla rozpoczęła się, a Sevro z Tactusem wdarli się na mury.

Docieramy na miejsce w samą porę, żeby zobaczyć, jak Tactus z nożem w zębach wspina się na najwyższą wieżę, staje na blankach na wysokości stu metrów niczym jakiś niefrasobliwy grecki heros, ściąga spodnie i sika na proporzec Domu Apolla. Przeczolgał się przez gówno, żeby go zdobyć. Schwytni w ubiegłym tygodniu niewolnicy zdradzili nam, co jest słabym punktem zamku: ogromne latryny. Tactus, Sevro i Wyjce spenetrowali je więc z okrutną skutecznością i żołnierze Apolla stanęli naprzeciw demonów rodem z kloaki. Ach, jakże okrutnie śmierdzą moi waleczni zdobywcy, kiedy otwierają przede mną zamkową bramę!

W środku panuje chaos. Zamek jest wysoki, biały, ozdobny. Z okrągłego placu centralnego sześć pięknych przejść prowadzi do sześciu równie wspaniałych, spiralnie skręconych wież. Owce i krowy tłoczą się w prowizorycznych zagrodach w głębi, naprzeciw wejścia. Tam właśnie wycofali się żołnierze Apolla, a zza drzwi wieży za ich plecami bezustannie przybywają nowi. Przewyższają nas liczebnością w stosunku trzy do jednego, ale ja mam po swojej stronie ludzi wolnych, nie niewolników. Będą lepiej walczyli. Zresztą największym zagrożeniem jest dla nas nie sama liczba przeciwników, tylko stojący na ich czele Prymus Apolla, Novas. Rewizor oddał mu swoją broń, włócznie impulsową spływającą fioletowymi iskrami. Kiedy jej grot dotyka dziewczyny z trupoKoni, ta leci w powietrzu dziesięć stóp, spada na ziemię i miota się w konwulsjach jak zepsuta mechaniczna zabawka, której rozregulowały się trybiki.

Zbieram swoich ludzi przy wejściu na dziedziniec, blisko bramy; wielu jest jeszcze na wieżach, tak jak Tactus. Mam ze sobą Paxa, Milię, Nylę, Mustang i trzydzieścioro innych. Prymus też gromadzi siły. Sama jego broń wystarczy, żeby nas zniszczyć.

– Mustang? Gotowa ze sztandarem? – pytam.

Czuję jej dotknięcie na plecach, nisko, tuż poniżej krawędzi kirysu. Nie mam hełmu. Włosy przewiązałem rzemieniem. Twarz uczerniłem sadzą. W prawej ręce trzymam sierpak, w lewej skróconą energoPikę. Nyla niesie sztandar Ceres.

– Pax, my dwaj kosimy. Dziewczyny: wy zbieracie.

Moi ludzie na wieżach z wyciem zbiegają i skaczą w dół, żeby dołączyć do walki. Wpadają na dziedziniec ze wszystkich stron, odziani w cuchnące, zakrwawione wilcze skóry. Bruk pomiędzy moim wojskiem i ekipą Apolla skrywa głęboka do kostek warstwa śniegu. W powietrzu nad naszymi głowami błyskają sylwetki rewizorów. Czekaają, aż włócznia impulsowa rozprawi się z moją armią.

– Atakuj Prymusa – szepcze mi do ucha Mustang. Wskazuje wysokiego, hardego chłopaka i klepie mnie w pośladek. – Zastrzeż go sobie.

– Dwadzieścia metrów – zwracam się do Paxa – i stop.

Skinieniem głowy potwierdza przyjęcie rozkazu.

– Prymus jest mój! – zapowiadam głośno swoim ludziom. – Novas, kurwiszonie przeklęty! Jesteś mój! Ty szczynopijco! Ty kupo gówna! – Żołnierze Apolla kulą się instynktownie, kiedy uzbrojony w sierpak wysoki, obłąkany najeźdźca wywrzaskuje obelgi pod adresem ich Prymusa. – Resztę do niewoli! – ryczę na koniec.

I we dwóch z Paxem szarżujemy na wroga.

Pozostała część mojego wojska próbuje za nami nadążyć. Puszczam Paxa przodem. Wrzeszczy jak opętany i z wysoko uniesionym toporem szarżuje na Novasa i jego ochroniarzy – ciężko opancerzonych chłopców i dziewczęta z odciskiem szkarłatnej dłoni na hełmach, którzy z kolei prowadzą szarżę nieprzyjaciela. Kierują się prosto w stronę Paxa, mierząc w niego grotami włóczni, gotowi powstrzymać jego szaleńczy atak. To wysocy, dziarscy zabójcy, którym arogancja od dawna uniemożliwia zrozumienie, że znaleźli się w niebezpieczeństwie albo powinni się bać. Chcą po prostu zmierzyć się z Paxem w bezpośredniej walce.

Wtedy jednak olbrzym staje jak wryty.

Ja zaś nie zwalniam kroku: wyskakuję w powietrze, trafiaam stopą na podstawioną przez niego dłoń i wybijam się jeszcze wyżej – zwłaszcza że w tej samej chwili on wypycha mnie na dobre dziesięć metrów do przodu i w górę. Przez cały czas wyję jak stwór żywcem wyjęty z parszywych sennych koszmarów i spadam na ochroniarzy. Troje z nich od razu pada. Przypadkowa włócznia zahacza mnie w brzuch, prześlizguje się po żebrach i obraca mnie w locie – dzięki czemu unikam uderzenia trójzębem wymierzonego w miejsce, w którym przed momentem znajdowała się moja głowa. Łąduję i tnę w poziomie, po nogach. Piruetem unikam czyjegoś sztychu i rąbię z góry na dół, po skosie. Trafiam któregoś z tych wysokich, druzgoczę mu obojczyk. Ktoś wymierza mi kolejne pchnięcie włócznią. Zbijam ją w bok, przebiegam wzdłuż drzewca i z wysokości kopię gościa z wysokiego Poboru kolanem w twarz. Upada na plecy, pociągając mnie za sobą po tym, jak moje kolano utkwilo w osłonie jego hełmu. W locie tnę jak oszalały na wszystkie strony i powalam jeszcze trzech takich jak on, zanim ostatecznie runę na ziemię.

Padamy w śnieg. Mój przeciwnik jest nieprzytomny i ma złamany nos, ja z kolei straciłem czucie w kolanie, które w końcu – całe we krwi – udaje mi się wyszarpnąć z jego hełmu. Turlam się w bok. W każdej chwili spodziewam się, że zostanę podziurawiony włóczniami, ale nic takiego się nie dzieje. Jedną wariacką szarżą rozplątałem łeb armii Apolla. Pax z resztą moich ludzi otaczają mnie żelazną kurtyną i pośrodku bitewnego chaosu staję oko w oko z Novasem. Jest wysoki i silny. Zamaszystym okrężnym uderzeniem włóczni roztrzaskuje tarczę jednego z Wyjców. Spycha Milię w tył, a kiedy rani Paxa w ramię, ten przewraca się jak zabawka.

Ja jestem wyższy i silniejszy.

– Novas, ty mała dziewczynko! – wołam do niego. – Ty płaczku Różowy!

Podchodząc, widzę błysk w jego oczach.

Całe pole bitwy wstrzymuje oddech, kiedy Novas odwraca się do mnie jak jeleń stawiający czoło przewodnikowi wilczej sfory. Skradamy się ku sobie. On atakuje pierwszy. Robię unik, przewijam się wzdłuż drzewca włóczni i nagle znajduję się za plecami Novasa. A wtedy jednym potężnym uderzeniem, jakbym sierpakiem ścinał drzewo, łamię mu nogę i zabieram włócznię.

Kwili jak dziecko. Siadam mu na piersi, zadowolony z siebie, że nie jęczałem tak, kiedy w pracowni rzeźbiarskiej Mickey łamał mi nogi

i składał je na nowo. Ziewam demonstracyjnie mimo otaczającego nas zewsząd zamętu.

Mustang przejmuje dowodzenie.

Tylko jednej osobie z zamku Apolla udaje się uciec. To dziewczyna, szybka, ale nic nieznająca w hierarchii Domu. Skacze z najwyższej wieży, ściskając w rękach sztandar Apolla, i jak za sprawą magii łagodnie ląduje na ziemi. Dostrzegam otaczające ją zafalowanie powietrza: rewizor Apolla dba o zachowanie dobrej pozycji w grze. Dziewczyna znajduje konia i ucieka mojej spieszonej armii. Pax rzuca za nią włócznią. Dobrze mierzy, trafiłby konia w szyję i przyszpilił do ziemi, gdyby nie osobliwy podmuch wiatru, który spycha włócznię w bok.

W końcu Mustang zabiera konia ze stajni Apolla i razem z Oset i Pestką dopadają dziewczynę. Przywozi ją przerzuconą przez szyję jej własnego wierzchowca; w galopie okłada ją po tyłku drzewcem sztandaru.

Moi ludzie głośnym rykiem witają Mustang na dziedzińcu zdobytego zamku. Wyzwoliliśmy już niewolników z Domu Ceres, zasłużyli na miejsce w mojej armii. Macham do Mustang z murów, gdzie siedzimy razem z Sevro i Tactusem, mającąc beztrosko nogami. Dom Apolla upadł w niecałe pół godziny, i to mimo interwencji rewizora i jego włóczni impulsowej.

Który w tej chwili wysoko pod niebem naradza się z Jowiszem i Wenus. Skrzą się w świetle brzasku, jakby nic szczególnego się nie wydarzyło, ja jednak wiem, że Apollo będzie musiał odejść z gry. Stracił sztandar i zamek. Nie będzie mógł mi dłużej szkodzić.

– Już po tobie! – natrząsam się z niego. – Twój Dom upadł!

Moja armia kolejny raz odpowiada gromkim rykiem. Pławię się w tym dźwięku i mroźnym zimowym powietrzu, gdy słońce wychyla się sponad zachodniego zbocza *Valles Marineris*. Większość tych głosów mogłaby należeć do niewolników, ale ci ludzie idą za mną z własnej woli. Wkrótce nawet Dom Apolla mnie poprze.

Zanoszę się dzikim śmiechem, ogień triumfu buzuje mi w żyłach. Pokonaliśmy jednego rewizora, ale Jowisz nadal może wyrządzić nam krzywdę. Jego Dom – niepokonany i niezłomny – znajduje się daleko na północy. Ogarnia mnie gwałtowna fala gniewu przemieszanego z innym, bardziej mrocznym uczuciem: arogancją, wściekłą, przyprawiającą o szaleństwo arogancją. Łapię włócznię Apolla, biorę zamach i z całej siły

ciskam nią w kierunku zgromadzonych nad nami rewizorów. Moje wojsko z uwagą obserwuje ten zuchwały akt.

Rewizorzy się rozpierzchają, kiedy impulsowy grot przebija ich osłonę. Patrzą na mnie z ogniem w oczach, ale zwykły rzut włócznią nie jest w stanie ugasić buzującej we mnie złości. Nienawidzę tych głupich intrygantów. Zniszczę ich.

– Jowisz! Jesteś następny. Jesteś następny, psi balasie!

Pax wykrzykuje moje imię. Tactus podchwytuje jego okrzyk. Z jednej z wież wtóruje im Nyla. Wkrótce setka głosów w całym zdobytym przez nas zamku, od dziedzińca po najwyższe mury i wieże, powtarza to samo słowo. Moi żołnierze uderzają mieczami i włóczniami o tarcze, a potem rzucają nimi w rewizorów. Sto pocisków zderza się z tarczami impulsowymi, nie czyniąc nikomu szkody; moi ludzie muszą się rozproszyć, żeby nie poraniła ich spadająca broń, ale widok jest piękny, tak jak piękny jest szcęk metalowego deszczu na bruku. Znów skandują moje imię, wykrzykują je pod adresem rewizorów, ponieważ wiedzą już, z kim walczymy.

Nagroda od rewizora

Moja armia śpi do późnego rana. Ja nie potrzebuję odpoczynku, chociaż dotrzymuję towarzystwa Sevro i paru innym na murach. Stoją blisko, jakby nawet najmniejsza przestrzeń mogła dać rewizorom możliwość zabicia mnie.

Sevro uwolnił pięciu uczniów Merkurego z grupy niewolników Apolla. Tłoczą się wokół niego na murach, grając w zabawy na szybkość: próbują uderzać się nawzajem po kostkach dłoni, żeby się przekonać, kto jest najszybszy. Ja nie gram, bo za łatwo wygrywam. Lepiej zostawić zabawę dzieciakom. Po zajęciu zamku – mimo że to Sevro i Tactus odwalili najcięższą robotę – moi chłopcy i dziewczyny uważają, że jestem chodzącym cudem. Mustang powiedziała mi, że to rzadkość.

– Jakby uważali, że jesteś bytem spoza czasu.

– Nie rozumiem.

– Jednym z dawnych zdobywców. Jak starożytni Złoci, którzy zagarnęli Ziemię, zniszczyli jej floty i tak dalej. To dla nich pretekst, żeby z tobą nie rywalizować, bo jak Hefajstion mógłby konkurować z Aleksandrem albo Antoniusz z Cezarem?

Żołądek mi się zaciska. To tylko gra, a oni tak mnie kochają. Kiedy nadejdzie czas rebelii, ci chłopcy i dziewczęta staną się moimi wrogami, a ja zastąpię ich Czerwonymi. Jak oddani staną się wtedy ci Czerwoni? Czy ten fanatyzm będzie miał jakiegokolwiek znaczenie, kiedy staną przeciwko takim stworzeniom jak Sevro i Tactus, jak Pax i Mustang?

Patrzę, jak Mustang skrada się do mnie chyłkiem po murze. Utyka delikatnie z powodu skręconej kostki, ale i tak jest uosobieniem gracji. Jej włosy są jak gniazdo uplecione z gałązek. Ma podkrążone oczy. Uśmiecha się do mnie. Jest piękna. Jak Eo.

Z murów mamy widok ponad Wielką Puszczą, na północy dostrzegam początki marsjańskich wyżyn. Góry piorunują nas wzrokiem z zachodu, na lewo od nas. Mustang wskazuje niebo.

– Nadlatuje rewizor.

Ochrona zacieśnia się wokół mnie, ale to tylko Fitchner. Sevro spluwa z blanków.

– Nasz rodzic marnotrawny powrócił.

Fitchner zlatuje z uśmiechem, który wyraża wyczerpanie, strach i odrobinę dumy.

– Możemy porozmawiać? – pyta mnie, rozglądając się po moich skrzywionych przyjaciółach.

Siadamy razem w sali narad Apolla. Mustang dorzuca drewna do ognia. Fitchner przygląda się jej sceptycznie, nie podoba mu się obecność dziewczyny. Ma opinię na prawie każdy temat, jak pewna inna znana mi osoba.

– Narobiłeś strasznego bałaganu, chłopaczku.

– Uzgodnijmy, że nie będziesz mnie nazywał „chłopaczkiem” – proponuję.

Kiwa głową. Nie żuje gumy. Nie wie, jak powiedzieć mi to, co chce. Troska w jego oczach naprowadza mnie na właściwy trop.

– Apollo nie opuścił Olimpu – mówię.

Szttywnieje, zaskoczony moim domysłem.

– Zgadza się. Nadal tam jest.

– I co to znaczy? – Mustang podchodzi, żeby usiąść obok mnie.

– Tylko tyle – odpowiada Fitchner, patrząc na mnie. – Nie opuścił Olimpu, choć powinien. Zrobił się bałagan. Apollo miał dostać lukratywny stołek, gdyby Szakał wygrał. Tak samo Jowisz i paru innych. Mówi się, że podobno na Lunie zwalnia się stanowisko pretora rycerza.

– A teraz ta możliwość się im wymyka – mówi Mustang. Zerka na mnie ze znaczącym uśmieszkiem. – Z powodu jednego chłopca.

– Tak.

Śmieję się. Mój śmiech odbija się echem w polu zakłócającym.

– W takim razie co teraz trzeba zrobić?

– Nadal chcesz wygrać, tak? – upewnia się Fitchner.

– Tak.

– I tylko po to to robisz? – pyta mnie, chociaż ewidentnie coś innego chodzi mu po głowie. – Dostaniesz staż bez względu na wszystko.

Pochylam się do przodu i pukam palcem w stół.

– Psiakrew, rzecz w tym, żeby pokazać im, że nie mogą oszukiwać we własnej przeklętej grze. Arcygubernator nie może po prostu powiedzieć, że jego syn jest najlepszy i powinien mnie pokonać, bo urodził się szczęściarzem. Tu chodzi o zasługi.

– Nie – oponuje Fitchner, pochylając się do przodu. – To jest polityka. – Zerka na Mustang. – Odeślesz ją wreszcie?

– Mustang zostaje.

– Mustang – kpi Fitchner. – A zatem, Mustang, co myślisz o arcygubernatorze, który oszukuje na rzecz swojego syna?

Mustang wzrusza ramionami.

– Zabij albo zgiń, oszukaj albo zostaniesz oszukany? To są zasady, których, jak widziałam, przestrzegają Aureusowie, zwłaszcza Niezrównani Naznaczeni.

– Oszukaj albo zostaniesz oszukany... – Fitchner puka się w górną wargę. – Ciekawe.

– Powinieneś sporo wiedzieć o tej części z oszukiwaniem – zauważa Mustang.

– Musisz pozwolić mnie i Darrowi porozmawiać teraz na osobności.

– Ona zostaje.

– W porządku – mruczy zagadkowo Mustang. Ściska moje ramię i wychodzi. – I tak znudził mnie twój rewizor.

Fitchner wpatruje się we mnie. Sięga do kieszeni, waha się, wreszcie coś z niej wyjmuję. Małe pudełko. Rzuca je na stół i wskazuje gestem, żebym otworzył. Jakimś cudem wiem, co jest w środku.

– Cóż, łajdaki, jesteście mi winni parę nagród.

Śmieję się gorzko, wsuwając na palec nożoPierścień od Dancera. Zginam palec i ostrze wyskakuje, sięgając na osiem cali poza opuszkę. Znowu poruszam stawem i ostrze się chowa.

– Obsydianowi zabrali ci go przed Próba, prawda? Powiedziano mi, że należał do twojego ojca.

– Kto ci tak powiedział? – Drapię stół ostrzem. – To bardzo nieprecyzyjne ze strony tej osoby.

– Nie musisz być złośliwy, chłopaczku.

Zerkam Fitchnerowi w twarz.

– Przybyłeś tu, żeby zdobyć staż – ciągnie. – Udało ci się. Jeśli będziesz dalej przyciskał rewizorów, zabiją cię.

– Mam wrażenie, że odbyliśmy już tę rozmowę.

– Darrow, psiarew, to, co robisz, nie ma za grosz sensu! To lekkomyślne!

– Nie ma sensu? – powtarzam.

– Jeśli pokonasz syna arcygubernatora, co wtedy? Co w ten sposób uzyskasz?

– Wszystko! – warczę. Dygocę z gniewu. Wpatruję się w ogień, aż znowu zapanuję nad głosem. – Dowiodę, że jestem najlepszym Złotym w szkole. Udowodnię, że potrafię wszystko to, co oni. Dlaczego miałbym w ogóle z tobą rozmawiać, Fitchner? Dokonałem tego wszystkiego bez twojej pomocy. Nie potrzebuję cię. Apollo próbował mnie zabić, a ty palcem nie kiwnąłeś! Więc co właściwie jestem ci winien? Może to? – Wysuwam ostrze.

– Darrow.

– Fitchner. – Przewracam oczami.

Uderza w stół.

– Nie mów do mnie, jakbym był głupcem. Spójrz na mnie. Spójrz na mnie, ty przemądrzały cymbale.

Patrzę na niego. Brzuch mu urósł. Twarz ma wymizerowaną jak na Złotego. Włosy ma żółte i ulizane. Nigdy nie był przystojny, a teraz wygląda jeszcze gorzej.

– Spójrz na mnie, Darrow. Wszystko, co mam, musiałem sobie wywalczyć. Nie urodziłem się w domu arcygubernatora. Dalej zejść nie zdołam, a powinienem. Mój syn powinien zejść dalej, ale nie może i nie zajdzie. Umrze, jeśli tego spróbuje. Każdy ma swoje ograniczenia, Darrow. Granicę, której nie może przeskoczyć. Twoja znajduje się wyżej niż moja, ale nie aż tak wysoko, jak byś chciał, psiarew. Jeśli ją przekroczysz, powalą cię na ziemię.

Odwraca się, jakby zawstydzony, i piorunuje wzrokiem ogień. Jego syn. Widać to w kolorze włosów i cery, w rysach twarzy, w sposobie bycia, w tym, jak zwracają się do siebie. Jestem głupcem, że nie powiedziałem tego wcześniej na głos.

– Jesteś ojcem Sevro.

Przez pewien czas nie odpowiada. A kiedy już to robi, mówi błagalnym tonem:

– Przez ciebie myśli, że może wspiąć się wyżej, niż to rzeczywiście jest możliwe. Zabijesz go, młody. I zabijesz siebie.

– To nam pomóż! – nalegam. – Daj mi coś, czego będę mógł użyć przeciwko Apollowi. Albo lepiej: walcz z nimi, stań po mojej stronie. Zbierz pozostałych rewizorów i chodźmy walczyć na ich terenie.

– Nie mogę, młody. Nie mogę.

Wzdycham.

– Nie możesz, tak myślałem.

– Jeśli ci pomogę, moja kariera skończy się w okamgnieniu. Mogę stracić wszystko, na co tyrałem, a jest tego naprawdę dużo. I po co? Tylko po to, żeby dowieść czegoś arcygubernatorowi.

– Wszyscy strasznie boją się zmiany – mówię, zanim uśmiechnę się szczerze do złamanego człowieka. – Przypominasz mi mojego stryja.

– Nie będzie zmiany – mamrocze Fitchner, wstając. – Nic się nie zmienia. Zrozum, gdzie jest twoje cholerne miejsce, albo nie wyjdiesz z tego żywy. – Patrzy na mnie, jakby chciał wyciągnąć rękę i dotknąć mojego ramienia. Nie robi tego. – Do diabła, już zastawili na ciebie pułapkę. A ty ładujesz się prosto w nią.

– Jestem gotowy na pułapki Szakala, Fitchner. Albo Apolla. To bez różnicy. Nie będą w stanie powstrzymać tego, co ich czeka.

– Nie – odpowiada po chwili wahania. – To nie oni zastawili na ciebie pułapkę. To ta dziewczyna.

Odpowiadam mu w sposób, który zrozumie:

– Fitchner, nie traktuj mnie jak głupca, straszac mglistymi, denerwującymi aluzjami do dwulicowości. Moja armia należy do mnie, zdobyłem ich serca, ciała i dusze. Na tym etapie nie mogą mnie zdradzić, tak jak ja nie mógłbym zdradzić ich. Jesteśmy czymś, czego do tej pory nie widziałeś. Zatem przestań.

Kręci głową.

– To twoja walka, młody.

– Tak, to moja walka. – Uśmiecham się. Nadszedł czas, na który czekałem. – Fitchner, poczekaj – mówię, zanim dojdzie do drzwi.

Przystaje i ogląda się. Odsuwam krzesło i podchodzę do niego. Wyciągam rękę.

– Mimo wszystko dziękuję ci.

Ściska mi dłoń.

– Powodzenia, Darrow. Tylko zadbaj o Sevro. Ten mały wypierdek pójdzie za tobą wszędzie, bez względu na to, co mu powiem.

– Będę o niego dbał, obiecuję.

Ściskam mu rękę dłonią piekłonurka.

Przez chwilę, nawet jeśli tylko przez chwilę, jesteśmy przyjaciółmi. A potem krzywi się, kiedy czuje uścisk mojej ręki. Śmieje się początkowo, a potem rozumie i otwiera szeroko oczy.

– Przepraszam – mówię.

Łamię mu nos i tak długo tłukę go łokciem w skroń, aż przestaje się ruszać.

Paradygmat

– Fitchner wyszedł? – pyta mnie Mustang.

– Przez okno – odpowiadam.

Na zewnątrz rozpętała się śnieżycą, bez wątpienia mająca zatrzymać moją armię w zamku przy ciepłym ogniu i gorących garach zupy.

Patrzę na Mustang ponad białym stołem w sali narad Apolla. Związane rzemieniami włosy układają jej się w pukle wokół ramion. Nosi wilczą pelerynę, tak jak pozostali, ale jej jest poznaczona szkarłatem. Zabłocone buty z ostrogami oparła na stole. Jej sztandar – broń, którą najchętniej wybiera – opiera się o krzesło obok niej. Jej twarz żywo reaguje. Szybko wypływa na nią kpiący uśmiech, szybko pojawia się na niej uprzejma troska. Mustang uśmiecha się i pyta, o czym myślę.

– Zastanawiam się, kiedy mnie zdradzisz.

Ściąga brwi.

– Spodziewasz się tego?

– Oszukaj albo zostań oszukany – mówię. – Powtórzone twoimi własnymi ustami.

– Zamierzasz mnie oszukać? Nie. Bo co byś na tym zyskał? Ty i ja pokonaliśmy grę. Kazano nam wierzyć, że trzeba wygrać kosztem pozostałych. To nieprawda i my tego dowodzimy.

Nie odzywam się.

– Ufam ci, bo kiedy po zajęciu mojego zamku zobaczyłeś, że chowam się błocie, pozwoliłeś mi uciec – wyjaśnia zamyślona. – A ty ufasz mnie, bo wyciągnęłam cię z błota, kiedy Cassius zostawił cię na pewną śmierć.

Nie odpowiadam.

– Zatem oto twoja odpowiedź, Darrow. – Nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu. – Dokonasz wielkich rzeczy. Może nie musisz dokonywać ich samotnie?

Te słowa sprawiają, że się uśmiecham. A potem podrywam się na równe nogi, czym ją zaskakuję.

– Zwołaj naszych ludzi – rozkazuję.

Wiem, że miała nadzieję na odpoczynek na zamku. Ja też. Zapach zupy mnie kusi. Tak samo jak ciepło, łóżko i myśl o spędzeniu z nią spokojnej chwili. Jednakże nie w taki sposób mężczyźni dokonują podbojów.

– Zaskoczmy rewizorów. Zajmiemy Jowisza.

– Nie możemy zaskoczyć rewizorów.

Stuka palcem w pierścień. Pole zakłócające, które miał Fitchner, zniknęło. Porzucilibyśmy pierścienie całkowicie, ale są naszym zabezpieczeniem. Rewizorzy mogą wyciąć parę drobiazgów to tu, to tam, ale rozsądek nie pozwala, żeby za bardzo majstrowali przy nagraniach, bo inaczej werbownicy nabiorą podejrzeń.

– I nawet jeśli damy radę pokonać śnieżycę, to co nam da przejęcie Jowisza? – pyta. – Jeżeli Apollo nie odszedł, kiedy jego Dom przegrał, to Jowisz tym bardziej nie odejdzie. Tylko sprowokujesz go do interwencji. Powinniśmy natychmiast zaatakować Szakala!

Wiem, że rewizorzy patrzą, jak to planuję. Chcę, żeby wiedzieli, dokąd się wybieram.

– Nie jestem gotowy na Szakala – odpowiadam jej. – Potrzebuję więcej sojuszników.

Patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami. Nie rozumie, ale to nie ma znaczenia. Wkrótce zrozumie.

* * *

Nawet w burzy śnieżnej moja armia porusza się szybko. Owijamy się w peleryny i futra tak grubo, że wyglądamy jak zwierzęta brnące przez śnieg. Nocą kierujemy się gwiazdami i przemy naprzód, mimo górskich wiatrów i śnieżnych zasp. Moja armia nie narzeka. Wiedzą, że nie prowadziłbym ich bez konkretnego celu. Moi nowi żołnierze dają z siebie więcej, niż pomyślałbym, że to możliwe. Już Pax potrafi o to zadbać. Poza

tym rozpaczliwie chcą mi zaimponować, aż zaczyna to być kłopotliwe. Gdziekolwiek idę, pochód wokół mnie nagle podwaja wysiłki, więc zaraz albo zrównują się z tymi na przedzie, albo zostawiają w tyle tych już idących za nimi.

Śnieżycą szaleje. Pax stoi blisko mnie i Mustang, jakby chciał nas osłonić przed wichurą. On i Sevro ciągle depczą sobie po palcach, gdy próbują stanąć jak najbliżej mnie, chociaż olbrzym pewnie najchętniej zapaliłby dla mnie ogień w kominku i opatulił mnie do snu, gdybym mu na to pozwolił, podczas gdy malec powiedziałby mi raczej, żebym go pocałował w tyłek. Teraz za każdym razem, gdy na niego patrzę, widzę w nim jego ojca. Sprawia wrażenie słabszego, odkąd znam jego rodzinę, chociaż nie ma powodu, żeby naprawdę tak było. Chyba rzeczywiście wyobrażałem sobie, że wyskoczył z lędzwi wilczycy.

W końcu śnieg przestaje padać i wiosna nadchodzi szybko i gwałtownie, co potwierdza moje podejrzenia. Rewizorzy pogrywają sobie z nami. Wyjce pilnują, żeby wszystkie oczy były skierowane w górę, na wypadek gdyby rewizorzy postanowili dręczyć nas podczas naszej wyprawy. Żaden się nie pojawia. Tactus wypatruje ich śladów, ale panuje spokój. Nie zauważamy wrogich zwiadowców, nie słyszymy wojennych trąbek w oddali, dym nie wzbija się w niebo nigdzie poza północą – poza wyżynami Marsa.

Przetrząsamy magazyny z zapasami w spalonych i zrujnowanych zamkach, kiedy napieramy w kierunku Jowisza. Mamy dzbany z zamku Bachusa, które – jak odkrył rozczarowany Sevro – są pełne soku winogronowego zamiast wina, mamy soloną wołowinę z głębokich piwnic Junony, sery pleśniowe, ryby zawinięte w liście, torby z nieodłączną wędzoną koniną. Dzięki nim mamy pełne brzuchy podczas marszu.

Po czterech dniach w trudnym terenie docieram na miejsce i zaczynam obleżenie otoczonego potrójnym murem zamku, który posadowiono na niskich przełęczach górskich. Śnieg topnieje dostatecznie szybko, żeby ziemia stała się zbyt grząska dla naszych koni. Strumienie wody płyną przez nasz obóz. Nie zawracam sobie głowy wymyślaniem planu działania. Po prostu mówię oddziałom Paxa, Milii i Nyli, że ten, kto da mi twierdzę, dostanie nagrodę. Obrońcy są bardzo nieliczni i moja armia zajmuje zewnętrzny pierścień fortyfikacji w ciągu jednego dnia, budując serię drewnianych ramp pod sporadycznymi salwami strzał.

Moje pozostałe trzy oddziały przeczesują okoliczne tereny, na wypadek gdyby Szakał postanowił wtrącić się w nasze poczynania. Wygląda na to, że

główna armia Jowisza utknęła za Argosem, którego lody właśnie stopniały, gdzie oblega zamek Marsa. Nie spodziewali się, że rzeka tak szybko odtaje. Nadal nigdzie nie ma śladu ludzi Szakala ani rewizorów. Zastanawiam się, czy znaleźli już Fitchnera zamkniętego w jednej z piwnic zamku Apolla. Zostawiłem mu jedzenie, wodę i twarz fioletową od siniaków.

Trzeciego dnia oblężenia na blankach zamku Jowisza łopocze biała flaga. Chudy chłopak, średniego wzrostu, z nieśmiałym uśmiechem, wymyka się tylną bramą. Fortecę posadowiono na wysokim, skalistym terenie. Stoi wciśnięta między dwie ogromne skalne ściany, więc potrójne mury wyginają się łukiem na zewnątrz. Wkrótce spróbowałbym wysłać na te ściany swoich ludzi – byłoby to świetne zadanie dla Wyjców, ale oni zgarnęli już dość chwały. To oblężenie należy do żołnierzy pojmanych podczas walk z Apollem.

Chłopiec wychodzi niepewnie przed główną bramę. Spotykam się tam z nim razem z Sevro, Milią, Nylą i Paxem. Nasza grupa robi przerażające wrażenie nawet bez Tactusa i Mustang, chociaż dziewczynę trudno uznać za przerażającą z wyglądu; w najlepszym wypadku można powiedzieć, że jest pełna werwy i ognia. Milia wygląda jak żywcem wyjęta z koszmaru – zaczęła nosić trofea tak samo jak Tactus i Oset. A Pax robi sobie nacięcia na drzewcu ogromnego topora za każdego pojmanego niewolnika.

Chłopak denerwuje się na widok moich przybocznych. Uśmiecha się szybko, prawie jakby się bał, że możemy źle ocenić jego intencje. Na palcu nosi pierścień Jowisza. Sprawia wrażenie wygłodzonego, bo ten ledwie się trzyma.

– Nazywam się Lucian – mówi, starając się brzmieć jak mężczyzna.

Najwyraźniej uważa, że to Pax tu dowodzi. Olbrzym ryczy śmiechem i wskazuje mnie i mój sierpak. Lucian wzdryga się, patrząc w moją stronę. Myślę, że dobrze wiedział, że to ja jestem dowódcą.

– Spotkaliśmy się tu, żeby się do siebie pouśmiechać? – pytam. – Co masz do powiedzenia?

– Głodujemy – odpowiada, śmiejąc się żałośnie. – Od trzech tygodni nie jedliśmy nic poza szczurami i surowym ziarnem moczonym w wodzie.

Prawie mi go żal. Ma brudne włosy, załzawione oczy. Wie, że porzuca nadzieję na staż. Przez resztę życia będą go wyśmiewać za tę kapitulację. Niestety jest głodny. Tak samo jak siódemka pozostałych obrońców. Co dziwne, należą do Jowisza, nie są niewolnikami. To ich Prymus zostawił na straży. Wybrał najsłabszych swoich zamiast niewolników.

Stawiają tylko jeden warunek w związku z poddaniem zamku: że nie zostaną niewolnikami. Tylko Pax mruczy coś honorowego na temat tego, że powinni zapracować na swoją wolność, tak jak pozostali, ale ja przystaję na prośbę chłopaka. Każę Milii ich pilnować. Jeśli zaczną podżegać do buntu, zrobi sobie trofea z ich skalpów. Przywiązujemy nasze konie na dziedzińcu. Kamień, którym go wybrukowano, jest brudny. Wysoki, kanciasty donżon wznosi się wysoko pod ścianą urwiska.

Ciemność sączy się przez chmury. Burza nadciąga nad przełęcz, więc sprowadzam swoje siły do zamku i rygluję bramy. Mustang i jej oddział pozostają poza murami; wrócą późnym wieczorem, po zwiadzie z Tactusem. Rozmawiamy przez komunikatory. Tactus przeklina nas za to, że mamy dach nad głową i siedzimy w suchym miejscu. W nocy pada ulewny deszcz.

Upewniam się, że nasi weterani dostaną w pierwszej kolejności łóżka w dormitoriach Jowisza, zanim coś zjemy. Moi żołnierze może i są zdyscyplinowani, ale zadźgaliby własną matkę za ciepłe pośłanie. To coś, do czego większość z nich nigdy się nie przyzwyczaiła: sypianie na ziemi. Brakuje im materacy i jedwabnej pościeli. Ja tęsknię za wąską pryczą, którą dzieliłem z Eo. Teraz ona nie żyje już dłużej, niż byliśmy małżeństwem. Zaskakuje mnie, jak bardzo boli to odkrycie.

Myślę, że mam teraz osiemnaście lat według ziemskiej miary. Nie jestem do końca pewien.

Nasz chleb i mięso są jak niebo w gębie dla wygłodzonych obrońców Jowisza. Lucian i jego gromadka, wszyscy chudzi i umęczeni, zajadają tak szybko, że Nyla martwi się, czy nie rozerwą sobie wnętrzości. Kręci się między nimi i powtarza im, że wędzona konina nigdzie nie odgalopuje. Pax i jego KrwawoGrzbiety od czasu do czasu rzucają kośćmi w słabeuszy. Śmiech chłopaka jest zaraźliwy. Wyrывa się z niego jak ryk i zamienia się w coś kobiecego, gdy trwa dłużej niż dwie sekundy. Nikt nie jest w stanie zachować powagi, kiedy on zaczyna rechotać. Znowu opowiada o Heldze. Rozglądam się za Mustang, żeby pośmiać się z tego razem z nią, ale wróci dopiero za kilka godzin. Brakuje mi jej i serce wzbiera mi nieco w piersi, bo wiem, że tej nocy zwinie się obok mnie w łóżku i razem będziemy chrapać jak stryj Narol po święcie przesilenia zimowego.

Przywołuję Milię do szczytu stołu. Moja armia odpoczywa w sali narad Jowisza. Podbój przychodzi im naturalnie. Mapa Jowisza została zniszczona. Nie potrafię się zorientować, co wiedzą obrońcy.

– Co myślisz o naszych gospodarzach? – pytam Milię.

– Moim zdaniem powinniśmy naznaczyć ich piętnem.

Cmokam z dezaprobatą.

– Naprawdę nie lubisz dotrzymywać słowa, co?

Bardzo przypomina sokoła, jej twarz – same ostre rysy – ucieleśnia okrucieństwo. Jej głos budzi podobne skojarzenia.

– Przysiężenia to łańcuchy – chrypi. – Jedno i drugie należy zerwać.

Mówię jej, żeby zostawiła ludzi Jowisza w spokoju, ale potem głośno rozkazuję jej przynieść wino, które zdobyliśmy w drodze do zamku. Zabiera paru chłopców i przynosi beczułki z magazynów Bachusa.

Staję jak głupek na stole.

– Rozkazuję wam się upić! – ryczę do mojej armii. Patrzą na mnie jak na wariata.

– Upić się? – pyta ktoś.

– Tak! – wchodzę mu w słowo, zanim powie coś więcej. – Dacie radę? Dacie radę chociaż raz zachować się jak głupcy?

– Możemy spróbować! – woła Milia. – Prawda?

Odpowiadają jej wiwaty. Jakiś czas później, gdy wypijamy zapasy od Bachusa, proponuję głośno, żeby poczęstować też ludzi z Domu Jowisza. Pax wstaje chwiejnie i protestuje – nie będziemy dzielić się dobrym winem. Jest dobrym aktorem.

– Sprzeciwiasz mi się? – pytam ostro.

Waha się, ale udaje mu się skinąć wielkim łbem.

Wyciągam sierpak z pochwy na plecach. Zgrzyt niesie się głośno w wilgotnym powietrzu sali narad. Setka oczu spogląda na nas. Na zewnątrz przewala się grzmot. Pax robi wielki pijacki krok przed siebie. Sam kładzie rękę na rękojeści topora, ale go nie wyciąga. Po chwili kręci głową i przykłada; nawet na klęczkach prawie dorównuje mi wzrostem. Chowam broń i pomagam mu wstać. Mówię, że ma pojechać na patrol.

– Na patrol? Ale... jest burza, pada deszcz...

– Słyszałeś mnie, Pax.

Burząc pod nosem, KrwawoGrzbiety wychodzą za nim chwiejnie. Są dostatecznie bystrzy, żeby zorientować się w swojej roli, nawet jeśli nie znają planu.

– Dyscyplina! – przechwalam się przed Lucianem. – Dyscyplina to najlepsza cecha człowieka. Nawet w przypadku tak ogromnych osiłków.

Niestety Pax ma rację. Nie dostaniecie dzisiaj wina. Na to musicie sobie zasłużyć.

Pod nieobecność Paxa urządzam przedstawienie, rozdając ceremonialne wilcze peleryny niewolnikom od Wenusa i Bachusa, którzy zapracowali na wolność podczas zdobywania twierdzy. Peleryny są tylko ceremonialne, bo nie mieliśmy czasu poszukać wilków. Słysząc śmiechy, nastrój jest niefrasobliwy. Chociaż raz bawimy się, lecz nikt nie porzucił broni. Nyla daje się namówić na zaśpiewanie czegoś. Ma anielski głos. Śpiewa w Operze Marsjańskiej i miała wystąpić w Wiedniu, dopóki nie nadeszła lepsza propozycja w postaci nauki w Instytucie. Życiowa okazja. Co za żart.

Lucian siedzi w kącie sali narad wraz z pozostałą siódmką obrońców, obserwując naszych żołnierzy, którzy ostentacyjnie udają, że zasypiają przy stołach, przy ogniu, pod ścianami. Paru wymyka się do łóżek. Odgłosy chrapania łaskoczą mnie po uszach.

Sevro nie oddala się zbyt, jakby w każdej chwili rewizorzy mogli wpaść, by mnie zabić. Mówię mu, żeby się upił i zostawił mnie w spokoju. Wypełnia polecenie i wkrótce już się śmieje, a potem zasypia i chrapie przy stole. Potykając się o moje śpiące wojsko, podchodzę do Luciana z uśmiechem na twarzy. Nie upiłem się od śmierci mojej żony.

Mimo swojej potulności ten chłopak mnie ciekawi. Rzadko patrzy mi w oczy i garbi się. Nigdy jednak nie chowa rąk w kieszeniach, nie krzyżuje ich obronnie na piersi. Pytam go o wojnę z Marsem. Tak jak myślałem, prawie wygrali. Mówi coś o dziewczynie, która zdradziła Marsa. To mi brzmi jak Antonia.

Muszę działać szybko. Nie wiem, co się stanie, jeśli sztandar mojego Domu i zamek zostaną przejęte, chociaż mam swoją niezależną armię. Teoretycznie mógłbym przegrać.

Przyjaciele Luciana są zmęczeni, więc pozwalam im odejść, żeby poszukali sobie łóżek. Nie będą stanowić problemu. Lucian zostaje, żeby porozmawiać. Zapraszam go do stołu w sali narad. Kiedy jego kumple wychodzą, słyszę na korytarzu Mustang. Wchodzi do sali jakby nigdy nic. Ma ulizane, mokre włosy, przemoczoną wilczą pelerynę, jej buty zostawiają ślady błota. Na zewnątrz przewala się grzmot.

Na jej twarzy odmalowuje się wzorcowa konsternacja na widok mnie z Lucianem.

– Mustang, kochanie! – wołam. – Niestety spóźniłaś się. Wypiliśmy wszystkie zapasy od Bachusa!

Wskazuję na moją chrapiącą armię i mrugam porozumiewawczo. Zostało ich z pięćdziesięcioro, leżą rozwaleni na różnych etapach uśpienia w wielkiej sali narad. Wszyscy pijani jak Narol w święto przesilenia.

– Schlanie się to pierwszorzędny pomysł w takiej chwili jak ta – odpowiada dziwnym tonem.

Patrzy to na Luciana, to na mnie. Coś jej się nie podoba. Przedstawiam jej chłopaka. On coś mamrocze o tym, jak miło ją poznać. Ona prycha śmiechem.

– Darrow, jak on cię przekonał, żebyś nie zrobił z niego niewolnika?

Nie wiem, czy Mustang rozumie, w co ja tu gram.

– Oddał mi swoją twierdzę!

Niezgrabnym machnięciem ręki wskazuję na wpół zniszczoną kamienną mapę na ścianie. Mustang proponuje, że do nas dołączy. Zaczyna wzywać swoich ludzi z korytarza, ale jej przerywam:

– Nie, nie. My z Lucianem właśnie zostajemy pierwszorzędnymi przyjaciółmi. Żadnych dziewczyn. Weź swoich ludzi i idź poszukać Paxa.

– Ale...

– Idź poszukać Paxa.

Wiem, że jest skonsternowana, ale mi ufa. Żegna się ze mną i Lucianem, mamrocząc coś pod nosem, i zamyka drzwi. Odgłos jej kroków powoli cichnie.

– Myślałem, że już nigdy sobie nie pójdzie! – śmieję się do chłopaka.

On odchyła się w krzesło. Jest naprawdę bardzo szczupły, żadnego nadmiaru ciała. Blond włosy nosi przycięte całkiem zwyczajnie. Ręce ma szczupłe i robotne. Przypomina mi kogoś.

– Większość ludzi woli, żeby ładne dziewczyny nie wychodziły – mówi ze szczerym uśmiechem. Rumieni się nawet trochę, kiedy pytam, czy naprawdę uważa Mustang za ładną.

Rozmawiamy przez prawie godzinę. Stopniowo Lucian zaczyna się odprężać. Nabiera pewności siebie i wkrótce opowiada mi o dzieciństwie, wymagającym ojcu, oczekiwaniach rodziny. Nie staje się jednak godny politowania. Jest realistą, a to cecha, którą podziwiam. Nie musi już unikać mojego wzroku, kiedy rozmawiamy. Nie garbi się tak bardzo i staje się przyjemny, wręcz zabawny. Kilkanaście razy śmieję się w głos. Robi się późno, ale my nadal rozmawiamy i żartujemy. Śmieje się z butów, które

noszę, owiniętych zwierzęcym futrem dla izolacji od chłodu. Teraz, kiedy stopniał śnieg, jest mi w nich gorąco, ale muszę je nosić.

– Ale co z tobą, Darrow? Gadamy i gadamy o mnie. Myślę, że teraz twoja kolej. Powiedz mi więc, co cię tu doprowadziło? Co cię nakręca? Nie wydaje mi się, żebym słyszał o twojej rodzinie...

– Prawdę mówiąc, nie są to ludzie, o których chciałbyś słuchać. Myślę jednak, że wszystko sprowadza się do dziewczyny. Jestem prostym chłopakiem i mam prostą motywację.

– A ta ładna... – Lucian się rumieni. – Mustang? Ona nie robi wrażenia prostej.

Wzruszam ramionami.

– Ja ci powiedziałem wszystko! – protestuje. – Nie zachowuj się jak mętny Fioletowy. Przejdź do rzeczy, człowieku! – Zniecierpliwiony bębni palcami w stół.

– No dobrze, dobrze. Cała historia. – Wzdycham. – Widzisz ten pakunek obok ciebie? W środku jest torba. Podaj mi ją, dobrze?

Lucian wyjmuję torbę i rzuca mi ją, a ta z brzękiem uderza o stół.

– Pokaż mi swoją rękę.

– Moją rękę? – pyta ze śmiechem.

– Tak, połóż ją tutaj, proszę. – Klepię w blat. Lucian nie reaguje. – Daj spokój, chłopie, pracuję nad pewną teorią.

Nieczekliwie poklepuję stół. W końcu kładzie dłoń tam, gdzie wskazuję.

– Jak to się ma do twojej historii, tudzież teorii? – Nadal się uśmiecha.

– To skomplikowane. Lepiej ci pokażę.

– W porządku.

Otwieram torbę i wysypuję jej zawartość. Ze dwadzieścia złotych pierścieni z symbolami turla się po stole. Lucian patrzy na nie.

– Wszystkie zostały zdjęte z dłoni zabitych dzieciaków. Dzieciaków, których medBoty nie zdołały uratować. Spójrzmy. – Przeglądam stosik pierścieni. – Mamy Jowisza, Wenus, Neptuna, Bachusa, Junonę, Merkurego, Dianę, Ceres... i mamy tu Minerwę. – Marszczę brwi, grzebiąc w stosie. – Hmm. Dziwne. Nie mogę znaleźć Plutona.

Podnoszę wzrok na Luciana. Jego spojrzenie jest teraz inne. Martwe. Nieme.

– O, tu jest jeden.

Szakal

Zabiera gwałtownie rękę. Jest szybki.

Ja jestem szybszy.

Wbijam sztylet w jego dłoń i przyszpilam ją do stołu.

Lucian otwiera usta i gwałtownie nabiera powietrza. Jakiś dziwne, nieludzkie sapnięcie wyrywa mu się z sykiem z ust, kiedy szarpie za sztylet. Ja jednak jestem od niego większy i wbijam ostrze w stół na cztery cale. Dobijam je dodatkowo dzbanem. Chłopak nie jest w stanie go wyciągnąć. Odchylam się do tyłu i patrzę, jak się z nim szarpie. Jest coś pierwotnego w jego początkowej szaleńczej panice. A potem w jego opamiętaniu pojawia się coś zdecydowanie ludzkiego, bardziej brutalnego i zimniejszego od mojego aktu przemocy. Nigdy w życiu nie widziałem człowieka, który równie szybko odzyskałby spokój. Bierze jeden wdech, może trzy, a potem odchyła się swobodnie w krzesło, jakbyśmy siedzieli przy kieliszku.

– Do diabła – cedzi przez zęby.

– Pomyślałem, że powinniśmy lepiej się poznać – wyjaśniam. Wskazuję na siebie. – Szakalu, poznaj Żniwiarza.

– Masz lepsze imię – odpowiada. Bierze jeden wdech. Drugi. – Od jak dawna wiesz?

– Że jesteś Szakalem? Miałem po prostu nadzieję, że dobrze się domyślałem. Że masz złe zamiary? To wiedziałem, zanim jeszcze wszedłem do zamku. Nikt nie poddaje się bez walki. Jeden z twoich pierścieni nie pasował. Następnym razem chowaj ręce. Niepewne siebie skurczybyki

zawsze ukrywają dłonie albo nerwowo poruszają palcami. Chociaż tak naprawdę to nie miałeś żadnych szans. Rewizorzy wiedzieli, że tu zmierzam. Pomyśleli, że zastawią na mnie pułapkę, jeżeli uprzedzą cię, że nadchodzę. Mógłbyś zakraść się tutaj i spróbować mnie przyłapać ze spuszczoneymi gaciami. Ich błąd. I twój.

Obserwuje mnie z grymasem na ustach i ogląda się na moich trzeźwych jak prosięta żołnierzy, którzy podnoszą się z ziemi. Jest ich prawie pięćdziesięciu. Chciałem, żeby zobaczyli ten podstęp.

– Ach... – Szakal wzdycha, kiedy dociera do niego, jak bezowocna stała się jego pułapka. – A moi ludzie?

– Jacy twoi ludzie? Ci, którzy byli tu z tobą, czy ci, których ukryłeś na zamku? Może w piwnicach? Może pod podłogą w tunelu? Nie spodziewałbym się, że są cali i roześmiani. Pax to prawdziwa bestia, a w razie potrzeby Mustang mu pomoże.

– Dlatego ją odprawiłeś.

A także po to, żeby przypadkiem nie zapytała, dlaczego udajemy, że upiliśmy się sokiem z winogron.

Cały czas grzmi. Pax znajdzie ich kryjówkę. Mam nadzieję, że Szakal utopił sporą część swoich sił w tej zasadzce. W przeciwnym wypadku będę miał kłopot, bo jeśli to on ma zamek Jowisza, to pewnie ma też jego armię, która zawiera sporą część sił Junony i Wulkanu, a wkrótce także Marsa. Jednakże ja mam go tutaj.

Siedzi przyszpilony do stołu, otoczony przez moją armię, i krwawi. Jego zasadzka została zniweczona. Przegrał, ale nie jest bezradny. Nie jest już Lucianem. Prawie jakbym wcale nie wbił mu sztyletu w rękę. Głos mu nie drży. Nie jest rozgniewany, ale tak przerażający, że można się zeszczuć w gacie. Przypomina mi mnie samego, zanim wpadnę w furję. Cichy. Nieśpieszny. Chciałem, żeby moi żołnierze zobaczyli, jak się wije. Nie robi tego, więc każe im wyjść. Zostaje tylko dziesiątka Wyjców, nowych i starych.

– Jeśli mamy porozmawiać, to proszę, wyjmij sztylet z mojej ręki – mówi do mnie Szakal. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale to boli.

Nie jest tak wesoły, jak to sugerują jego słowa. Mimo całej swojej determinacji ma bladą twarz, całe jego ciało zaczyna dygotać z powodu wstrząsu.

Uśmiecham się.

– Gdzie reszta twojego wojska? Gdzie jest ta dziewczyna, Lilath? Jest winna mojemu przyjacielowi oko.

– Puść mnie, a podam ci jej głowę na tacy, jeśli tego chcesz. Jeżeli pożyczysz mi jabłko, to mogę je nawet włożyć w jej usta, żeby wyglądała jak świnia na uczcie. Twój wybór.

– Proszę! To tak zdobyłeś swoje imię, co? – mówię z szyderczym podziwem.

Chłopak cmoka z żalem.

– Lilath spodobało się brzmienie tego imienia i tak już zostało. Dlatego włożę jej jabłko do ust. Żałuję, że nie dostało mi się coś bardziej... królewskiego niż Szakal, ale człowiek nie ma do końca wpływu na swoje przydomki. – Kiwa głową na Sevro. – Tak jak ten tu Mały Goblin i jego Podnóżki.

– Jakie podnóżki, co masz na myśli? – pyta Oset.

– Tak was nazywamy. Podnóżki dla Żniwiarza i Goblina, żeby mieli na czym oprzeć stopy. Jeśli jednak chcecie zyskać lepsze imię, które wyjdzie poza tę małą grę, to zabijcie wielkiego, paskudnego Żniwiarza. Nie ogłuszajcie go. Zabijcie. Wbijcie mu miecz w kręgosłup, a zostaniecie imperatorami, gubernatorami, kimkolwiek zechcecie. Ojciec z radością wyświadczy wam tę przysługę. To bardzo proste. *Quid pro quo*.

Sevro wyciąga noże i piorunuje wzrokiem swoich Wyjców.

– To nie takie proste.

Oset nawet nie drgnie.

– Warto było spróbować. – Szakal wzdycha. – Przyznaję, jestem politikosem, a nie wojownikiem. Jeśli więc mamy rozmawiać, to musisz coś powiedzieć, Żniwiarzu. Wyglądasz jak posąg. Nie mówię w języku posągów.

Jego charyzma jest lodowata. Wyrachowana.

– Naprawdę zjadłeś członków własnego Domu?

– Po miesiącach w ciemności zjesz wszystko, co znajdą twoje usta. Nawet jeśli to coś nadal się rusza. To naprawdę nie jest szczególnie imponujące. O wiele mniej ludzkie, niż bym sobie tego życzył, za to bardzo zwierzęce. I każdy by to zrobił. Jednakże przywoływanie moich koszmarnych wspomnień nie jest dobrym sposobem na negocjacje.

– My nie negocjujemy.

– Ludzie zawsze negocjują. Na tym polega rozmowa. Ktoś coś ma, coś wie. Ktoś czegoś chce.

Uśmiecha się przyjemnie, ale jego oczy... Jest z nim coś nie tak. Wydaje się, że jakaś inna dusza wypełnia jego ciało, odkąd przestał być Lucianem. Widywałem aktorów... ale to jest coś innego. Zupełnie jakby był rozsądny w stopniu, który wykracza poza człowieczeństwo.

– Żniwiarzu, dopilnuję, żeby mój ojciec dał ci wszystko, czego zechcesz. Flotę. Armie Różowych do pukania, Kruki do dokonywania podbojów, cokolwiek ci się zamarzy. Otrzymasz pierwszorzędny staż, kiedy ja wygram ten roczek w szkole. Bo jeśli ty wygrasz, to i tak zostaną ci jeszcze długie lata nauki. Kolejne sprawdziany. Kolejne trudności. Z tego, co słyszę, twoja rodzina jest martwa i biedna. Będzie ci ciężko wypłynąć.

Prawie zapomniałem, że mam jakąś zmyśloną rodzinę.

– Sam wywalczę sobie wawrzyny.

– Żniwiarzu, Żniwiarzu, Żniwiarzu... Uważasz, że to jest koniec? – Cmoka z niesmakiem. – Nie, nic z tego, łaskawy panie. Jeżeli jednak mnie puścisz, to trudności... – macha ręką, jakby coś zmiatał – ...znikną. Mój ojciec zostanie twoim patronem. Witaj, dowództwo. Witaj, sławo. Witaj, władzo. Pożegnaj się tylko z tym... – wskazuje nóż wbity w stół – ...i pozwól, żeby zaczęła się twoja przyszłość. Byliśmy wrogami jako dzieci. Pozwól, żebyśmy zostali sojusznikami jako mężczyźni. Ty jesteś mieczem, a ja piórem.

Dancer chciałby, żebym przyjął tę propozycję. Zagwarantowałaby mi przetrwanie i błyskawiczny wzlot. Znalazłbym się w rezydencji arcygubernatora. Przebywałbym w pobliżu człowieka, który zabił Eo. Ach, jakże pragnę przyjąć tę propozycję. Wtedy jednak musiałbym pozwolić, żeby rewizorzy mnie pokonali. Musiałbym dać temu wypierdkowi wygrać, żeby jego ojca rozpierała duma. Musiałbym patrzeć, jak zarozumiały uśmieszek rozkwita na tej parszywej gębie.

Chrzanić to. Niech poczują ból.

Drzwi otwierają się i Pax zagląda do sali. Uśmiech wypływa mu na twarz.

– Co za pierwszorzędny wieczór, Żniwiarzu! – Śmieje się. – Znalazłem dupków w studni. Pięćdziesiątkę. Wygląda na to, że mieli tam długie tunele. Jak szczury. Pewnie w ten właśnie sposób zajęli zamek. – Zatrząskuje drzwi i siada na brzegu stołu, przeżuując kawałek mięsa z resztek kolacji. – To była mokra robota. Ha! Ha! Pozwoliliśmy im wyjść i to była naprawdę cudna rzeź. Cudna. Helga byłaby zachwycona. Teraz wszyscy są naszymi niewolnikami. Mustang się właśnie tym zajmuje. Ależ ona ma dzisiaj

dziwny nastrój... – Wypluwa kość. – Ha! Zatem to on? Szakal? Błady jak dupa Czerwonego. – Przygląda się uważniej. – W mordę... Przyszpiliłeś go do stołu!

– Pax, myślę, że zdarzało ci się postawić większego kłoca niż ten Szakal – wtrąca Sevro.

– Zgadza się! I bardziej kolorowego. Jest nijaki jak Brązowy.

– Trzymaj język na wodzy, głupcze – mówi do olbrzyma Szakal. – Nie na zawsze tu zostaniemy.

– Tak jak twój kutas, jeśli będziesz dalej tak się stawiał! Ha! Jest tak samo mikry jak ty? – ryczy Pax.

Szakal nie lubi, gdy się z niego kpi. Wpatruje się w milczeniu w wielkoluda, zanim zerknie na mnie. Strzela oczami na boki jak wąż mógłby poruszać językiem.

– Wiedziałeś, że rewizorzy ci pomagają? – pytam. – Że próbowali mnie zabić?

– Oczywiście – odpowiada ze wzruszeniem ramion. – Nagrody, jakich udzielałam... są nieprzeciętne.

– I nie masz nic przeciwko oszukiwaniu?

– Oszukaj albo zostaniesz oszukany, nie?

To brzmi znajomo.

– Cóż, już ci nie pomagają. Za późno na to. Teraz nadszedł czas, żebyś sam sobie pomógł.

Wbijam w stół drugi nóż. Szakal wie, po co.

– Słyszałem kiedyś, że jeśli uwięzić Szakala, to odgryzie sobie łapę, żeby się uwolnić. Nóż może być łatwiejszy w użyciu od zębów.

Parska krótko śmiechem, brzmi to prawie jak szczeknięcie.

– Jeśli więc odetnę sobie rękę, to będę mógł odejść? Naprawdę?

– Tam są drzwi. Pax, przytrzymaj nóż, żeby nie oszukiwał.

Nawet jeśli zjadł innych, to tego nie robi. Może poświęcić przyjaciół i sojuszników, ale nie samego siebie. Nie przejdzie tej próby. Jest Aureusem, ale nie trzeba się go bać. Jest mały. Jest słaby. Jest taki jak jego ojciec. Znajduję pierścień Plutona w jego bucie i wsuwam mu na palec, żeby werbownicy i jego ojciec mogli popatrzeć, jak ich duma i radość się poddaje. Zrozumieją, że jestem lepszy.

– Rewizorzy mogli mnie popychać naprzód, ale i tak musiałem na to zapracować, Darrow.

– Czekamy.

Wzdycha.

– Powiedziałem ci: jestem czymś innym niż ty. Ręka to narzędzie wieśniaka. Narzędziem Złotego jest jego umysł. Gdybyś był lepszego pochodzenia, może zdałbyś sobie sprawę, że taka ofiara ma dla mnie bardzo małe znaczenie.

A potem zaczyna ciąć. Łzy płyną mu po twarzy, kiedy wzbiera krew. Piłuje sobie dłoń. Pax nie może na to patrzeć.

Odcina sobie rękę do połowy, zanim podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się trzeźwo, co przekonuje mnie, że jest kompletnie niepoczytalny. Zęby mu szczękają. Śmieje się ze mnie, z cięcia, z bólu. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego. Teraz już wiem, jak się czuł Mickey, kiedy mnie poznał. To jest potwór w ciele człowieka.

Szakał już zamierza złamać sobie nadgarstek, żeby ułatwić sobie zadanie, kiedy Pax przeklina i daje mu ostrze jonowe. Przetnie rękę jednym ruchem.

– Dziękuję, Pax – mówi Szakał.

Nie wiem, co zrobić. Wszystko we mnie krzyczy, żeby zachować się rozsądnie. Powinienem go teraz zabić. Przebić mu gardło ostrzem. To nie jest ktoś, kogo się uwalnia. To nie jest ktoś, na kogo możesz naszczać, a potem wypuścić z powrotem w dzicz. On wykracza daleko poza Cassiusa – tak daleko, że aż chce mi się śmiać. Jednak powiedziałem mu, że będzie mógł odejść, jeśli odetnie sobie rękę, a on to robi. Dobry Boże.

– Psiakrew, tobie całkiem odbiło – szepcze olbrzym.

Szakał mruczy coś o głupcach. To tylko ręka, mówi. Moje ręce są dla mnie wszystkim. Dla niego są niczym.

Kończy i siedzi tak z nie do końca kauteryzowanym kikutem. Twarz ma białą jak śnieg, ale z pasa zrobił sobie opaskę uciskową. Nadchodzi ta chwila, w której do obu nas dociera, że nie puszcze go wolno.

I wtedy widzę ruchome zniekształcenie w otwartym oknie. Rewizorzy przylecieli, tak jak miałem nadzieję, ale jestem rozkojarzony, nieprzygotowany. I kiedy widzę, jak mały granat soniczny wpada z brzękiem na stół, a Szakał łapie go zdrową ręką, wiem, że popełniłem wielki błąd. Dałem rewizorom czas, żeby mu pomogli. Rzeczywistość zwalnia, a ja mogę tylko patrzeć.

Tą samą dłonią, w której trzyma granat, Szakał atakuje otrzymanym od Paxa jonoMieczem. Wbija ostrze w gardło mojego wielkiego przyjaciela.

Krzyczę i rzucam się na niego w tej samej chwili, gdy przyciska guzik detonatora.

Fala dźwiękowa ciska mną przez całą salę. Wyjce uderzają o ściany. Pax wpada na drzwi. Kubki, jedzenie, krzesła, wszystko leci jak plewy rzucone na wiatr. Leżę na podłodze. Potrząsam głową, próbując zorientować się w swoim położeniu, kiedy Szakał podchodzi do mnie. Pax podnosi się, krew mu płynie z uszu, z gardła. Szakał mówi coś do mnie i unosi broń. Wtedy olbrzym rzuca się do przodu, nie na Szakała jednak, lecz na mnie. Miażdży mnie swoim ciężarem. Zasłania mnie własnym ciałem. Ledwie mogę oddychać. Nie widzę, co się dzieje, ale czuję to poprzez ciało Paxa. Dygot. Spazm. Dziesięć uderzeń, kiedy Szakał dźga zaciekle wielkoluda, próbując dobrać się do mnie; jak jakieś wściekłe zwierzę grzebiące w ziemi, grzebie poprzez Paxa, żeby mnie zabić, póki leżę.

A potem nie dzieje się nic.

Krew ciurka mi na twarz, ogrzewa mi ciało. To krew mojego przyjaciela.

Próbuję odepchnąć Paxa. Udaje mi się wyczołgać spod niego. Szakał uciekł, a mój wierny towarzysz wykrwawia się na śmierć. Słyszę lament banshee. Rewizorów też już nie ma. Wyjce wstają chwiejnie. Patrzę na olbrzyma: nie żyje, usta ma wykrzywione w niemym uśmiechu. Krew spływa po kamieniu. Ściska mnie w piersi, osuwam się na kolana. Szlocham.

Nie wypowiedział żadnych ostatnich słów. Nie pożegnał się.

Rzucił się, by mnie osłonić. I został rozniesiony na strzępy.

Nie żyje.

Wierny Pax. Ściskam jego wielką głowę. Boli mnie widok mojego powalonego tytana. Było mu pisane coś więcej. Tak czułe serce w tak twardej formie. Nigdy więcej się nie roześmieje. Nie stanie na mostku niszczyciela. Nie założy peleryny rycerza ani nie weźmie do ręki berła imperatora. Nie żyje. Nie tak powinno być. To moja wina. Powinienem był zakończyć sprawę szybko.

Jaka mogła go czekać przyszłość...

Poblady Sevro staje obok mnie. Wyjce wstały, kipią z gniewu. Czwooro płacze bez słów. Krew cieknie im z uszu. Świat jest pozbawiony dźwięku. Nie słyszymy, ale stado wilków nie potrzebuje słów, żeby wiedzieć, kiedy nadszedł czas polowania.

Zabił Paxa. Teraz my zabijemy jego.

Krwawy trop Szakala prowadzi do jednej z niskich wież, dalej na dziedziniec. Tam znika. Deszcz go zmył. Zeskakujemy całą jedenastką z wieży na niższy mur, lądujemy, turlamy się po ziemi. A potem jesteśmy już na dziedzińcu i Sevro, nasz tropiciel, prowadzi nas przez tylną bramę w surowe, niskie góry.

Noc jest nieprzyjemna. Deszcz ze śniegiem siecze pod kątem. Niebo przecina błyskawica. Rozlega się grzmot, ale ja go słyszę jak we śnie. Biegniemy chwiejnym rządkiem. Pokonujemy ciemne granie, mijamy strome urwiska w poszukiwaniu naszej zwierzyny. Owinięte futrami buty spowalniają mnie, ale muszą być zakryte. Mój plan wciąż jest aktualny, nawet po tym wszystkim.

Nie wiem, w jaki sposób Sevro nas prowadzi. Pogubiłem się w chaosie. Myślam o Paksi. Nie powinien być umrzeć. Zapędziłem Szakala w kozi róg i pozwoliłem, żeby wygryzł sobie drogę na wolność. Przypominam sobie, jak Mustang na niego spojrzała. Wiedziała, kim jest. Wiedziała i chciała porozmawiać ze mną na osobności. Cokolwiek ich łączy, pozostała mi wierna. Skąd go jednak zna?

Idziemy za Sevro przez wysokie górskie przełęcze, gdzie nadal leży śnieg po kolana. Są tu ślady. Śnieg wali wokół nas. Marznę. Mam przemoczoną pelerynę. Sierpak podskakuje mi na plecach. W butach mi chlupocze. Krew plami biel. Biegniemy pod górę przez ośnieżoną przełęcz między dwoma urwistymi szczytami. Widzę Szakala. Potyka się jakieś sto metrów od nas. Pada na kolana, ale znowu się podnosi. Jest z żelaza, skoro zaszedł tak daleko. Złapiemy go i zabijemy za to, co zrobił Paxowi. Nie musiał zabijać mojego tytana. Moja sfera zaczyna wyć smutno. Szakal ogląda się i potyka. Nie ucieknie.

Wspinamy się biegiem po ośnieżonej pochyłości. Noc i ciemność. Wiatr wieje z boku. Wyję, ale wciąż odczuwam skutki wybuchu granatu i odgłos jest stłumiony, jak owinięty watą. A potem coś dziwnego zniekształca śnieżycę przed nami. Jakaś sylwetka. Niewidzialny, nieuchwytny kształt obrysowany przez padający śnieg. Rewizor. Ściska mnie w żołądku. Oto, gdzie mnie zabiją. Przed tym właśnie ostrzegał mnie Fitchner.

Apollo dezaktywuje widmo Płaszcz. Uśmiecha się do mnie spod hełmu i coś woła. Nie słyszę słów. A potem macha pięścią impulsową i Sevro z Wyjcami rozpierzchają się: mała soniczna eksplozja spycha piątkę z nas w dół. Bębenki w moich uszach płaczą. Możliwe, że nigdy nie wrócą do siebie. Znowu pięść impulsowa. Rzucam się w bok. Ból przeszywa mi

stopę i obraca mną w miejscu. Zaraz potem znika. Podrywam się i pędzę do Apolla. Ruchem pięści posyła przeciw mnie pole siłowe. Uskakuję przed deformacją powietrza i trzema kolejnymi wybuchami. Obracam się, wiruję jak bąk. Wyskakuję w górę. Moje ostrze spada na jego głowę i zatrzymuje się nagle. Przez tarczę impulsową, kiedy zostanie aktywowana, przejdzie tylko brzytwa. Wiedziałem o tym. Ale trzeba czymś zainteresować publiczność.

Apollo patrzy na mnie, nietykalny w swojej zbroi. Moja sfera została zdmuchnięta w dół zbocza. Widzę Szakala, który z trudem wspina się po stoku. Teraz robi wrażenie silniejszego. Podąża za nim zniekształcenie powietrza: jakiś inny rewizor dodaje mu sił. Myślę, że to Wenus.

Krzyczę z wściekłości, która narastała we mnie, odkąd poszedłem pod nóż Mickeya.

Apollo znów mówi coś, czego nie słyszę. Przeklinam go i biorę zamach ostrzem. Rewizor łapie moją klingę i ciska ją w śnieg. Niewidzialna warstwa tarczy impulsowej wokół jego pięści trafia mnie w twarz – nie dotyka mnie, a mimo to czysty ból rozpływa się po moich nerwach. Padam z okrzykiem. Potem Apollo podnosi mnie za włosy i w zamieci wzbijamy się w powietrze. Wznosi się w grawitacjach, aż znajdujemy się trzysta metrów nad ziemią. Zwieszam się z jego dłoni. Śnieg wiruje wokół nas. Znowu coś mówi, zmieniając częstotliwość tak, żeby moje uszkodzone uszy go usłyszały.

– Posłuchaj się małymi słowami, żebyś na pewno zrozumiał. Mamy twoją Mustang. Jeśli podczas swojego następnego spotkania z synem arcygubernatora nie przegrasz na oczach wszystkich werbowników, zniszczę ją.

Mustang.

Najpierw Pax. A teraz dziewczyna, która śpiewała pieśń Eo przy ogniu. Dziewczyna, która wyciągnęła mnie z błota. Dziewczyna, która zwijała się obok mnie, kiedy dym kłębił się w naszej małej jaskini. Genialna Mustang, która podążyła za mną z własnej woli. I oto dokąd ją doprowadziłem. Nie spodziewałem się tego. Nie zaplanowałem tego. Mają ją.

Żołądek mi się zaciska. Nie znowu. Nie tak jak ojciec. Nie tak jak Eo. Nie jak Lea, nie jak Roque. Nie jak Pax. Nie zabijają i jej. Ten sukinsyn nikogo nie zabije.

– Wyrwę ci parszywe serce!

Uderza mnie w żołądek, cały czas trzymając za włosy. Ma dziwną minę, kiedy próbuje umiejscowić słowo „parszywy”. Cały czas unosimy się w powietrzu, wysoko. Bardzo wysoko. Dyndam jak wisielec, kiedy znowu mnie uderza. Jęczę. Wtedy jednak przypominam sobie jedną rzecz, jakiej nauczyłem się od Fitchnera, kiedy w lesie poklepałem go w ramię. Jeśli Apollo trzyma mnie za włosy, a ja nie czuję jego tarczy impulsowej, to znaczy, że jest wyłączona. I że jest wyłączona na całym jego ciele. Osłania go zwykły, widzialny hiperPancerz – wszędzie poza jednym miejscem.

– Teraz dociera do mnie, że jesteś małą, głupią marionetką – mówi od niechcienia. – Wściekłą, szurniętą, małą marionetką. Nie zrobisz tego, co ci każe, prawda? – Wzdycha. – Znajdę inny sposób. Czas odciąć ci sznurki.

Upuszcza mnie.

A ja unoszę się kilka cali od jego wyciągniętej dłoni.

Nigdzie nie spadam, bo pod futrem i materiałem noszę grawiButy, które ukradłem Fitchnerowi, kiedy zaatakowałem go w sali narad Apolla. A Apollo wyłączył tarczę. I w dodatku mnie wkurzył. Gapi się na mnie skonsternowany. Wypuszczam ostrze nożoPierścienia i dźgam go w twarz, przez otwór w hełmie wbijam mu klingę w oko, cztery razy, pod kątem, w górę, żeby na pewno umarł.

– Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę! – wrzeszczę, kiedy umiera.

Cała wściekłość, jaką czułem, wzbiera we mnie, oślepia mnie, wypełnia mnie pulsującą, namacalną nienawiścią, która wycieka ze mnie dopiero wtedy, kiedy jego buty się wyłączają i Apollo spada w kłębiącą się śnieżycę.

Znajduję moich Wyjców zgromadzonych wokół jego ciała. Śnieg jest czerwony. Wpatrują się we mnie, gdy opadam ku nim z nożoPierścieniem mokrym od krwi Niezrównanego Naznaczonego. Nie zamierzałem go zabijać, ale nie powinien był jej porywać. Nie powinien był nazywać mnie marionetką.

– Zabrali Mustang – mówię.

Patrzę w milczeniu. Szakal już się nie liczy.

– Więc my zajmiemy Olimp – dodaję.

Uśmiechy, jakie mi posyłają, są równie lodowate jak śnieg.

Sevro się śmieje.

Wojna z niebem

Nie możemy marnować czasu na powrót do twierdzy. Mam ludzi, których potrzebuję. Mam najtwardszych chłopaków i dziewczyny ze wszystkich armii. Małych, nikczemnych, lojalnych i szybkich. Kradnę hiperPancerz Apolla. Złota zbroja płytowa oblewa moje członki jak płyn. Oddaję grawiButy rewizora Sevro, ale są na niego idiotycznie za duże. Zdejmuję więc swoje (Fitchnera, ściśle rzecz biorąc) i mu przekazuję. Okropnie ugniatały mnie w palce. Sam zakładam buty Apolla.

– Czyje są te? – pyta mnie Sevro.

– Taty – odpowiadam mu.

– Czyli się domyśliłeś. – Śmieje się.

– Siedzi zamknięty w lochach Apolla.

– Durny Piks! – Znowu się śmieje. Łączy ich przedziwna relacja.

Zatrzymuję brzytwę Apolla, jego hełm, pięść impulsową i tarczę razem z hiperPancerzem. Sevro dostaje jego widmoPłaszcz. Mówię mu, że ma być moim cieniem. A potem każe Wyjcom powiązać się pasami.

GrawiButy są w stanie unieść mężczyznę w StroPancerzu dźwigającego słońca pod każdą pachą. Spokojnie unoszą więc mnie i moich Wyjców, którzy zwieszają mi się z rąk i nóg na uprząży uplecionej z pasów. Niosą nas przez zamieć w górę, na Olimp. Sevro zabiera pozostałych.

Rewizorzy prowadzili własne gierki. Bardzo długo naciskali i naciskali. Wiedzieli, że jestem niebezpieczny; że jestem inny. Musieli się spodziewać, że prędzej czy później nie wytrzymam i przyjdę ich ściąć. A może uważali,

że wciąż jestem dzieckiem. Głupcy. Aleksander był dzieckiem, kiedy zniszczył pierwszy naród.

Wzbijamy się w śnieżycy i przelatujemy nad stokami Olimpu. Unosi się w powietrzu prawie półtora kilometra nad Argosem. Nie ma żadnych drzwi. Żadnego portu. Śnieg pokrywa zbocza. Chmury zasłaniają skrzający się szczyt. Prowadzę Wyjców do bladej jak kość cytadeli na stromym wierzchołku. Dźga niebo jak marmurowy miecz. Wyjce parami odpinają pasy i opadają na najwyższy balkon.

Przykucamy na kamiennym tarasie. Widzimy stąd mgliste ziemie Marsa, skaliste wzgórza i pola Minerwy, Wielką Puszcze Diany, góry, gdzie moja armia obsadziła zamek Jowisza. Mógłbym być tam na dole. Głupcy powinni byli zostawić mnie w spokoju.

Nie powinni byli zabierać Mustang.

Noszę złoty hiperPancerz. Jest jak druga skóra. Tylko moja twarz pozostaje odsłonięta. Biorę popiół od jednego z Wyjców i maluję sobie smugi przez policzek i usta. Moje oczy płoną gniewem. Sięgające do ramion blond włosy mam potargane, rozpuszczone. Wyciągam sierpak, w lewej ręce zaciskam pięść impulsową nastawioną na fale krótkie. U mojego pasa wisi brzytwa. Nie potrafię się nią posługiwać. Mam brud pod paznokciami i odmrożenia na małym i środkowym palcu lewej ręki. Śmierdzę. Moja peleryna cuchnie jak coś zdechłego, zresztą całkiem słusznie. Zwiesza się wiotko z moich ramion. Naciągam kaptur. Wszyscy to robimy. Wyglądamy jak wilki. I cuchniemy krwią.

Lepiej, żeby werbownikom się to spodobało, bo inaczej już jestem martwy.

– Chcemy Jowisza – mówię moim Wyjcom. – Znajdźcie go dla mnie. Zneutralizujcie innych, jeśli się na nich natkniemy. Oset, weź moje grawiButy i sprowadź posiłki. Ruszaj.

Zostaję boso. Wyważam drzwi za pomocą pięści impulsowej. Znajdujemy Wenus leżącą na łóżku w jedwabnej halce, jej zbroja na stojaku obok ognia ocieka ze śniegu; dopiero co wróciła, ledwie skończyła pomagać Szakalowi. Na nocnym stoliku są winogrona, sernik i wino. Wyjce ją przyszpilają, we czwórkę, dla lepszego efektu. Przywiązujemy ją do kolumnienek łóżka. Zaszokowana wytrzeszcza złote oczy. Ledwie może mówić.

– Nie wolno wam! Jestem Naznaczona! Jestem Naznaczona! – Tylko tyle udaje jej się wykrztusić.

Mówi, że to nielegalne, że jest rewizorką, że nie wolno nam ich atakować. Jak się tu dostaliśmy? Jak? Kto nam pomógł? Czyją zbroję noszę? Och, Apolla. To zbroja Apolla. Gdzie jest Apollo? W kącie leży eleganckie męskie ubranie. Są kochankami.

– Kto wam pomógł?

– Sam sobie pomogłem – odpowiadam jej i poklepuję jej błyszczącą rękę sztyletem. – Ilu rewizorów zostało?

Nie może wydobyć z siebie słowa. Nie powinno do czegoś takiego dojść. Nigdy nic takiego się nie wydarzyło. Dzieci nie zajmują Olimpu, nigdy w historii wszystkich planet nawet o tym nie pomyślano. Kneblujemy ją, zostawiamy związaną, pólnagą, przy otwartym oknie, więc poczuje trochę chłodu.

Przekradamy się z Wyjcami przez wieżę. Słyszę, że Oset sprowadziła posiłki. Tactus zjawi się tu z własną furją, innego rodzaju. Milia też. Wkrótce także Nyla. Moja armia rośnie w siłę – dla Mustang. Dla mnie. Rewizorzy oszukiwali nas, zatruli nasze jedzenie i wodę, zabierali nam konie. Idziemy od pokoju do pokoju. Szukamy ich w frigidariach, caldariach, termach, chłodniach, łaźniach, pokojach rozkoszy pełnych Różowych, w zbiornikach holoImmersyjnych. Junonę załatwiamy w łaźni. Wyjce rzucają się, żeby ją wyciągnąć. Nie ma bronii, ale ukryty Sevro musi ją ogłuszyć skradzionym miotaczem po tym, jak Junona łamie Błaznowi rękę, przyciska go nogami i zaczyna topić. Najwyraźniej ona też nie odeszła, choć powinna. Wszyscy tu łamią zasady.

Wulkaną znajdujemy w pokoju holoImmersyjnym. W kącie trzaska ogień. Nie widzi nawet, jak nadchodzimy, dopóki nie wyłączamy aparatury. Wulkan oglądał właśnie Cassiusa, który stoi na blankach, gdy w górze płonące pociski przecinają zadymione niebo. Dali im cholerne katapulty. Na innym ekranie Szakal brnął chwiejnie przez śnieg w stronę jaskini w górach. Lilath czeka tam na niego z termikiem i medBotem.

Pytam rewizorów, dokąd zabrali Mustang. Mówią, żeby zapytać Apolla albo Jowisza. To nie ich sprawa. I mnie też nie powinno to interesować. Podobno moja głowa ma spaść. Pytam, czym zamierzają ją ściąć.

– Bo to ja mam wszystkie topory – przypominam.

Wiążemy rewizorów i zabieramy ich ze sobą, gdy zbiegamy najpierw jeden poziom niżej, a potem drugi, pędzimy jak fala powodzi, jak sfera oszalałych półwilków. Mijamy w biegu nadCzerwonych, Brązowych i Różowych służących. Nie zważam na nich, ale moja armia w swoim

wściekłym podnieceniu rzuca się na każdego, kogo zobaczy. Obalają Czerwonych i dosłownie zrównują z ziemią każdego Szarego, który popełni ten błąd, że spróbuje z nami walczyć. Sevro musi przydusić chłopaka od Ceres, który siada na piersi Czerwonego i okłada go po twarzy pobliźnionymi pięściami. Tactus zabija dwóch Szarych, zanim zdążą do niego strzelić. Uskakuje przed ich miotaczami i łamie im karki. Oddział siedmiu Szarych próbuje mnie załatwić. Tarcza impulsowa chroni mnie przez ich miotaczami. Tylko jeśli skoncentrują ogień i moja zbroja się przegrzeje, mogę to odczuć. Robię unik przed ostrzałem i załatwiam ich sierpakiem.

Moi ludzie przesączają się w głąb Olimpu, z początku powoli, ale co cztery minuty przybywają następni. Denerwuję się. Nie działamy dostatecznie szybko. Jowisz mógłby nas zniszczyć, tak samo jak Pluton czy kto tu jeszcze został. Moja armia jest rozradowana, bo ma mnie; uważają mnie za nieśmiertelnego, niepowstrzymanego. Już słyszeli, że zabiłem Apolla. Docierają do mnie przezwiska płynące jak strumienie wśród naszych szeregów, kiedy wojsko rozlewa się po pozłacanych, rozległych korytarzach. Uważają mnie za Bogobójcę. Niszczyciela Słońca. Rewizorzy też to słyszą. Ci, których pojмалиśmy, nawet ci nieco rozbawieni pomysłem, że uczniowie mogliby najechać na Olimp, patrzą teraz na mnie pobladli. Zdają sobie sprawę, że są częścią gry, o której myśleli, że uciekli z niej wiele lat temu. Wiedzą również, że żadne medBoty nie kierują się na Olimp. To zabawne, patrzeć na bogów, do których dociera, że od początku byli śmiertelni.

Wysyłam dziesiątki zwiadowców w głąb pałacu, mówiąc im, czego potrzebuję. Już słyszę, że mój plan rozpada się na kawałki w salach na niższych kondygnacjach. Zostali Jowisz, Pluton, Merkury i Minerwa. Idą po mnie. A może to ja idę po nich? Sam nie wiem. Staram się poczuć jak drapieżnik, ale nie potrafię. Moja furia przygasa, słabnie i ustępuje miejsca strachowi, w miarę jak korytarze ciągną się w nieskończoność. Mają Mustang. Przypominam sobie zapach jej włosów. To są Naznaczeni przekupieni przez człowieka, który zabił moją żonę. Krew płynie szybciej w moich żyłach. Moja wściekłość powraca.

Spotykam Merkurego w korytarzu. Śmieje się histerycznie i puszcza sprośne pijackie piosenki w hP, kiedy widzi pół tuzina moich żołnierzy. Ma na sobie szlafrok, ale tańczy jak wariat, robiąc uniki przed atakami trzech trupoKoni. Nie widziałem takiej gracji nigdzie poza kopalnią. Porusza się

tak, jak ja pracowałem. Furia równoważona przez fizykę. Kopniak, miażdżący cios łokciem, uderzenie tak wymierzone, żeby wybić rzepkę.

Policzkuje jednego z moich żołnierzy. Innego kopie w pachwinę. Nad następnym – dziewczyną – koziółkuje, w locie łapie ją za włosy i łądując, ciska nią o ścianę jak szmacianą lalką. Potem kolaniem kopie chłopaka w twarz, odcina dziewczynie kciuk, żeby nie mogła trzymać miecza, próbuje uderzyć mnie na odlew, zanim odsunie się tanecznym krokiem. Jestem szybszy od niego, więc kiedy bierze zamach, mierząc w moją twarz, uderzam go w przedramię, najmocniej jak tylko mogę. Kość pęka. Merkury krzyczy i próbuje odskoczyć, ale ja trzymam go za rękę i walę w nią, aż złamie się na dobre.

Dopiero tak ranionemu pozwalam się odsunąć.

Znajdujemy się w korytarzu, moi żołnierze go otaczają. Krzyczę, żeby się odsunęli i sam ważę w dłoni sierpak. Rewizor wygląda jak cherubin. Drobnny, niski, o dziecinnej twarzy. Ma zaróżowione policzki. Pił. Złote pukle opadają mu na oczy. Robi salto w tył. Przypominam sobie, że chciał mnie wybrać do swojego domu, ale jego werbownicy się sprzeciwili. Teraz trzyma brzytwę jak poeta pióro, ale jego druga ręka po moim ciosie już do niczego się nie nadaje.

– Jesteś dzikusem – mówi mimo bólu.

– Trzeba było wybrać mnie do swojego Domu.

– Mówiłem im, żeby cię nie naciskali. Ale czy mnie posłuchali? Nie, nie, nie, nie, nie. Głupi Apollo. Duma potrafi zaślepić.

– Podobnie jak miecze.

– W oko? – Merkury patrzy na moją zbroję. – Czyli nie żyje?

Ktoś krzyczy, żebym go zabił.

– Rety, rety... Ależ są głodni. Ten pojedynek może być zabawny.

Kłaniam się.

Merkury dyga.

Lubię go, ale też nie chcę, żeby zabił mnie swoją brzytwą.

Dlatego chowam ostrze do pochwy i strzelam mu w pierś z pięści impulsowej, żeby go ogłuszyć. Potem go związujemy. Cały czas się śmieje. Jednak dalej w korytarzu za nim widzę Jowisza – człowieka podobnego bogom w pełnym pancerzu, pędzącego ku nam z zakrzywioną bronią impulsową i brzytwą w rękach. Towarzyszy mu drugi rewizor w zbroi – Minerwa, jak sędzę. Wycofujemy się. Mimo to dziesiątkują moje siły. Idą prosto na nas długim korytarzem, obalają chłopców i dziewczyny jak dwa

głazy toczące się przez ziarno. Nie możemy im nic zrobić. Moi żołnierze czmychają tam, skąd przyszliśmy, cofają się schodami na wyższe poziomy, gdzie natykamy się na nowe grupy wsparcia. Wpadamy na siebie, przewracamy się na marmurową posadzkę, biegniemy przez połączane apartamenty, żeby uciec Jowiszowi i Minerwie, którzy nadchodzą schodami. Śmiech rewizora dudni, kiedy nasze proste miecze i włócznie z brzękiem odbijają się od jego zbroi.

Tylko moja broń może go dosięgnąć. A to nie wystarczy. Brzytwa Jowisza przechodzi przez moją tarczę impulsową i przeszywa hiperPancerz na udzie. Syczę z bólu i strzelam w niego z pięści impulsowej. Jego tarcza przechwytuje impuls i zatrzymuje go, choć z trudem. Jowisz uderza brzytwą jak biczem. Muska mnie w powiekę i prawie pozbawia oka. Krew tryska z małej rany, a ja ryczę z gniewu. Rzucam się na niego, mijając Minerwę, rozwalam swoją pięść impulsową o jego szczękę. Uszkadzam broń i własną pięść, ale udaje mi się zrobić wgniecenie w jego złotym hełmie. Jowisz aż się zatacza. Nie daję mu czasu na otrząśnięcie się. Krzyczę i kreślę wirujące łuki sierpakiem, jednocześnie niezręcznie dźgając brzytwą. Szaleńczy taniec. Trafiam go brzytwą w kolano, on swoją rozcina mi udo. Zbroja zamyka się wokół rany, uciska ją i podaje środki przeciwbólowe.

Znajdujemy się na końcu kręconych schodów, kiedy odpycham go do tyłu. Jego długie ostrze opada wiotko, a potem owija mi się wokół nogi jak lasso: zaraz się zaciśnie i odetnie mi ją na wysokości biodra. Napieram na niego najszybciej, jak tylko mogę. Spadamy po schodach. Jowisz koziołkuje i wstaje. Rzucam się na niego i obalam go na wznak. Zbroja uderza o zbroję.

Wpadamy do sali holoImmersyjnej. Sypią się iskry. Nie przestaję krzyczeć i popychać go, żeby nie mógł mi odciąć nogi brzytwą, która – wciąż wiotka – owija się wokół ciała i kości. On się cofa, nie może złapać równowagi, aż w końcu wypycham go przez okno i obaj wylatujemy w powietrze. Żaden z nas nie ma grawiButów, więc spadamy z wysokości stu stóp w zaspę śnieżną na stoku góry. Turlamy się po stromym zboczu. Wkrótce czeka nas długi na półtora kilometra lot w dół i wody Argosa.

Zatrzymuję się w śniegu. Udaje mi się wstać. Nie widzę Jowisza, za to kawałek dalej chyba słyszę jego chrząknięcie. Brodzimy w chmurach. Przykucam i nasłuchuję, ale nadal nie odzyskałem w pełni słuchu po ataku Apolla.

– Umrzesz za to, chłopczyku – mówi rewizor. Mam wrażenie, że te słowa dobiegają jakby spod wody. Gdzie on jest? – Powinieneś się nauczyć, gdzie jest twoje miejsce. Wszystko ma swój porządek. Ty jesteś blisko szczytu, ale na nim nie stoisz, chłopczyku.

Mówię coś zwięźle na temat zasług, które nie mają znaczenia.

– Nie możesz nic kupić za zasługi.

– Czyli to gubernator ci płaci?

Słyszę wycie w oddali. Mój cień.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że co zrobisz? Zabijesz nas wszystkich? Wszystkich rewizorów? Zmusisz nas, żebyśmy pozwolili ci wygrać? Nie tak to działa. – Jowisz mnie szuka. – Wkrótce Kruki gubernatora przylecą na swoich statkach z mieczami i bronią palną. Prawdziwi żołnierze, chłopczyku, którzy mają blizny, o jakich nie możesz nawet marzyć. Obsydianowi pod dowództwem Złotych legatów i rycerzy. Ty się tylko bawisz, ale oni uważają, że oszalałeś. Złapią cię, skrzywdzą i zabiją.

– Nie robią tego, jeśli wygram, zanim się tu zjawią. – To jest klucz do wszystkiego. – Być może istnieje pewna zwłoka w przekazach hoło i musi minąć trochę czasu, zanim werbownicy je obejrzą, ale jak długo to trwa? Kto cenzuruje przekłete transmisje, kiedy wy walczyście? Dopilnujemy, żeby właściwa wieść poszła w świat.

Zdejmuję czerwoną opaskę z czoła i ocieram twarz z potu, po czym znowu ją wiążę.

Jowisz milczy.

– Werbownicy zobaczą tę rozmowę – ciągnę. – Dowiedzą się, że gubernator płaci wam, żebyście oszukiwali. Przekonają się, że jestem pierwszym uczniem w historii, który najechał Olimp. I zobaczą, jak cię załatwiam, zabieram ci zbroję i prowadzę cię nago przez śnieg, jeśli się poddasz. Bo jeśli nie, to zrzucę twojego trupa z Olimpu i na ciebie naszczam. Zafunduję ci prawdziwy złoty deszcz.

Chmury rozsnuwają się i Jowisz stoi przede mną wśród bieli. Czerwień kapie mu ze złotej zbroi. Jest wysoki, szczupły, brutalny. To miejsce to jego dom. Jego plac zabaw. Dzieci są jego zabawkami, dopóki nie zdobędą blizn. Jest jak każdy inny małostkowy tyran w dziejach świata. Niewolnik własnych kaprysów, rządzący wyłącznie własnym egoizmem. Jest Wspólnotą – potworem ociekającym dekadencją, ale takim, który nie dostrzega własnej hipokryzji. Uważa całe to bogactwo i władzę za coś, co mu się należy. Żyje złudzeniami. Jak oni wszyscy. Nie mogę jednak go

pokonać, stając z nim oko w oko. Bez względu na to, jak dobrze walczę. Jest za silny.

Brzytwa zwiesza mu się z ręki jak wąż. Wystarczy przycisnąć guzik, żeby zeszywniała, długa na metr. Jego zbroja lśni. Świta, kiedy patrzymy na siebie. Na jego usta wypływa uśmiech.

– Byłbyś kimś w moim Domu, ale jesteś małym głupim chłopczykiem, w dodatku z Domu Marsa. Nie potrafisz jeszcze zabijać tak jak ja. Czysta furia. Czysta głupota.

– Nie. Nie mogę ci rzucić wyzwania. – Ciskam mu mój sierpak pod nogi. Razem z nim odrzucam brzytwę. I tak nie potrafię się nią posługiwać. – Dlatego będę oszukiwać. – Kiwam głową. – Śmiało, Sevro.

Brzytwa podnosi się z ziemi jak wąż, sztywnieje i przechodzi przez ścięgna podkolanowe Jowisza, kiedy ten obraca się w miejscu. Cios rewizora tnie powietrze dwie stopy za wysoko. Przywykł do walki z mężczyznami. Niewidzialny Sevro rani go w obie ręce i odbiera mu broń. HiperPancerz oblewa ranę, żeby powstrzymać krwawienie, ale ścięgna będą wymagały solidnej pracy.

Jowisz milczy. Mikrus wyłącza widmoPłaszcz Apolla. Zabieramy broń Jowisza. Jego zbroja nie pasowałaby na nikogo poza Paxem. Biedny Pax. Wyglądałby olśniewająco w tak wspinałym pancerzu.

Wlecemy Jowisza w górę zbocza.

Wewnątrz pałacu szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Wygląda na to, że moi zwiadowcy znaleźli to, czego kazałem im szukać. Milia biegnie do mnie z pełnym zadowolenia uśmiechem na pociągłej twarzy. Mówi jak zwykle półgłosem, przeciągając zgłoski, gdy przekazuje mi dobre wieści.

– Znaleźliśmy ich zbrojownię.

Oddział żołnierzy Domu Wenus, dopiero co wyzwolonych z niewoli, przebiega obok nas z głośnym tupotem. Ich pięści impulsowe i hiperPancerze migoczą. Olimp jest nasz. Znaleźliśmy Mustang.

Teraz rzeczywiście mamy wszystkie topory.

Ostatnia próba

Znajduję ją śpiącą w apartamencie obok komnat samego Jowisza. Złote włosy ma potargane. Jej peleryna jest brudniejsza od mojej, szarobura zamiast białej. Mustang cuchnie dymem i głodem. Zniszczyła pokój, wywróciła naczynie z jedzeniem, wbiła sztylet w drzwi. Brązowi i Różowi służący boją się i jej, i mnie. Widzę, jak czmychają. Moi dalecy kuzyni. Patrzą, jak się poruszają te obce stworzenia. Jakby to były mrówki. Pozbawione wszelkich emocji. Czuję bolesne ukłucie. Punkt widzenia to nikczemna kreatura. Tak właśnie Augustus widział Eo, kiedy ją zabijał. Mrówka. Chociaż nie. Nazwał ją „Czerwoną suką”. Była dla niego psem.

– Jedzenie było czymś nafaszerowane? – pytam jednego z Różowych.

Piękny chłopiec mruczy coś w odpowiedzi, wbijając wzrok w ziemię.

– Mów głośniej, człowieku – warczę.

– Środkami usypiającymi, panie.

Nie patrzy na mnie, ale nie mam do niego o to pretensji. Jestem Złoty. O stopę od niego wyższy. O wiele silniejszy. I wyglądam jak najprawdziwszy szaleniec. Musi mnie uważać za okrutnego nikczemnika.

Każę mu odejść.

– Schowaj się. Moje wojsko nie zawsze mnie słucha, kiedy nie pozwalam im się bawić podKolorami.

Łoże jest wspaniałe. Pościel z jedwabiu. Puchowy materac. Kolumnienki z kości słoniowej, hebanu i złota. Mustang śpi na podłodze w kącie. Tak długo musieliśmy ukrywać miejsca, w których spaliśmy, że teraz zapewne wydało jej się to potwornie niewłaściwe – ułożyć się wygodnie na łóżku.

I to nawet kiedy podali jej środki usypiające. Próbowwała też wybić szyby. Cieszę się, że tego nie zrobiła. Droga w dół jest bardzo długa.

Siadam obok niej. Powietrze z jej nosa, gdy oddycha, porusza pojedynczym puklem włosów. Ileż razy patrzyłem, jak śpi, gdy miała gorączkę; ileż razy ona robiła to samo. Teraz jednak nie choruje. Nie jest zimno. Nie czuję bólu w brzuchu. Rana zadana przez Cassiusa zagoiła się. Zima się skończyła. Na zewnątrz widziałem pierwsze rozkwitające kwiaty. Zerwałem nawet jeden z nich na góskim zboczu. Schowałem go pod peleryną. Chcę go dać Mustang. Chcę, żeby się obudziła, mając hemantus koło ust. Jednak, kiedy go wyjmuję, sztylet wbija mi się w serce. Gorszy od wszelkiego metalu. Eo. Ten ból nigdy nie zniknie. Nie wiem, czy powinien zniknąć. Nie wiem, czy poczucie winy, które odczuwam, jest zasłużone. Całuję kwiat i chowam go z powrotem. Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Delikatnie budzę Mustang.

Uśmiech wypływa jej na usta, zanim otworzy oczy, jakby wiedziała, że jestem obok niej. Wypowiadam jej imię, odgarniam włosy z twarzy. Otwiera powieki. Żółte płatki wirują w jej tęczówkach. Dziwnie wyglądają obok moich pogrubiałych, brudnych palców z połamanymi paznokciami. Wtula twarz w moją dłoń i udaje jej się usiąść. Ziewa. Rozgląda się. Prawie się śmieję, kiedy widzę, jak przetrawia wszystko, co się wydarzyło.

– Miałam zamiar opowiedzieć ci swój sen. O smokach. Były fioletowe, ładne i lubiły śpiewać piosenki. – Trąca palcem moją zbroję. Brzęczy. – A ty mnie przebiłeś. Drań. Co się stało?

– Oszalałem.

Mustang jęczy.

– Zostałam damą w opałach, co? Psiakrew, nie cierpię takich dziewczyn.

Dzielę się z nią wiadomościami. Szakał uciekł. Jego siły oblegają zamek Marsa, on sam i Lilath ukrywają się głęboko w górach. Z łatwością go znajdziemy.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć naszych ludzi i wykurzyć łajdaka – dodaje.

– Zrobione – mówi z uśmiechem i unosi brew. – Ale czy możesz mi zaufać? Może chcę zostać wielkim Prymusem tej dziwacznej armii?

– Mogę ci zaufać.

– Skąd wiesz? – pyta znowu.

I wtedy ją całuję. Nie mogę dać jej hemantusa. To moje serce i pochodzi z Marsa, jedyna rzecz, która zrodziła się z tej czerwonej ziemi. I nadal należy do Eo. Jednakże ta dziewczyna... Kiedy ją zabrali... Zrobiłbym

wszystko, żeby znowu zobaczyć jej znaczący uśmiezek. Może pewnego dnia będę miał dwa serca do oddania.

Smakuje tak, jak pachnie. Dymem i głodem. Nie odsuwamy się od siebie. Wplatam palce w jej włosy. Ona przesuwa dłoń po mojej szczęce, szyi, drapie mnie po potylicy. Jest tu łóżko. Jest czas. I głód inny od tego, jaki czułem, gdy pierwszy raz pocałowałem Eo. Przypominam sobie jednak, jak piekłonurek Gammy, Dago, zaciągnął się mocno szlugiem, który zapłonął intensywnie, a potem po kilku ulotnych chwilach zgasł. „To jesteś ty” – powiedział wtedy.

Wiem, że jestem porywczy. Lekkomyslny. Przetrawiam to. Przepelnia mnie mnóstwo uczuć: pasja, żal, poczucie winy, smutek, tęsknota, wściekłość. Czasem mną rządzą, ale nie teraz, nie tutaj. Z powodu pasji i smutku zawisłem na szubienicy. Przez poczucie winy wylądowałem w błocie. Z wściekłości zabiłbym Augustusa przy pierwszym spotkaniu. Teraz jednak jestem tutaj. Nie mam pojęcia o historii Instytutu. Wiem tylko, że wziąłem coś, czego jeszcze nikt inny nie wziął. Posiadam to, posługując się gniewem, sprytem, pasją i wściekłością. Nie posiadam Mustang w taki sam sposób. Miłość i wojna to dwa różne pola bitwy.

Dlatego mimo głodu odsuwam się od niej. Rozumie mnie bez słowa, dzięki temu wiem, że mam rację. Błyskawicznie całuje mnie raz jeszcze. Pocałunek trwa nieco dłużej, niż powinien, a potem wstajemy razem i wychodzimy. Trzymamy się za ręce aż do drzwi, kiedy odwracam się do niej.

– Przynieś mi sztandar Szakala, Mustang.

– Tak, lordzie Żniwiarzu. – Kłania się kpiąco i mruga porozumiewawczo. A potem już jej nie ma.

W pałacu panuje oblęd. Szabrownicy buszują wszędzie. Pośród tego chaosu Sevro znalazł holoPrzekaznik. Są tam zgromadzone na nośnikach nasze doświadczenia zmysłowe, gotowe do wysłania do werbowników, gdziekolwiek się znajdują. Transmisja nie idzie na żywo, więc werbownicy nie widzieli jeszcze dzisiejszych wydarzeń. Jest pół dnia opóźnienia. Wystarczy. Daję mikrusowi instrukcje i zostawiam go przy kleceniu naszej historii, którą chcę opowiedzieć. Nikomu innemu bym tak nie zaufał.

* * *

Każę sprowadzić Fitchnera z lochów zamku Apolla. Wyciąga się wygodnie na krześle w jadalni na Olimpie. Twarz wciąż ma fioletową od moich ciosów. Podłoga w pomieszczeniu jest zrobiona ze skondensowanego powietrza, więc jesteśmy zawieszeni ponad półtora kilometra w pionie nad ziemią. Fitchner opiera nogi na stole i krzywi się w uśmiechu.

– To się nazywa szurnięty chłopak – mówi, dotykając podbródka. – Wiedziałem, że masz duże szanse.

Witam go środkowym palcem.

– Kłamca.

Odwzajemnia gest.

– Wypierdek. – Sięga po moją rękę. – Nie mów mi, że nadal masz żal z powodu zatrucia, choroby, pułapki z Cassiusem, niedźwiedzi w lesie, gównianej techniki, paskudnej pogody, próby zabójstwa i szpiega.

– Szpiega?

– Pogrywam z tobą. Ha! Ciągłe jesteś dzieciakiem. A skoro mowa o dzieciach, gdzie twoi żołnierze? Ganiają po Olimpie, obżerają się do rozpuku, biorą prysznice, śpią, rzną się i zabawiają z Różowymi? To miejsce to miodna pułapka, mój chłopcze. Miodna pułapka, która sprawi, że twoja armia nie będzie nic warta.

– Jesteś w lepszym nastroju.

– Mój syn jest bezpieczny – odpowiada, mrugając porozumiewawczo. – Co teraz planujesz?

– Już wysłałem Mustang, żeby zajęła się Szakalem. Potem wyruszę do Domu Marsa. I będzie po wszystkim.

– Ooo, tyle że nie będzie.

Fitchner strzela ze znajomej gumy do żucia i krzywi się. Solidnie przywaliłem mu w szczękę. To mnie rozśmiesza. Miałem ochotę się roześmiać, odkąd Sevro załatwił Jowisza. Przez tego skurczybyka noga nadal mnie rwie. Mimo środków przeciwbólowych ledwie chodzę.

– Żadnych zagadek. Dlaczego to nie będzie koniec?

– Trzy sprawy – odpowiada Fitchner. Przez chwilę mi się przygląda. – Jesteś przedziwnym stworzeniem. Szakał też. Każdy chce wygrać. Jednak wy się wyróżniacie. Dziwadła. Złoci nie są gotowi umierać za zwycięstwo. Za bardzo cenimy swoje życie. Wy dwaj jesteście inni. Skąd to się wzięło?

Przypominam mu, że jest moim więźniem i to on powinien odpowiadać na moje pytania.

– Oto, co jest grane: trzy sprawy nie zostały zakończone. Powiem ci, co to za sprawy, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie: co cię napędza? – Wzdycha. – Pierwsza sprawa, łaskawy panie, to Cassius. On po prostu będzie musiał stoczyć z tobą pojedynek, aż jeden z was, małych sukinsynów, padnie na ryj i zdechnie.

Tego się obawiałem. Odpowiadam Fitchnerowi.

Mówię mu, że Szakał chciał dowiedzieć się tego samego; chciał wiedzieć, co mnie napędza. Prosta odpowiedź brzmi: furia. Jeśli coś się wydarzy, coś, czego się nie spodziewałem, reaguję jak zwierzę – przemocą. Jednak za tym kryje się miłość. To miłość mnie napędza. Muszę więc odrobinę go okłamać.

– Moja matka miała marzenie, że mogę osiągnąć więcej niż ktokolwiek inny z mojej rodziny. Że mogę być czymś więcej niż nazwisko Andromedus. Nazwisko mojego ojca. – Fałszywego ojca. Fałszywej rodziny. Jednakże istota rzeczy się nie zmienia. – Nie jestem z rodu Bellona. Ani z rodu Augustus. Nie jestem Octavią ani Lune. – Uśmiej się szelmowsko, co Fitchner może docenić. – Chcę jednak móc stanąć ponad nimi i naszczać na ich przeklęte łby.

Podoba mu się ta odpowiedź. Zawsze pragnął tego samego, ale przekonał się, że bez odpowiedniego pochodzenia zasługi mają swoje ograniczenia. Ta frustracja to rzeczywistość, od której nie ucieknie.

– Druga niedokończona sprawa to wszystko dookoła.

Machnięciem ręki ogarnia otoczenie. Mam świadomość problemu, Fitchner nie mówi mi niczego nowego. Zabiłem rewizora. Mam dowody na to, że arcygubernator przekupił albo zastraszył wielu innych, żeby jego syn mógł wygrać. Nepotyzm. Manipulacja w świętej szkole. To nie jest błahostka. To może narobić szkód, może nawet doprowadzić do dymisji arcygubernatora. Oskarżenia. Kara? Werbownicy zażądają krwi.

– A arcygubernator będzie chciał twojej – ciągnie Fitchner. – To będzie zenujące i potencjalnie stworzy miejsce dla jego następcy z rodu Bellona. Może dla ojca Cassiusa.

Pyta mnie, dlaczego ufam swoim żołnierzom, którzy byli niewolnikami.

– Bo oni ufają mi, bo widzieli, jak by sobie poradzili beze mnie. Myślisz, że chcą Szakała jako swojego pana?

– Dobrze – mówi Fitchner. – Ufasz im wszystkim. Doskonale, zatem nie ma trzeciej komplikacji, mój błąd. – Naciskam go, żeby powiedział, co ma

na myśli, więc wzdycha i ustępuje. – Drobiazg: posłałeś Mustang i pół swojej armii, żeby zajęli się Szakalem.

– No i?

– To naprawdę nic wielkiego. Ufasz jej.

– Nie, nie, nie. Powiedz mi. Co masz na myśli?

– No dobrze, niech ci będzie. Skoro musisz wiedzieć, jeśli nie da się tego w żaden inny sposób obejść: ona jest bliźniaczą siostrą Szakala.

* * *

Virginia au Augustus. Siostra Szakala. Siostra bliźniaczka. Dziedziczka wspaniałego rodu, *gens* Augustus. Jedyna córka arcygubernatora Nero au Augustusa. Człowieka, który stoi za tym wszystkim. Trzymana w izolacji, w cieniu, żeby uchronić ją przed próbami zamachu na życie, tak samo jak jej brata. To dlatego Cassius nie rozpoznał córki arcyrywala swojej rodziny. Kiedy jednak siedziałem z Szakalem, Mustang wiedziała, kim on jest. To jej brat. Czy już wcześniej przeniknęła jego tożsamość? Nic nie tłumaczy jej milczenia, jeśli wiedziała, kim jest Szakal i mimo to nic nie powiedziała. Nic poza rodziną, której jest winna lojalność przerastającą przyjaźń, miłość, pocałunek w kącik. Posłałem Szakalowi połowę swojej armii. Dałem mu hiperPancerz, grawiButy, widmoPłaszcz, brzytwy, broń impulsową... Dość wytworów nowoczesnej techniki, żeby zająć Olimp. Do diabła!

Rewizorzy wiedzieli. Kiedy mijam ich biegiem, śmieją się. Śmieją się z mojej głupoty. Narasta we mnie furia. Chcę coś zabić. Zbieram swoje siły. Moi żołnierze rozproszyli się po pałacu – jedzą, korzystają z jego wygód. Głupcy. Głupcy. Najlepsi są tam, gdzie ich potrzebuję. Sevro wykonuje swoje zadanie. To jest najważniejsze. Rozkazuję Tactusowi zapolować na niedobitki ludzi Wenus i Merkurego na południowych nizinach i wziąć ich do niewoli. Wysyłam Milię, żeby wraz z Nylą zebrały resztę mojego wojska. Muszę teraz udać się do Domu Marsa. Nie mogę czekać na swoich żołnierzy. Potrzebuję świeżych ludzi, bo kiedy przyjdą bliźnięta Augustus, będą miały broń i technologię dorównującą mojej, a poza tym, prawdopodobnie, więcej żołnierzy. Gra się zmieniła. Nie przygotowałem się na to. Czuję się jak głupiec. Jak mogłem ją pocałować? Ciemność połyka moje serce. A gdybym dał jej hemantus? Drę go na strzepy, kiedy

zeskakuję z Olimpu w grawiButach, i rzucam płatki w powietrze. Mijam je w locie w dół.

Zabieram ze sobą tylko Wyjce. Nosimy grawiButy i zbroje, mamy pięści i miecze impulsowe. Śnieg już zniknął z ziem Domu Marsa. Zastąpiło go ubite przez stopy najeźdźców błocko. Mgła spowija wyżyny. Niesie zapach ziemi i oblężenia. Z naszych wież – Fobosa i Dejmosa – zostały gruzy. Podarowane wojskom oblężniczym katapulty zrobiły swoje. Wykazały się też przy murach mojego dawnego zamku. Z frontowej fasady zostały ruiny; walają się tam strzały, potłuczone skorupy dzbanów ze smołą, miecze, zbroje i ciała paru uczniów.

Niemal stu ludzi oblega zamek Marsa. Obozują blisko linii drzew, ale wokół twierdzy wybudowano ogrodzenie, żeby uniemożliwić obrońcom wszelkie wypady. To była długa zima dla obu stron, ale na wyposażeniu armii Szakała, złożonej z ludzi Jowisza, Apolla i ćwierci sił Domu Plutona, zauważam solarne garnki do gotowania, przenośne grzejniki, pakiety odżywcze. U podnóża stoku stoi kilka krzyży. Są wysokie, zwrócone przodem do zamku. Na nich wiszą ciała. Wrony zdradzają mi ich stan. Jedynym znakiem oporu ze strony domu Marsa jest nasza flaga – postrzępiony i przypalony wilk. Obwisa bezwładnie, wiatr jest słaby.

Wyjce i ja opadamy z nieba jak złoci bogowie. Nasze postrzępione peleryny łopoczą w powietrzu. Jeśli jednak oblegający spodziewali się, że jesteśmy rewizorami niosącymi kolejne dary dla nich, to nie mogli bardziej się pomylić. Lądujemy twardo. Najpierw Wyjce, a potem ja, na szpicy. Kiedy uderzam, wróg pierzcha przede mną, śmiertelnie przerażony.

Żniwiarz wrócił do domu.

Zostawiam Wyjców, żeby zniszczyli nieprzyjaciela na naszej ziemi. Od miesięcy nie byłem równie blisko domu, równie blisko Lykos. Pochyliam się i biorę garść ziemi Domu Marsa, kiedy moi ludzie wykonują wokół mnie swoje zadanie. Mars. Dom. Działąłem pod inną chorągwią, ale brakowało mi tego miejsca. Wrogowie biegną, żeby mnie zaatakować. Widzą moje ostrze i wiedzą, kim jestem. Krocę wśród nich nietykalny. Zbroja impulsowa jest moją tarczą. Sevro i Wyjce – moim mieczem.

Podchodzę do krzyży i widzę Antonię, Cassandrę i Vixusa.

Zdrajcy. Co znowu zrobili?

Antonia wciąż żyje, podobnie jak Vixus. Choć ledwie, ledwie. Każę Oset ich odciąć i zabrać na Olimp do medBotów. Będą musieli żyć ze świadomością, że poderżnęli Lei gardło. Mam nadzieję, że to ich zaboli.

Stoję przez chwilę u stóp wzgórza. Wołam, kim jestem, ale obrońcy już wiedzą, bo flaga Marsa zostaje zdjęta i na jej miejscu pojawia się ubabrane prześcieradło z pośpiesznie narysowanym sierpakiem.

– Żniwiarz! – wołają, jakbym był ich zbawieniem. – Prymus!

Są obszarpani, brudni i chudzi, a niektórzy tak słabi, że musimy ich wynieść z gruzów zamku. Ci, którzy są w stanie poruszać się o własnych siłach, salutują mi, pochylają głowy albo całują mnie w policzki. Ci, którzy nie są – dotykają mojej dłoni, gdy ich mijam. Widzę połamane nogi i zmiażdżone ręce. Wszyscy zostaną wyleczeni. Zabieramy ich na Olimp. Dom Marsa nie przyda się w nadchodzącej walce, więc wykorzystam tych, którzy oblegali twierdzę – ludzi od Plutona, Jowisza i Apolla. Każę Błaznowi i Pestce wziąć ich do niewoli sztandarem Marsa. Przynosi mi go chudy chłopak, którego z trudem rozpoznaję. Kiedy jednak łapie mnie w szkielet objęcia i ściska tak mocno, że aż boli, wiem, kim jest.

Cichy szloch wzbiera mi w piersi.

Milczy, kiedy mnie obejmuje. A potem drży jak Pax, kiedy spotkała go śmierć. Tyle że ten dreszcz wynika z radości, nie z bólu.

Roque żyje.

– Bracie – szlocha. – Mój bracie.

– Myślałem, że nie żyjesz – przyznaję i obejmuję jego delikatne ciało. – Roque, myślałem, że nie żyjesz.

Przyciskam go do siebie. Ma bardzo przerzedzone włosy. Czuję kości przez ubranie. Jest jak mokra szmatka przy mojej zbroi.

– Bracie – powtarza – wiedziałem, że wrócisz. Wiedziałem to w głębi serca. To miejsce było puste bez ciebie. – Uśmiecha się do mnie z wielką dumą. – Teraz je wypełnisz.

Prymus Domu Diany miała rację. Dom Marsa jest jak pożoga. I umiera z głodu. Roque ma blizny na twarzy. Kręci głową i wiem, że ma wiele do opowiedzenia: gdzie był, jak wrócił. Czas na to będzie jednak później. Oddala się, kuśtykając. Quinn, jednoucha i zmęczona, odchodzi razem z nim. Bezgłośnie, poruszając tylko ustami, dziękuje mi i kładzie rękę na krzyżu chudego poety w sposób, który mówi mi, że odeszła od Cassiusa.

– Był pewien, że wrócisz – wyjaśnia. – A Roque nigdy nie kłamie.

Pollux jest po staremu dowcipny. Chrypi. Ściska mi rękę. To Quinn i Roque zapobiegli rozpadowi Domu, mówi mi. Cassius dawno się poddał. Czeka na mnie w sali narad.

– Nie zabijaj go... proszę. To pożarło jego umysł. To, co ci zrobił, zniszczyło go. Dowiedzieliśmy się. Po prostu daj mu trochę czasu, niech pobędzie z dala od tego miejsca. Coś takiego naprawdę może namieszać człowiekowi w głowie. Zapomina, że nie ma wyboru. – Pollux kopie grudkę błota. – Ci łajdacy zamknęli mnie z małą dziewczynką, wiesz?

– Podczas Próby?

– Sparowali mnie z małą dziewczynką. Próbowałem ją zabić delikatnie... ale nie chciała umrzeć. – Mruczy coś i ściska mnie za ramię. Próbuje zaśmiać się gorzko. – Mamy ciężko, ale przynajmniej nie jesteśmy Czerwoni, prawda?

Wporzo mówisz.

Odchodzi. Zostaję sam w moim starym zamku. Titus zginął w tym miejscu, w którym stoję. Patrzę na donżon. Wygląda gorzej niż za czasów Titusa. Jakimś cudem wszystko jest teraz gorsze.

Psiajucha. Dlaczego Mustang musiała mnie zdradzić? Odkąd o niej wiem, wszystko stało się mroczne. Cień padł na moje życie. Miała tyle okazji, żeby mi powiedzieć – ale tego nie zrobiła. Wiem, że chciała ze mną porozmawiać, gdy siedziałem z jej bratem, ale wtedy pewnie zamierzała powiedzieć coś nieistotnego. Jakiś okrucieństwo. Czy może zdradziłaby dla mnie własną krew? Nie. Gdyby chciała to zrobić, powiedziałaaby mi wcześniej, zanim oddałem jej pół armii. Zanim zabrała sztandar swój i Ceres. Po co by ich potrzebowała, gdyby nie zamierzała ze mną walczyć? Mam wrażenie, jakby to ona zabiła Eo. Jakby to ona założyła jej pętlę, gdy ja szarpnąłem za nogi. Nieodrodna córka swojego ojca.

Znów czuję w rękach tamten drobny trzask. Zdradziłem Eo.

Spluwam na kamienie. W ustach mi zaschło. Od rana nic nie piłem. Głowa mnie boli. Czas wziąć się w kupę, jak mawiał stryj Narol. Czas zobaczyć się z Cassiusem.

Siedzi przy stole, na blacie położył swój jonoMiecz. Siedzi w miejscu, w którym wyciąłem swoją pieczęć. Stara flaga Domu Marsa leży na jego kolanach. Dłoń Prymusa zwiesza mu się z szyi. Minęło wiele czasu, odkąd wbił mi ostrze w brzuch. Broń wygląda teraz niemądrze. Zabawka, relikw. Jakże daleko zostawiłem za sobą tę salę i ten miecz. Znalazłem się poza zasięgiem Cassiusa, a jednak jego spojrzenie sprawia, że serce mi zamiera. Wyrzuty sumienia wzbierają mi w gardle jak czarna żółć, która wypełnia mi pierś. Tonę w niej.

– Przykro mi z powodu Juliana – mówię.

Włosy układają mu się w złote loki, ale są pozlepiane brudem i tłuszczem. Zamieszkały w nich pchły. Nadal jest piękny, daleko przystojniejszy ode mnie. Jednak to ja jestem większym człowiekiem. Iskra w jego oku przygasła. Czas i oddalenie od tego miejsca – oto czego potrzebuje jego dusza. Miesiące obłączenia. Miesiące gniewu i porażki. Miesiące straty i poczucia winy osuszyły go z tego, co czyniło go Cassiusem. Biedna dusza. Współczuję mu. Prawie się śmieję. Po tym, jak wbił mi miecz w brzuch, ja współczuję jemu. Nigdy nie przegrał bitwy. On jedyny spośród Prymusów może to o sobie powiedzieć. A jednak bierze odznakę Prymusa i rzuca ją mnie.

– Wygrałeś. Ale czy było warto? – pyta.

– Tak.

– Mówisz to bez wahania... – Kiwa głową. – To różnica między tobą a mną.

Odkłada sztandar i swój miecz. Podchodzi do mnie tak blisko, że czuję smród jego oddechu. Myślę, że mnie obejmie. Chcę go objąć, przeprosić i błagać o wybaczenie. A potem zrywa strup z kostek rąk, zasysa krew i spluwa mi nią w twarz. Jestem zaskoczony.

– To krwawa waśń – syczy w wysokiej mowie. – Jeśli kiedykolwiek jeszcze się spotkamy, ty jesteś mój, a ja twój. Jeśli jeszcze kiedyś nabierzemy powietrza w tej samej sali, jeden z nas przestanie oddychać. Usłysz mnie, ty nędzny robaku. Jesteśmy dla siebie diabłami, póki jeden z nas nie zgnie w piekle.

To formalna, zimna deklaracja, która wymaga ode mnie jednego. Kiwam głową. A on wychodzi. Jeszcze przez chwilę stoję nieruchomo. Drzę. Serce dudni mi w piersi. Tyle bólu... Myślałem, że będzie po wszystkim, ale nie wszystkie blizny się goją. Nie wszystkie grzechy zostają wybaczone.

Biorę flagę Marsa i wpinam sobie odznakę Prymusa. Patrzę na mapę na ścianie. Moja flaga z sierpakiem powiewa nad wszystkimi zamkami: moi ludzie zabezpieczyli je, a Tactus przygotowuje Olimp na szturm Mustang. Zamki należą do mnie, nie do wilka Domu Marsa. Mój sierpak wygląda jak L klanu Lambda. Mojego klanu. Mój brat, siostra, stryj, matka, moi przyjaciele nadal harują w kopalni. Mam wrażenie, że znajdują się na drugim końcu świata, a jednak to jest ich symbol. Symbol naszej rebelii, narzędzia, które stało się bronią, powiewa nad wszystkimi Domami Aureusów z wyjątkiem jednego. Plutona.

Opuszczam zamek, wylatując przez okno wieży. Jestem Czerwonym piekłonurkiem z Lykos. Jestem Żółtym Prymusem Domu Marsa. Udaję się na moją ostatnią bitwę w tej parszywej dolinie. Potem zacznie się prawdziwa wojna.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Powstań

Tactus przejął dowodzenie pod moją nieobecność. Jest okrutną bestią, ale moją okrutną bestią. A dzięki temu, że stoi u mojego boku, moje siły są gotowe do rozlewu krwi.

Nasze zbroje lśnią. Trzystu ludzi. Dziewięćdziesięciu nowych niewolników. Nie będą mieli okazji zapracować na swoją wolność. Nie starczyło grawiButów dla wszystkich. Zbroi też nie. Każdy jednak coś dostał. TrupoKonie i Wyjce zebrani przy skraju Olimpu tworzą cieniutki złoty łuk i patrzą w dół, na odległe o półtora kilometra podnóże góry. Nasi przeciwnicy kryją się w górach. Kiedy Mustang i Szakał zejść ze śnieżnych szczytów, będą mieli gorszą pozycję. My zajmujemy lepsze miejsce. Reszta moich sił – były oddział Paxa i oddział Nyli – strzegą złotej fortecy i rewizorów. Niewolnicy też tam są. Żałuję, że nie stoi przy mnie mój tytan. Zawsze czułem się bezpieczniej w jego cieniu.

Wysłałem Nylę, Milię i tuzin innych w widmoPłaszczach, żeby przeprowadzili zwiad w górach i zorientowali się w ruchach Szakała. Kto wie, jakie informacje przekaże bratu Mustang? Będzie znał nasze słabości, nasz stan, więc zmieniam, co tylko mogę, tak bardzo, jak to możliwe. Cokolwiek Mustang wie, jej wiedza będzie nieprzydatna. Zmieniam paradygmat. Zastanawiam się, czy potrafiłbym ją pobić tak bezlitośnie, jak pobiłem Fitchnera. Dziewczynę, która nuciła piosenkę Eo? Nigdy. W głębi serca nadal jestem Czerwony.

– Nie cierpię tej przeklętej fazy. – Tactus wzdycha. Wychyla się obok mnie, żeby zerknąć w dół z krawędzi latającej góry. – Mówię o czekaniu.

Ha! Przydałby się nam jakiś sprzęt optyczny.

– Co?

– Sprzęt optyczny! – powtarza głośno.

Mój słuch powraca i znika. Pęknięte bębenki to paskudna sprawa.

Mówi coś o Mustang, zapowiada, że na początek odetnie jej kciuki. Większości nie słyszę. Pewnie wolę nie słyszeć. Tactus należy do tych, którzy lubią splatać warkoczyki z czyichś wnętrzności.

– Tam!

Widzimy złotą iskierkę, która przeszywa chmurę. Za nią kolejne trzy. Nyla... Milia. Mustang... i coś jeszcze.

– Stać! – wołam do Sevro i Wyjców. Powtarzają rozkaz. Mustang się zbliża. Niesie coś dziwnego.

– Heja, Żniwiarzu – woła do mnie.

Czekam, aż wyląduje. Buty sprowadzają ją szybko na ziemię.

– Heja, Mustang.

– Milia mówi, że się zorientowałeś. – Rozgląda się z zaciekawionym uśmiechem. – To wszystko dla mnie, tak?

– Oczywiście. – Jestem skonsternowany. – Myślałem, że dojdzie do potyczki między rodziną Augustus a rodem Andromedus.

– Tym razem nie będzie żadnej potyczki. Przyniosłam podarek. Pozwól, że zaprezentuję mojego brata, Adriusa au Augustus, Szakala z Gór i jego sztandar. Został... – patrzy na mnie z hardym uśmiechem, gdy dociera do niej, że pomyślałem, że mnie zdradziła – ...rozbrojony.

Upuszcza na ziemię Szakala. Jest związany, zakneblowany i nagi.

– A niech mnie w zad wydymają... – burczy Tactus. – Psiakrew!

Wygrałem.

* * *

Mustang stoi obok mnie, kiedy transportowce przylatują na Olimp. Mówi, żebym nie miał wyrzutów sumienia z powodu tego, że zwątpiłem w jej lojalność. Powinna była przyznać się do swoich koligacji rodzinnych, chociaż nie uważa Szakala za brata. Nie tak naprawdę, w głębi serca. Jej prawdziwy brat, starszy, został zabity przez jednego z braci Cassiusa, brutalą imieniem Karnus. Augustus i Bellona. Krwawa waśń między tymi rodzinami sięga głęboko, a ja czuję, jak jej prąd szarpie mnie za nogi.

Pozostaje jednak pytanie, czy Mustang jest córką swojego ojca? Czy też jest dziewczyną, która nuci pieśń Eo? Myślę, że znam odpowiedź. Jest tym, czym Złoci mogą być, czym być powinni. Ale to jej ojciec i brat są tym, czym Złoci są w rzeczywistości. Eo nigdy by nie pomyślała, że to może być aż tak skomplikowane. Istnieje dobroć w Złotych, bo pod wieloma względami są najlepszym, co może zaproponować ludzkość. A zarazem są najgorszym. Jak to wpływa na jej marzenie? Okaże się z czasem.

Moi przybocznicy stoją wokół mnie: Mustang, Nyla, Milia, Tactus, Sevro, a nawet Roque i Quinn. Zostawiamy wolne miejsca dla Paxa i Lei. Tamtych zaś otacza moja armia. Nie ma powodu, żeby zawstydzają uczniów Plutona. Mam na to ochotę, ale tego nie robię. Stoją rozproszeni wśród moich sześciu oddziałów. Czekamy na rozległym dziedzińcu naprzeciwko lądowisk. To wiosenny dzień, więc śnieg szybko topnieje.

Sevro trzyma się blisko mnie. W jego oku spostrzegam subtelny zmianę, gdy na mnie patrzy. Rozmowa, jaką odbyliśmy, kiedy skończył montować nagrania, była krótka i przerażająca. Powtarza się echem w moich uszach.

– W czasie burzy dźwięk się posypał – powiedział Sevro. – Nie mogłem zrozumieć ostatnich słów, które wypowiedziałeś do Apolla. Więc je wyciąłem.

Jednym z moich ostatnich słów było „parszywe”.

Co wie Sevro? Co mu się wydaje, że wie? Fakt, że usunął zapis, oznacza, że uznał go za dostatecznie ważny, aby był wart zatuszowania.

Arcygubernator Augustus i imperatorzy z rodu Bellona i Adriatus oraz zastęp innych dygnitarzy, których w sumie uzbierało się dwustu, wychodzą z promów, każdy ze swoją świtą. Dyrektor przygląda nam się i śmieje się, widząc stan rewizorów. Zostawiłem ich związanych i zakneblowanych. Nie było miejsca na litość. Niepokój związany z ewentualną karą zniknął. Tylko Fitchner stoi niezwiązany. Jeśli rewizorzy otrzymają jakiekolwiek nagrody, to on powinien je wszystkie zebrać. Do tej pory każdy widział już nasze hołdoświadczanie. Sevro dopilnował, żeby wypadły jak najlepiej. Dobrze wiedział, jaką historię chcę opowiedzieć. Dokonałem tylko kilku poprawek.

Dyrektor Clintus jest drobną kobietą o twarzy jak surowy górski szczyt. Uduje jej się zażartować, że po raz pierwszy ceremonia odbywa się w tak wysoko położonym miejscu; spodziewa się jednak, że także po raz ostatni. Nie tak powinna odbywać się gra, jednakże jej przebieg świadczy o mojej kreatywności i sprycie. Wydaje się, że bardzo mnie lubi i zwraca się do mnie czule „Żniwiarzu”. Właściwie można odnieść wrażenie, że wszyscy

bardzo mnie lubią. Chociaż widzę, że niektórzy są nieufni. Rządzący nie lubią tych, którzy łamią zasady.

– Werbownicy ze wszystkich Domów przepychają się, żeby cię zgarnąć, chłopcze. Będiesz miał wybór, chociaż Mars ma prawo pierwszy złożyć ofertę. Wszystko zależy od ciebie. Żniwiarz ma wielki wybór! – Clintus chichocze.

Bellona i Augustus, zaprzysięgli wrogowie, obserwują mnie jak węża. Zabiłem jednego z ich synów i upokorzyłem drugiego. Rzeczywiście, mam wrażenie, że sytuacja może być niezręczna.

Odbywa się skromna ceremonia. Asystenci kręcą się wokół nas. To zwykła formalność. Prawdziwa uroczystość będzie miała miejsce w Agei, gdzie zostanie urządzone wielkie święto, przyjęcie, które rozpali niebiosy i na którym obecna będzie sama Suwerenka – choć tylko w holoTransmisji. Będą libacje, tancerki, wyścigi, połykacze ognia, nałożnicy i nałożnice, używki, narkotyki, politycy – tak w każdym razie zapowiada Mustang. To dziwne, pomyśleć, że inni przejmują się tym, co się z nami tutaj stało. Pomyśleć, że tak wielu Złotych to istoty zupełnie bezbarwne. Nie mają pojęcia, co to znaczy zapracować na bliznę Niezrównanych Naznaczonych; co to znaczy zatłuc chłopca na śmierć w zimnym kamiennym pokoju. Mimo to uczczą nas. Na chwilę zapominam, dla kogo walczymy. Zapominam, że to jest rasa, która walczy zaciekle o rzeczy błahy, bo tak bardzo je kocha. Nie rozumiem tego popędu. Rozumiem Instytut. Rozumiem wojnę. Nie rozumiem jednak tego, co czeka nas w Agei, ani tego, co nastąpi potem. Może dlatego bardziej przypominam Żelaznych Złotych. Najlepszych z Niezrównanych, podobnych do Przodków, którzy zbombardowali bronią nuklearną ludzi, którzy sprzeciwili się ich rządowi. Jakim stworzeniem się stałem...

Kiedy już wszystko zostaje powiedziane i zrobione, dyrektor Clintus przypina mi odznakę. Mruga do mnie i dotyka mojego ramienia. A potem rozchodzimy się. Tak po prostu. Gra się skończyła. Powiedziano nam, że transportowce już lecą, żeby zabrać nas do domów, gdzie czekają rodzice, by pochwalić albo wydziedziczyć synów i córki, którzy ich zawiedli. Tak po prostu. Do tego czasu kręcimy się w kółko, czując się idiotycznie w zdobycznych zbrojach, kiedy nasza broń znaczy teraz tak niewiele. Patrzę na mój sierpak i zastanawiam się, jak bezużyteczny właśnie się stał. Jakbyśmy mieli teraz gratulować sobie wzajemnie, wiwatować albo coś

w tym stylu. A słyszeć tylko ciszę. Głuche milczenie zarówno wśród zwycięzców, jak i przegranych.

Czuję się pusty.

Co mam teraz zrobić? Zawsze był strach, zawsze niepokój, zawsze powód, żeby gromadzić broń i jedzenie, zawsze czekała jakaś misja lub próba. A teraz nie ma nic. Tylko wiatr wiejący nad naszym polem bitwy, pustym placem boju, gdzie dźwięczy jedynie echo rzeczy utraconych i przyswojonych w ramach lekcji. Przyjaciele. Lekcje. Wkrótce będą tylko wspomnieniem. Szukam Mustang. Czy nadal będzie jej na mnie zależało? I wtedy nagle arcygubernator łapie mnie pod łokieć i odciąga z dala od innych oszołomionych młodych ludzi.

– Jestem zajęтым człowiekiem, Żniwiarzu – mówi, wypowiadając ostatnie słowo szyderczym tonem. – Dlatego powiem wprost. Wniosłeś sporo komplikacji do mojego życia.

Jego dotyk sprawia, że mam ochotę wrzeszczeć. Jego wąskie usta nie wyrażają żadnych emocji. Ma prosty nos. Oczy pogardliwe i zrobione z węgielków umierającego słońca. Jest taki niezrównany, a jednak wcale nie jest piękny. Jego twarz jest wykuta z granitu. Głębokie policzki. Męska, gruba skóra, nie tak wypolerowana na połysk jak u tych głupców w hP albo u Piksów hulających w nocnych klubach. Cuchnie władzą jak Różowi perfumami. Mam ochotę zrobić z jego twarzy połamaną układankę.

– Tak. – Tylko tyle mam do powiedzenia.

Nie uśmiecha się.

– Moja żona jest żebraczką. Prosiła, żebym pomógł jej synowi wygrać.

– Chwileczkę. Ktoś mu pomagał?

Jego usta układają się w delikatny uśmiech. Z rodzaju tych, jakie rezerwuje się dla prostych rozrywek.

– Rozumiem, że nie podzieliłeś się z innymi wiedzą o moim udziale.

Chcę go złamać. Po tym wszystkim, co się stało, oczekuje mojej kooperacji, jakbym był mu coś winien. Jakby należała mu się moja pomoc. Rozluźniam pięści. Co Dancer chciałby, żebym powiedział?

– Nic ci nie grozi – mówię w końcu. – Nie mogę ci pomóc w sprawach rodzinnych, ale nie powiem nikomu, że Szakalowi pomagał tatuś.

Unosi podbródek.

– Nie nazywaj go tym imieniem. Ludzie z domu Augustus są lwami, a nie zapchlonymi padlinożercami.

– Tak czy inaczej, trzeba było obstawiać Mustang – mówię, celowo nie posługując się jej imieniem.

– Nie pouczaj mnie w kwestii mojej rodziny, Darrow. – Zerka na mnie z góry. – A teraz pytanie brzmi, ile chcesz za swoje milczenie. Nie przyjmuję podarków, nie zaciągam u nikogo długów. Zatem zaopiekujemy się tobą pod jednym warunkiem.

– Że będę trzymał się z dala od twojej córki?

– Nie. – Śmieje się ostro, czym mnie zaskakuje. – Tylko głupie rody martwią się czystością krwi. Nie obchodzi mnie czystość krwi ani moi przodkowie. To wyraz próżności. Mnie interesuje tylko siła. To, co mężczyzna może zrobić innym mężczyznom i kobietom. A ty to masz w sobie. Moc. Siłę. – Pochyliła się bliżej i w jego źrenicach widzę umierającą Eo. – Ja zaś mam wrogów. Są silni. Są liczni.

– Bellona.

– I inni. Ale owszem, imperator Tiberius au Bellona ma ponad pięćdziesięcioro bratanków i bratanic, siostrzeńców i siostrzenic. Dziewięcioro dzieci. Ten Goliat, Karnus, najstarszy. Cassius, jego ulubieniec. Ma silne nasienie. Moje... nie jest równie silne. Miałem syna wartego wszystkich synów Tiberiusa razem wziętych, ale Karnus go zabił. – Milczy przez chwilę. – Teraz mam dwie siostrzenice. Siostrzeńca. Syna. Córkę. To wszystko. Dlatego kolekcjonuję uczniów. Mój warunek jest następujący. Dam ci to, co zechcesz, w zamian za twoje milczenie. Kupię ci Różowych, Obsydianowych, Szarych, Zielonych. Zasponsoruję ci wstęp do Akademii, gdzie nauczysz się żeglować statkami, które podbijają planety. Dostarczę ci funduszy i stosownego patronatu. Przedstawię cię Suwerence. Zrobię to wszystko w zamian za twoje milczenie, o ile zostaniesz jednym z moich lansjerów, adiutantów, członkiem mojego domu.

Prosi, żebym zdradził swoje nazwisko. Żebym odsunął własną rodzinę na bok na rzecz jego rodu. Moja rodzina – Andromedus – jest fałszywa, stworzona dla oszustwa. A jednak sprawia mi to ból.

Spodziewałem się tego, ale nie wiem, co powiedzieć.

– Któryś z żołnierzy twojego syna może powiedzieć coś na temat twojego udziału w sprawie – zauważam.

Arcygubernator prycha.

– Bardziej mnie martwią twoi przyboczni.

Śmieję się.

– Niewielu z mojej armii zna prawdę. A ci, którzy ją znają, nie powiedzą ani słowa.

– Bardzo im ufasz.

– Jestem ich arcyPrymusem – odpowiadam po prostu.

– Mówisz poważnie? – pyta skonsternowany, jakbym nie rozumiał czegoś tak oczywistego jak grawitacja. – Chłopcze, łączące was więzi rozpadną się, kiedy tylko wsiądziecie na pokład tego promu. Niektórzy z twoich przyjaciół zostaną zabrani do władców księżyców. Inni wylądują u gubernatorów gazowych olbrzymów. Paru trafi nawet na Lunę. Zapamiętaj cię jako legendę ze swojej młodości, ale to wszystko. Ta legenda nie będzie inspirować do wierności. Stałem kiedyś na twoim miejscu. Wygrałem swój rok, ale lojalności nie znajdziesz w tych salach. Tak to jest.

– Tak to było – odpowiadam ostro, zaskakując go, ale wierzę w to, co mówię. – Ja jestem inny. Wyzwoliłem niewolników, pozwoliłem złamanym odzyskać ducha. Dałem im coś, czego starsze pokolenia nie mogą zrozumieć.

Śmieje się, czym mnie irytuje.

– Na tym polega problem z tobą. Zapominasz, że każde pokolenie myślało to samo.

– Jednak w wypadku mojego pokolenia to jest prawda.

Bez względu na jego pewność siebie to ja mam rację, a on się myli. Jestem iskrą, która podpali świat, młotem, który strzaska łańcuchy.

– To jest szkoła, a nie życie – recytuje. – To nie jest życie. Tu jesteś królem. W prawdziwym życiu nie ma królów. Jest wielu pretendentów, ale my, Niezrównani, przypominamy im, gdzie ich miejsce. Wielu przed tobą wygrało w tej grze. I wielu z nich wyróżnia się teraz poza szkołą. Nie zachowuj się więc, jakbyś po ukończeniu szkoły miał zostać królem i zyskać lojalnych poddanych, bo tak nie będzie. Będziesz mnie potrzebował. Będziesz potrzebował fundamentu, stronnika, który pomoże ci piąć się wyżej. Nie znajdziesz nikogo lepszego ode mnie.

Nie chodzi o to, że zdradzę swoją rodzinę, tylko o to, że zdradzę swój lud. Szkoła to jedno, ale pójść pod skrzydło smoka... pozwolić, żeby mnie mocno przytulił, pławić się w luksusach, kiedy moi ludzie pocą się, umierają, przymierają głodem i płoną... to dość, żeby wyrwać mi serce z piersi.

Oboje jego złotych dzieci obserwuje nas. Podobnie jak Cassius i jego ojciec po tym, jak się objęli. Popłynęły łzy z powodu Juliana. Żałuję, że nie jestem teraz z własną rodziną, zamiast znajdować się tutaj. Żałuję, że nie czuję ręki Kierana na ramieniu, dłoni Leanny w mojej własnej, gdy patrzymy, jak matka podaje kolację. To jest rodzina. Miłość. Tym tutaj chodzi o chwałę, zwycięstwo, dumę rodzinną, ale nie mają pojęcia o miłości. Nie wiedzą nic o rodzinie. To fałszywe rodziny. To tylko drużyny. Drużyny w grze, w której stawką jest duma. Arcygubernator nawet nie przywitał się ze swoimi dziećmi. Temu nikczemnemu człowiekowi bardziej zależy na rozmowie ze mną.

– Zabawne – mówię.

– Zabawne? – pyta ponuro.

Wymyślam coś na poczekaniu.

– Zabawne, jak jedno słowo może wszystko zmienić w życiu człowieka.

– To wcale nie jest zabawne. Stal to władza. Pieniądze to władza. Jednak ze wszystkich rzeczy na świecie słowa to władza największa.

Przyglądam mu się przez chwilę. Słowa są potężniejszą bronią, niż myśli. A pieśni jeszcze potężniejszą. Słowa budzą umysł. Melodia budzi serce. Wywodzę się z ludu żyjącego pieśnią i tańcem. Nie potrzebuję, żeby on mówił mi o sile słów. Mimo to uśmiecham się.

– Jak brzmi twoja odpowiedź? Tak czy nie? Nie zapytam po raz drugi.

Oglądam się na dziesiątki Niezrównanych Naznaczonych, którzy czekają, żeby ze mną porozmawiać – bez wątpienia na temat patronatu lub stażu. Stoi tam stary Lorn au Arcos. Rozpoznaję go nawet bez maski werbownika. Rycerz Gniewu. Człowiek, który przysłał mi mojego Pegaza i pierścień Dancera. Człowiek o nieskalanym honorze, przywódca trzeciego pod względem potęgi rodu na Marsie. Człowiek, od którego mógłbym się uczyć.

– Czy wzniesiesz się razem ze mną?

Patrzę na żyłę szyjną arcygubernatora. Serce bije mu mocno. Wyobrażam sobie Gasnący Tren po śmierci Eo. Kiedy jednak go powieszę, nie otrzyma naszej pieśni. Jego życie nie powróci echem. Po prostu się skończy.

– Myślę, mój panie, że to otworzyłoby przede mną ciekawe możliwości.

– Patrzę mu w oczy, mając nadzieję, że pomyli płonąca tam furie z entuzjazmem.

– Znasz słowa? – pyta.

Kiwam głową.

– Zatem musisz je wypowiedzieć. Teraz. Tutaj. Żeby wszyscy byli świadkami tego, że zgarnąłem najlepszego w szkole.

Jego duma cuchnie. Zgrzytam zębami i wmawiam sobie, że to właściwa droga. Razem z nim się wzniosę. Wstąpię do Akademii. Nauczę się dowodzić flotami. Wygram. Będę się ostrzył, aż stanę się mieczem. Zaprzedam duszę. Zanurkuję do piekła w nadziei, że pewnego dnia wynurzę się z niego i odzyskam wolność. Poświęcę się. Będę budował swoją legendę i szerzył ją wśród ludzi na wszystkich światach, aż będę mógł dowodzić armiami, które rozerwą łańcuchy zniewolenia. Bo nie jestem po prostu agentem Synów Aresa. Nie jestem po prostu taktykiem ani narzędziem w ich rękach. Jestem nadzieją moich ludzi. Wszystkich zniewolonych.

Dlatego klękam przed nim, tak jak każe ich obyczaj. I tak jak każe ich obyczaj, on kładzie ręce na mojej głowie. Słowa wypełzają z moich ust, ich echo jest jak potłuczone szkło w moich uszach.

– Wyrzeknę się mojego ojca. Porzucę moje nazwisko. Będę twoim mieczem. Nero au Augustus, moim celem uczynię twoją chwałę.

Tym, którzy patrzą, wyrывa się zduszony okrzyk zaskoczenia. Inni przeklinają niestosowność tego gestu i zuchwałość Augustusa. Czy on nie ma za grosz przyzwoitości?

Mój pan całuje mnie w czubek głowy i szepcze, a ja staram się, jak mogę, powstrzymać gniew, który uczynił ze mnie coś ostrzejszego nawet od Czerwonego. Twardszego niż Złoty.

– Darrowie, lansjerze domu Augustus. Powstań, czekają cię zadania do wypełnienia. Powstań, czekają cię zaszczyty do przyjęcia. Powstań dla chwały, dla władzy, dla podboju i dominacji nad mniejszymi ludźmi. Powstań, mój synu. Powstań.







